MIKOŁAJ
OSTROWSKI

JAK HARTOWAŁA SIĘ STAL

*

przełożył

WACŁAW
ROGOWICZ

*

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

1968

Tytuł oryginału
KAK ZAKALAŁAS' STAL
Sowietskij Pisatiel, Moskwa 1951

Opracowanie graficzne
MIECZYSŁAW WIŚNIEWSKI

Redaktor
ZOFIA RYBICKA

Redaktor techniczny
JADWIGA JEGOROW

Korektor
JADWIGA GOŁDYS

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1968 r. Wydanie VIII (poprawione)

Nakład: 20.000 + 304 egz. Objętość: 22,15 ark. wyd., 28;75 ark. druk. Papier offsetowy III kl. 70 g. (z Zakładów Celulozowo-Papierniczych im. J. Marchlewskiego we Włocławku). Format 82 x 104. Druk ukończono w grudniu 1967 r. Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie. Zam. nr 3369 z dnia 13.VII.1967 r. T-86.
Cena zł 32.–

O MIKOŁAJU OSTROWSKIM

Mikołaj Ostrowski urodził się w 1904 roku w rodzinie robotniczej w Szepietówce, na Ukrainie. Nie ukończył nawet czterech klas tak zwanego „narodnowo uczyliszcza" (szkoły ludowej), gdzie rózga była głównym chwytem pedagogicznym. Z tej carskiej szkoły wyniósł sporo sińców i słabą umiejętność czytania i pisania w języku rosyjskim. Na tym skończyła się jego edukacja. Mając lat dwanaście musiał już zarabiać, aby dopomóc matce. Praca „popychadła" w ogromnej kuchni bufetu stacyjnego była ponad siły wątłego chłopca. W Szepietówce krzyżowało się sześć linii kolejowych. W 1914 roku, kiedy zaczęła się wojna, przez dworzec w Szepietówce przewalały się tysiące żołnierzy w jedną i w drugą stronę. Kuchnia bufetowa w suterenie, w kłębach pary unoszącej się z wrzących samowarów, w czerwonym blasku ognisk pod kotłami, z brzękiem naczyń i wymyślaniem posługaczek, była prawdziwym obrazem piekła. W tym piekle, niby mały potępieniec, od wczesnego ranka do późnej nocy uwijał się upadający ze zmęczenia Kola – w ciągłym strachu, że straci tę „posadę". I tu nie szczędzono mu szturchańców. Po jakiejś grubszej awanturze, zbity do nieprzytomności, chłopiec musiał porzucić to zajęcie. Zaczął pracować w elektrowni.

Kiedy nadeszła Rewolucja Październikowa, czternastoletni Mikołaj Ostrowski od razu znajduje swoje miejsce w czerwonych oddziałach partyzanckich. Mając lat szesnaście walczy przeciwko białym w słynnej dywizji Kotowskiego, a później

w pierwszej armii konnej Budionnego. W 1920 roku zostaje ciężko ranny i przez długi czas znajduje się się między życiem a śmiercią. Powoli powraca do zdrowia, ale musi porzucić ukochaną Armię Czerwoną. Zaczyna pracować na tyłach, które w tym czasie na Ukrainie były również frontem.

W 1919 roku Ostrowski wstępuje jako jeden z pierwszych do Komsomołu, mając dwadzieścia lat jest już członkiem partii, cenionym i kochanym przez towarzyszy. Otwiera się przed nim szeroka droga działacza partyjnego. W 1925 roku spotyka go nagły i niespodziewany cios – utajona choroba jak wróg podstępny wali go z nóg. Grozi mu paraliż stawów (na skutek starej rany w kręgosłupie) i całkowita ślepota.

„Przecież trzy lata już walczę o życie – pisze do przyjaciela... – Gdyby w samym rdzeniu mej istoty nie tkwiła tak mocna wola walki do ostatnich możliwości, dawno bym się zastrzelił... Tylko my, tacy jak ja, tak do szaleństwa kochający życie, tę walkę, tę pracę nad budową nowego, o wiele lepszego świata, tylko my, którzy przejrzeliśmy i zobaczyliśmy życie całe takim, jakim ono jest, nie możemy odejść, dopóki pozostaje chociaż najmniejsza szansa".

Wczesna młodość Ostrowskiego przypada na okres, kiedy na barki komsomolców spadały ciężary ponad ich siły. Gdzie tylko były wyrwy, gdzie było najtrudniej, gdzie zdawało się, nic już poradzić nie można, tam partia posyłała komsomolców, jako swój najbardziej bojowy, niezawodny oddział.

Do niezapomnianych kart powieści Jak hartowała się stal *należą te stronice, gdzie Ostrowski opisuje ofiarny trud młodzieży, budującej kolejkę wąskotorową.*

Od ukończenia na czas tej kolejki zależy dowóz drzewa, a więc życie tysięcy ludzi w pobliskim mieście.

Partia nie ukrywa przed młodzieżą, że zadanie jest trudne, dla zwykłych ludzi – niewykonalne.

„Powiem wam, chłopcy, otwarcie – mówi sekretarz partii Tokariew – sprawa jest pod psem. Drugiej zmiany jeszcze nie

zebrali, a ile ludzi przyślą – nie wiadomo. Mrozy za pasem. Przed mrozami, choćbyśmy mieli kopyta wyciągnąć, trzeba przejść przez mokradło, bo potem to nawet zębami ziemi nie ugryziesz... Pięć razy zdechnij, a bocznicę trzeba zbudować. Inaczej, co z nas za bolszewicy? Sami mazgaje!"

Bocznica została ukończona na przekór wszystkim straszliwym trudnościom.

Ostrowski zdaje sobie sprawę z tego, że łatwo było walczyć mając siły, męstwo, zdrowie swoich szesnastu lat i towarzyszy dokoła. O ile więcej siły i męstwa potrzeba mu teraz, aby pozostać w szeregach! Dwudziestoczteroletni inwalida, ślepiec, przykuty do łoża, mający przed sobą straszliwie dłużące się noce i dnie, oderwany od ukochanych towarzyszy – Ostrowski nie myśli o sobie. Myśli o tym, jak pomimo wszystko walczyć dalej. Jak dalej służyć partii.

Postanawia zostać pisarzem. Pogrążony w ciemności, samotny, przeżywa na nowo swoją burzliwą, piękną młodość. Ale jego własna młodość – to młodość tysięcy komsomolców. Były to bowiem czasy bohaterskich zmagań młodego Kraju Rad, otoczonego przez wraże armie.

Były to czasy, kiedy „hartowała się stal" bolszewickich serc. O tych czasach, o tych ludziach postanowił napisać książkę. Jeżeli potrafi, jeżeli ta książka pomoże wychować młode pokolenie – wtedy nawet ślepy i bezwładny pozostanie w szeregach.

Ale zaraz na samym wstępie natknął się na nieprzewidziane trudności. Jakże ciężko pisać będąc ślepym! Wpadł na pomysł, żeby zrobić teczkę z kartonu: wąskie wycięcia w kartonie równały się liniom; w teczkę wkładał papier – ołówek posuwał się w wycięciach kartonu, co utrzymywało pismo w jednej linii. Ale nie mógł przeczytać tego, co napisał. Żeby nie stracić wątku, musiał pamiętać, co napisał, i to, co chciał napisać. Pozwalała mu na to niezwykła pamięć. O poprawieniu tego, co napisał, nie było mowy.

Niejeden człowiek na miejscu Ostrowskiego cofnąłby się

przed tym szalonym eksperymentem, zrezygnowałby. Ostrowski w chwilach zwątpienia przypomina sobie słowa Lenina: „Nie ma takich twierdz, których by bolszewicy nie zdobyli". Te słowa budzą w nim nowe siły. Po jakimś czasie znalazła się młoda dziewczyna, która podjęła się pisać pod jego dyktando. Praca zaczęła czynić szybkie postępy. Przyjaciele czytali pierwsze rozdziały, chwalili i zachęcali do pisania. To było dla niego bodźcem do dalszej pracy.

Pierwszą część powieści Jak hartowała się stal *Ostrowski zaczął w 1930 roku i pisał ją dwa lata. W 1932 roku pierwsze rozdziały wyszły w czwartym numerze* Młodej Gwardii. *Ukazanie się powieści w druku było wielkim zwycięstwem Ostrowskiego. Było nagrodą za wszystkie przecierpiane męki.*

„Życie moje jest wypełnione po brzegi – pisał do przyjaciół. – Naprzód do pracy! W imię nowych osiągnięć! Uściśnijcie mocno moje dłonie, towarzysze!

Czy słyszycie, jak silnie biją moje serce?"

Książka Jak hartowała się stal *w krótkim czasie zdobyła sobie ogromną popularność. Paweł Korczagin stał się ukochanym bohaterem młodzieży radzieckiej. Sam Ostrowski mówił, że pisząc tę książkę pragnął dać typ bojownika, który stałby się wzorem dla młodzieży.*

„Mało jest takich bohaterów w naszej literaturze – pisał później. – Nasze życie jest bardziej bohaterskie niż nasza literatura".

Ale aby móc stworzyć takiego bohatera jak Paweł Korczagin, nie wystarczy talent, nawet największy. Trzeba być samemu na miarę Korczagina. Toteż mimo zastrzeżeń autora, że powieść Jak hartowała się stal *„nie stanowi w pełni powieści autobiograficznej", młodzież – wiedziona nieomylnym instynktem – od razu skojarzyła postać autora z postacią bohatera.*

Wieść, że „Paweł Korczagin" żyje i mieszka gdzieś w Soczi, że pisze nową książkę, niewiadomymi drogami dotarła do najdalszych zakątków olbrzymiego kraju.

Do małego domku w Soczi, gdzie autor leżał niewidomy i sparaliżowany, zaczęły napływać setki listów.

Jeszcze niedawno oderwany od życia Ostrowski poczuł się naraz w wirze najbardziej palących spraw młodzieży. Zaczęły się wędrówki komsomolców do „Pawła Korczagina". Ściskając w swych wychudłych dłoniach młode, gorące ręce, wsłuchując się we wzruszone głosy, w których czujne jego ucho chwytało ton szczerej miłości, Ostrowski czuł, jak wraca do życia. Na nowo włączał się w potężny rytm pierwszej pięciolatki.

W *artykule* Jaki powinien być pisarz w naszym kraju *Ostrowski pisał:*

„To przede wszystkim budowniczy socjalizmu, a nie obojętny 'obserwator'. To bojownik. Bojownik, nauczyciel, trybun. Człowiek przez wielkie C... Jedynie idąc w pierwszych szeregach – piszę dalej – w ogniu walk, w mękach klęsk, ciesząc się zwycięstwem wraz z całym narodem, jedynie wtedy pisarz może dać prawdziwą, wzruszającą, pobudzającą do czynu książkę".

Te słowa Ostrowskiego można zastosować przede wszystkim do jego własnego dzieła.

Jak hartowała się stal *osiągnęła w ciągu piętnastu lat sto pięćdziesiąt trzy wydania w czterdziestu dwu językach narodów ZSRR – w sumie przeszło dwa i pół miliona egzemplarzy.*

Ostrowski umarł w 1936 roku w Moskwie mając trzydzieści dwa lata. Nie zdążył już skończyć drugiej swojej książki Zrodzeni z burzy. *Kiedyś pisał:*

„Najpiękniejsze w życiu człowieka jest, gdy to, co stworzył, służy ludziom i po jego śmierci".

To jego marzenie się spełniło.

Ostrowskiego już nie było. Ale żył Paweł Korczagin – przyjaciel, nauczyciel, wychowawca setek tysięcy młodzieży radzieckiej.

W latach ciężkiej próby, w latach Wielkiej Wojny Narodo-

wej, książka Jak hartowała się stal *towarzyszyła żołnierzom Armii Czerwonej i w najtrudniejszych chwilach była im pomocą i drogowskazem.*

W oddziałach Armii Czerwonej powstała nowa nazwa: „korczaginowiec" – była to najwyższa pochwała żołnierza.

Za granicami ZSRR książka Ostrowskiego w ciągu piętnastu lat doczekała się trzydziestu jeden wydań w szesnastu językach.

Szczególnie bliska jest ona polskiemu czytelnikowi. Bohater książki Paweł Korczagin zna polski język na równi z ojczystym ukraińskim. W Szepietówce jako młody chłopiec spotyka się codziennie niemal z dziećmi adwokata Leszczyńskiego i blisko żyje z liczną rodziną maszynisty Polentowskiego. Pawka nienawidzi wymuskanego paniczyka Wiktora Leszczyńskiego i kocha starego Polentowskiego, warszawskiego robotnika.

Jest jedna scena w tej książce, kiedy do zawianej śniegiem stacji w Szepietówce w mroźną noc zimową przychodzi wiadomość o śmierci Lenina.

„A u wrót zaryczała lokomotywa, aż wszyscy drgnęli. Zawtórowała jej na dworcu druga, trzecia... Do ich potężnego, przepojonego trwogą nawoływania dołączył się głos elektrowni, wysoki i przenikliwy jak wycie lecącego szrapnela. Czystym dźwiękiem miedzi zagłuszyła je szybkobieżna, piękna 'S' – lokomotywa pociągu osobowego, gotowego do odejścia w kierunku Kijowa.

Maszynista polskiego pociągu bezpośredniego Szepietówka–Warszawa przez chwilę nasłuchiwał, a potem powoli podniósł rękę i pociągnął na dół łańcuszek otwierający wentyl syreny. Wiedział, że gwiżdże po raz ostatni, że nie będzie mógł więcej pracować na tej maszynie, ale jego ręka nie oderwała się od łańcuszka i wycie lokomotywy podnosiło z miękkich kanap w przedziałach wystraszonych polskich kurierów i dyplomatów".

Nie znamy imienia tego polskiego maszynisty – nie znamy

nawet jego twarzy. Na zawsze pozostaje nam jednak w pamięci jego ręka, która powoli pociąga za wentyl syreny.

Ostrowski jest mistrzem w malowaniu takich scen. W skąpych słowach potrafi oddać wielką, głęboko wzruszającą treść.

Oto jeszcze jeden obraz:

Uroczysta rocznica Wielkiego Października we wsi radzieckiej na granicy Polski. Gwarna i radosna kolumna pochodu idzie po stronie radzieckiej, napełniając powietrze dźwiękami pieśni.

Na pagórku stoi polski wartownik. Miarowy krok kolumny. Rozlegają się pierwsze dźwięki marsza. Polak zdejmuje z ramienia karabin i postawiwszy go u nogi, staje „na baczność". Korczagin słyszy wyraźnie: „Niech żyje Komuna!"

Oczy żołnierza mówią, że to on wypowiedział te słowa.

Paweł, nie odrywając wzroku, wciąż na niego spogląda.

Przyjaciel! Serce pod żołnierskim płaszczem bije zgodnym rytmem z kolumną i Korczagin odpowiada cicho po polsku:

– Witaj, towarzyszu!

W jednym ze swoich artykułów Ostrowski tak tłumaczył, skąd się bierze siła w człowieku, który połączył swoje życie z życiem społeczeństwa:

„Egoista ginie najprędzej. Żyje w sobie i dla siebie. Ale wystarczy naruszyć jego 'ja', a już nie ma czym żyć. A kiedy człowiek żyje nie dla siebie, kiedy stapia się ze społeczeństwem, wtedy trudno go zabić; trzeba by przecież zabić wszystko, co go otacza, zabić cały kraj, całe życie".

Gdzie indziej zaś mówi:

„Jeżeli jednak sprawy osobiste zajmują w życiu człowieka bardzo dużo miejsca, a społeczne bardzo mało, wówczas klęska osobistego życia staje się niemal katastrofą. Człowiek zadaje sobie wtedy pytanie, po co żyć? Takie pytanie nigdy nie stanie przed bojownikiem".

Takim bojownikiem-komunistą był Mikołaj Ostrowski.

Człowiek wierny swoim słowom, określającym najpełniej cel życia ludzkiego.

„Najdroższą rzeczą, jaką ma człowiek, jest życie. Dane mu jest raz jeden i przeżyć je trzeba tak, żeby nie sprawiało mu męczącego bólu po bezcelowo przeżytych latach, żeby nie palił wstyd za nędzną, marną przeszłość i żeby umierając można było powiedzieć: całe życie i wszystkie siły oddałem najpiękniejszej sprawie na świecie – walce o wyzwolenie ludzkości".

HELENA BOBIŃSKA

to z was był u mnie w domu przed świętem, żeby odpowiadać z lekcji – niech wstanie!

Otyły człowiek z nalaną twarzą, w sutannie, z ciężkim krzyżem na piersiach, spojrzał groźnie na uczniów.

Małe złe oczki jakby świdrowały na wskroś całą szóstkę – czterech chłopców i dwie dziewczynki – która wstała z ławek.

Dzieci z lękiem spoglądały na człowieka w sutannie.

– Wy, siadajcie – pop machnął w stronę dziewczynek. Odetchnąwszy z ulgą, szybko usiadły.

Oczki ojca Wasilija spoczęły na czterech drobnych postaciach.

– Chodźcie no tutaj, chłopaczki!

Ojciec Wasilij wstał, odsunął krzesło i podszedł blisko do stłoczonej gromadki chłopców.

– Który z was, gałgan, pali?

Wszyscy czterej odpowiedzieli cicho:

– My nie palimy, ojcze.

Twarz popa spąsowiała.

– Nie palicie, łajdaki, a kto nasypał do ciasta machorki? Nie palicie? Zaraz się przekonamy! Wywróćcie kieszenie! No prędzej! Słyszycie, co do was mówię? Wywracajcie!

Trzech chłopców zaczęło wykładać na stół zawartość kieszeni.

Pop oglądał szwy szukając tam śladów tytoniu, lecz nic nie znalazł i zabrał się do czwartego, czarnookiego, w szarej koszuli i granatowych porciętach z łatami na kolanach.

– A *ty* czego stoisz jak bałwan?

Czarnooki, patrząc z ukrytą nienawiścią, odparł głuchym głosem:

– Nie mam kieszeni – i przesunął rękami po zaszytych bokach spodni.

– Aha, nie masz kieszeni! Więc myślisz, że nie wiem, kto mógł zrobić takie łajdactwo – zepsuć ciasto! Myślisz, że i teraz pozostaniesz w szkole? Nie, kochanku, to ci nie ujdzie na sucho. Zeszłym razem tylko twoja matka wyprosiła pozostawienie cię, no ale teraz to już koniec. Marsz z klasy! – chwycił chłopca boleśnie za ucho, wyrzucił na korytarz i zamknął za nim drzwi.

W klasie ucichło, dzieci skuliły się. Nikt nie rozumiał, za co Pawkę Korczagina wypędzono ze szkoły. Tylko Sieriożka Bruzżak, serdeczny przyjaciel Pawki, widział, jak Pawka wsypał popu garść machorki do wielkanocnego ciasta, tam, w kuchni, gdzie czekało na nauczyciela religii sześcioro źle uczących się dzieci. Te musiały odpowiadać z lekcji w mieszkaniu popa.

Wypędzony Pawka przysiadł na ostatnim schodku ganku. Myślał o tym, jak teraz pokaże się w domu i co powie matce, takiej zabiegliwej, pracującej od rana do późnej nocy jako kucharka u inspektora akcyzy.

Łzy dławiły chłopca.

„Cóż ja teraz zrobię? Wszystko przez tego przeklętego popa. I po diabła nasypałem mu machory? Sieriożka podbechtał. 'Wiesz co – powiada – nasypiemy draniowi'. No i wsypaliśmy. Sierożce się upiecze, a mnie na pewno wypędzą".

Ten wrogi stosunek do ojca Wasilija zaczął się już dawno. Kiedyś Pawka pobił się z Miszką Lewczukowem i za karę zatrzymano go po lekcjach w szkole. Żeby urwis nie dokazywał w pustej klasie, nauczyciel zaprowadził go do starszych, do drugiej klasy. Pawka usiadł w ostatniej ławce.

Nauczyciel, chuderlawy, w czarnej marynarce, opowiadał o Ziemi, o ciałach niebieskich. Pawka słuchał z otwartymi

ustami, zdumiony, że Ziemia istnieje już wiele milionów lat i że gwiazdy są też czymś w rodzaju Ziemi. Był tak dalece zdziwiony tym, co usłyszał, że nawet chciał wstać i powiedzieć nauczycielowi: „W religii nie tak jest napisane" – ale zląkł się, żeby za to nie oberwać.

Z religii pop stawiał Pawce zawsze piątkę. Chłopiec wykuł na pamięć wszystkie pieśni cerkiewne, Stary i Nowy Testament, wiedział bez omyłki, co którego dnia Bóg stworzył. Pawka postanowił zapytać ojca Wasilija. Zaraz na pierwszej lekcji religii, ledwie pop zasiadł w fotelu, Pawka podniósł rękę i gdy pozwolono mu mówić, wstał.

– Ojcze, a dlaczego nauczyciel w starszej klasie mówi, że Ziemia istnieje miliony lat, a nie jak w religii – pięć tys... – i urwał przestraszony piskliwym krzykiem ojca Wasilija:

– Coś ty, łajdaku, powiedział?! To tak się uczysz słowa bożego?

Nie zdążył Pawka nawet pisnąć, gdy pop chwycił go za uszy i zaczął tłuc jego głową o ścianę. Po chwili, zbity i przerażony, chłopiec został wyrzucony na korytarz.

Dobrze dostało mu się i od matki.

Nazajutrz poszła do szkoły i ubłagała ojca Wasilija, żeby przyjął syna z powrotem. Od tej pory Pawka znienawidził popa całą duszą. Nienawidził i bał się go. Nikomu nie przebaczał swoich drobnych krzywd, dobrze zapamiętał sobie niezasłużone lanie – zaciął się, przyczaił.

Dużo jeszcze drobnych krzywd doznał chłopiec od ojca Wasilija: pop wyrzucał go za drzwi, w ciągu całych tygodni za byle co stawiał do kąta i ani razu nie pytał go na lekcji i dlatego przed Wielkanocą Pawka musiał razem z najsłabszymi uczniami zdawać egzamin w domu u popa. Właśnie tam, w kuchni, wsypał Pawka machorki do świątecznego ciasta.

Nikt tego nie widział, a jednak pop od razu poznał, czyja to sprawka.

Lekcja się skończyła, dziatwa wysypała się na podwórze

i obstąpiła Pawkę. Chłopiec ponuro milczał. Sierożka Bruzżak nie wychodził z klasy, czuł, że i on jest winien, ale w niczym nie mógł pomóc koledze.

Przez otwarte okno pokoju nauczycielskiego wysunęła się głowa kierownika szkoły Jefrema Wasiljewicza i na dźwięk jego głębokiego basu Pawka drgnął.

– Przyślijcie mi tu zaraz Korczagina! – krzyknął.

Pawka z mocno bijącym sercem poszedł do pokoju nauczycielskiego.

Dzierżawca bufetu na stacji kolejowej, człowiek w podeszłym wieku, blady, o bezbarwnych, wyblakłych oczach, obrzucił przelotnym spojrzeniem stojącego z boku Pawkę.

– Ile ma lat?

– Dwanaście – odpowiedziała matka.

– No cóż, może zostać. Warunki takie: osiem rubli miesięcznie i wikt w dni pracy, dobę pracować, dobę w domu – i żeby mi nie kradł.

– Co też pan mówi! On kraść nie będzie, za to ręczę – rzekła z przestrachem matka.

– No to niech zacznie pracować już od dziś – rozkazał gospodarz i zwróciwszy się do stojącej obok niego za ladą bufetowej poprosił: – Zina, zaprowadź chłopca do zmywalni, powiedz Frosieńce, żeby dała mu robotę na miejsce Griszki.

Bufetowa rzuciła nóż, którym krajała wędlinę, i skinąwszy na Pawkę poszła przez salę, kierując się ku bocznym drzwiom prowadzącym do zmywalni. Pawka ruszył za nią. Matka dreptała z tyłu, szepcząc mu pośpiesznie:

– Postarajże się. Pawłuszka, nie zrób mi wstydu...

I odprowadziwszy syna smutnym wzrokiem, poszła ku wyjściu.

W zmywalni robota szła na całego: na stole piętrzyła się góra talerzy, widelców, noży i kilka kobiet wycierało je przerzuconymi przez ramię ścierkami.

Rudy, rozczochrany chłopiec, nieco starszy od Pawki, krzątał się przy dwóch ogromnych samowarach.

Zmywalnia była pełna pary, unoszącej się z dużego cebra z wrzątkiem, gdzie myto naczynia, i Pawka z początku nie mógł rozróżnić twarzy pracujących tu kobiet. Stał nie wiedząc, co ma robić i gdzie się podziać.

Bufetowa Zina podeszła do jednej z pomywaczek i ująwszy ją za ramię, powiedziała:

– Frosieńka, to jest nowy chłopiec na miejsce Griszki. Wytłumacz mu, co ma robić.

Zina zwróciła się do Pawki i wskazując kobietę, którą przed chwilą nazwała Frosieńką, rzekła:

– Ona jest tutaj starszą. Co ci powie, to masz robić. – Odwróciła się i poszła do bufetu.

– Dobrze – cicho odrzekł Pawka i spojrzał pytająco na stojącą przed nim Frosię. Ta ocierając pot z czoła omiotła go spojrzeniem z góry na dół, jakby chciała ocenić jego walory, i zakasując rękaw, który się jej zsunął z łokcia, rzekła dziwnie przyjemnym, niskim głosem:

– Praca twoja, kochasiu, będzie łatwa: ten oto kocioł zagrzejesz, znaczy się rankiem, żebyś zawsze miał tam gorącą wodę; oczywiście musisz narąbać drew, potem te oto samowary to też twoja robota; potem, jeśli trzeba, będziesz czyścił nożyki, widelczyki, no i wynosił pomyje. Roboty dla ciebie, kochasiu, starczy, spocisz się – mówiła w gwarze kostromskiej z akcentem na „a" i od tej gwary oraz rumianej twarzy z zadartym noskiem zrobiło się Pawce jakoś raźniej.

„Widać, że ta ciocia niczego sobie" – zadecydował w duchu i ośmielony zwrócił się do Frosi:

– A co mam teraz robić, ciociu?

Powiedział i stropił się. Głośny śmiech pracujących w zmywalni kobiet zagłuszył jego ostatnie słowa.

– Cha-cha-cha!... Frosieńka zdobyła sobie już siostrzeńca...

– Cha-cha!... – śmiała się najgłośniej sama Frosia.

Poprzez kłęby pary Pawka nie mógł dobrze przyjrzeć się jej twarzy, a Frosia miała dopiero osiemnaście lat.

Całkiem już zmieszany zwrócił się do chłopca i spytał:

– Co mam teraz robić?

Ale i chłopiec w odpowiedzi tylko zachichotał:

– Cioci spytaj, ona ci wszystko wyklaruje, a ja tu jestem czasowo. – I odwróciwszy się wybiegł do kuchni.

– Chodź tutaj, pomóż wycierać widelce – usłyszał Pawka głos jednej z pracownic, niemłodej już pomywaczki. – Czego rżycie? Cóż takiego chłopaczyna powiedział? Masz – podała Pawce ścierkę – bierz jeden koniec w zęby, a drugi naciągnij brzegiem do góry. No i czyść widelczyk ząbek po ząbku, przesuwając go tam i z powrotem; tylko tak, żeby na nim ani okruszynki nie zostało. U nas bardzo surowo na to patrzą. Goście przyglądają się widelcom i jeżeli zauważą brud – kiepsko: gospodyni zaraz przepędzi.

– Jak to gospodyni? – nie zrozumiał Pawka. – Przecież tutaj gospodarzem jest ten, co mnie przyjmował.

Pomywaczka roześmiała się:

– Gospodarz nasz, synku, to jakby mebel, po prostu ciemięga. Głową tutaj jest gospodyni. Dzisiaj jej nie ma. Popracujesz – zobaczysz.

Drzwi od zmywalni otworzyły się i weszło trzech kelnerów ze stertami brudnych naczyń.

Jeden z nich, barczysty, zezowaty, o wielkiej kwadratowej twarzy, rzekł:

– Ruszajcie się żwawiej. Dochodzi dwunasta, zaraz przyjdzie pociąg, a wy się grzebiecie.

Patrząc na Pawkę zapytał:

– A to kto?

– To nowy – odparła Frosia.

– A, nowy – rzekł. – Więc tak – jego ciężka ręka opadła na ramię Pawki i popchnęła go ku samowarom – muszą być zawsze gotowe, a jak widzisz – jeden wygasł, a drugi ledwo

zipie. Dzisiaj to ci ujdzie na sucho, ale jeśli jutro się to powtórzy, dostaniesz po mordzie! Zrozumiałeś?

Pawka bez słowa wziął się do samowarów.

Tak zaczęła się jego praca. Nigdy Pawka nie starał się tak, jak w ten swój pierwszy roboczy dzień. Zrozumiał: tutaj nie dom, gdzie można matki nie posłuchać. Zezowaty wyraźnie zapowiedział, że jeżeli nie posłucha – w mordę.

Wylatywały snopem iskry z brzuchatych czterowiadrowych samowarów, gdy Pawka rozdmuchiwał je, naciągnąwszy na rurę zdjęty z nogi but. Chwytając wiadra z pomyjami biegł z nimi do ścieku, podkładał drwa pod kocioł z wodą, suszył na kipiących samowarach mokre ścierki, robił wszystko, co mu kazano. Późnym wieczorem, zmęczony, zeszedł na dół, do kuchni. Stara pomywaczka Anisja spojrzawszy na drzwi, za którymi zniknął Pawka, powiedziała:

– Ten chłopak jakiś pomylony: miota się jak opętany. Nie z dobrego życia, widać, posłali go do roboty.

– Tak, chłopak obrotny – rzekła Frosia – takiego popędzać nie trzeba.

– Rychło mu to ganianie obrzydnie – wtrąciła Łusza – wszyscy się z początku starają...

O siódmej rano, zmordowany bezsenną nocą i bezustanną bieganiną, Pawka przekazał samowary swej zmianie – pucołowatemu smarkaczowi o bezczelnych oczkach.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku i że woda w samowarach się gotuje, chłopak wsunął ręce w kieszenie, strzyknął przez zwarte zęby śliną, z miną pogardliwej wyższości spojrzał na Pawkę białorzęsymi oczami i rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Ej, ty gapo! Jutro przychodź o szóstej na zmianę.

– Dlaczego o szóstej? – zapytał Pawka. – Przecież zmieniają się o siódmej.

– Kto się zmienia, niech się zmienia, a ty przychodź o szóstej. Będziesz dużo szczekać, to cię zaraz w gębę zamaluję. Widzisz go, ważniak, dopiero co nastał, a już się stawia.

Pomywaczki, po przekazaniu roboty drugiej zmianie, z zaciekawieniem śledziły rozmowę dwóch chłopców. Zuchwały ton i wyzywające zachowanie się młokosa rozzłościły Pawkę. Posunął się krok naprzód, gotów wlepić luzującemu go chłopakowi potężnego kuksańca, powstrzymała go jednak obawa, że już pierwszego dnia zostanie wypędzony z pracy. Twarz mu pociemniała z gniewu i powiedział:

– Wolnego, nie zaczepiaj, bo oberwiesz. Jutro przyjdę o siódmej, a bić się umiem nie gorzej od ciebie; jeśli chcesz spróbować – proszę.

Przeciwnik cofnął się o krok w stronę kotła i ze zdziwieniem patrzał na wzburzonego Pawkę. Nie spodziewał się takiej kategorycznej odprawy i nieco się stropił.

– No dobrze, zobaczymy – mruknął.

Pierwszy dzień przeszedł pomyślnie i Pawka szedł do domu z uczuciem człowieka, który uczciwie zapracował na odpoczynek. Teraz on też pracuje i nikt mu nie powie, że jest darmozjadem.

Poranne słońce leniwie wynurzało się spoza zabudowań tartaku. Niebawem ukaże się domek Pawki. Tutaj, zaraz za willą Leszczyńskiego.

„Matka na pewno już nie śpi, a ja wracam z pracy – myślał Pawka i poszedł szybciej, pogwizdując. – Niewielkie to w końcu nieszczęście, że wyleli mnie ze szkoły. I tak przeklęty pop nie dałby mi żyć, a teraz gwiżdżę na niego – rozmyślał Pawka zbliżając się do domu; otwierając furtkę jeszcze sobie przypomniał: – A temu bielasowi koniecznie muszę skuć mordę, koniecznie".

Matka krzątała się na podwórzu przy samowarze. Ujrzawszy syna zapytała z niepokojem:

– No jak?

– Dobrze – odparł Pawka.

Matka chciała go o czymś uprzedzić. Zrozumiał – przez otwarte okno pokoju widać było szerokie plecy brata Artioma.

– Co, Artiom przyjechał? – zapytał zmieszany.

– Przyjechał wczoraj i zostanie tu. Będzie pracował w parowozowni.

Pawka niezbyt pewnie otworzył drzwi do pokoju.

Ogromna postać siedząca przy stole tyłem do niego obróciła się i na Pawkę spod gęstych, czarnych brwi spojrzały surowe oczy brata.

– A, przyszedłeś, machorkowiczu? No, no, ładnieś się spisał!

Rozmowa z przybyłym bratem nie wróżyła Pawce nic przyjemnego.

„Artiom już wie o wszystkim – pomyślał Pawka. – Artiom może i nawymyślać, i zbić".

Pawka bał się trochę Artioma.

Ale Artiom widocznie nie zamierzał go bić, siedział na stołku oparty łokciami o stół i patrzył na Pawkę uporczywym wzrokiem – ni to drwiąco, ni to pogardliwie.

– Więc powiadasz, że uniwersytet już ukończyłeś, wszystkie mądrości zjadłeś i teraz wziąłeś się do pomyj? – rzekł Artiom.

Wlepiwszy oczy w popękaną deskę podłogi, Pawka uważnie badał wystającą główkę gwoździa. Ale Artiom wstał od stołu i poszedł do kuchni.

„Obejdzie się widać bez łania" – z ulgą odetchnął Pawka.

Podczas picia herbaty Artiom spokojnie rozpytywał Pawkę o to, co zaszło w szkole.

Pawka wszystko opowiedział.

– I co z ciebie wyrośnie, jeśli już teraz robisz się takim łobuzem? – powiedziała ze smutkiem matka. – I co z nim robić? W kogo on się wdał? Mój Boże, ile ja się z tym smarkaczem namęczyłam! – biadała.

Artiom odsunął od siebie pustą filiżankę i zwrócił się do Pawki:

– A więc słuchaj, bratku. Skoro już tak się stało, miej się teraz na baczności, na robocie żadnych sztuczek nie urządzaj

i spełniaj wszystko jak należy; jeżeli i stamtąd cię wygonią, to tak się z tobą rozprawię, że się nie pozbierasz. Zapamiętaj to sobie. Dosyć tego szarpania matki. Czego tylko się, diabeł, tknie, wszędzie coś naplącze, wszędzie nabroi. Ale teraz koniec. Popracujesz roczek – poproszę, żeby cię wzięli na naukę do warsztatów, bo przy tych pomyjach nie wyrośniesz na człowieka. Trzeba się uczyć rzemiosła. Teraz jesteś jeszcze za mały, ale za rok poproszę – może przyjmą. Przenoszę się tutaj i tu będę pracować. Mama nie będzie więcej służyć. Dość tego zginania karku przed wszelkim draństwem, ale ty, Pawka, uważaj, bądź człowiekiem.

Wstał, wyprostował się, wysoki, ogromny, włożył wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i rzucił matce:

– Wyjdę na godzinkę coś załatwić. – I schyliwszy się w drzwiach, wyszedł.

Już na podwórzu, przechodząc koło okna, rzekł:

– Przywiozłem dla ciebie buty i szyzoryk, mama ci da.

Bufet na dworcu czynny był bez przerwy całą dobę.

Węzeł kolejowy łączył sześć linii. Dworzec był zatłoczony ludźmi i cichł jedynie na dwie, trzy godziny w nocy, w przerwie między dwoma pociągami. Tu, na stacji, spotykały się i rozjeżdżały w różne strony setki transportów wojskowych. Szły z frontu na front. Stamtąd przybywały z okaleczonymi, pokiereszowanymi żołnierzami, a tam ciągnęły z potokiem nowych ludzi w szarych jednakowych szynelach.

Dwa lata kręcił się Pawka przy tej robocie. Kuchnia i zmywalnia – oto wszystko, co widział w ciągu tych dwóch lat. W ogromnej kuchni w suterenie wrzała gorączkowa praca. Pracowało tam z górą dwudziestu ludzi. Dziesięciu kelnerów uwijało się między bufetem a kuchnią.

Pawka dostawał już nie osiem, lecz dziesięć rubli. Wyrósł przez te dwa lata, zmężniał. Wiele udręk zniósł w tym czasie. Wędził się przez pół roku w kuchni jako kuchcik, wyle-

ciał stamtąd z powrotem do zmywalni – przepędził go wszechmocny szef: nie spodobał mu się hardy chłopak; tylko patrzeć, jak żgnie nożem za bicie w zęby. Dawno już przepędzono by go za to z pracy, lecz uratowała Pawkę niezmożona pracowitość. Potrafił pracować więcej niż wszyscy, był niezmordowany.

W godzinach gorączkowego ruchu w bufecie latał jak opętany z tacami, skacząc po kilka stopni na dół do kuchni i z powrotem.

Po nocach, gdy ustawał rwetes w obu salach bufetowych, w spiżarniach na dole przy kuchni zbierali się kelnerzy. Zaczynała się namiętna gra hazardowa: w „oczko" i w „dziewiątkę". Pawka nieraz widział leżące na stołach banknoty. Nie dziwiła go taka ilość pieniędzy, wiedział, że każdy z nich w ciągu doby swego dyżuru zbierał napiwku ze trzydzieści, czterdzieści rubli. Dostawali po półrubelku i po rubelku. A potem upijali się i rżnęli w karty. Wściekał się na nich Pawka.

„Hołota przeklęta! – myślał. – Taki Artiom, pierwszorzędny ślusarz, a zarabia miesięcznie czterdzieści osiem rubli, ja – dziesięć, a oni tyle zgarniają w ciągu doby – i za co? Przyniesie – odniesie. Przepijają i przegrywają".

Uważał kelnerów, tak samo jak gospodarzy, za ludzi obcych, wrogich. „Oni tu, dranie, za lokajów, a ich żony i synkowie żyją w miastach jak bogacze".

Przyprowadzali swoich synalków w gimnazjalnych mundurkach, przyprowadzali i rozbuchane od dobrego życia żony. „A pieniędzy mają bodaj więcej od tych gości, którym się wysługują" – myślał Pawka. Nie dziwił się również temu, co działo się po nocach w zakamarkach kuchni i w magazynach; dobrze wiedział, iż żadna pomywaczka i żadna bufetowa nie zagrzeje miejsca tutaj, jeżeli nie sprzeda się za kilka rubli każdemu, kto ma tu władzę i siłę.

Zajrzał Pawka w głąb życia, na samo jego dno, i jakby

ze studni powiało stamtąd cuchnącą pleśnią, bagienną wilgocią, a tak łaknął wszystkiego, co nowe, nieznane.

Nie udało się Artiomowi umieścić brata w warsztatach jako ucznia: nie przyjmowano tam chłopców poniżej piętnastu lat. Pawka wyczekiwał dnia, kiedy stąd wyjdzie, ciągnęło go do wielkiego, murowanego, zakopconego budynku.

Bardzo często bywał tam u Artioma, razem z nim oglądał wagony i starał się w jakiś sposób być mu pomocnym.

Zrobiło się szczególnie smutno, gdy odeszła z pracy Frosia. Nie było już roześmianej, wesołej dziewczyny i Pawka tym silniej odczuł, jak bardzo się z nią zaprzyjaźnił. Gdy przychodził rano do zmywalni i słuchał swarliwych wrzasków uciekinierek, doznawał uczucia pustki i osamotnienia.

Podczas nocnej przerwy, podkładając drew do paleniska pod kotłem, Pawka kucnął przed otwartymi drzwiczkami: zmrużywszy oczy patrzył w ogień – przyjemne ciepło buchało z pieca. W zmywalni nie było nikogo.

Wrócił myślami do tego, co było tak niedawno, do Frosi, i przed oczyma przesunął się wyraźnie pewien obraz.

W sobotę, podczas nocnej przerwy, Pawka schodził po schodach do kuchni. Na zakręcie wlazł z ciekawości na sąg drew, by zajrzeć do spiżarni, gdzie zazwyczaj zbierali się gracze.

Gra szła na całego. Purpurowy z podniecenia Zeliwanow trzymał bank.

Na schodach rozległy się kroki. Chłopak obejrzał się: z góry schodził Prochoszka; Pawka wsunął się pod schody, czekając, aż tamten przejdzie do kuchni. Pod schodami było ciemno i Prochoszka nie mógł go widzieć.

Prochoszka skręcił na dół i Pawka widział jego szerokie plecy i dużą głowę. Z góry jeszcze ktoś zbiegał szybkim, lekkim krokiem i Pawka usłyszał znajomy głos:

– Prochoszka, poczekaj.

Prochoszka zatrzymał się, obejrzał i popatrzył w górę.

– Czego chcesz? – burknął.

Kroki na schodach rozległy się niżej i Pawka poznał Frosię.

Wzięła kelnera za rękaw i rzekła łamiącym się, zdławionym głosem:

– Prochoszka, gdzież są te pieniądze, które ci dał porucznik?

Prochor szorstko wyrwał rękę.

– Co? Pieniądze? A czy ci nie dałem? – powiedział ostro, ze złością.

– Ale on przecież dał ci trzysta rubli. – W głosie Frosi słychać było stłumione łkanie.

– Trzysta rubli, powiadasz? – odparł zjadliwie Prochoszka. – Więc ty chcesz je otrzymać? Czy to aby nie za drogo, dobrodziejko, jak na pomywaczkę? Myślę, że wystarczy i te pięćdziesiąt, które ci dałem. Myślałby kto, wielkie szczęście! Nie takim kobietkom, i do tego jeszcze z wykształceniem, też się tyle nie płaci. Podziękuj i za to – jedną nockę przespać i pięćdziesiąt rubelków złapać. Nie ma głupich. Dziesiątkę, dwie jeszcze ci dołożę i basta, a jak nie będziesz durna – jeszcze sobie dorobisz, zrobię ci protekcję. – I rzuciwszy ostatnie słowa Prochoszka odwrócił się i poszedł do kuchni.

– Łajdak, gad! – krzyknęła za nim Frosia i oparłszy się o drwa, załkała głucho.

Nie sposób oddać, nie sposób wyrazić uczuć, jakie owładnęły Pawką, gdy słuchał tej rozmowy i stojąc w ciemnościach pod schodami widział rozdygotaną Frosię, jak biła głową o polana. Nie zdradził Pawka swej obecności, milczał trzymając się kurczowo żelaznych podpórek schodów, a przez głowę przemknęło jasno, wyraźnie:

„I tę sprzedali, łotry. Ech, Frosiu, Frosiu!..."

Ogarnęła go jeszcze głębsza i silniejsza nienawiść do Prochoszki; całe otoczenie obmierzło mu i stało się nienawistne.

„Ach, gdybym był silny, zatłukłbym tego łajdaka na śmierć! Czemu nie jestem duży i mocny jak Artiom?"

Płomyki w piecu zapalały się i gasły, drgały ich czerwone języki splatając się w długą, błękitnawą, wijącą się smugę; Pawce się zdawało, że ktoś drwiąc, szydząc pokazuje mu język.

W izbie panowała cisza, tylko czasem trzaskało w palenisku i z kranu dochodził miarowy plusk kropel.

Klimka postawił na półce ostatni, do połysku wyczyszczony rondel i wycierał ręce. W kuchni nie było nikogo. Dyżurny kucharz i personel kuchenny spali w szatni. Na trzy nocne godziny kuchnię zalegała cisza i czas ten Klimka zawsze spędzał na górze u Pawki. Kuchcik zaprzyjaźnił się na dobre z czarnookim palaczem. Gdy przyszedł na górę, Klimka ujrzał Pawkę siedzącego w kucki przed otwartym paleniskiem. Pawka dostrzegł na ścianie cień znajomej, kudłatej głowy i rzekł nie odwracając się:

– Siadaj, Klimka.

Kuchcik wlazł na ułożone pod piecem polana, wyciągnął się, popatrzył na siedzącego w milczeniu Pawkę i zagadnął go z uśmiechem:

– Cóż ty, wróżysz sobie z ognia?

Pawka z trudem oderwał wzrok od ognistych języków. Na Klimkę spoglądało dwoje wielkich, błyszczących oczu. Dostrzegł w nich Klimka niewysłowiony smutek. Po raz pierwszy ujrzał ten smutek w oczach kolegi.

– Jakiś dziwny jesteś dzisiaj, Pawka... – I po chwili milczenia zapytał: – Co ci się stało?

Pawka wstał i usiadł obok Klimki.

– Nic się nie stało – odparł głuchym głosem. – Ciężko mi tutaj, Klimka. – I ręce leżące na kolanach zacisnęły mu się w pięści.

– Co cię dzisiaj napadło? – ciągnął Klimka unosząc się na łokciach.

– Dzisiaj napadło, powiadasz? Zawsze napadało, odkąd

dostałem tutaj pracę. Popatrz tylko, co się tu wyrabia! Pracujemy jak wielbłądy, a na podziękowanie kto chce, bije cię w zęby i nikt się za nami nie ujmie. Nas obu do pracy godzili gospodarze, a bić ma prawo każdy, byle miał siłę. Choćbyś się rozerwał, wszystkim naraz nie dogodzisz, a komu nie dogodzisz, ten cię spierze. Starasz się ze wszystkich sił, żeby robić jak należy, żeby nikt się nie mógł przyczepić, rzucasz się na wszystkie strony, ale niech ktoś czegoś nie dostanie w porę – od razu po łbie...

Klimka przerwał przestraszony:

– Nie krzycz tak, bo jeszcze ktoś wejdzie i usłyszy.

Pawka zerwał się.

– Niech usłyszy, i tak stąd odejdę. Lepiej już zgarniać śnieg z torów, a tutaj... grób, łajdak na łajdaku siedzi. Ile każdy z nich ma pieniędzy! Nas za bydło mają, z dziewczętami robią, co chcą, trafi się porządna, nie ulega, w mig przepędzą. Gdzie takie się podzieją? Przyjmują uciekinierki bezdomne, głodne. Te dla chleba trzymają się tej służby, tutaj przynajmniej można sobie podjeść, i z głodu idą na wszystko.

Mówił z taką złością, że Klimka obawiając się, by ktoś nie usłyszał ich rozmowy, zerwał się i zamknął drzwi wiodące do kuchni, a Pawka wciąż mówił o tym, co wezbrało mu w duszy.

– A ty, Klimka, milczysz, gdy cię biją. Czemu milczysz?

Pawka siadł na taborecie przy stole i znużony oparł głowę na dłoni. Klimka dorzucił drew do ognia i też usiadł przy stole.

– Nie będziemy dziś czytać? – zapytał Pawki.

– Nie ma książki – odparł Pawka – kiosk zamknięty.

– Co, to nie sprzedaje dzisiaj? – zdziwił się Klimka.

– Sprzedawcę zabrali żandarmi. Coś tam u niego znaleźli – odpowiedział Pawka.

– Za co?

– Mówią, że za politykę.

Klimka spojrzał pytająco na Pawkę.

– A co to jest ta polityka?

Pawka wzruszył ramionami.

– Diabli wiedzą! Powiadają, że jeżeli ktoś przeciwko carowi występuje, to to się nazywa polityka.

Klimka poderwał się wystraszony.

– A są tacy?

– Nie wiem – odrzekł Pawka.

Drzwi się otworzyły i do zmywalni weszła zaspana Głasza.

– A czemu to, chłopaki, nie śpicie? Można się jeszcze z godzinkę zdrzemnąć, póki nie ma pociągu. Idź, Pawka, ja popilnuję kotła.

Służba Pawki skończyła się wcześniej, niż się spodziewał, i skończyła się w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Pewnego mroźnego styczniowego dnia kończył Pawka swoją pracę i wybierał się do domu, ale chłopca, który miał go zmienić, nie było. Pawka poszedł do gospodyni i oznajmił, że odchodzi do domu, ale ta go nie zwalniała. Musiał zmęczony Pawka harować drugą dobę i gdy zapadła noc, był zupełnie bez sił. Podczas przerwy trzeba było napełnić kotły wodą, by się zdążyła zagotować do przyjścia pociągu o trzeciej.

Pawka odkręcił kran – woda nie szła. Widocznie pompa przestała działać. Zostawił kran odkręcony, a sam położył się na polanach i od razu zasnął: zmogło go zmęczenie.

Po kilku minutach kran zabulgotał, zasyczał i woda polała się do zbiornika, zapełniła go po brzegi i pociekła po kaflach na podłogę zmywalni, w której, jak zwykle o tej porze, nie było nikogo. Wody przybywało coraz więcej. Zalała podłogę i przesączyła się pod drzwiami na salę.

Strumyczki wdzierały się pod pakunki i walizki śpiących pasażerów. Nikt tego nie spostrzegł i dopiero gdy woda zalała leżącego na podłodze pasażera, a ten zerwał się z krzy-

kiem, wszyscy rzucili się do swoich tobołków. Powstał popłoch.

A wody wciąż przybywało i przybywało.

Prochoszka, który sprzątał ze stołu w drugiej sali, usłyszał krzyki pasażerów. Przesadzając kałuże podbiegł do drzwi i rozwarł je na oścież. Powstrzymywana przez zamknięte drzwi woda wtargnęła potokiem do sali.

Krzyki wzmogły się. Do zmywalni wbiegli dyżurni kelnerzy. Prochoszka skoczył ku śpiącemu Pawce.

Jak grad posypały się razy na głowę całkiem ogłupiałego z bólu chłopca.

Wyrwany znienacka ze snu, nic nie rozumiał. W oczach migotały mu ogniste błyskawice i piekący ból przeszywał całe ciało.

Pobity chłopiec ledwie dowlókł się do domu.

Rankiem Artiom, pochmurny, zasępiony, wypytywał Pawkę, co się stało.

Pawka opowiedział wszystko tak, jak było.

– Kto cię bił? – głucho spytał Artiom.

– Prochoszka.

– Dobrze, leż.

Artiom wdział kożuch i wyszedł bez słowa.

– Czy mogę się zobaczyć z kelnerem Prochorem? – zapytał Głaszę nieznajomy robotnik.

– Zaraz przyjdzie, zaczekajcie – odpowiedziała.

Ogromna postać oparła się o futrynę drzwi.

– Dobrze, zaczekam.

Prochor, niosąc na tacy całą furę naczyń, pchnął nogą drzwi i wszedł do zmywalni.

– To właśnie on – powiedziała Głasza wskazując Prochora.

Artiom postąpił krok naprzód i ciężko opuściwszy rękę na ramię kelnera, spytał patrząc mu prosto w oczy:

– Za coś bił mojego brata, Pawkę?

Prochor chciał uwolnić ramię, lecz straszny cios pięścią zwalił go na podłogę; próbował wstać, lecz drugi cios, jeszcze straszliwszy od pierwszego, przygwoździł go do podłogi.

Wystraszone pomywaczki odskoczyły w bok.

Artiom odwrócił się i poszedł ku drzwiom.

Prochoszka z twarzą pobitą do krwi wił się na podłodze.

Wieczorem Artiom nie wrócił z warsztatów.

Matka dowiedziała się: Artiom siedzi w areszcie.

Po sześciu dniach Artiom powrócił wieczorem, gdy matka już spała. Podszedł do siedzącego na łóżku Pawki i serdecznie spytał:

– No jak, wydobrzałeś już, braciszku? – Usiadł przy nim. – Bywa i gorzej. – I dodał po chwili: – Nie martw się, pójdziesz do elektrowni, już o tobie mówiłem. Tam nauczysz się fachu.

Pawka mocno oburącz ścisnął ogromną rękę Artioma.

o małego miasteczka jak wicher wtargnęła oszałamiająca wieść: „Zrzucono cara!"

W miasteczku nie chciano wierzyć.

Z pociągu, który przywlókł się podczas zamieci, wyskoczyli na peron dwaj studenci w szynelach, z karabinami przewieszonymi przez ramię, oraz oddział zbuntowanych żołnierzy z czerwonymi opaskami na rękawach. Aresztowali żandarmów pełniących służbę na stacji, starego pułkownika i dowódcę garnizonu. I w miasteczku uwierzono. Tysiące ludzi pociągnęło zaśnieżonymi ulicami w stronę placu.

Chciwie słuchali nowych słów: wolność, równość, braterstwo. Minęły dni pełne gwaru, podniecenia i radości. Nastała cisza i tylko czerwony sztandar nad budynkiem magistratu, w którym panoszyli się mieńszewicy i bundowcy, świadczył o tym, że zaszły tu jakieś zmiany. Poza tym wszystko zostało po staremu.

Pod koniec zimy rozkwaterował się w miasteczku gwardyjski pułk kawalergardów. Rankami przyjeżdżały na stację szwadrony, by wyławiać dezerterów zbiegłych z południowo-zachodniego frontu.

Kawalergardzi mieli spasione twarze. Chłopy jak dęby, rośli i mocni. Oficerowie, przeważnie hrabiowie i książęta, nosili złote epolety, srebrne wypustki na rajtuzach, wszystko jak za cara – jak gdyby wcale nie było rewolucji.

Dla Pawki, Klimki i Sieriożki Bruzżaka nic się nie zmieniło. Pracodawcy byli ci sami, co dawniej. Dopiero w słotne

dni listopadowe zaczęło dziać się coś dziwnego. Na dworcu kręciło się coraz więcej nowych ludzi, przeważnie żołnierzy z okopów, o dziwnym przezwisku „bolszewicy".

Skąd się wzięła taka nazwa, mocna, ważka – nikt tego nie wiedział.

Niełatwo było gwardzistom zatrzymywać dezerterów. Coraz częściej sypały się od karabinowej strzelaniny szyby na dworcu. Żołnierze uciekali z frontu całymi grupami, a gdy usiłowano ich zatrzymać, bronili się bagnetem. W początkach grudnia napływali już całymi transportami.

Gwardziści zapełnili dworzec, sądząc, że zatrzymają transporty, lecz oszołomił ich terkot karabinów maszynowych. Z wagonów wysypywali się ludzie nawykli do zaglądania śmierci w oczy.

Szarzy żołnierze frontowi przepędzili gwardzistów do miasta. Przepędzili, wrócili na dworzec i ruszyli w dalszą drogę, transport za transportem.

Na wiosnę tysiąc dziewięćset osiemnastego roku wracali trzej przyjaciele od Sierioży Bruzżaka, u którego rżnęli w „sześćdziesiąt sześć". Po drodze wstąpili do ogródka Korczagina. Położyli się na trawie. Nudzili się. Wszystkie codzienne zajęcia im się sprzykrzyły. Zaczęli się zastanawiać, jakby tu przyjemnie spędzić dzionek. Za plecami rozległ się tętent kopyt końskich i na drogę wypadł jeździec. Koń jednym susem przesadził rów oddzielający szosę od niskiego płotu. Jeździec machnął nahajką w stronę leżących, Pawki i Klimki.

– Hej, chłopcy, do mnie!

Pawka i Klimka zerwali się na równe nogi i pobiegli do płotu. Jeździec był cały pokryty kurzem, gruba warstwa szarego przydrożnego pyłu pokrywała zsuniętą na tył głowy czapkę, bluzę polową ochronnego koloru i takież spodnie.

Na mocnym żołnierskim rzemieniu wisiał nagan i dwa niemieckie granaty ręczne.

– Przynieście, chłopcy, wody do picia! – poprosił jeździec i gdy Pawka pobiegł do domu po wodę, zwrócił się do Sieriożki, który wytrzeszczał na niego oczy: – Powiedz, chłopcze, jaka władza jest w mieście?

Sieriożka zaczął pośpiesznie opowiadać wszystkie miejskie nowiny:

– Od dwóch tygodni nie ma już żadnej władzy. Sami jesteśmy władzą. Wszyscy mieszkańcy kolejno pilnują w nocy miasta. A wy co za jedni? – Z kolei zapytał Sieriożka.

– Jak za dużo będziesz wiedział, prędko się zestarzejesz – z uśmiechem odparł jeździec.

Z domu biegł Pawka niosąc kubek wody.

Jeździec chciwie, duszkiem wypił wodę, zwrócił kubek Pawce, szarpnął cugle i, ruszając z miejsca cwałem, pomknął na skraj sosnowego lasu.

– Kto to był? – ze zdumieniem spytał Pawka Klimki.

– A bo ja wiem? – odparł tamten wzruszając ramionami.

– Z pewnością znów będzie zmiana władzy. Dlatego też Leszczyńscy wczoraj wyjechali. A skoro bogaci wieją, to znaczy, że przyjdą partyzanci – ostatecznie i stanowczo rozstrzygnął tę polityczną kwestię Sieriożka.

Argumenty jego były tak przekonywające, że Pawka i Klimka od razu się z nim zgodzili.

Nie zdążyli chłopcy należycie o tym pogadać, gdy na szosie zadudniły kopyta. Wszyscy trzej skoczyli do płotu.

Z lasu, spoza leśniczówki ledwie widocznej dla chłopców, ciągnęli ludzie, wozy, a niedaleko na szosie ukazało się z piętnastu jeźdźców z karabinami w poprzek siodeł. Na czele dwóch jeźdźców: jeden – starszy, w polowym frenczu, ściągniętym oficerskim pasem, z lornetką na piersiach, a obok niego – ten, który dopiero co rozmawiał z chłopcami. Starszy miał na frenczu czerwoną kokardę.

– A co, nie mówiłem? – Sieriożka szturchnął łokciem w bok Pawkę. – Widzisz, czerwona kokarda. Partyzanci. Niech skonam, jeżeli to nie partyzanci... – I z okrzykiem radości, jak ptak, przeleciał przez płot na drogę.

Obaj przyjaciele zrobili to samo. Wszyscy trzej stali teraz na skraju szosy i patrzyli na zbliżających się.

Jeźdźcy podjechali już zupełnie blisko. Ten, którego chłopcy już znali, skinął na nich i wskazując nahajką dom Leszczyńskich zapytał:

– Kto mieszka w tym domu?

Pawka, starając się dotrzymać kroku koniowi, opowiadał:

– Tu mieszka adwokat Leszczyński. Wczoraj zwiał. Widać zląkł się was.

– A ty skąd wiesz, cośmy za jedni? – rzekł z uśmiechem starszy.

Pawka wskazując kokardę odparł:

– A to co? Od razu widać...

Mieszkańcy wylegli na ulicę, z zaciekawieniem przypatrując się wkraczającemu do miasta oddziałowi. Nasza trójka stała na skraju szosy i też przyglądała się zakurzonym, zmęczonym czerwonogwardzistom.

Gdy zadudniła po kamieniach jedyna w oddziale armata i przejechały wózki z karabinami maszynowymi, chłopcy ruszyli za partyzantami i rozeszli się do domów dopiero wtedy, gdy oddział zatrzymał się w centrum miasteczka i zaczął zajmować kwatery.

Wieczorem w dużym salonie domu Leszczyńskich, gdzie stanął sztab oddziału, przy wielkim stole o rzeźbionych nogach siedziało czterech mężczyzn: trzech z naczelnego dowództwa oraz dowódca oddziału, towarzysz Bułhakow – mężczyzna w starszym wieku, szpakowaty.

Bułhakow, rozłożywszy na stole mapę guberni, wodził po niej paznokciem kreśląc linie i mówił do siedzącego naprzeciw człowieka o wydatnych kościach policzkowych i mocnych zębach:

– Powiadasz, towarzyszu Jermaczenko, że tu trzeba się będzie bić, a ja sądzę – że trzeba się będzie rano wycofać. Dobrze byłoby nawet w nocy, ale ludzie są zmęczeni. Nasze zadanie polega na tym, byśmy zdążyli cofnąć się na Koziatyn, zanim Niemcy tam dotrą. Stawiać opór naszymi siłami – to przecież śmieszne... Jedno działo i trzydzieści pocisków, dwieście bagnetów i sześćdziesiąt szabel – oto nasza potęga... Niemcy idą żelazną lawiną. Bić się będziemy mogli dopiero wtedy, gdy się połączymy z innymi, cofającymi się czerwonymi oddziałami. Przecie musimy, towarzyszu, brać pod uwagę to, że prócz Niemców spotkamy na swej drodze wiele rozmaitych band kontrrewolucyjnych. Moim zdaniem powinniśmy się wycofać już jutro rano po wysadzeniu w powietrze mostka za stacją. Zanim Niemcy go naprawią, miną dwa, trzy dni. Ich posuwanie się koleją będzie przez ten czas wstrzymane. Jak myślicie, towarzysze? No, zadecydujmy – zwrócił się do siedzących przy stole.

Siedzący na ukos od Bułhakowa Strużkow poruszył wargami, popatrzył na mapę, potem na Bułhakowa i wreszcie z trudem wykrztusił uwięzłe w gardle słowa:

– Ja... po... popieram Bułhakowa.

Najmłodszy, w bluzie roboczej, również się zgodził:

– Bułhakow słusznie mówi.

Jedynie Jermaczenko, ten, który w dzień rozmawiał z chłopcami, przecząco pokręcił głową.

– Po jakiego diabła w takim razie zbieraliśmy oddział? Żeby cofać się przed Niemcami bez walki? Według mnie powinniśmy tutaj stuknąć się z nimi. Obrzydło dawać ciągle drapaka... Gdyby ode mnie zależało, to bezwzględnie biłbym się tutaj. – Odsunął gwałtownym ruchem krzesło, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

Bułhakow spojrzał na niego z wyrzutem.

– Bić się trzeba z sensem, Jermaczenko. A rzucać ludzi na pewne rozgromienie i zagładę – tego robić nie możemy. To nawet śmieszne. Za nami wali cała dywizja z ciężką ar-

tylerią i samochodami pancernymi... Nie trzeba być dzieciannym, towarzyszu Jermaczenko... – I, zwracając się już do pozostałych, zakończył: – Więc postanowione – jutro rano odstępujemy... Następna kwestia dotyczy łączności – kontynuował naradę Bułhakow. – Ponieważ wycofujemy się ostatni, spoczywa na nas zadanie zorganizowania roboty na tyłach Niemców. Tu jest duży węzeł kolejowy, miasteczko ma dwa dworce. Musimy zatroszczyć się o to, żeby na stacji pracował pewny towarzysz. Decydujmy, kogo z naszych zostawić tutaj do zorganizowania roboty. Podawajcie kandydatów.

– Sądzę, że tutaj powinien zostać marynarz Żuchraj – rzekł Jermaczenko podchodząc do stołu. – Po pierwsze, Żuchraj pochodzi z tych stron, po drugie, jest ślusarzem i monterem – może się tak urządzić, żeby pracować na stacji. Nikt nie widział Fiodora z naszym oddziałem – przyjedzie dopiero w nocy. Chłop łebski i tutaj robotę poprowadzi. Według mnie to najodpowiedniejszy człowiek.

Bułhakow kiwnął głową.

– Słusznie, zgadzam się z tobą, Jermaczenko. Czy macie coś, towarzysze, przeciwko temu? – zwrócił się do pozostałych. – Nie. To znaczy sprawa załatwiona. Zostawiamy Żuchrajowi pieniądze i mandat na robotę... Teraz trzecia i ostatnia sprawa, towarzysze – powiedział Bułhakow. – Chodzi o broń znajdującą się w mieście. Jest tutaj cały skład karabinów – dwadzieścia tysięcy sztuk, pozostałych jeszcze z czasów carskiej wojny. Złożone są one w chłopskiej szopie i leżą tam przez wszystkich zapomniane. Oznajmił mi to chłop – właściciel stodoły. Chce się ich pozbyć... Zostawić tego składu Niemcom oczywiście nie można. Uważam, że trzeba go spalić. I to zaraz, żeby do jutra rana wszystko było gotowe. Tylko że podpalać tu jest niebezpiecznie: szopa stoi na krańcu miasta, wśród zagród biedniackich. Mogą zapalić się chłopskie zabudowania.

Tęgi, ze szczeciną dawno nie golonego zarostu Strużkow poruszył się:

– P... p... po co... podpalać? Ja... m... myślę roz... dać broń lud... ludności.

Bułhakow szybko obrócił się ku niemu:

– Rozdać, powiadasz?

– Słusznie. Zupełnie słusznie! – zawołał zachwycony Jermaczenko. – *Rozdać robotnikom i pozostałej ludności, kto tylko zechce.* Będzie przynajmniej czym prać Niemców, gdy przycisną do muru. Będą przecie mocno gnębić. A gdy już nie będzie można wytrzymać, chłopcy chwycą za broń. Strużkow słusznie powiedział: rozdać. Dobrze byłoby zawieźć i na wioskę. Chłopi schowają ją głęboko, a jak Niemcy zaczną rekwirować na całego, ho, ho, jak się te karabinki przydadzą!

Bułhakow się roześmiał:

– Tak, ale przecie Niemcy każą oddać broń i wszyscy ją odniosą.

– No, nie wszyscy. Jeden odda, drugi zatrzyma.

Bułhakow powiódł pytającym wzrokiem po siedzących.

– Rozdamy, rozdamy karabiny – poparł Jermaczenkę i Strużkowa młody robotnik.

– No cóż, więc rozdamy – zgodził się Bułhakow. – A więc wszystko załatwione – rzekł wstając od stołu. – Teraz możemy do rana odpocząć. Gdy przyjedzie Żuchraj, niech do mnie wstąpi. Pogadam z nim. A ty, Jermaczenko, idź sprawdzić posterunki.

Gdy Bułhakow został sam, przeszedł do sąsiadującej z salonem sypialni gospodarzy i rozpostarłszy na materacu płaszcz, położył się.

Rankiem wracał Pawka z elektrowni. Już rok pracował tam jako pomocnik palacza.

W miasteczku panowało niezwykłe ożywienie. Rzuciło mu się to od razu w oczy. Po drodze coraz częściej spotykał mieszkańców niosących po jednym, po dwa i po trzy karabi-

ny. Nie rozumiejąc, co to znaczy, Pawka przyśpieszył kroku. Przed willą Leszczyńskiego dosiadali koni jego wczorajsi znajomi.

Wpadł do domu, umył się byle jak, a dowiedziawszy się od matki, że Artioma jeszcze nie ma, wybiegł i poleciał do Sieriożki Bruzżaka, który mieszkał na drugim krańcu miasta.

Sieriożka był synem pomocnika maszynisty. Ojciec jego miał własny mały domek i takież małą gospodarstwo. Okazało się, że Sieriożki nie ma w domu. Matka jego, zażywna kobieta o białej cerze, spojrzała niechętnie na Pawkę.

– A diabli go wiedzą, gdzie się podziewa! Zerwał się skoro świt i licho go poniosło. Broń, powiada, gdzieś rozdają, to on na pewno tam właśnie jest. Rózeg by wam wsypać, wojakom, zasmarkanym. Zanadto jużeście się rozpuścili. Nie ma na was rady. Ledwie to od ziemi odrosło, a już broni mu się zachciewa. Powiedz temu obwiesiowi: jeżeli choć jeden nabój do domu przyniesie, głowę urwę. Naściąga różnego świństwa, a potem za niego odpowiadaj. A ty co, też tam się wybierasz?

Ale Pawka nie słuchał już gderliwej matki Sieriożki i prysnął na ulicę.

Szosą szedł jakiś mężczyzna i niósł na każdym ramieniu karabin.

– Wujku, powiedz, gdzieś dostał – podbiegł do niego Pawka.

– A tam, na Wierzchowinie, rozdają.

Pawka popędził co tchu pod wskazany adres. Przebiegłszy dwie ulice natknął się na malca dźwigającego ciężki karabin z bagnetem, używany w piechocie.

– Skąd wziąłeś karabin? – zatrzymał go Pawka.

– Naprzeciw szkoły rozdają, ci z oddziału, ale już nie ma. Wszystko rozdane. Całą noc dawali, zostały tylko puste skrzynie. A ja już drugi niosę – z dumą zakończył malec.

Wiadomość ta strasznie zmartwiła Pawkę.

„Ech, do diabła, trzeba było od razu tam lecieć, a nie iść

do domu! – myślał zrozpaczony. – I jak ja mogłem tak przegapić?".

Nagle olśniony jakąś myślą, z miejsca zawrócił, w trzech susach dopadł malca i siłą wyrwał mu z rąk karabin.

– Masz już jeden – wystarczy. A ten będzie dla mnie – oznajmił Pawka tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Malec, rozwścieczony rabunkiem w biały dzień, rzucił się na Pawkę, lecz ten cofnął się o krok i wystawiwszy bagnet przed siebie, krzyknął:

– Odskocz, bo się nadziejesz!

Chłopak rozpłakał się i pobiegł z powrotem, wymyślając w bezsilnej złości. Pawka zaś zadowolony popędził do domu. Przesadził płot, wpadł do komórki, umieścił na belkach pod dachem zdobyty karabin i, radośnie pogwizdując, wszedł do domu.

Piękne są letnie wieczory na Ukrainie w takich małych miasteczkach jak Szepietówka, gdzie centrum – to miasteczko, a krańce – wieś.

W takie ciche letnie wieczory cała młodzież wylega na ulice. Dziewczęta, parobcy – wszyscy gromadzą się przed swoimi ganeczkami, w sadach, w ogródkach lub wprost na ulicach, na złożonych balach, grupami, parkami. Śmiech, pieśni.

W nagrzanym drżącym powietrzu unosi się mocny zapach kwiatów. W głębokiej toni nieba jak świetliki migocą gwiazdy, a głos słychać daleko, daleko...

Kocha Pawka swoją harmonię. Miłośnie stawia ją na kolanie, śpiewną, wiedeńską dwurzędówkę. Sprawne palce ledwie dotykają klawiszy i szybko po nich przebierają z góry w dół. Westchną basy i sypnie harmonia melodię, to skoczną, to rozlewną.

Wije się harmonia i jak tu nie puścić się w tan? Nie wytrzymasz – nogi same cię poniosą. Żarem dyszy harmonia – dobrze żyć na świecie!

Dziś wieczorem było szczególnie wesoło. Na belkach przed domem, w którym mieszkał Pawka, zebrała się młodzież skora do śmiechu, a najdźwięczniej ze wszystkich śmieje się Halka, sąsiadka Pawki. Lubi córka kamieniarza potańczyć, pośpiewać z chłopcami. Alt ma głęboki, aksamitny.

Pawka trochę się jej boi. Języczek dziewczyna ma ostry. Siada obok Pawki na belkach, mocno go obejmuje i śmieje się:

– Ach ty, zuchu harmonisto! Szkoda, żeś ździebko za mały, byłby z ciebie dobry dla mnie mężulek. Lubię harmonistów, serce mi taje przy nich.

Rumieni się Pawka po korzonki włosów – dobrze, że wieczorem nie widać. Odsuwa się od psotnicy, ale ona trzyma go mocno, nie puszcza.

– Gdzież ty, mój miły, uciekasz? Ładny mi narzeczony – żartuje.

Pawka wyczuwa ramieniem jej sprężystą pierś i doznaje od tego jakiegoś niepokoju, wzruszenia, a dokoła śmiech burzy zwykłą ciszę ulicy.

Pawka opiera się ręką o ramię Halki i mówi:

– Przeszkadzasz mi grać, odsuń się.

I znowu wybuch śmiechu, przekomarzanie się, żarty.

Wtrąca się Marusia:

– Zagraj, Pawka, coś tęsknego, żeby chwytało za serce.

Powoli rozciągają się miechy, palce z wolna przebierają po klawiszach. Znana wszystkim, bliska melodia. Halina pierwsza ją podchwytuje. Za nią – Marusia i reszta.

Zbiralysia wsi burlaky
do ridnoi chaty,
tut nam myło,
tut nam lubo,
w żurby zaspiwaty...

I lecą w dal, w stronę lasu, dźwięczne, młode głosy śpiewające pieśń.

– Pawka! – To głos Artioma.

Pawka zsuwa miechy harmonii, zapina rzemienie.

– Wołają, trzeba iść.

Marusia mówi błagalnym głosem:

– Posiedź jeszcze, pograj trochę. Zdążysz do domu.

Ale Pawka spieszy się.

– Nie. Jutro jeszcze pogram, a teraz trzeba iść. Artiom woła. – I biegnie przez ulicę do domu.

Otwiera drzwi pokoiku, widzi: przy stole siedzi Roman, kolega Artioma, i jeszcze ktoś trzeci – nieznany.

– Wołałeś mnie? – zapytał Pawka.

Artiom kiwnął mu głową i zwrócił się do nieznajomego:

– To właśnie mój braciszek.

Przybysz podał Pawce żylastą rękę.

– Jest taka rzecz, Pawka – zwrócił się Artiom do brata. – Powiadasz, że u was w elektrowni zachorował monter. Jutro dowiedz się, czy na jego miejsce nie przyjmą człowieka znającego się na rzeczy. Jeżeli potrzebny, przyjdź i powiedz.

Nieznajomy wtrącił się:

– Nie, pójdę razem z nim. Sam pogadam z szefem.

– Na pewno jest potrzebny. Przecież dzisiaj elektrownia była nieczynna, bo Stankowicz zachorował. Stary dwa razy przybiegał – wciąż szukał kogoś na zastępstwo, ale nie znalazł. Puścić elektrowni przy samym palaczu nie zdecydował się. A monter zachorował na tyfus.

– No więc sprawa załatwiona – rzekł nieznajomy. – Jutro zajdę tu i pójdziemy razem – zwrócił się do Pawki.

– Dobrze.

Pawka napotkał szare, spokojne oczy nieznajomego, przyglądające mu się badawczo. Mocne, bez drgnienia powiek spojrzenie zmieszało nieco Pawkę. Szara marynarka, zapięta od góry do dołu, szczelnie opinała szerokie krzepkie plecy – widocznie była za ciasna. Ramiona łączył z głową mocny jak u byka kark i cały ten człowiek był uosobieniem siły jak stary rozłożysty dąb.

Żegnając się z nim Artiom rzekł:

– Tymczasem wszystkiego dobrego, Żuchraj. Jutro pójdziesz z Pawką i wszystko załatwisz.

Niemcy wkroczyli do miasta w trzy dni po wycofaniu się oddziału. Przybycie ich oznajmił gwizdek lokomotywy na stacji opustoszałej w ostatnich dniach. Po mieście gruchnęła wieść:

– Niemcy idą.

W mieście wszczął się popłoch, jakby kto kij w mrowisko wsadził, choć wszyscy dawno wiedzieli, że Niemcy mają przyjść. Ale jakoś nie bardzo w to wierzyli. I oto ci straszni Niemcy nie gdzieś tam ciągną, lecz są już tutaj w mieście.

Wszyscy mieszkańcy przywarli do płotów, do furtek. Bali się wychodzić na ulicę.

A Niemcy w ciemnozielonych mundurach, z karabinami gotowymi do strzału, szli tyralierą po obu stronach szosy, pozostawiając środek wolny. Na karabinach – szerokie jak noże bagnety. Na głowach – ciężkie stalowe hełmy. Na plecach – ogromne tornistry. Szli ze stacji ku miastu sznurem bez końca, szli mając się na baczności, gotowi każdej chwili odeprzeć atak; chociaż nikt nie zamierzał ich atakować.

Na czele kroczyło dwóch oficerów z mauzerami w rękach. Środkiem szosy hetmański* oficer, tłumacz, w niebieskim ukraińskim żupanie i w papasze.

Niemcy ustawili się w czworobok na placu w środku miasta. Zawarczał bęben. Zebrała się grupa co śmielszych mieszkańców. Tłumacz w żupanie wlazł na ganek apteki i donośnym głosem odczytał zarządzenie komendanta, majora Korffa.

Zarządzenie brzmiało:

Hetmański, hetmańczyk – tak nazywano członków grasujących na Ukrainie kontrrewolucyjnych oddziałów hetmana Skoropadskiego. Skoropadski Paweł (ur. 1873) – generał carski, w r. 1918 został z ramienia Niemców hetmanem Ukrainy. Po rozgromieniu wojsk niemieckich na Ukrainie uciekł do Berlina.

§ 1

Rozkazuję:

Wszystkim obywatelom miasta złożyć w ciągu dwudziestu czterech godzin posiadaną palną i białą broń. Za niewykonanie niniejszego rozkazu – rozstrzelanie.

§ 2

W mieście ogłasza się stan wojenny i chodzenie po godzinie 8 wieczorem jest zabronione.

Komendant miasta, major Korff.

W domu, gdzie dawniej znajdował się magistrat, a po rewolucji Rada Delegatów Robotniczych, ulokowała się teraz niemiecka komendantura. Przy ganku domu stał wartownik, już nie w stalowym hełmie, lecz w kasku galowym z wielkim cesarskim orłem. W domu tym na podwórzu magazynowano również przynoszoną broń.

Wystraszona groźbą rozstrzelania ludność przez cały dzień znosiła broń. Dorośli nie pokazywali się. Broń przyniosła młodzież i dzieciaki. Niemcy nikogo nie zatrzymywali.

Ci, którzy broni odnieść nie chcieli, wyrzucali ją w nocy wprost na szosę, a rano patrol niemiecki zbierał ją, składał na furgon wojskowy i wiózł do komendantury.

O pierwszej po południu, gdy minął termin oddania broni, żołnierze niemieccy obliczyli swoją zdobycz. Ogółem złożono czternaście tysięcy karabinów. A więc sześciu tysięcy karabinów Niemcy nie dostali. Przeprowadzone przez nich powszechne rewizje dały znikome wyniki.

Nazajutrz o świcie za miastem przy starym żydowskim cmentarzu rozstrzelano dwóch robotników-kolejarzy, u których podczas rewizji znaleziono ukryte karabiny.

Po wysłuchaniu zarządzenia Artiom pospieszył do domu. Na podwórzu spotkał Pawkę, wziął go za ramię i cicho, ale stanowczo zapytał:

– Przynosiłeś coś do domu ze składu?

Pawka zamierzał nie mówić o karabinie, ale nie chciał okłamywać brata i wszystko opowiedział.

Poszli razem do komórki. Artiom wydobył spoza belek karabin, wyjął z niego zamek, zdjął bagnet i ująwszy karabin za lufę, zamachnął się i z całych sił uderzył nim o płot. Kolba rozleciała się. Szczątki karabinu wyrzucono daleko na pusty placyk za ogródkiem. Bagnet i zamek wrzucił Artiom do ustępu. Gdy wszystko to zostało wykonane, Artiom zwrócił się do brata:

– Nie jesteś już dzieckiem, Pawka, rozumiesz, że z bronią nie ma żartów. Mówię ci serio – niczego do domu nie przynoś. Wiesz, że teraz można przypłacić to życiem. Nie waż się mnie okłamywać, ty przyniesiesz – znajdą i mnie pierwszego rozstrzelają. Ciebie, smarkacza, nie ruszą. Pieskie czasy teraz, rozumiesz?

Pawka obiecał, że nic nie będzie przynosił.

Gdy szli przez podwórze do domu, przed bramą Leszczyńskich zatrzymał się powóz. Wysiedli z niego adwokat z żoną i ich dzieci – Nelli i Wiktor.

– Przyleciały ptaszki – odezwał się gniewnie Artiom. – Ech, zaczyna się już bałagan, diabli go nadalil – I wszedł do domu.

Przez cały dzień Pawka chodził smutny z powodu karabinu. W tym czasie jego przyjaciel Sieriożka pracował z całych sił w starej porzuconej szopie, rozkopując łopatą ziemię przy ścianie. Wreszcie dół był gotów. Sieriożka złożył w nim owinięte szmatami trzy nowe karabiny, zdobyte przez niego podczas rozdawania broni. Nie zamierzał oddawać ich Niemcom: nie po to męczył się całą noc, żeby się rozstać ze swoją zdobyczą.

Zasypawszy dół ziemią, dobrze ją ubił, naniósł na wyrównane miejsce kupę śmieci i starego żelaziwa; obejrzał krytycznie wyniki swej pracy i uznawszy je za dobre, zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

„No, teraz niech szukają. A jeżeli znajdą, to czyja szopa – nie wiadomo".

Pawka niepostrzeżenie zaprzyjaźnił się z surowym monterem, który już od miesiąca pracował w elektrowni.

Żuchraj pokazywał pomocnikowi palacza urządzenie dynamomaszyny i przyuczał go do roboty przy niej.

Rozgarnięty chłopak spodobał się marynarzowi. Żuchraj bardzo często przychodził do Artioma w wolnych chwilach. Rozsądny i poważny marynarz cierpliwie wysłuchiwał wszystkich opowiadań o troskach życiowych, zwłaszcza gdy matka skarżyła się na psoty Pawki. Działał tak uspokajająco na Marię Jakowlewnę, że zapominała o swych strapieniach i nabierała otuchy.

Kiedyś Żuchraj zatrzymał Pawkę na dziedzińcu elektrowni wśród sągów drzewa i powiedział z uśmiechem:

– Matka mówi, że lubisz się bić. „On – powiada – skory do bójek jak kogut". – Żuchraj roześmiał się z uznaniem. – W ogóle bić się to nic złego, trzeba tylko wiedzieć, kogo bić i za co.

Pawka nie wiedząc, czy Żuchraj pokpiwa sobie z niego, czy też mówi serio, odpowiedział:

– Nie biję się bez powodu, tylko wtedy, kiedy trzeba.

Żuchraj niespodziewanie zaproponował:

– Chcesz, to cię nauczę bić się tak naprawdę.

Pawka spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Jak to naprawdę?

– No, zobaczysz.

I Pawka wysłuchał pierwszego krótkiego wykładu o angielskim boksie.

Niełatwo przyszła Pawce ta nauka, ale opanował ją wybornie. Nieraz fiknął kozła, obalony ciosem pięści Żuchraja, ale był uczniem pilnym i cierpliwym.

Pewnego upalnego dnia, gdy wrócił od Klimki, połaził po pokoju i, nie znajdując nic do roboty, postanowił dostać się

na ulubione miejsce – na dach stróżówki stojącej na skraju ogrodu za domem. Minął podwórze, wszedł do ogródka i gdy znalazł się przy drewnianej budzie, wdrapał się po wystających deskach na dach. Przedarł się przez gęste gałęzie wiśni, zwisające nad szopą, i legł na słońcu, pośrodku dachu.

Stróżówka jednym bokiem wychodziła na ogród Leszczyńskich i jeżeli się docierało do krawędzi dachu, można było zobaczyć cały ogród i jedną część domu. Pawka wysunął głowę za okap i zobaczył część podwórza oraz stojący tam powóz. Widać było, jak ordynans niemieckiego leutnanta, który stał na kwaterze u Leszczyńskich, czyścił szczotką rzeczy swego dowódcy. Pawka nieraz widział leutnanta przed bramą willi.

Leutnant był krępy, o czerwonych policzkach i przystrzyżonych wąsikach, nosił binokle i czapkę z lakierowanym daszkiem. Pawka wiedział, że oficer zajmuje boczny pokój z oknem wychodzącym na ogród i widocznym z dachu.

Teraz leutnant siedział przy stole i coś pisał, potem zabrał to, co napisał, i wyszedł. Oddawszy list ordynansowi, poszedł ścieżką ogrodu ku furtce wychodzącej na ulicę. Przy plecionej altance zatrzymał się, widocznie z kimś rozmawiał. Z altanki wyszła Nelli Leszczyńska. Leutnant wziął ją pod rękę, poszedł ku furtce i oboje wyszli na ulicę.

Wszystko to obserwował Pawka. Zamierzał już się zdrzemnąć, gdy zobaczył, że do pokoju leutnanta wszedł ordynans, powiesił na wieszadle mundur, otworzył okno do ogrodu i sprzątnąwszy pokój wyszedł, przymykając drzwi. Za chwilę Pawka zobaczył go przy stajni, gdzie stały konie.

Przez otwarte okno Pawka dobrze widział cały pokój. Na stole leżały rzemienie i jeszcze coś błyszczącego.

Popychany nieprzepartą ciekawością, Pawka ostrożnie przełazł z dachu na pień czereśni i zsunął się do ogrodu Leszczyńskich. Zgięty, w kilku susach dopadł otwartego okna i zajrzał do pokoju. Na stole leżał pas z rapciami i futerał z pięknym wielostrzałowym rewolwerem.

Pawce dech zaparło. Przez chwilę toczył ze sobą walkę, ale opanowany bezgranicznym zuchwalstwem, przechylił się, schwycił futerał, wyrwał z niego nowy oksydowany rewolwer i zeskoczył do ogrodu. Obejrzawszy się na wszystkie strony, ostrożnie wsunął rewolwer do kieszeni i pobiegł przez ogród do czereśni. Szybko, jak małpa, wdrapał się na dach i obejrzał za siebie. Ordynans spokojnie rozmawiał ze stajennym. W ogrodzie było cicho... Ześliznął się z szopy i pomknął do domu.

Matka krzątała się w kuchni, gotując obiad, i nie zwróciła na Pawkę uwagi.

Chwyciwszy leżącą za kufrem szmatę, Pawka wsunął ją do kieszeni, niepostrzeżenie czmychnął za drzwi, przebiegł ogród, przelazł przez plot i wydostał się na drogę prowadzącą do lasu. Przytrzymując ręką ciężko bijący go po nodze rewolwer, co tchu popędził ku starej rozwalonej cegielni. Stopy ledwie dotykały ziemi, wiatr świszczał w uszach.

Przy starej cegielni było cicho. Zapadający się tu i ówdzie drewniany dach, góry rozbitych cegieł i walące się piece do wypalania sprawiały smutne wrażenie. Wszystko tu zarosło burzanem. I tylko trzej przyjaciele zbierali się tu niekiedy na zabawy. Pawka znał dużo zakątków, gdzie można było schować skradziony skarb.

Wszedł w wyłom pieca i bacznie się rozejrzał, ale droga była pusta. Cicho szumiały sosny, w lekkim wietrzyku wirował pył przydrożny. Mocno pachniało żywicą.

Na samym dnie pieca, w kąciku, Pawka położył zawinięty w szmatę rewolwer i zasłonił go piramidką starych cegieł. Wylazłszy stamtąd, zawalił cegłami wejście do starego pieca, zapamiętał sobie układ cegieł, wyszedł na drogę i powoli ruszył z powrotem.

Kolana trochę mu drżały.

„Czym się to wszystko skończy?" – myślał i serce ściskał mu jakiś niepokój.

Do elektrowni poszedł wcześniej niż zwykle, byle tylko

nie być w domu. Wziął od dozorcy klucz i otworzył szerokie drzwi wiodące do hal, gdzie stały silniki. I gdy czyścił dmuchawę, pompował do kotła wodę i rozpalał piec, myślał: „Co się teraz dzieje w willi Leszczyńskich?"

Późno, koło jedenastej, zaszedł do Pawki Żuchraj, wywołał go na podwórze i zapytał cicho:

– Dlaczego dziś była u was rewizja?

Pawka drgnął przestraszony.

– Co, rewizja?

Żuchraj dodał po chwili milczenia:

– Kiepska sprawa. Nie wiesz, czego oni szukali?

Pawka dobrze wiedział, czego szukali, ale nie zdecydował się powiedzieć Żuchrajowi o kradzieży rewolweru. Drżąc z niepokoju zapytał:

– Artioma aresztowali?

– Nikogo nie aresztowali, ale wszystko w domu przewrócili do góry nogami.

Te słowa przyniosły mu pewną ulgę, lecz niepokój trwał. Przez kilka chwil każdy z nich był zajęty swoimi myślami. Jeden wiedząc, jaki był powód rewizji, niepokoił się o następstwa, drugi nie wiedział i to wzmagało jego czujność.

„Diabli ich wiedzą, może zwęszyli coś o mnie? Artiom nic o mnie nie wie, ale dlaczego u niego rewizja? Trzeba być ostrożniejszym" – myślał Żuchraj.

Rozeszli się w milczeniu, każdy do swej roboty.

A w willi było wielkie zamieszanie.

Leutnant, stwierdziwszy brak rewolweru, zawołał ordynansa. Zazwyczaj poprawny, opanowany, gdy dowiedział się, że rewolwer zginął, uderzył ordynansa z całych sił w twarz; żołnierz zachwiał się od uderzenia, ale stał dalej wyprostowany jak struna i mrugając oczami w poczuciu winy, czekał pokornie, co będzie dalej.

Wezwany do wyjaśnienia sprawy adwokat również się oburzał i przepraszał oficera za to, że w jego domu spotkała go taka przykrość.

Obecny przy tym Wiktor Leszczyński wyraził wobec ojca przypuszczenie, że rewolwer mogli ukraść sąsiedzi, zwłaszcza chuligan Paweł Korczagin. Ojciec zaczął pośpiesznie tłumaczyć leutnantowi myśl syna i oficer natychmiast zarządził wezwanie oddziału dla przeprowadzenia rewizji.

Rewizja nie dała żadnych wyników. Wypadek ze zniknięciem rewolweru przekonał Pawkę o tym, że nawet takie ryzykowne przedsięwzięcia czasami kończą się pomyślnie.

III

onia stała w otwartym oknie. Patrzyła z wyrazem nudy na tak dobrze jej znany ogród, na otaczające go wysokie smukłe topole, z lekka drżące od powiewu łagodnego wietrzyka. I nie mogła uwierzyć, że cały rok nie widziała rodzinnego domu. Zdawało jej się, że dopiero wczoraj porzuciła te wszystkie znane jej od dziecka strony i wróciła dzisiaj rannym pociągiem.

Nic się tutaj nie zmieniło: tak samo starannie poprzycinane rzędy malin, wciąż tak samo geometrycznie wykreślone ścieżki, obsadzone ulubionymi kwiatami mamy – bratkami. Wszystko w ogrodzie czyściutko utrzymane. Wszędzie widać pedantyczną rękę wykształconego leśnika. I Tonię nudzą te wygracowane, wytyczone ścieżki.

Tonia wzięła ze sobą nie doczytaną powieść, otworzyła drzwi na werandę, zeszła po schodach do ogrodu, pchnęła małą pomalowaną furtkę i poszła w stronę stawu znajdującego się przy stacji obok pompy.

Minąwszy mostek wyszła na drogę. Droga wyglądała jak aleja. Po prawej stronie był staw otoczony wierzbami i gęstą wikliną. Po lewej widniał skraj lasu.

Zamierzała iść ku stawom leżącym za starymi kamieniołomami, ale zatrzymała się, dostrzegłszy w dole przy stawie zarzucaną właśnie wędkę.

Schylona nad krzywą wierzbą, rozgarnęła ręką pręty wikliny i zobaczyła ogorzałego chłopaka, bosego, w zakasanych powyżej kolan portkach. Obok stała żelazna zardzewiała pusz-

ka z glistami. Chłopak był pochłonięty swoją robotą i nie widział uporczywego spojrzenia Toni.

– Czy tu są ryby?

Pawka obejrzał się ze złością.

Trzymając się wierzby, nisko pochylona nad wodą, stała nieznana dziewczyna. Miała na sobie białą marynarską bluzkę z granatowym kołnierzem w paski i jasnoszarą krótką spódniczkę. Skarpetki ze szlaczkiem obciskały zgrabne opalone nogi w brązowych pantofelkach. Kasztanowate włosy były zwinięte w ciężki węzeł.

Ręka z wędką leciutko drgnęła, gęsi pławik kiwnął czubkiem i poruszona gładka powierzchnia wody rozbiegła się kręgami.

A z tyłu głosik zawołał z przejęciem:

– Bierze, patrzcie, bierze...

Paweł całkiem się stropił, szarpnął wędką. Razem z bryzgami wody wychynęła wijąca się na haczyku glista.

„No, teraz to już pełów diabli wzięli! Co za licho ją przyniosło!" – pomyślał zirytowany Pawka i żeby ukryć swe zmieszanie zarzucił wędkę dalej, między dwa łopiany – akurat tam, gdzie nie należało zarzucać, bo haczyk mógł zaczepić o jakąś karpę.

Zrozumiał błąd i nie odwracając głowy zasyczał ze złością w stronę siedzącej w górze dziewczyny:

– Czego wrzeszczycie? Przecież wszystkie ryby uciekną.

I usłyszał z góry kpiące, szydercze słowa:

– Dawno już pouciekały na wasz widok. Któż to w dzień łowi ryby? Ech, rybaku od siedmiu boleści!

Tego było już za wiele dla Pawki, który usiłował zachować się przyzwoicie. Wstał i, nasunąwszy na czoło czapkę, co zawsze było u niego oznaką złości, rzekł dobierając najgrzeczniejszych słów:

– *Może by tak panienka poszła sobie gdzie indziej.*

Oczy Toni nieco się zwęziły, roziskrzyły przelotnym uśmiechem.

– Czyż panu przeszkadzam?

W jej głosie nie było już drwiny, było w nim coś przyjaznego, pojednawczego, i Pawka, gotów przed chwilą nawymyślać tej „panience", która nie wiadomo skąd tu się wzięła, poczuł się rozbrojony.

– Cóż, niech sobie panienka patrzy, jeśli ma ochotę. Miejsca tu nie brak – zgodził się, usiadł i znów spojrzał na pławik, który zatrzymał się przy łopianie, i było oczywiste, że haczyk zaczepił się o korzeń. Pawka nie decydował się pociągnąć go ku sobie.

„Jak się zaczepi, to go się nie oderwie. A ona naturalnie będzie się śmiała. Żeby tak sobie poszła" – medytował.

Ale Tonia siadła wygodniej na z lekka kołyszącej się zgiętej wierzbie, położyła na kolanach książkę i zaczęła obserwować ogorzałego czarnookiego gbura, który tak niegrzecznie ją przyjął, a teraz umyślnie nie zwracał na nią uwagi.

Pawka dobrze widzi w lustrzanej wodzie odbicie siedzącej dziewczyny. Ona czyta, a on ostrożnie ciągnie zaczepioną żyłkę. Pławik daje nura: żyłka napina się opornie.

„Zaczepił się, przeklęty!" – myśli, a spojrzeniem rzuconym z ukosa widzi w wodzie śmiejącą się twarzyczkę.

Przez mostek koło pompy kolejowej przeszli dwaj młodzieńcy, gimnazjaliści z siódmej klasy. Jeden z nich, syn naczelnika warsztatów, inżyniera Sucharko, piegowaty blondas, siedemnastoletni dryblas i obwieś – Dziobaty Szurka, jak go przezwano w szkole, idzie z dobrą wędką i zawadiacko trzymanym w zębach papierosem. Obok niego – Wiktor Leszczyński, smukły, wychuchany laluś.

Sucharko, mrugnąwszy znacząco, nachylił się do Wiktora i mówił:

– Ta dziewczynka to, uważasz, z pieprzykiem, drugiej takiej tutaj nie ma. Zapewniam cię, to-man-tycz-na osóbka. Jest w szóstej klasie w Kijowie, przyjechała do ojca na wakacje. On jest tutaj nadleśniczym. To znajoma mojej siostry Lizy. Kiedyś machnąłem do niej liścik w takim, wiesz, gór-

nolotnym stylu, że niby zakochany jestem do szaleństwa i z drżeniem serca czekam na pani odpowiedź. Nawet wsadziłem tam odpowiedni wiersz Nadsona.

– No i co? – spytał zaciekawiony Wiktor.

Sucharko, nieco zmieszany, rzekł:

– Droży się, wiesz, trzyma fason. „Nie psuj papieru" – powiada. Ale to zawsze tak z początku bywa. Ja z tymi sprawami jestem otrzaskany. Ale wiesz, nie lubię sobie głowy zawracać – długo się zalecać i deptać. O wiele lepiej zajść wieczorkiem do baraków i za trzy rubelki wybrać sobie taką ślicznotkę, że palce lizać. I bez żadnych ceregieli. Byliśmy tam z Walką Tichonowem – znasz majstra drogowego?

Wiktor zmarszczył się pogardliwie.

– Szura, i ty uprawiasz takie świństwo?

Szura przez chwilę miętosił wargami papierosa, po czym splunął i rzekł drwiąco:

– Myślałby kto, co za świętoszek. Wiemy, co robicie...

Wiktor przerywając mu zapytał:

– Więc poznasz mnie z nią?

– Oczywiście, chodźmy prędzej, póki nie odeszła. Wczoraj rano sama łowiła ryby.

Przyjaciele zbliżali się już do Toni. Wyjąwszy z ust papierosa, Sucharko pochylił się w szarmanckim ukłonie.

– Dzień dobry, mademoiselle Tumanowa! Ryby pani łowi?

– Nie, przyglądam się, jak inni łowią – odpowiedziała Tonia.

– Państwo się nie znają? – rzekł pospiesznie Sucharko, ujmując za rękę Wiktora. – Mój przyjaciel, Wiktor Leszczyński.

Wiktor, zażenowany, podał Toni rękę.

– A dlaczego pani dzisiaj nie łowi? – starał się nawiązać rozmowę Sucharko.

– Nie wzięłam ze sobą wędki – odparła Tonia.

– Zaraz przyniosę drugą – zakrzątnął się Sucharko. – Na razie niech pani łowi moją, a ja za chwilę przyniosę.

Dotrzymał danego Wiktorowi słowa, że pozna go z Tonią, i starał się zostawić ich sam na sam.

– Nie będziemy przeszkadzać. Tutaj już łowią – odpowiedziała Tonia.

– Komu przeszkadzać? – spytał Sucharko. – Ach, temu? – Dopiero teraz zauważył siedzącego pod krzakiem Pawkę. – No, tego przepędzę stąd w jednej chwili.

Tonia nie zdążyła mu przeszkodzić. Zbiegł na dół i podszedł do łowiącego ryby Pawki.

– Zwijaj wędkę natychmiast – zwrócił się do Pawki. – No prędzej – mówił, widząc, że Pawka spokojnie robi swoje.

Pawka podniósł głowę i spojrzał na Sucharkę wzrokiem nie wróżącym nic dobrego.

– A ty się uspokój. Czegoś gębę rozpuścił?

– Co-o-o?! – wybuchnął Sucharko. – Jeszcze się stawiasz, oberwańcze nieszczęsny! Wynoś mi się stąd! – i z całych sił kopnął czubkiem bucika puszkę z glistami. Puszka wywinęła kozła w powietrzu i wpadła do wody. Kilka kropel opryskało twarz Toni.

– Sucharko, jak panu nie wstyd! – zawołała dziewczyna.

Pawka zerwał się. Wiedział, że Sucharko jest synem naczelnika warsztatów, w których pracował Artiom, i jeżeli teraz wyrżnie go w tłusty rudy pysk, gimnazjalista poskarży się ojcu i cała ta historia skrupi się na pewno na Artiomie. Był to jedyny powód, który powstrzymywał Pawkę od natychmiastowej rozprawy z napastnikiem.

Sucharko przewidując, że Paweł zaraz go uderzy, skoczył i pchnął oburącz w pierś stojącego nad wodą chłopca. Pawka zamachał rękami i przechylił się, lecz utrzymał równowagę i nie wpadł do wody.

Sucharko był o dwa lata starszy od Pawki i miał opinię wielkiego zabijaki i awanturnika.

Uderzony w pierś Pawka stracił zupełnie panowanie nad sobą.

– Ach tak! No to masz! – i krótkim zamachem ręki wy-

mierzył Sucharce siarczysty policzek, po czym nie dając mu przyjść do siebie, chwycił go mocno za kurtkę uczniowską, szarpnął ku sobie i powlókł do wody.

Stojąc po kolana w wodzie, zamoczywszy lśniące buciki i spodnie, Sucharko wytężył wszystkie siły, by wyrwać się z chwytliwych rąk przeciwnika. Pchnąwszy gimnazjalistę do wody, Pawka wyskoczył na brzeg.

Rozwścieczony Sucharko ruszył na Pawkę, gotów rozerwać go na kawałki.

Znalazłszy się na brzegu Pawka szybko obrócił się ku nacierającemu Sucharce, przypominając sobie: „Oprzeć się na lewej nodze, prawa wyprężona i lekko zgięta. Uderzyć nie tylko ręką, lecz i całym ciałem z dołu do góry, pod podbródek".

– Rrrraz!...

Sucharko zawył: okropnie zabolał go podbródek i przygryziony język, niezdarnie machnął rękami i całym ciałem zwalił się ciężko do wody.

A na brzegu Tonia śmiała się do rozpuku.

– Brawo, brawo! – wołała klaszcząc w dłonie. – Nadzwyczajnie!

Chwyciwszy wędkę Pawka szarpnął nią, zaczepiony sznurek urwał się i chłopak wybiegł na drogę.

Odchodząc słyszał, jak Wiktor mówił do Toni:

– To najgorszy chuligan, Pawka Korczagin.

Na stacji wszczął się niepokój. Z linii dochodziły słuchy, że kolejarze zaczynają strajkować. Na sąsiedniej dużej stacji robotnicy warsztatu nawarzyli piwa. Niemcy aresztowali dwóch maszynistów podejrzanych o przewożenie odezw. Wśród robotników pochodzących ze wsi powstało wrzenie, wywołane rekwizycjami i powrotem obszarników na swe folwarki.

Batogi strażników hetmańskich znaczyły pręgami chłopskie

plecy. W guberni rozwijał się ruch partyzancki. Można było już naliczyć około dziesięciu oddziałów partyzanckich zorganizowanych przez bolszewików.

W owe dni Żuchraj nie miał spokoju. Podczas swego pobytu w miasteczku wykonał wielką robotę. Poznał wielu robotników-kolejarzy, bywał na wieczorynkach, gdzie zbierała się młodzież, i stworzył silną grupę ze ślusarzy i traczy. Próbował wymacać Artioma. Na jego pytania, jak Artiom zapatruje się na sprawę bolszewicką i na partię, ślusarz-olbrzym odpowiedział:

– Wiesz co, Fiodor, ja tam w tych partiach słabo się wyznaję. Ale pomóc, jeśli trzeba będzie, zawsze jestem gotów. Możesz na mnie liczyć.

Fiodor i z tego był kontent – wiedział, że Artiom to swój człowiek i jeżeli coś powie, to zrobi. A do partii widocznie jeszcze nie dorósł. „To nic, teraz takie czasy, że prędko się podciągnie" – myślał marynarz.

Na robotę przeszedł Fiodor z elektrowni do warsztatów kolejowych. Tu wygodniej mu było pracować: w elektrowni oderwany był od kolei.

Ruch na kolei był ogromny. Niemcy wywozili do Niemiec tysiącami wagonów wszystko, co zrabowali na Ukrainie: żyto, pszenicę, bydło...

Nieoczekiwanie straż hetmańska aresztowała na stacji telegrafistę Ponomarenkę. Bito go w komendanturze bezlitośnie i widocznie powiedział wówczas o agitacji szerzonej przez Romana Sidorenkę, kolegę Artioma z warsztatów.

Po Romana przyszło podczas pracy dwóch Niemców i hetmańczyk – pomocnik komendanta stacji. Podszedłszy do warsztatu ślusarskiego, przy którym pracował Roman, hetmańczyk bez słowa uderzył go nahajką w twarz.

– Chodź, draniu, z nami. Pogadamy tam z tobą o tym i owym – rzekł. I szczerząc zęby we wstrętnym uśmiechu szarpnął ślusarza za rękaw. – Tam u nas poagitujesz!

Artiom pracujący przy sąsiednim imadle, cisnął pilnik i, nacierając całym swoim potężnym ciałem na hetmańczyka, rzucił chrapliwie, hamując dławiący go gniew:

– Jak śmiesz bić, gadzie?

Hetmańczyk cofnął się odpinając futerał rewolweru. Niski, krótkonogi Niemiec zdjął z ramienia ciężki karabin z szerokim bagnetem i szczęknął zamkiem.

– Halt! – szczęknął, gotów wystrzelić przy pierwszym ruchu Artioma.

Olbrzymi ślusarz stał bezradny przed tym plugawym żołnierzykiem, nie mogąc mu nic zrobić.

Zabrano obu. Artioma po godzinie zwolniono, Romana zamknięto w suterenie służącej do przechowywania bagażu.

Po dziesięciu minutach w warsztatach nikt już nie pracował. Pracownicy warsztatów zebrali się w ogródku przy stacji. Przyłączyli się do nich zwrotniczowie oraz inni robotnicy pracujący w składzie materiałów. Wszyscy byli strasznie wzburzeni. Ktoś napisał odezwę domagającą się zwolnienia Romana i Ponomarenki.

Oburzenie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy do ogrodu wpadł hetmańczyk z gromadą strażników i wymachując rewolwerem zawołał:

– Jeżeli się nie rozejdziecie, zaraz tutaj wszystkich zaaresztujemy! A niejednego i pod mur postawimy.

Ale krzyki rozwścieczonych robotników zmusiły go do wycofania się na stację. Z miasta pędziły już szosą ciężarówki naładowane niemieckimi żołnierzami, wezwanymi przez komendanta stacji.

Robotnicy rozbiegli się do domów. Pracę porzucili wszyscy, nawet dyżurny ruchu. Robota Żuchraja dawała rezultaty. Było to pierwsze masowe wystąpienie na stacji.

Niemcy ustawili na peronie ciężki karabin maszynowy. Stał jak wyżeł na polowaniu, gdy wystawia zwierzynę.

Z rękami na tylcach karabinu przykucnął za nim niemiecki kapral.

Dworzec opustoszał.

W nocy zaczęły się aresztowania. Zabrano i Artioma. Żuchraj nie nocował w domu, nie znaleziono go.

Zebrano wszystkich w ogromnym magazynie towarowym i postawiono im ultimatum: powrót do pracy albo sąd polowy.

Na linii strajkowali prawie wszyscy robotnicy kolejowi. W ciągu doby nie przeszedł przez stację ani jeden pociąg, a w odległości stu dwudziestu kilometrów toczył się bój z silnym oddziałem partyzantów, który przeciął linię kolejową i wysadził w powietrze mosty.

W nocy przybył na stację transport wojsk niemieckich, ale maszynista, jego pomocnik i palacz uciekli z lokomotywy. Prócz transportu wojskowego na stacji czekały na odprawienie jeszcze dwa składy pociągów.

Otworzywszy ciężkie drzwi weszli do magazynu komendant stacji, niemiecki leutnant, jego pomocnik i grupa Niemców.

Pomocnik komendanta wywołał:

– Korczagin, Polentowski, Bruzżak. Natychmiast pojedziecie jako drużyna parowozowa. Za odmowę – rozstrzelanie na miejscu. Jedziecie?

Trzech robotników posępnie kiwnęło głowami. Zaprowadzono ich pod konwojem do lokomotywy, a pomocnik komendanta już wykrzykiwał nazwiska maszynisty, pomocnika i palacza do drugiego pociągu.

Lokomotywa parskała gniewnie, rozrzucając snopy iskier, ciężko dyszała i, przebijając mrok, mknęła po szynach w głąb nocy. Artiom, wrzuciwszy do paleniska węgiel, zatrzasnął nogą żelazne drzwiczki, pociągnął ze stojącego na skrzyni imbryka z zadartym dziobkiem łyk wody i zwrócił się do starego maszynisty Polentowskiego:

– Więc powiadasz, ojczulku, wieziemy?

Tamten gniewnie łypnął okiem spod krzaczastych brwi.

– Powieziesz, kiedy cię bagnetem w plecy...

– Rzucić wszystko i wiać z lokomotywy – zaproponował Bruzżak, z ukosa spoglądając na siedzącego na tendrze niemieckiego żołnierza.

– Ja też tak myślę – mruknął Artiom – tylko że ten typ sterczy za plecami.

– Tak... – niewyraźnie mruknął Bruzżak, wychylając się przez okienko.

Polentowski przysunął się jak najbliżej do Artioma i wyszeptał:

– Nie wolno nam wieźć, rozumiesz? Tam toczy się bój, powstańcy wysadzili tory. A jak my tych psów przywieziemy, to oni się z nimi raz dwa rozprawią. Wiesz, synku, za cara nie woziłem podczas strajków i teraz nie powiozę. Do samej śmierci hańba będzie, jeśli dla swoich przywieziemy zgubę. Toć obsługa lokomotywy rozbiegła się. Życie ryzykowali, a jednak rozbiegli się chłopcy. Nijak tego pociągu prowadzić nie możemy. Jak myślisz?

– Zgoda, ojczulku, ale co zrobić z tym? – I wskazał wzrokiem żołnierza.

Maszynista skrzywił się, wytarł pakułami spocone czoło i popatrzył zaczerwienionymi oczyma na manometr, jak gdyby spodziewał się znaleźć tam odpowiedź na dręczące go pytanie. Potem ze złością, w której brzmiała rozpacz, zaklął.

Artiom pociągnął łyk z imbryka. Obaj myśleli o tym samym, ale żaden nie chciał wypowiedzieć się pierwszy. Artiomowi przypomniały się słowa Żuchraja: „Jak ty się bracie, zapatrujesz na partię bolszewicką i na ideę komunistyczną?" I jego, Artioma, odpowiedź: „Pomóc zawsze jestem gotów, możesz na mnie liczyć..."

„Ładna mi pomoc, wieziemy ekspedycję karną..."

Polentowski, pochylony nad skrzynią z narzędziami, tuż przy Artiomie, wyrzekł z trudem:

– A tego trzeba sprzątnąć. Rozumiesz?

Artiom drgnął. Polentowski, zgrzytnąwszy zębami, dodał:

– Nie ma innego wyjścia. Trzaśniemy go, regulator do pieca, lewary do pieca, zwolnimy bieg lokomotywy, wyskoczymy – i w nogi.

I jakby zrzucając ciężki wór z pleców, Artiom odrzekł:

– Dobra.

Pochylając się nad Bruzżakiem, powiedział mu o powziętej decyzji.

Bruzżak nieprędko dał odpowiedź. Każdy z nich narażał się na wielkie ryzyko. Wszyscy pozostawili w domu rodziny. Liczną rodzinę miał Polentowski: w jego domu było dziewięć osób. Ale każdy zdawał sobie sprawę, że prowadzić pociągu nie można.

– Cóż, zgadzam się – rzekł Bruzżak. – Ale któż tego... – Nie dokończył zdania, które Artiom i tak zrozumiał.

Artiom obrócił się do starego, który coś majstrował przy regulatorze, i kiwnął głową na znak, że Bruzżak jest tego samego zdania, co i oni; ale zaraz, dręczony pytaniem, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi, przysunął się do Polentowskiego bliżej.

– Ale jak my to zrobimy?

Tamten popatrzył na Artioma.

– Ty zaczynaj. Jesteś najsilniejszy. Drągiem żelaznym przez łeb – i koniec. – Stary był bardzo zdenerwowany.

Artiom zasępił się.

– Nie dam rady. Ręka się jakoś nie podnosi. Przecież żołnierz, jeśli się zastanowić, nie jest winien. Jego też pod bagnetem popędzili.

Polentowski błysnął oczami.

– Nie winien, powiadasz? Ale my też nie jesteśmy winni, że nas tutaj zagnali. Przecież karną ekspedycję wieziemy. Ci niewinni będą rozstrzeliwać partyzantów, a oni, co są winni?... Ech, ty ofiaro!... Chłop jak tur, a pożytku z ciebie mało...

– Dobrze – wychrypiał Korczagin biorąc łom.

Ale Polentowski wyszeptał:

– Ja wezmę, to pewniejsze. Ty bierz łopatę i właź zrzucać węgiel. Jeśli będzie trzeba, wyrżniesz Niemca łopatą. A ja pójdę niby rozbijać węgiel.

Bruzżak kiwnął głową.

– Masz rację, stary. – I stanął przy regulatorze.

Niemiec, w sukiennej czapce bez daszka z czerwonym otokiem, siedział na brzegu tendra, postawiwszy karabin między nogi, i palił cygaro, rzucając niekiedy spojrzenie na krzątających się robotników.

Gdy Artiom wlazł na górę zgarniać węgiel, wartownik nie zwrócił na to szczególnej uwagi. A potem, kiedy Polentowski udając, że chce odgarniać wielkie kawały węgla z krawędzi tendra, poprosił go na migi, żeby się odsunął, Niemiec posłusznie przesunął się niżej, ku drzwiczkom wiodącym do budki lokomotywy.

Głuche, krótkie uderzenie łomem, które rozłupało Niemcowi czaszkę, raziło Artioma i Bruzżaka jak grom. Ciało żołnierza zwaliło się jak wór.

Szara sukienna czapka szybko zabarwiała się krwią. Szczęknął karabin uderzając o żelazną krawędź.

– Skończone – wyszeptał Polentowski, rzucając łom, i konwulsyjnie skrzywiony dodał: – Teraz nie ma już dla nas odwrotu.

Głos mu się urwał, lecz natychmiast, przezwyciężając dławiące wszystkich milczenie, przeszedł w krzyk.

– Wykręcaj regulator, prędzej! – krzyknął.

W jakieś dziesięć minut wszystko było wykonane. Nie kierowana przez nikogo lokomotywa powoli zwalniała biegu.

W ognisty krąg parowozu wdzierały się ciężkimi rzutami ciemne sylwety przydrożnych drzew i natychmiast znów uciekały w ślepy mrok. Latarnie, usiłując przebić ciemności, napotykały jakby gęstą zasłonę i z trudem wywalczały od nocy po dziesięć metrów. Lokomotywa, jakby straciwszy resztę sił, dyszała coraz słabiej.

– Skacz, synku! – usłyszał Artiom za sobą głos Polentowskiego i rozwarł dłoń ściskającą poręcz. Potężne ciało prawem bezwładu poleciało naprzód i nogi twardo uderzyły o wyrywającą się spod nich ziemię. Artiom przebiegł dwa kroki i ciężko upadł, wywróciwszy kozła.

Z obydwu stron lokomotywy zeskoczyły natychmiast jeszcze dwa cienie.

W domu Bruzżaków było niewesoło. Antoninę Wasiljewnę, matkę Sierioży, te ostatnie cztery dni wykończyły zupełnie. Od męża nie było żadnych wieści. Wiedziała, że razem z Korczaginem i Polentowskim wzięli go Niemcy jako obsługę pociągu. Wczoraj przyszli trzej ze straży hetmańskiej i ordynarnie wymyślając badali ją.

Słowa ich nasuwały jej podejrzenie, że stało się coś złego, i gdy strażnicy odeszli, dręczona okrutną niepewnością kobieta włożyła chustkę i wybrała się do Marii Jakowlewny w nadziei, że dowie się od niej czegoś o mężu.

Starsza córka Wala, która sprzątała kuchnię, widząc, że matka wychodzi, zapytała:

– Daleko idziesz, mamo?

Antonina Wasiljewna spojrzała na córkę oczami pełnymi łez i odpowiedziała:

– Pójdę do Korczaginów. Może się dowiem u nich czegoś o ojcu. Jeżeli przyjdzie Sieriożka, powiedz mu, niech zajdzie na stację do Polentowskich.

Wala tkliwie objęła matkę za ramiona i uspokajała ją odprowadzając do drzwi:

– Nie martw się, mamo.

Maria Jakowlewna przywitała Bruzżakową jak zawsze serdecznie. Obie kobiety spodziewały się usłyszeć jedna od drugiej jakąś nowinę, lecz zaraz po pierwszych słowach nadzieja ta prysła.

U Korczaginów też była w nocy rewizja. Szukali Artioma. Wychodząc, żandarmi kazali Marii Jakowlewnie, jak tylko syn wróci, natychmiast dać znać do komendantury.

Korczagina była strasznie wylękniona nocną wizytą patrolu. Była w domu sama: Paweł, jak zwykle, pracował w nocy w elektrowni.

Pawka przyszedł wczesnym rankiem. Gdy matka opowiedziała mu o nocnej rewizji i poszukiwaniu Artioma, poczuł, jak całą jego istotę wypełnia przytłaczająca trwoga o brata. Nie bacząc na różnice charakterów i pozorną surowość Artioma, bracia bardzo się kochali. Była to miłość surowa, bez słów, i Pawka jasno sobie uświadamiał, że nie ma ofiary, której by bez wahania nie poniósł, gdyby była potrzebna bratu.

Nie odpoczywając pobiegł na stację do warsztatów, by poszukać Żuchraja, ale go nie znalazł, a od znajomych robotników niczego nie mógł się dowiedzieć o tych, którzy pojechali. Nic również nie wiedziała rodzina maszynisty Polentowskiego. Na podwórzu spotkał Pawka Borysa, najmłodszego syna Polentowskiego. Od niego dowiedział się, że w nocy była rewizja i u Polentowskich. Szukali ojca.

Wrócił więc z niczym do matki, znużony rzucił się na łóżko i od razu zapadł w niespokojny, pełen majaków sen.

Słysząc stukanie do drzwi Wala obejrzała się.

– Kto tam? – spytała i otworzyła z haczyka.

W otwartych drzwiach ukazała się ruda rozczochrana głowa Marczenki. Klimka widocznie biegł szybko. Był zdyszany i poczerwieniał od biegu.

– Mama w domu? – zapytał Wali.

– Nie, wyszła.

– A dokąd wyszła?

– Zdaje się, do Korczaginów. – Wala przytrzymała za rękaw Klimkę, który chciał już lecieć.

Klimka spojrzał niezdecydowanie na dziewczynę.

– Bo to, widzisz, mam do niej interes.

– Co za interes? – tarmosiła chłopaka. – No mówże prędzej, ty rudy niedźwiedziu, mów, nie męcz – komenderowała rozkazującym tonem dziewczyna.

Klimka zapomniał o wszystkich ostrzeżeniach, o kategorycznym nakazie Żuchraja, by oddał kartkę tylko Antoninie Wasiljewnie do rąk własnych; wyjął z kieszeni zasmolony kawałek papieru i podał go dziewczynie. Nie mógł odmówić jasnowłosej siostrzyczce Sieriożki, ponieważ rudy Klimka nie bardzo umiał sobie poradzić z uczuciem do tej miłej dziewuszki. Zresztą skromny kuchcik za nic w świecie nie przyznałby się nawet przed samym sobą, że Wala mu się podoba. Oddał jej papier, który ona szybko przeczytała:

Droga Toniu! Nie martw się. Wszystko dobrze. Jesteśmy żywi i cali. Wkrótce dowiesz się więcej. Daj znać pozostałym, że wszystko jest w porządku, żeby się nie trapili. Kartkę zniszcz. Zachar.

Przeczytawszy kartkę Wala skoczyła do Klimki.

– Rudy niedźwiedziu, kochany, gdzieżeś to dostał? Powiedz, gdzieś dostał, niedźwiadku koślawy? – i tarmosiła z całych sił oszołomionego Klimkę, a on ani się spostrzegł, jak palnął drugie głupstwo.

– Żuchraj dał mi to na stacji. – I, przypomniawszy sobie, że tego nie trzeba było mówić, dodał: – Tylko że on powiedział: nikomu nie dawać.

– No dobrze już, dobrze! – roześmiała się Wala. – Nikomu nie powiem. Leć teraz, rudzielcze, do Pawki, tam i matkę zastaniesz. – Z lekka popychała kuchcika ku drzwiom.

Po chwili ruda głowa Klimki mignęła za furtką.

Żaden z owej trójki nie wracał do domu. Wieczorem przyszedł Żuchraj do Korczaginów i opowiedział Marii Jakow-

lewnie o wszystkim, co się stało na lokomotywie. Uspokajał, jak mógł, wystraszoną kobietę, oznajmiwszy jej, że wszyscy trzej ukryli się daleko w zapadłej wiosce, u wujka Bruzżaka, są tam bezpieczni, wracać teraz oczywiście nie mogą, ale że z Niemcami jest kiepsko, można więc w najbliższej przyszłości spodziewać się zmiany.

Wszystkie te wydarzenia wzmocniły jeszcze bardziej przyjaźń łączącą rodziny tych, którzy wyjechali. Z wielką radością odczytywano rzadko przysyłane rodzinom karteczki, ale w domach było teraz pusto i cicho.

Pewnego razu Żuchraj niby to przypadkiem wstąpił do starej Polentowskiej i wręczył jej pieniądze.

– Macie oto, matko, pomoc od męża. Tylko uważajcie, nikomu ani słowa.

Polentowska z wdzięcznością uścisnęła mu dłoń.

– Bardzo wam dziękuję, bo już całkiem bieda, dzieci nie mają co jeść.

Pieniądze te pochodziły z kwoty, którą Żuchrajowi zostawił Bułhakow.

„No, zobaczymy, co będzie dalej. Chociaż strajk jest złamany, chociaż robotnicy pod strachem rozstrzelania pracują, ogień jednak rozgorzał, już go nie ugaszą, a tamci trzej to zuchy, prawdziwi proletariusze" – z zachwytem myślał marynarz idąc do warsztatów.

Na skraju wsi Worobjowa Bałka, w starej kuźni zwróconej zakopconą ścianą do drogi, przy gardzieli pieca, mrużąc nieco oczy od jaskrawego światła, Polentowski obracał długimi szczypcami rozżarzony do czerwoności kawał żelaza.

Artiom naciskał zawieszony na poprzecznej belce lewar, który rozdymał skórzane miechy.

Maszynista, dobrodusznie uśmiechając się pod wąsem, mówił:

– Majster na wsi teraz nie zginie, roboty znajdzie po uszy.

Popracuje się tydzień, dwa i pewno będziemy mogli posłać swoim słoninki i mąki. Chłop, synku, dla kowala ma zawsze poważanie. Wypasiemy się tutaj jak burżuje, he-he! Z Zacharem to inna sprawa, on bardziej trzyma ze wsią, zakopał się na roli ze swym wujkiem. Cóż, to może i zrozumiałe. My z tobą, Artiom, ni trzody, ni zagrody, grzbiet tylko i ręce, jak to się mówi, wieczni proletariusze, he-he, a Zachar się przepołowił, jedną nogą na lokomotywie, drugą na wsi. – Dotknął szczypcami rozżarzonego żelaza i dodał już poważnie, w zadumie: – A z nami sprawa kiepska, synku. Jeżeli Niemców rychło nie popędzą, trzeba nam będzie zmiatać do Jekatierinosławia lub Rostowa, bo inaczej wezmą nas za pysk i zawieszą między niebem a ziemią, jak amen w pacierzu.

– Tak – burknął Artiom.

– Jak tam trzymają się nasi, czy nie czepiają się ich hajdamacy?

– Tak, ojczulku, nawarzyliśmy piwa, teraz trzeba wyrzec się domu. Maszynista wydobył z pieca błękitnawy rozżarzony kawał żelaza i szybko położył go na kowadle.

– No synku, wal!

Artiom porwał ciężki młot, oparty o kowadło, mocno zamachnął się nim nad głową i uderzył. Snop jaskrawych iskier z lekkim szeleszczącym trzaskiem rozproszył się po kuźni, oświetliwszy na mgnienie oka jej ciemne kąty.

Polentowski podstawiał rozżarzony kawał żelaza pod potężne ciosy i żelazo posłusznie płaszczyło się jak rozmiękły wosk.

Przez rozwarte wrota kuźni wpadał gorący powiew ciemnej nocy.

W dole jezioro – ciemne, ogromne, a sosny okalające je ze wszystkich stron kiwają potężnymi głowami.

„Jak żywe" – myśli Tonia. Leży na porośniętym trawą upłazie granitowego brzegu. Wysoko w górze, za upłazem,

bór, a w dole, tuż u podnóża stromizny, jezioro. Cień otaczających pierścieniem skał czyni brzegi jeziora jeszcze ciemniejsze.

Jest to ulubiony zakątek Toni. Tutaj, o wiorstę od stacji, w starych kamieniołomach, w głębokich opuszczonych kotlinach trysnęły kiedyś źródła i obecnie powstały trzy przepływowe jeziora. W dole, przy zejściu do jeziora, słychać plusk. Tonia podnosi głowę i rozchyliwszy ręką gałęzie patrzy w dół: od brzegu na środek jeziora płynie silnymi rzutami ogorzałe prężne ciało. Tonia widzi smagłe plecy i czarną głowę kąpiącego się. Prycha jak mors, rozcinając wodę krótkimi rzutami ramion, przekręca się, wywraca kozła, nurkuje i wreszcie zmęczony kładzie się na wznak, zmrużywszy oczy przed jaskrawym słońcem, i zamiera w bezruchu, z lekka zgięty, z rozrzuconymi ramionami.

Tonia puściła gałąź. „Przecież to nieprzyzwoicie" – pomyślała drwiąco i zabrała się do czytania.

Pochłonięta książką, którą dał jej Leszczyński, Tonia nie zauważyła, jak ktoś przelazł przez granitowy występ oddzielający upłaz od boru i dopiero gdy trącony czyjąś nogą kamyk upadł na książkę, drgnęła zaskoczona, podniosła głowę i ujrzała na upłazie Pawkę Korczagina. Stał zdziwiony niespodziewanym spotkaniem i, równie zmieszany, zamierzał odejść.

„To on się przed chwilą kąpał" – domyśliła się Tonia, rzuciwszy okiem na mokre włosy Pawki.

– Przestraszyłem panią, co? Nie wiedziałem, że pani jest tutaj, ja tylko przypadkiem... – I po tych słowach chwycił się ręką za występ skalny. On również poznał Tonię.

– Pan mi nie przeszkadza. Jeżeli pan ma ochotę, możemy nawet o czymś porozmawiać.

Pawka ze zdziwieniem patrzył na Tonię.

– A o czym możemy rozmawiać?

Tonia uśmiechnęła się.

– Czemuż pan stoi? Może pan usiąść, o, tutaj – i wskazała kamień. – Niech mi pan powie, jak się pan nazywa.

– Pawka Korczagin.

– A ja mam na imię Tonia. Więc zawarliśmy znajomość.

Pawka zmieszany gniótł czapkę.

– Więc pan ma na imię Pawka? – przerwała milczenie Tonia. – A dlaczego Pawka? To brzmi nieładnie, lepiej Paweł. Tak właśnie będę do pana mówić. A często pan tu przychodzi... – chciała powiedzieć: „kąpać się", ale nie chcąc zdradzić, że widziała, jak się kąpał, dodała: – ...na przechadzkę?

– Nie, nieczęsto, tylko w wolnych chwilach – odpowiedział Paweł.

– A pan gdzieś pracuje? – dopytywała się Tonia.

– Jestem palaczem w elektrowni.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie się pan nauczył tak po mistrzowsku bić? – zadała nieoczekiwane pytanie Tonia.

– A co pani do tego? – burknął niezadowolony Paweł.

– Proszę się nie gniewać, Korczagin – rzekła dziewczyna czując, że Pawce nie podobało się jej pytanie. – Mnie to bardzo interesuje. To był cios! Nie można bić tak niemiłosiernie. – I wybuchnęła śmiechem.

– A pani co, żal? – spytał Paweł.

– No nie, wcale nie żal, przeciwnie. Sucharko dostał za swoje. A mnie ta scena sprawiła dużą przyjemność. Mówią, że pan się często bije.

– Kto mówi? – nastroszył się Paweł.

– Chociażby Wiktor Leszczyński; mówi, że pan jest zawodowym zabijaką.

Paweł spochmurniał.

– Wiktor to łajdak, laluś. Niech dziękuje, że sam wtedy nie oberwał. Słyszałem, jak o mnie mówił, tylko nie chciało mi się brudzić rąk.

– Dlaczego pan tak wymyśla, panie Pawle? To nieładnie – przerwała mu Tonia.

Paweł najeżył się. „Po kiego licha wdałem się z tą dzi-

waczką w rozmowę? Widzicie ją, komenderuje: to jej ‚Pawka' się nie podoba, to ‚nie wymyślaj'..."

– Dlaczego pan taki cięty na Leszczyńskiego? – dopytywała się Tonia.

– Panienka w spodniach, paniczyk bez duszy! Na takich ręka mnie świerzbi: szuka tylko okazji, żeby komuś nastąpić na odcisk, dlatego że bogaty i wszystko mu wolno, a ja gwiżdżę na jego bogactwo; jeżeli mnie kiedy zaczepi, zaraz dostanie za swoje. Takich to tylko pięścią uczyć rozumu – mówił podniecony.

Tonia żałowała, że wymieniła w rozmowie nazwisko Leszczyńskiego. Ten chłopak miał widocznie stare porachunki z wymuskanym gimnazjalistą, skierowała więc rozmowę na mniej drażliwy temat: zaczęła rozpytywać Pawła o jego rodzinę i pracę.

Ani się spostrzegł, jak zaczął szczegółowo odpowiadać na pytania dziewczyny, zapomniał o tym, że chciał odejść.

– Niech pan powie, dlaczego pan się dalej nie uczył? – zapytała Tonia.

– Wylano mnie ze szkoły.

– Za co?

Pawka poczerwieniał.

– Popu machorki do ciasta wsypałem – więc mnie wywalili. Zły był pop, żyć nie dawał. – I Paweł wszystko jej opowiedział.

Tonia słuchała z zaciekawieniem. Chłopak zapomniał o swym skrępowaniu, rozgadał się, opowiadał jej, jak starej znajomej, o tym, że brat jego nie wrócił; żadne z nich nie zauważyło, jak w przyjacielskiej ożywionej pogawędce przesiedzieli na upłazie kilka godzin. Wreszcie Pawka opamiętał się i zerwał na równe nogi.

– Już na mnie czas, muszę iść do roboty. Zagadałem się, a muszę rozpalić pod kotłami. Dopiero Daniło zacznie gderać. – I niespokojnie dorzucił: – Do widzenia, panienko, teraz muszę pędem zasuwać do miasta.

Tonia szybko wstała wkładając żakiet.

– Na mnie też już czas, chodźmy razem.

– No nie, ja pobiegnę, pani biec ze mną nie wypada.

– Dlaczego? Pobiegniemy razem, na wyścigi: zobaczymy, kto szybciej.

Pawka spojrzał na nią z lekceważeniem.

– Na wyścigi? Gdzie tam pani do mnie!

– No zobaczymy, najpierw wydostańmy się stąd.

Pawka przeskoczył kamień, podał Toni rękę i oboje wybiegli do lasu, na szeroki równy dukt wiodący ku stacji.

Tonia zatrzymała się na środku drogi.

– No, teraz biegniemy: raz, dwa, trzy. Proszę łapać!

I jak wicher pomknęła naprzód. Szybko migały podeszwy jej bucików, wiatr rozwiewał granatowy żakiet.

Pawka pomknął za nią.

„Raz dwa ją dogonię" – myślał lecąc za migającym żakietem, ale dogonił dopiero na końcu duktu, niedaleko stacji. Z rozpędu wpadł na nią i mocno chwycił za ramiona.

– Jest, złapałem ptaszka! – zawołał wesoło, zdyszany.

– Niech pan puści, boli – broniła się Tonia.

Stali oboje, nie mogąc złapać tchu, serca im mocno biły, a wyczerpana wariackim biegiem Tonia jakby niechcący przytuliła się trochę do Pawki i przez to stała mu się bliska. Trwało to mgnienie oka, ale utkwiło w pamięci.

– Mnie nikt nie mógł dogonić – mówiła uwolniwszy się z jego rąk.

Zaraz się rozstali. Paweł machnął na pożegnanie czapką i pobiegł do miasta.

Gdy otworzył drzwi do kotłowni, krzątający się już przy piecu Daniło, palacz, obrócił się ze złością.

– Szkoda, żeś nie przyszedł jeszcze później. Będę za ciebie palił czy co?

Ale Pawka wesoło klepnął palacza po ramieniu i rzekł pojednawczo:

– Za chwilkę staruszku, piec będzie gotów. – I zakrzątnął się przy ułożonych w sągi drwach.

Około północy, gdy Daniło, leżąc na polanach, zaczął chrapać jak koń, Paweł obszedł z oliwiarką cały silnik, wytarł ręce pakułami, wyjął z szuflady sześćdziesiąty drugi zeszyt „Giuseppe Garibaldi" i pogrążył się w czytaniu porywającej powieści o niezliczonych przygodach opromienionego legendą wodza neapolitańskich „czerwonych koszul", Garibaldiego.

„Spojrzała na księcia swymi pięknymi niebieskimi oczami..."

„A ta ma również niebieskię oczy – przypomniał sobie Paweł. – Ona jest jakaś inna, niepodobna do tych bogatych – myślał – a biega jak diabeł".

Zatopiony we wspomnieniach o dzisiejszym spotkaniu Paweł nie słyszał wzmagającego się łoskotu silnika; motor drżał z natężenia, ogromne koło rozpędowe kręciło się wściekle i betonowa platforma, na której był umieszczony, nerwowo dygotała.

Pawka rzucił okiem na manometr: strzałka podniosła się o kilka kresek ponad czerwoną linię alarmową.

– Ach, do diabła! – zerwał się Pawka ze skrzyni i skoczył do lewara odprowadzającego parę, przerzucił go dwa razy i za ścianą kotłowni chrypliwie zasyczała para, wypuszczana rurą odpływową do rzeki. Opuściwszy lewar Pawka przesunął pas transmisyjny na koło wprowadzające w ruch pompę.

Obejrzał się na Danilę; stary palacz spał spokojnie z szeroko rozdziawionymi ustami i wydawał nosem niesamowite dźwięki.

Upłynęło pół minuty i strzałka manometru wróciła na dawne miejsce.

Po rozstaniu się z Pawłem Tonia poszła do domu. Myślała o niedawnym spotkaniu z czarnookim chłopcem i nie zdając sobie sama sprawy, była z tego spotkania rada.

„Ile w nim ognia i zaciętości! I wcale nie jest takim gbu-

tem, jakim mi się wydawał. W każdym razie zupełnie nie jest podobny do tych wszystkich ślamazarnych gimnazjalistów..."

Był on z innego gatunku ludzi, ze środowiska, z którym dotychczas Tonia blisko się nie stykała.

„Można go oswoić – myślała – i to będzie interesująca przyjaźń".

Podchodząc do domu Tonia zobaczyła siedzących w ogrodzie Lizę Sucharko, Nelli i Wiktora Leszczyńskich. Wiktor czytał. Prawdopodobnie czekali na nią.

Przywitała się ze wszystkimi, siadła na ławce. W trakcie pustej, płytkiej rozmowy Wiktor Leszczyński przysiadł się do Toni i zapytał półgłosem:

– Czy pani przeczytała powieść?

– Ach tak, powieść! – połapała się Tonia. – A ja ją... – o mało nie powiedziała, że książkę zostawiła nad jeziorem.

– Jak się pani podobała? – Wiktor spojrzał na nią uważnie.

Tonia pomyślała i, kreśląc powoli czubkiem bucika na piasku ścieżki jakąś zawiłą figurę; podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Nie, zaczęłam inny romans, ciekawszy niż ten, który mi pan przyniósł.

– Ach tak – rzekł Wiktor przeciągle z obrażoną miną. – A kto jest jego autorem? – zapytał.

Tonia popatrzyła na niego iskrzącymi się, drwiącymi oczami.

– Nikt...

– Tonia, poproś gości do pokoju, na herbatę! – zawołała z werandy matka.

Wziąwszy pod ręce dziewczęta, Tonia skierowała się ku domowi. A Wiktor, idąc z tyłu, głowił się nad wypowiedzianymi przez Tonię słowami, nie rozumiejąc ich sensu.

To pierwsze uczucie, które, choć jeszcze nieświadome, niepostrzeżenie weszło w życie młodego palacza, było tak nowe,

tak niepojęcie wzruszające, że zaniepokoiło hardego, buntowniczego chłopca.

Tonia była córką nadleśniczego, a nadleśniczy był dla niego tym samym, co adwokat Leszczyński.

Paweł wyrósł w nędzy i głodzie i był wrogo usposobiony do tych, którzy w jego mniemaniu byli bogaci. Do swego uczucia odnosił się ostrożnie i z obawą, nie uważał Toni, tak jak córki kamieniarza, Haliny, za bliską, prostą, zrozumiałą i traktował ją nieufnie, gotów odeprzeć szorstko wszelką drwinę i lekceważenie w stosunku do niego, palacza, ze strony tej ładnej i wykształconej dziewczyny.

Cały tydzień nie widział się Paweł z córką leśniczego i dzisiaj postanowił pójść nad jezioro. Spodziewając się ją spotkać, umyślnie szedł koło jej domu. Idąc wolno wzdłuż ogrodzenia dworku, ujrzał w samym końcu znajomą marynarską bluzkę. Podniósł leżącą przy płocie sosnową szyszkę i rzucił ją mierząc w tę bluzkę.

Tonia obróciła się szybko. Zobaczywszy Pawła podbiegła do sztachet. Z radosnym uśmiechem podała mu rękę.

– Nareszcie pan przyszedł – rzekła uradowana. – Gdzie się pan przez cały czas podziewał? Byłam nad jeziorem i zostawiłam tam książkę. Myślałam, że pan przyjdzie. Proszę tu wejść, do naszego ogrodu.

Pawka potrząsnął przecząco głową.

– Nie wejdę.

– Dlaczego? – zdziwiona uniosła brwi.

– Ojciec pani gotów mi za to nawymyślać. I pani dostanie się za mnie. „Po co – powie – przyprowadziłaś takiego oberwańca?"

– Pawle, głupstwa pan mówi – rozgniewała się Tonia. – Proszę zaraz wejść. Mój ojciec nigdy nic podobnego nie powie, sam pan się przekona. Proszę wejść.

Podbiegła, otworzyła furtkę i Paweł niezbyt pewnym krokiem wszedł za nią.

– Pan lubi czytać książki? – zapytała, gdy usiedli przy okrągłym, wkopanym w ziemię stole.

– Bardzo lubię – ożywił się Paweł.

– Która z przeczytanych książek najbardziej się panu podobała?

Paweł po namyśle odpowiedział:

– „Giuseppa Garibaldi".

– „Giuseppe Garibaldi" – poprawiła Tonia. – Bardzo się panu ta książka podoba?

– Tak, przeczytałem już sześćdziesiąt osiem zeszytów, przy każdej wypłacie kupuję sobie po pięć zeszytów. O, to był człowiek ten Garibaldi! – rzekł z zachwytem. – To bohater! Tak to rozumiem! Ile musiał walczyć z wrogami, a zawsze był górą. Wszystkie kraje przemierzył. Ach, gdyby on teraz żył, przystałbym do niego. Brał sobie za towarzyszy rzemieślników i zawsze bił się za biednych.

– Chce pan, to panu pokażę naszą bibliotekę? – rzekła Tonia i wzięła go za rękę.

– Co to, to nie, do domu nie wejdę – stanowczo odmówił Paweł.

– Czemu pan się upiera? Czy pan się boi?

Paweł spojrzał na swe bose, nie grzeszące czystością nogi i podrapał się w głowę.

– A czy mamusia lub ojciec nie wyleją mnie stamtąd?

– Niech pan nareszcie przestanie tak mówić, bo się na serio pogniewam – zaperzyła się Tonia.

– Cóż, Leszczyński nie wpuszcza do swego domu, w kuchni rozmawia z takimi jak ja. Chodziłem do nich w pewnej sprawie, Nelli nawet do pokoju mnie nie wpuściła – z pewnością dlatego, żebym dywanów im nie zabrudził, diabli ją zresztą wiedzą – uśmiechnął się Pawka.

– Chodźmy, chodźmy! – ujęła go za ramiona i po przyjacielsku pchnęła na werandę.

Wprowadziła go przez jadalnię do pokoju, gdzie stała ogromna dębowa szafa, i otworzyła ją. Paweł ujrzał kilkaset

książek stojących w równych rzędach i był zdumiony tym niesłychanym bogactwem.

– Zaraz znajdziemy dla pana ciekawą książkę i pan mi przyrzeknie, że będzie przychodził i brał je u nas stale. Dobrze?

Pawka z radością kiwnął głową.

– Lubię książki.

Spędzili razem kilka godzin bardzo przyjemnie i wesoło. Przedstawiła go swojej matce. Okazało się, że to nie było takie straszne, i matka Toni spodobała się Pawłowi.

Tonia zaprowadziła Pawła do swego pokoju, pokazywała mu swoje książki i podręczniki.

Na toaletce stało niewielkie lustro. Tonia podprowadziła go tam i powiedziała ze śmiechem:

– Dlaczego pan ma takie dziko sterczące włosy? Czy pan ich nigdy nie strzyże ani nie czesze?

– Strzygę je przy skórze, gdy zanadto odrosną, cóż więcej można z nimi robić? – niezręcznie tłumaczył się Pawka.

Tonia ze śmiechem wzięła z toaletki grzebyk i szybkimi ruchami przyczesała jego niesforną czuprynę.

– O, teraz to zupełnie inaczej – mówiła przyglądając się Pawłowi. – A włosy trzeba ładnie przystrzyc, bo wygląda pan jak czupiradło.

Krytycznym wzrokiem obrzuciła jego wypłowiałą, zrudziałą koszulę i obszarpane spodnie, ale nic nie powiedziała.

Paweł pochwycił to spojrzenie i zrobiło mu się przykro za swoje nędzne ubranie.

Żegnając się z nim Tonia prosiła, żeby ją odwiedził, i wzięła od niego słowo, że za dwa dni pójdą razem na ryby.

Do ogrodu Paweł dostał się jednym susem przez okno: przechodzić znowu przez pokoje i spotkać się z matką Toni nie miał ochoty.

Gdy zabrakło Artioma w rodzinie Korczaginów, z pieniędzmi zrobiło się krucho: zarobek Pawła nie wystarczał.

Maria Jakowlewna postanowiła pomówić z synem: czy nie powinna znowu wziąć się do pracy poza domem, bo właśnie Leszczyńscy szukali kucharki. Ale Paweł zaprotestował:

– Nie, mamo, znajdę sobie dodatkową robotę. W tartaku potrzebni są ludzie do rozkładania desek. Pół dnia będę tam pracował i wtedy dla nas dwojga wystarczy, a ty już nie chodź do pracy, bo Artiom będzie się na mnie gniewał, powie: nie mogło się obejść bez tego, by matki nie posłać do pracy.

Matka dowodziła, że jej praca zarobkowa jest niezbędna, ale Paweł uparł się, więc mu ustąpiła.

Nazajutrz już pracował w tartaku, rozkładał do suszenia świeżo piłowane deski. Spotkał tam znajomych chłopców: Miszkę Lewczukowa, z którym chodził do szkoły, i Wanię Kuleszowa. Zaczęli we dwóch z Miszką pracować na akord. Zarobek był dość dobry. Dzień spędzał Paweł w tartaku, a wieczorem biegł do elektrowni.

Dziesiątego dnia przed wieczorem Paweł przyniósł matce zarobione pieniądze. Oddając je, zmieszany, przestępował z nogi na nogę i wreszcie poprosił:

– Wiesz co, mamo, kup mi satynową koszulę, granatową – pamiętasz, taką, jaką miałem w zeszłym roku. Na to pójdzie połowa pieniędzy, ale ja jeszcze zarobię, nie bój się, bo ta, co mam na sobie, jest już stara – usprawiedliwiał się, jakby przepraszając za swoją prośbę.

– Oczywiście, oczywiście, kupię, Pawłusza, materiał zaraz dzisiaj, a jutro ci uszyję. Nie masz przecież nowej koszuli. – Czule patrzyła na syna.

Paweł zatrzymał się przed zakładem fryzjerskim, namacał w kieszeni rubla i wszedł.

Fryzjer, łebski chłopak, zauważywszy wchodzącego, machinalnym gestem wskazał mu fotel:

– Proszę usiąść.

Paweł zasiadł w głębokim, wygodnym fotelu i zobaczył w lustrze zawstydzoną, zmieszaną fizjonomię.

– Pod maszynkę? – zapytał fryzjer.

– Tak, to jest nie, w ogóle proszę podstrzyc. No, jak to tam się u was nazywa? – i zrobił beznadziejny gest ręką.

– Rozumiem – uśmiechnął się fryzjer.

W kwadrans potem Paweł wyszedł spocony, zmęczony, ale starannie ostrzyżony i uczesany. Fryzjer długo i wytrwale walczył z nieposłuszną, zwichrzoną czupryną, ale za pomocą wody i grzebienia uporał się z nią i włosy pięknie się ułożyły.

Na ulicy Paweł odetchnął z ulgą i głębiej nacisnął czapkę.

„Co też matka powie, gdy mnie zobaczy?"

Wbrew obietnicy Paweł nie przyszedł łowić z Tonią ryb i dziewczyna była tym dotknięta.

„Niezbyt się ze mną liczy ten młokos-palacz" – myślała ze złością, ale gdy Paweł nie pokazał się w ciągu następnych dni, Toni zrobiło się smutno.

Już się wybierała na przechadzkę, gdy matka, uchyliwszy drzwi do jej pokoju, rzekła:

– Masz, Toniu, gościa. Można?

We drzwiach stał Paweł i Tonia w pierwszej chwili nawet go nie poznała.

Miał na sobie nowiutką, granatową satynową koszulę i czarne spodnie. Wyczyszczone do glansu buty połyskiwały i – co Tonia od razu zauważyła – był ostrzyżony, włosy już nie sterczały rozwichrzone jak dawniej i śniady palacz ukazał jej się w całkiem nowym świetle.

Tonia miała ochotę wyrazić swe zdziwienie, ale nie chcąc wprawiać w zakłopotanie i tak już czującego się nieswojo chłopca, udała, że nie zauważyła tej uderzającej zmiany.

Zaczęła mu robić wyrzuty:

– Jak panu nie wstyd! Dlaczego pan nie przyszedł łowić ryb? To pan tak dotrzymuje słowa?

– Pracowałem przez te dni w tartaku i nie mogłem przyjść.

Nie mógł powiedzieć, że po to, by kupić sobie koszulę i spodnie, harował w ostatnich dniach jak wół.

Ale Tonia sama się tego domyśliła i cała jej uraza do Pawła zniknęła bez śladu.

– Chodźmy na spacer w stronę stawu – zaproponowała, i poszli do ogrodu, a stamtąd na drogę.

I już, jak przyjacielowi, w wielkiej tajemnicy Paweł opowiedział Toni o wykradzeniu leutnantowi rewolweru i obiecał jej, że w najbliższych dniach pójdą w głąb lasu i tam postrzelają sobie.

– Pamiętaj, nie wydaj mnie tylko – niespodziewanie powiedział jej „ty".

– Nigdy cię nie wydam – uroczyście przyrzekła Tonia.

IV

a Ukrainie rozgorzała ostra i bezlitosna walka klasowa. Coraz więcej i więcej ludzi chwytało za broń i każda potyczka rodziła nowych uczestników walki.

Spokojny żywot mieszczucha należał już do dalekiej przeszłości.

Szalała zamieć, wystrzały armatnie wstrząsały starymi domkami i mieszczuch tulił się do ścian piwniczek, szukał schronu w wytytych przez siebie okopach.

Gubernię zalała lawina petlurowskich band różnych barw i odcieni: pojawili się mniejsi i więksi watażkowie, różne Hołuby, Archanioły, Anioły, Gordie i niezliczone mnóstwo innych bandytów.

Cała hałastra byłych oficerów, prawicowi i lewicowi eserowcy ukraińscy – każdy zdecydowany na wszystko awanturnik, który zebrał gromadę opryszków, ogłaszał się atamanem, czasami rozwijał żółto-błękitny sztandar petlurowców i zagarniał władzę w granicach swych sił i możliwości.

Z tych różnorodnych band, zasilanych przez wszystkich kułaków i galicyjskie pułki korpusu oblężniczego atamana Konowalca, formował swoje pułki i dywizje „naczelny" ataman Petlura. Z całym tym eserowsko-kułackim bagnem ścierały się oddziały czerwonych partyzantów i ziemia drżała pod setkami i tysiącami kopyt, taczanek i wozów artyleryjskich.

W owym kwietniu burzliwego dziewiętnastego roku śmiertelnie wystraszony, zbaraniały mieszczuch, przecierając z rana

zaspane oczy i otwierając okna swego domku, z niepokojem pytał sąsiada, który obudził się wcześniej:

– Awtonom Pietrowicz, jaką władzę mamy dzisiaj w mieście?

I Awtonom Pietrowicz, podciągając spodnie, rozglądał się z przestrachem.

– Nie wiem, Afanas Kiriłowicz. W nocy jacyś tam przyszli. Zobaczymy: jeżeli będą rabować Żydów, to znaczy petlurowcy, a jeżeli „towarzysze", to poznamy od razu po rozmowie. Właśnie wypatruję, żeby wiedzieć, jaki portrecik powiesić, by nie wpaść w jaką chryję, bo to, wie pan, Gierasim Leontjewicz, mój sąsiad nie przyjrzał się dobrze i wywiesił Lenina, a tu jak nie skoczy ku niemu trzech: okazuje się, z oddziału petlurowskiego. Spojrzeli na portret i do gospodarza. Wsypali mu, uważa pan, ze dwadzieścia batów. „My cię, sukinsynie – powiadają – mordo komunistyczna, obedrzemy ze skóry". Żadne tłumaczenie się, żadne krzyki nie pomogły.

Na widok garstki zbrojnych, idących szosą, mieszczuch zamykał okna i chował się. Lepiej nie budzić licha...

Robotnicy z utajoną nienawiścią patrzyli na żółto-błękitne sztandary petlurowskich grabieżców. Bezsilni wobec tej fali „niepodległościowego" szowinizmu, nabierali otuchy tylko wtedy, gdy do miasteczka klinem wdzierały się przechodzące oddziały czerwone, zaciekle odpierając nacierających ze wszystkich stron żółto-błękitnych. Dzień, dwa dni czerwienił się nad magistratem drogi sercu robotników sztandar, ale oddział wycofywał się i znowu zapadał zmrok.

Obecnie gospodarzem miasta jest pułkownik Hołub – „ozdoba i chluba" dywizji zadnieprzańskiej.

Wczoraj jego dwutysięczny oddział opryszków uroczyście wkroczył do miasta. Pan pułkownik jechał na czele oddziału na wspaniałym karym koniu i pomimo ciepłego kwietniowego słońca miał na sobie kaukaską burkę, zaporoską barankową

czapkę z malinowym denkiem i czerkieskę z pełnym rynsztunkiem: kindżał i szablę nabijaną srebrem.

Urodziwy jest pan pułkownik Hołub: czarne brwi, twarz blada, z lekka pożółkła od nieustannej pijatyki. W zębach fajka. Przed rewolucją był pan pułkownik agronomem na plantacjach buraków cukrowych, ale nudne to było życie, co za porównanie ze stanowiskiem atamana; wypłynął więc agronom *na mętnych* falach żywiołu hulającego w kraju już jako pan pułkownik Hołub.

W jednym teatrze miasteczka urządzono uroczysty wieczór na cześć przybyłych. Cały „kwiat" petlurowskiej inteligencji był tam obecny: ukraińscy nauczyciele, dwie córki popa – starsza, urodziwa Anna, młodsza – Dina, drobni półpankowie, byli oficjaliści hrabiego Potockiego i garstka mieszczan, nazywająca się „wilnym kozactwem", epigoni ukraińskich eserowców.

Teatr był wypełniony po brzegi. Nauczycielki, córki popa i mieszczki, ubrane w ukraińskie stroje narodowe, jaskrawe, haftowane w kwiaty, z kolorowymi koralami i wstążkami, otaczał rój dzwoniących ostrogami oficerów, jak gdyby skopiowanych ze starych obrazów przedstawiających Kozaków zaporoskich.

Grzmiała orkiestra pułkowa. Na scenie gorączkowo przygotowywano się do odegrania „Nazara Stodoły".

Nie było elektryczności. Zameldowano o tym panu pułkownikowi w sztabie. Ten wybierał się właśnie uświetnić wieczór swą obecnością. Po wysłuchaniu swego adiutanta, chorążego Palanycy, a w rzeczywistości byłego podporucznika Polancewa, rzucił niedbale, lecz władczo:

– Żeby mi było światło. Skonaj, a znajdź montéra i musisz uruchomić elektrownię.

– Rozkaz, panie pułkowniku!

Chorąży Palanyca nie skonał i zdobył monterów.

W godzinę potem dwaj petlurowcy prowadzili Pawła do

elektrowni. W ten sam sposób sprowadzono montera i maszynistę.

Palanyca powiedział im krótko:

– Jeżeli do godziny siódmej nie będzie światła, powieszę wszystkich trzech! – wskazał ręką żelazną belkę.

Ta zwięźle sformułowana zapowiedź zrobiła swoje i w wyznaczonym terminie zabłysło światło.

Wieczór był już w pełnym toku, gdy zjawił się pan pułkownik ze swoją przyjaciółką, córką bufetowego, w którego domu zamieszkał, dziewczyną o bujnych piersiach i włosach koloru żyta.

Zamożny bufetowy kształcił ją w gimnazjum gubernialnego miasta.

Usiadłszy na honorowym miejscu, tuż przy scenie, pan pułkownik dał znak, że można zaczynać, i kurtyna natychmiast się podniosła. Przed widzami mignęły plecy uciekającego ze sceny reżysera.

Podczas przedstawienia obecni w teatrze oficerowie ze swoimi damami niezgorzej raczyli się w bufecie wyborowym samogonem, dostarczonym przez wszechobecnego Palanycę, i różnymi przysmakami, zdobytymi w drodze rekwizycji. Pod koniec przedstawienia wszyscy mieli dobrze w czubie.

Palanyca skoczył na scenę, wykonał teatralny gest i obwieścił:

– Szanowni dobrodzieje, zaraz zaczniemy tańce.

Sala przyjęła to zgodnymi oklaskami. Wszyscy wyszli na dwór, by dać możność petlurowskim żołnierzom, sprowadzonym do ochrony zabawy, wynieść krzesła i opróżnić salę.

W pół godziny później w teatrze hulano, aż się kurzyło. Rozochoceni oficerowie petlurowscy dziarsko odwalali hopaka z zarumienionymi od gorąca miejscowymi pięknościami i od tupotu ciężkich nóg trzęsły się ściany starej teatralnej budy.

W tym czasie od strony młyna wjeżdżał do miasta oddział uzbrojonych jeźdźców.

Wystawieni przy drodze petlurowscy wartownicy z karabi-

nami maszynowymi ujrzawszy posuwającą się konnicę skoczyli zaniepokojeni do karabinu maszynowego. Szczęknęły zamki. W ciemnościach rozległ się ostry krzyk:

– Stój! Kto idzie?

Z mroku wysunęły się dwie ciemne postacie i jedna z nich zbliżyła się do warty, a donośny przepity bas ryknął:

– Tu ataman Pawluk ze swoim oddziałem, a wy jesteście ludzie Hołuba?

– Tak – odparł występując naprzód dowódca warty.

– Gdzie mam zakwaterować oddział? – zapytał Pawluk.

– Zaraz dowiem się telefonicznie w sztabie – odpowiedział mu dowódca i zniknął w małym przydrożnym domku.

Po chwili wybiegł stamtąd i wydał rozkaz:

– Usuńcie, chłopcy, karabin maszynowy z drogi, dajcie przejechać panu atamanowi.

Pawluk ściągnął cugle zatrzymując konia przed oświetlonym teatrem, gdzie wrzała zabawa.

– Oho, tutaj wesoło – rzekł obracając się do esauła, który zatrzymał się obok niego. – Zsiadajmy, i my przy okazji pohulamy. Znajdziemy sobie odpowiednie baby, jest ich tutaj do licha. Hej, Stałeżko – krzyknął – rozlokuj chłopców po kwaterach! My tutaj zostajemy! Eskorta za mną! – I ociężale zeskoczył na ziemię, aż koń się zachwiał.

Przy wejściu do teatru Pawluka zatrzymało dwóch uzbrojonych petlurowców.

– Bilet?

Ale ataman z pogardą spojrzał na nich i odsunął jednego ramieniem. Za nim w ten sam sposób weszło ze dwunastu ludzi z jego oddziału. Ich konie stały tuż obok budynku, uwiązane przy płocie.

Nowo przybyłych zaraz zauważono. Wyróżniał się zwłaszcza swoją ogromną postacią Pawluk, w oficerskim frenczu z dobrego sukna, w granatowych gwardyjskich spodniach i w kosmatej papasze. Przez ramię przewieszony mauzer, z kieszeni sterczał granat ręczny.

– Kto to? – rozległy się szepty tych, co stali za kołem tańczących, gdzie w owej chwili popisywał się w zamaszystej mietielicy zastępca Hołuba.

W parze z nim wirowała starsza córka popa. Unosząca się do góry szerokim wachlarzem spódnica odsłaniała zachwyconym oczom wojaków jedwabne trykoty nadmiernie rozochoconej popówny.

Roztrącając barkami tłum Pawluk wszedł w krąg tańczących. Mętny wzrok wlepił w nogi dziewczyny, oblizał spieczone wargi, skierował się do orkiestry, stanął przy rampie i skinął plecioną nahajką.

– Rżnij hopaka!

Kapelmistrz nie zwrócił na to uwagi.

Wtedy Pawluk machnął gwałtownie ręką i zdzielił go nahajką przez plecy. Tamten skoczył jak ukąszony.

Muzyka urwała się nagle. Sala w jednej chwili ucichła.

– To bezczelność! – wybuchnęła córka bufetowego. – Nie powinieneś na to pozwolić – nerwowo ściskała łokieć siedzącego obok niej Hołuba.

Hołub wstał ociężale, pchnął nogą stojące przed nim krzesło, postąpił trzy kroki w stronę Pawluka i zatrzymał się tuż przed nim. Od razu poznał Pawluka. Miał nie załatwione jeszcze porachunki ze swoim rywalem o władzę w powiecie.

Przed tygodniem Pawluk całkiem po świńsku podstawił nogę panu pułkownikowi.

Podczas zaciekłej walki z czerwonym pułkiem, który nie po raz pierwszy trzepał skórę hołubowcom, Pawluk, zamiast uderzyć na tyły bolszewików, wdarł się do miasteczka, zniósł słabe placówki czerwonych, wystawił straże ochronne i urządził w miasteczku niebywałą grabież. Oczywista, jak przystało na „szczerego" petlurowca, ofiarą pogromu uczynił przede wszystkim ludność żydowską.

Czerwoni rozbili tymczasem doszczętnie prawe skrzydło hołubowców i wycofali się.

A teraz ten bezczelny rotmistrz wdarł się tutaj i jeszcze

śmie bić w jego, pana pułkownika, obecności jego własnego kapelmistrza. Nie, tego ścierpieć nie mógł. Hołub rozumiał, że jeżeli natychmiast nie osadzi rozzuchwalonego watażki – straci autorytet w pułku.

Mierząc się wzrokiem, stali kilka chwil w milczeniu.

Mocno zacisnąwszy w garści rękojeść szabli, a drugą ręką wymacując w kieszeni nagan Hołub wrzasnął:

– Jak śmiesz, łajdaku, bić moich ludzi?!

Ręka Pawluka z wolna popełzła ku futerałowi mauzera.

– Powoli, panie Hołub, powoli, możesz pan sobie wykręcić obcas. Nie nadepnij mi pan tylko na odcisk, bo się rozgniewam.

To wyczerpało cierpliwość Hołuba.

– Brać ich, wyrzucić z teatru i wlepić każdemu po dwadzieścia pięć batów! – krzyknął.

Jak sfora ogarów rzucili się ze wszystkich stron na pawlukowców oficerowie Hołuba.

Czyjś wystrzał trzasnął niczym ciśnięta o podłogę żarówka, i zakotłowało się w sali, jak gdyby walczyły tu ze sobą dwie sfory rozjuszonych psów. W zażartej bójce rąbali się szablami na oślep, chwytali się za czuby i wprost za gardło, a od wodzących się za łby mężczyzn uciekały z prosięcym kwikiem śmiertelnie wystraszone kobiety.

Po kilku minutach rozbrojonych i mocno poturbowanych pawlukowców wywleczono na dwór i wyrzucono na ulicę.

Pawluk zgubił w bójce papachę, twarz miał pokiereszowaną, był rozbrojony – wściekał się. Wskoczył ze swą eskortą na koń i pomknął przez ulicę.

Zabawa została przerwana. Po tym, co zaszło, nikt nie myślał o dalszej hulance. Kobiety stanowczo nie chciały tańczyć i żądały, żeby je odwieźć do domu, ale Hołub stanął okoniem.

– Nikogo nie wypuszczać z sali, postawić wartę! – rozkazał.

Palanyca śpiesznie spełniał rozkazy.

Na liczne protesty Hołub odpowiadał z uporem:

– Tańce do rana, szanowne dobrodziejki i dobrodzieje. Pierwszą turę walca sam zatańczę.

Muzyka znowu zagrała, jednakże nie udało się już pohulać.

Nie zdążył pułkownik przetańczyć z popówną raz dokoła sali, gdy wdarli się tam wartownicy wołając:

– Teatr otaczają pawlukowcy!

Okno przy scenie wychodzące na ulicę rozpadło się z trzaskiem. Przez rozbitą ramę wsunął się tępy ryj karabinu maszynowego i niezdarnie kręcił się wymacując miotające się postacie. Uciekano przed nim jak przed biesem na środek sali.

Palanyca strzelił w tysiącświecową lampę pod sufitem. Lampa pękła jak bomba i obsypała wszystkich drobnym deszczem szkła.

Salę zaległy ciemności. Z ulicy wołano:

– Wychodzić wszyscy na dwór! – I sypały się ohydne przekleństwa.

Dzikie, histeryczne krzyki kobiet, wściekła komenda Hołuba, który miotał się po sali usiłując zebrać ogarniętych paniką oficerów, wystrzały i krzyki na dworze – wszystko to zlało się w nieopisany zgiełk. Nikt nie zauważył, jak Palanyca niczym piskorz wyśliznął się tylnym wyjściem na sąsiednią pustą ulicę i popędził do sztabu hołubowców.

W pół godziny potem w mieście toczył się formalny bój. Ciszę nocy zmącił nieustanny huk wystrzałów, zaterkotały karabiny maszynowe. Zupełnie ogłupiali mieszkańcy zerwali się z ciepłych łóżek – przywarli do okien.

Wystrzały cichną, jedynie na krańcu miasta szczeka jeszcze urywanie, po psiemu, karabin maszynowy.

Bój ustaje. Przeciera się świt...

Po miasteczku snuły się słuchy o pogromie. Dotarły i do żydowskich domostw, małych, niskich, o zezowatych okienkach – które nie wiadomo w jaki sposób przycupnęły na urwi-

sku nad rzeką. W tych pudłach, nazywanych domami, w niewiarygodnej ciasnocie gnieździła się żydowska biedota.

W drukarni, gdzie już drugi rok pracował Sierioża Bruzżak, zecerami i robotnikami byli Żydzi. Zżył się z nimi Sierioża jak z bliskimi. Jak zgodna rodzina trzymali się wszyscy razem przeciw właścicielowi, opasłemu, zadowolonemu z siebie panu Blumsztajnowi. Między pracodawcą a pracownikami drukarni toczyła się nieustanna walka. Blumsztajn szukał okazji, żeby urwać z zarobków jak najwięcej, zapłacić jak najmniej, i na tym tle nieraz dochodziło do zamykania drukarni na dwa, trzy tygodnie. Drukarze strajkowali. Było ich czternastu. Sierioża, najmłodszy, po dwanaście godzin dziennie obracał koło maszyny drukarskiej.

Dzisiaj Sierioża zauważył niepokój wśród robotników. Przez ostatnie burzliwe miesiące drukarnia pracowała od zamówienia do zamówienia. Drukowano odezwy „naczelnego" atamana.

Chory na gruźlicę zecer Mendel odwołał Sieriożę do kąta. Patrząc na niego swymi smutnymi oczami, powiedział:

– Czy wiesz, że w mieście będzie pogrom?

Sierioża popatrzył zdziwiony:

– Nie, nie wiem.

Mendel położył wysuszoną żółtą rękę na ramieniu Sierioży i po ojcowsku, z ufnością zaczął mówić:

– Pogrom będzie, to fakt. Żydów będą mordować. Pytam się: chcesz pomóc swym towarzyszom w nieszczęściu czy nie?

– Oczywiście chcę, jeśli tylko będę mógł. Mów, Mendel.

Zecerzy przysłuchiwali się rozmowie.

– Tyś porządny chłopak, tobie wierzymy. Przecie twój ojciec jest też robotnikiem. Biegnij zaraz do domu i pomów z ojcem: czy zgodzi się ukryć u siebie kilkoro starców i kobiet, a my zawczasu porozumiemy się między sobą, kto u was będzie się ukrywał. Potem pomów z rodziną; u kogo jeszcze można się ukryć. Rosjan ci bandyci na razie nie ruszają. Biegnij, Sierioża, bo szkoda czasu.

– Dobrze, Mendel, bądź pewny, zaraz pobiegnę do Pawki i Klimki – u nich na pewno przyjmą.

– Poczekaj chwilkę – zaniepokoił się Mendel zatrzymując gotowego już do wyjścia Sieriożę. – Co to za jedni ten Pawka i Klimka? Dobrze ich znasz?

Sierioża z przekonaniem kiwnął głową.

– A jakże, to swoi chłopcy: Pawka Korczagin, jego brat to ślusarz.

– A, Korczagin – uspokoił się Mendel. – Tego znam, razem mieszkałem z nimi w jednym domu. Można mu zaufać. Idź, Sierioża, i wracaj czym prędzej z odpowiedzią.

Sierioża wybiegł na ulicę.

Pogrom zaczął się na trzeci dzień po walce oddziału pawlukowców z hołubowcami.

Rozbity i odrzucony od miasta Pawluk wziął nogi za pas i zajął sąsiednie miasteczko, straciwszy w nocnym boju dwudziestu ludzi. Tyluż nie doliczyli się hołubowcy.

Zabitych pospiesznie wywieziono na cmentarz i tego samego dnia pochowano bez rozgłosu, gdyż nie było tutaj czym się chlubić. Pogryzło się dwóch atamanów, jak dwa bezpańskie psy, i nie wypadało robić szumu z pogrzebem. Palanyca chciał wprawdzie chować poległych z całą pompą, obwołując Pawluka czerwonym bandytą, ale sprzeciwił się temu komitet eserowców, na którego czele stał pop Wasilij.

Nocna potyczka wywołała w pułku hołubowców niezadowolenie, zwłaszcza w sotni stanowiącej eskortę Hołuba, gdzie było najwięcej zabitych, i żeby stłumić to niezadowolenie oraz podnieść ludzi na duchu, Palanyca zaproponował Hołubowi „ułatwić im życie", jak szyderczo nazywał pogrom. Dowodził konieczności takiej akcji powołując się na sarkanie w oddziale. Wówczas pułkownik, który pierwotnie nie chciał zakłócać spokoju w mieście przed swoim ślubem z córką bufetowego, wobec ostrzeżeń Palanycy zgodził się.

Co prawda, ta operacja była dla pana pułkownika nieco kłopotliwa w związku z jego wstąpieniem do partii eserowców. Wrogowie mogą stworzyć dokoła jego imienia niepożądaną atmosferę i głosić, że on, pułkownik Hołub, jest organizatorem pogromów, i niewątpliwie będą go obgadywać przed „naczelnym atamanem". Ale na razie Hołub był mało zależny od „naczelnego", gdyż wraz ze swym oddziałem zaopatrywał się w żywność na własną rękę. Zresztą i sam „naczelny" doskonale wiedział, co za brać służy w jego wojsku, i sam nieraz żądał na potrzeby „dyrektoriatu"* pieniędzy pochodzących z tak zwanych rekwizycji, a co do sławy organizatora pogromów, miał ją już Hołub tak ugruntowaną, że dodać do niej mógł bardzo niewiele.

Rozbój zaczął się wczesnym rankiem.

Miasteczko tonęło w szarej mgle przedświtu. Opustoszałe ulice, niby pasy mokrego płótna bezładnie oplątujące zabudowane bez sensu dzielnice żydowskie, nie dawały znaku życia. Na wpół ślepe okienka były zasłonięte, a okiennice szczelnie zamknięte.

Z zewnątrz wydawało się, że dzielnice te spały mocnym przedrannym snem, ale mieszkańcy domostw nie spali. Rodziny, ubrane, przygotowywały się do nadchodzącego nieszczęścia, tłoczyły się w jakiejś izdebce i tylko małe dzieci, niczego nieświadome, spały na rękach matek spokojnym, niezmąconym snem.

Tego ranka długo budził hołubowskiego adiutanta Palanycę dowódca eskorty Hołuba, Sałomyga, czarny, o cygańskiej twarzy, z siną blizną od cięcia szabli na policzku.

Adiutant budził się z trudem. W żaden sposób nie mógł się wyrwać z głupiego snu. Wciąż jeszcze drapał go pazurami po gardle wykrzywiający się garbaty diabeł, który nie

Dyrektoriat – Dyrektoriat Ukrainy – nacjonalistyczny rząd utworzony w Kijowie 1918 r. z Petlurą i Winniczenką na czele. W lutym 1919 r. dyrektoriat został obalony przez powstanie robotników i chłopów Ukrainy.

dawał mu spokoju przez całą noc. I kiedy wreszcie Palanyca podniósł pękającą z bólu głowę, zrozumiał: to budzi go Sałomyga.

– *Wstawajże, cholero!* – trząsł go za ramię Sałomyga. – *Już* późno, czas zaczynać, szkoda, żeś więcej nie wypił.

Palanyca ocknął się całkowicie, usiadł i krzywiąc się od zgagi splunął gorzkawą śliną.

– Co zaczynać? – wybałuszył bezmyślne oczy na Sałomygę.

– Jak to co? Żydów patroszyć. Nie wiesz?

Palanyca przypomniał sobie: tak, racja, całkiem wyszło mu z głowy, wczoraj tęgo wypili na chutorze, dokąd wybrał się pułkownik ze swoją narzeczoną i garstką kompanów.

Wygodnie było dla Hołuba opuścić miasto na czas pogromu. Potem można będzie powiedzieć, że wynikło nieporozumienie wskutek jego nieobecności, a Palanyca potrafi załatwić całą rzecz sumiennie. O, ten Palanyca to wielki specjalista w dziedzinie „ułatwień"!

Adiutant wylał sobie na głowę całe wiadro wody i odzyskał zdolność myślenia. Kręcił się po sztabie, wydając różne rozkazy.

Sotnia eskorty dosiadła już koni. Przezorny Palanyca, dla uniknięcia możliwych komplikacji, nakazał wystawić posterunki, które by odcięły osiedle robotnicze i stację od miasta.

W ogrodzie Leszczyńskich ustawiono karabin maszynowy zwrócony lufą na drogę.

Gdyby robotnicy zechcieli się wtrącić, powitano by ich ogniem.

Kiedy wszystkie przygotowania były ukończone, adiutant i Sałomyga dosiedli koni.

Już ruszając w drogę Palanyca przypomniał sobie:

– Stój, byłbym zapomniał. Dawaj dwie furmanki: postaramy się o posag dla Hołuba. Ho-ho-ho... Pierwsza zdobycz jak zawsze dla dowódcy, a pierwsza baba, cha-cha-cha, dla mnie, dla adiutanta. *Zrozumiałeś, cymbale?*

Ostatnie słowa były zwrócone do Sałomygi.

Tamten łypnął ku niemu żółtawym okiem.

– Dla wszystkich starczy.

Ruszyli szosą. Na przedzie adiutant i Sałomyga, za nimi bezładną kupą ludzie z eskorty.

Mgła poranna zrzedła. Przed piętrowym domem z zardzewiałym szyldem „Handel galanteryjny Fuksa" Palanyca ściągnął cugle.

Jego siwa klacz o cienkich nogach niespokojnie uderzyła kopytem o kamień.

– No, z boską pomocą, stąd właśnie zaczniemy – rzekł Palanyca zeskakując na ziemię. – Hej, chłopcy, złazić z koni! – zwrócił się do eskorty, która obstąpiła go ze wszystkich stron. – Przedstawienie się zaczyna – wyjaśnił. – Chłopcy, nikogo po główce nie walić, na to będzie jeszcze czas; to samo z babami, jeżeli nie przynagla zbyt wielka ochota, do wieczora się powstrzymajcie.

Jeden z eskorty, szczerząc mocne zęby, zaprotestował:

– Jakże to tak, panie chorąży, a jeżeli zgodzi się po dobroci?

Dokoła parsknęli śmiechem. Palanyca spojrzał na mówiącego z pełną zachwytu aprobatą.

– Oczywiście, jeżeli po dobroci, to jazda, tego zabronić nikt nie ma prawa.

Podszedłszy do zamkniętych drzwi sklepu Palanyca kopnął z całych sił, ale solidne dębowe drzwi nawet nie drgnęły.

Nie stąd należało zaczynać. Adiutant skręcił za węgieł domu i przytrzymując ręką szablę skierował się ku drzwiom wiodącym do mieszkania Fuksa. Za nim ruszył Sałomyga.

W domu usłyszano od razu stuk kopyt końskich na bruku i gdy tupot ucichł przy sklepie, a przez ścianę doszły głosy, serca mieszkańców jakby przestały bić, ciała zamarły. W domu były trzy osoby.

Bogaty Fuks jeszcze w przeddzień uciekł z miasta z cór-

kami i żoną, w domu zaś zostawił do pilnowania dobytku służącą Ryfkę, cichą, zahukaną dziewiętnastoletnią dziewczynę. Żeby nie bała się zostać sama w pustym mieszkaniu, zaproponował jej, by sprowadziła do siebie swoich staruszków – ojca z matką – i by wszyscy troje zamieszkali tu do jego powrotu.

Chytry kupiec uspokajał protestującą nieśmiało Ryfkę, że pogromu, być może, wcale nie będzie, cóż zresztą mogą zabrać biedakom? On zaś jej, Ryfce, po powrocie podaruje materiał na suknię.

Wszyscy troje nasłuchiwali w męczącej nadziei: a nuż ominą ich, może omylili się, może im się tylko zdawało i tamci zatrzymali się nie przed ich domem. Ale, jak gdyby burząc te nadzieje, rozległy się głuche uderzenia w drzwi sklepu.

Stary, srebrnowłosy Pejsach, o wystraszonych jak u dziecka, niebieskich oczach, stojąc przy drzwiach wiodących do sklepu, zaczął szeptać modlitwę. Modlił się do wszechmogącego Jehowy z całą żarliwością fanatyka. Błagał go, by odwrócił nieszczęście od tego domu, i stojąca obok niego staruszka, wsłuchana w szept modlitwy, nie od razu usłyszała zbliżające się kroki.

Ryfka ukryła się w najdalszym pokoju, za dużym dębowym kredensem.

Nagłe, mocne uderzenie w drzwi wstrząsnęło gwałtownym dreszczem ciała staruszków.

– Otwierać! – jeszcze brutalniejsze uderzenie i przekleństwa rozjuszonych ludzi.

Ale zabrakło sił, by podnieść rękę i otworzyć z haczyka.

Z zewnątrz gęsto walono kolbami. Drzwi podskoczyły na zawiasach i poddając się zatrzeszczały.

Dom napełnił się uzbrojonymi ludźmi plądrującymi po kątach. Drzwi do sklepu wyważono uderzeniem kolby. Weszli i odsunęli zasuwy zewnętrznych drzwi.

Zaczął się rabunek.

Gdy furmanki naładowano do samej góry materiałami, obuwiem i inną zdobyczą, Sałomyga udał się do mieszkania Hołuba i powracając do domu kupca usłyszał przeraźliwy krzyk.

Palanyca, zostawiając swoim ludziom plądrowanie sklepu, wszedł do pokoju. Potoczywszy po wszystkich trojgu swymi zielonkawymi rysimi oczami, rzekł zwracając się do starych:

– Wynoście się!

Ani ojciec, ani matka nie ruszali się z miejsca.

Palanyca postąpił krok naprzód i jął powoli wyciągać z pochwy szablę.

– Mamo! – krzyknęła rozdzierającym głosem córka.

Ten właśnie krzyk usłyszał Sałomyga.

Palanyca obrócił się do nadbiegłych żołnierzy i rzucił krótko:

– Wyrzućcie ich! – wskazał na starych, i gdy ich przemocą wypchnęli za drzwi, Palanyca rzekł do Sałomygi, który właśnie nadszedł: – Postój tutaj za drzwiami, a ja z dziewczyną trochę sobie pogadam.

Gdy stary Pejsach rzucił się na krzyk do drzwi, potężny cios w piersi odrzucił go ku ścianie. Starzec omdlał z bólu, ale wtedy w Sałomygę jak wilczyca wczepiła się zawsze cicha stara Tojba.

– Oj, puśćcie, co robicie?!

Rwała się do drzwi i Sałomyga nie mógł oderwać jej kurczowo wczepionych w żupan starczych palców.

Pejsach oprzytomniał i rzucił się na pomoc.

– Puśćcie, puśćcie!... O, moja córka!

We dwoje odepchnęli Sałomygę od drzwi. Wściekły wyrwał zza pasa nagan i żelazną rękojeścią uderzył starca w siwą głowę. Pejsach upadł bez słowa.

A z pokoju dobiegał krzyk Ryfki.

Gdy oszalałą Tojbę wywleczono na ulicę, rozległy się tam nieludzkie krzyki i wołanie o ratunek.

Krzyki w domu ustały.

Wyszedłszy z pokoju Palanyca nie patrząc na Sałomygę, który już ujął za klamkę, zatrzymał go:

– Nie chodź – udusiła się: trochę ją nakryłem poduszką. – I przestąpiwszy przez trupa Pejsacha wdepnął w ciemną, gęstą ciecz.

– Początek jakoś nie bardzo się udał – wybąkał po wyjściu na ulicę.

Za nimi wychodzili w milczeniu pozostali, nogi ich zostawiały na podłodze pokoju i na schodkach krwawe ślady.

W mieście szalał już pogrom. Wybuchały krótkie bójki między rabusiami, którzy jeszcze nie podzielili się zdobyczą, tu i ówdzie wzlatywały wyrwane z pochew szable. I prawie wszędzie odchodziło mordobicie.

Z piwiarni wytoczono na bruk dębowe dziewięciowiadrowe beczki.

Potem tłuszcza rozlała się po domach.

Nikt nie stawiał oporu. Plądrowali po izdebkach, wprawnie przeszukiwali kąty i wychodzili obładowani, pozostawiając po sobie rozrzucone kupy szmat i puchu z rozprutych poduszek i pierzyn. Pierwszego dnia były tylko dwie ofiary: Ryfka i jej ojciec, ale nadciągająca noc niosła z sobą nieuchronną zgubę.

Gdy zapadał wieczór, całe pstre stado szakali było spite do nieprzytomności. Zamroczeni petlurowcy wyczekiwali nocy.

Ciemność rozwiązała im ręce. W mroku łatwiej zmiażdżyć człowieka. Nawet szakal lubi noc, a przecież napada tylko na bezbronnych.

Wielu mieszkańców nie zapomni tych strasznych dwóch nocy i trzech dni. Ile złamanych, zniszczonych istnień, ile młodych głów osiwiałych w ciągu tych krwawych godzin, ile

wylanych łez i kto wie, czy szczęśliwsi byli ci, co pozostali żywi, z pustką w duszy, nieludzko dręczeni wspomnieniem doznanego pohańbienia i znęcania się, niewysłowioną tęsknotą za bliskimi, którzy zginęli bezpowrotnie. W wąskich zaułkach obojętne już na wszystko, z rozrzuconymi za siebie, zastygłymi w skurczu rękami, leżały młode dziewczęce ciała – poszarpane, umęczone, zgięte.

Jedynie nad samą rzeczką, w domku kowala Nauma, szakale, które rzuciły się na jego młodą żonę Sarę, napotkały zacięty opór. Kowal-atleta, kipiący siłą swych dwudziestu czterech lat, o stalowych mięśniach człowieka kującego młotem, nie oddał swej towarzyszki.

W krótkim zażartym starciu w małym domku jak zgniłe arbuzy pękły dwa petlurowskie łby. Straszny w swym gniewie straceńca kowal wściekle bronił dwóch istnień i długo słychać było suche wystrzały nad rzeczką, dokąd zwęszywszy niebezpieczeństwo zbiegli się hołubowcy. Zanim Naum wystrzelał wszystkie naboje, ostatnią kulą zabił Sarę, a sam z bagnetem rzucił się na spotkanie śmierci. Skoszony gradem ołowiu upadł swym ciężkim ciałem zaraz na pierwszym schodku.

Na wozach zaprzężonych w wypasione koniki zjawili się w miasteczku tędzy okoliczni chłopi, ładowali furmanki tym, co sobie upatrzyli, i wraz ze swymi synami i krewniakami z hołubowskiego oddziału uwijali się, by zdążyć obrócić dwa, trzy razy na wieś i z powrotem.

Sierioża Bruzżak, który wraz z ojcem ukrył w piwnicy i na strychu połowę kolegów z drukarni, wracając przez ogród warzywny do siebie, ujrzał biegnącego szosą człowieka.

Wymachując rękami, w długopołym połatanym chałacie, bez czapki, z twarzą zastygłą z przerażenia, biegł bez tchu stary Żyd. Za nim, szybko go doganiając, nachylony dla zadania ciosu, pędził na siwym koniu petlurowiec. Słysząc za

sobą tętent, starzec podniósł w górę ręce, jakby się bronił. Sierioża skoczył na drogę, rzucił się przed konia, zasłonił sobą starca.

– Nie rusz, bandyto, psie!

Jeździec gotową już do ciosu szablą uderzył płazem jasnowłosą młodzieńczą głowę.

V

zerwoni zawzięcie wypierali oddziały „naczelnego" atamana Petlury. Pułk Hołuba został wysłany na front. W miasteczku pozostał niewielki oddział dla ochrony tyłów i komendantura.

Ludzie zaczęli się ruszać. Ludność żydowska, korzystając z chwilowego spokoju, grzebała zabitych i w małych domkach dzielnicy żydowskiej znowu zaczęło się życie.

W ciche wieczory słychać było w mieście głuchy, przeciągły huk. Gdzieś niedaleko toczyły się walki.

Kolejarze rozchodzili się ze stacji po wsiach w poszukiwaniu pracy.

Gimnazjum było zamknięte.

W mieście ogłoszono stan wojenny.

Nieprzyjemna, pochmurna noc.

W takie noce nawet szeroko rozwarte źrenice nie mogą pokonać ciemności i ludzie posuwają się po omacku, na chybił trafił, narażając się na skręcenie karku w pierwszym lepszym rowie.

Mieszczuch wie: w takich czasach siedź w domu i nie pal daremnie światła. Światło może zwabić kogoś nieproszonego. W ciemnościach jest najlepiej, najspokojniej. Są ludzie, których zawsze gna jakiś niepokój. Niech sobie łażą, oni mieszczucha nic nie obchodzą. Ale on z domu nie wyjdzie. Bądźcie pewni, że nie wyjdzie.

W taką oto noc szedł człowiek.

Gdy dotarł do domku Korczagina, zastukał ostrożnie w ramę okienną, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zastukał powtórnie, mocniej i natarczywiej.

Pawka widzi we śnie: mierzy do niego z karabinu maszynowego jakaś dziwna istota, niepodobna do człowieka; on chce uciec, ale uciec nie ma gdzie, a karabin jakoś strasznie stuka.

Szyba dygocze od natarczywego stukania.

Paweł zerwał się z łóżka i podszedł do okna usiłując rozpoznać, kto stuka. Ale nic nie zobaczył prócz niewyraźnej ciemnej sylwety.

Był w domu sam. Matka wyjechała do starszej córki, której mąż pracował jako maszynista w cukrowni. Artiom zaś parał się kowalstwem w sąsiedniej wsi, zarabiając młotem na chleb.

Stukać mógł tylko Artiom.

Paweł postanowił otworzyć okno.

– Kto tam? – rzucił w mrok.

Za oknem poruszyła się jakaś postać i gruby stłumiony bas odparł:

– To ja, Żuchraj.

Na parapecie okna spoczęły dwie ręce i tuż przy twarzy Pawki wyrosła głowa Fiodora.

– Przyszedłem do ciebie na nocleg. Przyjmiesz, braciszku? – wyszeptał.

– Oczywiście – przyjaźnie odpowiedział Paweł. – Też pytanie! Właź wprost przez okno.

Masywna postać Fiodora wcisnęła się do pokoju. Zamknąwszy za sobą okno, Fiodor stał nasłuchując i gdy księżyc wyjrzał zza chmur oświetlając drogę, popatrzył na nią bacznie, po czym obrócił się do Pawła:

– Nie zbudzimy mamusi? Na pewno śpi?

Paweł powiedział Fiodorowi, że jest w domu sam. Marynarz poczuł się swobodniejszy i zaczął mówić głośniej:

– Te hycle, braciszku, zabrały się do mnie nie na żarty. Robią porachunki za ostatnie wydarzenia na stacji. Gdyby wśród naszej braci panowała większa zgoda, to moglibyśmy podczas pogromu zgotować „szarożupanowcom" należyte przyjęcie. Ale, rozumiesz, ludzie nie chcą jeszcze iść w ogień. To się nie udało. Teraz więc ścigają mnie. Dwa razy robili na mnie obławę. Dziś o mało nie wpadłem. Podchodzę, uważasz, do domu, oczywiście od tyłu, staję przy szopie. Patrzę: w ogrodzie ktoś stoi, przywarł do drzewa, ale zdradził go bagnet. Rozumie się, odbiłem od brzegu. I przylazłem do ciebie. Tutaj, braciszku, na kilka dni rzucę kotwicę. Nie masz nic przeciw temu? No to dobrze.

Żuchraj sapiąc ściągnął zbryzgane błotem buty.

Paweł był rad z przyjścia Żuchraja. W ostatnich dniach elektrownia była nieczynna i Paweł nudził się w pustym mieszkaniu.

Położyli się spać. Paweł zasnął od razu, a Fiodor długo palił. Potem wstał z łóżka i cicho stąpając bosymi nogami podszedł do okna. Długo wyglądał na ulicę; wróciwszy do łóżka zasnął, pokonany zmęczeniem. Jego ręka, wsunięta pod poduszkę, spoczywała na ciężkim kolcie, ogrzewając rewolwer swoim ciepłem.

Nieoczekiwane nocne przyjście Żuchraja i stałe obcowanie z nim w ciągu tych ośmiu dni odegrało w życiu Pawła doniosłą rolę. Po raz pierwszy usłyszał od marynarza tyle rzeczy przejmujących, ważnych i nowych i te dni stały się dla młodego palacza decydujące.

Marynarz, osaczony ze wszystkich stron jak w pułapce, korzystając z przymusowej bezczynności, cały żar swego gniewu i palącej nienawiści do uciskających kraj „żółto-błękitnych" przelewał w chciwie słuchającego go Pawła.

Żuchraj mówił obrazowo, dobitnie, zrozumiale, prostym językiem. Nie było dla niego żadnych kwestii wątpliwych.

Marynarz dobrze wiedział, do czego dąży, i Paweł zaczął rozumieć, że cały ten kłębek różnych partii o pięknie brzmiących nazwach: socjalrewolucjoniści, socjaldemokraci, Polska Partia Socjalistyczna – to zaciekli wrogowie robotników, a jedyna rewolucyjna, niezłomna, walcząca przeciw wszystkim bogaczom – to partia bolszewików.

Dawniej Paweł beznadziejnie gubił się w tym wszystkim.

I dorosły, mocny człowiek, świadomy bolszewik, osmagany wichrami morskimi, od tysiąc dziewięćset piętnastego roku członek SDPRR(b), marynarz Floty Bałtyckiej Fiodor Żuchraj odsłaniał okrutną prawdę życia patrzącemu nań oczarowanymi oczami młodemu palaczowi.

– Ja, braciszku, w dzieciństwie byłem też czymś w twoim rodzaju – mówił. – Nie wiedziałem, gdzie podziać nadmiar sił rozpierający moją krnąbrną naturę. Żyłem w biedzie. Patrzę, bywało, na sytych i wystrojonych pańskich synków i nienawiść mnie ogarnia. Biłem ich nieraz bez litości, ale z tego był tylko taki pożytek, że dostawałem od ojca porządnie w skórę. Kto się bije w pojedynkę – życia nie odmieni. Ty, Pawłusza, masz w sobie wszystkie dane po temu, by zostać dobrym bojownikiem sprawy robotniczej, tylko że młody bardzo jesteś i masz bardzo słabe pojęcie o walce klasowej. Powiem ci, braciszku, jaka droga jest prawdziwa, gdyż wiem, że będą z ciebie ludzie. Pokornych i fałszywych nie znoszę. Teraz na całym świecie rozgorzał pożar. Powstali niewolnicy i muszą zepchnąć na dno stare życie. Ale do tego potrzebna jest dzielna brać, nie mamine synki, lecz ludzie z gatunku mocnych, którzy przed walką nie chowają się w szpary jak karaluchy przed światłem, lecz biją bez pardonu.

Z całych sił uderzył pięścią w stół.

Żuchraj wstał, wsadził ręce w kieszenie i chmurny zaczął chodzić po pokoju.

Przygnębiała go bezczynność. Bardzo żałował, że został w tym miasteczku, i uważając dalszy pobyt tutaj za bezuży-

teczny, twardo postanowił przedostać się przez front, by spotkać czerwone oddziały.

W mieście pozostawała grupa złożona z dziewięciu członków partii, która miała prowadzić dalej robotę.

„Obejdzie się beze mnie, a ja nie mogę dłużej siedzieć z założonymi rękami. Dosyć tego, i tak zmarnowałem dziesięć miesięcy" – z rozdrażnieniem myślał Żuchraj.

– Kim ty jesteś, Fiodor? – zapytał go pewnego razu Paweł.

Żuchraj wstał, wsadził ręce w kieszenie. W pierwszej chwili nie zrozumiał pytania.

– A co, nie wiesz, kim jestem?

– Myślę, że jesteś bolszewikiem lub komunistą – cicho odpowiedział Paweł.

Żuchraj roześmiał się, żartobliwie uderzył się w szeroką pierś, obciśniętą pasiastą koszulką.

– Oczywiście, braciszku. Jest to taki sam fakt, jak to, że „bolszewik" czy „komunista" znaczy jedno i to samo. – I od razu spoważniał. – Skoro to rozumiesz, pamiętaj, że nikomu nigdzie nie należy o tym mówić, jeżeli nie chcesz, żeby ze mnie flaki wypruto. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – stanowczym tonem rzekł Paweł.

Z podwórza dochodziły głosy i ktoś bez stukania otworzył drzwi. Ręka Żuchraja szybko zsunęła się do kieszeni, ale natychmiast się cofnęła. Do pokoju wchodził z obandażowaną głową Sierioża Bruzżak, wychudły, blady. Za nim weszli Wala i Klimka.

– Jak się masz, diable – Sierioża z uśmiechem podał Pawce rękę. – Wybraliśmy się do ciebie w odwiedziny we troje. Wala mnie nie puszcza samego, boi się. A znów Klimka nie puszcza Wali samej, bo też się boi. Choć jest rudy, zdaje sobie sprawę, kogo i dokąd niebezpiecznie jest puszczać samego.

Wala żartobliwie zasłoniła mu dłonią usta.

– Ach ty paplo – zaśmiała się. – On dzisiaj Klimce żyć nie daje.

Klimka śmiał się dobrodusznie, szczerząc białe zęby.

– Czego można chcieć od człowieka chorego? Kociołek ma uszkodzony, więc gada od rzeczy.

Wszyscy się roześmieli.

Sierioża, który jeszcze niezupełnie powrócił do zdrowia po otrzymaniu ciosu szablą, ulokował się na łóżku Pawki i niebawem toczyła się między przyjaciółmi ożywiona rozmowa. Zawsze wesoły, nie tracący animuszu Sieriożka, teraz przycichły i zgaszony, opowiadał Żuchrajowi, jak go uderzył petlurowiec.

Żuchraj znał wszystkich gości Pawła. Nieraz był u Bruzżaków. Podobała mu się ta młodzież, która nie znalazła jeszcze swej drogi w wirze walki, lecz zdecydowanie dawała już wyraz dążeniom swej klasy. Z uwagą słuchał opowiadań chłopców o tym, jak każdy z nich pomagał ukrywać u siebie rodziny żydowskie, ratując je od pogromu. Tego wieczora rewolucjonista dużo mówił o bolszewikach, o Leninie, pomagając każdemu z młodych zrozumieć sens obecnych wydarzeń.

Późno już było, gdy Paweł odprowadził gości.

Żuchraj wychodził wieczorem i wracał w nocy. Przed wyjazdem omawiał z pozostającymi towarzyszami sprawy dotyczące ich roboty.

Tej nocy Żuchraj nie wrócił. Obudziwszy się rano Paweł zobaczył, że łóżko jest puste.

Tknięty jakimś niejasnym przeczuciem Korczagin szybko się ubrał i wyszedł z domu. Zamknął mieszkanie, klucz położył na umówionym miejscu i poszedł do Klimki w nadziei, że od niego dowie się czegoś o Fiodorze. Matka Klimki, przysadzista kobieta o szerokiej, dziobatej twarzy, prała bieliznę i na pytanie Korczagina, czy nie wie, gdzie jest Fiodor, odpowiedziała opryskliwie:

– A cóż to, nie mam nic lepszego do roboty, jak pilnować twojego Fiodora? Przez niego, diabła koślawego, u Zozulichy cały dom do góry nogami przewrócili. A tobie do czego on

potrzebny? Też sobie kompana obrali! Znaleźli się kamraci: Klimka, ty... – z pasją wyżymała bieliznę.

Matka Klimki miała ostry język, była kłótliwa.

Od Klimki poszedł Paweł do Sierioży. Powiedział o swym niepokoju. Do rozmowy wtrąciła się Wala:

– Czego się niepokoisz? Może u znajomych został. – Ale w jej głosie nie czuło się przekonania.

Paweł nie mógł usiedzieć u Bruzżaków. Wyszedł, choć nalegali, by został na obiedzie.

Szedł do domu z nadzieją, że ujrzy Żuchraja.

Drzwi były zamknięte na klucz. Zatrzymał się przygnębiony: nie miał ochoty iść do pustego mieszkania.

Kilka minut stał na podwórzu, rozmyślając, tknięty jakimś niejasnym przeczuciem poszedł do szopy, wlazł pod dach i odgarniając koronki pajęczyny wydobył z tajemniczego kącika zawinięty w szmaty, ciężki rewolwer.

Wyszedłszy z szopy i czując w kieszeni niepokojący ciężar rewolweru, udał się na stację.

O Żuchraju nic się nie dowiedział i wracając drogą powrotną obok znajomego dworku nadleśniczego zwolnił kroku. Z mglistą nadzieją patrzył w okna domu, lecz ani w domu, ani w ogrodzie nikogo nie było widać. Gdy minął dworek, obejrzał się na zasłane rdzawymi, zeszłorocznymi liśćmi ścieżki ogrodu, który robił teraz wrażenie opustoszałego i zaniedbanego. Widać tu było brak ręki zabiegliwego gospodarza i od tej pustki i ciszy dużego, starego domu zrobiło się Pawłowi jeszcze smutniej.

Ostatnie nieporozumienie z Tonią było najpoważniejsze ze wszystkich, jakie zaszły dotychczas między nimi. Wynikło ono niespodziewanie, prawie miesiąc temu.

Idąc wolno do miasta, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie, Paweł przypomniał sobie, jak wybuchła sprzeczka.

Podczas jednego z przypadkowych spotkań na drodze Tonia zaprosiła go do siebie.

– Rodzice idą do Bolszańskich na imieniny. Będę w domu sama. Przyjdź, Pawłusza, będziemy czytać bardzo ciekawą książkę Leonida Andrejewa – „Saszka Żygulow". Już ją przeczytałam, ale z tobą przeczytam ponownie z przyjemnością. Bardzo miło spędzimy wieczór. Przyjdziesz?

Spod białej czapeczki, ściśle przylegającej do gęstych kasztanowatych włosów, patrzyły na Korczagina wyczekująco jej wielkie oczy.

– Przyjdę.

I pożegnali się.

Paweł spieszył się do maszyn i na myśl, że ma przed sobą cały wieczór w towarzystwie Toni, wydawało mu się, iż ogień w piecach płonie jaśniej, a polana trzaskają weselej.

Tegoż wieczora, gdy Paweł zastukał do szerokich drzwi frontowych, otworzyła mu Tonia. Nieco zmieszana powiedziała:

– Mam gości. Nie spodziewałam się ich, Pawłusza, ale nie odchodź.

Korczagin zawrócił ku drzwiom zamierzając odejść.

– Chodź – chwyciła go za rękaw. – Znajomość z tobą będzie dla nich pożyteczna. – I objąwszy go ramieniem poprowadziła przez jadalnię do siebie.

W swoim pokoju zwróciła się do siedzącej tam młodzieży i uśmiechając się powiedziała:

– Nie znacie się? Mój przyjaciel, Paweł Korczagin.

Przy małym stoliku na środku pokoju siedzieli: Liza Sucharko, przystojna smagła gimnazjalistka, z kapryśnie zarysowanymi usteczkami, kokieteryjnie uczesana, jakiś nie znany Pawłowi wysoki młodzian w dobrze skrojonej czarnej marynarce, z przylizanymi błyszczącymi od wężetalu włosami i szarymi znudzonymi oczyma, a między nimi w eleganckiej uczniowskiej kurtce Wiktor Leszczyński. Paweł zauważył go pierwszego, gdy tylko Tonia otworzyła drzwi.

Leszczyński od razu poznał Korczagina i jego cienkie strzeliste brwi uniosły się ze zdziwienia.

Paweł stał przez kilka chwil w drzwiach i milcząc mierzył Wiktora palącym nieprzyjaznym spojrzeniem. Tonia, chcąc czym prędzej przerwać to krępujące milczenie, zaprosiła Pawła, by wszedł, i zwracając się do Lizy powiedziała:

– Poznajcie się.

Liza Sucharko, z ciekawością przyglądając się nowemu gościowi, uniosła się na krześle.

Paweł gwałtownie odwrócił się na pięcie i szybko poszedł przez na wpół ciemną jadalnię w stronę wyjścia. Tonia dopędziła go, gdy był już na ganku, i chwyciwszy za ramiona rzekła ze wzburzeniem:

– Czemuś wyszedł? Właśnie chciałam, żeby się z tobą poznali.

Ale Paweł zdjął z ramion jej ręce i odparł szorstko:

– Nie chcę, żeby mnie wystawiano na pokaz przed tym cymbałem. Nie odpowiada mi przebywanie w tym towarzystwie. Dla ciebie może są sympatyczni, lecz ja ich nienawidzę. Nie wiedziałem, że się z nimi przyjaźnisz, inaczej nigdy bym do ciebie nie przyszedł.

Tonia hamując oburzenie przerwała mu:

– Jakim prawem mówisz do mnie w ten sposób? Ja cię nie pytam, z kim się przyjaźnisz i kto do ciebie przychodzi.

Paweł, schodząc po stopniach do ogrodu, rzucił ostro:

– Niech więc sobie nadal przychodzą, ale ja więcej nie przyjdę. – I pobiegł do furtki.

Od tej pory nie widział się z Tonią. Podczas pogromu, gdy Paweł razem z monterem ukrywali w elektrowni szukające ratunku rodziny żydowskie, sprzeczka z Tonią wyleciała mu z pamięci. Dzisiaj zaś znowu zapragnął się z nią spotkać.

Zniknięcie Żuchraja i oczekująca go samotność w mieszkaniu działały na niego przygnębiająco. Szara wstęga szosy jeszcze nie obeschłej z wiosennego błota, z wybojami pełnymi burej bryi, skręcała na prawo.

Za bezsensownie wysuniętym na samą drogę domem, z obłupaną, jakby pokrytą liszajem ścianą, schodziły się dwie ulice.

Na skrzyżowaniu ulic, przy rozbitym kiosku z wyłamanymi drzwiami i odwróconym do góry nogami szyldem „Sprzedaż wód mineralnych", Wiktor Leszczyński żegnał się z Lizą.

Zatrzymując jej rękę w swojej, mówił, znacząco patrząc dziewczynie w oczy:

– Przyjdzie pani? Nie zrobi mi zawodu?

Liza odpowiedziała zalotnie:

– Przyjdę, przyjdę, niech pan na mnie czeka.

Odchodząc uśmiechnęła się do niego obiecująco piwnymi, powleczonymi lekką mgiełką oczami.

Uszedłszy z dziesięć kroków Liza ujrzała dwóch ludzi, którzy wyszli spoza zakrętu na szosę. Na przedzie szedł barczysty robotnik o szerokiej piersi, w rozpiętej marynarce, spod której wyglądała koszulka pasiasta, w czarnej nasuniętej na czoło czapce; pod okiem miał ciemny siniak.

Szedł pewnym krokiem, na lekko zgiętych nogach miał krótkie żółte buty.

O trzy kroki za nim, prawie dotykając jego pleców ostrzem bagnetu, szedł petlurowiec w szarym żupanie, z dwiema ładownicami u pasa.

Spod kosmatej czapki patrzyły na aresztowanego wąskie, czujne oczy. Żółte, przesycone dymem machorki wąsy sterczały nastroszone.

Liza, zwolniwszy nieco kroku, przeszła na drugą stronę szosy. A z tyłu za nią wychodził na szosę Paweł.

Skręcając na prawo do domu on także zauważył idących. Nogi wrosły mu w ziemię. W tym, który szedł na przedzie, od razu poznał Żuchraja.

„A więc to dlatego nie wrócił!"

Żuchraj zbliżał się. Serce Korczagina zabiło gwałtownie. Myśli biegły jedna za drugą, nie można było pochwycić ich

i nadać im kształtu. Za mało miał czasu na powzięcie decyzji. Jedno było pewne. Żuchraj był stracony.

I patrząc na zbliżających się Paweł gubił się w natłoku ogarniających go uczuć.

„Co robić?"

W ostatniej chwili przypomniał sobie: w kieszeni ma rewolwer. Gdy tylko przejdą obok niego, strzelić w plecy temu z karabinem i wtedy Fiodor jest wolny. I ta nagła decyzja przerwała taniec myśli. Mocno, do bólu ścisnął zęby. Przecież nie dalej jak wczoraj Fiodor mówił mu: „A do tego potrzebna jest dzielna brać..."

Paweł szybko się rozejrzał. Ulica wiodąca do miasta była wolna. Nie było na niej żywego ducha. Przed nim pospiesznie przechodziła kobieca figurka w krótkim wiosennym płaszczu. Ta nie przeszkodzi. Przecznicy za skrzyżowaniem ulic nie mógł widzieć. Tylko w dali na drodze do stacji widać było postacie ludzkie.

Paweł podszedł do skraju szosy. Żuchraj ujrzał Korczagina, gdy chłopiec był w odległości kilku kroków od niego.

Zerknął nań jednym okiem. Drgnęły gęste brwi. Poznał i zaskoczony przystanął. Plecy jego natknęły się na ostrze bagnetu.

– No ty, ruszaj się tam, bo zdzielę cię kolbą! – wrzasnął konwojent piskliwym falsetem.

Żuchraj zaczął stawiać większe kroki. Chciał coś powiedzieć Pawłowi, lecz wstrzymał się i jakby na znak powitania skinął ręką.

Gdy Żuchraj przechodził obok niego, Paweł obawiając się zwrócić na siebie uwagę rudowąsego odwrócił się, jak gdyby wszystko, co się tu działo, było mu obojętne.

Ale w głowie świdrowała trwożna myśl: „Jeżeli strzelę i chybię, kula może trafić Żuchraja".

Czyż można było zastanawiać się, gdy petlurowiec był już o krok od niego?

I stało się tak: kiedy rudowąsy konwojent mijał Pawła, ten

raptownie skoczył ku niemu, chwycił za karabin i gwałtownym ruchem przygiął go do ziemi.

Bagnet zazgrzytał o kamień.

Petlurowiec nie spodziewał się napaści i na chwilę zbaraniał, ale wnet z całych sił szarpnął karabin ku sobie. Napierając całym ciałem Paweł utrzymał karabin w rękach. Huknął strzał. Kula uderzyła o kamień i, odbiwszy się, rykoszetem wpadła do rowu.

Na huk wystrzału Żuchraj odskoczył i obejrzał się. Rozwścieczony konwojent wydzierał karabin z rąk Pawła, wykręcając chłopcu ręce. Ale Paweł nie wypuszczał broni. Wtedy rozjuszony petlurowiec gwałtownym pchnięciem zwalił Pawła na ziemię. Jednak i ta próba uwolnienia karabinu nie udała się. Padając na bruk Paweł pociągnął za sobą konwojenta i nie było siły, która by go zmusiła wypuścić broń w takiej chwili.

W dwóch susach Żuchraj znalazł się przy nich. Żelazna pięść zakreśliwszy łuk spadła na głowę konwojenta, a po chwili petlurowiec, oderwany od leżącego na ziemi Korczagina, otrzymawszy dwa mocne ciosy w twarz, niczym ciężki wór zwalił się do rowu.

Te same silne ręce podniosły z ziemi Pawła i postawiły go na nogi.

Wiktor, który oddalił się od skrzyżowania ulic o jakieś sto kroków, szedł pogwizdując „Kobieta zmienną jest". Był jeszcze pod wrażeniem spotkania z Lizą i jej obietnicy, że jutro przyjdzie na schadzkę do opuszczonej fabryki.

Wśród gimnazjalistów zawzięcie umizgających się do dziewcząt Liza Sucharko miała opinię śmialej w sprawach miłosnych.

Bezczelny i pewny siebie Siemion Zaliwanow opowiedział pewnego razu Wiktorowi, że posiadł Lizę. I chociaż Leszczyński niezupełnie wierzył Siomce, Liza była dla niego bardzo

interesującym i ponętnym obiektem, toteż postanowił przekonać się jutro, czy Zaliwanow mówił prawdę.

„Jeżeli tylko przyjdzie, będę stanowczy. Przecie pozwala się całować. I jeżeli Siomka nie łgał..." Tu jego myśli urwały się: usunął się z drogi, robiąc miejsce dwóm petlurowcom. Jeden z nich jechał na koniku z krótko obciętym ogonem, wymachując brezentowym wiadrem – widocznie zamierzał poić konia. Drugi, w krótkim kaftanie, w szerokich granatowych szarawarach, opowiadał coś wesołego trzymając jeźdźca za kolano.

Gdy go minęli, Wiktor zamierzał iść dalej, lecz zatrzymał się usłyszawszy wystrzał na szosie. Odwrócił się i ujrzał, jak jeździec szarpnął konia i pomknął w stronę, skąd rozległ się strzał. Za nim biegł drugi, przytrzymując ręką szablę.

Leszczyński pobiegł za nimi i gdy był już blisko szosy usłyszał drugi wystrzał. Spoza zakrętu pędził w stronę Wiktora jeździec. Bił konia nogami i brezentowym wiadrem, a skoczywszy w pierwsze wrota krzyknął do znajdujących się na podwórzu:

– Chłopcy, do broni, tam zabili jednego z naszych!

Po chwili z podwórza wybiegło kilku petlurowców szczękając zamkami karabinów.

Wiktora aresztowano.

Na szosie zebrała się grupka ludzi. Wśród nich znaleźli się Wiktor i Liza, zatrzymana jako świadek.

Z przestrachu stanęła jak wryta, gdy obok niej przebiegli Żuchraj i Korczagin. W młodzieńcu, który napadł na petlurowca, poznała ze zdumieniem tego, którego chciała jej przedstawić Tonia.

Paweł i Fiodor, jeden po drugim, przeskoczyli przez ogrodzenie jakiejś sadyby i w tejże chwili na szosę wpadł jeździec. Ujrzawszy zbiegłego z karabinem Żuchraja i usiłującego podnieść się z ziemi konwojenta, popędził konia ku ogrodzeniu.

Żuchraj odwrócił się, wycelował z karabinu i strzelił. Jeździec gwałtownie zawrócił.

Ledwie ruszając poranionymi wargami konwojent opowiedział o tym, co się stało.

– Cóż ty, bałwanie, wypuściłeś sprzed nosa aresztanta? Dostaniesz teraz za to dwadzieścia pięć stempli w tyłek.

Konwojent odciął się ze złością:

– Widzisz go, mądralę. „Wypuściłeś sprzed nosa". A któż mógł wiedzieć, że to ścierwo rzuci się na mnie jak wściekłe?

Lizę też przesłuchiwano. Powiedziała to samo, co konwojent, lecz zataiła, że zna napastnika. Pomimo to Wiktora i Lizę zaprowadzono do komendantury.

Dopiero wieczorem na rozkaz komendanta zostali zwolnieni.

Komendant zaproponował nawet, że osobiście odprowadzi Lizę do domu. Ale odmówiła. Od komendanta zalatywało wódką i jego propozycja nie wróżyła nic dobrego.

Lizę odprowadził Wiktor.

Do stacji było daleko i Wiktor idąc pod rękę z Lizą cieszył się z tego, co zaszło.

– A czy pan wie, kto odbił aresztowanego? – zapytała Liza, gdy podchodzili do jej domu.

– Nie, skądże mam wiedzieć?

– Pamięta pan ów wieczór, kiedy Tonia chciała nas poznać z pewnym młodym człowiekiem?

Wiktor przystanął.

– Z Pawłem Korczaginem? – spytał zdumiony.

– Tak, zdaje się, że nazywa się Korczagin. Pamięta pan, taki dziwnie zachowywał się i wyszedł. To był właśnie on.

Wiktor osłupiał.

– Czy pani się nie myli? – zapytał Lizy.

– Nie, doskonale zapamiętałam jego twarz.

– Czemu pani nie powiedziała o tym komendantowi?

Liza oburzyła się.

– Pan sądzi, że mogłabym popełnić taką podłość?

– Co pani uważa za podłość? Powiedzieć, kto napadł na konwojenta, to według pani podłość?

– A według pana to jest uczciwe? Pan zapomniał, co oni robią. Czy pan nie wie, ile jest w gimnazjum żydowskich sierot, i pan chce, żebym im jeszcze powiedziała o Korczaginie? Dziękuję, nie przypuszczałam.

Leszczyński nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie miał zamiaru kłócić się z Lizą. Starał się więc zmienić temat.

– Lizo, proszę się nie gniewać, to był tylko żart. Nie wiedziałem, że pani ma takie surowe zasady.

– Żart był niesmaczny – oschle odpowiedziała Liza.

Żegnając się przed domem Sucharków Wiktor zapytał:

– Lizo, przyjdzie pani?

Usłyszał nieokreśloną odpowiedź:

– Nie wiem.

Idąc do miasta rozmyślał: „No, jeżeli mademoiselle uważa to za nieuczciwe, to ja jestem zupełnie innego zdania. Oczywiście jest mi wszystko jedno, kto kogo uwolnił".

On, polski szlachcic, Leszczyński, miał wstręt i do jednych, i do drugich. I tak przecież wkrótce przyjdą polskie legiony i wówczas będzie prawdziwa władza, prawdziwie szlachecka władza Rzeczypospolitej. Ale w danym wypadku nadarza się okazja zlikwidowania tego łotra Korczagina. Oni mu szybko ukręcą głowę.

Wiktor był teraz w miasteczku sam. Mieszkał u ciotki, żony wicedyrektora cukrowni. Ojciec z matką i z Nelli dawno już mieszkał w Warszawie, gdzie Zygmunt Leszczyński zajmował wybitne stanowisko.

Znalazłszy się przed komendanturą Wiktor skierował się w stronę otwartych drzwi.

Po pewnym czasie w asyście czterech petlurowców szedł do domu Korczaginów.

Wskazując okno, w którym się świeciło, rzekł cicho:

– To tutaj. – I zwróciwszy się do stojącego obok chorążego zapytał: – Mogę iść?

– Proszę bardzo. Damy sobie radę sami. Dziękuję za przysługę.

Wiktor oddalił się szybko trotuarem.

Po otrzymaniu ostatniego ciosu w plecy Paweł natknął się wyciągniętymi rękami na ścianę ciemnego pokoju, do którego go wepchnięto. Namacawszy coś w rodzaju pryczy, usiadł zmęczony, zbity, zgnębiony.

Aresztowano go wtedy, gdy wcale się tego nie spodziewał. Jak mogli się o nim dowiedzieć petlurowcy? Przecie nikt go nie widział. Co teraz będzie? Gdzie Żuchraj?

Rozstał się z marynarzem w domu Klimki. Paweł poszedł do Sieriożki, a Żuchraj czekał, aż nadejdzie wieczór, żeby wydostać się z miasta.

„Jak to dobrze, że schowałem rewolwer we wronim gnieździe – pomyślał Paweł. – Przecież gdyby go znaleźli, przepadłbym z kretesem. Ale jak oni się dowiedzieli?" Na dręczące pytanie nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Petlurowcy niewiele mieli pociechy z dobytku Korczaginów. Ubranie i harmonię brat zabrał na wieś. Matka wywiozła swój kuferek i myszkującym po kątach petlurowcom dostało się bardzo niewiele.

Nigdy za to nie zapomni Paweł drogi z domu do komendantury. Noc ciemna choć oko wykol. Niebo zasnute chmurami. Popychany z boków i z tyłu niemiłosiernymi szturchańcami, szedł na wpół przytomny, w stanie dziwnego otępienia.

Za drzwiami słychać było jakieś głosy. W sąsiednim pokoju mieściła się straż komendantury. Spod drzwi padała jasna smużka światła. Korczagin wstał i trzymając się ściany, po omacku obszedł pokój. Naprzeciw pryczy namacał okno z grubą zębatą kratą. Dotknął jej ręką – mocno wmurowana. Widocznie była tu dawniej spiżarnia.

Dobrnąwszy do drzwi, postał chwilę, nasłuchując. Potem lekko nacisnął klamkę. Drzwi ohydnie skrzypnęły.

– Ścierwo nie naoliwione! – zaklął Paweł.

Przez wąską szparę ujrzał na brzegu pryczy czyjeś zarosłe brudem, z rozcapierzonymi palcami nogi. Jeszcze jedno pociśnięcie klamki i drzwi już bezczelnie zaskrzypiały. Z pryczy podniosła się zaspana, rozczochrana postać i drapiąc zajadle wszystkimi pięcioma palcami zawszoną głowę zaczęła wyrzucać z siebie potok słów. Gdy ośmiopiętrowe wymyślne przekleństwa, wypowiadane leniwym, monotonnym głosem, zakończyły się, postać dotknąwszy stojącego w głowach karabinu, flegmatycznie wyrzekła:

– Zamknij drzwi, a jeżeli mi choć raz jeszcze wyjrzysz, to tak dostaniesz w...

Paweł przymknął drzwi. W sąsiednim pokoju rechotali.

Tej nocy wiele przemyślał. Pierwsza próba wtrącenia się do walki skończyła się dla niego, Korczagina, porażką. Zaledwie zrobił pierwszy krok, a już go złapali i zamknęli jak mysz w pułapce.

I gdy siedząc zapadł w niespokojny półsen, wypłynął przed nim obraz matki, jej chudziutka pomarszczona twarz, z tak dobrze mu znanymi kochanymi oczami. Zaświtała myśl: „Dobrze, że jej nie ma, mniej się trapi".

Okno zaczynało się rysować na podłodze szarym kwadratem.

Ciemność powoli rzedła. Zbliżał się świt.

VI

dużym, starym domu świeciło się tylko w jednym oknie, zasłoniętym firanką. Na podwórzu zaszczekał imponującym basem uwiązany na łańcuchu Trezor.

Na wpół drzemiąc Tonia słyszy cichy głos matki:

– Nie, jeszcze nie śpi. Proszę wejść, Lizo.

Lekkie kroki i serdeczny, impulsywny uścisk przyjaciółki rozpraszają resztki drzemki.

Tonia uśmiecha się znużonym uśmiechem.

– Dobrze, Lizo, żeś przyszła: mamy radosny dzień – wczoraj minął kryzys w chorobie ojca i dziś śpi spokojnie przez cały dzień. Myśmy z mamą też odpoczywały po bezsennych nocach. Opowiadaj, Lizo, wszystkie nowiny. – Tonia przyciąga przyjaciółkę do siebie na kanapę.

– O, nowin jest huk! Niektóre mogę opowiedzieć tylko tobie – śmieje się Liza spoglądając figlarnie na Katarzynę Michajłownę.

Matka Toni, dobrze prezentująca się dama o żywych ruchach młodej dziewczyny pomimo swych trzydziestu sześciu lat, o mądrych szarych oczach i nieładnej, lecz miłej, energicznej twarzy, uśmiechnęła się.

– Z przyjemnością pozostawię was same za kilka minut. A teraz proszę podzielić się nowinami dostępnymi dla wszystkich – żartowała przysuwając krzesło do kanapy.

– Pierwsza nowina: przestajemy się uczyć. Rada szkolna postanowiła wydać siódmej klasie świadectwa ukończenia szkoły. Bardzo się z tego cieszę – z ożywieniem ciągnęła Li-

za. – Tak mi obrzydła ta algebra i geometria! I po co tego wszystkiego się uczyć? Chłopcy, być może, będą się dalej uczyć, choć sami nie wiedzą gdzie. Wszędzie fronty, bitwy. Coś okropnego!... Nas wydadzą za mąż, a od żony żadnej algebry się nie wymaga. – Mówiąc to roześmiała się.

Posiedziawszy trochę z dziewczętami Katarzyna Michajłowna poszła do swego pokoju.

Liza przysunęła się bliżej do Toni i objąwszy przyjaciółkę, szeptem opowiedziała jej o zajściu na skrzyżowaniu ulic.

– Wyobraź sobie, Tonieczko, moje zdziwienie, gdy poznałam w uciekającym... jak myślisz kogo?

Tonia, która z zaciekawieniem słuchała opowiadania, nie mogąc się domyślić, wzruszyła ramionami.

– Korczagina! – jednym tchem wypaliła Liza.

Tonia drgnęła i skuliła się boleśnie.

– Korczagina?

Liza, rada z wywołanego wrażenia, już opisywała swoją kłótnię z Wiktorem.

Pochłonięta opowiadaniem, nie zauważyła, jaką bladością pokryła się twarz Tumanowej, jak nerwowo jej smukłe palce mięły tkaninę granatowej bluzki. Liza nie wiedziała, jaka trwoga ściska serce Toni, nie wiedziała, dlaczego tak niespokojnie drgają gęste rzęsy jej pięknych oczu.

Tonia już nie słyszała opowiadania o pijanym chorążym; w głowie kołowała jedna tylko myśl: „Wiktor Leszczyński wie, kto dokonał napadu. Po co Liza powiedziała mu o tym?" I mimo woli głośno wypowiedziała tę myśl.

– Co powiedziałam? – nie zrozumiała Liza.

– Po co powiedziałaś Leszczyńskiemu o Pawłuszy, to znaczy o Korczaginie. Przecież on go wyda...

Liza zaoponowała:

– Ależ nie! Nie sądzę. Po cóż właściwie miałby to robić?

Tonia gwałtownie usiadła ścisnąwszy rękami kolana aż do bólu.

– Ty, Lizo, nic nie rozumiesz! On i Korczagin to wrogowie, a do tego dochodzi jeszcze jedna okoliczność... Popełniłaś wielki błąd mówiąc Wiktorowi o Pawłuszy.

Liza dopiero teraz spostrzegła zdenerwowanie Toni, a słowo „Pawłuszy", które przypadkiem wymknęło się przyjaciółce, otworzyło dziewczynie oczy na sprawy, których dotychczas się tylko mgliście domyślała.

Czując się mimo woli winną Liza umilkła zakłopotana.

„A więc to prawda – myślała. – Dziwne, że Tonia nagle tak się zakochała, i to w kim? – w prostym robotniku..." Miała wielką ochotę pomówić z nią na ten temat, ale przez delikatność powstrzymywała się. Starając się czymś okupić swoją winę chwyciła Tonię za ręce.

– Bardzo się niepokoisz, Tonieczko?

Tonia odpowiedziała z roztargnieniem:

– Nie, być może, że Wiktor jest uczciwszy, niż przypuszczam.

Wkrótce przyszedł Diemianow, skromny, ociężały chłopiec, kolega ich z tej samej klasy.

Od chwili jego przyjścia dziewczynom już się nie kleiła rozmowa.

Odprowadziwszy przyjaciół do furtki Tonia długo stała sama. Oparta o furtkę patrzyła na ciemny pas drogi wiodącej do miasta. Owiewał ją – nasycony na przedwiośniu chłodną wilgocią i wonią zbutwiałych liści – wieczny włóczęga wiatr. Nieprzyjemnie mrugały w dali mętnymi czerwonymi źrenicami okienka miejskich domków. Tam oto znajduje się obce jej miasteczko. W nim pod jednym z dachów, nie wiedząc, co mu grozi, przebywa jej buntowniczy przyjaciel. I możliwe, że zapomniał o niej. Ileż dni upłynęło od ich ostatniego spotkania? Wtedy nie miał racji, ale to wszystko już dawno zapomniała. Jutro go zobaczy i znów powróci przyjaźń, wzruszająca, dobra. Powróci, Tonia wie o tym. Byle tylko nie zdradziła noc. Noc jest jakaś niedobra, jak gdyby przyczaiła się, wyczekuje... Zimno.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na drogę, Tonia wróciła do domu. W łóżku, otulając się kołdrą, zasypiała z myślą: „Byle tylko nie zdradziła noc!..."

Wczesnym rankiem, gdy w domu wszyscy jeszcze spali, Tonia wstała i ubrała się szybko. Cicho, by nikogo nie obudzić, wyszła na podwórze, odwiązała Trezora, wielkiego kudłatego psa, i poszła z nim do miasta. Przed domem Korczagina zatrzymała się na chwilę w niepewności, po czym pchnąwszy furtkę weszła na podwórze. Trezor biegł przodem merdając ogonem...

Tegoż wczesnego ranka wrócił ze wsi Artiom. Przyjechał wozem wraz z kowalem, u którego pracował. Wziął na plecy worek z zarobioną mąką, wszedł na podwórze. Za nim kowal niósł resztę manatków.

Przy otwartych drzwiach Artiom zrzucił worek z pleców i zawołał:

– Pawka!

Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

– Wnoś do mieszkania. Czegoś stanął?! – rzekł podchodząc do niego kowal.

Złożywszy manatki w kuchni Artiom wszedł do pokoju – i osłupiał. Wszystko było przetrząśnięte, poprzewracane, na podłodze leżały porozrzucane stare szmaty.

– Ki diabeł! – mruknął zdumiony Artiom zwracając się do kowala.

– Tak, nieporządek – przyświadczył kowal.

– Gdzie się chłopak podział? – zaczął się złościć Artiom.

Ale mieszkanie było puste i nie było kogo się zapytać.

Kowal pożegnał się i odjechał.

Artiom wyszedł na podwórze i zaczął się rozglądać dokoła.

„Nie rozumiem, co to za chryja. Mieszkanie otwarte, Pawki nie ma".

Nagle usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się; przed nim stał

wielki pies z czujnie nastawionymi uszami. Od furtki szła ku drzwiom nie znana mu dziewczyna.

– Chciałabym zobaczyć się z Pawłem Korczaginem – rzekła półgłosem, przyglądając się Artiomowi.

– Ja też chciałbym się z nim zobaczyć. Diabli go wiedzą, gdzie się podział. Przyjechałem właśnie, mieszkanie otwarte, a jego nie ma. A co pani od niego chciała? – zwrócił się do dziewczyny.

W odpowiedzi usłyszał pytanie.

– Pan jest Artiom, brat Pawła – Artiom?

– Tak, o co chodzi?

Ale dziewczyna, nie odpowiadając mu, patrzyła z trwogą na otwarte drzwi. „Czemu nie przyszłam wczoraj? Czyżby, czyżby?" – I na sercu zrobiło jej się jeszcze ciężej.

– Pan zastał mieszkanie otwarte i Pawła nie było? – spytała patrzącego na nią ze zdziwieniem Artioma.

– A właściwie co za interes ma pani do Pawła?

Tonia przysunęła się do niego bliżej i rozglądając się dokoła zaczęła mówić nerwowo:

– Nie wiem na pewno, ale jeżeli Pawła nie ma w domu, to go aresztowali.

– Za co? – drgnął całym ciałem Artiom.

– Chodźmy do pokoju – rzekła Tonia.

Artiom słuchał jej w milczeniu. Gdy powiedziała mu wszystko, co było jej wiadomo, wpadł w rozpacz.

– Do krocset diabłów! Dość już ludzie zgryzot przeżyli – a tu diabli jeszcze dołożyli... – wymamrotał zgnębiony. – Teraz jasne, skąd taki bałagan w mieszkaniu. I co za licho wplątało chłopaka w tę historię... Gdzie go teraz szukać? A panienka – co za jedna?

– Jestem córką leśniczego Tumanowa. Znam Pawła.

– Aha – mruknął przeciągle Artiom. – Mąkę wiozłem, żeby się chłopak odżywił, a tu masz ci los...

Tonia i Artiom w milczeniu patrzyli na siebie.

– Idę już. Pan może go znajdzie – rzekła cicho Tonia żeg-

nając się z Artiomem. – Wieczorem zajdę, to mi pan wszystko opowie.

Artiom w milczeniu kiwnął głową.

W kącie okna brzęczała zbudzona ze snu zimowego chuda mucha. Na brzegu starej, wytartej kanapy, z rękami na kolanach, siedziała młoda chłopka, bezmyślnie utkwiwszy wzrok w brudną podłogę.

Komendant, z papierosem w kąciku ust, zamaszyście zapisywał arkusz papieru i pod końcowymi słowami „komendant miasta Szepietówki, chorąży" z przyjemnością złożył wymyślny podpis, zakończony zawiłym zakrętasem. W drzwiach brzęknęły ostrogi. Komendant podniósł głowę.

Przed nim stał z obandażowaną ręką Sałomyga.

– Jaki wiatr cię tutaj przywiał? – powitał go komendant.

– Ładny mi wiatr, bohuniec rozciął mi rękę do kości. – I Sałomyga, nie zwracając uwagi na obecność kobiety, siarczyście zaklął.

– Co, przyjechałeś się tutaj leczyć?

– Leczyć się będziemy na tamtym świecie. Na froncie cisną nas, aż trzeszczy.

Wskazując ruchem głowy na dziewczynę, komendant powstrzymał go:

– Pomówimy potem.

Sałomyga siadł ciężko na stołku i zdjął czapkę z odznaką wojskową, na której był wyryty emaliowany trójząb – godło państwowe UNR*.

– Przysłał mnie Hołub – zaczął półgłosem. – Wkrótce przyjdzie tutaj dywizja strzelców siczowych. W ogóle będzie bałagan, więc muszę zaprowadzić porządek. Być może, że „naczelny" przyjedzie, z nim jakaś zagraniczna ryba, niech więc nikt tutaj nie gada o „ułatwieniach życiowych". A ty co piszesz?

U N R – Ukraińska Narodowa Republika.

Komendant przesunął papierosa w drugi kącik ust.

– Siedzi tutaj u mnie jedno ścierwo, smarkacz. Uważasz, na stacji wpadł w nasze ręce ten sam Żuchraj, pamiętasz, ten, co poszczuł na nas kolejarzy.

– No i co? – przysunął się zaciekawiony Sałomyga.

– Uważasz, Omelczenko, bałwan, komendant stacji, posłał go do nas z jednym tylko kozakiem, a ten, co u mnie siedzi, odbił go w biały dzień. Rozbroili kozaka, wybili mu zęby i szukaj wiatru w polu! Żuchraj zniknął bez śladu, a ten wpadł. Masz, przeczytaj sobie dokumenty – podsunął Sałomydze plik zapisanego papieru.

Tamten szybko przejrzał papiery przerzucając je lewą, zdrową ręką. Po przeczytaniu wlepił pytający wzrok w komendanta.

– I nic z niego nie wydobyłeś?

Komendant pociągnął nerwowo za daszek czapki.

– Pięć dni się z nim borykam. Milczy: „Nic – powiada – nie wiem, ja nie uwalniałem". Jakiś bandycki wyrodek. Uważasz, konwojent go poznał, o mało gadziny tutaj nie zadusił. Ledwom go oderwał. Omelczenko wlepił na stacji kozakowi dwadzieścia pięć stempli za aresztanta, toteż kozak wlepił temu ile wlezie. Nie ma go co dłużej trzymać, posyłam do sztabu zapytanie, czy pozwalają go rozwalić.

Sałomyga splunął z pogardą.

– Gdyby był w moich rękach, zacząłby gadać. Nie tobie, popi synu, prowadzić badania. Jaki może być komendant z seminarzysty? Dostał stemple?

Komendant wybuchnął:

– Za dużo już sobie pozwalasz! Drwiny zachowaj dla siebie. Ja tu jestem komendantem i proszę się nie wtrącać.

Sałomyga spojrzał na rozindyczonego komendanta i parsknął śmiechem.

– Cha-cha!... Nie nadymaj się, popi synku, bo pękniesz. Pal cię diabli razem z twoimi sprawami! Powiedz mi lepiej, gdzie mógłbym dostać kilka butelek samogonu.

Komendant krzywo się uśmiechnął.

– To da się zrobić.

– A tego – wskazał Sałomyga palcem na papiery – jeżeli chcesz, żeby rozwalili, to wpisz mu zamiast szesnastu lat osiemnaście. Zastosuj taki kruczek. Bo mogą nie zatwierdzić.

W areszcie siedziało ich troje. Brodaty starzec w znoszonym kaftanie leżał bokiem na pryczy, podkuliwszy chude nogi w szerokich płóciennych portkach. Posadzono go za to, że z jego szopy zginął koń lokatora – petlurowca. Na podłodze siedziała kobieta w podeszłym wieku o chytrych, złodziejskich oczkach i wystającym podbródku, handlarka samogonu oskarżona o kradzież zegarka i innych kosztowności. W kącie pod oknem, z głową opartą na czapce, leżał w odrętwieniu Korczagin.

Wprowadzono do aresztu dziewczynę o wielkich wystraszonych oczach, w kolorowej chusteczce zawiązanej po chłopsku.

Dziewczyna postała chwilkę i siadła obok handlarki.

Ta, obrzuciwszy przybyłą badawczym spojrzeniem, zagadnęła ją w trajkotliwy sposób:

– Siedzisz, dziewuszko, co?

A choć nie otrzymała odpowiedzi, nie odczepiła się.

– I za co tutaj trafiłaś? Czy przypadkiem nie za samogon?

Chłopka wstała, spojrzała na wścibską babę i odpowiedziała cicho:

– Nie, za brata mnie wzięli.

– A on co? – dopytywała się baba.

Wtrącił się starzec:

– Czego nie dajesz jej spokoju? Człowiekowi może na świat patrzeć niemiło, a ty trzeszczysz mu nad uchem.

Baba szybko obróciła się ku pryczy.

– A ty co mi tutaj masz do rozkazywania? Z tobą gadam czy co?

Stary splunął.

– Nie naprzykrzaj się człowiekowi, mówię.

W komórce ucichło. Dziewczyna rozesłała na podłodze dużą chustkę i wyciągnęła się na niej, kładąc rękę pod głowę.

Handlarka zabrała się do jedzenia. Stary spuścił nogi na podłogę, nie spiesząc się skręcił „kozią nóżkę" i zapalił. Areszt napełnił się kłębami cuchnącego dymu.

Mlaskając napchanymi ustami baba mruknęła:

– Dałbyś lepiej człowiekowi zjeść spokojnie, bez smrodu; kurzy bez przestanku.

Stary zjadliwie zachichotał.

– Boisz się schudnąć? Niezadługo we drzwi się nie zmieścisz. Dałabyś coś do zjedzenia chłopakowi, a ty precz sama się opychasz.

Baba odcięła się, obrażona:

– Mówię mu, jedz – nie chce. A ty sobie mną gęby nie wycieraj, nie twoje jem.

Dziewczyna obróciła się ku handlarce i ruchem głowy wskazując Korczagina zapytała:

– Nie wiecie, za co on siedzi?

Baba ucieszyła się, że z nią ktoś wszczyna rozmowę, i chętnie oznajmiła:

– To tutejszy chłopczyna, Korczaginej, kucharki, młodszy syn.

Nachyliwszy się do ucha dziewczyny handlarka wyszeptała:

– Bolszewika oswobodził. Marynarz tu był jeden, u Zozulichy, mojej sąsiadki, mieszkał.

Dziewczyna przypomniała sobie: „Posyłam do sztabu zapytanie, czy pozwalają go rozwalić..."

Stację zapełniały jeden za drugim transporty. Bezładną ciżbą wywalały się stamtąd bataliony strzelców siczowych. Po szynach pełzł powoli zakuty w stal, czterowagonowy pociąg pancerny „Zaporożec". Z lor ściągano działa. Z wagonów

towarowych wyprowadzano konie. Siodłano je na miejscu, dosiadano i jeźdźcy rozpychając bezładne tłumy piechurów przedzierali się na plac przed stacją, gdzie ustawiał się w szyku oddział kawalerii.

Na dworcu huczało jak w ulu. Z bezładnego tłumu różnogłosych, uwijających się w rozgardiaszu ludzi tworzyły się stopniowo kwadraty plutonów i wkrótce potok zbrojnych wlał się do miasta. Aż do wieczora turkotały po szosie podwody i wlekli się maruderzy wkraczającej do miasta dywizji strzelców siczowych.

Wreszcie zamykając pochód przemaszerowała kompania sztabowa rycząc stu dwudziestoma gardzielami:

Szo za szum, szo za gam
Uczynywsia?
To Petlura na Wkraini
Pojawywsia...

Korczagin wstał i podszedł do okienka. W zmierzchu wczesnego wieczoru usłyszał turkot kół na ulicy, tupot mnóstwa nóg, wielogłose pieśni.

Z tyłu ktoś cicho rzekł:

– Widać wojska wchodzą do miasta.

Korczagin odwrócił się.

Mówiła dziewczyna, którą przyprowadzono wczoraj.

Słyszał jej opowieść – handlarka samogonu dopięła swego. Jej starszy braciszek Hryćko, czerwony partyzant, za władzy radzieckiej kierował robotą w komitecie biedoty.

Gdy czerwoni odeszli, odszedł i Hryćko, przepasany taśmą karabinu maszynowego. A teraz rodzinie nie dają żyć. Był jeden koń, to i tego zabrali. Ojca do miasta wozili; nacierpiał się siedząc pod kluczem. Sołtys – jeden z tych, którym Hryćko nie przepuszczał – przez zemstę przyprowadzał zawsze do nich na kwaterę różnych ludzi. Rodzina zbiedniała doszczętnie. Wczoraj w wiosce zjawił się komendant na obławę.

Sołtys przyprowadził go do nich. Dziewczyna przypadła do gustu komendantowi, więc nazajutrz zabrał ją do miasta „na przesłuchanie".

Korczagina odbiegł sen, spokój opuścił go całkowicie i głowę zaprzątała znów jedna natrętna myśl, od której nie mógł się opędzić: „Co będzie dalej?"

Kłujący ból odzywał się w zbitym ciele. Z bestialską zajadłością skatował go konwojent.

By oderwać się od pełnych nienawiści myśli, zaczął się przysłuchiwać szeptowi sąsiadek.

Bardzo cicho opowiedziała dziewczyna, jak to komendant ją napastował, groził, namawiał, a napotkawszy opór rozjuszył się: „Posadzę – powiada – do piwnicy, stamtąd już nie wyjdziesz".

Mrok zasnuwał kąty. Czeka go noc, duszna, niespokojna. Znowu te myśli o nieznanym jutrze. Siódma noc, a wydaje się, jakby miesiące już upłynęły, twardo leżeć, ból nie ustał. W komorze teraz jest ich tylko troje. Dziadek na pryczy chrapie jak u siebie na piecu. Dziadek ma w sobie spokój mędrca i po nocach śpi jak zabity. Handlarkę chorąży wypuścił, żeby się wystarała o wódkę. Krystyna i Paweł leżą na podłodze niemal obok siebie. Wczoraj przez okienko widział Sieriożkę. Ten długo stał na ulicy i patrzył tęsknie na okna domu.

„Widocznie wie, że tu jestem".

Przez trzy dni ktoś mu przysyłał kawałki kwaśnego razowca. Ale kto, nie powiedziano mu. Przez dwa dni nękał go badaniami komendant.

Co by to mogło znaczyć?

Podczas badań nic nie powiedział, wszystkiego się wyparł. Dlaczego milczał, sam nie wiedział. Chciał być śmiały, chciał być mocny, jak ci, o których czytał w książkach, a kiedy go wzięli, prowadzili w nocy i przy wielkim młynie parowym jeden z konwojentów powiedział: „Po co go ciągnąć ze sobą, panie chorąży? Kulę w plecy – i basta", strach go ogarnął.

Tak strasznie jest umierać mając szesnaście lat! Przecie śmierć – to znaczy na zawsze nie żyć.

Krystyna też rozmyśla. Wie ona więcej niż ten chłopiec. On na pewno jeszcze nie wie... A ona słyszała.

Nie śpi, rzuca się po nocach. Żal, och, jak go żal Krystynie, ale ma ona swoje strapienie: nie może zapomnieć strasznych słów komendanta: „Ja się z tobą jutro rozprawię. Nie chcesz ze mną – pójdziesz do wartowni. Kozacy nie odmówią. Wybieraj".

Och, jak ciężko i znikąd nie można oczekiwać zmiłowania! Cóż ona winna, że Hryćko przystał do czerwonych?

Tępy ból ściska gardło, skuła ją bezradna rozpacz i strach i Krystyna głucho załkała.

Dygoce młode ciało z niezmiernej udręki i rozpaczy.

W kącie przy ścianie poruszył się cień.

– Co ci jest?

Gorący szept Krystyny – wyjawiła swą udrękę milczącemu sąsiadowi. On słucha, milczy i tylko jego ręka spoczęła na rękach Krystyny.

– Zamęczą mnie, łotry – połykając łzy szeptała w ślepym przerażeniu. – Zginęłam: oni mają siłę.

Cóż on, Paweł, mógł powiedzieć tej dziewczynie? Brak słów. Nie ma co mówić. Życie ściskało jak obręcz.

Nie puścić jej jutro, walczyć? Skatują na śmierć albo rąbną szablą po głowie – i koniec. I żeby choć trochę ukoić ból nieszczęśliwej dziewczyny, pogłaskał ją serdecznie po ręce. Łkanie Krystyny ucichło. Wartownik przy wejściu do komendantury rzadko wołał do przechodniów swoje: „Kto idzie?" – i znów cicho. Mocno śpi dziadek. Wolno pełzły nieuchwytne minuty. Nie pojął tego momentu, gdy ręce mocno go objęły i przyciągnęły ku sobie.

– Słuchaj, kochany – szepczą gorące usta – tak czy owak zginę: jak nie oficer, to tamci zamęczą. Weź mnie, chłopcze miły, żeby nie ten pies zabrał mi dziewictwo.

– Co ty mówisz, Krystyno?

Ale mocne ręce nie puszczały. Usta gorące, pełne wargi, uciec od nich trudno. Słowa dziewczyny proste, tkliwe – przecie wie, skąd te słowa.

I oto gdzieś pierzchła rzeczywistość. Zapomniał o zamku we drzwiach, o rudym kozaku, o komendancie, o bestialskim pobiciu, o siedmiu dusznych, bezsennych nocach i na mgnienie oka zostały tylko gorące usta i wilgotnawa od łez twarz.

Raptem przypomniał sobie Tonię.

„Jak można było o niej zapomnieć?... Cudne, kochane oczy..."

Starczyło sił, by się oderwać. Jak pijany wstał i uchwycił się ręką kraty. Znalazły go ręce Krystyny.

– Cóż ty?

Ileż uczucia w tym pytaniu. Paweł nachyla się do niej i mocno ściskając ręce mówi:

– Nie mogę, Krystyno. Jesteś dobra – i jeszcze coś mówił, czego sam nie rozumiał.

Wyprostował się i żeby przerwać nieznośną ciszę, podszedł do pryczy. Siadłszy na brzegu, jął tarmosić dziada.

– Dziadku, proszę cię, daj zapalić.

W kącie, owinięta w chustkę, szlochała dziewczyna.

W dzień przyszedł komendant i kozacy zabrali Krystynę. Pożegnała się z Pawłem oczami. Był w nich wyrzut. I gdy drzwi się za nią zatrzasnęły, zrobiło mu się na duszy jeszcze ciężej i jeszcze mroczniej.

Dziadek aż do wieczora nie wydobył z chłopca ani słowa. Zmieniono wartę i straż komendantury. Wieczorem przyprowadzono nowego aresztanta. Paweł poznał w nim Dolinnika, stolarza cukrowni. Krzepko zbudowany, krępy, w żółtej wypłowiałej koszuli pod znoszoną marynarką, obiegł komórkę badawczym wzrokiem.

Paweł widział go w lutym w 1917 roku, gdy rewolucja dotarła i do tego miasteczka. Podczas hałaśliwych demonstracji słyszał tylko jednego bolszewika. Był to Dolinnik. Przemawiał do żołnierzy z płotu przy drodze. Paweł zapamiętał jego

końcowe słowa: „Trzymajcie, żołnierze, z bolszewikami: oni was nie sprzedadzą".

Od tej pory nie spotkał stolarza.

Dziad ucieszył się, że ma nowego sąsiada. Ciężko mu, widać, było siedzieć i milczeć cały dzień. Dolinnik przysiadł się do niego na pryczę, wypalił z nim do spółki papierosa i wypytał o wszystko.

Potem przysiadł się do Korczagina.

– A u ciebie co słychać dobrego? – zapytał chłopca. – W jaki sposób trafiłeś tutaj?

Słysząc jednosylabowe odpowiedzi, Dolinnik czuł, że jego rozmówca mu nie ufa i dlatego jest taki skąpy w słowach. Ale gdy stolarz się dowiedział, jakie oskarżenie ciąży na chłopcu, ze zdziwieniem utkwił w nim swoje mądre oczy. Usiadł obok Pawła.

– Więc powiadasz, żeś wyratował Żuchraja? To takie buty... Nawet nie wiedziałem, że cię wzięli.

Zaskoczony tym Paweł uniósł się na łokciu.

– Jakiego Żuchraja? Nic nie wiem. Różne rzeczy mogą we mnie wmawiać.

Ale Dolinnik z uśmiechem przysunął się bliżej.

– Daj spokój, przyjacielu, przede mną się nie wypieraj. Wiem więcej od ciebie.

I głosem przyciszonym, żeby stary nie słyszał, powiedział:

– Sam Żuchraja odprowadzałem, jest już chyba na miejscu. Fiodor wszystko mi opowiedział o tym wydarzeniu.

Po chwili milczenia, myśląc o czymś, dodał:

– Okazuje się, że z ciebie morowy chłop. Ale to, że siedzisz, że oni o wszystkim wiedzą – to, tego, kiepska sprawa, można powiedzieć, całkiem do chrzanu.

Zrzucił marynarkę, rozesłał ją na podłodze, siadł, oparł się o ścianę i znowu zaczął kręcić papierosa.

Ostatnie słowa Dolinnika wszystko powiedziały Pawłowi. Było jasne: Dolinnik to swój człowiek. Skoro odprowadzał Żuchraja, to znaczy...

Nad wieczorem wiedział, że Dolinnika aresztowano za agitację wśród petlurowskich kozaków. Złapano go na gorącym uczynku, gdy rozdawał odezwy gubernialnego komitetu rewolucyjnego, wzywające do poddawania się i przechodzenia na stronę czerwonych.

Ostrożny Dolinnik niewiele opowiedział Pawłowi.

„Kto wie? – myślał. – Zaczną chłopaka bić stemplami. Młody jest jeszcze".

Późnym wieczorem, kładąc się spać, wyraził swoje obawy jednym krótkim zdaniem:

– Możemy sobie powiedzieć, Korczagin, że nasza sytuacja jest pod psem. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Nazajutrz w komorze zjawił się nowy aresztant, znany w całym mieście fryzjer Szloma Zelcer, o wielkich uszach i cienkiej szyi. Opowiedział Dolinnikowi, zapalając się i gestykulując:

– A więc Fuks, Blumsztajn, Trachtenberg mają go witać chlebem i solą. Ja mówię: „Chcecie witać – witajcie, ale kto od całej ludności żydowskiej podpisze? Przepraszam, ale nikt". Oni mają w tym swój interes. Fuks ma sklep, Trachtenberg – młyn, a cóż ja mam? A reszta biedoty? Ci nędzarze nie mają nic. No, ja mam długi język. Golę dzisiaj jednego oficera, z nowych, co ich niedawno przysłali. „Powiedzcie mi – powiadam – czy ataman Petlura wie o pogromach czy nie? Czy on tę delegację przyjmie?" Ech, ileż razy miałem nieprzyjemności przez swój język! Jak myślicie, co zrobił ten oficer, gdy go ogoliłem, upudrowałem, zrobiłem wszystko pierwsza klasa? On sobie wstaje i zamiast zapłacić mi pieniądze aresztuje mnie za agitację przeciw władzy. – Zelcer uderzył się pięścią w pierś: – Co za agitacja? Co takiego powiedziałem? Spytałem tylko człowieka... I za to mnie wsadzać...

Zelcer, podniecony, kręcił Dolinnikowi guzik przy koszuli, szarpał go to za jedną, to za drugą rękę.

Dolinnik mimo woli się uśmiechnął słuchając oburzonego Szlomy. Gdy fryzjer zamilkł, powiedział z powagą:

– Ech, Szloma, mądry jesteś chłop, a postąpiłeś jak dureń. Znalazłeś sobie czas na mielenie ozorem. Nie zazdroszczę, żeś się tu dostał.

Zelcer ze zrozumieniem popatrzył na niego i zrozpaczony machnął ręką. Drzwi się otworzyły i do aresztu wepchnięto znaną już Pawłowi handlarkę samogonu. Z wściekłością wymyślała prowadzącemu ją kozakowi:

– Bodaj was ogień spalił razem z waszym komendantem! Bodajby zdechł od mojej gorzałki!

Wartownik zatrzasnął za nią drzwi i słychać było, jak zamyka je na zasuwę.

Baba siadła na pryczy, stary powitał ją żartobliwie:

– Co, znów zawitałaś do nas, trajkotko? Siadaj, rozgość się.

Handlarka spojrzała gniewnie na starego i porywając swój tłumoczek przesiadła się na podłogę obok Dolinnika.

Gdy otrzymali od niej kilka butelek samogonu, znowu ją wsadzili do aresztu.

Za drzwiami na wartowni rozległy się krzyki, wszczął się ruch. Czyjś ostry głos wydawał rozkazy. Wszyscy siedzący w komorze aresztanci obrócili głowy ku drzwiom.

Na placu, przed niepozorną cerkiewką ze starodawną dzwonnicą, rozgrywało się niezwykłe dla takiego miasteczka wydarzenie. Otoczywszy plac z trzech stron, ustawiły się tu regularnymi prostokątami oddziały dywizji strzelców siczowych w pełnym rynsztunku bojowym.

Na przedzie, poczynając od podjazdu cerkiewnego, w zwartych szeregach dochodzących do samego płotu szkoły, stanęły tworząc kwadraty szachownicy trzy pułki piechoty.

Żołnierze petlurowscy z najlepszej dywizji „dyrektoriatu" stali jak szara, brudna masa, z karabinem u nogi, suto ob-

wieszeni nabojami, w niezdarnych rosyjskich hełmach podobnych do przepołowionej tykwy.

Dobrze odziana i obuta z resztek zaopatrzenia byłej carskiej armii dywizja, która rekrutowała się przeważnie z kułaków, świadomie walcząca przeciw Sowietom, została przerzucona do miasteczka do obrony najważniejszego strategicznego węzła kolejowego.

Z Szepietówki w pięciu różnych kierunkach biegły lśniące tory. Stracić ten punkt znaczyło dla Petlury stracić wszystko. W rękach „dyrektoriatu" i tak już pozostawało kuse terytorium. Stolicą petlurowszczyzny zostało skromne miasteczko Winnica.

„Naczelny" ataman postanowił dokonać osobiście przeglądu oddziałów. Wszystko było gotowe na jego powitanie.

W ostatnich szeregach, jak najdalej od oczu ludzkich, w kącie placu umieszczono pułk rekrutów. Byli oni nie obuci, każdy inaczej ubrany. Nikt z tych młodych chłopców wiejskich, ściągniętych podczas nocnej obławy z pieca lub schwytanych na ulicy, nie miał zamiaru wojować.

– Nie ma głupich – mówili.

Oficerom petlurowskim udało się jedynie przyprowadzić zmobilizowanych pod konwojem do miasta, podzielić ich na kompanie i bataliony oraz wydać broń.

Ale nazajutrz trzecia część rekrutów zniknęła i z każdym dniem topniała ich liczba.

Wydawać im buty byłoby więcej niż lekkomyślnie, zresztą butów nie było zbyt wiele. Ogłoszono rozkaz: stawić się na wezwanie w obuwiu. Dało to zdumiewające wyniki. Skąd wzięło się tyle niemożliwie porwanych buciorów, które trzymały się na nogach tylko za pomocą drutu lub sznurków?

Na przegląd przyprowadzono ich boso.

Za piechotą ciągnął pułk kawaleryjski Hołuba.

Kawalerzyści powstrzymywali napór tłumu ciekawych. Każdy miał ochotę popatrzeć na paradę wojskową.

Sam „naczelny" ataman przyjedzie! W mieście takie wy-

darzenia były rzadkością i nikt nie chciał przegapić bezpłatnego widowiska.

Na stopniach cerkwi zebrali się pułkownicy, esaułowie, obie córki popa, gromadka ukraińskich nauczycieli, grupa „wilnych" Kozaków, trochę garbaty burmistrz – słowem, wybrańcy, reprezentujący miejscowe „społeczeństwo", a wśród nich, w czerkiesce, główny inspektor piechoty, który dowodził paradą.

W cerkwi przywdziewał wielkanocne szaty liturgiczne pop Wasilij.

Przygotowywano uroczyste powitanie Petlury. Przyniesiono i zatknięto sztandar żółto-niebieski. Na ten sztandar mieli składać przysięgę rekruci.

Dowódca dywizji udał się suchotniczym, odrapanym fordem na stację po Petlurę.

Inspektor piechoty przywołał zgrabnego, z fircykowato podkręconymi wąsikami, pułkownika Czerniaka.

– Weźcie ze sobą kogoś, zlustrujcie komendanturę i wszystkie kąty, żeby mi wszędzie było czysto i posprzątane. Jeżeli są aresztowani, zbadajcie, tałatajstwo wyrzućcie.

Czerniak stuknął obcasami, zabrał ze sobą pierwszego z brzegu esauła i obaj dosiadłszy koni popędzili do komendantury.

Inspektor zwrócił się uprzejmie do starszej popówny:

– A jak tam z obiadem, wszystko w porządku?

– O tak, komendant się koło tego krząta – odpowiedziała popówna pożerając oczami przystojnego inspektora.

Nagle wszczął się ruch: szosą mknął co koń wyskoczy jakiś jeździec. Machał ręką i krzyczał:

– Jadą!

– Na miej-sca! – wrzasnął inspektor.

Oficerowie pobiegli do szeregów.

Gdy ford zaprychał przed cerkwią, orkiestra na dany znak zagrała „Szcze ne wmerła Ukraina".

Z samochodu za dowódcą dywizji wygramolił się nie-

zgrabnie sam „naczelny" ataman Petlura, mężczyzna średniego wzrostu, z mocno osadzoną na purpurowej szyi kanciastą głową, w granatowym żupanie z dobrego gwardyjskiego sukna, ściągniętym żółtym pasem z przypiętym malutkim brauningiem w zamszowym futerale. Na głowie „kierenka" ochronnego koloru, na niej odznaka z emaliowanym trójzębem.

W postaci Simona Petlury nie było nic wojowniczego. Zupełnie nie wyglądał na wojskowego.

Z czegoś niezadowolony, odebrał krótki raport inspektora. Potem do Petlury zwrócił się z powitalnym przemówieniem burmistrz.

Petlura słuchał z roztargnieniem, patrząc ponad jego głową na stojące w szyku pułki.

– Zaczniemy przegląd – skinął na inspektora.

Wszedłszy na niewielką trybunę przy sztandarze, Petlura wygłosił do żołnierzy dziesięciominutową mowę.

Mowa była nieprzekonywająca. Wygłaszał ją bez szczególnego zapału, widocznie był zdrożony. Skończył przy stereotypowych okrzykach żołnierzy: „Chwała! Chwała!" Zszedł z trybuny i wytarł chustką spocone czoło. Potem w asyście inspektora i dowódcy dywizji przeszedł przed frontem oddziałów.

Idąc wzdłuż szeregów rekrutów mrużył pogardliwie oczy i zagryzał nerwowo wargi.

Pod koniec przeglądu, gdy rekruci, pluton za pluconem, nierównymi szeregami podchodzili do sztandaru, przy którym stał z Ewangelią pop Wasilij, i całowali naprzód Ewangelię, potem róg sztandaru, stało się coś nieoczekiwanego.

Nie wiadomo, w jaki sposób przecisnęła się na plac do Petlury delegacja. Z chlebem i solą w rękach podchodził bogaty właściciel tartaku Blumsztajn, za nim kupiec galanteryjny Fuks i jeszcze trzech solidnych kupców.

Blumsztajn, zgięty po lokajsku, podał tacę Petlurze. Wziął ją stojący obok oficer.

– Ludność żydowska wyraża panu, jako głowie państwa, swoje szczere uznanie i szacunek. Oto, proszę, pismo powitalne.

– Dobrze – mruknął Petlura, pobieżnie przeglądając pismo.

Ale tu wystąpił Fuks.

– Prosimy pana najuniżeniej o danie nam możności prowadzenia swych przedsiębiorstw i wzięcie nas w obronę przed pogromem – wykrztusił Fuks to ciężkie słowo.

Petlura gniewnie zmarszczył brwi.

– Moja armia nie zajmuje się pogromami. Musicie to sobie zapamiętać.

Fuks rozłożył bezradnie ręce.

Petlura nerwowo wzruszył ramionami. Był zły na tak nie w porę przybyłą delegację. Obrócił się. Za jego plecami stał Hołub przygryzając czarnego wąsa.

– Tu skarżą się na pańskich kozaków, panie pułkowniku. Niech pan zbada, o co chodzi, i przedsięweźmie stosowne kroki – rzekł Petlura i zwracając się do inspektora rozkazał: – Zaczynamy defiladę.

Niefortunna delegacja zgoła się nie spodziewała spotkania z Hołubem i usiłowała czym prędzej się ulotnić.

Cała uwaga widzów była zwrócona na przygotowania do marszu paradnego. Rozległy się ostre słowa komendy.

Hołub, napierając na Blumsztajna, z całym spokojem w twarzy, mówił dobitnym szeptem:

– Bierzcie nogi za pas, dusze nie chrzczone, bo z was zrobię kotlety.

Grzmiała orkiestra i pierwsze oddziały zaczęły przechodzić przez plac. Podchodząc do miejsca, gdzie stał Petlura, żołnierze wrzeszczeli mechanicznie: „Chwała!" – i skręcali szosą w boczne ulice. Na czele kompanii, w nowych mundurach koloru khaki, szli niewymuszonym krokiem oficerowie, jak na spacerze wymachując laseczkami. Tę modę maszerowania z laseczką, jak również bicia żołnierzy wyciorami, pierwsi wprowadzili siczowcy.

W ogonie kolumny wlekli się rekruci, szli bezładną masą, plącząc krok i wpadając jeden na drugiego.

Krok bosych nóg był cichy. Oficerowie ze wszystkich sił starali się zaprowadzić porządek, ale to było niemożliwe. Gdy zbliżała się druga kompania, prawoskrzydłowy, młody chłopak w zgrzebnej koszuli, zagapił się na „naczelnego", z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami, i z rozmachem rymnął na szosę, trafiwszy nogą w wybój.

Karabin ze szczękiem potoczył się po kamieniach. Chłopak usiłował wstać, ale za każdym razem przewracali go nadchodzący z tyłu żołnierze.

Wśród widzów rozległ się śmiech. Pluton zgubił szyk. Przez plac przechodził już byle jak. Niefortunny chłopaczyna pochwyciwszy karabin doganiał swój oddział.

Petlura odwrócił się od tego nieprzyjemnego widowiska i nie czekając, aż przejdzie cała kolumna, poszedł w stronę samochodu. Inspektor, idąc za nim, nieśmiało zapytał:

– Pan ataman nie zostanie na obiedzie?

– Nie – rzucił krótko Petlura.

Za wysokim ogrodzeniem cerkwi, wśród tłumu widzów, patrzyli na paradę Sierioża Bruzżak, Wala i Klimka.

Mocno uchwyciwszy się rękami sztachet, wpatrywał się Sierioża pełnym nienawiści wzrokiem w twarze stojących na dole.

– Chodźmy, Wala, „sklepik" się zamyka – odrywając się od sztachet powiedział wyzywająco głośno, tak żeby wszyscy słyszeli. Obejrzano się nań ze zdumieniem.

Nie zwracając na nikogo uwagi poszedł w stronę furtki. Za nim – siostra i Klimka.

Przed komendanturą pułkownik Czerniak z esaułem zeskoczyli z koni. Powierzyli je ordynansowi i szybko weszli do wartowni.

– Gdzie komendant? – ostro zapytał Czerniak ordynansa.

– Nie wiem – wybąkał żołnierz. – Gdzieś poszedł.

Czerniak rozglądał się po brudnej, nie sprzątniętej wartowni, gdzie na rozgrzebanych łóżkach porozwalali się niefrasobliwie kozacy komendantury. Nawet nie myśleli wstać na widok oficerów.

– Co tu za chlew?! – wrzasnął Czerniak. – Coście się tu rozwalili jak prośne świnie? – wpadł na leżących.

Jeden z kozaków usiadł, głośno beknął i warknął nieprzyjaźnie:

– Ty czego krzyczysz? My też krzyczeć umiemy.

– Coo? – poderwał się Czerniak. – Z kim ty rozmawiasz, krowia mordo? Jestem pułkownik Czerniak! Słyszysz, sukinsynu? Wstawać natychmiast, bo inaczej wszystkich oćwiczę stemplami! – miotał się po wartowni rozwścieczony pułkownik. – Natychmiast wymieść mi wszystkie brudy, łóżka posłać, mordy swoje doprowadzić do ludzkiego wyglądu. Do kogo jesteście podobni? Nie kozacy, lecz banda opryszków.

Jego wściekłość nie miała granic. Z pasją kopnął stojący na drodze szaflik z pomyjami.

Esauł mu sekundował. Hojnie sypiąc plugawymi wyzwiskami i przekonywająco wymachując trójogoniastym nahajem, spędzał wałkoniów z łóżek.

– Naczelny ataman przyjmuje defiladę, może tutaj zajść. Ruszać mi się prędzej!

Widząc, że nie ma żartów, że naprawdę stemple mogą być w robocie – nazwisko Czerniaka wszystkim było dobrze znane – kozacy zaczęli się uwijać jak w ukropie.

Zawrzała robota.

– Trzeba sprawdzić areszt – zaproponował esauł. – Licho ich wie, kogo tu trzymają. Zajrzy „naczelny" – może wyniknąć chryja.

– Kto ma klucz – spytał Czerniak wartownika. – Otwórzcie natychmiast.

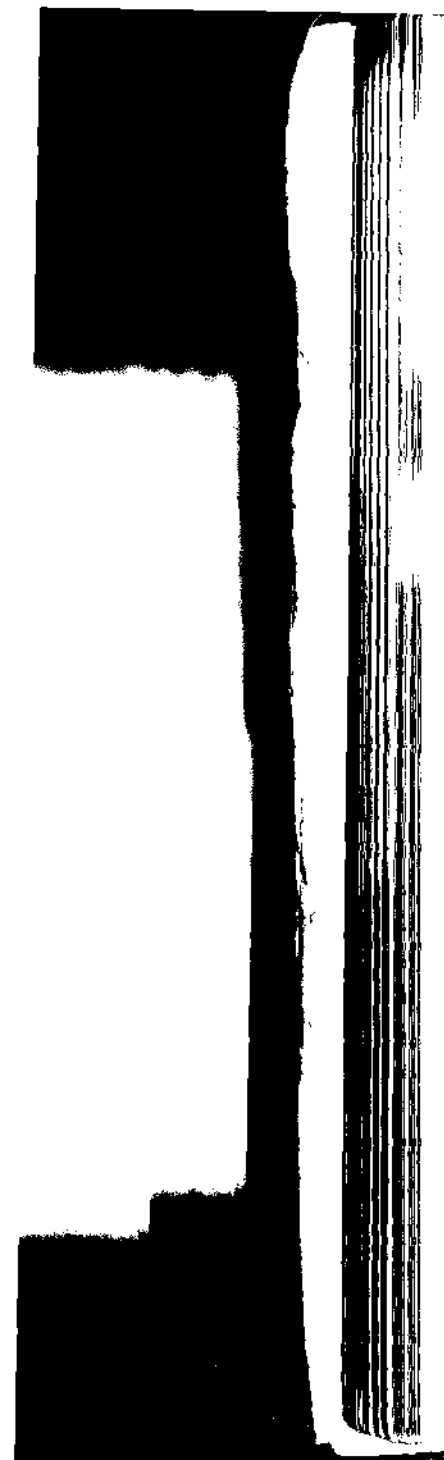

Dowódca warty podbiegł i otworzył kłódkę.

– A gdzie komendant? Długo będę na niego czekał? Natychmiast go znaleźć i przysłać tutaj – komenderował Czerniak. – Straż wyprowadzić na podwórze, ustawić w ordynku... Dlaczego karabiny są bez bagnetów?

– Dopiero wczoraj była zmiana – tłumaczył się dowódca warty.

Skoczył do drzwi, by szukać komendanta.

Esauł pchnął nogą drzwi do komórki. Z podłogi podniosło się paru ludzi, reszta leżała w dalszym ciągu.

– Otwórzcie szerzej drzwi – komenderował Czerniak – za mało tu światła.

Wpatrywał się w twarze aresztowanych.

– Za co cię zamknęli? – ostro spytał siedzącego na pryczy starca.

Ów podniósł się, podciągnął portki i nieco się jąkając, wystraszony krzykiem oficera, wymamrotał:

– Sam nie wiem. Posadzili – to siedzę. Konisko z podwórza zginęło, dyć ja temu nie winien.

– Czyje konisko? – przerwał esauł.

– Rządowe. Przepili je moi łokatorzy, a na mnie winę zwalają.

Czerniak zmierzył starca od stóp do głów szybkim spojrzeniem i niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Zabieraj manatki i marsz stąd! – krzyknął obracając się ku handlarce samogonu.

Starzec nie od razu uwierzył, że go wypuszczają, i zwracając się do esauła zamrugał ślepawymi oczami:

– To niby wolno mi iść?

Tamten kiwnął głową:

– Zmiataj, zmiataj czym prędzej!

Stary pospiesznie odwiązał od pryczy swoją torbę i chyłkiem wypadł za drzwi.

– A ciebie za co posadzili? – badał już Czerniak handlarkę. Baba, dojadając kawał pieroga, zatrajkotała:

– Mnie, panie władza, posadzili bez dania racji. Wdowa jestem, samogon mój pili, a potem mnie posadzili.

– Ty co, samogonem handlujesz? – zapytał Czerniak.

– Jaki tam handel? – obraziła się baba. – On, znaczy się komendant, wziął cztery butelki i ani grosza nie zapłacił. Wszyscy oni tak: samogon piją, a pieniędzy nie płacą. Jakiż to handel?

– Dosyć; wynoś mi się zaraz do diabła!

Baba nie dała sobie dwa razy powtarzać rozkazu. Chwyciła swój koszyczek i kłaniając się z wdzięcznością, zaczęła tyłem cofać się ku drzwiom:

– A niechże panom Bóg da zdróweczko, panowie władza.

Dolinnik patrzył na tę komedię szeroko rozwartymi oczami. Nikt z aresztowanych nie rozumiał, o co tu chodzi. Jedno było jasne: ci, co przyszli – to jacyś wyżsi, mający władzę nad aresztowanymi.

– A ty za co? – zwrócił się Czerniak do Dolinnika.

– Wstać przed panem pułkownikiem! – wrzasnął esauł.

Dolinnik powoli, ociężale dźwignął się z podłogi.

– Za co siedzisz, pytam? – powtórzył Czerniak.

Dolinnik przez chwilę patrzył na podkręcone wąsy pułkownika, na jego gładko wygoloną twarz, potem na daszek nowiutkiej kierenki z emaliowaną odznaką i nagle zaświtała mu szalona myśl: „A nuż się uda?"

– Aresztowano mnie za to, że szedłem po mieście po godzinie ósmej – powiedział to, co mu wpadło do głowy.

Czekał w męczącym naprężeniu.

– A czego się włóczysz po nocy?

– Nie po nocy, o jakiejś jedenastej.

Mówił i już sam nie wierzył w takie szczęście.

Drgnęły mu kolana, gdy usłyszał krótkie: – Zabieraj się stąd.

Zapomniawszy marynarki postąpił ku drzwiom, a tymczasem esauł wypytywał już następnego.

Korczagin był ostatni. Siedział na podłodze, całkiem zbity

z pantałyku wszystkim, co tu widział, i nawet nie zdążył uświadomić sobie, że Dolinnika wypuszczono. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Wszystkich wypuszczają. Ale Dolinnik, Dolinnik... Powiedział, że został aresztowany za chodzenie po nocy... Wreszcie zrozumiał.

Pułkownik zaczął badanie chudego Zelcera od zwykłych słów:

– Za co siedzisz?

Blady, zdenerwowany fryzjer odpowiedział porywczo:

– Mówią, że agituję, ale ja nie rozumiem, na czym moja agitacja polega.

Czerniak nadstawił uszu:

– Co? Agitacja?! Za czym agitujesz?

Zelcer rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem, ale mówiłem tylko, że zbiera się podpisy na prośbie ludności żydowskiej do „naczelnego" atamana.

– Na jakiej prośbie? – przysunęli się do Zelcera esauł i Czerniak.

– O zniesienie pogromów. Panowie wiecie, u nas był straszny pogrom. Ludność się boi...

– Rozumie się – przerwał mu Czerniak. – My tobie wypiszemy prośbę, żydowska mordo. – I zwracając się do esauła, rzucił: – Tego ananasa trzeba schować jak najdalej. Zabrać go do sztabu. Tam ja z nim pogadam osobiście. Dowiemy się, kto zamierza pisać prośbę.

Zelcer usiłował zaoponować, ale esauł zamachnął się nahajem i zdzielił go przez plecy.

– Milcz, ścierwo!

Krzywiąc się z bólu Zelcer odskoczył do kąta. Wargi mu zadrżały, z trudem powstrzymywał łkanie.

Podczas tej ostatniej sceny Korczagin wstał. W komórce spośród aresztowanych zostali tylko on i Zelcer.

Czerniak stał przed chłopcem i macał go czarnymi oczami.

– No a ty jak się tu znalazłeś?

Na swe pytanie pułkownik usłyszał szybką odpowiedź:

– Odciąłem od siodła skórę na podeszwy.

– Od jakiego siodła? – nie zrozumiał pułkownik.

– U nas kwateruje dwóch kozaków, no to ja odciąłem od starego siodła kawał skóry na podeszwy, a kozacy mnie za to tutaj przyprowadzili. – I porwany szaloną nadzieją wydostania się stąd, dodał: – Gdybym wiedział, że nie można...

Pułkownik patrzył na Korczagina lekceważąco.

– Czym ten komendant zajmował się, diabli go wiedzą, też aresztantów nazbierał. – I kierując się ku drzwiom, zawołał: – Możesz iść do domu i powiedz ojcu, żeby ci sprawił dobre lanie. No zmykaj.

Nie wierząc własnym uszom, z sercem gotowym wyskoczyć mu z piersi, Korczagin chwycił leżącą na podłodze marynarkę Dolinnika i rzucił się do drzwi. Przebiegł wartownię i za plecami wychodzącego Czerniaka wyślizgnął się na podwórze, stamtąd do furtki i na ulicę.

W areszcie pozostał samotny, nieszczęsny Zelcer. Ze śmiertelnym smutkiem obejrzał się, instynktownie postąpił kilka kroków w stronę wyjścia, lecz do wartowni właśnie wszedł żołnierz, zamknął drzwi, założył kłódkę i siadł na stojącym przy drzwiach stołku.

Na ganku Czerniak, zadowolony, zwrócił się do esauła:

– Dobrze, żeśmy tutaj zajrzeli. Popatrz, ile tu hołoty się zebrało; a komendanta posadzimy na jakieś dwa tygodnie. No, chyba już pojedziemy?

Na podwórzu dowódca warty ustawiał swój pododdział. Ujrzawszy pułkownika podbiegł i zameldował:

– Wszystko w porządku, panie pułkowniku.

Czerniak włożył nogę w strzemię, lekko wskoczył na siodło. Esauł przytrzymywał narowistego konia. Ujmując cugle Czerniak powiedział do dowódcy warty:

– Powiedz komendantowi, że wypuściłem to całe tałatajstwo, którego on tu napchał. Powtórz mu, że go posadzę na dwa tygodnie za to, co tu narobił. A tego, co tam siedzi,

natychmiast przenieść do sztabu. Konwój niech będzie w pogotowiu.

– Rozkaz, panie pułkowniku! – zasalutował dowódca warty.

Spiąwszy konie ostrogami, pułkownik z esaułem pogalopowali na plac, gdzie już kończyła się defilada.

Przesadziwszy siódmy płot Korczagin zatrzymał się. Biec dalej nie miał sił.

Dni głodu, w dusznym, nie przewietrzanym areszcie, wyczerpały go. Do domu iść nie można, a do Bruzżaków – jeszcze dowie się kto, wykończą całą rodzinę. Więc dokąd?

Nie wiedział, co robić, i biegł mijając ogrody warzywne i zabudowania dworków. Opamiętał się dopiero, gdy natknął się piersią na jakieś ogrodzenie.

Spojrzał i osłupiał: za wysokim parkanem zaczynał się ogród nadleśniczego. Oto gdzie zaniosły śmiertelnie zmęczone nogi. Czyż miał zamiar dobiec tutaj? Nie.

Dlaczegóż więc znalazł się właśnie przy dworku leśniczego?

Na to sobie odpowiedzieć nie umiał.

Trzeba gdzieś odpocząć, a potem zastanowić się, dokąd iść dalej; w ogrodzie jest altanka, tam nikt go nie zobaczy.

Korczagin podskoczył, uchwycił się ręką za skraj deski, wdrapał się na parkan i zwalił do ogrodu. Obejrzawszy się na ledwie widoczny za drzewami dom poszedł w stronę altany. Była odsłonięta prawie ze wszystkich stron. Latem oplatało ją dzikie wino – teraz wszystko było nagie.

Zawrócił w stronę parkanu, ale było już za późno: usłyszał za sobą zajadłe ujadanie. Od domu po zasłanej liśćmi ścieżce pędził nań, napełniając ogród groźnym szczekaniem, ogromny pies.

Paweł przygotował się do obrony.

Pierwszy atak brytana odparł kopniakiem. Ale pies szykował się do następnego natarcia. Kto wie, czym skończyłaby

się ta potyczka, gdyby znany Pawłowi, dźwięczny głos nie zawołał:

– Trezor, do nogi!

Ścieżką biegła Tonia. Odciągnąwszy za obrożę Trezora, zwróciła się do stojącego przy parkanie Pawła.

– Jak pan tu trafił? Mógł pana przecież pogryźć pies. Dobrze, że ja...

Zająknęła się. Jej oczy rozwarły się szeroko. Jakże jest podobny do Korczagina ten chłopiec, który nie wiadomo jak się tu zabłąkał!

Postać przy parkanie poruszyła się i wyrzekła cicho:

– Ty... pani mnie nie poznaje?

Tonia krzyknęła i gwałtownie podbiegła do Korczagina.

– Pawłusza, to ty?

Trezor zrozumiał jej krzyk jako sygnał do ataku i potężnym susem rzucił się naprzód.

– A pójdziesz!

Otrzymawszy od Tani kilka szturchańców. Trezor z podwiniętym ogonem powlókł się do domu obrażony.

Tonia ściskając ręce Korczagina mówiła:

– Jesteś wolny?

– A czy ty wiedziałaś?

Dziewczyna, nie mogąc opanować wzruszenia, wyrzuciła z siebie:

– Wiem wszystko. Powiedziała mi Liza. Ale jak się tu znalazłeś? Zwolnili cię?

Korczagin odpowiedział znużonym głosem:

– Zwolnili przez pomyłkę. Uciekłem. Już mnie na pewno szukają. Tu trafiłem przypadkowo. Chciałem odpocząć w altanie. – I, jakby przepraszając, dodał: – Bardzo jestem zmęczony.

Przez chwilę patrzyła na niego i, ogarnięta falą współczucia, gorącej tkliwości, trwogi i radości, ściskała mu ręce.

– Pawłusza, miły Pawka, drogi mój, dobry... Kocham cię... Słyszysz?... Ty mój uparciuchu, czemuś wtedy wyszedł? Teraz

pójdziesz do nas, do mnie. Za nic cię nie wypuszczę. U nas jest spokojnie, pozostaniesz tak długo, ile trzeba.

Korczagin pokręcił głową.

– Jeżeli mnie znajdą u was, co wtedy będzie? Nie mogę iść do was.

Ręce Toni jeszcze bardziej ścisnęły jego palce, rzęsy drgnęły, oczy zabłysły.

– Jeżeli nie pójdziesz, nigdy mnie więcej nie zobaczysz. Przecie Artioma nie ma, wzięli go pod konwojem na lokomotywę. Wszystkich kolejarzy mobilizują. Dokąd pójdziesz?

Korczagin rozumiał jej niepokój, lecz obawa narażenia kochanej dziewczyny powstrzymywała go. Wszystkie przeżycia zmęczyły go, chciało się odpocząć, dręczył głód. Ustąpił.

Gdy siedział na kanapie w pokoju Toni, w kuchni między córką a matką toczyła się rozmowa.

– Posłuchaj, mamo. W moim pokoju siedzi teraz Korczagin. Pamiętasz? Mój uczeń. Niczego przed tobą nie będę ukrywać. Został aresztowany za uwolnienie pewnego marynarza – bolszewika. Zbiegł i nie ma gdzie się schronić. – Głos jej zadrżał. – Proszę cię, mamo, zgódź się na to, żeby tymczasem został u nas.

Córka błagalnie patrzyła na matkę.

Matka badawczo spojrzała w oczy Toni.

– Dobrze, nie mam nic przeciwko temu. A gdzież ty go ulokujesz?

Tonia oblała się pąsem i zmieszana odpowiedziała:

– U siebie w pokoju na kanapie. Papie można na razie nie mówić.

Matka popatrzyła Toni prosto w oczy.

– To właśnie było powodem twoich łez?

– Tak.

– Przecież to jeszcze zupełne dziecko.

Tonia nerwowo skubała rękaw bluzki.

– Tak, ale gdyby nie uciekł, rozstrzelaliby go jak dorosłego.

Katarzyna Michajłowna była zatrwożona obecnością w do-

mu Korczagina. Niepokoiło ją i jego aresztowanie, i niewątpliwa sympatia Toni dla tego chłopaka, i to wreszcie, że zupełnie go nie znała.

A Tonię porwał zapał gospodarski.

– On musi się wykąpać, mamo. Ja to zaraz urządzę. Jest brudny jak prawdziwy palacz. Tyle czasu się nie mył.

Biegała, krzątała się, paliła w łazience, przygotowywała bieliznę. I z miejsca, unikając wyjaśnień, złapała Pawła za rękę i zapędziła do kąpieli.

– Musisz wszystko z siebie zdjąć. Tu leży ubranie. Twoją odzież trzeba wyprać. Włożysz to – rzekła pokazując krzesło, na którym była starannie złożona granatowa marynarska bluza z białym kołnierzykiem w paski i kloszowe spodnie.

Paweł rozglądał się zdziwiony. Tonia uśmiechała się.

– To mój kostium maskaradowy. Będzie na ciebie dobry. No, rozgość się, zostawiam cię. Zanim się wykąpiesz, ja przygotuję jedzenie.

Zatrzasnęła drzwi. Nie było rady. Korczagin szybko się rozebrał i wlazł do wanny.

W godzinę potem wszyscy troje, matka, córka i Korczagin, jedli obiad w kuchni.

Wygłodniały Paweł ani się spostrzegł, jak opróżnił trzeci talerz. Z początku obecność Katarzyny Michajłowny krępowała go, ale potem, widząc jej życzliwy do siebie stosunek, poczuł się pewniej.

Kiedy po obiedzie przeszli do pokoju Toni, Paweł na prośbę Katarzyny Michajłowny opowiedział o swych ciężkich przeżyciach.

– Cóż pan zamierza robić dalej? – spytała Katarzyna Michajłowna.

Paweł zamyślił się.

– Chcę zobaczyć się z Artiomem, a potem uciec stąd.

– Dokąd?

– Myślę przedostać się do Humania lub do Kijowa. Sam jeszcze nie wiem, ale stąd muszę koniecznie się wynieść.

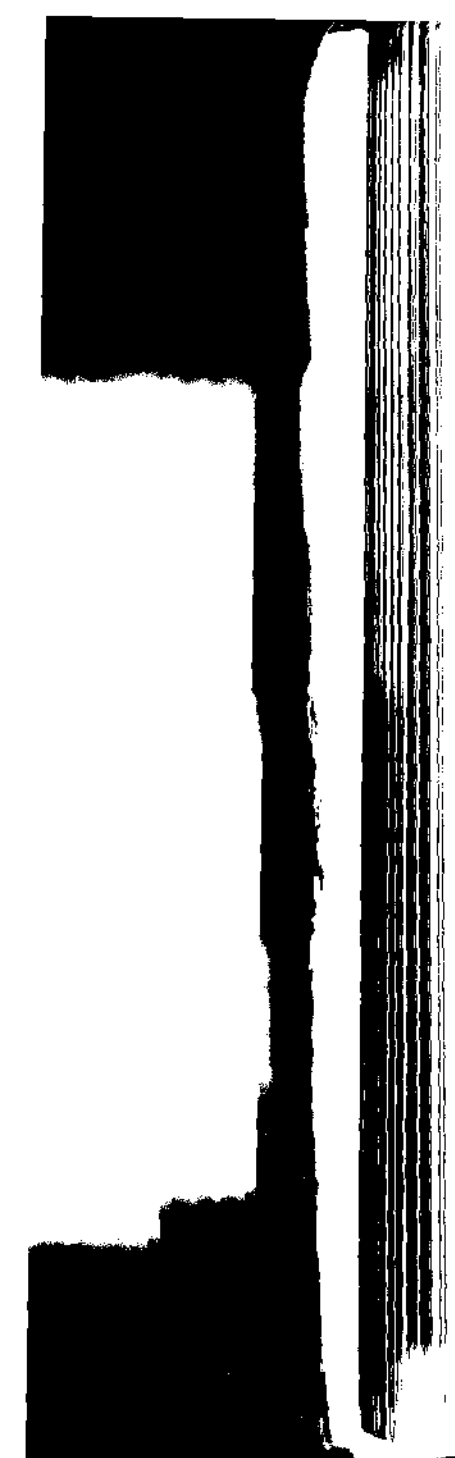

Paweł nie mógł uwierzyć, że wszystko tak szybko się zmieniło. Jeszcze rano w kryminale, a teraz Tonia, czyste ubranie, a przede wszystkim – wolność.

Oto jak czasem odmienia się los: to nieprzenikniony mrok, to znów uśmiecha się słońce. Gdyby nie zawisła nad głową groźba nowego aresztu, byłby teraz szczęśliwym chłopcem.

Lecz właśnie teraz, póki jest tutaj, w tym dużym i cichym domu, mogli go nakryć.

Należało iść gdziekolwiek, byle nie zostawać tutaj.

Jednak odchodzić stąd wcale mu się nie chce, do stu diabłów! Z jaką ciekawością czytał o bohaterze Garibaldim! Jak mu zazdrościł, a przecież życie ten Garibaldi miał ciężkie, pędzono go po całym świecie. Tymczasem on, Paweł, raptem siedem dni przeżył w strasznej męce, a zdaje mu się, że to trwało rok.

Widać mizerny z niego bohater.

– O czym myślisz? – spytała nachyliwszy się nad nim Tonia. Jej oczy wydają mu się, w swej ciemnej mądrości, bezdenne.

– Chcesz, Toniu, opowiem ci o Krystynie?...

– Odpowiedz – rzekła z ożywieniem Tonia.

– ... i już więcej nie przyszła. – Ostatnie słowa wypowiedział z trudem.

W pokoju słychać było miarowe tykanie zegara. Tonia, schyliwszy głowę, gotowa się rozpłakać, do bólu przygryzała wargi.

Paweł popatrzył na nią.

– Muszę odejść stąd jeszcze dzisiaj – rzekł stanowczo.

– Nie, nie, dzisiaj nigdzie nie pójdziesz!

Jej cienkie ciepłe palce cicho zanurzyły się w jego niesforną czuprynę, pieszczotliwie ją tarmosiły...

– Toniu, musisz mi pomóc. Trzeba dowiedzieć się w warsztatach o Artioma i zanieść kartkę do Sierioży. We wronim gnieździe mam schowany rewolwer. Sam iść tam nie mogę, a Sieriożka musi go wydobyć. Możesz to załatwić?

Tonia wstała.

– Zaraz pójdę do Lizy. Z nią do warsztatów. Napisz kartkę, odniosę ją Sierioży. Gdzie on mieszka? A jeżeli zechce przyjść, powiedzieć mu, gdzie jesteś?

Paweł zastanowił się i odparł:

– Niech sam przyniesie wieczorem do ogrodu.

Tonia wróciła do domu późno. Paweł spał mocnym snem. Dotknięcie jej ręki zbudziło go. Uśmiechała się radośnie.

– Artiom zaraz przyjdzie. Dopiero co przyjechał. Za poręczeniem ojca Lizy zwolnią go na godzinę. Lokomotywa stoi w parowozowni. Nie mogłam mu powiedzieć, że jesteś tutaj. Powiedziałam, że mam dla niego bardzo ważną wiadomość. Oto i on.

Tonia podbiegła do drzwi. Nie wierząc własnym oczom Artiom stanął we drzwiach jak wryty. Tonia zamknęła za nim drzwi, żeby nic nie usłyszał leżący w gabinecie chory na tyfus ojciec.

Gdy Artiom chwycił Pawła w objęcia, chłopcu zachrzęściły kości.

– Braciszku! Pawka!

Powzięto decyzję: Paweł wyjedzie jutro. Artiom umieści go na parowozie przy Bruzżaku, który udaje się do Koziatyna.

Artiom, zazwyczaj opanowany, stracił równowagę ducha, znękany trwogą o brata, o którego losie nic nie wiedział. Teraz był niezmiernie szczęśliwy.

– A więc, o piątej rano przyjdziesz do składu. Na lokomotywę załaduje się drwa i ty wsiądziesz. Chciałbym z tobą pomówić, ale muszę już wracać. Jutro cię odprowadzę. Formują z nas batalion kolejowy. Chodzimy pod strażą – jak za Niemców.

Artiom pożegnał się i poszedł.

Szybko zapadł zmierzch. Sierioża miał przyjść pod parkan

ogrodu. Czekając na niego Korczagin chodził po ciemnym pokoju z kąta w kąt. Tonia z matką były u ojca.

Z Sierożą spotkał się Paweł w mroku i mocno ścisnęli sobie ręce. Z bratem przyszła Wala. Rozmawiali po cichu.

– Rewolweru nie przyniosłem. U ciebie na podwórzu pełno petlurowców. Stoją furmanki, rozpalili ognisko. W żaden sposób nie było można wejść na drzewo. Taki pech – usprawiedliwiał się Sierioża.

– Pal go sześć – uspokajał przyjaciela Paweł. – Może to i lepiej. W drodze mogą wymacać – głowę urwą. Ale zabierz go koniecznie.

Wala podeszła do Pawła.

– Kiedy jedziesz?

– Jutro, Wala, skoro świt.

– Ale jakeś się wydostał? Opowiedz.

Paweł szeptem opowiedział pokrótce o swych przejściach.

Żegnali się serdecznie. Sierioża nie żartował, był przejęty.

– Szczęśliwej podróży, Pawle, nie zapominaj o nas! – z trudem powiedziała Wala.

Poszli i rozpłynęli się w ciemności.

W domu cisza. Nieustannie tylko słychać rytmiczne tykanie zegara. Żadne z tych dwojga młodych nie myśli o spaniu, skoro za sześć godzin muszą się rozstać i być może nigdy więcej się nie zobaczą. Czyż można w tak krótkim czasie wypowiedzieć miliony myśli i słów, które każde z nich nosi w sobie?

Młodość, piękna młodość, kiedy nie wie się jeszcze, co to namiętność, jedynie czuje się ją niejasno w szybkim biciu serca, kiedy ręka drży lękliwie i pierzcha, dotknąwszy przypadkiem piersi przyjaciółki, i kiedy przyjaźń młodzieńcza ostrzega przed ostatnim krokiem! Co może być milszego od rąk ukochanej, które oplotły szyję, i od pocałunku, palącego jak prąd elektryczny!

Przez cały czas przyjaźni jest to ich drugi pocałunek. Kor-

czagina nikt prócz matki nie pieścił, lecz za to wiele go bito. Tym mocniej odczuwał pieszczotę.

W swym życiu zahukanym, okrutnym nie wiedział, że istnieje taka radość. I że ta spotkana na drodze dziewczyna – to wielkie szczęście.

Czuje zapach jej włosów i wydaje mu się, że widzi jej oczy.

– Tak cię kocham, Toniu! Nie mogę ci tego wyrazić, nie potrafię.

Myśli mu się urywają. Jak posłuszne jest to gibkie ciało!... Ale przyjaźń młodzieńcza jest ponad wszystko.

– Toniu, gdy skończy się ta zawierucha, na pewno będę monterem. Jeżeli się mnie nie wyrzekniesz, jeżeli myślisz o tym poważnie, a nie dla zabawy, będę dla ciebie dobrym mężem. Nigdy cię nie uderzę, niech zginę, jeśli cię czymkolwiek skrzywdzę.

Bojąc się zasnąć w uścisku, żeby matka nie zobaczyła i źle sobie nie pomyślała, rozpletli ramiona.

Już wstawał dzień, gdy usnęli po uroczystym wzajemnym przyrzeczeniu, że nie zapomną o sobie.

Wczesnym rankiem Katarzyna Michajłowna zbudziła Korczagina.

Zerwał się na równe nogi.

Gdy przebierał się w łazience w swoje ubranie, wciągał buty, marynarkę Dolinnika, matka obudziła Tonię.

Szybko szli w chłodnej porannej mgle na stację. Okrężną drogą podeszli do składów drzewa. Czekał na nich niecierpliwie Artiom przy naładowanej drwami lokomotywie.

Powoli zbliżała się potężna lokomotywa „szczupak", spowita w kłęby syczącej pary.

Przez okno kabiny lokomotywy wyglądał Bruzżak.

Szybko się pożegnali. Paweł ujął mocno za żelazny uchwyt przy stopniach parowozu. Wszedł na górę. Obejrzał się. Na przejeździe stały dwie znajome postacie: wysoka – Artioma i obok niego zgrabna mała – Toni.

Wiatr szarpał gniewnie kołnierzyk jej bluzki, targał kasztanowate loki. Machała ręką.

Artiom zerknął z ukosa na powstrzymującą się od płaczu Tonię i westchnął: „Albo ja jestem skończonym durniem, albo ci mają klepki nie w porządku. Ho, ho, ten Pawka! Dobry z niego numer!"

Gdy pociąg zniknął za zakrętem, Artiom obrócił się do Toni.

– No cóż, bądźmy przyjaciółmi! – I w jego ogromnej ręce zniknęła drobna dłoń Toni.

Z daleka dochodził łoskot biorącego rozpęd pociągu.

Przez cały tydzień miasteczko, opasane okopami i oplątane pajęczyną zasieków z drutów kolczastych, budziło się i zasypiało przy huku dział i klekocie wystrzałów karabinowych. Dopiero gdy zapadała głęboka noc, robiło się cicho. Z rzadka przerywały tę ciszę bezładne salwy; to czujki przednich straży wymacywały się wzajemnie! A o brzasku na dworcu przy bateriach zaczynali się krzątać ludzie. Czarna paszcza działa kasłała gniewnie i strasznie. Ludzie spieszyli się, by je nakarmić nową porcją ołowiu. Bombardier pociągał za sznur i ziemia drgała. W odległości trzech wiorst od miasta, nad wsią zajętą przez czerwonych, z wyciem i gwizdem przelatywały pociski zagłuszając wszystko i padały wyrzucając w powietrze bryły ziemi.

Na dziedzińcu starego polskiego klasztoru czerwoni ustawili baterię. Klasztor stał na wysokim wzgórzu pośrodku wsi.

Zerwał się komisarz baterii, towarzysz Zamostin. Spał z głową na lawecie armaty. Mocniej zaciskając pas z ciężkim mauzerem, wsłuchiwał się w lot pocisku oczekując wybuchu. Na dziedzińcu rozległ się jego dźwięczny głos:

– Wyśpimy się jutro, towarzysze. Wsta-wać!

Obsługa baterii spała przy działach. Zerwała się równie szybko, jak komisarz. Ociągał się tylko Sidorczuk, niechętnie podnosząc zaspaną głowę.

– A to ścierwa! Ledwie świta – już szczekają. Co za podły naród!

Zamostin wybuchnął śmiechem.

– Nieuświadomione elementy, Sidorczuk. Nie liczą się z tym, że ty chcesz spać.

Artylerzysta wstawał mrucząc z niezadowoleniem.

Za parę minut na dziedzińcu klasztornym huczały już działa, a w mieście rozrywały się pociski. Na niebotycznym kominie cukrowni przycupnęli na ułożonych deskach petlurowski oficer i telefonista.

Wchodzili tam po żelaznych kłamrach wewnątrz komina. Całe miasteczko widoczne było jak na dłoni. Stamtąd kierowali ogniem artyleryjskim. Widzieli każdy ruch czerwonych, oblegających miasto. Dzisiaj u bolszewików panowało wielkie ożywienie. Przez lornetkę widać było ruchy ich oddziałów. Po torze kolejowym wiodącym do Dworca Podolskiego wolno posuwał się pociąg pancerny, bez przerwy strzelając z dział. Za nim widniały tyraliery piechoty. Kilkakrotnie czerwoni ruszali do ataku, próbując zająć miasteczko, ale siczowcy wznieśli umocnienia na przedpolu, okopali się. W okopach wybuchał ogień huraganowy. Wszystko dokoła wypełniał szalony trzask i terkot wystrzałów, który, zlewając się w nieprzerwany ryk, osiągał szczyt napięcia podczas ataków. I zalane deszczem ołowiu, nie wytrzymując nieludzkiego naprężenia, tyraliery bolszewików cofały się zostawiając na polu nieruchome ciała.

Dzisiaj uderzenia na miasteczko są coraz natarczywsze, coraz częstsze. Powietrze kotłuje się od wstrząsów ognia działowego. Z wysokiego komina fabryki widać, jak tyraliery bolszewików, przypadając do ziemi i potykając się, niepowstrzymanie prą naprzód. Już prawie zajęli dworzec. Siczowcy rzucili do akcji wszystkie swoje rezerwy, ale nie mogli zapełnić powstałej na dworcu luki. W rozpaczliwej determinacji tyraliery bolszewickie wdzierały się w przylegające do dworca ulice. Wyparci krótkim, straszliwym uderzeniem ze swej ostatniej pozycji – podmiejskich sadów i ogrodów warzywnych – petlurowcy trzeciego pułku strzelców siczowych, którzy

bronili dworca, bezładnie, pojedynczymi grupami rzucili się do miasta. Nie dając im się opamiętać ani zatrzymać, niszcząc bagnetami zasieki, szeregi czerwonoarmistów wypełniały ulice.

Żadna siła nie mogła zatrzymać Sierioży Bruzżaka w piwnicy, gdzie zebrała się jego rodzina i najbliżsi sąsiedzi. Ciągnęło go na górę. Nie bacząc na protesty matki, wyszedł z chłodnej piwnicy. Koło domu, strzelając na wszystkie strony, z chrzęstem przemknął samochód pancerny „Sahajdaczny". Za nim biegli w rozsypce ogarnięci paniką petlurowcy. Na podwórze Sierioży wbiegł jeden z siczowców. Z gorączkowym pośpiechem zrzucił z siebie ładownicę, hełm i karabin i przesadziwszy płot znikł w ogrodach. Sierioża postanowił wyjrzeć na ulicę. Drogą ku Dworcowi Południowo-Zachodniemu biegli petlurowcy. Odwrót ich osłaniał samochód pancerny. Szosa wiodąca do miasta była pusta. Ale oto na drogę wyskoczył czerwonoarmista. Przypadł ku ziemi i wystrzelił wzdłuż szosy. Za nim drugi, trzeci... Sierioża widzi ich: schylają się i strzelają w biegu. Nie kryjąc się leci ogorzały, z zaczerwienionymi oczami Chińczyk, w koszuli, przepasany taśmami nabojów do karabinu maszynowego, z granatami w obu rękach. Na samym przedzie, z wystawionym ręcznym karabinem maszynowym, pędzi całkiem jeszcze młody czerwonoarmista. To pierwsze szeregi czerwonych, które wdarły się do miasta. Radość ogarnęła Sieriożę. Skoczył na szosę i zawołał z całych sił:

– Niech żyją towarzysze!

Zaskoczony Chińczyk omal go nie przewrócił. Chciał w pierwszej chwili rzucić się z wściekłością na Sieriożę, ale uszczęśliwiona mina chłopca powstrzymała go.

– Dokąd Petlura uciekła?! – wołał do niego zdyszany Chińczyk.

Ale Sierioża nie słuchał go. Wpadł na podwórze, porwał

porzuconą przez siczowca ładownicę i karabin i skoczył dopędzać tyralierę. Zauważyli go dopiero wtedy, gdy wtargnęli na Dworzec Południowo-Zachodni. Odciąwszy drogę kilku transportom naładowanym pociskami i amunicją, odrzuciwszy nieprzyjaciela do lasu, zatrzymali się, żeby przegrupować się i odpocząć. Młodziutki żołnierz podszedł do Sierioży i spytał zdziwiony:

– Skąd się tu wziąłeś, towarzyszu?

– Jestem tutejszy z miasteczka, tylko na to czekałem, żebyście przyszli.

Sierożę obstąpili czerwonoarmiści.

Moja jego zna – uśmiechnął się radośnie Chińczyk. – Jego ksycala: „Niek zyja towalisa!" Jego bolsewika – nasa, mlodaj, dobla – dodał z entuzjazmem, klepiąc Sierożę po ramieniu.

A serce Sierioży biło radośnie. Od razu przyjęli go jak swojego. Razem z nimi zdobywał w ataku na bagnety dworzec.

Miasteczko wróciło do życia. Przemęczeni mieszkańcy wychodzili z suteren i z piwnic i cisnęli się do bram, by popatrzeć na wkraczające do miasta czerwone oddziały. Antonina Wasiljewna i Wala zauważyły w szeregach czerwonoarmistów Sierożę. Szedł bez czapki, opasany ładownicą z karabinem przewieszonym przez ramię.

Antonina Wasiljewna oburzona plasnęła w dłonie.

Sierioża, jej syn, wmieszał się do walki. O, to mu na sucho nie ujdzie! Pomyśleć tylko: na oczach całego miasta chodzi z karabinem! A co będzie potem?

I ogarnięta tymi myślami Antonina Wasiljewna, nie hamując się już, zawołała:

– Sieriożka, marsz do domu, natychmiast! Ja ci pokażę, gałganie! Będziesz mi wojował! – I zbliżyła się do syna, zamierzając go zatrzymać.

Ale Sierioża, jej Sierioża, którego nieraz targała za uszy, spojrzał na matkę surowo i oblewając się rumieńcem wstydu i przykrości odpalił:

– Nie krzycz! Nigdzie stąd nie pójdę. – I nie zatrzymując się poszedł dalej.

Antonina Wasiljewna wybuchnęła:

– Ach, to ty tak z matką rozmawiasz! No, to się nie waż potem wracać do domu.

– Nie wrócę! – nie odwracając się krzyknął w odpowiedzi Sierioża.

Antonina Wasiljewna stała oszołomiona na drodze. A obok niej posuwały się naprzód szeregi ogorzałych, zakurzonych żołnierzy.

– Nie płacz, matko! Synka wybierzemy na komisarza – rozległ się czyjś mocny i drwiący głos.

Wesołym śmiechem zarechotał pluton. Na czele kompanii silne głosy zaintonowały pieśń:

Bije rozprawy godzina,
próżna jest przemoc i rzeź,
nowa się era zaczyna,
budzi się miasto i wieś.

Szeregi z mocą podchwyciły pieśń, a do chóru dołączył się również dźwięczny głos Sierioży. Znalazł nową rodzinę. A w niej jeden bagnet jest jego, Sierioży.

Na bramie Leszczyńskich pojawił się biały karton. Na nim krótkie słowo *Rewkom.*

Obok płomienny plakat. Prosto w pierś czytającego skierowany palec i oczy czerwonoarmisty. I napis:

Czyś wstąpił do Armii Czerwonej?

Tych niemych agitatorów rozlepili w nocy pracownicy wydziału politycznego dywizji. Tu również widnieje pierwsza odezwa rewkomu do wszystkich pracujących miasta Szepietówki.

Towarzysze! Wojska proletariackie zdobyły miasto. Przywrócono władzę radziecką. Wzywamy ludność do zachowania spokoju. Krwawi sprawcy pogromów zostali wyparci, lecz żeby już nigdy nie wrócili, żeby ich zniszczyć doszczętnie, wstępujcie do szeregów Armii Czerwonej. Ze wszystkich sił popierajcie władzę mas pracujących. Władza wojskowa w mieście spoczywa w rękach dowódcy garnizonu. Władza cywilna – w rękach komitetu rewolucyjnego.

Przewodniczący rewkomu Dolinnik

W willi Leszczyńskiego zjawili się nowi ludzie. Słowo „towarzysz", za które jeszcze wczoraj płaciło się życiem, słychać było teraz na każdym kroku. Niewypowiedzianie wzruszające słowo „towarzysz"!

Dolinnik zapomniał o śnie i odpoczynku.

Stolarz organizował władzę rewolucyjną.

Na drzwiach małego pokoiku – świstek papieru. Na nim ołówkiem: *Komitet Partyjny.* Tutaj urzęduje towarzyszka Ignatjewa, spokojna, opanowana. Jej i Dolinnikowi wydział polityczny dywizji powierzył zorganizowanie miejscowej władzy radzieckiej.

Minął dzień i już siedzą przy stołach współpracownicy, stuka maszyna do pisania, zorganizowano komisariat aprowizacji. Komisarz Tyżycki jest ruchliwy, nerwowy. Tyżycki pracował w cukrowni jako pomocnik mechanika. Z rzadką wytrwałością zaczął od pierwszych dni panowania władzy radzieckiej gromić arystokratyczne kierownictwo administracji fabrycznej, które przyczaiło się żywiąc ukrytą nienawiść do bolszewików.

Na zebraniu fabrycznym, zapalczywie waląc pięścią w barierę mównicy, rzucał otaczającym go robotnikom twarde, nieprzejednane słowa po polsku.

– *Basta* – *mówił.* – Tego, co było, już nie będzie. Dosyć nasi ojcowie i my sami przez całe życie naharowaliśmy się na

Potockiego. Budowaliśmy im pałace i za to jaśnie wielmożny hrabia dawał nam akurat tyle, żebyśmy nie zdychali z głodu przy robocie.

Ileż to lat hrabiowie Potoccy i książęta Sanguszkowie jeżdżą na naszych zgiętych grzbietach! Czyż mało jest między nami robotników Polaków, których Potocki trzymał w jarzmie tak samo jak Rosjan i Ukraińców? Otóż wśród tych robotników krążą słuchy, rozpuszczane przez hrabiowskich sługusów, że władza radziecka ich wszystkich ściśnie żelazną pięścią.

To podłe oszczerstwo, towarzysze. Nigdy jeszcze robotnicy różnych narodowości nie mieli takich swobód jak teraz.

Wszyscy proletariusze są braćmi, ale panów już my przyciśniemy, bądźcie pewni. – Ręka jego opisuje łuk i znów spada na barierę mównicy. – A kto zmusza do przelewu krwi bratniej? Królowie i szlachta od wieków posyłali chłopów polskich na wojnę z Turkami i zawsze jeden naród napadał i gromił drugi. Ile to ludzi zginęło, ile stąd nieszczęść wynikło! I komu to było potrzebne? Czy nam? Ale wkrótce to wszystko się skończy. Przyszedł kres na te gady. Bolszewicy rzucili całemu światu straszne dla burżujów słowa: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!" Oto w czym nasz ratunek, nasza nadzieja na szczęśliwe życie: w tym, żeby robotnik robotnikowi był bratem. Wstępujcie, towarzysze, do partii komunistycznej!

Będzie również polska republika, lecz socjalistyczna, bez Potockich, których wytępimy z korzeniami, i w Polsce socjalistycznej sami będziemy gospodarzami. Kto z was nie zna Bronka Ptaszyńskiego? Rewkom mianował go komisarzem naszej fabryki. „Dziś niczym, jutro wszystkim my". Będzie i u nas święto, towarzysze, nie dawajcie tylko posłuchu tym ukrytym żmijom! I jeżeli zdobędziemy zaufanie robotników, to zorganizujemy braterstwo ludów na całym świecie!

Wacław wypowiedział te nowe słowa z głębi swego prostego robotniczego serca.

Gdy zszedł z mównicy, młodzież odprowadzała go okrzykami uznania.

Jedynie starsi bali się wypowiedzieć. Kto wie? Być może bolszewicy jutro się wycofają, a wtedy trzeba będzie zapłacić za każde słowo. Jeżeli nawet ominie cię stryczek, to już z fabryki wypędzą na pewniaka.

Komisarz oświaty – szczupły, przystojny nauczyciel Czernopyski – to pośród miejscowego nauczycielstwa jedyny na razie człowiek oddany bolszewikom. Naprzeciw rewkomu ulokowała się kompania do specjalnych zadań. Czerwonoarmiści z tej kompanii dyżurują w rewkomie. Wieczorem w ogrodzie stoi przed wejściem przyczajony maksym z wężem-taśmą wpełzającą do podajnika. Obok – dwóch wartowników z karabinami.

Do rewkomu idzie towarzyszka Ignatjewa. Zwraca uwagę na młodziutkiego czerwonoarmistę i pyta:

– Ile macie lat, towarzyszu?

– Siedemnasty rok.

– Tutejszy?

Czerwonoarmista uśmiecha się.

– Tak, dopiero przedwczoraj podczas boju wstąpiłem do armii.

Ignatjewa wpatruje się w niego.

– Kim jest wasz ojciec?

– Pomocnikiem maszynisty.

Przez furtkę wchodzi Dolinnik z jakimś wojskowym. Ignatjewa, zwracając się do niego, mówi:

– Znalazłam właśnie kandydata na sekretarza rejonowego komitetu Komsomołu; to chłopiec tutejszy.

Dolinnik obrzucił Siergieja bystrym spojrzeniem.

– Czyj on? A, Zachara syn! No cóż – wal, nakręcaj chłopaków.

Sierioża spojrzał na nich zdziwiony.

– A co z kompanią?

Już wbiegając na schodki Dolinnik rzucił:

– Jakoś to załatwimy.

Nazajutrz pod wieczór został utworzony miejscowy komitet Komunistycznego Związku Młodzieży Ukrainy.

Nowe życie wtargnęło nieoczekiwanie i szybko. Wypełniło Sierożkę całkowicie. Porwało go w swój wir. Sierioża zapomniał o rodzinie, choć była tak blisko.

On, Sierioża Bruzżak, jest bolszewikiem. Po raz dziesiąty wyciągał z kieszeni kartkę białego papieru – blankiet Komitetu KP(b)U*, gdzie było napisane, że on, Sierioża, jest komsomolcem i sekretarzem komitetu. A gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, to przecie na bluzie wojskowej wisiał na rzemieniu, w brezentowym futerale własnej roboty, okazały rewolwer, prezent drogiego przyjaciela, Pawki. To najbardziej przekonywający mandat. Ech, szkoda, że nie ma Pawłuszki!

Sierioża po całych dniach biegał z poleceniami rewkomu. Oto i teraz czeka na niego Ignatjewa. Mają jechać na stację, do wydziału politycznego, gdzie dadzą dla rewkomu literaturę i gazety. Chłopiec szybko wybiega na ulicę. Pracownik tego wydziału czeka na nich z autem przed bramą rewkomu.

Do dworca daleko. Na dworcu w wagonach mieścił się sztab i wydział polityczny pierwszej radzieckiej dywizji ukraińskiej. Ignatjewa wykorzysta przejażdżkę na porozmawianie z chłopcem.

– Co zrobiłeś na swoim odcinku? Stworzyłeś organizację? Musisz zaagitować swych przyjaciół, dzieci robotników. W najbliższym czasie trzeba zorganizować grupę młodzieży komunistycznej. Jutro ułożymy i wydrukujemy odezwę Komsomołu. Potem zbierzemy młodzież w teatrze, urządzimy wiec; w ogóle poznam cię w wydziale politycznym z Ritą Ustinowicz. Ona, zdaje się, prowadzi robotę wśród młodzieży.

Okazało się, że Rita jest osiemnastoletnią dziewczyną o ciemnych przystrzyżonych włosach, w nowiutkiej bluzie wojskowej koloru khaki, przepasanej wąziutkim rzemykiem.

K P (b) U – Komunistyczna Partia (bolszewików) Ukrainy.

Sierioża dowiedział się od niej dużo nowego i uzyskał obietnicę, że będzie mu pomagać w robocie. Na pożegnanie objuczyła go całym tobołem literatury i oddzielnie dała mu broszurkę zawierającą program i statut Komsomołu.

Wrócili do rewkomu późnym wieczorem. W ogrodzie czekała Wala. Rzuciła się na Sieriożkę z wyrzutami.

– Jak ci nie wstyd! Cóż to, czyś się zupełnie wyrzekł domu? Matka przez ciebie co dzień płacze, ojciec się gniewa. Będzie awantura.

– Nic, Wala, nie będzie. Iść do domu nie mam czasu. Słowo honoru, nie mam czasu. I dzisiaj też nie przyjdę. A z tobą muszę pomówić. Chodź do mnie.

Wala nie poznawała brata. Całkiem się zmienił. Jak gdyby go ktoś naelektryzował. Posadziwszy siostrę na krześle, Sierioża od razu, bez ogródek przystąpił do rzeczy.

– Jest taka sprawa. Wstąp do Komsomołu. Nie rozumiesz, co to jest? Komunistyczny Związek Młodzieży. Jestem tam sekretarzem. Nie wierzysz? Masz, przeczytaj!

Wala przeczytała i patrzyła na brata zmieszana.

– Co ja będę robić w Komsomole?

Sierioża rozłożył ręce.

– Co? Tam nie ma nic do roboty? Moja droga! Przecie ja po nocach nie sypiam. Trzeba rozwinąć agitację. Ignatjewa mówi: „Zbierzemy wszystkich w teatrze i będziemy opowiadać o władzy radzieckiej, a ty – mówi – musisz wygłosić przemówienie". Sądzę, że to niepotrzebne, ponieważ, rozumie się, nie wiem, jak to zrobić. I zasypię się na całego. A więc powiedz: co myślisz o Komsomole?

– Nie wiem. Matka wtedy już się rozgniewa na dobre.

– Ty się, Wala, na matkę nie oglądaj – rzekł Sierioża. – Ona się na tym nie rozumie. Jej chodzi tylko o to, żeby mieć dzieci przy sobie. Ona nic nie ma przeciw władzy radzieckiej. Przeciwnie, sprzyja jej. Ale chce, żeby na froncie walczyli inni, nie jej synowie. A czyż to jest sprawiedliwie? Pamiętasz, jak nam mówił Żuchraj? Spójrz na Pawkę, on się

na matkę nie oglądał. Teraz wyszło dla nas prawo, byśmy żyli jak należy. No i cóż, Walusza, odmawiasz? Zabrałabyś się do dziewcząt, a ja do chłopców. Jakby to było dobrze! Rudego diabła Klimkę zaraz dziś wezmę w obroty. No więc jak, Wala, przystajesz do nas czy nie? Mam tu książeczkę na ten temat.

Wyjął z kieszeni i podał siostrze. Wala, nie odrywając oczu od brata, spytała cicho:

– A co będzie, jeżeli znowu przyjdą petlurowcy?

Sierioża po raz pierwszy zastanowił się nad tym.

– Ja oczywiście pójdę razem ze wszystkimi. Ale co zrobić z tobą? Matka rzeczywiście będzie wtedy nieszczęśliwa. – Umilkł.

– Zapiszesz mnie, Sierioża, tak żeby matka nie wiedziała i żeby nikt nie wiedział, tylko ty i ja. Będę pomagać we wszystkim: tak będzie lepiej.

– Masz rację, Wala.

Do pokoju weszła Ignatjewa.

– To moja siostrzyczka, towarzyszko Ignatjewa, Wala. Miałem z nią ideową rozmowę. Ona jest całkiem odpowiednia, ale, widzicie, z matką naszą jest trudna sprawa. Czy można ją tak przyjąć, żeby nikt o tym nie wiedział? Jeżeli, powiedzmy, przyjdzie nam stąd się wycofać, to ja oczywiście biorę karabin i w drogę, a jej matki żal.

Ignatjewa siedziała na brzegu stołu i uważnie słuchała.

– Dobrze. Tak będzie lepiej.

Teatr jest szczelnie wypełniony gadatliwą młodzieżą, która zebrała się tu na wiec zapowiedziany w rozwieszonych po mieście afiszach. Przygrywa dęta orkiestra robotników cukrowni. Najwięcej jest w sali uczącej się młodzieży – gimnazjalistek, gimnazjalistów i uczniów szkoły podstawowej.

Ich wszystkich ściągnął tutaj nie tyle wiec, co widowisko. Wreszcie kurtyna poszła w górę i na scenie zjawił się sekre-

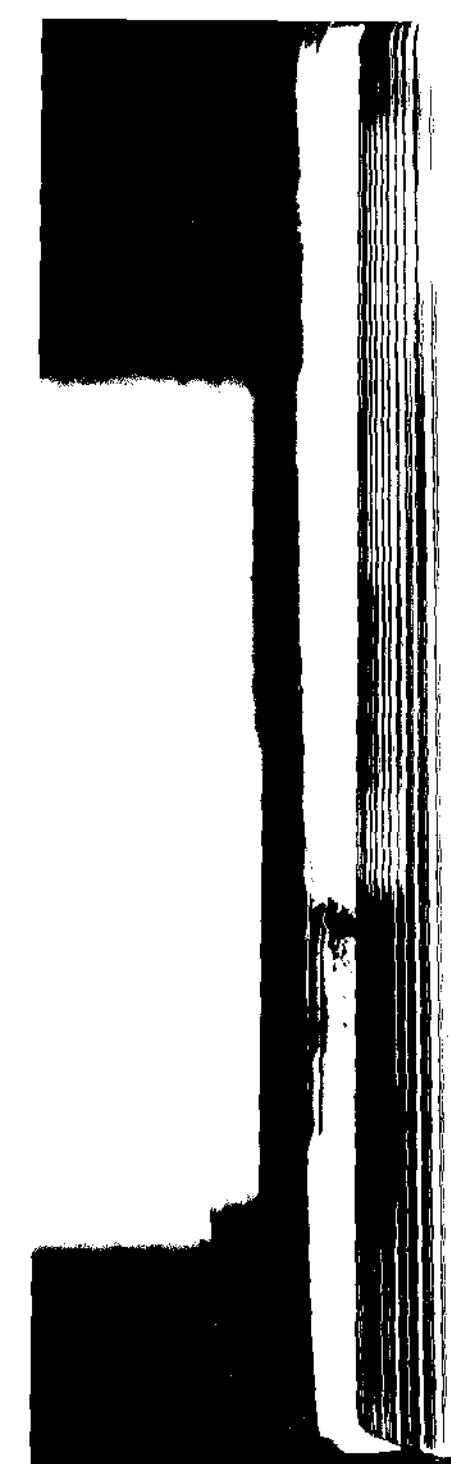

tarz komitetu nauczycielskiego, towarzysz Razin, który przed chwilą przyjechał z powiatu.

Mały, chudy, z ostrym noskiem, ściągnął na siebie powszechną uwagę. Jego przemówienia słuchano z dużym zainteresowaniem. Mówił o walce, która ogarnęła cały kraj, i wzywał młodzież do jednoczenia się wokół partii komunistycznej. Przemawiał jak prawdziwy mówca, za wiele jednak używał takich wyrażeń, jak „ortodoksyjni marksiści", „socjalszowiniści" i tym podobnych, których słuchacze oczywiście nie rozumieli.

Gdy skończył, nagrodzono go hucznymi oklaskami. Oddał głos Sierioży i wyjechał.

Stało się to, czego Sierioża się obawiał. Przemówienie się nie kleiło.

„Co mówić, o czym?" – męczył się szukając słów i nie znajdował ich.

Wyratowała go Ignatjewa szepnąwszy spoza stołu prezydium:

– Mów o organizacji komórki.

Sierioża od razu przeszedł do spraw praktycznych.

– Wszystko już słyszeliście, towarzysze, teraz musimy stworzyć komórkę. Kto z was popiera ten wniosek?

W sali zapanowała cisza.

Z pomocą przyszła Rita Ustinowicz. Jęła opowiadać słuchaczom o młodzieżowej organizacji w Moskwie. Sierioża, zmieszany, stał z boku.

Był oburzony takim stosunkiem zebranych do organizowania komórki i spoglądał na salę nieżyczliwie. Słuchano nieuważnie. Zaliwanow coś szeptał Lizie Sucharko, pogardliwie spoglądając na Ritę.

W pierwszym rzędzie gimnazjalistki wyższych klas, z upudrowanymi noskami i zalotnie strzelającymi oczami, rozmawiały ze sobą. W kącie przy wejściu na scenę znajdowała się grupa młodych czerwonoarmistów. Wśród nich Sierioża ujrzał znajomego młodziutkiego żołnierza z oddziału karabinów ma-

szynowych. Siedział na brzegu rampy, kręcił się nerwowo, z nienawiścią patrzył na elegancko ubrane Lizę Sucharko i Annę Adamowską. Niczym się nie krępując rozmawiały one ze swoimi kawalerami.

Czując, że jej nie słuchają, Rita szybko skończyła swoje przemówienie i ustąpiła miejsca Ignatjewej, której spokojne słowa uciszyły słuchaczy.

– Młodzi towarzysze – mówiła – każdy z was może przemyśleć to wszystko, co tutaj słyszał, i jestem pewna, że wśród was znajdą się towarzysze, którzy wejdą do rewolucji jako czynni uczestnicy, a nie widzowie. Drzwi są dla was otwarte. Decyzja należy do was. Chcemy, byście się wypowiedzieli sami. Zapraszamy chętnych do zabrania głosu.

Na sali znowu zapanowała cisza. Ale oto z ostatnich rzędów rozległ się głos:

– Ja chcę coś powiedzieć!

I ku scenie przecisnął się podobny do niedźwiadka, troszkę zezowaty Misza Lewczukow.

– Jeżeli jest taka sprawa, to trzeba bolszewikom pomagać, ja nie odmawiam. Sieriożka mnie zna. Zapisuję się do Komsomołu.

Sierioża uśmiechnął się radośnie.

– Widzicie więc, towarzysze! – skoczył od razu na środek sceny. – Mówiłem przecie, że Miszka to swój chłopiec, ojciec jego był zwrotniczym, zmiażdżył go wagon, przez to Miszka nie otrzymał wykształcenia. Ale w naszej sprawie od razu się połapał, chociaż nie ukończył gimnazjum.

W sali powstała wrzawa. Poprosił o głos gimnazjalista Okuszew, syn aptekarza, chłopiec ze starannie zakręconym czubem. Obciągnął bluzę i zaczął:

– Przepraszam, towarzysze. Nie rozumiem, czego od nas chcą. Żebyśmy się zajmowali polityką? A kiedy będziemy się uczyć? My musimy kończyć gimnazjum. Co innego, gdyby założono jakieś stowarzyszenie sportowe, klub, gdzie by można było się zbierać, poczytać. A tu zajmuj się polityką, a potem

cię za to powieszą. Przepraszam. Myślę, że na to nikt się nie zgodzi.

Na sali rozległ się śmiech. Okuszew zeskoczył ze sceny i usiadł. Jego miejsce zajął młody żołnierz z oddziału karabinów maszynowych. Z pasją nasunął czapkę na czoło, spojrzał ze złością na rzędy krzeseł i krzyknął z mocą:

– Śmiejecie się, bydlaki?!

Oczy jego – jak dwa płonące węgle. Głęboko wciągnąwszy w siebie powietrze, drżąc cały z wściekłości, zaczął mówić:

– Nazywam się Iwan Żarki. Nie znam ani ojca, ani matki, byłem bezdomny; jak żebrak poniewierałem się pod płotami. Głodowałem i nigdzie nie miałem przytułku. Życie miałem sobacze, nie takie jak wy, maminsynki. I oto przyszła władza radziecka, przygarnęli mnie czerwonoarmiści. Cały pluton mnie usynowił, odział, obuł, nauczył czytać i pisać, a co najważniejsze – po ludzku myśleć. Dzięki nim zostałem bolszewikiem i do śmierci nim będę. Wiem dobrze, o co idzie walka: o nas, biedaków, o władzę robotniczą. Rżycie tutaj jak źrebce, a tego nie wiecie, że pod miastem dwustu towarzyszy poległo, na zawsze zginęło... – Głos Żarkiego zadźwięczał jak napięta struna. – Życie bez wahania oddali za nasze szczęście, za naszą sprawę... Giną w całym kraju, na wszystkich frontach, a wyście przez ten czas tu karuzelę kręcili. Zwracacie się oto do nich, towarzysze – obrócił się nagle do stołu prezydium – do tych – wskazał palcem salę – a czyż oni zrozumieją? Nie! Syty głodnemu nie wierzy. Tutaj jeden tylko się znalazł, bo jest biedakiem, sierotą. Obejdziemy się bez was – z zajadłością obrzucał słowami zebranych – prosić nie będziemy, po diabła nam tacy! Po takich to tylko z karabinu maszynowego się przejechać – zakończył dusząc się z oburzenia, zbiegł ze sceny i nie patrząc na nikogo skierował się ku wyjściu.

Nikt z prezydium nie został na wieczorku. Gdy szli do rewkomu, zmartwiony Sierioża rzekł:

– To ci chryja! Żarki ma rację. Nic nam się nie udało zrobić z tymi gimnazjalistami. Tylko złość bierze.

– I co tu się dziwić – odezwała się Ignatjewa – młodzieży proletariackiej tu prawie nie ma. Przecież większość to albo drobna burżuazja, albo miejska inteligencja, mieszczuchy. Pracować należy wśród robotników. Oprzyj się na tartaku i cukrowni. Z tego wiecu będzie jednak korzyść. Wśród uczącej się młodzieży są dobrzy towarzysze.

Ustinowicz poparła Ignatjewę:

– Nasze zadanie, Sierioża, polega na tym, by nasze idee nieustannie wtłaczać w świadomość każdego człowieka. Na każde nowe wydarzenie partia będzie zwracała uwagę wszystkich pracujących. Urządzimy szereg wieców, narad, zjazdów. Wydział polityczny otwiera na stacji teatr letni. W tych dniach przybędzie pociąg agitacyjny i rozwiniemy robotę na całego. Pamiętacie, Lenin mówił, że nie zwyciężymy, jeżeli nie wciągniemy do walki wielomilionowych rzesz pracujących.

Późnym wieczorem Siergiej odprowadził Ritę na stację. Przy pożegnaniu mocno uścisnął jej rękę, na chwilę zatrzymał ją w swojej. Dziewczyna ledwo widocznie się uśmiechnęła.

Wracając do miasta wstąpił do rodziny.

W milczeniu, nie oponując, wytrzymywał Sierioża ostre ataki matki. Ale gdy wystąpił ojciec, chłopiec przeszedł do ofensywy i od razu zapędził Zachara Wasiljewicza w kozi róg.

– Posłuchaj, tatku: kiedyście za Niemców strajkowali i zabili na lokomotywie wartownika, czyś myślał o rodzinie? Myślałeś. A jednak poszedłeś, ponieważ twoje sumienie robotnicze zmusiło cię do tego. Ja też myślałem o rodzinie. Rozumiem, że jeżeli stąd się wycofamy, was będą za mnie prześladować. Ale za to, jeżeli zwyciężymy, będziemy górą, a w domu siedzieć nie mogę. Ty, tatku, sam to dobrze rozumiesz. Po co więc robić piekło? Wziąłem się do dobrej sprawy, powinieneś mnie poprzeć, pomóc mi, a ty się awanturujesz. Pogódźmy się, tatku, wówczas i mama przestanie mnie łajać. – Patrzył na ojca swymi czystymi błękitnymi oczami, łagodnie się uśmiechał, pewien swej słuszności.

Zachar Wasiljewicz zaczął się kręcić niespokojnie na ławce i poprzez szczecinę gęstych wąsów i nie ogolonej bródki pokazywał w uśmiechu żółtawe zęby.

– Na uświadomienie nacisk robisz, szelmo? Myślisz, że jeśliś sobie przyczepił rewolwer, to ja cię już pasem nie spiorę?

Ale w jego głosie nie było groźby. Po chwilowym zakłopotaniu dodał, stanowczym ruchem podając synowi swą twardą spracowaną rękę:

– No to wal, Sieriożka; skoro ciągniesz pod górę, nie będę hamował. Tylko nie stroń od nas, przychodź.

Noc. Smuga światła z uchylonych drzwi pada na stopnie. W dużym pokoju, zastawionym miękkimi, krytymi pluszem kanapami, przy szerokim adwokackim biurku, siedzi pięć osób. Posiedzenie rewkomu. Dolinnik, Ignatjewa, przewodniczący Czeki – Timoszenko, podobny do Kirgiza, w kubance, i dwóch z rewkomu: dryblas – kolejarz Szudik i Ostapczuk, z warsztatów, o spłaszczonym nosie.

Dolinnik, przechylony nad stołem, utkwił uporczywy wzrok w Ignatjewej i dobywał z siebie ochrypłym głosem słowo po słowie.

– Front musi mieć zaopatrzenie. Robotnicy muszą jeść. Jak tylko przyszliśmy, handlarze i spekulanci rynkowi podbili ceny. Banknoty radzieckie nie są przyjmowane. Sprzedają albo za stare mikołajowskie, albo za kierenki. Dziś jeszcze ustalimy sztywne ceny. Doskonale rozumiemy, iż żaden spekulant nie będzie sprzedawał po sztywnej cenie. Pochowają towar. Wówczas zrobimy rewizje u paskarzy i zarekwirujemy u nich wszystkie towary. Tu nie ma się co patyczkować. Nie możemy na to pozwolić, by robotnicy w dalszym ciągu głodowali. Towarzyszka Ignatjewa ostrzega, żebyśmy nie przeholowali. Powiem, że to jest u niej inteligenckie cackanie się. Nie obrażaj się, Zoja; mówię tak, jak jest. Przy tym

nie chodzi tu o drobnych handlarzy. Oto dziś otrzymałem wiadomość, że w domu szynkarza Borysa Zona jest ukryta piwnica. Do tego podziemnego składu jeszcze przed zajęciem miasta przez petlurowców bogaci kupcy złożyli ogromne zapasy towarów. – Znacząco, z jadowitą drwiną spojrzał na Timoszenkę.

– Skąd się o tym dowiedziałeś? – zapytał tamten, mocno zmieszany. Był zły, że Dolinnik otrzymał owe wiadomości wcześniej od niego, podczas gdy o tym przede wszystkim powinien był wiedzieć on, Timoszenko.

– He-he! – śmiał się Dolinnik. – Ja, bratku, wszystko widzę. Nie tylko o piwnicy wiem – ciągnął – wiem również o tym, żeś wczoraj pół butelki samogonu wytrąbił z szoferem dowódcy dywizji.

Timoszenko zaczął się kręcić na krześle. Na jego żółtawej twarzy zjawił się rumieniec.

– A to choroba! – mruknął z zachwytem. Ale rzuciwszy okiem na zachmurzoną Ignatjewą, umilkł. „Szelma stolarz! Ma swoją własną Czekę" – myślał Timoszenko patrząc na przewodniczącego rewkomu.

– Dowiedziałem się od Siergieja Bruzżaka – mówił dalej Dolinnik. Ma on przyjaciela, zdaje się, że pracował w bufecie na stacji. Więc tamten dowiedział się od kucharzy, że Zon dawniej dostarczał wszystkie potrzebne artykuły w nieograniczonej ilości. A wczoraj Sierioża zdobył dokładne wiadomości: piwnica jest, trzeba tylko ją znaleźć. Więc ty, Timoszenko, bierz chłopców i Sieriożę. Żeby mi dziś jeszcze wszystko było znalezione! Jeśli powiedzie się nam akcja, zaopatrzymy robotników i aprowizacyjny komitet dywizji.

W pół godziny potem ośmiu uzbrojonych ludzi weszło do domu szynkarza, dwóch zostało na ulicy, przy wejściu.

Gospodarz, przysadzisty, okrągły jak dziesięciowiadrowa beczka, obrośnięty rudą szczeciną, stukając drewnianą nogą, zaczął nadskakiwać przybyłym i zapytał ochrypłym, gardłowym głosem:

– O co chodzi, towarzysze? Czemu o tak późnej porze?

Za plecami Żona stały córki w szlafrokach, mrużąc oczy od światła latarki Timoszenki. A w sąsiednim pokoju postękując ubierała się okazała małżonka.

Timoszenko wyjaśnił w dwóch słowach:

– Zrobimy rewizję.

Zbadano każdy kwadrat podłogi. Obszerna szopa, zawalona porżniętym drzewem opałowym, spiżarnie, kuchnia i pojemna piwnica – wszystko zostało dokładnie przetrząśnięte. Jednakże żadnego śladu ukrytej piwnicy nie ujawniono.

W małym alkierzu przy kuchni spała mocnym snem służąca szynkarza. Spała tak mocno, że nie słyszała, jak weszli. Sierioża zbudził ją ostrożnie.

– Ty co, służysz tutaj? – zapytał zaspanej dziewczyny.

Naciągając na ramiona kołdrę, zasłaniając się ręką przed światłem, nic nie rozumiejąc, odpowiedziała zdziwiona:

– Służę. A wy coście za jedni?

Sierioża wytłumaczył i wyszedł prosząc ją, żeby się ubrała.

W obszernej jadalni Timoszenko wypytywał gospodarza. Szynkarz sapał, mówił z podnieceniem, pryskał śliną.

– Czego chcecie? Innej piwnicy nie mam. Na próżno czas tracicie. Zapewniam was, że na próżno. Miałem szynk, ale teraz jestem biedakiem. Petlurowcy mnie ograbili, o mało nie zabili. Jestem bardzo zadowolony z władzy radzieckiej, ale sami widzicie, co mam – i rozcapierzył swe krótkie, grube palce. A przekrwione oczy latały mu z twarzy szefa Czeki na Sierioże, a z Sierioży gdzieś w kąt i na sufit.

Timoszenko gryzł nerwowo wargi.

– A więc w dalszym ciągu ukrywacie? Po raz ostatni proponuję wskazać, gdzie jest piwnica.

– Ach, co wy, towarzyszu wojskowy – wtrąciła się małżonka szynkarza – my sami po prostu głodujemy. Nam wszystko zabrali. – Chciała zapłakać, ale nic z tego nie wyszło.

– Głodujecie, a służącą trzymacie – odezwał się Sierioża.

– Ach, co to tam za służąca! Po prostu biedna dziewczy-

na u nas mieszka. Nie ma gdzie się podziać. Niech wam zresztą Krystyna sama powie.

– Dobrze – krzyknął tracąc cierpliwość Timoszenko – bierzemy się do roboty!

Już dniało, a w domu szynkarza wciąż jeszcze uporczywie trwała rewizja. Zirytowany niepowodzeniem trzynastogodzinnych poszukiwań Timoszenko postanowił zaprzestać rewizji, gdy w alkierzu służącej zamierzający już odejść Sierioża usłyszał nagle cichy szept dziewczyny.

– Na pewno w kuchni, w piecu.

W dziesięć minut potem, gdy rozwalono piec, ukazała się żelazna pokrywa włazu. A po godzinie dwutonowa ciężarówka, naładowana beczkami i workami, odjeżdżała sprzed domu szynkarza, otoczonego tłumem gapiów.

W upalny dzień z małym tłumoczkiem przyszła z dworca Maria Jakowlewna. Gorzko płakała słuchając opowiadania Artioma o Pawce. Zaczęły się dla niej posępne dni. Nie było z czego żyć, wzięła się więc do prania bielizny czerwonoarmistom i w zamian za to wystarano się dla niej o wojskową rację żywnościową.

Pewnego dnia pod wieczór, szybciej niż zwykle, zatupotały pod oknem kroki Artioma. Otwierając drzwi, już od progu rzucił:

– Wiadomości od Pawki.

Drogi braciszku Artiomie – pisał Pawka. – *Donoszę Ci, kochany bracie, że jestem żywy, choć niezupełnie zdrów. Dostałem kulą w biodro, ale powracam do zdrowia. Doktor mówi, że kość nienaruszona. Nie lękaj się o mnie, wszystko przejdzie. Być może dostanę urlop, przyjadę po wyjściu z lazaretu. Do matki nie dotarłem, a tymczasem wyszło tak, że jestem teraz czerwonoarmistą brygady kawaleryjskiej imienia towarzysza Kotowskiego, z pewnością znanego wam ze swego bo-*

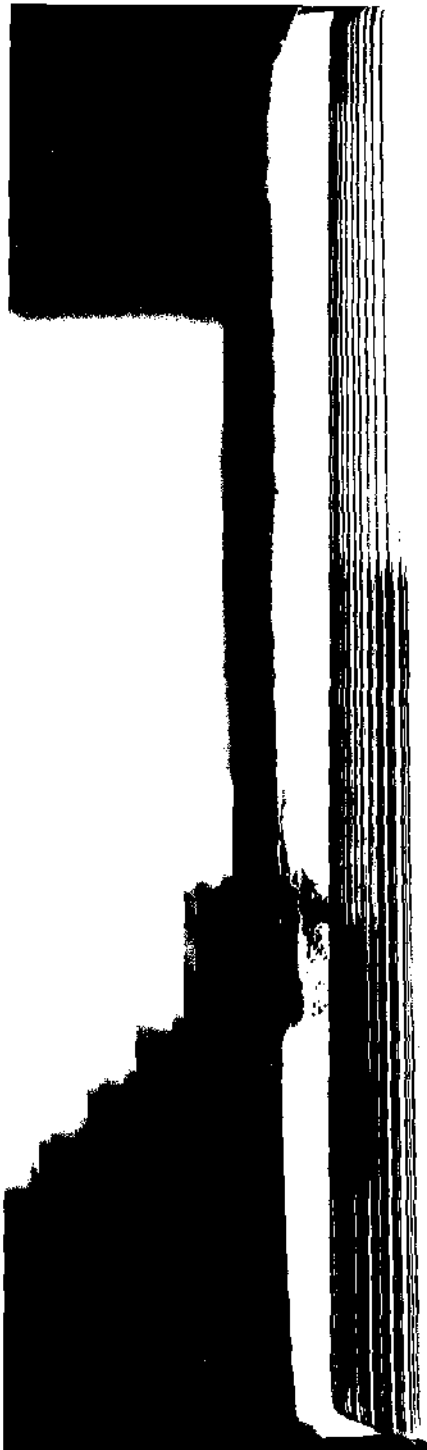

baterstwa. Takich ludzi jeszcze nie widziałem i mam dla dowódcy brygady wielki szacunek. Czy przyjechała nasza matka? Jeżeli jest w domu, to gorące pozdrowienia od młodszego syna. I wybaczcie, że sprawiłem tyle niepokoju. Twój brat.

Artiomie, zajdź do leśniczego i opowiedz o liście.

Dużo łez wylała Maria Jakowlewna. A syn marnotrawny nie podał nawet adresu szpitala, w którym leżał.

Bardzo często bywał Sierioża na dworcu w zielonym wagonie pasażerskim z napisem: *Agitprop podiwa**. Tu w małym przedziale pracują towarzyszki Ustinowicz i Ignatjewa. Ta druga, z nieodstępnym papierosem w zębach, uśmiecha się figlarnie kącikami warg.

Sekretarz komsomolskiego komitetu rejonowego niepostrzeżenie zaprzyjaźnił się z Ritą i prócz tobołów z gazetami i literaturą wynosił z dworca niejasne uczucie radości z krótkich spotkań.

Teatr wydziału politycznego dywizji codziennie zapełniali robotnicy i czerwonoarmiści. Na torach stał spowity w jaskrawe plakaty pociąg agitacyjny dwunastej armii. Tętnił on przez całą dobę intensywnym życiem. Pracowała tu drukarnia, wydawano gazety, ulotki, proklamacje. Front był blisko. Przypadkowo znalazł się wieczorem w teatrze Sierioża. Wśród czerwonoarmistów zastał Ritę Ustinowicz.

Późno w nocy odprowadzając ją na stację, gdzie mieszkali pracownicy wydziału politycznego, Sierioża nieoczekiwanie dla siebie samego zapytał:

– Dlaczego, towarzyszko Rito, zawsze pragnę cię widzieć? – I dodał: – Z tobą tak mi dobrze! Po każdym spotkaniu czuję się bardziej rześki i chce mi się pracować bez końca.

Rita przystanęła.

* Agitprop podiwa – sekcja agitacyjno-propagandowa wydziału politycznego dywizji.

– Wiesz co, towarzyszu Bruzżak, umówmy się na przyszłość, że nie będziesz puszczał się na lirykę. Nie lubię tego.

Sierioża poczerwieniał jak zbesztany sztubak.

– Powiedziałem ci jak przyjacielowi – odrzekł – a ty mnie... Czy powiedziałem coś kontrrewolucyjnego? Na pewno, towarzyszko Ustinowicz, nigdy więcej tego nie powiem.

Szybko podał jej rękę i prawie biegiem ruszył do miasta.

Przez kilka dni z rzędu Sierioża nie pokazywał się na dworcu. Gdy wzywała go Ignatjewa, wymawiał się, powoływał na brak czasu. I rzeczywiście był bardzo zajęty.

Pewnej nocy ktoś strzelił do Szudika wracającego do domu ulicą, gdzie mieszkali przeważnie wyżsi urzędnicy cukrowni, Polacy. W związku z tym dokonano rewizji. Znaleziono broń i dokumenty organizacji Strzelec.

Na naradę w rewkomie przybyła Rita Ustinowicz. Odwoławszy Sieriożę na bok, spokojnie zapytała:

– Cóż to, wziąłeś na ambit mieszczański? Osobistą rozmowę wiążesz z pracą? To, towarzyszu, do niczego niepodobne.

I znowu przy każdej sposobności zaglądał Sierioża do zielonego wagonu.

Był na konferencji powiatowej. Przez dwa dni prowadził gorące dyskusje. Trzeciego dnia razem z całym plenum uzbroił się i całą dobę ścigał w lasach za rzeką bandę petlurowskiego niedobitka, oficera Zarudnego. Po powrocie zastał u Ignatiewej Ritę. Odprowadził ją na stację i żegnając się, bardzo mocno ściskał jej rękę.

Dziewczyna wyrwała ją gniewnie. I znów długi czas do wagonu agitacyjno-propagandowego nie zaglądał. Umyślnie nie spotykał się z Ritą nawet wtedy, kiedy należało się spotkać. A gdy uporczywie nalegała, by wyjaśnił swoje postępowanie, rąbnął z miejsca:

– O czym mam z tobą mówić? Znowu przypniesz mi jakieś nawyki mieszczańskie lub posądzisz o zdradę klasy robotniczej.

Na stację przybyły transporty kaukaskiej dywizji imienia Czerwonego Sztandaru. Do rewkomu przyjechali trzej smagli dowódcy. Wysoki, szczupły, przepasany pasem nabijanym srebrem, nacierał na Dolinnika.

– Co mi tam będziesz gadał. Dawaj sto fur siana. Konie zdychają.

Sieriożę posłano z dwoma czerwonoarmistami, żeby zdobył siano. W pewnej wsi natknął się na bandę kułaków. Czerwonoarmistów rozbroili i zbili nieomal że na śmierć. Sierioży mniej się dostało niż innym, oszczędzili go ze względu na młody wiek. Przywieźli go do miasta członkowie komitetu biedoty.

Na wieś posłano oddział. Nazajutrz dostarczono siana.

Sierioża leżał w pokoju Ignatjewej, nie chcąc niepokoić rodziny. Odwiedzała go Rita. Tego wieczoru po raz pierwszy poczuł jej uścisk ręki, taki czuły i mocny, na jaki sam nigdy by się nie zdobył.

W upalne południe, wpadłszy do wagonu, Sierioża czytał Ricie list Korczagina, opowiadał o koledze. Wychodząc rzucił:

– Pójdę do lasu, wykąpię się w jeziorze.

Rita, odrywając się od roboty, zatrzymała go.

– *Poczekaj. Pójdziemy razem.*

Stanęli nad spokojną, lustrzaną tonią jeziora. Wabiła świeżość ciepłej przezroczystej wody.

– Idź do wyjścia na drogę i poczekaj. Będę się kąpać – komenderowała Rita.

Sierioża siadł na kamieniu przy mostku i wystawił twarz do słońca.

Za jego plecami pluskała woda.

Poprzez drzewa ujrzał na drodze Tonię Tumanową i komisarza wojskowego pociągu agitacyjnego, Czużanina. Ładny chłopiec, w eleganckim frenczu, ściągniętym pasem z mnós-

twem rzemieni, w skrzypiących chromowych butach, szedł z Tonią pod rękę, coś jej opowiadał.

Sierioża poznał Tonię. To ona przychodziła z listem od Pawłuszy. Ona też patrzyła na niego badawczo – widocznie go poznała. Gdy mijali go, Sierioża wyjął z kieszeni list i zatrzymał Tonię.

– Chwileczkę, towarzyszko. Mam list, który częściowo i was dotyczy.

Podał jej zapisany arkusik. Uwolniwszy rękę Tonia czytała list. Arkusik zadrżał lekko w jej ręce. Oddając go Sierioży, Tonia zapytała:

– Więcej *nic nie wiecie o nim?*

– Nie – odparł Sierioża.

Z tyłu, pod nogami Rity, zachrzęścił żwir. Czużanin zauważył ją i zwracając się do Toni szepnął:

– Chodźmy.

Zatrzymał go drwiący, pogardliwy głos Rity.

– Towarzyszu Czużanin! Was tam w pociągu przez cały dzień szukają.

Czużanin spojrzał na nią nieprzyjaźnie z ukosa.

– To nic. Obejdzie się beze mnie.

Patrząc na Tonię oddalającą się z komisarzem Rita rzekła:

– Kiedyż wreszcie przepędzą tego pętaka.

Las szumiał kiwając potężnymi czapami dębów. Jezioro wabiło swą świeżością. Sierioży zachciało się wykąpać.

Po kąpieli znalazł Ritę niedaleko duktu na pniu zwalonego dębu.

Rozmawiając poszli w głąb lasu. Na polance porośniętej wysoką, świeżą trawą postanowili odpocząć. W lesie cisza, tajemniczo szepcą dęby. Rita wyciągnęła się na miękkiej trawie, położywszy głowę na zgiętym ramieniu. Jej zgrabne nogi, obute w szare połatane buciki, schowały się w wysokiej trawie. Sierioża rzucił mimowolne spojrzenie na jej nogi, zobaczył, że buciki są starannie zreperowane, potem popatrzył na

swój but z okazałą dziurą, z której wyglądał palec, i roześmiał się.

– Czego się śmiejesz?

Sierioża pokazał but.

– Jak w takich butach będziemy wojować?

Rita nie odpowiedziała. Gryząc źdźbło trawy myślała o czymś innym.

– Czużanin to zły komunista – powiedziała wreszcie. – U nas wszyscy pracownicy polityczni w łachmanach chodzą, a on dba tylko o siebie. To przypadkowy człowiek w naszej partii. A sytuacja na froncie jest rzeczywiście poważna. Nasz kraj będzie musiał długo toczyć zacięte walki. – I po chwili dodała: – Nam, Sierioża, wypadnie działać i słowem, i karabinem. Czy wiesz, że Komitet Centralny postanowił zmobilizować czwartą część Komsomołu na front? Myślę, Siergieju, że my tutaj niedługo się utrzymamy.

Sierioża słuchał ze zdziwieniem, łowiąc w jej głosie jakieś niezwykłe nuty. Utkwiła w nim czarne, połyskujące wilgocią oczy.

Omal że się nie zapomniał i nie powiedział, że ma oczy jak zwierciadło, w nich widać wszystko, ale w porę się powstrzymał.

Rita uniosła się na łokciu.

– Gdzie masz rewolwer?

Siergiej, strapiony, pomacał swój pas.

– Na wsi odebrała mi go szajka kułacka.

Rita wsunęła rękę w kieszeń swej bluzy i wyjęła błyszczący brauning.

– Widzisz ten dąb, Siergieju? – Wskazała lufą na poryty bruzdami pień o jakieś dwadzieścia pięć kroków od nich. I podrzuciwszy rękę do poziomu oczu, prawie nie celując, wystrzeliła. Posypała się odłupana kora.

– Widzisz? – pochwaliła się zadowolona i raz jeszcze wystrzeliła. Znów w trawie zaszeleściła kora.

– Masz – rzekła drwiąco Rita dając mu rewolwer – zobaczymy, jak strzelasz.

Na trzy strzały Sierioża chybił raz jeden. Rita uśmiechała się.

– Myślałam, że będzie gorzej.

Położyła rewolwer na ziemi i legła na trawie. Poprzez tkaninę bluzy uwypuklały się jej prężne piersi.

– Siergieju, chodź no tutaj – rzekła po cichu.

Przysunął się do niej.

– Widzisz niebo? Jest błękitne... A ty masz oczy takie same. To niedobrze. Powinieneś mieć oczy szare, stalowe. Błękit to coś nazbyt delikatnego.

I nagle, objąwszy jego jasnowłosą głowę, władczo pocałowała go w usta.

Minęły dwa miesiące. Nadciągała jesień.

Noc wkradła się niepostrzeżenie, otuliwszy drzewa w czarny welon. Telegrafista sztabu dywizji, pochylony nad aparatem wystukującym alfabet Morsego, podchwytywał taśmę wypełzającą spod palców jak cieniutki wąż. Szybko wypisywał na blankiecie zdania ułożone z rozszyfrowanej kombinacji kropek i kresek.

Szefowi sztabu dywizji pierwsza kopia. Do przewodniczącego rewkomu miasta Szepietówki. Zarządzam ewakuację wszystkich urzędów miejskich w ciągu dziesięciu godzin po otrzymaniu niniejszego telegramu. W mieście zostawić batalion przekazując go do dyspozycji dowódcy pułku, dowodzącego odcinkiem bojowym. Sztab dywizji, wydział polityczny, wszystkie urzędy wojskowe wycofać na stację Baranczew. Zawiadomić o wykonaniu dowódcę dywizji. Podpis.

W dziesięć minut potem przez milczące ulice miasteczka przemknął motocykl świecąc okiem acetylenowej latarni. Sa-

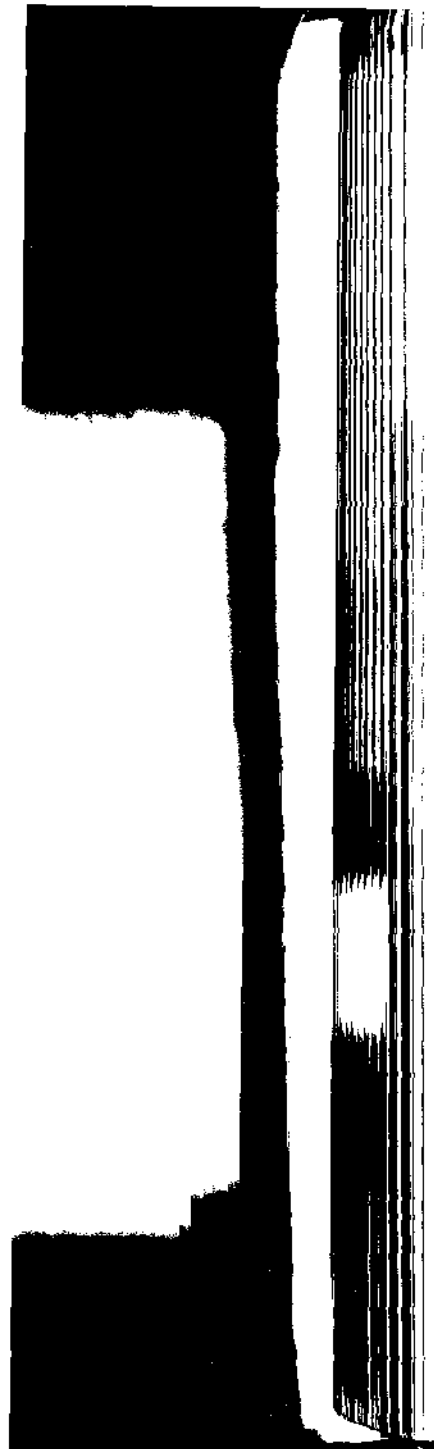

piąc zatrzymał się przed bramą rewkomu. Motocyklista wręczył telegram przewodniczącemu rewkomu Dolinnikowi. Zaczęła się bieganina. Stawała w szyku kompania specjalna. W godzinę potem po mieście turkotały wozy z mieniem rewkomu. Rzeczy ładowano na Dworcu Podolskim do wagonów.

Sierioża po wysłuchaniu treści telegramu wybiegł za motocyklistą.

– Towarzyszu, zabierzecie mnie ze sobą na stację? – zapytał kierowcy.

– Siadaj z tyłu, tylko trzymaj się mocno.

O jakieś dziesięć kroków od wagonu, już doczepionego do pociągu, Sierioża chwycił w objęcia Ritę i czując, że traci coś drogiego, bezcennego, wyszeptał:

– Żegnaj, Rito, droga moja towarzyszko! Jeszcze się spotkamy, tylko nie zapominaj o mnie.

Z przerażeniem poczuł, że zaraz wybuchnie płaczem. Trzeba było odejść. Nie mając już sił mówić ściskał tylko aż do bólu jej ręce.

Ranek zastał miasto i dworzec puste, osierocone. Zagwizdały, jakby na pożegnanie, lokomotywy ostatniego pociągu i za stacją, po obu stronach toru, rozłożył się tyralierą batalion ochrony, pozostawiony w mieście.

Osypały się żółte liście obnażając drzewa. Wiatr podchwytywał opadłe listowie i wolno toczył je po drodze.

Sierioża, w szynelu czerwonoarmisty, obwieszony płóciennymi ładownicami, z dziesięcioma towarzyszami zajął skrzyżowanie ulic przy cukrowni. Oczekiwano Polaków.

Awtonom Pietrowicz zastukał do swego sąsiada, Gierasima Leontjewicza. Tamten, jeszcze nie ubrany, wyjrzał przez otwarte drzwi.

– Co się stało?

Wskazując idących z karabinami w rękach czerwonoarmistów Awtonom Pietrowicz mrugnął do przyjaciela.

– Odchodzą.

Gierasim Leontjewicz popatrzył na niego zatroskany.

– Czy nie wie pan, jakie Polacy mają godło?

– Zdaje się, że jednogłowego orła.

– Gdzie można by to zdobyć?

Awtonom Pietrowicz ze złością podrapał się w głowę.

– Dla nich to głupstwo – powiedział po pewnym namyśle. – Wzięli i poszli. A ty, człowieku, łam sobie głowę, jak się nowej władzy przypodobać.

Przerywając ciszę zaterkotał karabin maszynowy. Przy dworcu niespodziewanie zagwizdała lokomotywa i buchnął stamtąd wystrzał z ciężkiego działa. Wyjąc, jęcząc, wysoko w niebie świdrował powietrze pocisk dużego kalibru. Upadł za cukrownią na drodze, spowijając przydrożne krzaki w błękitnawy dym. Ulicą, oglądając się co chwila, przeciągały w milczeniu cofające się szeregi czerwonoarmistów.

Sierioża poczuł na policzku chłód spływającej łzy. Szybko starł jej ślad, obejrzał się na towarzyszy. Nie, nikt nie widział.

Obok Sierioży szedł wysoki, chudy Antek Kłopotowski z tartaku. Palce trzymał na spuście karabinu. Antek jest pochmurny, zafrasowany. Oczy jego spotykają się ze spojrzeniem Sierioży i Antek zwierza mu się ze swych ukrytych myśli.

– Będą prześladować nasze rodziny, zwłaszcza moją. „Polak – powiedzą – a przeciw polskim legionom poszedł". Przepędzą starego z tartaku i wsypią mu baty. Mówiłem staremu, żeby szedł z nami, ale nie starczyło tatce sił, by porzucić rodzinę. Ech, cholery, zmierzyć by się z nimi czym prędzej! – I Antek nerwowym ruchem poprawił zsuwający mu się na oczy hełm czerwonoarmisty.

...Żegnaj, rodzinna mieścino, niepozorna, brudna, z brzydkimi domkami, z wyboistą szosą! Żegnajcie, najbliżsi, żegnaj,

Wala, żegnajcie, towarzysze, którzyście zeszli w podziemie! Nadciągają obce, zawzięte, bezlitosne siły.

Smutnym spojrzeniem odprowadzają czerwonoarmistów robotnicy z warsztatów kolejowych, w umazanych smarem koszulach.

– Przyjdziemy jeszcze, towarzysze! – zawołał w podnieceniu Sierioża.

VIII

ętnie połyskuje rzeka w przedświtowej mgle, szemrze po przybrzeżnych nagich kamykach. Od brzegów aż po środek rzeka jest spokojna, jej gładka powierzchnia wydaje się nieruchoma, a kolor szary, połyskliwy. Pośrodku jest ciemna, niespokojna, widać, jak porusza się, spieszy w dół. Rzeka piękna, majestatyczna. To o niej pisał Gogol „Cudny jest Dniepr..." Stromym urwiskiem zbiega ku wodzie wysoki prawy brzeg. Jak góra zawisł nad Dnieprem, niby zatrzymany w swym ruchu przez szerokość rzeki. Lewy brzeg w dole pełen piaszczystych łysin. Zostawia je po sobie Dniepr po wylewach wiosennych, gdy wraca w swoje brzegi.

Nad rzeką, zarywszy się w ziemię, siedzi w ciasnym okopie pięciu żołnierzy. Zgodnie przywarli do tęponosego maksyma. To przednia czujka siódmej dywizji strzelców. Przy karabinie maszynowym, twarzą zwrócony ku rzece, położył się na boku Sierioża Bruzżak.

Wczoraj wyczerpane nieustannymi potyczkami wojska Czerwonej Armii, rozbijane huraganowym ogniem polskiej artylerii, oddały Kijów. Przeszły na lewy brzeg Dniepru. Umocniły się.

Ale odwrót, duże straty, wreszcie oddanie nieprzyjacielowi Kijowa przygnębiająco podziałały na żołnierzy. Siódma dywizja po bohatersku przedzierała się przez okrążenie, posuwała się lasami i wyszedłszy na linię kolejową przy stacji Maliny, zniosła zaciekłym uderzeniem oddziały polskie, odrzuciła je do lasu, oczyściła drogę na Kijów.

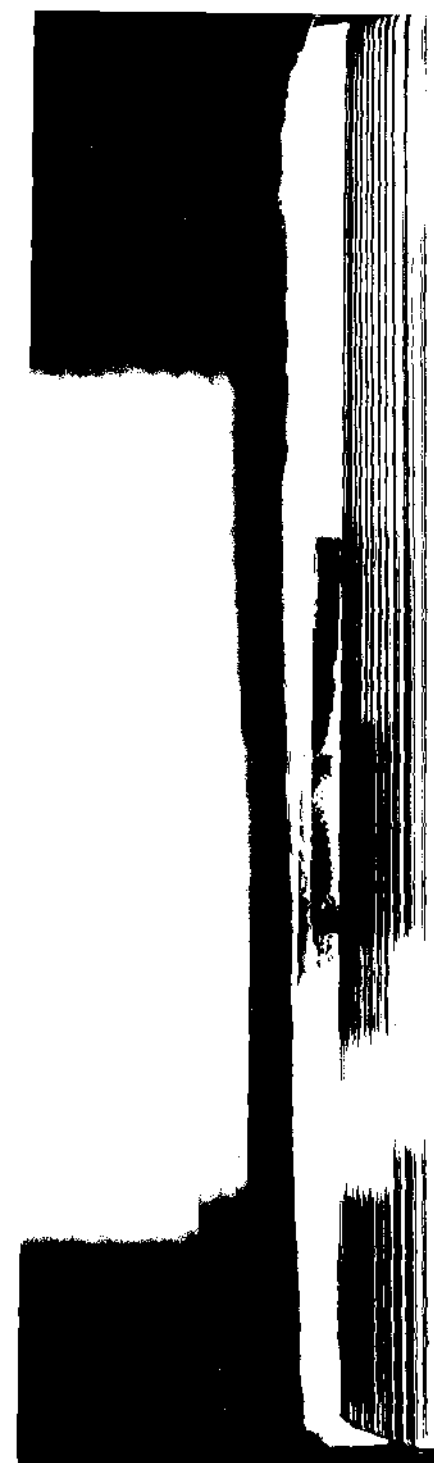

Obecnie, gdy piękne miasto zostało oddane, czerwonoarmiści byli posępni.

Armia Piłsudskiego, wyparłszy czerwone oddziały z Darnicy, zajęła niewielki przyczółek mostowy na lewym brzegu Dniepru.

Ale, mimo wszystkie wysiłki, nie zdołali posunąć się dalej, powstrzymywani zażartymi kontratakami.

Sierioża patrzy, jak płynie rzeka, i nie może nie myśleć o ubiegłym dniu.

Wczoraj, w południe, porwany ogólnym zapałem, brał udział w przeciwnatarciu, wczoraj też po raz pierwszy zetknął się oko w oko z bezwąsym legionistą. Tamten rzucił się ku niemu z wystawionym do ataku karabinem o długim, jak szabla, francuskim bagnecie, biegł w podskokach, krzycząc coś bez związku. Przez ułamek sekundy Siergiej widział jego rozszerzone oczy. Jeszcze chwila – i Siergiej uderzył ostrzem bagnetu w bagnet Polaka. Błyszczący francuski bagnet został odrzucony w bok.

Polak upadł...

Ręka Siergieja nie drgnęła. Wie, że jeszcze będzie zabijał, on, umiejący tak tkliwie kochać, tak wiernie dochowywać przyjaźni. Nie jest zły ani okrutny, ale wie, że w zwierzęcej nienawiści ruszyli przeciw jego rodzimej republice ci nasłani przez światowych pasożytów, oszukani i poszczuci żołnierze.

I on, Siergiej, zabija po to, żeby przybliżyć dzień, kiedy na ziemi ludzie nie będą się wzajemnie zabijali.

Paramonow dotyka jego ramienia.

– Zabierajmy się stąd, Siergiej; wkrótce nas zauważą.

Już od roku Paweł Korczagin przemierzał kraj rodzinny; na taczance, na przodku działa, na siwym koniku z odrąbanym uchem. Zmężniał, okrzepł. Rósł w cierpieniach i trudach.

Zdążyła zagoić się skóra, starta do krwi ciężkimi ładownicami, ale nie schodziły już twarde odciski od rzemienia karabinu.

Wiele okropności widział Paweł w ciągu tego roku. Wraz z tysiącami innych żołnierzy, takich samych jak on, oberwanych i nędznie wyekwipowanych, lecz ogarniętych nie gasnącym płomieniem walki o władzę swej klasy, przeszedł wzdłuż i wszerz swoją ojczyznę i tylko dwa razy odrywał się od tego huraganu.

Po raz pierwszy po otrzymaniu rany w biodro, po raz drugi – gdy w mroźnym lutym dwudziestego roku miotał się w gorączce tyfusu.

Srożej niż polskie karabiny maszynowe kosił wszawy tyfus szeregi pułków i dywizji dwunastej armii. Armia rozciągnęła się na ogromnej przestrzeni, niemal przez całą północną Ukrainę, zagradzając Polakom dalsze posuwanie się naprzód. Zaledwie Paweł wrócił do zdrowia, znalazł się z powrotem w swoim oddziale.

Obecnie jego pułk zajmował pozycję przy stacji Frontówka, na bocznej linii idącej z Koziatyna na Humań.

Stacja w lesie. Niewielki budynek dworca, do którego przytuliły się zburzone teraz, opuszczone przez mieszkańców domki. Nie sposób było żyć w tych stronach. Trzeci rok z rzędu to przygasały, to znów płonęły pobojowiska. Kogóż nie widziała Frontówka przez ten czas!

Znowu dojrzewały wielkie wydarzenia. Podczas gdy dwunasta armia, okropnie przetrzebiona, częściowo zdezorganizowana, cofała się pod naciskiem wroga w stronę Kijowa, republika proletariacka gotowała upojonej zwycięskim marszem armii Piłsudskiego druzgocące uderzenie.

Z dalekiego północnego Kaukazu bezprzykładnym w historii wojen marszem przerzucono zahartowane w bojach dywizje pierwszej armii konnej. Czwarta, szósta, jedenasta i czternasta dywizje kawaleryjskie jedna za drugą podchodziły do rejonu Humania, grupując się na tyłach naszego frontu i po drodze do rozstrzygających walk zmiatając bandy atamana Machny.

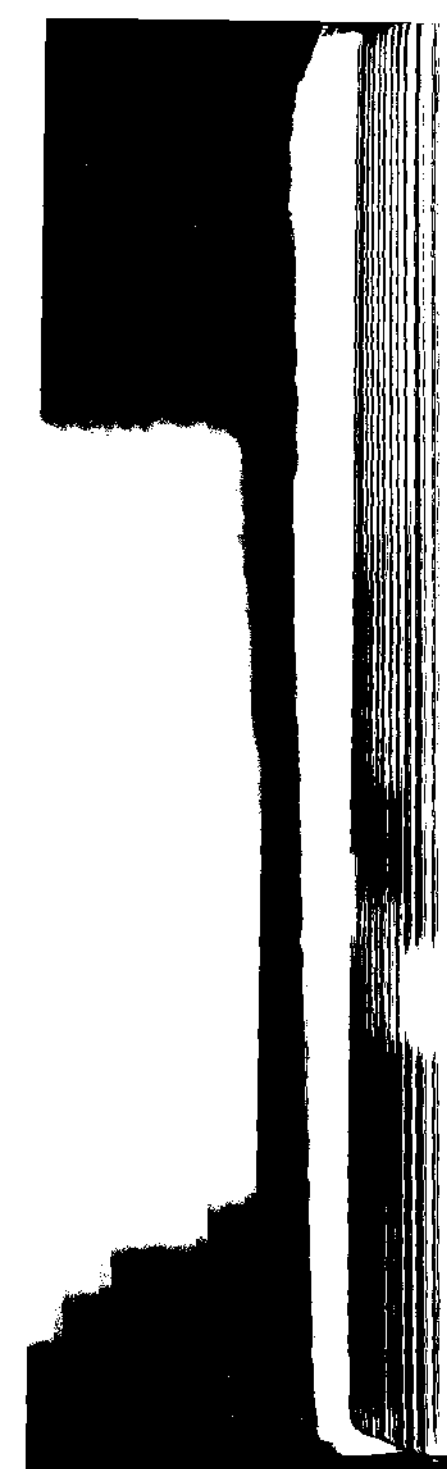

Szesnaście i pół tysiąca szabel, szesnaście i pół tysiąca opalonych stepowym słońcem żołnierzy.

Cała uwaga naczelnego czerwonego dowództwa i dowództwa Frontu Południowo-Zachodniego skupiła się na tym, żeby tego przygotowywanego, decydującego uderzenia nie wyprzedziła akcja piłsudczyków. Sztab republiki i frontów troskliwie ochraniał grupowanie się tej masy konnicy.

Na odcinku humańskim zaprzestano działań wojennych. Nieustannie stukały telegraficzne aparaty bezpośredniej łączności, z Moskwy do sztabu frontu – do Charkowa, stamtąd do sztabów dwunastej i czternastej armii. Na wąskich paskach taśm telegraficznych wystukiwały aparaty Morsego szyfrowane rozkazy: „Nie dopuścić, by grupowanie się armii konnej zwróciło uwagę Polaków". Jeżeli nawet gdzieś staczano walki, to tylko tam, gdzie posuwanie się wroga groziło wciągnięciem do boju konnych dywizji Budionnego.

Ognisko bucha rudymi płachtami płomieni. Bure pierścienie dymu spiralnie unoszą się w górę. Nie lubią dymu komary, unoszą się szybkim rojem, chyże, wciąż zmieniające miejsce. Opodal, dokoła ognia, rozłożyli się wachlarzem żołnierze. Ognisko barwi ich twarze miedzią.

Przy ognisku, w siwobłękitnym popiele, grzeją się kociołki. Woda w nich pokrywa się bąbelkami. Spod płonącej kłody wydostał się jak złodziejaszek język płomienia i liznął brzeżkiem czyjąś zwichrzoną czuprynę. Głowa odskoczyła, burknąwszy z niezadowoleniem:

– Tfu, do diabła!

Dokoła rozległ się śmiech.

Niemłody czerwonoarmista w sukiennej bluzie, z przystrzyżonymi wąsami, który przed chwilą obejrzał pod światło ogniska lufę karabinu, rzekł basem:

– Chłopak tak wsiąkł w naukę, że ognia nie czuje.

– Ty, Korczagin, opowiedz, coś tam wyczytał.

Młody czerwonoarmista, dotykając kosmyka opalonych włosów, uśmiechał się.

– Rzeczywiście, to książka co się zowie, towarzyszu Androszczuk. Gdym się do niej dorwał, oderwać się już nie mogę.

Sąsiad Korczagina, chłopak z zadartym nosem, reperując starannie rzemyk ładownicy, przegryzając zębami mocną nitkę, zapytał z zaciekawieniem:

– A o kim tam piszą? – I okręcając kawałkiem nitki igłę wpiętą w czapkę dodał: – Bardzo się interesuję, jeżeli o miłości.

Dokoła zarechotali. Matwiejczuk uniósł ostrzyżoną na jeża głowę i chytrze mrużąc szelmowskie oko, zwrócił się do chłopaka:

– Cóż, miłość dobra rzecz, Sierieda. Chłopiec z ciebie jak malowanie! Gdziekolwiek przyjdziemy, dziewki, gdy cię zobaczą, lecą, mało nóg nie połamią. Tylko masz jeden defekt – nos niczym kartofel. Ale to można naprawić. Na końcu nosa powieś sobie dziesięciofuntowy granat, przez noc wyciągnie ci nos w dół.

Wystraszone wybuchem śmiechu, prychnęły konie przywiązane do taczanek z karabinami maszynowymi.

Sierieda obrócił się leniwie.

– Nie o urodę chodzi, lecz o makówkę – znacząco stuknął się w czoło. – Ty na przykład język masz jak pokrzywa, a sam jesteś bałwan nad bałwanami i uszy masz ośle.

Gotowych wziąć się za łby towarzyszy rozłączył dowódca drużyny Tatarinow.

– No, no, chłopaki, po co się zaraz gryźć? Niech lepiej Korczagin nam poczyta, jeżeli to coś warte.

– Wal, Pawłusza, wal! – rozległo się ze wszystkich stron.

Korczagin przysunął do ogniska siodło, usiadł na nim i rozłożył na kolanach niewielką, grubą książkę.

– Książka ta, towarzysze, nazywa się „Szerszeń". Dał mi ją komisarz batalionu. Jestem pod jej wrażeniem. Jeżeli będziecie siedzieć spokojnie, poczytam wam.

– Wal! Nie obawiaj się! Nikt nie będzie przeszkadzać.

Gdy do ogniska niepostrzeżenie podjechał z komisarzem dowódca pułku towarzysz Puzyriewski, ujrzał jedenaście par oczu wlepionych w czytającego.

Puzyriewski obrócił głowę ku komisarzowi i wskazał ręką na grupę.

– To jest połowa zwiadu pułku. Mam tam czterech, całkiem jeszcze zielonych komsomolców, a każdy z nich wart tyle, co dobry żołnierz. Ten, co czyta, i ten drugi – widzisz? – oczy jak u wilczka, to Korczagin i Żarki. Są przyjaciółmi. Jednakże między nimi nie gaśnie ukryta zazdrość. Dawniej Korczagin był u mnie zwiadowcą. Teraz ma bardzo niebezpiecznego rywala. W tej chwili, popatrz, prowadzą niepostrzeżenie robotę polityczną, a wpływ jej jest bardzo duży. Wymyślono dla nich dobre określenie – „młoda gwardia".

– Czy to politruk zwiadu czyta? – spytał komisarz.

– Nie, politrukiem jest Kramer.

Puzyriewski ruszył koniem naprzód.

– Witajcie, towarzysze! – zawołał głośno.

Wszyscy się odwrócili. Lekko zeskoczywszy z siodła, dowódca podszedł do siedzących.

– Grzejemy się, przyjaciele? – zapytał uśmiechając się szeroko, i jego mężna twarz z wąziutkimi, troszkę mongolskimi oczami utraciła surowy wyraz.

Dowódcę powitano życzliwie, po przyjacielsku, jak dobrego kolegę. Komisarz wojskowy został na koniu, zamierzając odjechać.

Puzyriewski odsunął w tył futerał z mauzerem, siadł przy siodle obok Korczagina i zaproponował:

– Zapalimy, co? Mam teraz fajny tytonik.

Zapaliwszy papierosa zwrócił się do komisarza:

– Ty sobie jedź, Doronin, ja tu zostanę. Jeżeli będę potrzebny w sztabie, dajcie znać.

Gdy Doronin odjechał, Puzyriewski, zwracając się do Korczagina, rzekł:

– Czytaj dalej, ja też posłucham.

Doczytawszy ostatnich stronic, Paweł położył książkę na kolanach i zadumany patrzył w ogień.

Przez kilka minut nikt nie odzywał się ani słowem. Wszyscy byli przejęci straceniem Szerszenia.

Puzyriewski ćmiąc papierosa czekał na wymianę zdań.

– Smutna historia – przerwał milczenie Sierieda. – A więc są na świecie tacy ludzie. Człowiek by nie wytrzymał, ale że walczył za ideę, no to tak właśnie wychodzi.

Mówił wyraźnie wzruszony. Książka wywarła na nim wielkie wrażenie.

Andriuszka Fomiczew, czeladnik szewski z Białej Cerkwi, krzyknął z oburzeniem:

– Gdyby tak w ręce wpadł mi ten ksiądz, co go krzyżem po zębach bił, ja bym go zaraz wykończył!

Androszczuk, przysunąwszy patykiem kociołek bliżej do ognia, rzekł z przekonaniem:

– Umierać, jeżeli się wie, za co, to całkiem inna sprawa. Wtedy w człowieku zjawia się siła. Umierać musowo trzeba mężnie, jeżeli człowiek czuje, że prawda jest po jego stronie. Z tego właśnie powstaje bohaterstwo. Znałem jednego chłopaka, zwał się Porajka. To on, kiedy go biali przyłapali w Odessie, z gorącości sam jeden porwał się na cały pluton. Nie zdążyli dosięgnąć go bagnetem, gdy walnął sobie pod nogi granat. Sam rozerwał się w kawałki i kupę białych wokół siebie położył. A popatrzeć na niego tak po wierzchu, nikt by trzech groszy za niego nie dał. O nim nikt książki nie pisze, a warto by. Dużo jest wspaniałych ludzi wśród naszej braci.

Pomieszał łyżką w kociołku, wysunąwszy wargi spróbował z łyżki herbaty i mówił dalej:

– A bywa i śmierć sobacza. Paskudna śmierć, niehonorowa. Toczył się wtedy bój pod Izasławiem, miasto jest takie starodawne, jeszcze za kniaziów pobudowane. Nad rzeką Horyń. Jest tam polski kościół, jak forteca niedostępny. A więc wdarliśmy się do tego miasta. Tyralierą skradamy się po

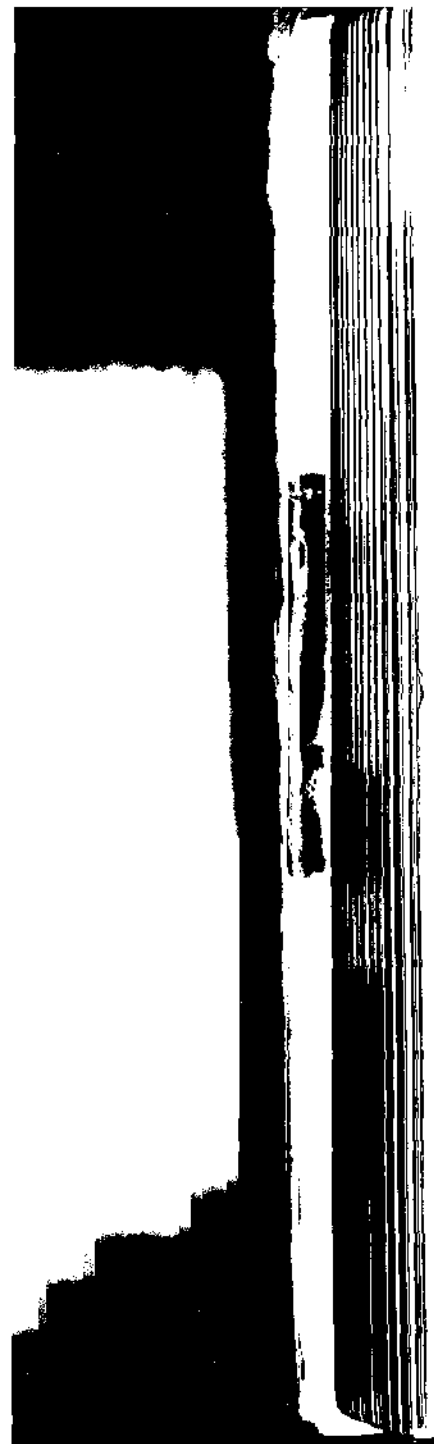

zaułkach. Prawe skrzydło osłaniali Łotysze. Wybiegamy tedy na szosę, patrzymy, a tu stoją koło jednego ogrodu trzy osiodłane konie, przywiązane do płota.

Więc, ma się rozumieć, myślimy sobie: przyłapiemy Polaków. Rzuciło się nas na podwórko z dziesięciu. Na przedzie z ogromnym mauzerem wali dowódca kompanii łotewskiej.

Dopadliśmy domu, drzwi otwarte. My do środka. Myśleliśmy, że Polacy, a wyszło inaczej. Nasz własny podjazd tutaj operował. Wcześniej od nas wskoczyli. Widzimy, że dzieją się tu brzydkie rzeczy. Fakt wyraźny: kobiecie gwałt zadają. Mieszkał tam polski oficer. No więc oni jego babę chcą powalić na ziemię. Łotysz, jak tylko to zobaczył, coś po swojemu krzyknął. Pochwycili tych trzech i wywlekli na podwórze. Nas, Rosjan, było tylko dwóch, a reszta Łotysze. Nazwisko dowódcy Bredis. Chociaż języka ich nie rozumiem, widzę, jasna rzecz – rozwalą. Mocny to naród ci Łotysze, twardy niczym krzemień. Przywlekli tamtych pod ścianę murowanej stajni. Koniec, myślę sobie, musowo rozwalą. A jeden z tych, co wpadli, chłop na schwał, morda zbójecka, nie daje się, szamoce. Klnie do siódmego pokolenia. „Z powodu baby – mówi – pod ścianę stawiać!" Drudzy też proszą o zmiłowanie.

Od tego wszystkiego aż mnie ciarki przeszły. Podbiegam do Bredisa i mówię: „Towarzyszu dowódco kompanii, niech ich trybunał sądzi. Po cóż ci walać ręce ich krwią? W mieście bój się jeszcze nie skończył, a my tu z tymi porachunki załatwiamy". On do mnie jak nie skoczy, ażem swych słów pożałował. Oczy jak u tygrysa. Mauzer pcha mi w zęby. Siedem lat wojuję, a nie spisałem się, stchórzyłem. Widzę, zabije bez gadania. Wrzasnął do mnie po rosyjsku. Ledwom go zrozumiał: „Nasz sztandar malowany krwią, a ci – hańba całej armii. Bandyta życiem płaci".

Nie wytrzymałem, biegiem z podwórza na ulicę, a z tyłu strzelanina. „Już po wszystkim" – myślę sobie. Gdyśmy się rozsypali w tyralierę, miasto było już w naszych rękach. Tak

się to stało. Ludzie zginęli jak psy. Podjazd składał się z tych, co przystali do nas pod Melitopolem. Przedtem byli u Machny, zbieranina.

Androszczuk postawił sobie kociołek u nogi i zaczął rozwiązywać chlebak.

– Przyplącze się do nas takie draństwo. Nie sposób wszystkich dopilnować. Że niby też dla rewolucji się trudzą. Błoto ich spada na wszystkich. A jednak patrzeć na to ciężko było. Dotychczas nie mogę zapomnieć – zakończył Sierieda, zabierając się do herbaty.

Dopiero późną nocą zasnął zwiad konny. Wywodził nosem trele śpiący Sierieda. Puzyriewski spał z głową na kulbace, a politruk Kramer coś zapisywał do notesu.

Nazajutrz wracając ze zwiadu Paweł przywiązał konia do drzewa i przywołał Kramera, który dopiero co skończył pić herbatę:

– Słuchaj, politruku, jak zapatrujesz się na taką sprawę: zamierzam machnąć się do pierwszej konnej. Czeka ich walna rozprawa. Przecie nie na hulankę tylu ich się zebrało. A my będziemy musieli dreptać wciąż na jednym miejscu.

Kramer spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jak to „machnąć"? Czy Armia Czerwona to dla ciebie kino? Do czego to podobne? Jeżeli wszyscy będziemy latać z jednej jednostki do drugiej, ładnie sprawy będą wyglądały!

– Czy to nie wszystko jedno, gdzie wojować? – przerwał Kramerowi Paweł. – Tu czy gdzie indziej. Przecie nie dezerteruję.

Kramer zaprotestował kategorycznie:

– A dyscyplina, według ciebie, to nic? Ty, Pawle, masz dobrze w głowie, ale co do anarchii – to masz jej w sobie trochę. Jak ci się czegoś zachciewa – koniec. A partia i Komsomoł opierają się na żelaznej dyscyplinie. Partia – ponad wszystko. I każdy musi być nie tam, gdzie chce, lecz tam, gdzie jest potrzebny. Puzyriewski nie zgodził się na twoje przeniesienie. A więc nie ma o czym gadać.

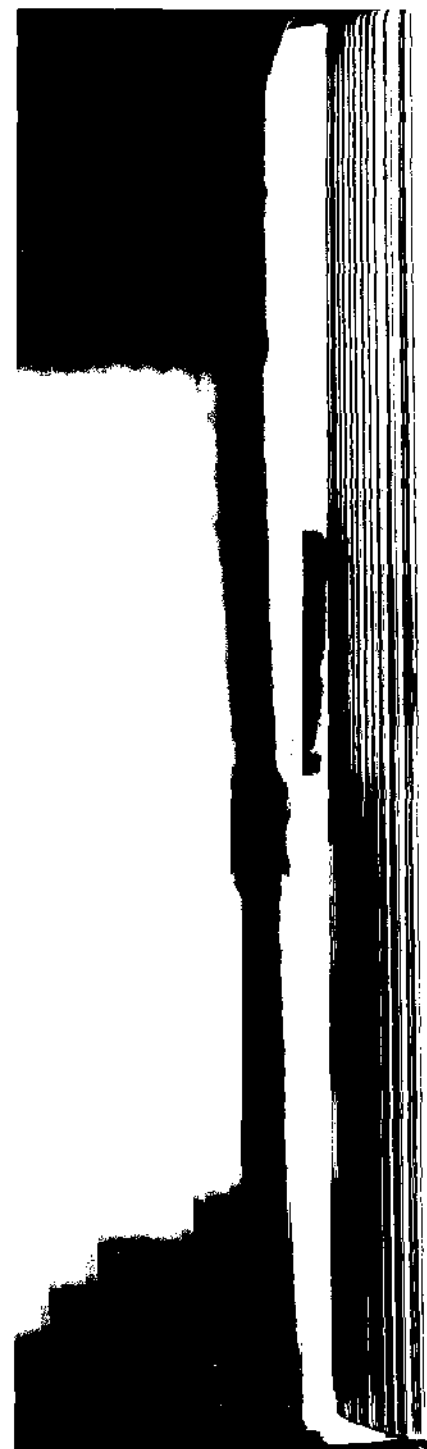

Wysoki, szczupły Kramer, o żółtawej twarzy, aż zakasłał z irytacji. Mocno osiadł mu na płucach ołowiany pył drukarski, często płonął na policzkach niezdrowy rumieniec.

Gdy Kramer się uspokoił, Paweł powiedział cicho, ale stanowczo:

– To wszystko jest słuszne, ale przeniosę się do budionnowców, to fakt.

Nazajutrz wieczorem Pawła przy ognisku już nie było.

W sąsiedniej wiosce na wzgórku przy szkole szerokim kręgiem zebrali się kawalerzyści. Usadowiony w tyle taczanki tęgi budionnowiec, zsunąwszy czapkę na tył głowy, znęcał się nad harmonią. Harmonia w jego łapach porykiwała myląc takt, a w kole gubił rytm szalonego hopaka dziarski kawalerzysta w nadmiernie bufiastych czerwonych hajdawerach.

Na taczankę i sąsiednie płoty powłaziły ciekawe dziewuchy i parobczaki, aby popatrzeć na chwackich tancerzy z dopiero co przybyłej do ich sioła konnej brygady.

– Wal, Toptało! Ubijaj ziemię! Ech, rżnij, bratku! Harmonisto, dawaj ognia!

Ale ogromne palce harmonisty, zdolne zgiąć podkowę, z trudem przesuwały się po klawiszach.

– Zarąbał Machno Kułabkę Afanasija – powiedział z żalem ogorzały kawalerzysta – harmonista to był pierwszej klasy. W szwadronie szedł na prawym skrzydle. Szkoda chłopca. Dobry z niego był żołnierz, a jeszcze lepszy harmonista.

W kole stał Paweł. Usłyszawszy ostatnie słowa, przecisnął się do taczanki i położył rękę na miechy. Harmonia umilkła.

– Czego chcesz? – rzucił nań okiem z ukosa harmonista.

Toptało przestał tańczyć. Dokoła rozległy się niezadowolone głosy:

– Co się stało? Czegoś utknął?

Paweł wyciągnął rękę po rzemień.

– Daj, pogram trochę.

Budionnowiec spojrzał nieufnie na nieznajomego czerwonoarmistę i niezdecydowanym ruchem zdjął z ramienia rzemień.

Paweł podrzucając wprawnie harmonię postawił ją sobie na kolanie. Rozciągnął wachlarzem faliste miechy i, to zręcznie przebierając, to przetrzymując klawisze, zagrał z ogniem melodię piosenki:

Ech, dokąd ty, jabłuszko
Rumiane, się toczysz?
Jeśli trafisz do Czeka,
Powrotu nie zoczysz.

W lot podchwycił znajomy motyw Toptało. I machnąwszy rękami niczym ptak, jął zataczać koło, wyczyniając niesłychane zawijasy, bijąc się junacko po cholewach, po kolanach, po karku, po czole, ogłuszająco waląc dłonią w podeszwy i wreszcie klepiąc nią w otwarte usta.

A harmonia smagała głosem, przynaglała rytmem do szalonego tempa i Toptało kręcił się jak fryga po kole, wyrzucając nogi, zdyszany, pokrzykując bez tchu:

– Ich, ach, ich, ach!

5 czerwca 1920 roku po kilku krótkich zajadłych starciach pierwsza armia konna Budionnego przerwała front na styku trzeciej i czwartej polskiej armii, rozgromiła zagradzającą jej drogę brygadę kawalerii generała Sawickiego i ruszyła w kierunku Różyn.

W celu zlikwidowania tego wyłomu dowództwo polskie sformowało z gorączkowym pośpiechem grupę szturmową. Pięć czołgów, dopiero co zdjętych z lor na stacji Pohrebyszcze, podążało na plac boju.

Ale armia konna obeszła Zarudnice, skąd miało się zacząć natarcie, i znalazła się na tyłach armii Piłsudskiego.

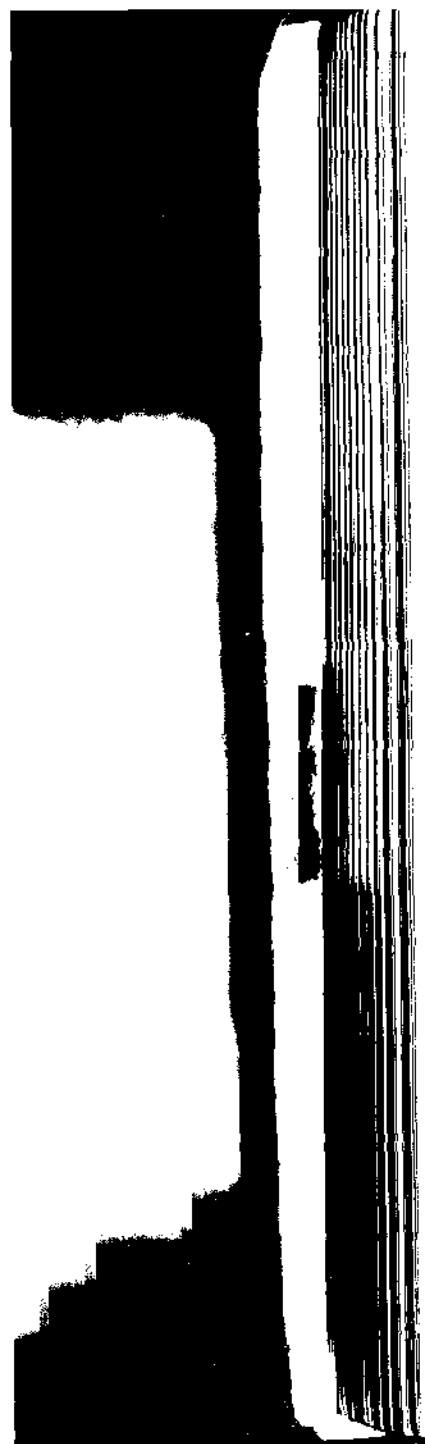

W pogoń za pierwszą konną ruszyła dywizja kawaleryjska generała Kornickiego. Polecono jej uderzyć na tyły pierwszej konnej, która według mniemania dowództwa polskiego powinna była skierować się na najważniejszy punkt strategiczny – Koziatyn. Ale to nie poprawiło sytuacji Polaków. Wprawdzie nazajutrz załatali oni dziurę wybitą we froncie i za armią konną zamknął się front, ale na ich tyłach znalazło się potężne zgrupowanie konnicy, które, zniszczywszy tyłowe bazy przeciwnika, musiało runąć na kijowską grupę Polaków. Na drodze swego przemarszu czerwone dywizje kawalerii niszczyły niewielkie mosty kolejowe i zrywały tory, by odciąć nieprzyjacielowi drogi odwrotu.

Zdobywszy od jeńców informacje, że w Żytomierzu znajduje się sztab armii – w rzeczywistości był tam nawet sztab frontu – dowódca armii konnej postanowił zająć ważne węzły kolejowe i ośrodki administracyjne – Żytomierz i Berdyczów. Siódmego czerwca o świcie mknęła już w kierunku Żytomierza czwarta dywizja czerwonej kawalerii.

W jednym ze szwadronów zamiast zabitego Kułabki cwałował na prawym skrzydle Korczagin. Został przyjęty do szwadronu na zbiorową prośbę żołnierzy, którzy nie chcieli utracić tak znakomitego harmonisty.

Pod Żytomierzem, w rozwiniętym jak wachlarz szyku bojowym, nie hamowano już rozgorączkowanych koni, roziskrzyły się w słońcu srebrnym blaskiem dobyte szable.

Jęknęła ziemia, ciężko dyszały konie, wznieśli się w strzemionach jeźdźcy.

Niepowstrzymanie umykała spod nóg ziemia. I duże miasto z ogrodami spieszyło na spotkanie dywizji. Przemknęli obok pierwszych ogrodów, wdarli się do śródmieścia i straszny w swej śmiertelnej grozie okrzyk wstrząsnął powietrzem.

Zaskoczeni Polacy prawie nie stawiali oporu. Garnizon miejscowy został zgnieciony.

Przygięty do karku końskiego, pędził Korczagin. Obok na karym cienkonogim wierzchowcu – Toptało.

W oczach Pawła żwawy budionnowiec nieubłaganym ciosem rozrąbał głowę legioniście, który nie zdążył złożyć się do strzału.

Ze zgrzytem biły o bruk podkute kopyta. I nagle na skrzyżowaniu ulic – karabin maszynowy na samym środku drogi, a nad nim trzech w błękitnych mundurach i czworokątnych konfederatkach. Czwarty, ze złotym wężykiem na kołnierzu, ujrzawszy pędzących, wyrzucił przed siebie rękę z mauzerem.

Ani Toptało, ani Paweł nie mogli powstrzymać koni i skoczyli prosto w szpony śmierci. Oficer strzelił do Korczagina. Chybił... Jak wróbel ćwierknęła kula przy policzku i odrzucony piersią końską porucznik padł na wznak, uderzając głową o kamienie.

W tym samym momencie dziko, w gorączkowym pośpiechu zachichotał karabin maszynowy. I padł Toptało wraz ze swym wronym, ukąszony przez dziesiątki trzmieli.

Stanął dęba koń Pawła, chrapiąc z przestrachu, jednym szarpnięciem przesadził tych, co padli, przeniósł swego jeźdźca wprost na ludzi przy cekaemie i szabla, opisawszy skrzący się łuk, wpiła się w błękitny kwadrat czapki.

Znów wzleciała w powietrze, gotowa runąć na drugą głowę. Ale gorący koń odskoczył w bok.

Niczym wściekła rzeka górska wylał się w skrzyżowanie ulic szwadron i dziesiątki szabel zaśmigały w powietrzu.

W długich, wąskich korytarzach więzienia rozległy się krzyki.

W celach wypełnionych po brzegi ludźmi o zmęczonych, wynędzniałych twarzach panuje podniecenie. W mieście toczy się bój; czyż można uwierzyć, że to wolność, że to swoi, którzy nie wiadomo skąd tu się wdarli?

Strzały słychać ju na podwórzu. W korytarzach bieganina. I nagle drogie, niewymownie drogie: „Towarzysze, wychodźcie!"

Paweł podbiegł do zamkniętych drzwi z judaszem, w któ-

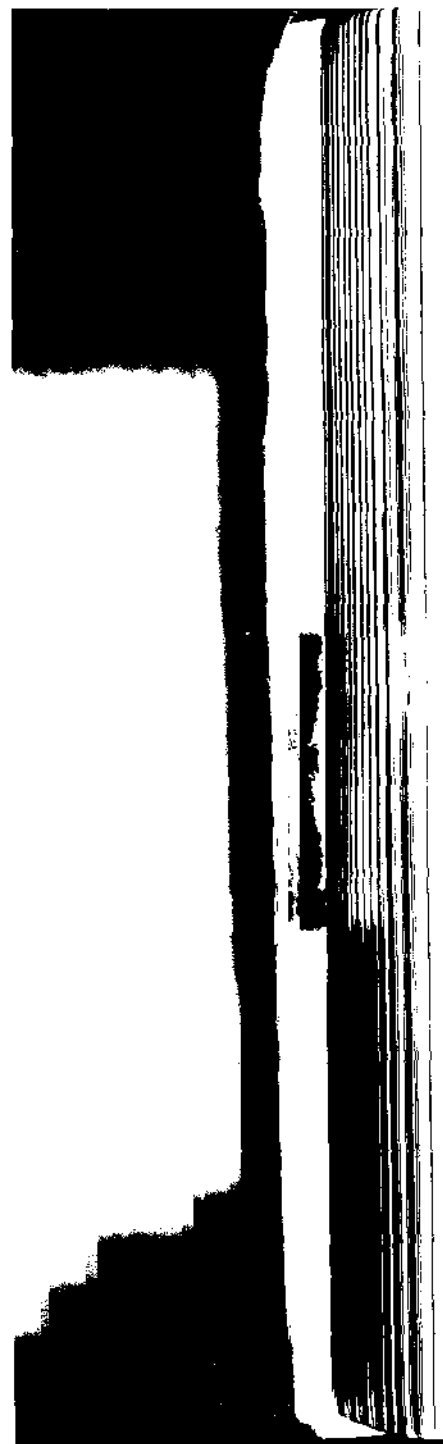

ry wpatrzone były dziesiątki oczu. Z pasją uderzył w zamek kolbą karabinu, raz i drugi. Jeszcze go raz!

– Poczekaj, ja w niego bombą – zatrzymał Pawła Mironow i wyjął z kieszeni granat.

Plutonowy Cygarczenko wyrwał mu granat.

– Stój, durniu! Coś ty, zwariował!? Zaraz przyniosą klucze. Gdzie się nie da wyłamać, otworzymy kluczem.

Po korytarzu prowadzono już dozorców, popychając ich naganami. Niebawem korytarz wypełnili obszarpani, nie myci, ogarnięci szaloną radością ludzie.

Rozwarłszy na oścież szerokie drzwi, Paweł wpadł do celi.

– Towarzysze, jesteście wolni! Jesteśmy budionnowcy, nasza dywizja zdobyła miasto.

Jakaś kobieta z mokrymi od łez oczami pochwyciła Pawła w objęcia, jak kogoś bliskiego, i rozszlochała się.

Droższe od wszelkich zdobyczy, droższe od zwycięstwa było dla żołnierzy dywizji uwolnienie pięciu tysięcy siedemdziesięciu jeden bolszewików, wpędzonych przez Polaków do murowanych cel i oczekujących rozstrzelania lub szubienicy, oraz dwóch tysięcy pracowników politycznych Armii Czerwonej. Dla siedmiu tysięcy rewolucjonistów nieprzenikniona noc przemieniła się nagle w oślepiające słońce upalnego czerwcowego dnia.

Jeden z więźniów, o twarzy żółtej jak cytryna, w porywie radości podbiegł do Pawła. Był to Samuel Lecher, zecer drukarni w Szepietówce.

Paweł słuchał opowiadania Samuela. Twarz mu poszarzała. Samuel opowiadał o krwawej tragedii rodzinnego miasteczka i jego słowa padały Pawłowi na serce jak krople roztopionego metalu.

– Zabrali nas w nocy od razu wszystkich, wydał łajdak prowokator. Znaleźliśmy się wszyscy w łapach żandarmerii wojskowej. Bili nas, Pawle, strasznie. Ja męczyłem się mniej

niż inni; zaraz po pierwszych uderzeniach padłem bez zmysłów na podłogę, ale inni byli silniejsi. Nie było co ukrywać. Żandarmeria wiedziała wszystko lepiej od nas. Wiedziała o każdym naszym kroku.

Jakże mieli nie wiedzieć, skoro między nami siedział zdrajca! Nie potrafię tych dni opisać. Znasz, Pawle, wiele osób: Walę Bruzżak, Różę Gricman z powiatowego miasteczka, zupełne dziecko, siedemnastoletnia, dobra dziewczyna, miała takie ufne oczy, potem Saszę Bunszafta, wiesz, nasz zecer, taki wesoły chłopak, zawsze rysował karykatury pryncypała. A więc on, potem dwóch gimnazjalistów – Nowosielski i Tużyc. Ty ich przecie znasz. A pozostali – z powiatowego miasteczka i od nas. Aresztowano ogółem dwadzieścia dziewięć osób, w tym sześć kobiet. Wszystkich bestialsko męczyli. Walę i Różę zgwałcili zaraz pierwszego dnia. Pastwili się, gady, nad nimi, jak kto chciał. Przywlekli je do celi półżywe. Róża zaczęła mówić od rzeczy, a po kilku dniach dostała pomieszania zmysłów.

W jej obłęd nie wierzyli, uważali ją za symulantkę i na każdym badaniu katowali. Kiedy ją rozstrzeliwali, strach było patrzeć. Twarz czarna od bicia, oczy dzikie, obłąkane – zupełna staruszka.

Wala Bruzżak do ostatniej chwili trzymała się mężnie. Wszyscy zginęli jak prawdziwi bojownicy. Nie wiem, skąd brały się w nich siły, ale czyż można, Pawle, opowiedzieć o ich śmierci? Nie można. Śmierć ich jest okropniejsza od słów... Wala Bruzżak była zamieszana w najniebezpieczniejszą sprawę: to ona utrzymywała łączność z radiotelegrafistami sztabu polskiego i ją posyłano do powiatu jako łączniczkę, przy niej znaleziono podczas rewizji dwa granaty i brauning. Granaty przyniósł jej ten sam prowokator. Wszystko było tak urządzone, żeby móc ją oskarżyć o zamiar wysadzenia sztabu w powietrze.

Ech, Pawle, bardzo mi trudno mówić o tych ostatnich dniach, ale skoro tego żądasz, to powiem. Sąd polowy skazał

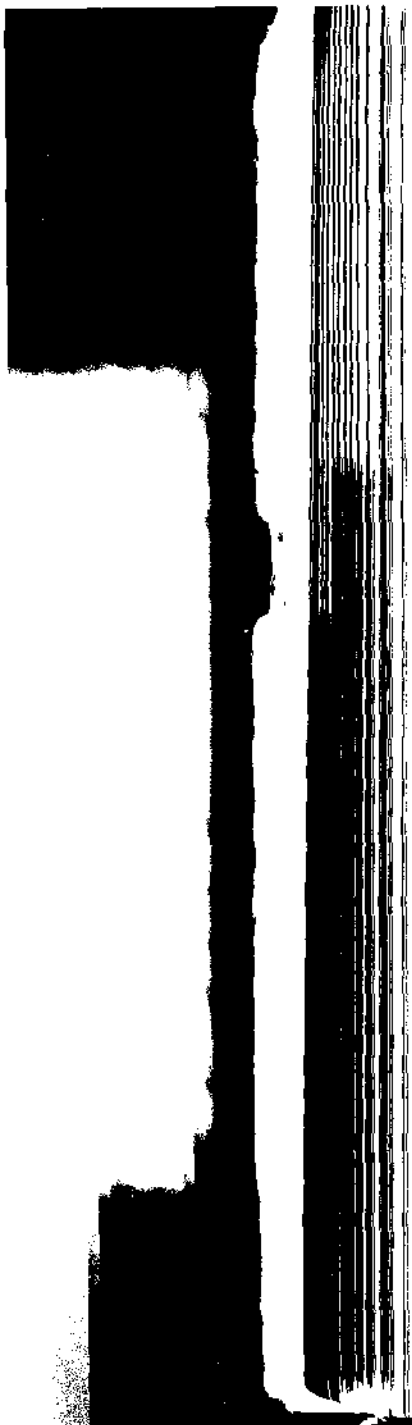

Walę i jeszcze dwóch na powieszenie, pozostałych towarzyszy – na rozstrzelanie.

Żołnierzy polskich, wśród których prowadziliśmy robotę, sądzono o dwa dni wcześniej od nas.

Młodego kaprala, radiotelegrafistę Śniegurkę, który przed wojną pracował jako elektromonter w Łodzi, oskarżono o zdradę ojczyzny i o propagandę komunistyczną wśród żołnierzy. Skazano go na rozstrzelanie. Nie złożył prośby o ułaskawienie i został rozstrzelany w dwadzieścia cztery godziny po wyroku.

Walę wezwano na jego sprawę jako świadka. Opowiedziała nam, że Śniegurko przyznał się do tego, że prowadził propagandę komunistyczną, ale ostro odrzucił oskarżenie o zdradę ojczyzny. „Moja ojczyzna – powiedział – to Ludowa Socjalistyczna Polska. Tak, jestem członkiem Komunistycznej Partii Polski, do wojska wcielono mnie przemocą. I otwierałem oczy takim jak ja żołnierzom, których wyście pędzili na front. Możecie mnie za to powiesić, ale ja swej ojczyzny nie zdradziłem i nie zdradzę. Tylko że różne są nasze ojczyzny: wasza – pańska, a moja – robotniczo-chłopska. I w tej mojej ojczyźnie, która będzie – jestem o tym głęboko przekonany – nikt mnie zdrajcą nie nazwie..."

Po wyroku trzymano nas wszystkich już razem. A przed straceniem zapędzono do więzienia. W ciągu nocy na wprost więzienia postawiono szubienice przy szpitalu; przy samym lesie opodal drogi, tam gdzie urwisko, wybrano miejsce na egzekucję; tam też wykopano dla nas wspólny dół.

W mieście wyrok był ogłoszony, podany do wiadomości wszystkich. Polacy postanowili wykonać go na oczach całej ludności, żeby każdy widział i bał się. Od samego rana zaczęli spędzać z miasta ludność pod szubienicę. Niektórzy szli z ciekawości – choć strach ich oblatywał, ale szli. Przy szubienicach zebrał się ogromny tłum. Jak okiem sięgnąć, głowa przy głowie. Więzienie, wiesz, jest ogrodzone parkanem z belek. Szubienice postawili tuż przy więzieniu i dobiegała do

nas wrzawa tłumu. Z tyłu na ulicy ustawili karabiny maszynowe, spędzili z całego okręgu konną i pieszą żandarmerię. Cały batalion otoczył kordonem ogrody i ulice. Dla skazanych na powieszenie wykopano osobny dół, przy samej szubienicy. Oczekiwaliśmy końca w milczeniu, z rzadka zamieniając ze sobą kilka słów. O wszystkim pomówiliśmy poprzedniego dnia, wtedy też pożegnaliśmy się. Tylko Róża, rozmawiając sama z sobą, szeptała coś niezrozumiale w kącie celi. Wala, wymęczona gwałtem i biciem, nie mogła chodzić i przeważnie leżała. A dwie siostry komunistki z miasteczka, przytulone do siebie w pożegnalnym uścisku, nie wytrzymały i rozpłakały się. Stiepanow, z powiatu, chłopak młody, silny jak atleta, który broniąc się przy aresztowaniu zranił dwóch żandarmów, uporczywie mówił do sióstr: „Nie pokazujcie łez, towarzyszki! Wypłaczcie się tutaj, żeby już nie płakać tam. Po cóż się mają cieszyć te parszywe psy? I tak się nad nami nie ulitują, i tak musimy zginąć, więc umierajmy godnie. Niech nikt z nas nie czołga się na kolanach. Towarzysze, pamiętajcie, umierać trzeba godnie".

I oto przyszli po nas. Na przedzie Szwarkowski, naczelnik kontrwywiadu – sadysta, wściekły pies. Jeśli sam nie gwałcił, to pozwalał żandarmom, a sam rozkoszował się tym widokiem. Od więzienia do szubienicy ustawiono szpaler żandarmów. Stały te „kanarki", jak ich z racji żółtych akselbantów nazywano, z dobytymi pałaszami.

Wygnano nas kolbami na dziedziniec więzienny, ustawiono czwórkami, otworzywszy bramę poprowadzono na ulicę. Ustawiono nas przed szubienicą, abyśmy się przyglądali straceniu towarzyszy, nim przyjdzie na nas kolej. Szubienica była wysoka, zbita z grubych belek. Na niej trzy pętle z grubego, kręconego powrozu, pomost z drabinką oparty o słupek. Morze ludzkich głów ledwo dosłyszalnie szumi, faluje. Wszystkie oczy na nas zwrócone. Poznajemy swoich.

W pobliżu, na ganku, zebrała się okoliczna szlachta uzbro-

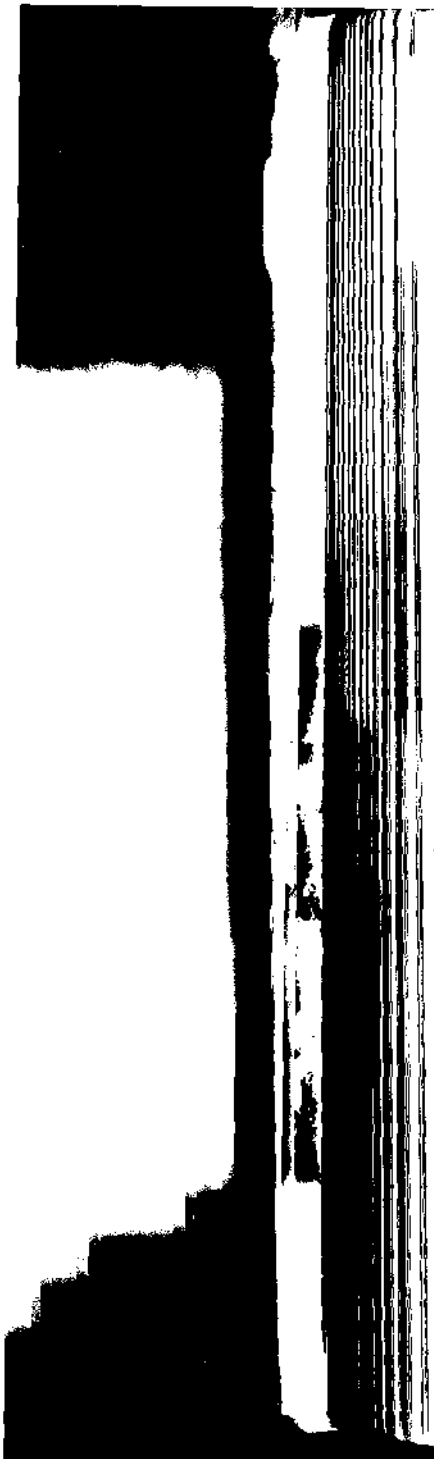

jona w lornetki. Pośród nich oficerowie. Przyszli popatrzeć, jak będzie się wieszać bolszewików.

Miękki śnieg pod stopami, las od śniegu siwy, drzewa jak gdyby watą obsypane, płatki śnieżne wirują, opadają powoli i topnieją na naszych gorących twarzach, a podnóżek szubienicy też jest przyprószony śniegiem. Wszyscy jesteśmy prawie bez ubrania, lecz nikt zimna nie czuje, a Stiepanow nie spostrzega nawet, że jest tylko w skarpetkach.

Przy szubienicy stanął prokurator wojskowy i wyżsi oficerowie. Wreszcie wyprowadzono z więzienia Walę i tych dwóch towarzyszy skazanych na powieszenie. Wzięli się wszyscy troje pod ręce. Wala w środku. Iść nie miała siły, towarzysze podtrzymywali ją, a ona starała się trzymać prosto, pamiętając słowa Stiepanowa: „Umierać trzeba godnie". Była bez palta, w samym swetrze.

Szwarkowskiemu widać nie podobało się, że szli trzymając się pod ręce, i popchnął ich. Wala coś powiedziała i za to żandarm konny chlusnął ją z całych sił nahajką po twarzy.

W tłumie przeraźliwie krzyknęła jakaś kobieta, miotała się w nieprzytomnym krzyku, usiłując przedrzeć się przez kordon ku idącym; pochwycono ją i gdzieś wywleczono. Na pewno matka Wali. Gdy byli już blisko szubienicy, Wala zaczęła śpiewać. Nie słyszałem nigdy takiego głosu – z takim żarem śpiewać może tylko ten, co idzie na śmierć. Zaśpiewała „Warszawiankę", towarzysze jej zawtórowali. Świstały baty żandarmów: bili naszych towarzyszy z tępą wściekłością. Ale oni jakby nie czuli razów. Powalonych wreszcie na ziemię, zawleczono do szubienicy jak worki. Szybko przeczytano wyrok i zaczęto im zakładać pętle. Wtedy myśmy zaśpiewali:

Wyklęty powstań ludu ziemi!...

Rzucono się ku nam ze wszystkich stron. Widziałem tylko, jak żołnierz wytrącił kolbą podnóżek i wszyscy troje szarpnęli się w powietrzu na stryczkach.

Dziesięciu spośród nas już dopiero pod samym murem odczytano wyrok, w którym karę śmierci zamieniono z łaski generała na dwadzieścia lat katorgi. Pozostałych szesnastu rozstrzelano.

Samuel szarpnął kołnierz koszuli, jak gdyby go dusił.

– Przez trzy dni powieszonych nie zdejmowano. Przy szubienicy dzień i noc stała warta. Potem przyprowadzono do naszego więzienia nowych aresztantów. Opowiadali oni: „Czwartego dnia urwał się towarzysz Toboldin, najcięższy. Wtedy zdjęto pozostałych i zakopano na miejscu".

Ale szubienica stała przez cały czas i gdy nas prowadzono z powrotem, widzieliśmy ją. I dotąd stoi ze stryczkami, czekając na nowe ofiary.

Samuel umilkł, utkwiwszy nieruchomy wzrok gdzieś w dal. Paweł nie zauważył, że opowieść była skończona.

W jego oczach wyraźnie wyrastały trzy ciała ludzkie kołyszące się w milczeniu, ze strasznymi, przechylonymi na bok głowami...

Na ulicy rozległ się ostry sygnał trąbki na zbiórkę. Na dźwięk ten ocknął się Paweł. Cicho, ledwo dosłyszalnie rzekł:

– Chodźmy stąd, Samuelu!

Ulicą szli otoczeni kordonem kawalerii polscy jeńcy. Przed bramą więzienia stał komisarz pułku, kończył pisanie rozkazu na kartce notatnika polowego.

– Weźcie, towarzyszu Antipow – oddał kartkę barczystemu dowódcy szwadronu. – Przydzielcie patrol konny i wszystkich jeńców odeślijcie do Nowogrodu Wołyńskiego. Rannych opatrzyć, położyć na fury i też wysłać w tym samym kierunku. Odwieźcie ich jakieś dwadzieścia wiorst za miasto – i niech jadą dalej. Nie mamy czasu zawracać sobie nimi głowy. Uważajcie, by nikt nie obchodził się z jeńcami brutalnie.

Dosiadając konia Paweł zwrócił się do Samuela:

– Słyszałeś? Oni naszych wieszają, a ich odprowadzaj do swoich bez brutalnego traktowania! Skąd wziąć na to siły?

Komisarz pułku obrócił ku niemu głowę i spojrzał mu

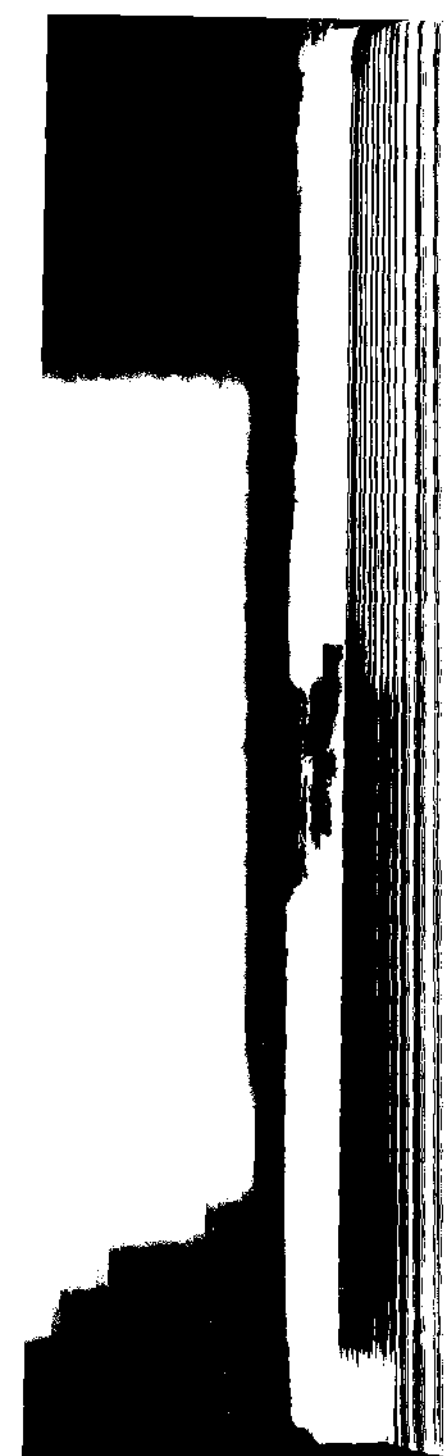

w oczy. Paweł usłyszał twarde, oschłe słowa, wypowiedziane przez komisarza pułku jakby do siebie:

– Za okrutne traktowanie bezbronnych jeńców będziemy rozstrzeliwać. My nie biali!

Odjeżdżając od bramy, Paweł przypomniał sobie ostatnie słowa rozkazu Rewolucyjnej Rady Wojennej, odczytane przed frontem całego pułku: „Kraj robotniczo-chłopski kocha swoją Armię Czerwoną. Szczyci się nią. Żąda, by na jej sztandarze nie było żadnej plamy".

– Żadnej plamy – szepczą wargi Pawła.

W tym czasie, gdy czwarta dywizja kawalerii zdobyła Żytomierz, w rejonie wsi Okuninowo sforsowała Dniepr dwudziesta brygada siódmej dywizji strzelców, należąca do grupy szturmowej towarzysza Golikowa.

Grupa składająca się z dwudziestej piątej dywizji strzelców i baszkirskiej brygady kawalerii otrzymała rozkaz przeprawienia się przez Dniepr i przecięcia linii kolejowej Kijów–Korosteń koło stacji Irsza. Ten manewr odciął nieprzyjacielowi jedyną drogę odwrotu z Kijowa. Tutaj podczas przeprawy zginął członek komsomolskiej organizacji w Szepietówce Misza Lewczukow.

Gdy żołnierze biegli po chwiejnym moście pontonowym, stamtąd, spoza góry, sycząc złowieszczo, przeleciał nad głowami pocisk i wyszarpnął fontannę wody. W tym momencie Misza wpadł pod jeden z pontonów. Połknęła go woda i nie zwróciła, tylko jasnowłosy czerwonoarmista Jakimienko, w czapce z oberwanym daszkiem, zawołał zdziwiony:

– Niech to wszyscy diabli!... Toć to Miszka pod wodę poszedł, zginął chłopiec, jakby go krowa jęzorem zlizała! – Przystanął, wlepił przerażone oczy w ciemną toń, ale z tyłu nadbiegli inni, zaczęli go popychać.

– Czegoś gębę rozdziawił, durniu? Jazda naprzód!

Nie było czasu rozmyślać o towarzyszu. Brygada i tak pozostała w tyle za innymi, które już zajęły prawy brzeg.

O śmierci Miszy Sierioża dowiedział się w cztery dni potem, gdy brygada w walce zajęła stację Bucza i zwracając się frontem do Kijowa odpierała zacięte ataki Polaków, usiłujących przedrzeć się na Korosteń.

W tyralierze obok Sierioży leżał Jakimienko. Przerwawszy wściekłą strzelaninę, z trudem otworzył zamek rozgrzanego karabinu i pochylając głowę ku ziemi, odezwał się do Sierioży:

– Karabin wymaga odpoczynku, gorący jak ogień!

Siergiej ledwie go słyszał wśród huku wystrzałów. Gdy się trochę uciszyło, Jakimienko jakby mimochodem powiedział:

– A twój kolega utonął w Dnieprze. Anim się obejrzał, jak dał nura do wody – zakończył zdanie i dotknąwszy zamka, wyjął z ładownicy naboje i zaczął je starannie ładować do magazynka.

Jedenasta dywizja, skierowana na zdobycie Berdyczowa, napotkała w mieście zaciekły opór wroga.

Na ulicach wybuchły krwawe walki. Zagradzając drogę konnicy terkotały karabiny maszynowe. Ale miasto zostało zdobyte i resztki rozbitych oddziałów polskich uciekły. Na dworcu zagarnięto pociągi. Lecz najstraszniejszym ciosem dla nieprzyjaciela było wysadzenie w powietrze miliona pocisków artyleryjskich – bazy ogniowej polskiego frontu. W mieście szkło sypało się jak drobny żwir i domy drżały od wybuchów, jakby były z tektury.

Uderzenie na Żytomierz i Berdyczów było dla Polaków uderzeniem z tyłu i wojska ich dwoma potokami pospiesznie wycofywały się z Kijowa, rozpaczliwie torując sobie drogę poprzez żelazny pierścień.

Paweł nie czuł się już odrębną jednostką. Owe dni wypełnione były gorącymi starciami. Korczagin jako taki rozpłynął się w masie i jak każdy żołnierz zapomniał, zdawało się,

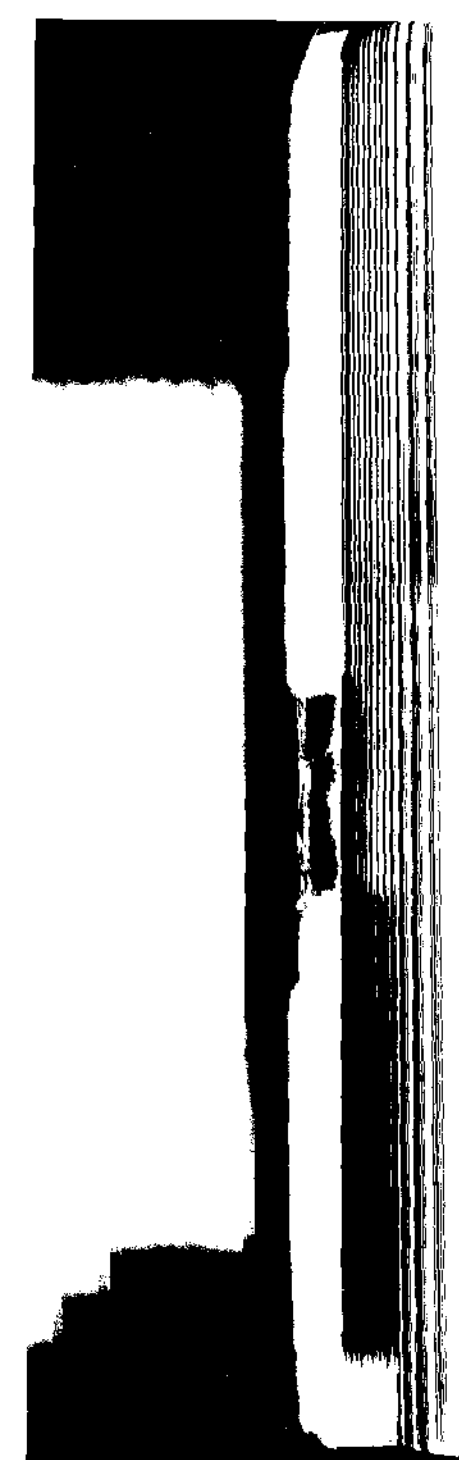

o słowie „ja", pozostało tylko „my": nasz pułk, nasz szwadron, nasza brygada.

A wypadki następowały po sobie z huraganową szybkością. Każdy dzień przynosił coś nowego.

Konna lawina budionnowców bez ustanku zadawała cios po ciosie, dezorganizując i druzgocąc tyły wroga. Upojone zwycięstwami czerwone dywizje kawalerii z zajadłością ruszały do ataków na Nowogród Wołyński – centrum polskiego zaplecza.

Odpływając z powrotem, jak fala od stromego brzegu, cofały się i znowu parły naprzód, z potężnym „hura!"

Nic nie pomogło Polakom: ani zasieki z drutu kolczastego, ani rozpaczliwy opór garnizonu, który umocnił się w mieście. Rankiem dwudziestego siódmego czerwca, przeprawiwszy się w kawaleryjskim szyku przez Słucz, budionnowcy wtargnęli do Nowogrodu Wołyńskiego, ścigając nieprzyjaciela w kierunku miasteczka Korzec. W tym samym czasie dywizja przeszła Słucz pod Nowym Miropolem, a konna brygada Kotowskiego rzuciła się na miasteczko Lubar.

Radiostacja pierwszej armii konnej przyjęła rozkaz dowódcy frontu, by skierować całą konnicę na zdobycie Równego. Niepowstrzymane natarcie czerwonych dywizji zmuszało wroga do ucieczki w bezładnych, zdemoralizowanych grupach, szukających za wszelką cenę ocalenia.

Pewnego razu Paweł wysłany przez dowódcę brygady na stację, gdzie stał pociąg pancerny, spotkał się z kimś, kogo najmniej się spodziewał. Koń z rozpędu przesadził nasyp kolejowy. Paweł ściągnął cugle przy pierwszym wagonie pomalowanym na kolor szary. Groźny w swej niedostępności, z czarnymi paszczami ukrytych w wieżyczkach dział stał pociąg pancerny. Koło niego kręciło się kilka umazanych smarem postaci, podnoszących ciężką stalową zasłonę przy kołach.

– Gdzie można znaleźć dowódcę pociągu pancernego? – zapytał Paweł czerwonoarmisty w skórzanej kurtce, niosącego wiadro z wodą.

– O tam – wskazał ręką w kierunku lokomotywy.

Zatrzymując się przy lokomotywie, Korczagin zapytał:

– Kto tu jest dowódcą?

Człowiek odziany w skórę od stóp do głów, ze śladami ospy na twarzy, obrócił się ku niemu.

– Ja!

Paweł wyjął z kieszeni zapieczętowane pismo.

– Oto rozkaz dowódcy brygady. Pokwitujcie odbiór na kopercie.

Dowódca pociągu, trzymając kopertę na kolanie, podpisywał się. Przy środkowym kole lokomotywy krzątała się jakaś postać z oliwiarką w ręce. Paweł widział tylko szerokie plecy, z kieszeni skórzanych spodni sterczała rękojeść nagana.

– Masz pokwitowanie – człowiek w skórze podał Pawłowi kopertę.

Paweł zbierał cugle gotując się do odjazdu. Człowiek przy lokomotywie wyprostował się i obrócił ku niemu. W tej chwili Paweł zeskoczył z konia tak, jakby go wiatr zdmuchnął.

– Artiom, braciszku!

Cały powalany smarem maszynista szybko odstawił oliwiarkę i chwycił w niedźwiedzie objęcia młodego czerwonoarmistę.

– Pawka! Gałganie! Przecież to ty! – zawołał nie wierząc własnym oczom.

Dowódca pociągu pancernego ze zdziwieniem patrzył na tę scenę. Czerwonoarmiści z artylerii roześmieli się.

– Widzisz, braciszkowie się spotkali.

Dziewiętnastego sierpnia w rejonie Lwowa Paweł zgubił w bitwie czapkę. Zatrzymał konia, a tymczasem przednie szeregi czerwonych szwadronów wdarły się między polskie wojska. Poprzez krzaki leszczyny pędził Diemidow. Pomknął w dół ku rzece krzycząc w biegu:

– Dowódca dywizji zabity!

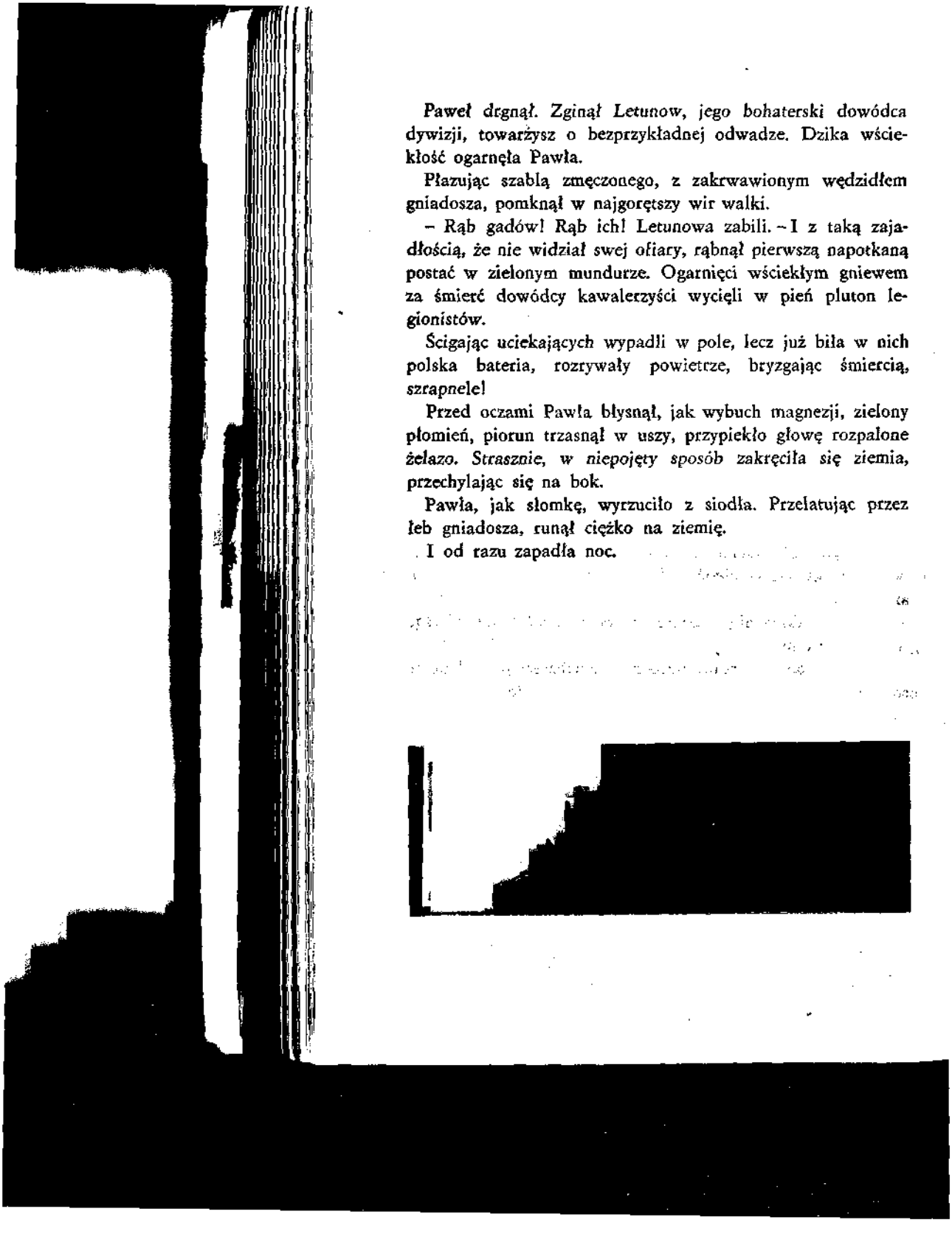

Paweł drgnął. Zginął Letunow, jego bohaterski dowódca dywizji, towarzysz o bezprzykładnej odwadze. Dzika wściekłość ogarnęła Pawła.

Płazując szablą zmęczonego, z zakrwawionym wędzidłem gniadosza, pomknął w najgorętszy wir walki.

– Rąb gadów! Rąb ich! Letunowa zabili. – I z taką zajadłością, że nie widział swej ofiary, rąbnął pierwszą napotkaną postać w zielonym mundurze. Ogarnięci wściekłym gniewem za śmierć dowódcy kawalerzyści wycięli w pień pluton legionistów.

Ścigając uciekających wypadli w pole, lecz już biła w nich polska bateria, rozrywały powietrze, bryzgając śmiercią, szrapnele!

Przed oczami Pawła błysnął, jak wybuch magnezji, zielony płomień, piorun trzasnął w uszy, przypiekło głowę rozpalone żelazo. Strasznie, w niepojęty sposób zakręciła się ziemia, przechylając się na bok.

Pawła, jak słomkę, wyrzuciło z siodła. Przelatując przez łeb gniadosza, runął ciężko na ziemię.

I od razu zapadła noc.

Ośmiornica ma oko wypukłe, mętnie czerwone, wielkości kociego łba, pośrodku zielono płonie mieniącym się żywym światłem. Ośmiornica posługuje się w ruchach dziesiątkami macek; niby kłębowisko żmij wiją się one, ohydnie szeleszcząc łuską skóry. Ośmiornica przybliża się. Paweł widzi ją niemal przy samych oczach. Macki pełzają po ciele, są zimne, a parzą jak pokrzywa. Ośmiornica wysuwa żądło, które wpija się w głowę jak pijawka i kurcząc się konwulsyjnie, wssysa jego krew. Czuje, jak krew przelewa się z jego ciała w rozdęte cielsko ośmiornicy. A żądło ssie, ssie i tam, gdzie wpiło się w głowę, ból jest nie do zniesienia.

Gdzieś bardzo daleko słychać ludzkie głosy:

– Jakie teraz tętno?

Jeszcze ciszej odpowiada drugi głos, kobiecy:

– Sto trzydzieści osiem. Temperatura trzydzieści dziewięć i pięć. Cały czas bredzi.

Ośmiornica znika, ale ból od żądła pozostaje. Paweł czuje: czyjeś palce dotykają jego ręki powyżej dłoni. Usiłuje otworzyć oczy, ale powieki są tak ciężkie, że nie ma sił ich rozewrzeć. Dlaczego tak gorąco? Widocznie matka napaliła w piecu. Ale znowu gdzieś mówią ludzie:

– Tętno sto dwadzieścia dwa.

Usiłuje otworzyć powieki. A wewnątrz ogień. Duszno. Pić, jak bardzo chce się pić! Zaraz wstanie, napije się. Ale dlaczego nie wstaje? Chciał się tylko poruszyć, lecz ciało jest obce, nieposłuszne, nie jego ciało. Matka zaraz przyniesie

wody. Powie jej: „Chcę wody". Coś się koło niego rusza. Czy to nie ośmiornica się znowu podkrada? Oto ona, oto jej czerwone ślepie...

Słychać z dala cichy głos:

– Frosiu, proszę przynieść wody!

„Czyje to imię?" – usiłuje przypomnieć sobie Paweł, ale ten wysiłek pogrąża go w mrok. Wypłynął z mroku i znowu sobie przypomniał: „Chce mi się pić".

Słyszy głosy:

– Zdaje się, że odzyskuje przytomność.

I już wyraźniej, bliżej, tkliwy głos:

– Czy chory chce pić?

„Czyż jestem chory, a może to nie do mnie mówią? Ależ tak, jestem chory na tyfus, to wszystko". I po raz trzeci próbuje otworzyć powieki. Wreszcie mu się to udaje. Pierwszą rzeczą, którą wzrok jego rozpoznał przez wąską szparę otwierającego się oka, była czerwona kula nad głową, ale przesłania ją coś ciemnego; ta ciemna zasłona pochyla się nad nim, a jego wargi wyczuwają twardy brzeg szklanki i płyn, orzeźwiający płyn. Ogień wewnątrz ciała gaśnie.

Wyszeptał zaspokojony:

– O, teraz dobrze.

– Czy chory mnie widzi?

Pyta to coś ciemnego, stojącego nad nim, i choć już zasypiał, zdążył jednak odpowiedzieć:

– Nie widzę, ale słyszę...

– Kto by przypuszczał, że będzie żył? A tymczasem, patrzcie no, wygrzebał się. Zadziwiająco mocny organizm. Wy, Nino Władimirowna, możecie być dumni. Wyście go dosłownie przywrócili do życia.

Głos kobiecy mówi ze wzruszeniem.

– O, bardzo się cieszę!

Po trzynastu dniach nieprzytomności Korczagin odzyskał świadomość.

Młody organizm nie chciał umierać i sił mu stopniowo

przybywało. Były to jakby drugie narodziny, wszystko wydawało się nowe, niezwykłe. Tylko głowa przemożnym ciężarem leżała nieruchomo w gipsowym pudle i chory nie miał sił nią poruszyć. Ale powróciło czucie i już zginały się i rozginały palce rąk.

Nina Władimirowna, młodszy lekarz kliniki szpitala wojskowego, przy małym stoliku w swym kwadratowym pokoju przeglądała gruby zeszyt w liliowej okładce. Były w nim krótkie notatki, napisane drobnym pochyłym pismem:

26 sierpnia 1920 roku

Dzisiaj z pociągu sanitarnego przywieziono do nas grupę ciężko rannych. Na łóżku w kącie przy oknie położono czerwonoarmistę z rozbitą głową. Ma dopiero siedemnaście lat. Oddano mi paczkę jego dokumentów, znalezionych w kieszeniach i włożonych do koperty razem z notatkami lekarskimi. Nazywa się Paweł Andrejewicz Korczagin. Były tam: pognieciona legitymacja nr 967 Komunistycznego Związku Młodzieży Ukrainy, podarta książeczka wojskowa i wyciąg z rozkazu pułkowego. Napisano w nim, że czerwonoarmiście Korczaginowi wyraża się podziękowanie za bojowe wypełnienie zadania zwiadowczego. Poza tym znalazłam tam notatkę napisaną widocznie ręką właściciela:

„Na wypadek mojej śmierci proszę towarzyszy, żeby zawiadomili moją rodzinę: miasto Szepietówka, warsztaty kolejowe, ślusarz Artiom Korczagin".

Chory jest nieprzytomny od chwili, gdy został raniony odłamkiem. Od 19 sierpnia. Jutro zbada go Anatolij Stiepanowicz.

27 sierpnia

Dziś badano ranę Korczagina. Jest bardzo głęboka, czaszkę ma przebitą, wskutek tego cała prawa strona głowy jest sparaliżowana. W prawym oku wylew krwi. Oko spuchnięte.

Anatolij Stiepanowicz chciał usunąć oko, żeby uniknąć zapalenia, ale namówiłam go, by tego nie robił, póki jest nadzieja na zmniejszenie się opuchlizny. Zgodził się.

Kierowałam się wyłącznie poczuciem estetycznym. Jeśli chłopiec będzie żył, po co go oszpecać usuwając oko.

Ranny wciąż majaczy, miota się, trzeba przy nim ciągle dyżurować. Poświęcam mu dużo czasu. Żal mi bardzo jego młodości i chcę wydrzeć ją śmierci, jeżeli mi się to uda.

Wczoraj po zmianie spędziłam kilka godzin na sali. Jego stan jest najcięższy. Wsłuchuję się w jego majaczenie. Czasem bredzi tak, jakby opowiadał. Dowiaduję się wielu szczegółów z jego życia, ale niekiedy strasznie klnie. To wymyślanie jest okropne. Jakoś przykro mi słuchać, gdy ten chłopiec tak potwornie przeklina. Anatolij Stiepanowicz mówi, że on żyć nie będzie. Staruszek burczy gniewnie: „Nie rozumiem, jak można przyjmować do armii takie dzieci? To jest oburzające".

30 sierpnia

Korczagin wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Leży w separatce dla umierających. Przy nim, prawie nie odchodząc, siedzi sanitariuszka Frosia. Okazuje się, że go zna. Kiedyś razem pracowali. Z jaką serdeczną troskliwością pielęgnuje tego chorego! Teraz i ja czuję, że stan jego jest beznadziejny.

2 września

Jedenasta wieczorem. Dzisiaj niezwykły dla mnie dzień. Mój chory, Korczagin, odzyskał przytomność, ożył. Kryzys minął. W ciągu ostatnich dwóch dni nie wracałam do domu.

Nie potrafię w tej chwili opisać swej radości, że jeszcze jeden uratowany. Na naszej sali o jedną śmierć mniej. W mojej wyczerpującej pracy największa radość, gdy chorzy wracają do zdrowia. Przywiązują się do mnie jak dzieci.

Ich przyjaźń jest szczera i prosta, i gdy się rozstajemy, czasami nawet płaczą. To trochę śmieszne, ale tak jest.

10 września

Napisałam dziś Korczaginowi pierwszy list do rodziny. Piszę, że jest lekko ranny. Wkrótce wyzdrowieje i przyjedzie; utracił dużo krwi, jest blady jak wata, jeszcze bardzo słaby.

14 września

Korczagin po raz pierwszy się uśmiechnął. Uśmiech ma dobry. Jest nad wiek poważny. Wraca do zdrowia zadziwiająco szybko. Z Frosią się przyjaźni. Często ją widzę przy jego łóżku. Widocznie opowiedziała mu o mnie, oczywiście przechwaliła, więc chory wita mnie ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Wczoraj zapytał:

„Od czego, doktorze, macie na ręce czarne plamy?"

Nie powiedziałam, że są to ślady jego palców, którymi ściskał mi do bólu rękę w malignie.

17 września

Rana na czole Korczagina wygląda dobrze. Nas lekarzy zdumiewa ta zaiste bezgraniczna cierpliwość, z jaką ranny znosi opatrunki.

Zazwyczaj w takich razach jest dużo jęków i kaprysów. Ten zaś milczy i gdy smaruje mu się jodyną otwartą ranę, napina się jak struna. Często traci przytomność, w ogóle przez cały czas nie wydał ani jednego jęku.

Już wszyscy wiedzą: jeżeli Korczagin jęczy – to znaczy, że stracił przytomność. Skąd ma w sobie ten hart? Nie wiem.

21 września

Po raz pierwszy wywieziono Korczagina wózkiem na taras szpitala. Jakimż wzrokiem patrzył na ogród, jakże chciwie wchłaniał świeże powietrze! W jego obandażowanej głowie widać tylko jedno oko. Oko to, błyszczące, ruchliwe, patrzało na świat tak, jakby go widziało po raz pierwszy.

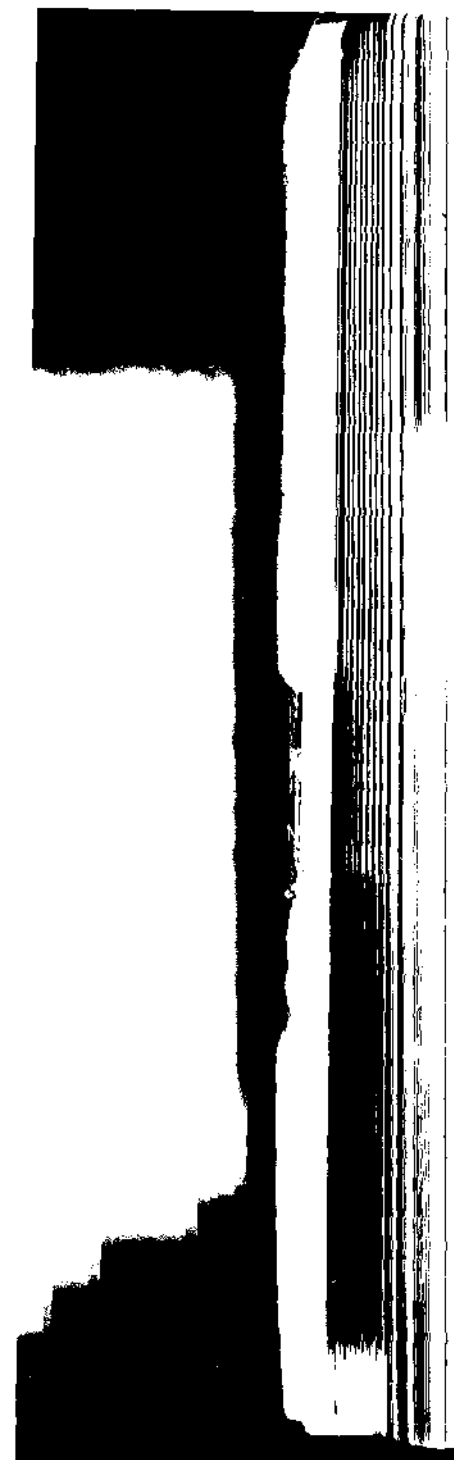

26 września

Dziś wywołano mnie na dół do poczekalni, gdzie czekały na mnie dwie młode dziewczyny. Jedna z nich bardzo ładna. Prosiły o widzenie się z Korczaginem. Ich nazwiska: Tonia Tumanowa i Tatiana Buranowska. Imię Toni jest mi znane. Korczagin powtarzał je czasami w malignie. Pozwoliłam na widzenie.

8 października

Korczagin po raz pierwszy o własnych siłach spacerował po ogrodzie. Kilkakrotnie zapytywał mnie, kiedy będzie mógł się wypisać. Odpowiedziałam, że wkrótce. Obie przyjaciółki odwiedzają chorego w każdy dzień przyjęć. Wiem, dlaczego on nie jęczał i w ogóle nie jęczy. Na moje pytanie odpowiedział:

„Przeczytajcie powieść ‚Szerszeń', to się dowiecie".

14 października

Korczagin wypisał się ze szpitala. Rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Bandaż, z oka zdjęty, pozostał tylko na czole. Oko oślepło, lecz z zewnątrz wygląda normalnie. Bardzo mi było smutno rozstawać się z tym dzielnym towarzyszem.

Tak jest zawsze: wracają do zdrowia i odchodzą od nas, by może nigdy więcej się z nami nie spotkać. Przy pożegnaniu powiedział:

„Lepiej byłoby, gdybym oślepł na lewe oko, jakże teraz będę strzelał?"

Jeszcze myśli o froncie.

Po opuszczeniu kliniki Paweł mieszkał jakiś czas u Buranowskiego, gdzie zatrzymała się Tonia.

Od razu usiłował wciągnąć Tonię do wspólnej roboty. Zaprosił ją na miejskie zebranie Komsomołu. Tonia zgodziła się, ale gdy wyszła z pokoju, w którym się ubierała, Paweł

zagryzł wargi. Ubrana była bardzo elegancko, z umyślnym wykwintem; zawahał się, czy wprowadzić ją do grona swych towarzyszy.

Wtedy właśnie nastąpiło pierwsze starcie. Gdy zapytał, dlaczego tak się ubrała, Tonia się obraziła.

– Nigdy nie małpuję innych, jeżeli ci nie wypada iść ze mną, to mogę zostać.

W klubie przykro mu było widzieć ją wystrojoną wśród wyblakłych bluz wojskowych i swetrów. Towarzysze przyjęli Tonię jak obcą. Czując to, patrzała na wszystkich pogardliwie i wyzywająco.

Sekretarz organizacji komsomolskiej przy przystani towarowej, barczysty chłopak w grubej brezentowej koszuli, tragarz Pankratow, odwołał Pawła na stronę, spojrzał na niego nieprzychylnie i wskazując oczami Tonię rzekł:

– Czyś to ty przyprowadził tę ślicznotkę?

– Tak, ja – szorstko odparł Korczagin.

– T-tak – rzekł przeciągle Pankratow. – Z wyglądu jakoś nie bardzo do nas pasuje, zalatuje burżuazją. W jaki sposób wpuszczono ją tutaj?

Pawłowi zapulsowało w skroniach.

– To jest moja towarzyszka i ja ją tutaj przyprowadziłem. Rozumiesz? Nie jest naszym wrogiem. Co do jej stroju – masz słuszność, ale przecie nie zawsze według ubioru można etykietkę nalepić. Ja też rozumiem, kogo tu można przyprowadzić, i niepotrzebnie się, towarzyszu, czepiasz.

Chciał jeszcze powiedzieć coś dosadnego, ale powstrzymał się rozumiejąc, że Pankratow wyraża ogólną opinię, i całe swe oburzenie przeniósł na Tonię.

– Mówiłem jej przecież! Po kiego diabła się popisuje?

Od tego wieczoru przyjaźń ich zaczęła się rozlatywać. Paweł z goryczą i zdziwieniem śledził, jak rozpada się taka, zdawało się, mocna przyjaźń.

Minęło jeszcze kilka dni i każde spotkanie, każda rozmowa wnosiły coraz większą obcość i głuchą niechęć w ich wzajem-

ny stosunek. Płytki indywidualizm Toni stawał się dla Pawła nie do zniesienia.

Konieczność zerwania była jasna dla obojga.

Dziś przyszli do zasłanego martwymi, rdzawymi liśćmi Ogrodu Kupieckiego, żeby powiedzieć sobie ostatnie słowo. Stali przy balustradzie nad urwiskiem: w dole szarą masą wody połyskiwał Dniepr; pod prąd, spoza potężnej sylwety mostu, pełzł holownik, monotonnie klapiąc po wodzie łopatkami kół i wlokąc za sobą dwie pękate barki. Zachodzące słońce barwiło złocistymi farbami Wyspę Truchanowską i odbijało się jaskrawym promieniem w szybach domków.

Tonia patrzyła na złote promienie i powiedziała z głębokim smutkiem:

– Czy to możliwe, że nasza przyjaźń zgaśnie tak, jak gaśnie teraz słońce?

Paweł patrzył na nią nie odrywając oczu; mocno ściągnąwszy brwi odpowiedział cicho:

– Toniu, mówiliśmy już o tym. Wiesz przecież, że cię kochałem i nawet teraz moja miłość może wrócić, ale po to trzeba, żebyś była z nami. Nie jestem teraz dawnym Pawłuszą. I złym byłbym mężem, gdybym, tak jak ty uważasz, należał przede wszystkim do ciebie, a potem dopiero do partii. A ja będę należał naprzód do partii, a potem do ciebie i do reszty bliskich mi ludzi.

Tonia spoglądała ze smutkiem na błękit rzeki i oczy jej napełniły się łzami.

Paweł patrzył na jej tak dobrze mu znany profil, na gęste kasztanowate włosy i serce jego zalała fala współczucia dla dziewczyny tak niegdyś mu drogiej i bliskiej.

Delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

– Rzuć wszystko, co cię wiąże. Chodź do nas. Będziemy razem tępić jaśnie panów. Jest u nas dużo dobrych dziewcząt; razem z nami dźwigają cały ciężar zaciętej walki, razem z nami znoszą wszelkie trudy. Być może, nie są tak wykształcone, jak ty, ale czemu, czemu nie chcesz być z nami? Mó-

wisz, że Czużanin chciał cię wziąć przemocą; to przecież wyrodek, nie żołnierz. Mówisz, że przyjęto cię nieżyczliwie, a po co wystroiłaś się jak na burżujski bal? Poniosła cię pycha: nie będę, powiadasz, przystosowywała się do brudnych bluz. Miałaś odwagę pokochać robotnika, a pokochać idei nie możesz. Żal mi rozstać się z tobą i chciałbym cię dobrze wspominać.

Umilkł.

Nazajutrz Paweł zobaczył na ulicy rozkaz podpisany przez przewodniczącego gubernialnej Czeka, Żuchraja. Drgnęło mu serce. Z trudem dostał się do marynarza – nie wpuszczano tam nikogo. Taki raban zrobił, że wartownicy chcieli go aresztować. Jednakże w końcu dopiął swego.

Spotkanie z Fiodorem było serdeczne. Fiodor stracił rękę; urwał mu ją pocisk. Od razu porozumieli się co do pracy.

– Będziemy tu razem tłumili kontrrewolucję, póki nie masz dość sił, by wrócić na front. Przychodź więc zaraz od jutra – rzekł Żuchraj.

Wojna z burżuazyjno-obszarniczą Polską skończyła się. Oddziały Armii Czerwonej, które były prawie pod murami Warszawy, wyczerpały wszystkie siły materialne i fizyczne; oderwane od swych baz, nie mogły złamać ostatniej zapory, wycofały się. Stał się „cud nad Wisłą", jak burżuazja polska nazywa odwrót czerwonych spod Warszawy. Polska jaśniepańska trwała nadal. Marzenia o Polskiej Republice Socjalistycznej na razie nie udało się urzeczywistnić.

Kraj, zalany krwią, wymagał wytchnienia.

Paweł nie mógł zobaczyć się z rodziną, gdyż miasteczko Szepietówka znów było zajęte przez oddziały polskie i stało się chwilowo granicą frontu. Toczyły się rokowania pokojowe. Dnie i noce Paweł spędzał w Czeka, spełniając różne zlecenia. Mieszkał w pokoju Żuchraja. Wiadomość o zajęciu rodzinnego miasteczka przez Polaków zasmuciła Pawła.

– Cóż, Fiodor, więc matka zostanie za granicą, jeżeli tak rozejm się zakończy?

Ale Fiodor uspokajał go:

– Granica na pewno pójdzie wzdłuż rzeki Horyń, tak że miasto zostanie po naszej stronie. Wkrótce się dowiemy.

Z polskiego frontu przerzucano dywizje na południe. Korzystając z przerwy w działaniach wojennych, z Krymu wypełzł Wrangel. I wówczas, gdy republika wytężała wszystkie siły na froncie polskim, wranglowcy posunęli się z południa na północ, wzdłuż Dniepru, docierając aż do guberni jekatierinosławskiej.

Dla zlikwidowania tego ostatniego gniazda kontrrewolucji, korzystając z zakończenia wojny z Polakami, władze radzieckie rzuciły swoje armie na Krym.

Przez Kijów szły na południe transporty naładowane ludźmi, wozami, kuchniami, działami. W wydziale transportowym Czeka wrzała gorączkowa praca. Cały ten potok pociągów stwarzał „korki" i wówczas dworce były tak przepełnione, że ustawał wszelki ruch, ponieważ nie było ani jednego wolnego toru. A aparaty telegraficzne wyrzucały paseczki taśm z ultymatywnymi telegramami. Rozkazywano w nich „oczyścić drogę dla takiej a takiej dywizji". Pełzły nie kończące się paseczki, upstrzone kreskami taśmy, i na każdej z nich było: „poza wszelką kolejką... w trybie rozkazu bojowego... natychmiast zwolnić drogę..." I prawie na każdej zaznaczano, że za niewykonanie rozkazu winni będą odpowiadać przed rewolucyjnym trybunałem wojskowym.

Za „korki" odpowiedzialny był wydział transportowy Czeka.

Tu wdzierali się wymachując naganem dowódcy jednostek, żądając niezwłocznego przepuszczenia ich transportów przed innymi zgodnie z takim a takim telegramem dowódcy armii numer taki a taki.

Żaden z nich nie chciał słyszeć, że wykonanie jest niemożliwe. „Skonaj, a przepuść". I zaczynało się potworne wymy-

ślanie. W szczególnie skomplikowanych wypadkach natychmiast wzywano Żuchraja. I wówczas rozgorączkowani ludzie, gotowi powystrzelać się wzajem, uciszali się.

Żelazna, zimna i spokojna postać Żuchraja i jego mocny, nie znoszący sprzeciwu głos zmuszały dowódców do wsuwania wyjętych naganów z powrotem do futerału.

Paweł wychodził z pokoju na peron z kłującym bólem w głowie. Rujnująco działała na jego nerwy praca czekisty.

Pewnego razu na platformie kolejowej pełnej skrzyń z nabojami Paweł zobaczył Sieriożę. Bruzżak rzucił się na niego z platformy, omal go nie przewrócił na ziemię i mocno ściskał w objęciach.

– Pawka, diable! Od razu cię poznałem.

Przyjaciele nie wiedzieli, o co się wpierw nawzajem pytać, o czym opowiadać. Przecież tyle przez ten czas przeżyli! Pytali i nie czekając na odpowiedź opowiadali. Nie zwracali uwagi na gwizdki. Dopiero gdy wagony powoli ruszyły, rozerwali uścisk.

Cóż mieli robić? Spotkanie było przerwane, pociąg zwiększał szybkość. Żeby nie zostać na stacji, Sierioża po raz ostatni krzyknął coś do przyjaciela, pobiegł wzdłuż peronu wspinając się do otwartych drzwi wagonu towarowego, kilka rąk pochwyciło go i wciągnęło do środka. A Paweł stał na peronie, patrzył za nimi i dopiero teraz przypomniał sobie, że Sierioża nie wie o straceniu Wali. Nie było go przecież wtedy w miasteczku. A on, Paweł, oszłomiony spotkaniem, nie powiedział mu o tym.

„Niech sobie jedzie spokojnie – dobrze, że nie wie" – myślał Paweł. Nie wiedział, że widzi przyjaciela po raz ostatni. Nie wiedział również Siergiej stojąc na dachu wagonu i podstawiając pierś pod wiatr jesienny, że jedzie na spotkanie śmierci.

– Usiądź, Sierioża – namawiał go Doroszenko, czerwonoarmista w przepalonym na plecach szynelu.

– To nic, jestem z wiatrem w przyjaźni. Niech mnie przedmucha – odparł śmiejąc się Sierioża.

A w tydzień potem zginął w pierwszej walce na jesiennym ukraińskim stepie.

Z daleka przyleciała ślepa kula.

Drgnął od uderzenia. Postąpił krok naprzód na spotkanie piekącego bólu, który mu rozdarł pierś, zachwiał się, nie krzyknął, objął powietrze, mocno przycisnął do piersi ręce i pochylony, jak gdyby gotował się do skoku, runął bezwładnym ciałem na ziemię, a jego znieruchomiałe błękitne oczy utkwiły w stepowym bezkresie.

Nerwowa praca w Czeka odbiła się ujemnie na zdrowiu nie okrzepłego jeszcze po ciężkiej chorobie Pawła. Bóle po kontuzji były coraz częstsze i wreszcie, po dwóch bezsennych nocach, Korczagin zemdlał.

Zwrócił się wówczas do Żuchraja:

– Jak myślisz, Fiodor, czy to będzie w porządku, jeżeli przeniosę się na inną robotę? Bardzo bym chciał pracować w swoim zawodzie, w głównych warsztatach, bo czuję, że tutaj mój łeb jest za słaby. Na komisji powiedziano mi, że nie nadaję się już do służby wojskowej. A tu gorzej jest niż na froncie. Te dwa dni, kiedy likwidowaliśmy bandę Sutyra, zupełnie ścięły mnie z nóg. Muszę odpocząć od strzelaniny. Sam rozumiesz, Fiodor, że kiepski ze mnie czekista, skoro ledwie trzymam się na nogach.

Żuchraj spojrzał na Pawła zatroskany.

– Tak, nietęgo wyglądasz. Trzeba było cię już dawno zwolnić, ale to moja wina, tak jestem zawalony robotą, że to przeoczyłem.

W wyniku tej rozmowy Paweł znalazł się w gubernialnym komitecie młodzieży z kartką, w której było napisane, że Korczagina kieruje się do dyspozycji komitetu.

Ruchliwy chłopaczyna w nasuniętej po łobuzersku na nos czapce rzucił okiem na kartkę i wesoło mrugnął do Pawła.

– Z Czeka? Przyjemna instytucja. Proszę bardzo, w mig robótkę ci znajdziemy. U nas wielki głód na chłopców. Gdziebyś chciał? W gubernialnej komisji aprowizacyjnej? Nie? To nie. Na przystań do bazy agitacyjnej pojedziesz? Nie? No to szkoda. Doskonała posadka, przydział pierwsza klasa.

Paweł przerwał chłopakowi:

– Chcę pracować na kolei, w głównych warsztatach.

Tamten spojrzał na niego zdziwiony.

– W głównych warsztatach? Hm... tam nie ma zapotrzebowania na ludzi. Zresztą idź do towarzyszki Ustinowicz. Już ona coś dla ciebie znajdzie.

Po krótkiej rozmowie ze śniadą dziewczyną ustalili, że Paweł pracując w produkcji będzie jednocześnie sekretarzem komsomolskiego kolektywu w warsztatach.

W tym samym czasie u wrót Krymu, na wąziutkim przesmyku półwyspu, u dawnych rubieży, które ongiś oddzielały Tatarów krymskich od Zaporoża, odbudowano groźną teraz swymi umocnieniami twierdzę białogwardyjską – Perekop.

Za Perekopem, czując się zupełnie bezpieczny, zachłystywał się winnymi oparami zapędzony tam ze wszystkich krańców państwa, skazany na zagładę stary świat.

Pewnej jesiennej, przejmującej wilgocią nocy dziesiątki tysięcy synów ludu pracującego weszły do zimnej wody cieśniny, żeby w ciągu nocy przeprawić się przez Siwasz i zadać wrogowi, który zarył się w umocnieniach, cios w plecy. Wśród tych tysięcy szedł również Iwan Żarki, troskliwie niosąc na głowie swój karabin maszynowy.

I kiedy o świcie zakipiał gorączkowym ruchem Perekop, kiedy w szturmie atakiem czołowym poprzez zasieki rzuciły się naprzód tysiące, na tyłach białych, na Półwyspie Litewskim, wdzierały się na brzeg pierwsze kolumny tych, którzy

przeprawili się przez Siwasz. Jednym z pierwszych, co stanęli na kamienistym brzegu, był Żarki.

Zawrzał bój o niesłychanej zaciętości. Konnica białych rzucała się w dzikim, zwierzęcym porywie na ludzi wychodzących z wody. Erkaem Żarkiego bryzgał śmiercią, ani na chwilę nie przerywając ognia. Pod gradem ołowiu padały stosy ludzi i koni. Z gorączkową szybkością wstawiał Żarki wciąż nowe magazynki.

Perekop grzmiał setkami armat. Zdawało się, że ziemia zapadła się w bezdenną przepaść, a tysiące pocisków, prując z dzikim świstem niebo, niosły dokoła śmierć rozsypując się na drobne odłamki. Ziemia, zryta, okaleczona, wylatywała w górę, czarnymi grudami przesłaniając słońce.

Łeb gada był zmiażdżony i na Krym wtargnął czerwony potok, wtargnęły straszne w swym ostatnim uderzeniu dywizje pierwszej armii konnej. Ogarnięci panicznym strachem białogwardziści oblegali odbijające z przystani statki.

Do zniszczonych bluz polowych, tam gdzie bije serce, republika przypinała złote krążki orderów Czerwonego Sztandaru i wśród tych bluz była też bluza komsomolca Iwana Żarkiego.

Pokój z Polakami został zawarty i miasteczko, jak tego się spodziewał Żuchraj, pozostało przy Ukrainie Radzieckiej. Granicę stanowiła rzeka płynąca w odległości trzydziestu pięciu kilometrów od miasteczka. W grudniu 1920 roku pamiętnego ranka Paweł podjeżdżał do znajomych miejsc.

Wyszedł na przyprószony śniegiem peron, przelotnie spojrzał na napis *Szepietówka I* i od razu skręcił na lewo, do parowozowni. Zapytał o Artioma, ale go nie było. Otuliwszy się szczelniej szynelem, szybko poszedł przez las do miasteczka.

Maria Jakowlewna obróciła się na stukanie do drzwi, zapraszając do wejścia. I gdy we drzwiach stanął człowiek

obsypany śniegiem, poznała kochaną twarz syna, chwyciła się rękami za serce i z niezmiernej radości nie mogła wymówić ani słowa.

Całym swym wychudłym ciałem przywarła do piersi syna i okrywając jego twarz niezliczonymi pocałunkami płakała łzami szczęścia.

A Paweł obejmując ją patrzył na wymęczoną tęsknotą i wyczekiwaniem, pooraną zmarszczkami twarz matki i nic nie mówił, czekając, aż się uspokoi.

Szczęście znów zalśniło w oczach wymęczonej kobiety i przez te wszystkie dni matka nie mogła się dość nagadać i napatrzyć na syna, którego zobaczyć już się nie spodziewała. Radość jej była bezgraniczna, gdy w jakieś trzy dni po przyjeździe Pawła, w nocy, do ich pokoiku wszedł i Artiom z plecakiem wojskowym na grzbiecie.

Do małego mieszkania Korczaginów powracali jego mieszkańcy. Po ciężkich doświadczeniach i przeżytej niedoli zeszli się bracia, którzy ocaleli od zguby...

– Co teraz będziecie robić? – pytała synów Maria Jakowlewna.

– Weźmiemy się znów do łożysk kulkowych, mamusiu – odpowiedział Artiom.

Paweł, po dwutygodniowym pobycie w domu, wyjechał z powrotem do Kijowa, gdzie czekała go praca.

X

Północ. Już dawno przetoczył swe rozklekotane ciężko ostatni tramwaj. Księżyc zalał martwym światłem parapet okienny. Błękitnawą kapą okrył łóżko, zostawiając w półmroku resztę pokoju. W kącie na stole – krążek światła spod abażuru stojącej lampy. Rita pochyliła się nisko nad swoim grubym dziennikiem.

24 maja – nakreślił ostry koniec ołówka.

Znów usiłuję zanotować swe wrażenia. Znów puste miejsce. Minęło półtora miesiąca, a nie zanotowałam ani słowa. Trzeba się pogodzić z tą luką.

Gdzież znaleźć czas na dziennik? Oto już noc, a ja piszę. Sen ucieka. Na robotę do KC wyjeżdża towarzysz Segal. Ta wiadomość wszystkich nas zmartwiła. Nasz Łazarz Aleksandrowicz to wspaniały człowiek. Dopiero teraz rozumiem, jakim skarbem była dla wszystkich przyjaźń z nim. Oczywiście wraz z wyjazdem Segala rozpadnie się kółko studiowania materializmu dialektycznego. Wczoraj byliśmy u niego do późnej nocy, sprawdzaliśmy osiągnięcia naszych „podopiecznych". Przyszedł sekretarz komitetu gubernialnego, Akim, i wstrętny kierownik ewidencji, Tufta. Nie znoszę tego wszechwiedzącego mądrali! Segal promieniał. Jego uczeń Korczagin świetnie ściął Tuftę z historii partii. Tak, te dwa miesiące nie były zmarnowane. Nie żal sił, jeżeli dają takie rezultaty. Podobno Żuchraj przechodzi na robotę do wydziału specjalnego okręgu wojskowego. Dlaczego, nie wiem.

Łazarz Aleksandrowicz powierzył mi swego ucznia.

„Doprowadźcie do końca rozpoczęte dzieło – powiedział – nie zatrzymujcie się w połowie drogi. I wy, Rito, i on macie się czego uczyć nawzajem od siebie. Młodzieniec jeszcze niezupełnie wyzbył się żywiołowości. Żyje uczuciami, które w nim nurtują, a burze i wichry tych uczuć pchają go na bezdroża. O ile was znam, Rito, będziecie dla niego najodpowiedniejszym przewodnikiem. Życzę wam powodzenia. Nie zapominajcie pisać do mnie do Moskwy" – mówił mi Segał na pożegnanie.

Dzisiaj przysłano z KC nowego sekretarza Solomieńskiego Komitetu Rejonowego, Żarkiego. Znam go z wojska.

Jutro Dymitr przyprowadzi Korczagina. Opiszę Dubawę. Średniego wzrostu. Silny, muskularny. W Komsomole od osiemnastego roku, w partii od dwudziestego. To jeden z owych trzech, których wydalono z gubernialnego komitetu Komsomołu za należenie do „opozycji robotniczej". Nauka z nim nie była łatwa. Codziennie psuł plan zajęć zasypując mnie pytaniami, odrywając od tematu. Między Jureniewą, moją drugą uczennicą, a Dubawą były częste sprzeczki. Zaraz pierwszego wieczoru, obejrzawszy Olgę od stóp do głów, zauważył:

„Masz, stara, niekompletne umundurowanie. Potrzebne ci są spodnie z naszytą skórą, ostrogi, budionnówka i szabla, bo teraz to jesteś ni pies, ni wydra".

Olga nie pozostała mu dłużna i musiałam ich uspokajać. Dubawa jest, zdaje się, przyjacielem Korczagina. Na dziś dosyć. Spać.

Ziemia była wyschnięta od skwaru. Żelazne poręcze wiaduktu nad dworcem były tak nagrzane, że aż parzyły. Na wiadukt wchodzili ociężali, zmożeni skwarem ludzie. Nie byli to pasażerowie. Przez wiadukt przechodzono głównie z okolic dworca do miasta.

Z górnego stopnia Paweł zobaczył Ritę. Przyszła na pociąg wcześniej od niego i przyglądała się schodzącym na dół ludziom.

Korczagin zatrzymał się o jakieś trzy kroki od dziewczyny. Nie zauważyła go. Paweł przyglądał się jej z jakimś dziwnym zaciekawieniem. Rita miała na sobie bluzkę w paski, granatową, krótką spódnicę z taniego materiału, a przez ramię przerzuconą kurtkę z chromowej skóry. Opaloną twarz okalała niesforna czupryna. Stała z głową lekko odrzuconą w tył, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem. Po raz pierwszy Korczagin patrzył na swoją przyjaciółkę i nauczycielkę w taki sposób, jak teraz, i po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl, że Rita to nie tylko członek zarządu komitetu gubernialnego, lecz... I złapawszy się na takich „zdrożnych" myślach, zirytowany tym, zawołał do niej:

– Już całą godzinę patrzę na ciebie, a ty mnie nie widzisz! Czas iść, pociąg już stoi.

Podeszli do służbowego przejścia na peron.

Wczoraj komitet gubernialny wyznaczył Ritę jako swego przedstawiciela na jedną z powiatowych konferencji. Do pomocy przydzielono jej Korczagina. Dziś jeszcze muszą wsiąść do pociągu, co bynajmniej nie jest łatwym zadaniem. Dworzec w godzinach odejścia pociągów, kursujących rzadko, był we władzy wszechmocnej „piątki" i bez przepustki tej komisji regulującej prawo jazdy nikt nie miał prawa wychodzić na peron. Wszystkie wejścia i wyjścia były obsadzone przez straż. Pociąg, zatłoczony ludźmi, mógł zabrać zaledwie dziesiątą część pragnących wyjechać. Nikt nie chciał zostać i czekać całymi dniami na przypadkowy pociąg. Tysiące ludzi szturmowało przejścia, próbując przedostać się do niedostępnych zielonych wagonów. W takie dni dworzec przeżywał prawdziwe oblężenie i dochodziło niekiedy do bójek.

Paweł i Rita daremnie usiłowali dostać się na peron.

Znając wszystkie wejścia i wyjścia Paweł przeprowadził swoją towarzyszkę przez przechowalnię bagażu. Z trudem

dotarli do wagonu numer 4. Przy drzwiach wagonu, powstrzymując zwartą ciżbę, stał zmordowany upałem czekista, po raz setny powtarzając:

– Mówię wam, że wagon jest przepełniony, a na bufory i na dach, zgodnie z rozkazem, nikogo nie puścimy.

Rozwścieczeni ludzie napierali nań, pchając mu pod nos bilety komisji przejazdowej, wydane na czwarty numer wagonu. Przed każdym wagonem przekleństwa, krzyki, ścisk. Paweł widział, że nie uda im się wsiąść w sposób normalny do tego pociągu, a jechać trzeba było koniecznie, inaczej konferencja się nie odbędzie.

Odwołał Ritę na bok i wtajemniczył ją w swój plan działania: przeciśnie się do wagonu, otworzy okno i wciągnie przez nie Ritę. Inaczej nic z tego nie będzie.

– Daj mi swoją kurtkę, to lepsze od wszelkiego mandatu.

Paweł wziął od Rity skórzaną kurtkę, włożył na siebie i przełożył do kieszeni swój nagan, umyślnie wysunąwszy na zewnątrz rękojeść ze sznurem. Plecak z żywnością zostawił u nóg Rity i podszedł do wagonu. Rozepchnąwszy bez ceremonii pasażerów, uchwycił się poręczy.

– Hej, towarzyszu, dokąd?

Paweł obejrzał się na barczystego czekistę.

– Jestem z wydziału specjalnego okręgu. Zaraz sprawdzimy, czy wszyscy tutaj wsiedli z biletami komisji przejazdowej – rzekł Paweł tonem nie dopuszczającym wątpliwości co do jego uprawnień.

Czekista spojrzał na kieszeń Pawła, wytarł rękawem pot z czoła i rzekł obojętnie:

– No to sobie sprawdzaj, jeżeli wleziesz.

Pracując rękami, ramionami, a tu i ówdzie pięścią, włażąc na cudze ramiona, podciągając się na rękach, czepiając się górnych półek, osypywany gradem wymyślań, Paweł jednakże przedostał się do środka wagonu.

– Gdzie cię diabli niosą, żeby cię szlag trafił! – krzyczała do niego tłusta baba, gdy opuszczając się z góry, nastąpił jej

na kolano. Baba wcisnęła się swym siedmiopudowym cielskiem na brzeg dolnej półki trzymając między nogami bańkę na olej. Takie bańki oraz skrzynki, worki i koszyki stały na wszystkich półkach. W wagonie nie było czym oddychać.

Na wymyślania baby Paweł odpowiedział pytaniem:

– A gdzie wasz bilet przejazdowy, obywatelko?

– Czego? – zaperzyła się tamta na nieproszonego kontrolera.

Z najwyższej półki wychylił się jakiś złodziejski łeb i zagrzmiał kontrabasem:

– Waśka, co to za ananas zjawił się tutaj? Pokaż mu, gdzie raki zimują.

Tuż nad głową Korczagina ukazało się to, co widocznie było Waśką.

Tęgi drab z włochatą piersią wlepił w Korczagina oczy wołu.

– Czegoś się przyczepił do kobiety? Jaki tam znów bilet?

Z bocznej półki zwisały cztery pary nóg. Właściciele tych nóg siedzieli objąwszy się i energicznie łuskali pestki słonecznika. Widocznie jechała tu dobrana kompania cwanych paskarzy, wytrawnych włóczęgów kolejowych. Nie było czasu wdawać się z nimi w rozmowy. Trzeba było wsadzić Ritę do wagonu.

– Czyja to skrzynia? – zapytał kolejarza w podeszłym wieku, wskazując drewniane pudło pod oknem.

– A tej dziewuchy – pokazał tamten grube nogi w brązowych pończochach.

Trzeba było otworzyć okno. Skrzynia przeszkadzała. Nie było gdzie jej postawić. Paweł wziął skrzynię w ręce i podał właścicielce siedzącej na górnej półce.

– Potrzymajcie chwileczkę, obywatelko, otworzę okno.

– Ty czego ruszasz cudze rzeczy? – zatrajkotała płaskonosa dziewucha, gdy postawił jej skrzynię na kolanach.

– Mot'ka, co to za obywatel tak się rozbija? – zwróciła się

o pomoc do swego sąsiada. Ów, nie schodząc z półki, pchnął Pawła w plecy nogą obutą w trep.

– Hej ty kapcanie! Zjeżdżaj stąd, póki cię nie ostemplowałem.

Paweł zniósł w milczeniu kopniaka w plecy. Zagryzł wargi i otwierał okno.

– Towarzyszu, posuńcie się troszkę – poprosił kolejarza.

Robiąc miejsce odsunął czyjąś bańkę i stanął przy samym oknie. Rita, stojąca przy wagonie, szybko podała mu plecak. Rzuciwszy plecak na kolana baby z bańką, Paweł nachylił się, złapał Ritę za ręce i pociągnął ku sobie. Zanim czerwonoarmista oddziału porządkowego zdążył zauważyć pogwałcenie przepisów i przeszkodzić mu, Rita była już w wagonie. Nieruchawemu żołnierzowi nie pozostawało nic innego jak zakląć i odejść od okna. Cała paskarska ferajna przyjęła zjawienie się Rity w wagonie takim wrzaskiem, że dziewczyna zmieszała się i zaniepokoiła. Nie miała gdzie stąpnąć, stanęła więc na brzeżku dolnej półki trzymając się górnej. Ze wszystkich stron posypały się wymyślania. Kontrabas zacharczał z góry.

– To drań, sam wlazł i jeszcze dziewkę za sobą taszczy!

A ktoś niewidoczny zapiszczał z góry.

– Mot'ka, zamaluj go tak, żeby mu w oczach świeczki stanęły!

Dziewucha usiłowała postawić drewnianą skrzynkę na głowie Korczagina. Dokoła były obce, plugawe twarze. Paweł żałował, że Rita jest tutaj, ale trzeba było jakoś się ulokować.

– Obywatelu, zabierz swoje worki z przejścia, tutaj stanie towarzyszka – zwrócił się do tego, którego nazywano Mot'ką, ale otrzymał tak cyniczną odpowiedź, że wszystko się w nim zatrzęsło. Nad prawą brwią poczuł częste i bolesne ukłucia.

– Poczekaj, łajdaku, jeszcze mi za to odpowiesz – ledwie się hamując rzekł do chuligana, ale w tejże chwili dostał z góry kopniaka w głowę.

– Waśka, daj mu jeszcze! – podbechtywano draba ze wszystkich stron.

Wszystko, co Paweł długo w sobie hamował, wyrwało się na zewnątrz i jak zwykle w takich chwilach ruchy jego stały się gwałtowne i twarde.

– Cóż to, gady paskarskie, stawiać się chcecie? – Unosząc się na rękach jak na sprężynach, Paweł dostał się na drugą półkę i wyrżnął pięścią w bezczelny pysk Moťki z taką siłą, że paskarz zleciał w przejście na czyjeś głowy.

– Złaźcie z półki, ścierwa, bo was powystrzelam jak psy! – krzyczał z wściekłością Korczagin, wymachując naganem pod nosem czwórki.

Sprawa przybierała całkiem inny obrót. Rita bacznie obserwowała wszystko, gotowa strzelać do każdego, kto tknie Korczagina. Górna półka szybko została opróżniona. „Złodziejski łeb" pospiesznie ewakuował się do sąsiedniego przedziału.

Posadziwszy Ritę na wolnej półce, Paweł szepnął jej:

– Siedź tutaj, a ja się z nimi rozprawię.

Rita zatrzymała go.

– Jeszcze się będziesz bił?

– Nie, zaraz wrócę – uspokoił ją.

Okno znów było otwarte i Paweł wyszedł przez nie na peron. Po kilku minutach był już w wydziale transportowym Czeka, przy biurku Burmajstra, dawnego swego zwierzchnika. Łotysz, wysłuchawszy go, zarządził wyładowanie całego wagonu i sprawdzenie dokumentów wszystkich pasażerów.

– Mówiłem przecie, że pociągi podstawiają już obsadzone przez paskarzy – mruczał Burmajster.

Oddział złożony z dziesięciu czekistów wypatroszył wagon. Paweł z dawnego przyzwyczajenia pomagał przy sprawdzaniu całego pociągu. Po opuszczeniu służby w Czeka nie zerwał stosunków ze swoimi przyjaciółmi, a gdy był sekretarzem młodzieżowego kolektywu, posłał do pracy w wydziale transportowym Czeka wielu najlepszych komsomolców. Po skoń-

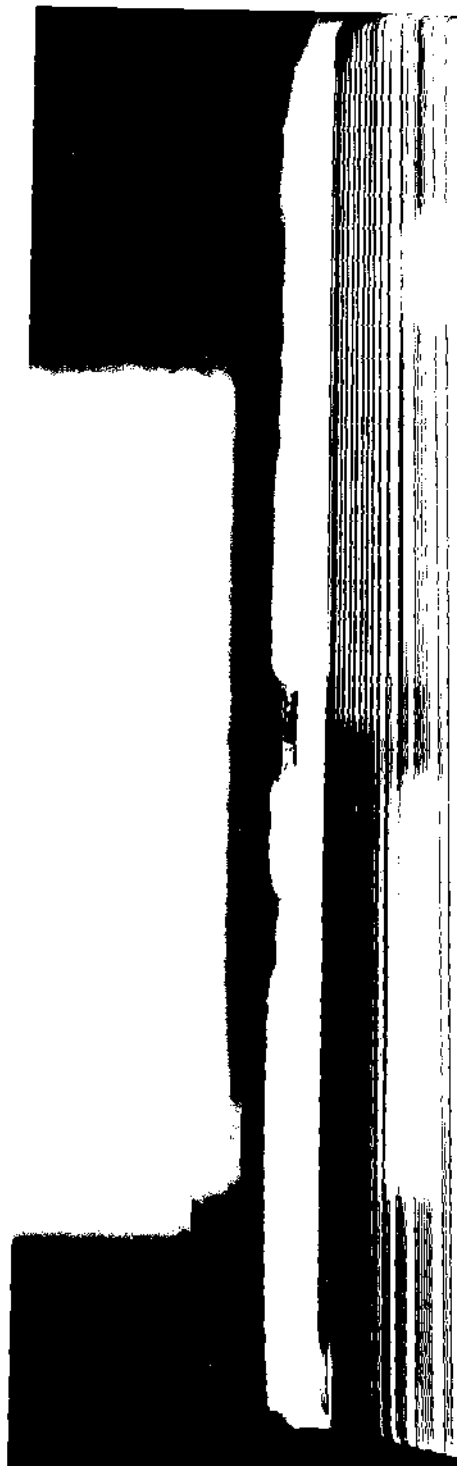

czonej kontroli wrócił do Rity. Wagon zapełnili jadący służbowo pasażerowie i czerwonoarmiści.

Na trzeciej górnej półce w kącie pozostało tylko miejsce dla Rity. Reszta półki zawalona była pakami gazet.

– To nic, jakoś się zmieścimy – rzekła Rita.

Pociąg ruszył.

Za oknem przepłynęła baba siedząca na kupie worków.

– Mańka, gdzie moja blaszanka?! – doleciał jej krzyk.

Siedząc na bardzo wąskiej przestrzeni, odgrodzeni pakami od sąsiadów, Paweł i Rita z apetytem zajadali chleb i jabłka, wesoło wspominając niedawny, niezbyt przyjemny epizod.

Pociąg posuwał się wolno. Przeładowane, rozklekotane wagony, skrzypiąc i trzeszcząc nie nasmarowanymi podwoziami, podskakiwały na stykach szyn. Wieczór zajrzał do wagonu ciemnym szafirem, potem noc czernią przesłoniła otwarte okna. W wagonie zapanował mrok.

Zmęczona Rita zdrzemnęła się położywszy głowę na plecaku. Paweł siedział na brzegu półki ze zwieszonymi nogami i palił. Był również zmęczony, ale nie było gdzie się położyć. Z okna wiało rześkim powietrzem nocy. Rita ocknęła się od wstrząsu wagonu. Zauważyła ognik papierosa Pawła. „Gotów tak przesiedzieć do rana. Najwidoczniej nie chce mnie krępować" – pomyślała Rita.

– Towarzyszu Korczagin! Odrzućcie burżuazyjne konwenanse i kładźcie się spać – rzekła żartobliwym tonem.

Paweł położył się obok niej i z rozkoszą wyprostował zdrętwiałe nogi.

– Jutro mamy huk roboty. Śpij, zabijako. – Jej ręka z ufnością objęła przyjaciela i poczuł dotyk jej włosów przy samym policzku.

Dla niego Rita była nietykalna. To był jego przyjaciel i towarzysz w dążeniu do celu, jego kierownik polityczny, a jednak była kobietą. Poczuł to po raz pierwszy przy wiadukcie i dlatego tak wzrusza go jej uścisk. Paweł czuł głęboki, równy oddech dziewczyny, gdzieś zupełnie blisko jej usta. Ta

bliskość rodziła niepohamowane pragnienie znalezienia jej warg, wysiłkiem woli zdławił jednak to pragnienie.

Rita, jak gdyby odgadując jego uczucia, uśmiechnęła się w ciemnościach. Przeżyła już i radość namiętności, i cierpienia utraty. Oddała swoją miłość dwóm bolszewikom. I obu zabrały jej kule białogwardzistów. Jeden to był mężny olbrzym, dowódca brygady, drugi – młodzieniec o jasnych oczach.

Wkrótce monotonny stuk kół ukołysał Pawła. Dopiero rano zbudził go ryk lokomotywy...

Rita zaczęła późno wracać do swego pokoju. W rzadko otwieranym zeszycie pojawiło się jeszcze kilka krótkich notatek:

11 sierpnia

Zakończyliśmy konferencję gubernialną. Akim, Michajło i inni wyjechali do Charkowa na wszechukraińską. Cała robota w technice spadła na mnie, Dubawa i Paweł otrzymali mandaty do komitetu gubernialnego. Odkąd Dmitrija posłano jako sekretarza do Peczorskiego Komitetu Rejonowego Komsomołu, nie przychodzi więcej wieczorami na szkolenie. Jest zawalony robotą. Paweł usiłuje jeszcze się uczyć, ale jest tak, że albo ja nie mam czasu, albo jego gdzieś wysyłają. W związku z zaostrzeniem się sytuacji na kolei trwa u nich wciąż mobilizacja. Wczoraj był u mnie Żarki, jest niezadowolony, że zabraliśmy mu chłopców, mówi, że jemu samemu są strasznie potrzebni.

23 sierpnia

Idę dzisiaj przez korytarz, patrzę – przy drzwiach zarządu stoją: Pankratow, Korczagin i jeszcze jakiś nieznajomy. Słyszę, jak Paweł opowiada:

„Tam siedzą takie typy, że nie szkoda byłoby dla nich kuli. 'Wy – powiada – nie macie prawa wtrącać się do naszych

rozporządzeń. Tutaj gospodarzem jest komitet kolejowo-leśny, a nie jakiś tam Komsomoł'. A pysk ma, powiadam wam, braciszkowie... Oto gdzie zagnieździły się pasożyty!..."

I usłyszałam plugawe przekleństwa. Pankratow zauważył mnie i szturchnął Pawła. Ten obrócił się i ujrzawszy mnie, zbladł. Nie patrząc mi w oczy, zaraz odszedł. Teraz długo nie zobaczę go u siebie. Wie przecie, że ordynarnych słów nie wybaczam nikomu.

27 sierpnia

Odbyło się poufne posiedzenie zarządu. Sytuacja się komplikuje. Na razie nie mogę wszystkiego zapisać – nie wolno. Wczoraj pod Tietierewem znowu wykolejono pociąg z żywnością. Zdaje się, że przestanę zapisywać, są to tylko jakieś urywki. Czekam na Korczagina. Widziałam go – organizuje razem z Żarkim pięcioosobową komunę.

Podczas dziennej pracy w warsztatach wezwano Pawła do telefonu. Rita oznajmiła mu, że ma wolny wieczór, i przypomniała o nie dokończonym przestudiowaniu tematu: przyczyny upadku Komuny Paryskiej.

Wieczorem podchodząc do bramy domu przy ulicy Okrężno-Uniwersyteckiej Paweł spojrzał w górę. W oknie Rity świeciło się. Wbiegł po schodach, jak zwykle uderzył pięścią w drzwi i nie czekając na odpowiedź wszedł.

Na łóżku, na którym nikt z chłopców nie miał prawa nawet usiąść, leżał mężczyzna w mundurze wojskowym. Rewolwer, plecak i czapka z gwiazdą leżały na stole. Obok niego, objąwszy go mocno, siedziała Rita. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. Rita obróciła do Pawła rozradowaną twarz.

Uwalniając się z uścisku wojskowy wstał.

– Poznajcie się – rzekła Rita witając się z Pawłem – to...

– Dawid Ustinowicz – rzekł za nią z prostotą wojskowy, mocno ściskając dłoń Korczagina.

– Spadł mi jak z nieba – śmiała się Rita.

Uścisk dłoni Korczagina był zimny. W oczach błysnęła mu jakby z krzemienia wykrzesana iskra głębokiej urazy. Zdążył zauważyć na rękawie Dawida dystynkcje: cztery kwadraty.

Rita chciała coś powiedzieć – Korczagin jej przerwał:

– Wpadłem powiedzieć ci, że dzisiaj pracuję na przystaniach przy wyładunku drzewa. Żebyś nie czekała... A ty masz właśnie gościa. No to już idę, chłopcy czekają na dole.

Paweł znikł za drzwiami tak samo nagle, jak się zjawił. Zastukały na schodach szybkie kroki. Na dole głucho stuknęły drzwi. Ucichło.

– Z nim dzieje się coś niedobrego – niepewnym głosem odpowiedziała Rita na zdumione spojrzenie Dawida.

...Na dole, pod wiaduktem, głęboko westchnęła lokomotywa, wyrzuciwszy z potężnej piersi rój złotych świetlików. Dziwaczny korowód wzbił się wysoko i zgasł w kłębach dymu.

Oparty o poręcz Paweł patrzył na migocące różnokolorowe światełka latarek sygnałowych na zwrotnicach. Zmrużył oczy.

„A jednak, towarzyszu Korczagin, to rzecz niepojęta, dlaczego was tak zabolało, że Rita ma męża.

Czyż kiedykolwiek mówiła, że go nie ma? No, a jeżeli nawet mówiła, to cóż z tego? Dlaczego to was nagle tak ubodło? Przecież uważaliście, drogi towarzyszu, że prócz przyjaźni ideowej nic was nie łączy... Jakże mogliście tak przeoczyć? Co? – ironicznie wziął Korczagin na spytki samego siebie. – A jeśli to nie mąż? Dawid Ustinowicz może być i bratem, i stryjem... W takim razie, dziwaku, niepotrzebnieś się na człowieka rozjuszył. Jesteś widać taki sam, jak pierwszy lepszy chłop. Nic prostszego jak dowiedzieć się, czy to brat. Przypuśćmy, że to brat lub stryj, więc co jej o swym zachowaniu powiesz? Nie, więcej do niej nie pójdziesz!"

Myśli te przerwał ryk syreny.

„Późno już, czas do domu, dosyć tego zajmowania się głupstwami".

Na Sołomience (tak nazywała się robotnicza dzielnica ko-

lejowa) pięciu komsomolców założyło małą komunę. Byli to: Żarki, Paweł, wesoły blondyn – Czech Klawiczek, Mikołaj Okuniew – sekretarz organizacji komsomolskiej warsztatów kolejowych, Stiopa Artiuchin – pracownik kolejowej Czeka, niedawno jeszcze kotlarz średniego remontu.

Dostali pokój. Przez trzy dni po pracy malowali go, bielili, myli. Robili taki harmider wiadrami, że sąsiadom przywidział się pożar. Sporządzili wyrka, sienniki z worków napchali w parku klonowymi liśćmi i czwartego dnia pokój, ozdobiony portretem Pietrowskiego i ogromną mapą, jaśniał niepokalaną bielą.

Między dwoma oknami wisiała półeczka ze stosem książek. Dwie skrzynie obite tekturą – to krzesła, nieco większa skrzynia – szafa. Na środku pokoju stanął potężny bilard bez sukna, przydźwigany na własnych ramionach z urzędu gospodarki komunalnej. W dzień zastępował stół, w nocy był łóżkiem Klawiczka. Znieśli tutaj swoje manatki. Gospodarny Klawiczek sporządził inwentarz całego majątku komuny i chciał ten spis przybić do ściany, ale wobec jednogłośnego sprzeciwu zaniechał tego. Wszystko w pokoju stało się wspólnym dobrem. Pobory, przydziały żywnościowe i przypadkowo otrzymane przesyłki – wszystko dzielono na równe części. Osobistą własnością pozostała tylko broń. Komunardzi jednogłośnie postanowili: członek komuny, który naruszy prawo o zniesieniu własności i nadużyje zaufania towarzyszy, będzie z komuny usunięty. Okuniew i Klawiczek nalegali, żeby dodać: i wysiedlony.

Na otwarcie komuny zebrał się cały aktyw organizacji komsomolskiej. Wypożyczono z sąsiedniego domu olbrzymi samowar i do herbaty zużyto cały zapas sacharyny. Gdy samowar został wypróżniony, zebrani zaśpiewali chórem:

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy.
Nadejdzie jednak dzień zapłaty...

Chórem dyryguje Tala, robotnica z fabryki tytoniowej. Jaskrawoczerwona wstążka we włosach zjechała trochę na bok. Tala ma oczy łobuzerskie. Nikomu jeszcze nie udało się zajrzeć w nie z bliska. Tala Łagutina śmieje się zaraźliwie. Patrzy na świat poprzez pryzmat młodości z wyżyn swych osiemnastu lat. Wzlatuje w górę jej ręka i refren jak sygnał fanfary:

Dalej więc, dalej więc wznieśmy śpiew!
Nasz sztandar płynie ponad trony.
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Wolności rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew!

Rozeszli się późno, budząc milczące ulice głośnym nawoływaniem się.

Żarki wyciągnął rękę do telefonu.

– Ciszej, chłopcy, nic nie słychać! – zawołał do gwarnej komsomolskiej młodzieży, stłoczonej w pokoju pierwszego sekretarza.

Głosy obniżyły się o dwa tony.

– Słucham. A, to ty! Tak, tak, zaraz. Porządek dnia? Wciąż ten sam – dostawa drzewa z przystani. Co? Nie, nigdzie go nie wysłano. Jest tutaj. Zawołać? Dobra.

Żarki kiwnął palcem na Korczagina.

– Do ciebie towarzyszka Ustinowicz. – I oddał mu słuchawkę.

– Myślałam, że ciebie nie ma. Przypadkowo mam wolny wieczór. Przyjdź. Brat odwiedził mnie w przejeździe, nie widzieliśmy się dwa lata.

Brat!

Paweł nie słuchał jej słów. Przypomniał mu się i ów wie-

czór, i to, co postanowił wówczas w nocy na wiadukcie. Tak, trzeba pójść do niej dzisiaj i spalić za sobą mosty. Miłość przynosi ze sobą dużo niepokoju i bólu. Czyż teraz pora o niej mówić?

Głos w słuchawce:

– Cóż to, nie słyszysz mnie?

– Nie, nie, słucham. Dobrze. Tak, po zebraniu.

Odłożył słuchawkę.

Patrzył jej prosto w oczy i ściskając brzeg dębowego stołu powiedział:

– Nie będę chyba mógł nadal do ciebie przychodzić.

Powiedział i ujrzał, jak uniosły się w górę jej gęste rzęsy. Ołówek Rity zatrzymał swój bieg po papierze i znieruchomiał na otwartym zeszycie.

– Dlaczego?

– Coraz trudniej wykroić wolną chwilę. Wiesz sama, że zaczynają się u nas niełatwe dni. Szkoda, ale trzeba odłożyć.

Wsłuchał się w swoje ostatnie słowa i poczuł w nich brak stanowczości.

„Czemu kręcisz? Widocznie nie masz odwagi uderzyć pięścią w serce!"

I Paweł ciągnął uparcie dalej:

– Poza tym, dawno chciałem ci powiedzieć, że nie bardzo cię rozumiem. Kiedy uczyłem się u Segała, wszystko mi zostawało w głowie, a z tobą jakoś to nie wychodzi. Za każdym razem szedłem od ciebie do Tokariewa, żeby lepiej pojąć. Mój mózg źle trawi. Powinnaś uczyć kogoś pojętniejszego ode mnie.

Odwrócił się od jej badawczego spojrzenia. Potem kończył z uporem:

– Wychodzi więc na to, że my oboje nie powinniśmy tracić na próżno czasu.

Wstał, ostrożnie odsunął nogą krzesło i spojrzał z góry na pochyloną głowę, na pobladłą w świetle lampy twarz. Włożył czapkę.

– Cóż, żegnaj, towarzyszko Rito! Szkoda, że ci tyle dni zawracałem głowę. Należało to powiedzieć od razu, to już moja wina.

Rita podała mu machinalnie rękę i, oszołomiona jego nieoczekiwanym chłodem, tylko tyle zdołała mu powiedzieć:

– Nie winię cię, Pawle. Skoro nie potrafiłam zbliżyć się do ciebie i być zrozumiałą, zasłużyłam sobie na to, co mnie dziś spotkało.

Z trudem stąpały nogi. Cicho przymknął drzwi. Przy bramie zatrzymał się – można jeszcze wrócić, opowiedzieć... Po co? Po to, by dostać w twarz pogardliwym słowem i znowu znaleźć się tutaj, przy bramie? Nie!

Na ślepych torach rosły cmentarzyska rozbitych wagonów i wyziębłych lokomotyw. Wicher roznosił trociny po pustych składach drzewa.

A dokoła miasta, po leśnych dróżkach, po głębokich parowach, drapieżnym kłusem przekradała się banda Orlika. We dnie przesiadywała w okolicznych chutorach, w leśnych zamożnych pasiekach, a nocą wypełzała na tory kolejowe, rozrywała je szponami swych łap i po dokonaniu niszczycielskiej roboty wpełzała z powrotem do swych legowisk.

I często spadały z nasypów stalowe konie. Rozbijały się w drzazgi pudła-wagony, zaspani ludzie bywali miażdżeni na płacki i mieszało się z krwią i ziemią drogocenne ziarno.

Banda napadała na ciche miasteczka gminne. Gdacząc z przerażenia, rozbiegały się po ulicach kury. Plaskała zbłąkana kula. Trzeszczała, niczym suchy chrust pod nogami, krótka strzelanina przy białym domku rady gminnej. Bandyci harcowali po wsi na wypasionych koniach i cięli szablami schwytanych ludzi. Rąbali ze świszczącym przydechem

jak przy rąbaniu drew. Rzadko strzelali – oszczędzali nabojów.

Znikali równie szybko, jak się pojawiali. Banda wszędzie miała swoje oczy, swoje uszy. Świdrowały te oczy biały domek rady gminnej, podglądały go z domu popa i z zamożnej zagrody kułaka. I tam do leśnych zarośli ciągnęły się niewidzialne nici. Tam płynęły naboje, kawały świeżej wieprzowiny, butelki wyborowej i jeszcze coś, co komunikowano na ucho pomniejszym watażkom, a potem poprzez bardzo skomplikowaną sieć – samemu Orlikowi.

Banda liczyła zaledwie dwie, trzy setki opryszków, których jednak nie udawało się wyłapać. Rozbita na kilka oddziałów, grasowała jednocześnie w dwóch, trzech powiatach. Wymacać ją całą było niemożliwością. Bandyta w nocy – we dnie spokojny gospodarz, krzątał się po swoim obejściu, zadawał obrok koniowi i z drwiącym uśmieszkiem ssał swoją fajkę przy wrotach, odprowadzając mętnym spojrzeniem patrole konne.

Bez snu i odpoczynku uwijał się Aleksander Puzyriewski ze swym pułkiem po trzech powiatach. Niezmordowany w swym zawziętym pościgu, czasami nadeptywał bandzie na pięty.

A po miesiącu Orlik odwołał swe szajki z dwóch powiatów. Miotał się w wąskim pierścieniu.

Życie w mieście wlokło się zwykłym trybem. Na pięciu rynkach roiło się hałaśliwe mrowie ludzkie. Panowały tu niepodzielnie dwa dążenia: jedno – zedrzeć jak najwięcej, drugie – dać jak najmniej. Tutaj buszowała z całym rozmachem swych sił i zdolności różnego kalibru łobuzeria. Niczym pchły snuły się setki ruchliwych typków o oczach, w których odbijało się wszystko prócz sumienia. Tutaj jak w śmietnisku zbierały się wszystkie miejskie męty, w jednym dążeniu „nabrania" szarego nowicjusza. Rzadko chodzące pociągi wyrzu-

cały ze swych trzewi gromady objuczonych workami ludzi. Cały ten tłum ciągnął na rynki.

Wieczorem rynki pustoszały i zaułki handlowe, czarne szeregi kramów i sklepów wydawały się jakimś dzikim odludziem.

Nie każdy śmiałek zaryzykuje zapuszczenie się nocą do tej martwej dzielnicy, gdzie za każdą budką czyha niema groźba. I nierzadko nocą uderzy, jak młotkiem po blasze, strzał z rewolweru, czyjaś krtań zachłyśnie się krwią. A zanim dotrze tutaj garstka milicjantów z sąsiednich posterunków (w pojedynkę nie chodzili), nikogo prócz skurczonego trupa już nie znajdzie. Zgraja już jest nie wiadomo jak daleko od miejsca „mokrej roboty", a hałas jak wiatr zdmuchnął wszystkie nocne typy dzielnicy rynkowej. Tuż naprzeciw jest kino „Orion". Jezdnię i trotuar zalewa światło elektryczne. Tłoczą się ludzie.

A na sali trzeszczał aparat kinowy. Niefortunni kochankowie z ekranu zabijali się nawzajem; przerwy w wyświetlaniu filmu widzowie przyjmowali dzikim wyciem. Zdawało się, że w śródmieściu i na peryferiach życie płynęło swoim korytem i nawet tam, gdzie był mózg władzy rewolucyjnej – w komitecie gubernialnym – wszystko szło normalnym trybem. Ale to był tylko pozorny spokój.

W mieście dojrzewała burza.

O jej zbliżaniu się wiedziało wielu z tych, którzy wchodzili do miasta ze wszystkich krańców, niezręcznie ukrywając pod chłopską świtką karabin wojskowy. Wiedzieli i ci, co udając paskarzy przyjeżdżali na dachach wagonów i szli nie na rynek, lecz nieśli worki pod zanotowane w pamięci adresy.

Choć tamci wiedzieli, jednak dzielnice robotnicze, a nawet bolszewicy nie domyślali się, że burza nadciąga.

W całym mieście było zaledwie pięciu bolszewików, którzy wiedzieli o tych wszystkich przygotowaniach.

Resztki petlurowców, przepędzone przez Armię Czerwoną do Polski, w ścisłej współpracy z zagranicznymi misjami

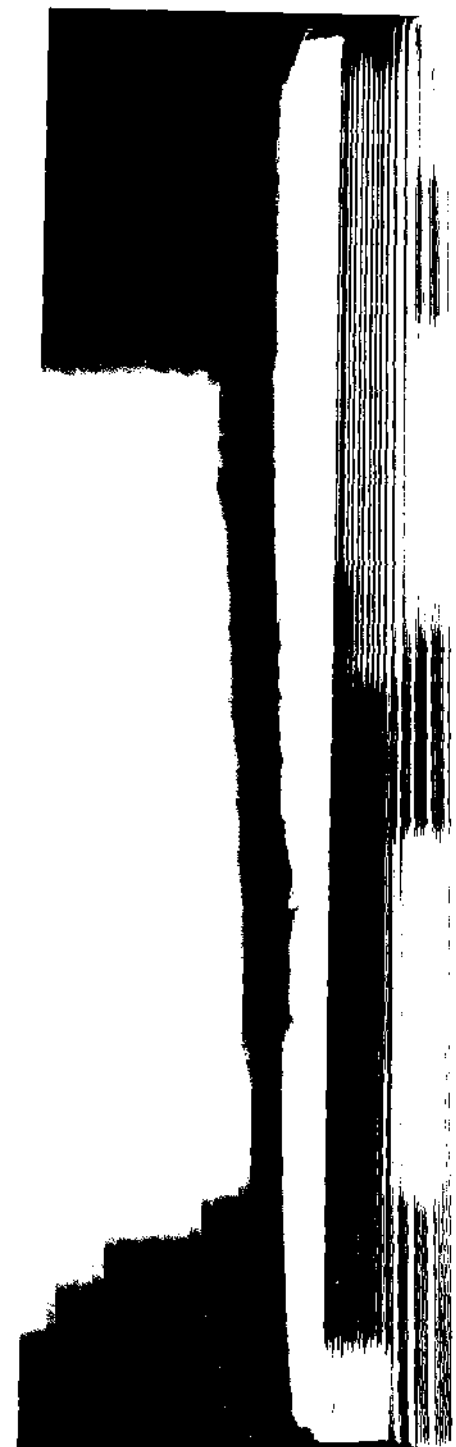

w Warszawie gotowały się do wzięcia udziału w projektowanym powstaniu.

Z resztek pułków petlurowskich formowano potajemnie grupę wypadową.

W Szepietówce komitet centralny powstańców również miał swoją organizację. W skład jej weszło czterdzieści siedem osób, z których większość stanowili byli aktywni kontrrewolucjoniści, łatwowiernie pozostawieni przez miejscową Czekę na wolności.

Kierowali tą organizacją pop Wasilij, chorąży Winnik i petlurowski oficer Kuźmenko. A córki popa, brat i ojciec Winnika oraz Samotyja, który wkręcił się jako kancelista do bolszewickiego komitetu wykonawczego, prowadzili wywiad.

Postanowiono w noc powstania obrzucić ręcznymi granatami wydział specjalny wojsk ochrony pogranicza, wypuścić aresztowanych i jeżeli to się uda, zająć dworzec kolejowy.

W wielkim mieście – centrali przyszłego powstania – w najgłębszej konspiracji odbywało się koncentrowanie sił oficerskich, a do podmiejskich lasów ściągano szajki bandytów. Stąd rozsyłano wybranych emisariuszy, zwanych „żubrami", do Rumunii i do samego Petlury.

Marynarz w okręgowym wydziale specjalnym już szóstą noc z rzędu nie zasypiał ani na chwilę. Był on jednym z tych bolszewików, którzy o wszystkim wiedzieli. Fiodor Żuchraj miał uczucie człowieka, który wyśledził drapieżcę już gotowego do skoku.

Nie można krzyknąć, wszcząć alarmu. Krwiożercza bestia musi być zabita. Dopiero wówczas będzie możliwa spokojna praca bez oglądania się na każdy krzak. Nie można zwierza spłoszyć. Tu, w tej śmiertelnej walce, zwycięstwo przynosi tylko hart bojownika i twarda ręka.

Zbliżały się terminy wystąpienia.

Gdzieś tutaj, w mieście, w labiryncie adresów zebrań konspiracyjnych postanowiono: jutro w nocy.

Ale owych pięciu bolszewików, którzy wszystko widzieli, wyprzedziło przeciwnika: nie, dziś w nocy.

Wieczorem z parowozowni cicho, bez gwizdków, wyszedł pociąg pancerny i równie cicho zawarły się za nim ogromne wrota.

Bezpośrednie kable telegraficzne pośpiesznie nadawały szyfrowane depesze i gdziekolwiek one nadchodziły, straż bezpieczeństwa republiki unieszkodliwiała gniazda os.

Akim wezwał do telefonu Żarkiego.

– Czy zebrania komórek zabezpieczone? Tak? Dobrze. Natychmiast przyjeżdżaj z sekretarzem rejonowego komitetu partii na naradę. Sprawa z drzewem przedstawia się gorzej, niż sądziliśmy. Przyjedziesz – pogadamy – usłyszał Żarki szybkie słowa Akima.

– No, wkrótce my wszyscy dostaniemy obłędu od tego drzewa – mruknął z irytacją Żarki, kładąc słuchawkę.

Obaj sekretarze wyszli z samochodu, którym przywiózł ich Litke. Gdy weszli na piętro, zaraz zrozumieli, że to nie o drzewo chodzi.

Na stole kierownika biura stał maksym, obok niego krzątali się kaemiści z oddziałów specjalnych. W korytarzach – milczący wartownicy z miejskiego aktywu partyjnego i komsomolskiego. Za szerokimi drzwiami gabinetu sekretarza komitetu guberniałnego kończyło się nadzwyczajne posiedzenie egzekutywy.

Przez lufcik były przeprowadzone z ulicy kable dwóch telefonów polowych.

Rozmawiano przytłumionym głosem. Żarki zastał w pokoju Akima, Ritę i Michajłę. Rita, jak niegdyś, gdy była kierownikiem politycznym kompanii, miała na sobie hełm czerwonoarmisty, spódnicę koloru khaki, na kurtce skórzanej rzemień z ciężkim mauzerem.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał ze zdziwieniem Żarki.

– Próbny alarm, Wania. Zaraz pojedziemy do waszego rejonu.

– Zbiórka na alarm w Piątej Szkole Piechoty. Chłopcy wyruszą tam wprost z zebrań komórek. Najważniejsza rzecz, żeby to się odbyło niepostrzeżenie – mówiła Rita Żarkiemu.

Cicho w „kadeckim" lesie.

Wysokie milczące dęby – stuletnie olbrzymy. Staw śpi pod przykryciem z łopianów i pokrzywy wodnej, szerokie zapuszczone aleje. Pośrodku za wysokim białym murem – okna Korpusu Kadetów. Obecnie mieści się tutaj Piąta Szkoła Piechoty czerwonych dowódców. Późny wieczór. Górne piętro nie jest oświetlone. Na pozór panuje tu spokój. Każdy przechodzień pomyśli, że za tym murem śpią. Lecz w takim razie czemu otwarta jest żelazna brama i co to takiego, niczym dwie olbrzymie żaby, stoi przy wrotach? Ale ludzie idący tutaj z różnych krańców dzielnicy kolejowej wiedzieli, że w szkole na pewno nie śpią, skoro zarządzono nocny alarm. Szli tutaj wprost z zebrań komórek, na skutek krótkiego zawiadomienia, szli nie rozmawiając, w pojedynkę i parami, lecz nie więcej niż we trzech naraz, i każdy z nich miał w kieszeni maleńką książeczkę z nagłówkiem „Komunistyczna Partia Bolszewików" albo „Komunistyczny Związek Młodzieży Ukrainy". Tylko za okazaniem takiej legitymacji można było wejść przez żelazną bramę.

W sali rekreacyjnej zebrało się już wiele osób. Tutaj jest widno. Okna zasłonięte brezentem namiotów. Obecni tu bolszewicy, pokpiwając sobie z tego rzekomego alarmu, spokojnie kurzyli „kozie nóżki". Nikt nie doznawał żadnego niepokoju. Tak sobie po prostu zbierają ludzi, na wszelki wypadek, żeby poczuli dyscyplinę oddziałów specjalnych. Ale doświadczeni żołnierze frontowi wchodząc na dziedziniec szkoły wyczuwali, że jest to nie bardzo podobne do alarmu próbnego. Zbyt tajemniczo wszystko się odbywało. W milczeniu stawały w szeregach plutony elewów szkoły na półszeptem wypowiedzianą komendę. Na rękach wynoszono karabiny ma-

szynowe, a na zewnątrz we wszystkich budynkach szkoły nie było ani jednego światełka.

– Czy spodziewacie się czegoś poważnego, Mitiaj? – cicho zapytał Korczagin podchodząc do Dubawy.

Mitiaj siedział na parapecie okna obok nie znanej Pawłowi dziewczyny. Korczagin widział ją przelotnie trzy dni temu u Żarkiego.

Dubawa poklepał żartobliwie Pawła po ramieniu.

– No co, masz pietra? To nic, nauczymy was wojować. Ty jej nie znasz? – wskazał ruchem głowy dziewczynę. – Ma na imię Anna, nazwiska nie znam, a ranga – kieruje bazą agitacyjną.

Dziewczyna, słuchając żartobliwej prezentacji Dubawy, przyglądała się Korczaginowi. Poprawiła wysuwający się spod liliowej przepaski pukiel włosów.

Spotkała się wzrokiem z Korczaginem – chwilę trwało nieme zmaganie się. Jej oczy, granatowoczarne, iskrzyły się wyzywająco. Rzęsy miała puszyste. Paweł skierował wzrok na Dubawę. Poczuł, że się rumieni, i nachmurzył się niezadowolony.

– Kto z was i kogo agituje? – zapytał Paweł siląc się na uśmiech.

W sali powstał hałas. Dowódca kompanii stanął na krześle i krzyknął:

– Komunardzi pierwszej kompanii, ustawić się w szeregi w tej sali! Prędzej, prędzej, towarzysze!

Do sali wchodzili Żuchraj, przewodniczący gubernialnego komitetu wykonawczego i Akim. Dopiero co przyjechali. Sala była zatłoczona ludźmi ustawionymi w szeregi.

Przewodniczący stanął na podstawie szkolnego karabinu maszynowego i podniósłszy w górę rękę powiedział:

– Towarzysze, zebraliśmy was tutaj w poważnej i odpowiedzialnej sprawie. Obecnie można powiedzieć już to, czego nie można było zdradzić jeszcze wczoraj, gdyż była to tajemnica wojskowa. Jutro w nocy w naszym mieście, zarówno jak

i w innych miastach Ukrainy, ma wybuchnąć kontrrewolucyjne powstanie. Miasto pełne jest oficerskiej hołoty. Dokoła miasta koncentrują się szajki bandytów. Część spiskowców dostała się do dywizjonu pancernego: pracują tam jako szoferzy. Ale Komisja Nadzwyczajna wykryła spisek i obecnie powołujemy pod broń całą organizację partyjną i Komsomoł. Wspólnie z wypróbowanymi kompaniami elewów tej szkoły i oddziałów Czeka działać będą pierwszy i drugi batalion komunistyczny. Elewowie już wyruszyli, teraz na nas kolej, towarzysze. Daję wam piętnaście minut dla otrzymania broni i ustawienia się w ordynku. Operacją kierować będzie towarzysz Żuchraj. Od niego otrzymają dowódcy dokładne wskazówki. Uważam za zbyteczne zwracać uwagę batalionowi komunistycznemu na powagę obecnej chwili. Bunt przygotowany na dzień jutrzejszy musimy dzisiaj sparaliżować w zarodku.

W kwadrans potem uzbrojony batalion uformował się na dziedzińcu szkoły.

Żuchraj potoczył wzrokiem po nieruchomych szeregach batalionu.

O trzy kroki przed frontem stoją przepasani rzemieniami wyższych szarż: dowódca batalionu Mieniajło – olbrzym, hutnik z Uralu, obok – komisarz Akim. Na lewo – plutony pierwszej kompanii. Przed nimi o dwa kroki – też dwóch: dowódca kompanii i politruk. Za ich plecami – milczące szeregi batalionu komunistycznego. Trzysta bagnetów.

Fiodor dał znak.

– Czas wyruszyć.

Szło ich trzystu po wyludnionych ulicach.

Miasto spało.

Na ulicy Lwowskiej, naprzeciwko Dzikiej, batalion urwał krok. Tutaj zaczynały się jego działania.

Po cichu otoczono dzielnicę. Sztab ulokował się na schodkach jakiegoś sklepu.

Z góry, przez Lwowską, ze śródmieścia, oświeciwszy sobie jezdnię reflektorem, nadjechał samochód. Stanął przy sztabie.

Litke tym razem przywiózł swojego ojca. Komendant wyskoczył na bruk i rzucił synowi kilka urywanych zdań po łotewsku. Maszyna gwałtownie ruszyła i w mig znikła na zakręcie ulicy Dmitriewskiej. Hugo Litke zamienił się cały we wzrok. Ręce jego zlały się z kierownicą – w prawo, w lewo.

Aha, oto gdzie przydała się jego szalona jazda! Nikomu nie przyjdzie do głowy wlepić mu dwie noce aresztu za wariackie wiraże.

Hugo pędził ulicami jak meteor.

Żuchraj, którego młody Litke przerzucił w mgnieniu oka z jednego krańca miasta na drugi, musiał wyrazić mu swoje uznanie.

– Jeżeli ty, Hugo, przy takiej jeździe nikogo dzisiaj nie ukatrupisz, dostaniesz jutro złoty zegarek.

Hugo tryumfował.

– A ja myślał – dziesięć dni aresztu dostał za wiraż...

Pierwsze uderzenia były skierowane na kwaterę sztabu spiskowców. Do wydziału specjalnego dostarczono pierwszych aresztowanych i zabrane dokumenty.

Na ulicy Dzikiej, w zaułku o równie dziwnej nazwie, w domu pod numerem jedenastym, mieszkał niejaki Zürbert. Według danych Czeka grał on niemałą rolę w spisku białych. Przechowywał u siebie wykazy drużyn oficerskich, które miały operować w rejonie Podołu.

Żeby aresztować Zürberta, Litke sam przyjechał na Dziką. W mieszkaniu z oknami wychodzącymi na ogród, oddzielony murem od byłego klasztoru żeńskiego, nie znaleziono Zürberta. Według słów sąsiadów, tego dnia nie wrócił do domu. Zrobiono rewizję, wraz ze skrzynką granatów ręcznych znaleziono spisy i adresy. Rozkazawszy urządzić zasadzkę, Litke zatrzymał się na chwilę przy stole, przeglądając znalezione materiały.

Na warcie w ogrodzie stał młody elew szkoły wojskowej. Widzi oświetlone okno. Nieprzyjemnie stać tak samemu w zapadłym kącie. Strach oblatuje. Kazano mu obserwować mur. Ale stąd daleko do uspokajającego światła w oknie. A tu jeszcze ten cholerny księżyc tak rzadko się wynurza. W mroku krzaki wydają się żywe. Wartownik maca bagnetem dokoła – pustka.

„Po co mnie tutaj postawili? Przecie nikt się na ten mur nie wdrapie – za wysoki. Może by podejść do okna, zajrzeć?" – pomyślał. Jeszcze raz popatrzył na szczyt muru i wyszedł z ziejącego pleśnią zakątka. Zatrzymał się na chwilę przy oknie. Litke szybko zbierał papiery i gotował się do wyjścia z pokoju. W owej chwili na szczycie muru pojawił się cień. Ze szczytu widzi wartownika przy oknie i tego drugiego w pokoju. Z kocią zręcznością cień zsunął się na drzewo, a potem na ziemię. Jak kot podkradł się do ofiary, zamierzył i – runął wychowanek szkoły wojskowej. Po rękojeść wbito mu w szyję ostrze marynarskiego sztyletu.

Wystrzał w ogrodzie zelektryzował ludzi osaczających ten odcinek dzielnicy.

Łomocąc butami biegło ku temu domowi sześciu.

W fotelu siedział martwy Litke, brocząca krwią głowa przywarła do stołu. Szyba była stłuczona. Dokumentów jednak wróg nie uratował.

Przy klasztornym murze rozległy się strzały. To zabójca, zeskoczywszy na ulicę, ostrzeliwując się zaczął uciekać na Łukjanowskie pustkowie. Nie uciekł: dopędziła go czyjaś kula.

Przez całą noc odbywały się masowe rewizje. Setki nie zameldowanych osób z podejrzanymi dokumentami i z bronią wysłano do Czeka. Tam pracowała komisja selekcyjna – segregowano ich.

W niektórych miejscach spiskowcy stawiali zbrojny opór. Na ulicy Żylańskiej podczas rewizji w pewnym domu został zabity Antosza Lebiediew.

Batalion sołomieński stracił tej nocy pięciu ludzi, a w Czeka zabrakło Jana Litkego, starego bolszewika, wiernego strażnika republiki.

Niebezpieczeństwo powstania zażegnano.

Tej samej nocy w Szepietówce ujęto popa Wasilija z córkami i resztą kompanii.

Niepokój minął.

Ale nowy wróg groził miastu – sparaliżowanie ruchu na kolejach, a skutek – głód i chłód.

Zboże i drzewo decydowały o wszystkim.

XI

Iodor w zadumie wyjął z ust krótką fajeczkę i ostrożnie pomacał palcami kupkę popiołu. Fajka zgasła.

Siwy dym z papierosów kłębił się pod sufitem, na fotelem przewodniczącego gubernialnego komitetu wykonawczego. Twarze osób siedzących za stołem i w kątach gabinetu widać było jak przez lekką mgłę.

Obok przewodniczącego siedział oparty piersią o stół Tokariew. Starzec skubał z irytacją bródkę, z rzadka spoglądał zezem na niskiego łysego człowieka, który swym wysokim tenorem nie przestawał wałkować długich, pustych jak wypite jajko frazesów.

Akim pochwycił skośne spojrzenie ślusarza i przypomniało mu się *dzieciństwo: był u nich w domu* kogut-zawadiaka nazwany „Wybij oko". Akurat tak samo spoglądał przed rzuceniem się na przeciwnika.

Już drugą godzinę ciągnęło się posiedzenie gubernialnego komitetu partii. Łysy człowiek był przewodniczącym komitetu kolejowo-leśnego.

Przebierając zwinnymi palcami stos papierów łysy ględził:

– ...I te oto obiektywne przyczyny nie dają możności wypełnić decyzji komitetu gubernialnego i zarządu kolei. Powtarzam, że i za miesiąc nie będziemy mogli dać więcej niż czterysta metrów sześciennych drzewa. No a *co do* zaplanowanych stu osiemdziesięciu tysięcy metrów... jest to... – łysy szukał słowa – utopia! – powiedział i zamknął małe usta grymasem obrazy.

Milczenie wydawało się długie.

Fiodor uderzał paznokciem w fajkę wytrząsając popiół. Tokariew przerwał milczenie tubalnym basem.

– Szkoda gadać. W komitecie kolejowo-leśnym drzewa opałowego nie było, nie ma i w przyszłości go się nie oczekuje... Czy nie tak?

Łysy wzruszył ramieniem.

– Przepraszam, towarzyszu, drzewo przygotowaliśmy, ale brak transportu kołowego... – Człowieczek zakrztusił się, wytarł kraciastą chustką lśniącą, jakby polerowaną, łysinę i długo nie mogąc trafić ręką do kieszeni, nerwowo wsunął chustkę pod teczkę.

– Cóżeście zrobili w sprawie dostawy opału? Przecie od chwili aresztowania kierujących tą pracą specjalistów zamieszanych w spisek upłynęło sporo dni – rzekł z kąta Denekko.

Łysy zwrócił się w jego stronę.

– Trzykrotnie zawiadamiałem zarząd kolei o niemożności bez transportu...

Tokariew przerwał mu.

– Jużeśmy to słyszeli – burknął zjadliwie ślusarz, przeszywając łysego wrogim spojrzeniem. – Za durniów nas macie czy co?

Od tego pytania mrowie przeszło po plecach łysego.

– Ja za czyny kontrrewolucjonistów nie odpowiadam – odezwał się już cicho.

– Ale wyście wiedzieli, że robota jest prowadzona daleko od kolei? – spytał Akim.

– Słyszałem, ale nie mogłem zwracać uwagi kierownictwu na błędy popełnione na cudzym odcinku.

– Ilu macie urzędników? – zadał łysemu pytanie przewodniczący rady związków zawodowych.

– Około dwustu.

– Po metrze sześciennym na darmozjada rocznie – z wściekłością splunął Tokariew.

– Całemu komitetowi kolejowo-leśnemu dajemy przydział

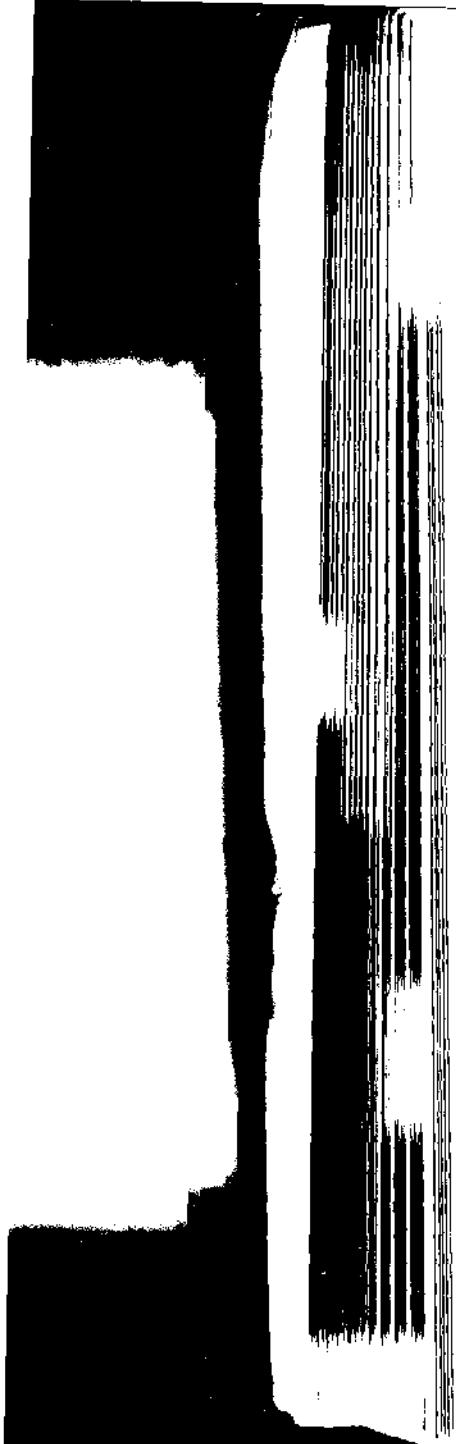

pierwszej kategorii, odejmujemy od ust robotnikom, a wy czym się zajmujecie? Gdzieście podzieli dwa wagony mąki przydzielone wam dla robotników? – pytał dalej przewodniczący rady związków zawodowych.

Łysego zasypano ze wszystkich stron ostrymi pytaniami, a on zbywał je takimi odpowiedziami, jakie się daje natrętnym wierzycielom, żądającym wykupienia weksli.

Jak węgorz wykręcał się od bezpośrednich odpowiedzi, ale oczy latały mu na wszystkie strony. Czuł zbliżające się niebezpieczeństwo. Z tchórzliwą nerwowością pragnął tylko jednego: jak najprędzej iść stąd tam, gdzie czeka go z dobrą kolacją niestara jeszcze żona, skracając sobie wieczór powieścią Paula de Kocka.

Nie przestając wsłuchiwać się w odpowiedzi łysego, Fiodor zapisywał w notesie: „Sądzę, że tego człowieka trzeba zbadać dokładniej: nie jest to zwykła nieudolność w pracy. Mam już o nim pewne dane... Skończmy rozmowy z nim, niech się wynosi i wówczas dopiero przystąpimy do rzeczy".

Przewodniczący gubernialnego komitetu wykonawczego przeczytał doręczoną mu kartkę i kiwnął głową Fiodorowi.

Żuchraj wstał i wyszedł do przedpokoju zatelefonować. Gdy wrócił, przewodniczący czytał koniec rezolucji:

– „...usunąć kierownictwo komitetu kolejowo-leśnego za jawny sabotaż. Sprawę o wyrąb przekazać organom śledczym".

Łysy oczekiwał czegoś gorszego. Wprawdzie zwolnienie z pracy za sabotaż podaje w wątpliwość jego prawomyślność, ale to głupstwo, a co do sprawy z Bojarką – o to jest spokojny, to nie na jego odcinku. „Tfu, do diabła, wydało mi się, że coś tam zwęszyli..."

Zgarniając dokumenty do teczki, już prawie uspokojony, powiedział:

– Cóż, jestem bezpartyjnym specjalistą i macie prawo mi nie ufać. Lecz sumienie mam czyste. Jeżeli czegoś nie wykonałem, to znaczy, że nie mogłem.

Nikt mu nie odpowiedział. Łysy wyszedł, pospiesznie zszedł po schodach i z ulgą otworzył drzwi na ulicę.

– Wasze nazwisko, obywatelu? – spytał go człowiek w płaszczu wojskowym.

Z zamierającym sercem łysy wyjąkał:

– Czer... wiński...

Po wyjściu obcego człowieka w gabinecie przewodniczącego gubernialnego komitetu wykonawczego trzynastu członków narady skupiło się nad dużym stołem.

– Otóż widzicie... – Żuchraj nacisnął palcem rozłożoną mapę. – Tu jest stacja Bojarka, o siedem wiorst od niej – poręba, gdzie złożono w sągach dwieście dziesięć tysięcy metrów sześciennych drzewa. Osiem miesięcy pracowała nad tym armia robotników, włożono w to moc trudu, a w rezultacie – zdrada: kolej i miasto bez opału. Drzewo trzeba dowozić sześć wiorst do stacji. Do tego należy mieć nie mniej jak pięć tysięcy furmanek w ciągu całego miesiąca, i to pod tym warunkiem, że każda będzie robić dwa kursy dziennie. Najbliższa wieś leży o piętnaście wiorst. Na domiar złego grasuje w tych stronach banda Orlika... Rozumiecie, co to znaczy?... Spójrzcie, według planu wyrąb miał się zacząć tu oto i posuwać się w kierunku stacji, a te łotry skierowały go w głąb lasu. Wyrachowanie pewne: nie zdołamy podwieźć przygotowanego drzewa do kolei. I rzeczywiście, nawet stu furmanek nie zdobędziemy. Oto, z której strony w nas uderzyli!... To jest rzecz nie mniejszej wagi niż komitet powstańczy.

Zaciśnięta pięść Żuchraja ciężko legła na woskowany papier.

Każdy z trzynastu obradujących jasno sobie przedstawiał całą grozę tego, co się zbliża, a czego Żuchraj nie powiedział. Zima za pasem. Szpitale, szkoły, urzędy i setki tysięcy ludzi we władzy siarczystego mrozu, a na dworcach – mrowisko ludzkie i pociąg raz na tydzień.

Każdy zamyślił się głęboko.

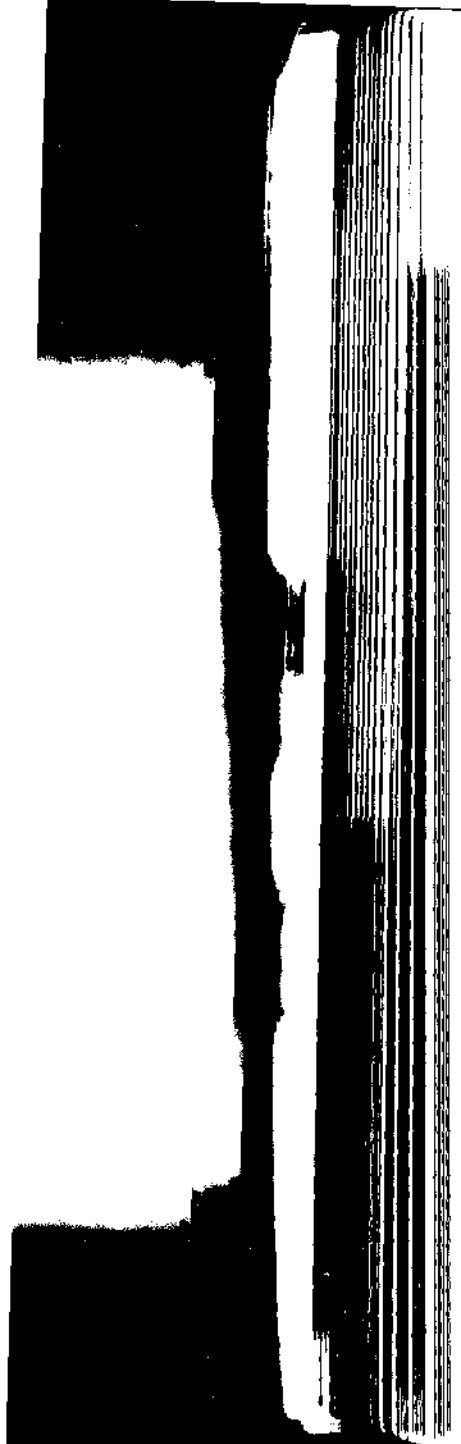

Fiodor rozwarł pięść.

– Jest tylko jedno wyjście, towarzysze: zbudować w ciągu trzech miesięcy kolejkę wąskotorową od stacji do miejsca eksploatacji lasu – siedem wiorst – z takim wyliczeniem, żeby już za półtora miesiąca była doprowadzona do początku wyrębu. Zajmuję się tą sprawą już od tygodnia. Do tego potrzeba nam – głos Żuchraja chrypiał w zaschniętym gardle – trzystu pięćdziesięciu robotników i dwóch inżynierów. Szyny i siedem lokomotyw są w Puszczy-Wodicy. Odnalazła je tam brać komsomolska. Przed wojną chciano stamtąd przeprowadzić wąskotorówkę do miasta. Ale w Bojarce robotnicy nie mają gdzie mieszkać. Jest szkoła leśna, ale w kompletnej ruinie. Robotników trzeba będzie posyłać partiami na dwa tygodnie, dłużej nie wytrzymają. Rzucimy tam komsomolców, Akim?

I nie czekając na odpowiedź mówił dalej:

– Komsomoł pchnie tam wszystko, co będzie mógł: przede wszystkim organizację sołomieńską i część z miasta. Zadanie bardzo trudne, ale jeżeli się młodym wytłumaczy, że to ocali miasto i kolej, wykonają je.

Naczelnik kolei z niedowierzaniem pokiwał głową.

– Wątpliwe, czy co z tego wyjdzie. Ułożyć siedem wiorst szyn na gołym miejscu w obecnych warunkach: jesień, deszcze, potem mrozy – powiedział znużonym głosem.

Żuchraj nie odwracając ku niemu głowy odpalił:

– Trzeba ci było, Andreju Wasiljewiczu, lepiej doglądać wyrębu. Kolejkę podjazdową wybudujemy. Nie będziemy przecie siedzieć z założonymi rękami i marznąć.

Załadowano ostatnie skrzynie z narzędziami. Obsługa pociągu rozeszła się na swoje miejsca. Mżył kapuśniaczek. Po błyszczącej od wilgoci kurtce Rity staczały się jak szklane kuleczki krople deszczu.

Żegnając się z Tokariewem Rita mocno uścisnęła mu rękę i powiedziała cicho:

– Życzymy wam powodzenia.

Starzec spojrzał na nią serdecznie spod siwych krzaczastych brwi.

– No to nas urządzili, niech licho porwie! – mruknął, głośno odpowiadając na swoje myśli. – Wy tutaj uważajcie. Jeżeli u nas jakiś zator się zrobi, naciśnijcie, gdzie trzeba. Przecie bez marudzenia to draństwo nie umie pracować. No, czas wsiadać, córuchno.

Starzec szczelnie zapiął marynarkę. W ostatniej chwili Rita jakby od niechcenia zapytała:

– Korczagin nie jedzie z wami? Nie widać go wśród chłopców.

– Pojechał wczoraj drezyną z kierownikiem technicznym, by coś przygotować przed naszym przyjazdem.

Po peronie szli ku nim pośpiesznie Żarki, Dubawa, a z nimi, w niedbale narzuconym żakiecie, ze zgasłym papierosem w cienkich palcach, Anna Borhart.

Wpatrując się w nadchodzących Rita zadała staruszkowi ostatnie pytanie:

– Jak wam idzie nauka z Korczaginem?

Tokariew spojrzał na nią zdziwiony.

– Jaka nauka, przecie chłopak jest pod twoją opieką? Nieraz mówi mi o tobie. Nie mógł się dość nachwalić.

Rita słuchała jego słów z niedowierzaniem.

– Czyżby tak, towarzyszu Tokariew? Przecie chodził ode mnie do ciebie douczać się.

Stary roześmiał się.

– Do mnie? Na oczy go u siebie nie widziałem.

Lokomotywa zaryczała. Kławiczek krzyczał z wagonu:

– Towarzyszko Ustinowicz, puść do nas ojczulka, tak przecie nie można! Co my bez niego będziemy robić?

Czech chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zauważywszy zbliżającą się trójkę zamilkł. Przelotnie spotkał się z niespokoj-

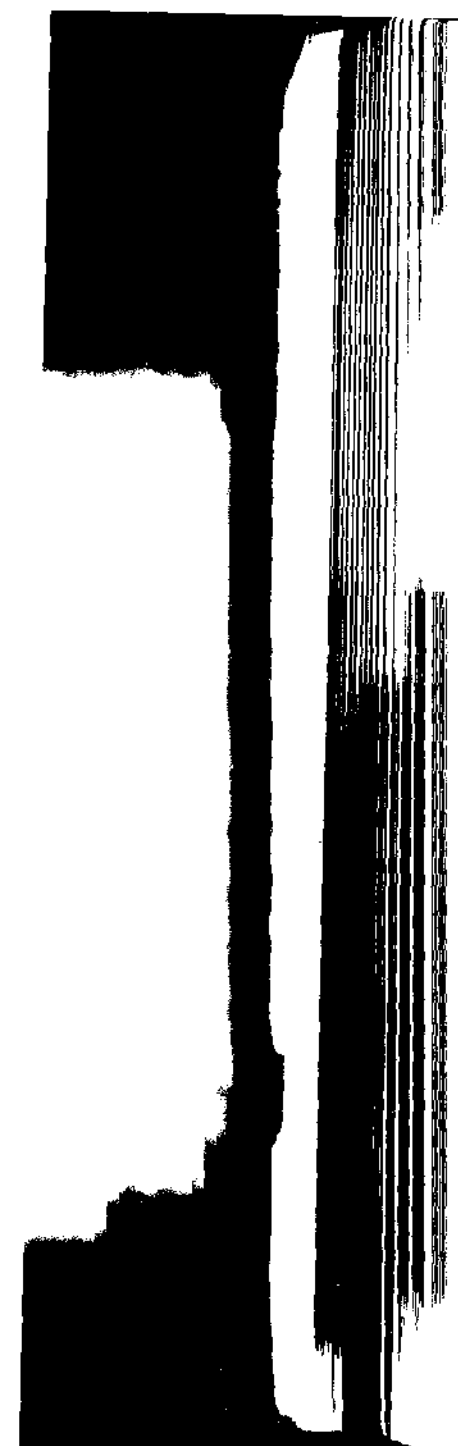

nym blaskiem oczu Anny, ze smutkiem pochwycił jej pożegnalny uśmiech przeznaczony dla Dubawy i gwałtownie odszedł od okna.

Chlustał w twarz jesienny deszcz. Nisko nad ziemią pełzły ciemnoszare, nabrzmiałe wilgocią chmury. Późna jesień ogołociła leśne ostępy, zasępione stały sędziwe graby, chowając zmarszczki kory pod burym mchem. Bezlitosna jesień zdarła z nich wspaniałe szaty, stały teraz nagie i wynędzniałe.

Samotnie przycupnęła wśród lasu stacyjka. Od murowanej rampy towarowej ciągnął się w głąb lasu pas rozkopanej ziemi. Ludzie oblepili go niczym mrówki.

Pod butami wstrętnie cmokała lepka glina. Ludzie krzątali się zawzięcie przy nasypie. Głucho szczękały łomy, łopaty zgrzytały o kamień.

A deszcz siał jakby przez gęste sito i zimne krople przenikały poprzez odzież. Deszcz zmywał pracę ludzką. Gruzłami zsuwała się glina z nasypu.

Ciężka i zimna jest przemoczona do nitki odzież, ale ludzie schodzili z roboty dopiero wieczorem.

I z każdym dniem pas skopanej i spulchnionej ziemi coraz głębiej i głębiej wrzynał się w las.

Niedaleko stacji posępnie jak garb sterczy murowany szkielet budynku. Wszystko, co można było odkręcić, zdjąć lub zerwać, dawno już zagrabiła ręka maruderа. Zamiast okien i drzwi – otwory, zamiast drzwiczek w piecach – czarne dziury, poprzez szpary obdartego dachu widać żebra krokwi.

Nietknięta ostała się betonowa podłoga w czterech obszernych pokojach. Kładło się tam na noc czterystu ludzi w ubraniu przemoczonym do suchej nitki i oblepionym błotem. Ludzie wyżymali przy drzwiach odzież, ściekały z niej brudne strumienie. Klęli siarczyście piekielny deszcz i błoto. Zwartymi rzędami kładli się na betonową, z lekka przyprószoną słomą podłogę. Starali się ogrzać jeden drugiego. Odzież pa-

rowała, ale nie wysychała. Poprzez worki na ramach okiennych sączyła się na podłogę woda. Deszcz siekł gęstym śrutem po resztkach blachy na dachu, a w szpary drzwi dmuchał wiatr.

Rano pili herbatę w starym baraku, gdzie była kuchnia, i udawali się na nasyp. Na obiad jedli zabójczą w swej jednostajności nie okraszoną soczewicę i półtora funta czarnego jak antracyt chleba.

To było wszystko, co mogło dać miasto.

Kierownik techniczny, suchy wysoki starzec, z dwiema bruzdami na policzkach – Walerian Nikodimowicz Patoszkin, i technik Wakulenko, krępy, z mięsistym nosem na grubo ciosanej twarzy, ulokowali się w mieszkaniu naczelnika stacji.

Tokariew nocował w pokoiku czekisty stacyjnego Cholawy, krótkonogiego, ruchliwego jak rtęć.

Oddział budujący kolejkę z zaciekłym uporem znosił trudy. Nasyp z każdym dniem głębiej wchodził w las.

W oddziale naliczono już dziewięciu dezerterów. Po kilku dniach zbiegło jeszcze pięciu.

Pierwszy cios spadł na budowę w drugim tygodniu: pociąg wieczorny nie przywiózł z miasta chleba.

Dubawa zbudził Tokariewa i zawiadomił go o tym.

Sekretarz kolektywu partyjnego, spuściwszy na podłogę owłosione nogi, z pasją podrapał się pod pachą.

– Zaczyna się zabawa! – mruknął pod nosem, szybko się ubierając.

Do pokoju wtoczył się okrągły jak kula Cholawa.

– Leć do telefonu i dodzwoń się do wydziału specjalnego – rozkazał mu Tokariew. – A ty nikomu ani słowa o chlebie – uprzedził Dubawę.

Po półgodzinnym wymyślaniu wszystkim telefonistom na linii natarczywy Cholawa uzyskał wreszcie połączenie z zastępcą naczelnika wydziału specjalnego Żuchrajem. Słuchając jego wymyślań Tokariew niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Co? Chleba nie dostarczyli? Zaraz się dowiem, kto to zrobił – groźnie huczał w słuchawkę Żuchraj.

– Ty mi powiedz, czym jutro będziemy karmić ludzi?! – gniewnie krzyczał w słuchawkę Cholawa.

Żuchraj widocznie coś obmyślał. Po długiej pauzie sekretarz kolektywu partyjnego usłyszał:

– Chleb dostarczymy w nocy. Poślę samochodem Litkego, on zna drogę. Na rano chleb będziecie mieli.

Skoro świt podjechał do stacji zabłocony samochód, naładowany workami z chlebem. Z auta wylazł blady, zmęczony po bezsennej nocy młody Litke.

Walka o budowę zaostrzała się. Z zarządu kolei doniesiono: nie ma podkładów. W mieście nie znajdowano środków potrzebnych do przerzucenia na budowę szyn oraz lokomotywek i okazało się poza tym, że lokomotywki wymagają poważnego remontu. Pierwsza partia kończyła robotę, a zmiany nie było, zatrzymywanie zaś ludzi, którzy wypruli już z siebie wszystkie siły, było niemożliwe.

W starym baraku przy kopcącej lampce do późnej nocy obradował aktyw.

Rano wyjechali do miasta Tokariew, Dubawa i Kławiczek, zabrawszy jeszcze sześciu ludzi do remontu lokomotyw i dostawy szyn. Kławiczek, piekarz, wysłany był jako kontroler do wydziału zaopatrzenia, a reszta – do Puszczy-Wodicy.

A deszcz lał bez przerwy.

Korczagin z trudem wyciągnął nogę z lepkiej gliny i czując ostry chłód w stopie zrozumiał, że przegniła podeszwa buta zupełnie odpadła. Od samego przyjazdu tutaj cierpiał z powodu kiepskich butów, zawsze wilgotnych i klaskających błotem, teraz zaś jedna podeszwa całkiem odleciała i goła noga stąpała po mrożąco zimnej gliniastej bryi. Kiepskie buty nie pozwalały mu pracować z innymi. Wyciągnąwszy z błota resztkę podeszwy Paweł spojrzał na nią zrozpaczony i złamał

dane sobie słowo, że nie będzie klął. Ze szczątkiem buta poszedł do baraku. Siadł obok kuchni polowej, odwinął zabłoconą onuckę i przysunął do paleniska skostniałą z zimna nogę.

Na stole kuchennym krajała buraki Odarka, żona dróżnika, wzięta do pomocy przez kucharza. Natura hojnie obdarowała niestarą jeszcze dróżnikową: po męsku barczysta, z bohaterską piersią, z rozłożystymi potężnymi biodrami, umiejętnie operowała nożem i na stole szybko rosła góra nakrajanych jarzyn.

Odarka obrzuciła Pawła lekceważącym spojrzeniem i nieżyczliwie spytała:

– Ty co, już się do obiadu szykujesz? Troszkę za wcześnie. Od roboty widać, chłopie, się wykręcasz. Gdzież ty nogi pchasz? Tu przecie kuchnia, a nie łaźnia – brała w obroty Korczagina.

Wszedł kucharz, człowiek w podeszłym wieku.

– But rozleciał mi się w kawałki – wyjaśnił Paweł swoją obecność w kuchni.

Kucharz popatrzył na porwany but i ruchem głowy wskazał Odarkę.

– Jej mąż jest po trosze szewcem, on może was poratować, bo bez obuwia zginiecie.

Słuchając kucharza Odarka przyjrzała się Pawłowi i trochę się zawstydziła.

– A ja wzięłam was za łazika – przyznała się

Paweł się uśmiechnął. Odarka okiem znawcy obejrzała but.

– Mój chłop łatać tego nie będzie, bo to na nic się nie zda, lecz żeby nogi nie pokaleczyć, przyniosę wam stary kalosz, u nas na strychu się poniewiera. Któż to widział tak się męczyć! Nie dziś, to jutro chwyci mróz, zginiecie – już współczująco mówiła Odarka i odłożywszy nóż wyszła.

Wkrótce wróciła z głębokim kaloszem i kawałkiem płótna. Wsunąwszy do ciepłego kalosza owiniętą w płótno i ogrzaną nogę Paweł spojrzał na dróżnikową z niemą wdzięcznością.

Tokariew wrócił z miasta rozdrażniony, zwołał do pokoju Cholawy aktyw i zakomunikował mu niewesołe wiadomości.

– Wszędzie zatory. Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie koła niby to się kręcą, ale wciąż na jednym miejscu. Mało widać wyłowiliśmy białych ptaszków, nie pozbędziemy się ich do końca życia – referował stary zebranym. – Powiem wam, chłopcy, otwarcie: sprawa jest pod psem. Drugiej zmiany jeszcze nie zebrali, a ile ludzi przyślą – nie wiadomo. Mrozy za pasem. Przed mrozami, choćbyśmy mieli kopyta wyciągnąć, trzeba przejść przez mokradło, bo potem to nawet zębami ziemi nie ugryziesz. A więc, chłopcy, w mieście wszystkich, co bruździą, weźmie się za łeb, a my tutaj musimy podwoić tempo. Pięć razy zdechnij, a bocznicę trzeba zbudować. Inaczej, co z nas za bolszewicy? Sami mazgaje! – mówił Tokariew nie swym zwykłym, trochę ochrypłym basem, lecz głosem natężonym, stalowym. Błyszczące spod krzaczastych brwi jego oczy mówiły o zdecydowaniu i uporze.

– Dziś jeszcze odbędziemy zebranie zamknięte, wytłumaczymy swoim ludziom, a wszyscy jutro biorą się do roboty. Rano zwalniamy bezpartyjnych i zostajemy sami. Oto decyzja komitetu gubernialnego – podał Pankratowowi złożony we czworo arkusz.

Przez ramię tragarza Korczagin przeczytał: *Bezwzględnie zatrzymać na budowie wszystkich członków Komsomołu, zezwalając na ich zmianę nie wcześniej niż po pierwszej dostawie drzewa. Za sekretarza komitetu gubernialnego – R. Ustinowicz.*

W ciasnym baraku nie można się przecisnąć. Tłoczyło się tam stu dwudziestu ludzi. Stali pod ścianami, powchodzili na stoły, nawet na kuchnię.

Zebranie otworzył Pankratow. Tokariew mówił niedługo, ale koniec jego przemówienia smagnął wszystkich jak biczem.

– Komuniści i komsomolcy nie pojadą do miasta.

Ruchem ręki stary podkreślił, że decyzja jest nieodwołalna. Ten gest zdmuchnął wszystkie nadzieje powrotu do miasta,

do swoich bliskich, wydobycia się z tego błota. W pierwszej chwili nie można było nic zrozumieć z rozlegających się okrzyków. Od gwałtownych ruchów zamigotała niespokojnie mdła kopcąca lampka. Mrok zasnuwał twarze. Zgiełk wzrastał. Jedni mówili marzycielsko o „zaciszu domowym", inni oburzali się, krzyczeli o swym zmęczeniu. Wielu milczało. I tylko jeden zgłosił dezercję. Jego rozdrażniony głos rzucał z kąta słowa pełne przekleństw.

– Do ciężkiej cholery! Ja tu jednego dnia więcej nie zostanę! Ludzi skazuje się na katorgę za przestępstwo. A nas za co? Trzymano nas dwa tygodnie – wystarczy. Nie ma już głupich. Niech ten, co postanowił, sam przyjedzie i buduje, kto chce, niech się babrze w tym błocie, a ja mam jedno życie. Jutro wyjeżdżam.

Okuniew, za którego plecami stał krzykacz, zapalił zapałkę, chcąc zobaczyć dezertera. Zapałka na mgnienie oka wyrwała z mroku wykrzywioną grymasem wściekłości twarz i otwarte usta. Okuniew poznał go: syn buchaltera z gubernialnego komitetu aprowizacyjnego.

– Czego się przyglądasz? Nie kryję się, nie jestem złodziejem.

Zapałka zgasła. Pankratow stanął wyprostowany.

– Kto tam tak rozpuścił gębę? Dla kogo to polecenie partii jest katorgą? – powiedział zduszonym głosem, tocząc ciężkim spojrzeniem po stojących w pobliżu. – Chłopcy, nijak nam nie wolno wracać do miasta, nasze miejsce jest tutaj. Jeżeli damy stąd drapaka, ludzie zamarzną. Chłopcy, im prędzej skończymy, tym prędzej powrócimy, a uciekać stąd, jak tego chce tutaj jakiś mazgaj, nie pozwala nam nasza idea ani dyscyplina.

Tragarz nie lubił długich przemówień, lecz nawet i to krótkie przerwał ten sam głos.

– A bezpartyjni wyjeżdżają?

– Tak – rąbnął Pankratow.

Do stołu przecisnął się chłopiec w krótkim miejskim palcie.

Jak nietoperz wywinęła kozła nad stołem mała legitymacja, obiła się o pierś Pankratowa i upadła sztorcem na stół.

– Oto legitymacja, weźcie, proszę, dla kawałka tektury nie poświęcę zdrowia!

Koniec zdania zagłuszyły rozlegające się po całym baraku głosy:

– Czym ciskasz?!

– Ach ty sprzedajna duszo!

– Do Komsomołu się wkręcił, do dobrej posadki zmierzał.

– Wyrzucić go stąd!

– Nauczymy cię, gnido tyfusowa!

Ten, który rzucił legitymację, kierował się z pochyloną głową do wyjścia. Przepuszczano go odsuwając się jak od zadżumionego. Skrzypnęły zamykające się za nim drzwi.

Pankratow ścisnął palcami rzuconą legitymację i przytknął ją do płomienia lampki.

Tektura się zapaliła i zwinęła w zwęgloną rurkę.

W lesie rozległ się wystrzał. Od starego baraku oderwał się koń z jeźdźcem i dał nura w mrok lasu. Ze szkoły i baraku wybiegli ludzie. Ktoś zauważył deseczkę z dykty wsuniętą w szparę drzwi. Trzasnęła potarta zapałka. Zasłaniając od wiatru połami ubrania chybotliwy płomyk, przeczytano: *Wynoście się wszyscy ze stacji tam, skądeście się zjawili. Kto zostanie, temu kula w łeb. Wybijemy wszystkich do nogi, nie oszczędzimy nikogo. Daję wam termin do jutrzejszej nocy.* Podpis: *Ataman Czesnok.*

Czesnok należał do bandy Orlika.

W pokoju Rity leżał na stole otwarty dziennik.

2 grudnia

Rankiem spadł pierwszy śnieg. Tęgi mróz. Spotkałam się na schodach z Wiaczesławem Olszyńskim. Szliśmy razem.

„Zawsze zachwycam się pierwszym śniegiem. Co za mróz! Cudownie, prawda?" – rzekł Olszyński.

Przypomniałam sobie Bojarkę i odpowiedziałam, że mróz i śnieg wcale mnie nie cieszą, przeciwnie – trapią. Powiedziałam, dlaczego.

„To rzecz subiektywna. Jeżeli rozwiniemy wasze myśli, to trzeba będzie uznać za niedopuszczalny śmiech i w ogóle objawy radości życia podczas, powiedzmy, wojny. Ale w życiu tak nie bywa. Tragedie są na linii frontu. Tam odczuwanie życia przytłacza bliskość śmierci. Ale nawet i tam słychać śmiech. A z dala od frontu życie jest wciąż takie samo: śmiech, łzy, smutek i radość, pragnienie wrażeń i uciech, wzruszenia, miłość..."

W słowach Olszyńskiego trudno wyłowić ironię. Olszyński jest pełnomocnikiem Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. W partii jest od roku 1917. Ubiera się po europejsku, jest zawsze starannie wygolony, troszkę uperfumowany. Mieszka w naszym domu, w mieszkaniu Segała. Wieczorami odwiedza mnie. Rozmowa z nim jest interesująca, zna Zachód, długo przebywał w Paryżu, ale nie sądzę, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Przyczynę upatruję w tym, że widzi we mnie przede wszystkim kobietę, a dopiero potem – towarzysza partyjnego. Co prawda, nie maskuje swych dążeń i myśli – jest dość odważny, by mówić prawdę, i jego zaloty nie są ordynarne. Umie im nadać piękną formę. Ale on mi się nie podoba.

Szorstka prostota Żuchraja jest mi nieskończenie bliższa od europejskiego poloru Olszyńskiego.

Z Bojarki otrzymujemy krótkie sprawozdania. Każdy dzień daje sto sążni zbudowanej drogi. Podkłady umieszcza się wprost na zmarzniętej ziemi w wyrąbanych w tym celu łożyskach. Pracuje tam wszystkiego dwustu czterdziestu ludzi. Połowa drugiej zmiany rozbiegła się. Warunki są rzeczywiście ciężkie. Jak oni będą pracować na mrozie?...

Dubawa jest tam już od tygodnia. W Puszczy-Wodicy złożono z ośmiu lokomotyw – pięć. Do pozostałych brak części.

Dyrekcja tramwajów wytoczyła Dymitrowi proces karny: ze swoją brygadą zatrzymał przemocą wszystkie platformy tramwajowe idące z Puszczy-Wodicy do miasta. Wysadził pasażerów i naładował na platformy szyny dla kolejki wąskotorowej. Przywieziono dziewiętnaście platform linią miejską do dworca. Tramwajarze pomagali całą parą.

Na dworcu grupa sołomieńskiego Komsomołu w ciągu nocy dokonała przeładunku szyn, a Dymitr ze swoimi ludźmi zawiózł je do Bojarki.

Akim odmówił postawienia na egzekutywie sprawy Dubawy. Dymitr opowiedział nam o potwornym bałaganie i biurokratyzmie w dyrekcji tramwajów. Odmówili kategorycznie przydzielenia więcej niż dwóch platform. Tufta zaczął prawić Dubawie morały:

„Najwyższy czas, żeby rzucić partyzanckie wybryki, obecnie można za to posiedzieć w kryminale. Jak gdyby nie można było się dogadać i obejść bez zbrojnych wyskoków".

Nie widziałam jeszcze Dubawy tak wściekłego.

„Dlaczego ty, gryzipiórku, nie dogadałeś się z nimi? Siedzi sobie tutaj taka pijawka atramentowa i miele językiem byle co. Zjawię się w Bojarce bez szyn, to mi mordę skują. A ciebie, żebyś się tu nie pętał, należy posłać na budowę, żeby Tokariew mógł się trochę obsuszyć!" – grzmiał Dymitr na cały komitet gubernialny.

Tufta napisał zażalenie na Dubawę, ale Akim, wyprosiwszy mnie z pokoju, rozmawiał z nim z dziesięć minut. Tufta wybiegł od Akima czerwony i zły.

3 grudnia

W komitecie gubernialnym jest nowa sprawa, tym razem z Transportowej Komisji Nadzwyczajnej. Pankratow, Okuniew i jeszcze kilku towarzyszy przyjechało na stację Motowiłowka i zdjęli z opuszczonych budynków drzwi i ramy okienne. Podczas ładowania tego wszystkiego na pociąg roboczy usiłował ich aresztować czekista stacyjny. Rozbroili go

i dopiero gdy pociąg ruszył, zwrócili mu rewolwer, wyjąwszy z niego naboje. Drzwi i okna wywieźli. Tokariewa zaś wydział materiałowy kolei oskarża o samowolne zabranie ze składu w Bojarce dwudziestu pudów gwoździ. Tokariew dał je chłopom za pracę przy wywiezieniu z wyrębu długich polan, które używane są jako podkłady.

Mówiłam o tych sprawach z towarzyszem Żuchrajem. Śmieje się: „Tym wszystkim sprawom ukręcimy łeb".

Na budowie sytuacja jest bardzo naprężona i drogi jest każdy dzień. O najmniejsze głupstwo trzeba walczyć. Raz po raz ciągniemy do komitetu gubernialnego ludzi hamujących robotę. Chłopaki na budowie coraz częściej naruszają przepisy.

Olszyński przyniósł mi mały piecyk elektryczny. Z Olą Jureniewą grzejemy sobie nad nim ręce. Ale w pokoju od tego piecyka nie robi się cieplej. Jak to tam w lesie minie ta noc? Olga opowiada: w szpitalu jest bardzo zimno i chorzy nie wyłażą spod koców. Palą co trzeci dzień.

Nie, towarzyszu Olszyński, okazuje się, że tragedia na froncie jest i tragedią na tyłach!

4 grudnia

Całą noc walił śnieg. W Bojarce, jak donoszą, wszystko jest zasypane. Robota stanęła. Oczyszczają tory. Dzisiaj komitet gubernialny powziął decyzję: budowę pierwszego odcinka kolejki do granicy wyrębu zakończyć nie później niż do 1 stycznia 1922 roku. Gdy przekazano tę decyzję do Bojarki, Tokariew podobno odpowiedział: „Jeżeli nie wyzdychamy, to będzie zrobione".

O Korczaginie nic nie słychać. Zadziwiające, że na niego nie ma skargi w rodzaju „sprawy" Pankratowa. Dotychczas nie wiem, dlaczego nie chce się ze mną widywać.

5 grudnia

Wczoraj banda ostrzelała budowę.

Konie stąpają ostrożnie po miękkim, puszystym śniegu. Z rzadka poruszy się pod śniegiem i zatrzeszczy przygnieciona kopytem do ziemi gałązka – wtedy koń prycha. Skoczy w bok, lecz gdy dostanie karabinkiem po stulonych uszach, przechodzi w galop, doganiając jadących na przedzie.

Około dziesięciu jeźdźców przeprawiało się przez łańcuch pagórków, który wrzynał się w spłacheć czarnej, jeszcze nie zasłanej śniegiem ziemi.

Tu jeźdźcy zatrzymali konie. Szczęknęły zderzając się strzemiona. Koń jadącego na przedzie, spocony po długim biegu, otrząsnął się hałaśliwie całym ciałem.

– Najechało tu ich do czorta – mówił jeździec prowadzący oddziałek. – To my im napędzimy stracha. Bat'ko powiedział, żeby tej szarańczy jutro tu nie było, bo przecie widać, że draństwo dobierze się do drzewa...

Do stacji zbliżali się gęsiego, wzdłuż nasypu kolejki. Stępa podjechali do polany przy starej szkole; nie wyjeżdżając na polanę zostali za drzewami.

Salwa rozbiła ciszę ciemnej nocy. Jak wiewiórka ześliznął się płat śniegu z gałęzi srebrzystej w świetle księżyca brzozy. A między drzewami krzesały iskry krótkie karabinki, kule obłupywały kruchy tynk, żałośnie dźwięczały rozbijane szyby przywiezionych przez Pankratowa okien.

Salwa poderwała ludzi z betonowej podłogi, stawiając ich na nogi, lecz gdy groźne świetliki zaczęły latać po pokojach, strach z powrotem powalił ludzi na podłogę.

Padali jeden na drugiego.

– Ty dokąd? – złapał Pawła za szynel Dubawa.

– Na dwór.

– Kładź się, idioto! Rozwalą na miejscu, jak tylko się pokażesz – szepnął naglące Dymitr.

Leżeli obok siebie w pokoju tuż przy drzwiach. Dubawa przywarł do podłogi, wyciągnąwszy w kierunku drzwi rękę z rewolwerem. Korczagin kucnął, nerwowo macając palcami gniazda nabojów w bębenku nagana. Znalazł w nich

pięć nabojów. Wymacawszy puste miejsce, przekręcił bębenek.

Strzelanina ustała. Cisza, jaka nastąpiła, wywoływała zdziwienie.

– Chłopcy, kto ma broń, zbierzcie się tutaj – szeptem rozkazywał leżącym Dubawa.

Korczagin ostrożnie uchylił drzwi. Na polanie było pusto. Powoli wirując padały płatki śniegu.

A w lesie dziesięciu jeźdźców smagało konie.

W czasie obiadu z miasta przyjechała pędem autodrezyna. Wysiedli z niej Żuchraj i Akim. Na ich spotkanie wyszli Tokariew i Choława. Zdjęto z drezyny i postawiono na peronie ciężki karabin maszynowy, kilka pudeł z taśmami nabojów do niego i ze dwadzieścia karabinów.

Na miejsce robót szli pospiesznie. Poły szynela Żuchraja rysowały zygzaki na śniegu. Chód miał niedźwiedzi, zwalisty – nie odwykł od szerokiego stawiania nóg, jak gdyby miał jeszcze pod sobą kołyszący się pokład torpedowca. Tokariew musiał raz po raz doganiać swych towarzyszy: wysoki Akim dotrzymywał kroku Fiodorowi.

– Napad bandy to jeszcze pół biedy. Ale tu nam zagrodził drogę spadzisty pagórek. Nowy kłopot, niech go diabli wezmą! Trzeba będzie dużo ziemi wykopać.

Starzec zatrzymał się, odwrócił plecami do wiatru, zapalił, trzymając dłonie złożone na kształt łódeczki, i wypuściwszy dymek raz i drugi, dopędził idących przodem. Akim przystanął czekając na niego, Żuchraj, nie zwalniając kroku, szedł dalej.

Akim zapytał Tokariewa:

– Czy starczy wam sił zbudować na czas kolejkę?

Tokariew nie od razu odpowiedział.

– Wiesz co, synku – rzekł wreszcie – ogólnie biorąc, zbudować nie można, ale nie zbudować też nie można. Stąd właśnie ten cały kram.

Dopędzili Fiodora i szli razem. Ślusarz zaczął mówić podnieconym głosem:

– Tu właśnie zaczyna się to „ale". Przecie tylko my dwaj tutaj – Patoszkin i ja – wiemy, że w takich pieskich warunkach, przy takim wyposażeniu w narzędzia i przy takiej ilości rąk roboczych zbudować niepodobna. Ale za to wszyscy bez wyjątku wiedzą, że skapitulować też nie można. I oto dlaczego mogłem powiedzieć: „Jeżeli nie wyzdychamy, to będzie zrobione". Sami zważcie: drugi miesiąc upływa, jak się tu grzebiemy, czwarta zmiana kończy swoją pracę, a podstawowa kadra pracuje bez wytchnienia, trzyma ich tylko młodość. A przecież połowa z nich jest przeziębiona. Popatrzysz na tych chłopców – serce się kraje. Są nieocenieni... Niejednego z nich do grobu wpędzi ta przeklęta głusza.

O kilometr od stacji urywał się zupełnie już wykończony odcinek wąskotorówki.

Dalej, na przestrzeni jakiegoś półtora kilometra, na wyrównanym nasypie leżały osadzone w ziemi długie polana, niby obalona przez wiatr palisada. To podkłady. Jeszcze dalej, do samego pagórka, szła tylko równa droga.

Tu pracowała pierwsza grupa budowlana Pankratowa. Czterdziestu ludzi układało podkłady. Rudobrody chłop w nowiutkich łapciach bez pośpiechu ściągał z sań polana i rzucał je na nasyp. Kilka takich samych sań wyładowywano opodal. Dwie długie żelazne sztaby leżały na ziemi. To był model szyn, podług nich układano podkłady. Do ubijania ziemi używano siekier, łomów, łopat.

Żmudny to i powolny trud – układanie podkładów kolejowych. Mocno i pewnie muszą one leżeć na ziemi, i to w ten sposób, żeby szyna opierała się jednakowo na każdym z nich.

Technikę tej pracy znał tylko jeden starszy człowiek, dziesiętnik drogowy Łagutin, bez jednego siwego włosa pomimo

swych pięćdziesięciu czterech lat, z czarną jak smoła, rozdwojoną brodą. Pracował dobrowolnie już czwartą zmianę, znosił wraz z młodzieżą wszystkie trudy i zjednał sobie w oddziale powszechny szacunek. Ten bezpartyjny (ojciec Tali) zajmował zawsze honorowe miejsce na wszystkich zebraniach partyjnych. Chlubiąc się tym, dał sobie słowo, że nie porzuci budowy.

– Jakże mam was rzucać, powiedzcie z łaski swojej? Naknocicie beze mnie z podkładami, tu potrzebne jest oko, praktyka. A ileż ja w swym życiu nawtykałem tych podkładów po całej Rosji... – mówił dobrodusznie przy każdej zmianie – i zostawał.

Patoszkin miał do niego zaufanie i rzadko zaglądał na jego odcinek. Gdy owa trójka podeszła do pracujących, Pankratow, spocony i zaczerwieniony, wyrąbywał siekierą łożysko dla podkładu.

Akim ledwie poznał tragarza. Pankratow schudł, ostrzej występowały jego szerokie kości policzkowe, a nie domyta twarz jakoś pociemniała i zmizerniała.

– A, „gubernia" przyjechała! – rzekł i podał Akimowi gorącą, wilgotną rękę.

Stuk łopat ustał. Akim widział dokoła blade twarze. Zdjęte szynele i kożuszki leżały obok, wprost na śniegu.

Pomówiwszy z Łagutinem Tokariew zabrał Pankratowa i poprowadził przyjezdnych do przekopu. Tragarz szedł obok Fiodora.

– Opowiedz mi, Pankratow, jak to tam było z tym czekistą w Motowiłowce? Jak sądzisz, czyście trochę nie przeholowali z tym rozbrojeniem? – spytał poważnie Fiodor małomównego tragarza.

Pankratow uśmiechnął się nieco zmieszany.

– Rozbroiliśmy go za jego zgodą, sam nas o to prosił. Przecie to swój chłop. Wytłumaczyliśmy mu wszystko, jak sprawa wygląda. Powiada do nas: „Ja, chłopcy, nie mam prawa pozwolić wam na wywiezienie okien i drzwi. Jest ta-

ki rozkaz towarzysza Dzierżyńskiego, by nie dopuszczać do rozdrapywania mienia kolejowego. Tutejszy naczelnik stacji jest ze mną na noże, kradnie, łajdak, a ja mu przeszkadzam. Puszczę was – on musowo zrobi na mnie donos w drodze służbowej i pociągną mnie przed trybunał rewolucyjny. A wy oto rozbrójcie mnie i jazda. A jeżeli naczelnik stacji nie doniesie, to na tym się rzecz skończy". Tak właśnie zrobiliśmy. Przecie drzwi i okna nie dla siebie zabraliśmy.

Dostrzegłszy błyskierki śmiechu w oczach Żuchraja, Pankratow dodał:

– Niech się w razie czego tylko nam za to dostanie, a tego chłopaka już nie przyciskajcie, towarzyszu Żuchraj.

– To wszystko już zlikwidowane. W przyszłości takich rzeczy robić nie wolno – to narusza dyscyplinę. Mamy dość siły, by zwalczać biurokratyzm w sposób zorganizowany. No dobrze już, pomówimy o ważniejszych sprawach. – I Fiodor zaczął się wypytywać o szczegóły napadu.

W odległości czterech pół kilometra od stacji zaciekle wgryzały się w ziemię łopaty. Ludzie krajali wzniesienie, które stanęło im na drodze.

A po bokach stało siedmiu ludzi uzbrojonych w karabin Cholawy i rewolwery Korczagina, Pankratowa, Dubawy i Chomutowa. To była cała broń oddziału.

Patoszkin siedział na zboczu, wpisując cyfry do notesu. Z inżynierów został tylko on. Wakulenko wolał sąd za dezercję niż śmierć od kuli bandyty i rankiem uciekł do miasta.

– Ten przekop zajmie nam pół miesiąca, ziemia zamarzła – powiedział półgłosem Patoszkin do stojącego przed nim Chomutowa, zawsze pochmurnego i małomównego dryblasa.

– Na cały odcinek dają nam zaledwie dwadzieścia pięć dni, a wy na przekop liczycie piętnaście – odparł Chomutow, gniewnie chwytając wargą koniuszek wąsa.

– Ten termin jest nierealny. Co prawda nigdy w życiu nie budowałem w takich warunkach i z takim zespołem jak nasz. Mogę się więc mylić, co już mi się dwa razy zdarzyło.

W tym czasie Zuchraj, Akim i Pankratow podchodzili do przekopu. Zauważono ich na zboczu.

– Popatrz, kto idzie? – szturchnął Korczagina łokciem zezowaty, wyszczekany Piet'ka Trofimow z warsztatów kolejowych, chłopak w starym, porwanym na łokciach swetrze, wskazując palcem pagórek. W jednej chwili Korczagin, nie wypuszczając z rąk łopaty, pobiegł tam. Jego oczy uśmiechnęły się serdecznie pod daszkiem hełmu i Fiodor dłużej niż innym ściskał mu dłoń.

– Jak się masz, Pawle! I poznaj go tu, w tym dziwacznym umundurowaniu!

Pankratow krzywo się uśmiechnął.

– Niczego sobie kombinacja z pięciu palców, a każdy wylazł na wierzch. Przy tym dezerterzy zwędzili mu szynel. Z Okuniewem tworzą komunę: on Pawłowi oddał swoją kapocinę. To nic, Pawłusza gorący chłopak. Z tydzień pogrzeje się na betonie, słoma niewiele pomaga, a potem kitę odwali – niewesoło mówił tragarz do Akima.

Czarnobrewy Okuniew, o lekko zadartym nosie, mrużąc sprytnie oczy zaponował:

– Nie damy Pawłuszce zginąć. Poddamy to pod głosowanie i poślemy go do kuchni za kucharza jako rezerwę dla Odarki. Tam, jeżeli nie będzie głupi, podje sobie i pogrzeje się – przy piecu lub przy Odarce.

Te słowa wywołały śmiech.

Tego dnia śmiano się po raz pierwszy.

Fiodor obejrzał wzniesienie, pojechał saniami z Tokariewem i Patoszkinem do wyrębu i wrócił. Na wzniesieniu ryto ziemię wciąż z tym samym uporem. Fiodor patrzył na migające łopaty, na zgięte w natężonym wysiłku grzbiety i rzekł cicho do Akima:

– Więc jestem niepotrzebny. Nie ma kogo tu agitować. Prawdę powiedziałeś, Tokariew, że oni są bezcenni. Oto gdzie hartuje się stal.

Oczy Żuchraja z zachwytem i surową, pełną miłości dumą patrzyły na kopaczy. Przecie tak jeszcze niedawno część tych kopaczy szła najeżona stalą bagnetów w noc poprzedzającą wybuch buntu. A teraz porwało ich jedyne dążenie, by doprowadzić stalowe żyły szyn do upragnionych bogactw opałowych – źródła ciepła i życia.

Patoszkin grzecznie, ale stanowczo dowodził Fiodorowi, że nie da się wyryć przekopu przed upływem dwóch tygodni. Fiodor słuchał jego wyliczeń i coś w myśli postanawiał.

– Cofnijcie ludzi ze wzniesienia, budujcie tor w dalszym ciągu, a pagórek usuniemy z drogi w inny sposób.

Na stacji Żuchraj długo siedział przy telefonie. Cholawa pełnił wartę przy drzwiach. Słyszał za plecami głuchy bas Fiodora.

– Zadzwoń natychmiast w moim imieniu do naczelnika sztabu okręgu, niech niezwłocznie przerzucą pułk Puzyriewskiego na odcinek budowy. Trzeba koniecznie oczyścić ten rejon z band. Wyślijcie z bazy pociąg pancerny z saperami. Co do reszty sam się rozporządzę. Powrócę w nocy. Wyślijcie na dworzec na dwunastą Litkego z samochodem.

W baraku po krótkim przemówieniu Akima zaczął mówić Żuchraj. W pogawędce z towarzyszami niepostrzeżenie minęła godzina. Fiodor mówił budującym kolejkę o niemożności przesunięcia terminu ukończenia bocznicy, wyznaczonego na pierwszego stycznia.

– Wprowadzamy na budowie stan wojenny. Komuniści utworzą kompanię specjalną. Dowódcą kompanii zostaje towarzysz Dubawa. Każda z sześciu grup budowlanych otrzymuje ustalone zadania do wykonania. Pozostałe prace drogo-

we będą podzielone na sześć równych odcinków. Każdej grupie przydziela się swój odcinek. Do pierwszego stycznia wszystkie prace muszą być skończone. Grupa, która wykona swą pracę wcześniej, uzyska prawo do wypoczynku i powrotu do miasta. Prócz tego prezydium gubernialnego komitetu wykonawczego wystąpi do Wszechukraińskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego o nagrodzenie orderem Czerwonego Sztandaru najlepszego robotnika tej grupy.

Kierownikami grup budowlanych mianowano: pierwszej – towarzysza Pankratowa, drugiej – towarzysza Dubawę, trzeciej – towarzysza Chomutowa, czwartej – towarzysza Łagutina, piątej – towarzysza Korczagina, szóstej – towarzysza Okuniewa.

Kierownikiem budowy – kończył swoje przemówienie Żuchraj – jej przywódcą ideowym i organizatorem pozostaje nadal Anton Nikiforowicz Tokariew.

Jak stado ptaków wzbiły się w górę klaszczące ręce, uśmiechnęły się surowe twarze i ostatnie, przyjacielsko-żartobliwe słowa poważnego człowieka rozładowały długo skupioną uwagę wybuchem śmiechu.

Ze dwudziestu ludzi gromadnie odprowadzało Akima i Żuchraja do autodrezyny.

Żegnając się z Korczaginem i patrząc na jego zasypany śniegiem kalosz Fiodor rzekł półgłosem:

– Buty przyślę. Nie odmroziłeś jeszcze nóg?

– Coś w tym rodzaju – zaczęły trochę puchnąć – odpowiedział Paweł i przypomniawszy sobie dawno zamierzoną prośbę, wziął Fiodora za rękaw. – Dasz mi trochę nabojów do nagana? Dobrych mam tylko trzy.

Żuchraj pokręcił z ubolewaniem głową, ale na widok zasmuconych oczu Pawła bez namysłu odpiął swój mauzer.

– Masz ode mnie w prezencie.

Paweł nie od razu uwierzył, że dostaje w podarunku rzecz, o której od tak dawna marzył, lecz Żuchraj przerzucił mu przez ramię rzemień.

– Bierz, bierz! Wiem przecie, że od dawna pożerasz go oczami. Tylko obchodź się z nim ostrożnie, swoich nie powystrzelaj. Masz tu jeszcze trzy pełne magazynki do niego.

Na Pawła skierowały się wyraźnie zawistne spojrzenia. Ktoś zawołał:

– Pawka, zamień się ze mną na buty z kożuszkiem na dokładkę!

Pankratow po łobuzersku trącił Pawła w plecy:

– Zamień, diable, na walonki. I tak w kałoszu nie dożyjesz Bożego Narodzenia.

Postawiwszy nogę na stopniu drezyny Żuchraj pisał zezwolenie na korzystanie z podarowanego rewolweru.

Wczesnym rankiem, głucho łomocąc na zwrotnicach, wszedł na stację pociąg pancerny. Wspaniałym pióropuszem wyrwała się biała jak łabędzi puch uwolniona para, by natychmiast zniknąć w mroźnym, czystym powietrzu. Z komór pancernych wychodzili zaszyci w skórę ludzie. Po kilku godzinach trzej saperzy z pociągu pancernego zakopali głęboko we wzniesienie dwie ogromne czarne tykwy, przeciągnęli od nich długie lonty i dali ostrzegawcze strzały. I wówczas od wzniesienia grożącego niebezpieczeństwem rozbiegli się ludzie na wszystkie strony. Po przytknięciu zapałki koniec lontu zapłonął fosforycznym ogniem.

Na chwilę ścisnęły się serca setek ludzi. Jedna, dwie minuty męczącego oczekiwania i... zatrzęsła się ziemia, straszna siła rozwaliła szczyt pagórka, wyrzucając pod niebo ogromne bryły ziemi. Nastąpił drugi wybuch, jeszcze silniejszy od pierwszego. Straszliwy łoskot przewalił się po leśnym gąszczu i napełnił go chaosem dźwięków rozchodzących się od rozszarpanego w kawałki wzniesienia.

Tam gdzie przed chwilą był pagórek, ział głęboki dół, a cukrową biel śniegu na dziesiątki metrów dokoła zasypały grudki ziemi.

Do utworzonego przez wybuch wgłębienia podążyli ludzie z kilofami i łopatami.

Po odjeździe Żuchraja na budowie rozwinęło się zacięte współzawodnictwo – walka o pierwszeństwo.

Na długo jeszcze przed świtem Korczagin cicho, nikogo nie budząc, wstał i ledwie powłócząc zdrętwiałymi na zimnej podłodze nogami skierował się do kuchni. Zagotował w kotle wodę na herbatę, wrócił i zbudził całą swoją grupę.

Gdy wstał jego zespół, na dworze było już widno.

W baraku podczas rannej herbaty, do stołu, gdzie siedział Dubawa ze swoją grupą robotników ze zbrojowni, przeciskał się Pankratow.

– Widziałeś, Mitiaj, Pawka swoją grupę o świcie na nogi postawił. Pewno już z dziesięć sążni ułożyli. Mówią chłopcy, że on swoich kolegów z głównych warsztatów tak nastroił, iż postanowili skończyć swój odcinek dwudziestego piątego. Chce dać nam wszystkim prztyczka w nos. Ale za pozwoleniem, to się jeszcze okaże! – mówił wzburzony do Dubawy.

Mitiaj kwaśno się uśmiechnął. Doskonale rozumiał, dlaczego postępowanie grupy robotników z głównych warsztatów dotknęło do żywego sekretarza kolektywu portu rzecznego. Ale i jemu, Dubawie, przyjaciel Pawłuszka zrobił kawał: nie mówiąc ani słowa rzucił wyzwanie całemu oddziałowi.

– Przyjaźń przyjaźnią, a własny interes interesem – tutaj „kto pierwszy do młyna, ten pierwszy miele" – rzekł Pankratow.

Koło południa energiczna praca grupy Korczagina została niespodzianie przerwana. Wartownik stojący przy ustawionych w kozły karabinach dostrzegł między drzewami grupę jeźdźców i strzelił na alarm.

– Do broni, chłopcy! Banda! – krzyknął Paweł i cisnąwszy łopatę skoczył ku drzewu, na którym wisiał jego mauzer.

Rozchwytawszy broń, członkowie grupy legli wprost w śniegu po obu stronach drogi. Jadący na przedzie zaczęli machać czapkami. Jeden z nich krzyknął:

– Stać, towarzysze! To swoi!

Pół setki jezdnych w budionnówkach z czerwonymi gwiazdami podjeżdżało drogą.

Okazało się, że to pluton pułku Puzyriewskiego przybył odwiedzić budowę. Paweł zwrócił uwagę na odrąbane ucho konia dowódcy. Ładna siwa klacz z białą gwiazdką na czole nie mogła ustać w miejscu, tańczyła pod jeźdźcem. Cofnęła się wystraszona, gdy Paweł rzucił się ku niej i chwycił ją za uzdę przy pysku.

– Łyska, zbytnica, gdzieżeśmy się z tobą spotkali! Ocalałaś od kul, moja ty krasawico jednoucha.

Objął czule cienką szyję konia i głaskał ręką jego drgające chrapy. Dowódca wpatrywał się uważnie w Pawła i poznawszy go zawołał zdziwiony:

– To przecież Korczagin!... Konia poznałeś, a Sieriedę przeoczyłeś. Jak się masz, braciszku.

W mieście naciśnięto wszystkie sprężyny. To od razu odbiło się na budowie. Żarki zrobił spustoszenie w komitecie dzielnicowym, gdyż wysłał resztki organizacji do Bojarki. Na Sołomience zostały tylko dziewczęta. W technikum kolejowym zaś Żuchraj osiągnął to, że wysłano na budowę nową grupę uczniów.

Komunikując o tym wszystkim Akimowi, rzekł półżartem:

– Pozostał mi tylko żeński proletariat. Posadzę zamiast siebie Łagutinę. Na drzwiach napiszemy: „Wydział kobiecy" i sam machnę się też do Bojarki. Jakoś, uważasz, nie wypada mi, jedynemu chłopu, kręcić się wśród kobiet. Dziewczynki patrzą na mnie podejrzliwie. Na pewno te gęsi mówią mię-

dzy sobą: „Wszystkich powysyłał, a sam został, stary gąsior" albo coś jeszcze bardziej przykrego. Proszę cię, byś mi pozwolił wyjechać.

Akim śmiejąc się odmówił.

Do Bojarki przybywało coraz więcej ludzi. Przybyło i sześćdziesięciu uczniów-kolejowców.

Żuchraj wydębił w dyrekcji kolei wysłanie do Bojarki czterech wagonów osobowych na mieszkanie dla nowo przybyłych robotników.

Grupę Dubawy odwołano z roboty i wysłano do Puszczy-Wodicy. Polecono jej dostarczyć na budowę lokomotywki i sześćdziesiąt pięć wąskotorowych lor. Ta praca miała być zaliczona jako praca na budowie. Przed wyjazdem Dubawa poradził Tokariewowi, żeby wezwał Klawiczka na budowę i powierzył mu świeżo zorganizowaną grupę. Tokariew wydał takie polecenie nie podejrzewając istotnej przyczyny, dlaczego Dubawa przypomniał sobie o istnieniu Czecha. A tą przyczyną był liścik Anny, doręczony mu przez nowo przybyłych komsomolców sołomieńskich.

Dymitrze! – pisała Anna. – *Razem z Klawiczkiem wybraliśmy dla Was cały stos literatury. Posyłamy Tobie oraz wszystkim bojarskim szturmowcom nasze serdeczne pozdrowienia. Jakie z Was wszystkich zuchy! Życzymy Wam sił i energii. Wczoraj wydano ze składów ostatni zapas drzewa. Klawiczek prosił, bym przesłała Wam jego pozdrowienia. Wspaniały chłopak! Chleb dla Was sam piecze. W piekarni nikomu nie dowierza. Sam przesiewa mąkę, sam rozczynia maszyną ciasto. Zdobył gdzieś dobrą mąkę i jego chleb jest wyborny, ani się nie umywa do tego, który ja otrzymuję. Wieczorem zbierają się u mnie nasi: Łagutina, Artiuchin, Klawiczek i niekiedy Żarki. Powoli robimy postępy w szkoleniu, ale przeważnie rozmawiamy o wszystkim i o wszystkich, a najczęściej o Was. Dziewczyny są oburzone, że Tokariew nie chce dopuścić ich do budowy. Zapewniają, że zniosą*

niewygody na równi ze wszystkimi. Tala mówi: „Ubiorę się w ojcowską odzież i zgłoszę się do tatki, niech spróbuje mnie stamtąd wykurzyć".

Kto wie, czy tego nie zrobi. Pozdrów ode mnie czarnookiego. Anna.

Zamieć nadciągnęła nagle. Niebo zasnuło się szarymi, nisko płynącymi chmurami. Spadł gęsty śnieg. Wieczorem zawył w kominach wiatr, zahuczał wśród drzew goniąc wymykającą mu się zadymkę, wichura napełniła las niepokojącym, groźnym poświstem.

Zawieja śnieżna szalała całą noc. Ludzie zmarzli do szpiku kości, choć całą noc palono w piecach. W ruderze stacyjnej nie trzymało się ciepło.

Oddział, który rano wyruszył do pracy, grzązł w głębokim śniegu, a ponad drzewami paląło słońce i na szafirowym niebie nie było ani jednej chmurki.

Grupa Korczagina oczyszczała swój odcinek z zasp. Dopiero teraz przekonał się Paweł, jak dotkliwie może dokuczyć mróz. Stara marynarczyna Okuniewa nie grzała go, a do kalosza nabijało mu się pełno śniegu, kilka razy gubił go w zaspach. But na drugiej nodze groził, że się całkiem rozleci. Od spania na podłodze utworzyły mu się na szyi dwa wielkie czyraki. Zamiast szalika Tokariew dał mu swój ręcznik.

Chudy, z zaognionymi oczami, Paweł zawzięcie wymachiwał szeroką drewnianą łopatą, odgarniając śnieg.

W tym czasie przywlókł się na stację pociąg osobowy. Z wielkim wysiłkiem dociągnęła go tutaj dysząca resztą pary lokomotywa, na tendrze nie było ani jednego polana, a w palenisku dopalały się resztki drzewa.

– Jeśli dacie nam drzewa, to pojedziemy, w przeciwnym razie – przestawcie pociąg na boczny tor, póki się jeszcze rusza! – krzyczał maszynista do naczelnika stacji.

Pociąg przestawiono na boczny tor. Strapionym pasażerom wyjaśniono przyczynę zatrzymania. W napchanych wagonach rozległy się narzekania i wymyślania.

– Pogadajcie ze starym, z tym, co idzie po peronie. To kierownik budowy bocznicy. Może kazać podwieźć drzewo na saniach do lokomotywy. Oni kładą polana zamiast podkładów – poradził konduktorom naczelnik stacji.

Poszli na spotkanie Tokariewa.

– Dam drzewa, ale nie darmo. Przecie to nasz budulec. U nas są zaspy. W pociągu jest sześciuset, siedmiuset pasażerów. Dzieci i kobiety mogą zostać w wagonach, a mężczyznom łopaty do rąk – i do wieczora odgarniaj śnieg. Za to dostaną drzewo. Jeżeli odmówią, niech siedzą do Nowego Roku – powiedział Tokariew konduktorom.

– Patrzcie, chłopcy, jaki tłum wali! Spójrzcie no, są i kobiety! – wołano ze zdziwieniem za plecami Korczagina.

Paweł obrócił się.

– Masz tu stu ludzi, daj im robotę i pilnuj, żeby nie próżnowali – rzekł podchodząc Tokariew.

Korczagin wyznaczał robotę nowo przybyłym. Jakiś wysoki mężczyzna w płaszczu kolejarskim z futrzanym kołnierzem, w ciepłej karakułowej czapce, z oburzeniem obracał w rękach łopatę i protestował zwracając się do stojącej obok niego młodej kobiety w fokowej czapce z puszystym pomponem na wierzchu:

– Odwalać śniegu nie będę, nikt nie ma prawa do tego mnie zmuszać. Jeżeli mnie o to poproszą, to, jako inżynier kolejowy, będę mógł pokierować pracą, ale ani ty, ani ja nie powinniśmy grzebać się w śniegu, tego instrukcja nie przewiduje. Stary postępuje bezprawnie. Pociągnę go do odpowiedzialności. Kto tu jest dziesiętnikiem? – zapytał najbliżej stojącego robotnika.

Podszedł Korczagin.

– Dlaczego nie pracujecie, obywatelu?

Mężczyzna zmierzył Pawła od stóp do głów wzgardliwym spojrzeniem.

– A wy coście za jedni?

– Robotnik.

– W takim razie nie mam o czym z wami gadać. Przyślijcie do mnie dziesiętnika lub kogoś, kto tu u was...

Korczagin spojrzał na niego spode łba.

– Nie chcecie pracować – nie trzeba. Bez naszej adnotacji na bilecie kolejowym nie wsiądziecie do pociągu. Taki jest rozkaz kierownika budowy. A wy, obywatelko, też się wykręcacie? – zwrócił się Paweł do kobiety – i osłupiał: przed nim stała Tonia Tumanowa.

Z trudem poznała w oberwańcu Korczagina. W podartym, zniszczonym ubraniu i fantastycznym obuwiu, z brudnym ręcznikiem na szyi, z dawno nie mytą twarzą stał przed nią Paweł. Tylko oczy miały w sobie ten sam co dawniej niegasnący blask. Jego oczy. I oto tego oberwańca, podobnego do włóczęgi, tak jeszcze niedawno kochała. Jakże się wszystko zmieniło!

Tonia jedzie do dużego miasta z niedawno poślubionym mężem, który ma tam w dyrekcji kolei poważne stanowisko. I oto gdzie się spotkała z przedmiotem swej dziewczęcej miłości. Nie wypadało jej nawet podać mu ręki. Co sobie pomyśli mąż. Jak to przykro, że Korczagin tak się zaniedbał. Widać, że dawny palacz nie awansował w życiu poza pracę kopacza.

Stała niezdecydowana, oblewając się rumieńcem zmieszania. Inżyniera rozzłościło bezczelne, jak mu się wydawało, zachowanie się obdartusa, który nie odrywał oczu od jego żony. Cisnął na ziemię łopatę i podszedł do Toni.

– Chodźmy, Toniu, nie mogę spokojnie patrzeć na tego lazzarone.

Korczagin wiedział z powieści „Giuseppe Garibaldi", co znaczy słowo lazzarone.

– Jeżeli ja mam być lazzarone, to ty jesteś po prostu niedobity burżuj – głucho odparł inżynierowi i przenosząc wzrok na Tonię wyskandował sucho: – Bierzcie łopatę, towarzyszko Tumanowa, i stawajcie w szeregu. Nie bierzcie przykładu z tego wypasionego byka. Proszę mi wybaczyć, nie wiem, co was z nim łączy.

Paweł uśmiechnął się nieuprzejmie, patrząc na śniegowce Toni, i dodał mimochodem:

– Zostawać nie radzę. W tych dniach zaglądała tu banda.

Odwrócił się i poszedł ku swoim, człapiąc kaloszem.

Ostatnie jego słowa podziałały i na inżyniera.

Tonia namówiła go, żeby został i wziął się do roboty.

Wieczorem po skończonej pracy wracano na stację. Mąż Toni poszedł naprzód, by zająć wcześniej miejsca w pociągu. Tonia przystanęła przepuszczając robotników. Z tyłu za wszystkimi, opierając się o łopatę, szedł zmordowany Korczagin.

– Jak się masz, Pawłuszka. Muszę przyznać, że nie spodziewałam się ujrzeć cię w takim stanie. Czyżbyś nie zasłużył u władz na nic lepszego jak grzebanie się w ziemi? Myślałam, że dawno już jesteś komisarzem lub czymś w tym rodzaju. Jakżeż ci się niepomyślnie życie ułożyło... – zaczęła mówić Tonia idąc obok niego.

Paweł zatrzymał się, obrzucił Tonię zdziwionym spojrzeniem.

– Ja również nie spodziewałem się, że spotkam cię taką... zamarynowaną – znalazł wreszcie odpowiednie, a nie nazbyt ostre słowo.

Koniuszki uszu Toni poczerwieniały.

– Wciąż mówisz impertynencje.

Korczagin zarzucił łopatę na ramię i ruszył dalej. Dopiero uszedłszy kilka kroków odparł:

– Moja impertynencja o ileż jest delikatniejsza, towarzyszko Tumanowa, od waszej, za przeproszeniem, grzeczności. A o moje życie nie ma co się niepokoić, tutaj wszystko jest

w porządku. Za to wasze życie ułożyło się gorzej, niż się spodziewałem. Dwa lata temu byłaś lepsza: nie wstydziłaś się podać ręki robotnikowi. A teraz naftaliną od ciebie zalatuje. I powiem ci szczerze, nie mam o czym z tobą gadać.

Paweł otrzymał list od Artioma. Brat pisał, że wkrótce odbędzie się jego wesele, i prosił Pawła, by koniecznie przyjechał.

Wiatr wyrwał z rąk Korczagina biały arkusik i list pofrunął w górę jak gołąb. Nie będzie mógł być na weselu. Czyż jest do pomyślenia wyjazd w tym czasie? Już wczoraj niedźwiedź Pankratow wyprzedził jego grupę i posunął się naprzód z taką szybkością, że wszystkich zadziwił. Tragarz szedł przebojem do pierwszeństwa i straciwszy zwykły spokój zagrzewał swych „przystaniowców" do wariackiego tempa.

Patoszkin obserwował milczącą zaciętość robotników. W zdumieniu pocierając skronie zadawał sobie pytanie: „Co to za ludzie? Co to za niepojęta siła? Przecie jeżeli pogoda utrzyma się jeszcze przez jakieś osiem dni, to dojdziemy do miejsca wyrębu. Stąd wniosek: choćbyś żył sto lat, uczył się sto lat, mimo to na starość będziesz durniem. Ci ludzie swoją pracą obalają wszelkie wyliczenia i normy".

Z miasta przyjechał Klawiczek, przywiózł swój ostatni wypiek chleba. Po zobaczeniu się z Tokariewem odszukał Korczagina. Przywitali się po przyjacielsku. Klawiczek z uśmiechem wyjął z worka śliczny, żółty szwedzki półkożuszek, trzepnął dłonią po chromowej elastycznej skórze i powiedział:

– To dla ciebie. Nie wiesz, od kogo?... No, jakiś ty, chłopcze, głupi! To posyła ci towarzyszka Ustinowicz, żebyś, durniu, nie marzł. Kożuszek podarował jej towarzysz Olszyński, ona wzięła go z jego rąk i dała mnie – zawieź Korczaginowi. Akim mówił jej, że pracujesz na mrozie w marynarce. Olszyński trochę się na to skrzywił. „Ja – powiada – mogę temu towarzyszowi posłać szynel". A Rita się śmiała:

„Nie trzeba, w kożuszku będzie mu wygodniej pracować!" Bierz!

Paweł ze zdziwieniem potrzymał w ręce drogocenną rzecz i niezdecydowanym ruchem włożył ją na zziębnięte ciało.

Miękkie futro szybko ogrzało mu plecy i pierś.

Rita zapisywała:

20 grudnia

Seria zamieci. Śnieżyca i wichury. Bojarowcy byli już prawie u celu, lecz mrozy i zawieje zatrzymały ich. Toną w śniegu. Kopać zmarzniętą ziemię trudno. Pozostało zaledwie trzy czwarte kilometra, lecz najcięższe.

Tokariew donosi: na budowie wybuchł tyfus, trzech zachorowało.

22 grudnia

Na plenum gubernialnego komitetu młodzieżowego z Bojarki nikt nie przyjechał. Bandyci wykoleili transport z chlebem o siedemnaście kilometrów od Bojarki. Z rozkazu pełnomocnika Ludowego Komisariatu Aprowizacji przerzucono tam cały oddział pracujący na budowie.

23 grudnia

Do miasta przywieziono z Bojarki jeszcze siedmiu chorych na tyfus. Wśród nich Okuniewa. Byłam na dworcu. Z buforów pociągu, który przyszedł z Charkowa, zdejmowano skostniałe na mrozie trupy. W szpitalu zimno. Przeklęta zamieć! Kiedy ona się skończy?

24 grudnia

Dopiero co wróciłam od Żuchraja. Okazuje się, że to prawda: Orlik wczoraj w nocy napadł z całą swoją bandą na Bojarkę. Dwie godziny trwała walka między bandą a naszymi. Banda przerwała połączenie i dopiero dzisiaj rano

Żuchrajowi udało się otrzymać dokładne wiadomości. Bandę odparto. Tokariew ranny w pierś na wylot. Przywiozą go dzisiaj. Zarąbany na śmierć Franciszek Klawiczek, który był owej nocy dowódcą warty. To on zauważył bandę i wszczął alarm, ale odstrzeliwując się napastnikom nie zdążył dobiec do szkoły i został zarąbany. W oddziale budującym bocznicę jest jedenastu rannych. Obecnie jest tam pociąg pancerny i dwa szwadrony kawalerii.

Kierownikiem budowy został Pankratow. W dzień Puzyriewski dopędził część bandy w chutorze Głębokim i wyciął ją w pień. Część bezpartyjnych fachowców, nie czekając na pociąg, pieszo odeszła torem do miasta.

25 grudnia

Przywieziono Tokariewa i resztę rannych. Umieszczono ich w klinice. Lekarze obiecali uratować staruszka. Jest nieprzytomny. Życiu pozostałych nie grozi niebezpieczeństwo.

Do gubernialnego komitetu partii oraz do nas nadszedł z Bojarki telegram: „W odpowiedzi na bandycki napad my, budowniczowie kolejki wąskotorowej, zebrani na obecnym wiecu, wraz z załogą pociągu pancernego »Za władzę radziecką« oraz czerwonoarmistami pułku kawalerii, zapewniamy was, że mimo wszelkich przeszkód dostarczymy miastu drzewo pierwszego stycznia. Zabierzemy się do roboty z wytężeniem wszystkich sił. Niech żyje partia komunistyczna, która nas wysłała!

Przewodniczący wiecu Korczagin. Sekretarz Bierzin".

Na Sołomience pochowano z honorami wojskowymi Klawiczka.

Upragniony opał był już blisko. Ale zbliżano się do niego strasznie wolno: co dnia tyfus wyrywał dziesiątki potrzebnych rąk.

Zataczając się jak pijany, wracał Korczagin na uginających się nogach na stację. Już dawno chodził z podwyższoną temperaturą, ale dzisiaj czuł, że ma silniejszą gorączkę niż dotąd.

Tyfus brzuszny, który dziesiątkował oddział, dorwał się i do Pawła. Ale jego krzepkie ciało stawiało opór i przez pięć dni znajdował jeszcze dość siły, by zwlekać się z zasłanej słomą betonowej podłogi i iść razem ze wszystkimi do roboty. Nie uratował go ani ciepły kożuszek, ani przysłane przez Fiodora wojłokowe buty, włożone na odmrożone już nogi.

Przy każdym kroku coś go kłuło boleśnie w piersiach, szczękały w dreszczach zęby, mąciło się w oczach i drzewa zdawały się kręcić jak dziwna jakaś karuzela.

Ledwie dobrnął do stacji. Uderzył go niezwykły zgiełk. Przyjrzał się: długi pociąg rozciągał się wzdłuż całych torów. Na platformach leżały szyny, podkłady – wyładowywali je ludzie przybyli tym samym pociągiem. Paweł zrobił jeszcze kilka kroków i stracił równowagę. Słabo odczuł uderzenie głową o ziemię. Śnieg przyjemnym chłodem owionął rozpalony policzek.

Natknięto się na niego po kilku godzinach. Zaniesiono do baraku. Korczagin oddychał z trudem i nie poznawał otaczających go ludzi. Wezwany z pociągu pancernego felczer oświadczył:

– Płatowe zapalenie płuc i tyfus brzuszny. Temperatura czterdzieści jeden stopni i pięć kresek. O zapaleniu stawów i opuchliźnie na szyi nie warto mówić. Pierwszych dwóch chorób wystarczy, by przejechać się na tamten świat.

Pankratow i przybyły Dubawa robili wszystko, co było w ich mocy, by uratować Pawła.

Pochodzącemu z tych samych stron, co Korczagin, Aloszy Kochańskiemu polecono odwieźć chorego do rodzinnego miasta.

Jedynie dzięki pomocy całej korczaginowskiej grupy, i przede wszystkim Cholawy, udało się Pankratowowi i Dubawie

wpakować nieprzytomnego Korczagina i Aloszę do przepełnionego wagonu. Nie wpuszczano ich bojąc się zarażenia tyfusem plamistym, stawiano opór, grożono wyrzuceniem chorego w drodze.

Cholawa, wymachując naganem pod nosem sprzeciwiających się załadowaniu chorego, krzyczał:

– To nie zakaźnie chory! Pojedzie, choćbyśmy nawet mieli was wszystkich wyrzucić z wagonu! Pamiętajcie, sobki przeklęte, jeżeli go ktokolwiek ręką tknie – dam znać na całej linii: wszystkich ściągniemy z pociągu i posadzimy za kratki. Masz tu, Alosza, mauzer Pawki, strzelaj do każdego, kto próbowałby go wysadzić – dorzucił Cholawa dla postrachu.

Pociąg ruszył. Na opustoszałym peronie Pankratow podszedł do Dubawy.

– Jak sądzisz, będzie żył?

I nie otrzymał odpowiedzi.

– Chodź, Mitiaj, co będzie, to będzie. Teraz jesteśmy za wszystko odpowiedzialni. Trzeba będzie w nocy wyładować parowozy, a rano spróbujemy je rozgrzać.

Cholawa telefonował na całą linię do swych przyjaciół-czekistów. Gorąco prosił ich, aby nie dopuścili do wysadzenia chorego Korczagina przez pasażerów, i dopiero gdy otrzymał solenne przyrzeczenie, że do tego nie dopuszczą, poszedł spać.

Na węzłowej stacji kolejowej wyciągnięto z pociągu osobowego wprost na peron zwłoki zmarłego w jednym z wagonów, nieznanego młodego blondyna. Kim był i z jakiego powodu zmarł, nikt nie wiedział. Czekiści stacyjni, pamiętając o prośbie Cholawy, podbiegli do wagonu: by zapobiec wysadzeniu chorego, ale przekonawszy się, że chłopak nie żyje, zarządzili zabranie zwłok do kostnicy punktu ewakuacyjnego.

Do Cholawy zaś natychmiast zadzwonili, zawiadamiając o śmierci jego przyjaciela, o którego życie tak się niepokoił.

Krótka depesza z Bojarki informowała komitet gubernialny, że Korczagin nie żyje.

Alosza Kochański zawiózł chorego Korczagina do rodziny, a sam zapadł na ciężki tyfus.

9 stycznia

Dlaczego jest mi tak ciężko? Zanim siadłam przy stole, płakałam. Kto mógł pomyśleć, że i Rita może szlochać, i jeszcze tak gorzko. Czyż łzy zawsze są objawem słabości woli? Dzisiaj powodem ich jest ciężkie zmartwienie. Dlaczegóż ono przyszło? Dlaczego zmartwienie przyszło dzisiaj, w dniu wielkiego zwycięstwa, gdy okropności zimna są pokonane, gdy stacje kolejowe są zawalone drogocennym opałem, gdy dopiero co brałam udział w uroczystości zwycięstwa na rozszerzonym plenum rady miejskiej, gdzie składano hołd bohaterom-budowniczym? To jest zwycięstwo, ale za nie dwóch oddało życie: Kławiczek i Korczagin.

Śmierć Pawła odsłoniła mi prawdę: jest mi on droższy, niż sądziłam.

Na tym przerywam swoje notatki. Nie wiem, czy wrócę do nich jeszcze kiedyś. Jutro piszę do Charkowa, że zgadzam się pracować w KC Komsomołu Ukrainy.

łodość zwyciężyła. Tyfus nie zabił Korczagina. Paweł po raz czwarty uciekł ze szponów śmierci i powracał do życia. Dopiero po miesiącu, wychudły i blady, stanął na chwiejnych nogach i czepiając się ścian spróbował przejść po pokoju. Podtrzymywany przez matkę doszedł do okna i długo patrzył na drogę. Połyskiwały kałuże z topniejącego śniegu. Na dworze była pierwsza przedwiosenna odwilż.

Na wprost okna, na gałązce wiśni, puszył się wróbel o szarym brzuszku, niespokojnie spoglądając szelmowskimi oczkami na Pawła.

– No cóż, przeżyliśmy razem zimę? – rzekł cicho Paweł, stukając palcem w szybę.

Matka spojrzała na niego z przestrachem.

– Do kogo mówisz?

– Do wróbla... Odleciał, urwis. – I Paweł blado się uśmiechnął.

Wiosna była w pełni. Korczagin zaczął myśleć po trosze o powrocie do miasta. Okrzepł już na tyle, że mógł chodzić o własnych siłach, ale w jego organizmie działo się coś niedobrego. Pewnego dnia, gdy przechadzał się po ogrodzie, nagle powalił go na ziemię ostry ból w kręgosłupie. Z trudem dowlókł się do pokoju. Nazajutrz badał go starannie lekarz. Namacawszy w kręgosłupie głębokie zagłębienie, mruknął zdziwiony:

– Skąd to się u was wzięło?

– To, doktorze, ślad od kamienia. Pod Równem wyrżnęli z tyłu z trzycalówki po szosie...

– Jakżeście mogli chodzić? Czy to wam nie dokuczało?

– Nie. Wtedy poleżałem ze dwie godziny – i na koń. Dopiero teraz oto po raz pierwszy się odezwało.

Lekarz, nachmurzony, oglądał zagłębienie.

– Tak, mój kochany, rzecz bardzo nieprzyjemna, kręgosłup nie lubi takich wstrząsów. Miejmy nadzieję, że nie będzie więcej dawał znać o sobie. Ubierzcie się, towarzyszu Korczagin.

I patrzył na swojego pacjenta ze współczuciem i ze źle ukrywanym smutkiem.

Artiom mieszkał u rodziny swojej żony, nieładnej młodej Stieszy. Była to rodzina uboga, chłopska. Paweł zaszedł jakoś raz do Artioma. Po małym brudnym podwórku biegał umorusany zezowaty malec. Zobaczywszy Pawła, wytrzeszczył na niego ślepki i z powagą dłubiąc w nosie, zapytał:

– Czego chcesz? Może przyszedłeś kraść? Lepiej idź stąd, bo nasza mama sierdzista!

W starej niskiej chałupie otworzyło się malutkie okienko i Artiom zawołał:

– Wejdź, Pawłusza!

Przy piecu krzątała się z pogrzebaczem w ręku starucha o twarzy pożółkłej jak pergamin. Na moment zatrzymała na Pawle nieuprzejme spojrzenie i, przepuściwszy gościa, zaczęła szurać po kominie żelaznymi garnkami.

Dwie smarkule z krótkimi warkoczykami wlazły szybko na piec i spoglądały stamtąd z ciekawością dzikusek.

Artiom siedział przy stole, trochę zmieszany. Jego ożenku nie pochwalali ani matka, ani brat. Artiom, proletariusz z dziada pradziada, nie wiadomo z jakiego powodu zerwał swoją trzyletnią przyjaźń z piękną szwaczką Halą, córką kamieniarza, i poszedł gospodarzyć do nieponętnej Stieszy, do

rodziny złożonej z pięciu gęb, przy czym nie było tam ani jednego mężczyzny zdatnego do roboty. Tutaj po pracy w warsztatach kolejowych całą siłę wkładał w pług, chcąc podnieść podupadłe gospodarstwo.

Artiom wiedział, że Paweł nie pochwalał jego przejścia, jak się wyrażał, do „żywiołu drobnomieszczańskiego", i teraz obserwował, jak brat reaguje na wszystko, co go tu otacza.

Posiedzieli, zamienili ze sobą zwykłe przy spotkaniu, niewiele znaczące zdania i Paweł zabierał się do odejścia. Artiom zatrzymał go.

– Zaczekaj, zjesz z nami, zaraz Stiesza przyniesie mleka. A więc jutro jedziesz? Bardzo słaby jeszcze jesteś, Pawka.

Do pokoju weszła Stiesza, przywitała się i zawołała Artioma do stodoły, żeby jej pomógł coś przenieść. Paweł został sam z nieskorą do rozmowy staruchą. Przez okno dobiegł głos cerkiewnego dzwonu. Starucha odstawiła długi pogrzebacz i zaczęła mamrotać niezadowolona:

– Chryste Panie, przy tej diabelnej robocie człowiek nie ma kiedy się pomodlić! – Zdjęła z szyi chustkę i podeszła, patrząc z ukosa na przybysza, do kąta izby, zastawionego poczerniałymi ze starości, ponurymi wizerunkami świętych. Złożywszy razem czubki trzech kościstych palców, zaczęła się nimi raz po raz żegnać.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje... – szeptała wyschłymi wargami.

Na podwórzu malec jednym susem wskoczył na grzbiet czarnej, o obwisłych uszach świni. Mocno spinając ją bosymi nogami, uczepiwszy się rączkami szczeciny, pokrzykiwał na kręcące się i chrząkające zwierzę:

– Wio-oo, jazda, dalej! Prr! Nie dokazuj!

Świnia biegła po podwórzu, usiłując zrzucić z siebie chłopca, ale zezowaty urwis trzymał się mocno.

Starucha przerwała modlitwę i wysunęła głowę z okna.

– Ja ci tu pojeżdżę, niech piorun spali twego tatę! Złaź mi ze świni, cholero. Bodajbyś przepadł, przeklęty bachorze!

Świni udało się wreszcie zrzucić jeźdźca i uspokojona tym starucha znowu obróciła się do ikon. Przybrawszy pobożny wyraz twarzy, ciągnęła dalej:

– Przyjdź królestwo Twoje...

W drzwiach ukazał się zapłakany malec. Wycierając rękawem pokaleczony nos i pochlipując z bólu, wystękał:

– Mama-a-a, daj pierożek!

Starucha odwróciła się ze złością.

– Pomodlić się nie da, kosy diabeł. Ja cię, psi synu, nakarmię!... – I chwyciła z ławki bat. Chłopiec znikł momentalnie. Dziewczynki na zapiecku zachichotały.

Starucha po raz trzeci wróciła do pacierza.

Paweł wstał i wyszedł, nie czekając dłużej na powrót brata. Zamykając furtkę zauważył w okienku wychodzącym na drogę głowę staruchy. Śledziła go.

„Co za licho wciągnęło tutaj Artioma? Teraz nie wygrzebie się stąd do śmierci. Stiesza będzie rodzić rokrocznie, a on ugrzęźnie jak żuk w gnoju. Jeszcze na domiar złego gotów porzucić pracę w parowozowni – rozmyślał strapiony Paweł krocząc po bezludnej ulicy miasteczka. – A ja właśnie chciałem go wciągnąć do życia politycznego".

Cieszył się, że jutro wyjedzie stąd do wielkiego miasta, gdzie zostali przyjaciele i drodzy jego sercu ludzie. Wielkie miasto przyciągało go swą potęgą i żywotnością, krzątaniną nieustanną ludzkiego rojowiska, łoskotem tramwajów i porykiwaniem klaksonów samochodowych. A nade wszystko ciągnęło go do ogromnych murowanych bloków, zakopconych warsztatów fabrycznych, maszyn i szmeru trybów w mechanizmach. Ciągnęło go tam, gdzie z szalonym rozmachem obracały się wielkie koła rozpędowe i pachniało smarem maszynowym, do tego, z czym się zżył. Tutaj zaś, łażąc po ulicach cichego miasteczka, Paweł czuł jakieś przygnębienie. Nie dziw, że miasteczko stało mu się obce i nudne. Nawet nie-

przyjemnie było wyjść w dzień na spacer. Przechodząc obok gadatliwych kumoszek siedzących na gankach Paweł słyszał ich wartką paplaninę:

– Popatrzcie no, baby, skąd tu się wziął ten strach na wróble?

– Widać taki, co ma suchoty.

– A kurtkę ma bogatą, musowo kradzioną...

I wiele innych uwag budzących w nim wstręt.

Dawno już oderwał się od tego miejsca. Bliższe i bardziej drogie stało mu się wielkie miasto, krzepka, pełna radości życia brać robotnicza i praca.

Korczagin niepostrzeżenie doszedł do sosnowego lasku i zatrzymał się na rozdrożu. Na prawo – odgrodzone od lasu wysokim ostrokołem, ponure stare więzienie, za nim białe budynki szpitala.

Tu oto, na tym obszernym placu, dusili się na stryczkach Wala i jej towarzysze. Postał w milczeniu w miejscu, gdzie była szubienica, potem podszedł do urwiska. Zszedł na dół i znalazł się na placyku bratnich mogił.

Czyjeś troskliwe ręce ubrały rząd grobów świerkowymi wiankami, ogrodziły cmentarzyk zielonym żywopłotem. Nad urwiskiem wznosiły się smukłe sosny. Zielony jedwab młodej trawy zasłał zbocza parowu.

To kraniec miasteczka. Cicho tu i smutno. Lekki szmer leśny i wiosenny, przaśna woń odradzającej się ziemi. Tu mężnie umierali bracia po to, by życie stało się piękne dla tych, co urodzili się w nędzy, dla tych, dla których same narodziny były już początkiem niewoli.

Ręka Pawła powoli ściągnęła z głowy czapkę i smutek wielki napełnił mu serce.

Najdroższą rzeczą, jaką ma człowiek, jest życie. Dane mu jest raz jeden i przeżyć je trzeba tak, żeby nie odczuwać męczącego bólu po bezcelowo przeżytych latach, żeby nie palił wstyd za nędzną, marną przeszłość i żeby umierając można było powiedzieć: całe życie i wszystkie siły oddałem najpięk-

niejszej sprawie na świecie – walce o wyzwolenie ludzkości. Trzeba się spieszyć żyć. Przecież bzdurna choroba lub jakiś tragiczny przypadek mogą przerwać życie.

Opanowany tymi myślami, Korczagin odszedł z bratniego cmentarza.

W domu matka, zasmucona, robiła przygotowania do wyjazdu syna. Obserwując ją Paweł widział, że ukrywa przed nim łzy.

– Może byś został, Pawłusza? Gorzko mi żyć samej na stare lata. Tyle dzieci miałam, a ledwo podrosną – każde idzie w swoją stronę. Co tak cię ciągnie do miasta? I tutaj można żyć. A może i ty wypatrzyłeś sobie jakąś ostrzyżoną przepiórkę? Przecie mnie, starej, nikt nic nie powie. Artiom ożenił się – słowa nie powiedział, a ty tym bardziej nie powiesz. Tylko wtedy was widzę, kiedy wam coś dolega – mówiła cichutko matka pakując do czystej torby ubogie synowskie manatki.

Paweł ujął ją za ramiona, przyciągnął do siebie.

– Nie ma, mamusiu, żadnej przepiórki. A wiesz, staruszko, że ptaki szukają sobie towarzyszki z tego samego gatunku? Więc ja, według ciebie, jestem przepiórem?

Zmusił matkę do uśmiechu.

– Ja, mamusiu, dałem sobie słowo nie zadawać się z dziewczętami, póki na całym świecie nie wykończymy burżujów. Cóż?... Mówisz, że długo trzeba na to czekać? Nie, mamusiu, burżuj długo się nie utrzyma... Jedna republika będzie dla wszystkich ludzi, a was, staruszki i starców, którzy są z ludu pracującego – do Włoch, taki ciepły kraj nad morzem. Zimy tam, mamusiu, nigdy nie ma. Osadzimy was w burżujskich pałacach i będziecie swoje stare kosteczki grzać na słonku. A my pojedziemy do Ameryki rozprawić się z burżujami.

– Nie dożyję, synku, twojej bajeczki... Takim samym zadziorą był twój dziad, za marynarza pływał. Istny, Boże od-

puść, rozbójnik! Dowojował się w wojnie sewastopolskiej, że bez nogi i ręki do domu wrócił. Na piersi mu dwa krzyże powiesili i dwie półrublówki carskie na wstążeczkach, a zmarło się staremu w strasznej biedzie. Porywczy był, uderzył jakąś tam władzę kijem po głowie, w więzieniu bez mała z rok przesiedział. Wpakowali go tam i nawet krzyże nie pomogły. Popatrzę na ciebie – bez ochyby w dziada się wdałeś.

– Po cóż, mamusiu, takie niewesołe rzeczy wspominać na pożegnanie? Daj mi lepiej harmonię, dawno jej w rękach nie miałem.

Pochylił głowę nad rzędami klawiszy z masy perłowej. Zadziwiły matkę nowe tony w jego muzyce.

Grał nie tak jak dawniej. Nie było tam już rozpasanego junactwa, dziarskich przygwizdów, zadzierzystych skoków rytmu, tej upojnej zamaszystości, która rozsławiła w całym miasteczku młodego harmonistę Pawkę. Muzyka brzmiała melodyjnie; nie tracąc na sile stała się głębsza.

Na dworzec przyszedł sam.

Namówił matkę, żeby została w domu: nie chciał jej łez przy pożegnaniu.

Do pociągu wszyscy wtłoczyli się przemocą. Paweł zajął wolną półkę na samej górze i stamtąd obserwował krzykliwych i podnieconych ludzi w przejściach.

Tak samo jak dawniej dźwigali worki i pchali je pod ławkę.

Gdy pociąg ruszył, uspokoili się i, jak to zawsze w takich razach bywa – chciwie zabrali się do jedzenia.

Paweł wkrótce zasnął.

Pierwszy dom, który chciał odwiedzić, znajdował się w śródmieściu, na Kreszczatiku. Powoli wspinał się po scho-

dach wiaduktu. Wszystko dokoła było mu znane, nic się nie zmieniło. Gdy przechodził przez wiadukt, ręka jego ślizgała się po gładkiej poręczy. Doszedł do schodów wiodących na dół. Zatrzymał się – na wiadukcie ani żywej duszy. W bezkresnej głębi nocy odsłaniał się oczarowanym oczom majestatyczny widok. Mrok zaścielał czarnym aksamitem widnokrąg; migotał, płonął fosforycznym błaskiem bezlik gwiazd. A niżej, tam gdzie na niewidocznej rubieży ziemia zlewała się z horyzontem, miasto rozsypało w ciemnościach miliony świateł...

W stronę Korczagina wchodziło po schodach kilka osób. Ostre głosy pochłoniętych dyskusją ludzi rozbiły ciszę nocy, i Paweł, oderwawszy wzrok od świateł miasta, zaczął schodzić na dół.

Na Kreszczatiku w biurze przepustek w okręgowym wydziale specjalnym dyżurny oficer oświadczył Korczaginowi, że Żuchraja dawno już nie ma w mieście.

Długo sondował Pawła pytaniami i dopiero kiedy przekonał się, że młodzieniec zna osobiście Żuchraja, powiedział, że Fiodor już od dwóch miesięcy jest odwołany na robotę do Taszkientu, na front turkiestański. Korczagin był tą wiadomością tak zmartwiony, że nie pytał nawet o szczegóły, lecz odwrócił się w milczeniu i wyszedł na ulicę. Ogarnęło go wielkie zmęczenie i zmusiło do odpoczynku na schodkach przy wejściu do biura.

Przeszedł tramwaj, napełniając ulicę hukiem i szczękiem. Na trotuarach nie kończący się potok ludzi. Ożywione miasto – to radosny śmiech kobiet, to urywki męskiego basu, to młodzieńczy tenor, to bulgocący chrypliwy głos starca. Potok ludzi nie ustaje, krok ich jest zawsze szybki. Rzęsiście oświetlone tramwaje, błyski latarń samochodowych i wieńce płonących żarówek dokoła reklamy najbliższego kina. I wszędzie ludzie napełniający ulicę nieustannym gwarem. Oto wieczór wielkiego miasta.

Zgiełk i ruch szerokiej ulicy łagodziły rozgoryczenie Pawła

wywołane wiadomością o wyjeździe Żuchraja. Dokąd iść? Wracać na Sołomienkę, gdzie byli przyjaciele – daleko. I jakoś sam wypłynął w myślach dom na niedalekiej stąd ulicy Okrężno-Uniwersyteckiej. Naturalnie pójdzie teraz tam. Przecie po Fiodorze pierwszym towarzyszem, z którym chciałby się zobaczyć, była Rita. Tam u Akima można będzie przenocować.

Już z daleka, w narożnym oknie na górze, ujrzał światło. Starając się zachować spokój, otworzył dębowe drzwi. Na podeście postał chwilę. Za drzwiami w pokoju Rity słychać głosy, ktoś grał na gitarze.

„Oho, więc jest dozwolona i gitara? Regulamin złagodzony" – wywnioskował Korczagin i leciutko stuknął pięścią w drzwi. Czując, że się denerwuje, przycisnął zębami wargę.

Drzwi otworzyła nieznana kobieta, młoda, z loczkami na skroniach. Spojrzała pytającym wzrokiem na Korczagina.

– Wy do kogo?

Nie zamykała drzwi; przelotny rzut oka na obce urządzenie pokoju podsunął Pawłowi odpowiedź.

– Czy można się widzieć z towarzyszką Ustinowicz?

– Nie ma jej, jeszcze w styczniu wyjechała do Charkowa, a stamtąd, jak słyszałam, do Moskwy.

– A towarzysz Akim mieszka tu czy też wyjechał?

– Towarzysza Akima też nie ma. Obecnie jest sekretarzem gubernialnego komitetu młodzieżowego w Odessie.

Pawłowi nie pozostawało nic innego jak odejść. Radość z powrotu do miasta zbladła.

Należało teraz poważnie pomyśleć o noclegu.

– Chodząc tak po przyjaciołach tylko nogi sobie poobijam i nikogo nie spotkam – mruczał chmurnie Korczagin przełamując rozgoryczenie. Jednakże postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia – znaleźć Pankratowa. Tragarz mieszkał w pobliżu przystani i do niego bliżej było niż na Sołomienkę.

Zmordowany, dotarł wreszcie do mieszkania Pankratowa

i stukając w pomalowane niegdyś ochrą drzwi postanowił: „Jeżeli i tego nie zastanę, więcej wałęsać się nie będę. Wejdę pod jakąś łódź i tam przenocuję".

Drzwi otworzyła staruszka w najzwyklejszej, zawiązanej pod brodę chusteczce, matka Pankratowa.

– Ignat w domu, matko?

– Dopiero co przyszedł. A wy do niego?

Nie poznała Pawła i odwracając się zawołała:

– Ignat, tu ktoś do ciebie!

Paweł wszedł z nią do pokoju, położył swój worek na podłodze. Pankratow, który właśnie kończył jedzenie, obrócił się ku niemu nie wstając od stołu.

– Jeżeli masz coś do mnie, siadaj i mów, a ja tymczasem wtrząchnę miskę barszczu, bo od rana jestem tylko o wodzie. – I Pankratow wziął do ręki dużą, drewnianą łyżkę.

Paweł usiadł z boku na przedziurawionym krześle, zdjął z głowy czapkę i z przyzwyczajenia wytarł nią czoło.

„Czyżbym aż tak się zmienił, że nawet Ignat mnie nie poznał?"

Pankratow zjadł parę łyżek barszczu i, nie mając od gościa odpowiedzi, odwrócił ku niemu głowę.

– No gadaj, co tam masz?

Ręka z kawałkiem chleba zatrzymała się w połowie drogi do ust. Pankratow, stropiony, zamrugał.

– E... poczekaj... Tfu, co za licho!

Widząc jego czerwoną z natężenia twarz, Korczagin nie wytrzymał i roześmiał się.

– Pawka! Przecie myśleliśmy, żeś zginął!... Czekaj!... Jak ty się nazywasz?

Na okrzyki Pankratowa z sąsiedniego pokoju wybiegły starsza siostra i matka. Wszyscy troje wreszcie upewnili się, że mają przed sobą prawdziwego Korczagina.

W domu już dawno wszyscy spali, a Pankratow wciąż jeszcze opowiadał o wydarzeniach ostatnich czterech miesięcy.

– Jeszcze w zimie wyjechali do Charkowa Żarki i Mitiaj. I to, szelmy, nie byle gdzie, lecz do uniwersytetu komunistycznego. Wańka i Mitiaj na kurs przygotowawczy.

Zebrało się nas piętnastu. Z rozpędu i ja nasmarowałem zgłoszenie. Trzeba, myślę, do mózgownicy więcej oleju nalać, bo coś go tam mało. Ale, uważasz, w komisji zostawili mnie na lodzie.

Gniewnie zasapał i ciągnął dalej:

– Z początku wszystko dobrze się zapowiadało. Potrzebne punkty pasowały: legitymacja partyjna jest, staż w komórce komsomolskiej dostateczny, pochodzeniem i stanem posiadania nikt mi nosa nie utrze, ale gdy rzecz doszła do egzaminu politycznego, wyszła z tego dla mnie nieprzyjemność.

Pożarłem się z jednym towarzyszem z komisji. Podrzuca mi on takie pytanko: „Powiedzcie, towarzyszu Pankratow, jakie macie wiadomości z filozofii". A wiadomości, rozumiesz, żadnych nie miałem. Ale zaraz sobie przypomniałem, że był u nas tragarz jeden, były gimnazjalista, włóczęga. Tragarzem został dla fasonu. On nam pewnego razu opowiadał: diabli wiedzą, kiedy byli w Grecji tacy uczeni, co to myśleli, że wszystkie rozumy pojedli, nazywano ich filozofami. Jeden taki typek, nazwiska nie pamiętam, zdaje się Ideogen, mieszkał całe życie w beczce i tak dalej... Za najlepszego speca uchodził u nich ten, kto czterdzieści razy dowiedzie, że czarne jest białe, a białe – czarne. Jednym słowem, byli to łgarze. Otóż przypomniałem sobie opowiadanie gimnazjalisty i pomyślałem: „Podchodzi mnie z prawej strony ten członek komisji". A ten z chytrym uśmieszkiem na mnie spogląda. No i palnąłem: „Filozofia – powiadam – to jest jedna bujda i nabieranie. Ja, towarzyszu, zajmować się takimi brechtami nie mam żadnej ochoty. O, jeżeli idzie o historię partii, to rad bym z całej duszy". To oni dawaj mnie piłować, skąd, powiadają, mam takie najnowsze wiadomości o filozofii. Tutaj dodałem jeszcze coś tam ze słów gimnazjalisty, na co cała

komisja w śmiech. Zezłościłem się... „Co – powiadam – wy tutaj wariata ze mnie strugacie?" Za czapkę – i do domu.

Potem mnie ten członek komisji spotkał w komitecie gubernialnym i ze trzy godziny ze mną rozmawiał. Okazuje się, ten gimnazjalista naplątał. Wynika, że filozofia to wielka, mądra rzecz.

A Dubawa i Żarki zdali egzamin. No, Mitiaj to przynajmniej zdrowo się obkuwał, ale Żarki, ten niedaleko ode mnie odjechał. Nic innego, tylko order Wańce pomógł. Jednym słowem, zostałem na lodzie. Tutaj na przystaniach polecono mi kręcić całą gospodarką. Jestem zastępcą naczelnika przystani towarowej. Dawniej, bywało, zawsze użerało się z naczelnikami w różnych sprawach młodzieżowych, a teraz trzeba samemu kierować resortem gospodarczym. Czasami i tak bywa: wałkoń ci się pod rękę nawinie, albo gamoń, to mu zmyjesz głowę i jako naczelnik, i jako sekretarz. Już on mi oczu nie zamydli, co to, to nie. O sobie potem. Jakichże nowin jeszcze ci nie opowiedziałem? O Akimie wiesz. Z dawnych w komitecie gubernialnym tylko Tufta tkwi na tym samym miejscu. Tokariew sekretarzuje w dzielnicowym komitecie partii na Sołomience. W dzielnicowym komitecie młodzieżowym jest Okuniew, ten z twojej komuny. Wydział oświaty politycznej ma Tala. W warsztatach na twoim miejscu jest Cwietajew, mało go znam, spotykamy się na posiedzeniach komitetu gubernialnego, zdaje się, chłopak niegłupi, ale za ambitny. Jeżeli pamiętasz Annę Borhart, jest ona również na Sołomience, jako kierowniczka wydziału kobiecego dzielnicowego komitetu partii. O pozostałych jużem ci opowiadał. Tak, Pawłusza, dużo ludzi partia pcha do nauki. W gubernialnej szkole partyjnej cały stary aktyw ślęczy teraz nad książkami. W przyszłym roku obiecują i mnie posłać.

Zasnęli dobrze po północy. Rano, gdy Korczagin się obudził, Ignata nie było już w domu, poszedł na przystań.

Dusia, jego siostra, krzepka dziewucha podobna z twarzy do brata, poczęstowała gościa herbatą, wesoło trajkocząc

o różnych głupstwach. Ojciec Pankratowa, maszynista okrętowy, był w podróży.

Korczagin zbierał się do wyjścia. Na pożegnanie Dusia przypomniała mu:

– Proszę nie zapominać, że czekamy na was z obiadem.

W komitecie gubernialnym zwykły, ożywiony ruch. Drzwi wejściowe nie odpoczywają. W korytarzach i pokojach pełno ludzi, za drzwiami administracji przygłuszony stuk maszyn do pisania.

Paweł postał w korytarzu rozglądając się, czy nie zobaczy jakiejś znajomej twarzy, i nie spotkawszy nikogo wszedł do pokoju sekretarza. Za wielkim biurkiem siedział w granatowej kosoworotce sekretarz komitetu gubernialnego. Rzucił na Korczagina krótkie spojrzenie i nie podnosząc głowy pisał w dalszym ciągu.

Paweł usiadł naprzeciw niego i uważnie przyglądał się zastępcy Akima.

– W jakiej sprawie? – zapytał sekretarz stawiając kropkę na końcu zapisanego arkusza.

Paweł opowiedział mu swoje dzieje.

– Konieczne jest, towarzyszu, by mnie wskrzeszono w spisach organizacji i skierowano do warsztatów. Wydaj odpowiednie zarządzenie.

Sekretarz oparł się plecami o grzbiet krzesła. Odpowiedział niezdecydowanym tonem:

– Oczywiście przywrócimy ci wszelkie prawa, o tym nie ma co nawet mówić. Ale posłać cię do warsztatów nie wypada, bo tam już pracuje Cwietajew, członek komitetu gubernialnego z ostatnich wyborów. Wykorzystamy cię w innym miejscu.

Oczy zwęziły się Korczaginowi.

– Idę do warsztatów nie po to, by przeszkadzać w pracy Cwietajewowi. Idę do warsztatów pracować w swoim zawo-

dzie, a nie jako sekretarz kolektywu, i póki jestem jeszcze słaby fizycznie, proszę mnie na inną robotę nie posyłać.

Sekretarz zgodził się. Skreślił na papierze kilka słów.

– Oddajcie to towarzyszowi Tufcie, on wszystko załatwi.

W wydziale ewidencyjno-rozdzielczym Tufta beształ niemiłosiernie swego pomocnika prowadzącego ewidencję. Z pół minuty Paweł słuchał ich kłótni, ale widząc, że to się przeciąga, przerwał rozzłoszczonemu kierownikowi wydziału:

– Potem nawymyślasz mu do końca, Tufta. Masz tu kartkę, załatwmy lepiej formalności dotyczące moich dokumentów.

Tufta długo patrzył to na kartkę, to na Korczagina. Wreszcie zrozumiał.

– A więc tyś nie umarł? Cóż teraz będzie? Jesteś wykreślony ze spisów, sam posyłałem do KC kartkę. A poza tym nie jesteś objęty wszechrosyjską ewidencją. Zgodnie z okólnikiem KC Komsomołu wszyscy nie objęci ewidencją są wykreśleni. Dlatego pozostaje ci jedno wyjście – wstąpić na nowo na ogólnych zasadach – wyrzekł Tufta bezapelacyjnym tonem.

Korczagin skrzywił się.

– Ty wciąż po dawnemu? Młody jesteś, a gorszy od starego szczura z gubernialnego archiwum. Kiedy staniesz się człowiekiem, Wołod'ka?

Tufta podskoczył, jak gdyby go pchła ugryzła.

– Proszę mi nie prawić morałów, sam odpowiadam za swoją pracę. Okólniki nie po to są pisane, bym je miał lekceważyć. A za obraźliwe nazwanie mnie „szczurem" pociągnę cię do odpowiedzialności.

Ostatnie słowa Tufta wypowiedział z groźbą w głosie i demonstracyjnie przysunął do siebie stos nie przejrzanej jeszcze poczty; całym swym zachowaniem dawał do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Paweł bez pośpiechu skierował się ku drzwiom, ale nagle coś sobie przypomniał, wrócił do biurka i zabrał leżącą przed Tuftą kartkę od sekretarza. Kierownik wydziału ewidencyj-

no-rozdzielczego obserwował Pawła. Ten zły i swarliwy młody starzec z wielkimi odstającymi uszami był nieprzyjemny, a jednocześnie śmieszny.

– Dobrze – z szyderczym spokojem rzekł Korczagin. – Oczywiście można do mnie przyczepić zarzut „dezorganizowania statystyki", ale powiedz mi, jaki masz sposób na to, żeby nakładać kary na tych, co to wzięli i umarli bez uprzedniego o tym zgłoszenia? Przecie to każdy może zrobić: zechce – zachoruje, zechce – umrze, a okólnika co do tego na pewno nie ma.

– Cha-cha-cha! – zarżał wesoło pomocnik Tufty, nie mogąc dłużej zachować neutralności.

Koniuszek ołówka w ręku Tufty złamał się. Cisnął ołówek na podłogę, lecz nie zdążył odpowiedzieć przeciwnikowi. Do pokoju gromadnie wpadło kilka osób śmiejąc się i głośno rozmawiając. Wśród nich był Okuniew. Radosnym okrzykom zdumienia i rozpytywaniom nie było końca. Po kilku minutach weszła jeszcze inna grupa młodzieży, z nią Jureniewa. Długo z radosnym zmieszaniem ściskała dłoń Korczagina.

Paweł musiał znów opowiadać wszystko od początku. Szczera radość towarzyszy, objawy prawdziwej przyjaźni i współczucia, mocne uściski rąk, ciężkie i przyjazne klepanie po plecach kazały mu zapomnieć o Tufcie.

Pod koniec swej opowieści Korczagin powtórzył towarzyszom swoją rozmowę z Tuftą. Dokoła rozległy się okrzyki oburzenia. Olga, rzuciwszy Tufcie druzgocące spojrzenie, poszła do pokoju sekretarza.

– Chodźmy do Nieždanowa! On mu natrze uszu. – Z tymi słowy Okuniew objął Pawła za ramiona i wraz z gromadą towarzyszy poszli za Olgą.

– Należy go usunąć ze stanowiska i posłać na rok do Pankratowa na przystań jako tragarza. Przecie Tufta to zatwardziały biurokrata! – pieniła się Olga.

Sekretarz komitetu gubernialnego uśmiechał się pobłażli-

wie, wysłuchując żądań Okuniewa, Olgi i innych, by usunąć Tuftę z wydziału ewidencji.

– Co do przywrócenia praw Korczaginowi, to nie ma o czym mówić, natychmiast wypisze mu się legitymację – uspokajał Olgę Nieżdanow. – Zgadzam się z wami, że Tufta jest formalista – mówił dalej. – To jego zasadnicza wada. Trzeba jednak przyznać, że zorganizował swój resort wcale nieźle. Gdziekolwiek pracowałem, wszędzie ewidencja i statystyka w komitetach komsomolskich to dżungla nie do przebycia i nie można wierzyć ani jednej cyfrze. A w naszym wydziale ewidencyjno-rozdzielczym statystyka jest postawiona dobrze. Sami wiecie, że Tufta czasami siedzi do późnej nocy w swym biurze. I ja tak na to patrzę: usunąć go można zawsze, jednak jeżeli zamiast niego będzie sympatyczny chłopak, ale jako kierownik ewidencji do niczego, to biurokratyzmu nie będzie, lecz i ewidencji nie będzie. Niech pracuje. Zmyję mu głowę jak należy. To na pewien czas poskutkuje, a potem zobaczymy.

– Dobrze, pal go sześć – zgodził się Okuniew. – Jedziemy, Pawłusza, na Sołomienkę. Dziś w naszym klubie jest zebranie aktywu. Nikt jeszcze o tobie nie wie i raptem: „Głos ma Korczagin!" Zuch z ciebie, Pawłusza, żeś nie umarł. Jakaż byłaby wówczas z ciebie korzyść dla proletariatu? – żartował Okuniew ogarniając Pawła ramionami i wypychając go na korytarz.

– Olga, a ty przyjdziesz?

– Ma się rozumieć.

Rodzina Pankratowów nie doczekała się przyjścia Korczagina na obiad, nie wrócił również na noc. Okuniew zabrał przyjaciela do swego mieszkania. Miał oddzielny pokój w domu Rady. Nakarmił Pawła, czym tylko mógł, i kładąc na stole przed nim stos gazet i dwie grube księgi protokołów posiedzeń dzielnicowego komitetu młodzieżowego poradził mu:

– Przejrzyj tę całą produkcję. Kiedyś ty marnował czas na tyfus, tutaj niemało wody upłynęło. Czytaj, zapoznaj się z tym, co było i co jest. Pod wieczór przyjdę i zabiorę cię do klubu. Jeżeli się zmęczysz, połóż się i utnij sobie drzemkę.

Napchawszy kieszenie różnymi dokumentami (teczki Okuniew z zasady nie używał, leżała pod łóżkiem) sekretarz komitetu dzielnicowego pokręcił się jeszcze chwilę po pokoju i wyszedł.

Wieczorem, gdy wrócił, podłoga była usłana rozpostartymi gazetami, a kupa książek wyciągnięta spod łóżka. Część ich leżała ułożona w stos na biurku. Paweł siedział na łóżku i czytał ostatnie listy Komitetu Centralnego, znalezione pod poduszką przyjaciela.

– Coś ty, zbóju, zrobił z mojego mieszkania! – zawołał z udanym oburzeniem Okuniew. – Ej, poczekaj, towarzyszu! Toć ty czytasz poufne dokumenty! I wpuść tu takiego do domu!

Paweł uśmiechając się odłożył list na bok.

– W tych akurat nic poufnego nie ma, ale zamiast abażuru wisiał na twojej lampce dokument istotnie poufny. Nawet przypalił się po brzegach. Widzisz?

Okuniew wziął przypalony arkusz i spojrzawszy na nagłówek uderzył się dłonią w czoło.

– A ja go trzy dni szukałem, niech go licho porwie! Zniknął jak kamfora. Teraz przypominam sobie, że Wołyncew trzy dni temu abażur z niego zmajstrował, a potem sam go szukał, aż mu pot oczy zalewał. – Okuniew starannie złożył arkusik i wsunął go pod materac. – Potem wszystko doprowadzimy do porządku – powiedział uspokajająco. – Połkniemy teraz coś – i do klubu. Przysiądź się, Pawłusza!

Okuniew wyładował z kieszeni długą ukleję zawiniętą w gazetę, a z drugiej dwie kromki chleba. Odsunąwszy na brzeg stołu papiery, rozpostarł na wolnym miejscu gazetę, wziął rybę za głowę i zaczął nią walić po stole. Siedząc na

stole, pełen radości życia, pracował energicznie szczękami i przeplatając rzeczową relację żartami opowiadał Pawłowi nowiny.

Okuniew wprowadził Korczagina służbowym wejściem za kulisy. W kącie obszernej sali na prawo od sceny, koło pianina, w ścisłym gronie kolejowej komórki komsomolskiej siedziały Tala Łagutina i Anna Borhart. Naprzeciw Anny, kołysząc się na krześle, siedział Wołyncew – sekretarz organizacji komsomolskiej parowozowni, rumiany jak sierpniowe jabłko, w zniszczonej do ostateczności, niegdyś czarnej skórzanej kurtce. Wołyncew miał włosy koloru pszenicy i takież brwi.

Obok niego, niedbale oparty łokciem o wieko pianina, siedział Cwietajew – przystojny szatyn o ustach ostro zarysowanych. Kołnierz koszuli miał rozpięty.

Podchodząc do tej grupy Okuniew usłyszał koniec zdania Anny:

– Niektórzy pragną za wszelką cenę utrudniać przyjmowanie nowych towarzyszy. Cwietajew znany jest z tego.

– Komsomoł to nie przechodnie podwórze – odezwał się uparcie, z gburowatym lekceważeniem Cwietajew.

– Patrzcie, patrzcie! Mikołaj jaśnieje dziś jak wyczyszczony samowar! – zawołała Tala ujrzawszy Okuniewa.

Okuniewa wciągnięto do kółka i zarzucono pytaniami:

– Gdzieś był?

– Zaczniemy?

Okuniew podniósł uspokajająco rękę.

– Nie gorączkujcie się, bracia. Zaraz przyjdzie Tokariew i zagaimy zebranie.

– Oto i on – odezwała się Anna.

Istotnie szedł ku nim sekretarz dzielnicowego komitetu partii. Okuniew pobiegł na jego spotkanie.

– Chodźmy, ojcze, za kulisy, pokażę ci twego znajomego. Dopiero się zdziwisz!

– Cóż tam takiego znowu? – odburknął stary puszczając dym z papierosa, ale Okuniew ciągnął go już za rękę.

Dzwonek w ręku Okuniewa brzęczał tak rozpaczliwie, że nawet zawzięte gaduły spiesznie kończyły rozmowy.

Za plecami Tokariewa widnieje we wspaniałej ramie z zielonej choiny lwia głowa genialnego twórcy Manifestu komunistycznego. Gdy Okuniew zagajał zebranie, Tokariew patrzył na stojącego w przejściu za kulisy Korczagina.

– Towarzysze! Zanim przystąpimy do omawiania bieżących spraw organizacyjnych, pewien towarzysz prosi o głos poza porządkiem dziennym i my z Tokariewem sądzimy, że należy mu go udzielić.

Na sali rozległy się aprobujące głosy i Okuniew wypalił:

– Głos ma Pawka Korczagin, który powita zebranych.

Ze stu osób na sali co najmniej osiemdziesiąt znało Korczagina, toteż gdy na brzegu rampy ukazała się znajoma postać i wysoki blady młodzieniec zaczął mówić, powitano go w sali radosnymi okrzykami i burzliwą owacją.

– Drodzy towarzysze!

Głos Korczagina był równy, ale nie udało mu się ukryć wzruszenia.

– Tak się stało, przyjaciele, że wróciłem do was i zająłem swoje miejsce w szeregach. Jestem szczęśliwy, że wróciłem. Widzę tutaj wielu moich przyjaciół. Czytałem u Okuniewa, że u nas, na Sołomience, nasze bractwo powiększyło się o jedną trzecią, że w warsztatach i parowozowni z podżegaczami koniec i że z cmentarza lokomotyw wyciąga się trupy do „kapitalnego" remontu. To znaczy, że nasz kraj się odradza i nabiera sił. Jest po co żyć na świecie. No, czyż mogłem umrzeć w takich czasach! – I oczy Korczagina roziskrzyły się szczęśliwym uśmiechem.

Wśród przyjaznych okrzyków Korczagin zszedł na salę, kierując się ku miejscu, gdzie siedziały Anna i Tala. Szybko

uścisnął kilka rąk. Przyjaciele posunęli się i Korczagin usiadł. Dłoń Tali spoczęła na jego ręce i mocno ją uścisnęła.

Szeroko były rozwarte oczy Anny, rzęsy jej lekko drgały, a we wzroku było zdziwienie i radość ze spotkania.

Dni mijały szybko. Nie można było nazwać ich powszednimi. Każdy dzień przynosił coś nowego i układając sobie rano rozkład dnia Korczagin z przykrością stwierdzał, że doba ma za mało godzin i zawsze coś z zamierzonych zajęć pozostanie niewykonane.

Paweł zamieszkał u Okuniewa. Pracował w warsztatach jako pomocnik elektromontera.

Długo spierał się z Mikołajem, zanim uzyskał jego zgodę na swoje chwilowe zrezygnowanie z kierowniczego stanowiska.

– U nas brak ludzi, a ty chcesz zbijać bąki w warsztacie. Nie powołuj się na chorobę, ja sam po tyfusie przez miesiąc chodziłem o lasce do komitetu dzielnicowego. Przecie znam cię, Pawka, tu nie o to chodzi. Powiedz mi otwarcie, co się za tym kryje – nalegał Okuniew.

– Kryje się, Kola, to, że chcę się uczyć.

Okuniew ryknął tryumfalnie:

– Aha!... Tu go boli! Ty chcesz, a ja, według ciebie, nie chcę? To, bracie, egoizm. Więc my będziemy obracać koło, a ty będziesz się uczyć? Nie, kochasiu, zaraz jutro pójdziesz na instruktaż organizacyjny.

Ale po długiej dyskusji Okuniew ustąpił.

– Przez dwa miesiące cię nie ruszę, wiedz, że jestem dobry. Ale z Cwietajewem nie będziesz mógł pracować, on jest okropnie zarozumiały.

Powrót Korczagina do warsztatów Cwietajew przyjął podejrzliwie. Był pewny, że wraz z przyjściem Korczagina zacznie się między nimi walka o kierownicze stanowisko i, chorobliwie ambitny, gotował się do stawiania oporu. Ale już po

kilku dniach przekonał się, że jego przypuszczenia były mylne. Gdy Korczagin dowiedział się, że zarząd kolektywu zamierza dokooptować go jako swego członka, sam przyszedł do pokoju sekretarza odpowiedzialnego i powołując się na uzgodnienie kwestii z Okuniewem uzyskał zdjęcie tego punktu z porządku dziennego. W warsztatowej komórce Komsomołu Korczagin wziął na siebie prowadzenie grupy szkolenia politycznego, ale nie ubiegał się o pracę w zarządzie. Wszelako, pomimo oficjalnego zrzeczenia się kierownictwa, wpływ Pawła wyczuwało się w całej pracy kolektywu. Dyskretnie, po przyjacielsku nieraz pomagał Cwietajewowi wyjść z kłopotliwej sytuacji.

Kiedyś, zaszedłszy do warsztatów, Cwietajew zobaczył ze zdumieniem, jak cała komórka młodzieżowa i ze trzydziestu bezpartyjnych myje okna, czyści maszyny zeskrobując z nich wieloletni brud, wynosząc na dwór złom i rupiecie. Paweł szorował zawzięcie wielką ostrą szczotką cementową podłogę, zalaną smarami i tłuszczem.

– Z jakiej to okazji takie porządki? – zapytał Pawła zdziwiony Cwietajew.

– Nie chcemy pracować w brudzie. Tutaj ze dwadzieścia lat nikt nie sprzątał, my za tydzień doprowadzimy warsztat do takiego stanu, że będzie jak nowy – odpowiedział mu zwięźle Korczagin.

Cwietajew wyszedł wzruszając ramionami.

Elektrotechnicy nie poprzestali na tym i zabrali się do podwórza. To wielkie podwórze było od dawna składnicą wszelkiego złomu. Czego tam nie było! Setki części wagonów, całe góry zardzewiałego żelastwa, szyny, bufory, panewki osiowe – kilka tysięcy ton metalu rdzewiało pod gołym niebem. Ale natarcie na ten wielki śmietnik powstrzymała administracja:

– Są ważniejsze zagadnienia, a z uporządkowaniem podwórza nie pali się.

Wtedy elektrycy wybrukowali cegłami placyk przed wejś-

ciem do swego warsztatu, gdzie umieścili drucianą siatkę do wycierania nóg z błota, i na tym poprzestali. Ale wewnątrz warsztatu wieczorami po robocie porządki trwały dalej. Kiedy po tygodniu zajrzał tutaj naczelny inżynier Stryż, cały warsztat był zalany światłem. Ogromne okna w żelaznych ramach, uwolnione od stuletniego kurzu zmieszanego ze smarem, otworzyły drogę promieniom słońca, które przenikając do hali maszyn odbijały się teraz jaskrawo w oczyszczonych miedzianych częściach silników. Ciężkie części maszyn były pomalowane zieloną farbą i nawet na szprychach kół ktoś wyrysował starannie żółte strzałki.

– No, no... – zdziwił się Stryż.

W odległym kącie warsztatu kilku ludzi kończyło pracę. Stryż tam poszedł. W jego stronę szedł z puszką rozpuszczonej farby Korczagin.

– Poczekajcie no, moi drodzy – zatrzymał go inżynier. – Pochwalam to, co robicie. Ale kto dał wam farbę? Przecie zabroniłem bez mego pozwolenia używać jej: tego materiału brak. Pomalowanie części lokomotywy jest ważniejsze od tego, co wy robicie.

– Farbę zdobyliśmy z wyrzuconych puszek po farbie. Dwa dni dłubaliśmy w starych puszkach i naskrobaliśmy ze dwadzieścia pięć funtów. To jest wszystko według prawa, towarzyszu kierowniku techniczny.

Inżynier jeszcze raz chrząknął, ale już zdetonowany.

– W takim razie, oczywiście, róbcie. No, no... Jednak to ciekawe... Czym sobie wytłumaczyć takie, jakby to powiedzieć, dobrowolne dążenie do czystości w warsztacie? Przecie zrobiliście to poza godzinami pracy?

Korczagin pochwycił w głosie kierownika technicznego nutkę szczerego zdziwienia.

– Oczywiście. A jakeście myśleli?

– Tak, ale...

– Otóż macie to „ale", towarzyszu Stryż. Kto wam powiedział, że bolszewicy pozostawią ten brud w spokoju? Poczę-

kajcie, my tę akcję rozhuśtamy mocniej. Będziecie jeszcze mieli na co popatrzeć i czemu się dziwić.

I ostrożnie obchodząc inżyniera, żeby go nie powalać farbą, Korczagin poszedł ku drzwiom.

Wieczorami do późna przesiadywał w bibliotece publicznej. Zawarł tu trwałą znajomość ze wszystkimi trzema bibliotekarkami i stosując wszystkie chwyty propagandy uzyskał wreszcie upragnione prawo swobodnego szperania w książkach. Paweł przystawiał drabinkę do ogromnych szaf bibliotecznych i godzinami siedział na niej, przeglądając książkę po książce w poszukiwaniu czegoś ciekawego i potrzebnego. Przeważnie były to książki stare. Nowa literatura mieściła się skromnie w jednej niewielkiej szafie. Stały tu przypadkowo zebrane broszury z okresu wojny domowej, „Kapitał" Marksa, „Żelazna stopa" i jeszcze trochę książek. Wśród starych książek Korczagin znalazł powieść „Spartakus". Pochłonąwszy ją w ciągu dwóch nocy, przeniósł do szafy i postawił obok książek Gorkiego. Takie przenoszenie najciekawszych i najbliższych mu książek na inne miejsca trwało cały czas.

Bibliotekarki nie przeszkadzały mu w tym – było im to obojętne.

Jednostajny spokój w komsomolskim kolektywie zmąciło poważnie błahe, jak się z początku wydawało, zdarzenie: członek zarządu komórki warsztatu zajmującego się średnim remontem, Kostek Fidin, dziobaty, ospały chłopak o zadartym nosie, borując żelazną płytę złamał kosztowne amerykańskie wiertło. Złamał przez swe oburzające niedbalstwo. Gorzej jeszcze – prawie naumyślnie. Stało się to z rana. Starszy majster średniego remontu, Chodorow, polecił Kostkowi wyborować w płycie kilka dziur. Kostek z początku wymawiał się, ale wobec nalegań majstra wziął płytę i zaczął borować. Chodorowa nie lubiano w warsztacie, był swarliwy i wymagający.

Niegdyś był mienszewikiem. W życiu społecznym nie brał żadnego udziału, na komsomolców patrzył krzywo, ale fach swój znał wybornie i obowiązki spełniał sumiennie. Majster zauważył, że Kostek boruje „na sucho", nie zwilżając wiertła oliwą, podszedł szybko do wiertarki i zatrzymał ją.

– Czyś ty oślepł, czy co? A możeś dopiero wczoraj tutaj przyszedł?! – krzyknął na Kostka wiedząc, że wiertło używane w ten sposób musi się zepsuć.

Ale Kostek zwymyślał majstra i znowu uruchomił wiertarkę. Chodorow poszedł na skargę do kierownika warsztatu, a Kostek, nie zatrzymawszy maszyny, pobiegł szukać oliwiarki, aby przed przyjściem administracji wszystko było w należytym porządku. Zanim znalazł oliwiarkę i wrócił, wiertło się złamało. Kierownik warsztatu złożył raport z żądaniem zwolnienia Fidina. Zarząd komórki komsomolskiej ujął się za Fidinem, opierając się na tym, że Chodorow gnębi aktyw młodzieżowy. Administracja nalegała i rozpatrzenie tej sprawy przeszło do zarządu kolektywu. Od tego właśnie zaczęła się chryja.

Z pięciu członków zarządu trzech było za tym, by Kostkowi udzielić nagany i przenieść go na inną robotę. Wśród nich był Cwietajew. Dwóch zaś w ogóle uważało, że Kostek nie zawinił.

Posiedzenie zarządu odbywało się w pokoju Cwietajewa. Stał tutaj duży stół pokryty czerwoną tkaniną, kilka długich ławek i stołków własnoręcznie sporządzonych przez chłopców z warsztatu stolarskiego, na ścianach portrety wodzów, za stołem na całej ścianie rozpięty sztandar kolektywu.

Cwietajew był oddelegowanym do pracy społecznej robotnikiem. Kowal z zawodu, w ciągu ostatnich czterech miesięcy dzięki swoim zdolnościom wysunął się na kierownicze stanowisko w kolektywie młodzieżowym. Został członkiem zarządu dzielnicowego komitetu młodzieżowego i wchodził w skład komitetu gubernialnego. Jako kowal pracował w fabryce mechanicznej, w warsztatach zaś był nowicjuszem. Zaraz od

pierwszych dni mocno ujął cugle w garść. Pewny siebie i stanowczy, od razu stłumił osobistą inicjatywę chłopców, sam rwał się do wszystkiego i nie opanowawszy całkowicie pracy zaczynał gromić swych pomocników za nieróbstwo.

Nawet dekorowania swego pokoju doglądał osobiście.

Cwietajew przewodniczył posiedzeniu, rozparty na jedynym miękkim fotelu, przyniesionym tutaj ze świetlicy. Obrady były poufne. Gdy instruktor partyjny Chomutow poprosił o głos, do drzwi zamkniętych na haczyk ktoś zastukał. Cwietajew zmarszczył się, niezadowolony. Stukanie powtórzyło się. Katiusza Zielenowa wstała i odrzuciła haczyk. Za drzwiami stał Korczagin. Katiusza wpuściła go.

Paweł już szedł ku wolnej ławce, gdy Cwietajew zawołał do niego:

– Korczagin! Obecnie mamy posiedzenie poufne.

Paweł oblał się pąsem i powoli obrócił się w stronę prezydium.

– Wiem o tym. Interesuje mnie wasza opinia w sprawie Kostka. W związku z tym chcę wysunąć nową kwestię. A ty masz coś przeciw mojej obecności tutaj?

– Nie mam, ale wiadomo ci przecie, że na posiedzeniach zamkniętych są obecni tylko członkowie zarządu. Gdy jest dużo osób, trudniej obradować. Skoro jednak już przyszedłeś – siadaj.

Taki policzek otrzymał Korczagin po raz pierwszy. Na czole między brwiami zarysowała mu się fałda.

– Po co takie formalności? – wyraził swoje niezadowolenie Chomutow, ale Korczagin powstrzymał go gestem i usiadł na stołku. – Oto co chciałem wam powiedzieć – mówił Chomutow. – Co do Chodorowa, to istotnie ten człowiek stoi na uboczu, ale u nas z dyscypliną pracy niedobrze się dzieje. Jeżeli tak wszyscy komsomolcy zaczną łamać wiertła, nie będziemy mieli czym pracować. A już dla bezpartyjnych jest to przykład fatalny. Sądzę, że chłopakowi należy dać ostrzeżenie.

Cwietajew nie dał mu dokończyć i zaczął oponować. Po dziesięciu minutach przysłuchiwania się obradom Korczagin zrozumiał stanowisko zarządu. Gdy miano już przystąpić do głosowania, zgłosił chęć wypowiedzenia się w tej sprawie. Cwietajew przemógłszy się udzielił mu głosu.

– Chcę powiedzieć wam, towarzysze, swoje zdanie w sprawie Kostka.

Głos Korczagina był ostrzejszy, niż sam tego pragnął.

– Sprawa Kostka to sygnał, ale nie o Kostka tu chodzi. Zebrałem wczoraj trochę cyfr. – Paweł wyjął z kieszeni notes. – Dał mi je ten, co sporządza tabele statystyczne. Posłuchajcie uważnie: dwadzieścia trzy procent komsomolców co dzień spóźnia się do pracy od pięciu do piętnastu minut. To już stało się regułą. Siedemnaście procent komsomolców systematycznie opuszcza jeden do dwóch dni w miesiącu, gdy tymczasem młodzież bezpartyjna ma czternaście procent bumelantów. Cyfry gorsze od bata. Przy okazji zapisałem jeszcze coś niecoś: spośród członków partii cztery procent opuszcza pracę jeden dzień w miesiącu i spóźnia się też cztery procent. Wśród bezpartyjnych dorosłych mamy jedenaście procent opuszczających jeden dzień w miesiącu i spóźniających się trzynaście procent. Co do uszkodzeń narzędzi – dziewięćdziesiąt procent przypada na młodzież, z tego świeżo przyjętych do pracy jest siedem procent. Stąd wniosek: pracujemy znacznie gorzej od członków partii i dorosłych robotników. Ale ta sytuacja nie wszędzie jest jednakowa. Kuźni można tylko pozazdrościć, u elektryków rzecz wygląda zadowalająco, a w innych warsztatach jest mniej więcej równo. Moim zdaniem, towarzysz Chomutow powiedział o dyscyplinie zaledwie czwartą część tego, co można by powiedzieć. Przed nami stoi zadanie wyprostowania tych zygzaków. Nie będę agitował ani urządzał wieców, lecz musimy z całą zaciętością zwalczać niedbalstwo i opieszałość w pracy. Starzy robotnicy wprost mówią: dla właściciela pracowaliśmy lepiej, dla kapitalisty pracowaliśmy sprawniej, a teraz kiedy sami jesteśmy właści-

cielami, nie ma na to usprawiedliwienia. I przede wszystkim winien jest nie tyle Kostek czy tam ktoś inny, lecz my sami, ponieważ nie tylko nie walczyliśmy z tym złem jak należy, lecz przeciwnie, pod tym lub owym pretekstem czasami broniliśmy takich Kostków.

Przed chwilą mówił tutaj Samochin i Butylak, że Fidin to swój chłopak. Jak to się mówi – „swój całą gębą": aktywista, pracuje społecznie. No, złamał wiertło – wielka mi rzecz, komu to się nie przytrafi. Za to nasz chłopak, a majster – obcy człowiek... Chodorowa nikt nie stara się przyciągnąć... Ten gderacz ma za sobą trzydzieści lat praktyki w swoim zawodzie! Nie będziemy mówili o jego politycznym nastawieniu. W danym wypadku ma rację: on, obcy człowiek, pilnuje dobra państwowego, a my marnujemy zagraniczne narzędzia. Jak nazwać taki stan rzeczy? Uważam, że winniśmy zaraz wymierzyć pierwsze uderzenie i zacząć atak na tym odcinku pracy.

Proponuję: Fidina, jako wałkonia, niedbalucha i dezorganizatora produkcji, usunąć z Komsomołu. O jego sprawie napisać do gazetki ściennej i otwarcie, nie bojąc się żadnych gadań, zamieścić te oto cyfry w artykule wstępnym. Mamy dość sił, mamy na kim się oprzeć. Podstawowa masa komsomolców to dobrzy pracownicy produkcji. Sześćdziesięciu z nich przeszło przez Bojarkę, a ta szkoła jest najpewniejsza. Przy ich pomocy i z ich udziałem zygzaki, o których mówiłem, wyprostujemy. Trzeba tylko raz na zawsze wyrzec się takiego stawiania sprawy, jakie widzimy obecnie.

Zazwyczaj spokojny i milczący Korczagin mówił teraz z przejęciem i ostro. Cwietajew po raz pierwszy zobaczył prawdziwe oblicze elektryka. Uświadamiał sobie, że Paweł miał słuszność, jednak zgodzić się z nim nie pozwalała mu podejrzliwość. Przyjął wystąpienie Korczagina jako ostrą krytykę ogólnego stanu organizacji, jako podrywanie jego, Cwietajewa, autorytetu i postanowił rozprawić się z monte-

rem. Swoją replikę zaczął po prostu od oskarżenia Korczagina o branie w obronę mienszewika Chodorowa.

Trzy godziny trwała namiętna dyskusja. Późnym wieczorem podsumowano jej wyniki: pobity nieubłaganą logiką faktów, utraciwszy większość, która przeszła na stronę Korczagina, Cwietajew zrobił fałszywy krok – sprzeniewierzył się zasadom demokracji: przed decydującym głosowaniem poprosił Korczagina, by wyszedł z pokoju.

– Dobrze, wyjdę, chociaż ci to nie przynosi zaszczytu, Cwietajew. Tylko uprzedzam cię, że jeżeli mimo wszystko postawisz na swoim, jutro poruszę tę sprawę na zebraniu ogólnym i – jestem tego pewny – tam większości nie zdobędziesz. Nie masz racji, Cwietajew. Sądzę, towarzyszu Chomutow, że jesteś obowiązany przenieść tę sprawę na kolektyw partyjny jeszcze przed zebraniem ogólnym.

Cwietajew zawołał wyzywająco:

– Czym chcesz mnie zastraszyć?! Bez ciebie znam drogę, my i o tobie tam pogadamy. Skoro sam nie pracujesz, to nie przeszkadzaj innym.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Paweł potarł dłonią gorące czoło i poszedł przez pustą kancelarię do wyjścia. Na ulicy odetchnął pełną piersią. Zapalił papierosa i skierował się w stronę małego domku na górze Batyja, gdzie mieszkał Tokariew.

Korczagin zastał ślusarza przy kolacji.

– Opowiadaj. Posłuchamy, co tam u was słychać. Dario, przynieś no mu miskę kaszy – mówił Tokariew sadzając Pawła przy stole.

Daria Fominiszna, żona Tokariewa, w przeciwieństwie do męża rosła, tęga, postawiła przed Pawłem talerz jaglanej kaszy i wycierając białym fartuchem wilgotne wargi rzekła dobrodusznie:

– Jedz, kochasiu...

Dawniej, gdy Tokariew pracował w warsztatach, Korczagin

przesiadywał tutaj do późna, ale od chwili swego powrotu do miasta był u starego po raz pierwszy.

Ślusarz uważnie słuchał Pawła, sam nic nie mówił, gorliwie pracował łyżką, pomrukując pod nosem. Uporawszy się z kaszą, wytarł chustką wąsy i odchrząknął.

– Oczywiście masz rację. Już dawno powinniśmy postawić tę sprawę jak należy. Warsztaty to podstawowy kolektyw w dzielnicy, od tego trzeba zaczynać. A więc, poczubiłeś się z Cwietajewem? To niedobrze. Chłopak z niego zadziorny, ale tyś przecie umiał pracować z kolegami? Powiedz mi przy okazji, co ty robisz w warsztatach?

– Pracuję w oddziale maszyn. Poza tym kręcę się trochę wszędzie. U siebie, w komórce komsomolskiej, prowadzę szkolenie polityczne.

– A co robisz w zarządzie kolektywu?

Korczagin się trochę stropił.

– Z początku sił miałem mało, no i chciałem się poduczyć i dlatego nie brałem oficjalnie udziału w kierownictwie.

– Otóż to właśnie! – z przyganą zawołał Tokariew. – Wiesz co, synku, jedna tylko rzecz chroni cię przed porządną burą – twoje nadwątlone zdrowie. A jak jest teraz, czyś już trochę przyszedł do siebie?

– Owszem.

– No więc bierz się serio do roboty. Nie ma co cedzić wody. Czy kto widział, żeby stojąc na uboczu można było coś zdziałać?! Byle kto ci powie, że wykręcasz się od odpowiedzialności, i co będziesz miał na usprawiedliwienie? Jutro wszystko tam napraw, a ja Okuniewowi natrę uszu – z pewnym niezadowoleniem w głosie zakończył Tokariew.

– Nie ruszaj go, ojciec – wstawił się za nim Paweł – sam prosiłem go, żeby mnie nie obarczał.

Tokariew gwizdnął pogardliwie.

– Prosiłeś, a on uległ? No dobrze, co z wami, komsomolcami, można zrobić... A teraz, synku, starym zwyczajem, poczytałbyś mi gazetę... Coś mi oczy nie dopisują.

Egzekutywa partyjna zaaprobowała zdanie większości zarządu Komsomołu. Kolektyw partyjny i młodzieżowy stanął przed ważnym i trudnym zadaniem: osobistą postawą dać przykład dyscypliny pracy. Cwietajewa na posiedzeniu egzekutywy porządnie skrytykowano. Z początku zacietrzewił się, ale przyparty do muru wystąpieniem pierwszego sekretarza Łopachina, starszego człowieka o żółtobladej twarzy, trawionego przez gruźlicę, skapitulował i częściowo do błędu się przyznał.

Nazajutrz w warsztatowych gazetkach ściennych ukazały się wypowiedzi, które przykuły uwagę robotników. Czytano je na głos i gorąco komentowano. Wieczorem, na niezwykle licznym zebraniu Komsomołu, o niczym innym nie mówiono.

Kostka wydalono, a do zarządu wprowadzono nowego towarzysza, nowego kierownika sekcji polityczno-oświatowej – Korczagina.

Niezwykle spokojnie i cierpliwie słuchano Nieżdanowa. Mówił on o nowych zadaniach, o nowym etapie, na który wkraczały warsztaty kolejowe.

Po zebraniu Korczagin czekał na ulicy na Cwietajewa.

– Chodźmy razem, mamy o czym ze sobą pogadać – zwrócił się do niego.

– O czym to mamy ze sobą mówić? – zapytał głuchym głosem Cwietajew.

Paweł ujął go pod rękę i po przejściu z nim kilku kroków zatrzymał się przy ławce.

– Siądźmy na chwilę. – I siadł pierwszy.

Ogieniek papierosa Cwietajewa to rozjarzał się, to przygasał.

– Powiedz mi, dlaczego masz mnie na wątrobie? – rzucił pytanie Korczagin.

Kilka chwil milczenia.

– Ach, ty o tym, a ja myślałem, że idzie o jakąś sprawę!

Głos Cwietajewa był nierówny, sztucznie zdziwiony.

Paweł położył mu dłoń na kolanie.

– Przestań, Dimka, udawać. To tylko dyplomaci tak się wykręcają. Odpowiedz mi wprost: dlaczego tak ci nie przypadłem do gustu?

Cwietajew poruszył się niecierpliwie.

– Czegoś się przyczepił? Jakie tam „na wątrobie"! Sam przecież proponowałem ci współpracę, odmówiłeś, a teraz to niby wychodzi, że to ja cię odpycham.

Paweł nie wyczuł w jego głosie szczerości i, nie zdejmując ręki z kolana zaczął mówić w podnieceniu.

– Nie chcesz odpowiadać – to ja sam powiem. Myślisz, że wejdę ci w drogę, myślisz, że marzę o stanowisku sekretarza Komsomołu. Przecie gdyby nie to, nie byłoby starcia z powodu Kostka. Takie stosunki zniekształcają całą pracę. Gdyby to przeszkadzało tylko nam dwóm, pal diabli, byłoby nieważne, myśl sobie, co chcesz. Ale przecie my od jutra mamy pracować we dwójkę. Co z tego wyniknie? Więc posłuchaj. Nie mamy się czym dzielić. Obaj jesteśmy robociarze. Jeżeli nasza sprawa droższa ci ponad wszystko, dasz mi łapę i zaraz jutro zaczniemy współpracować po przyjacielsku. A jeżeli tych wszystkich bzdur nie wybijesz sobie z głowy i wybierzesz niesnaski, to o każdą dziurę w robocie, która z tego wyniknie, będziemy się bić. Masz moją rękę, bierz ją, póki jest to ręka towarzysza.

Z dużą satysfakcją poczuł Korczagin w swej dłoni twardą rękę Cwietajewa.

Minął tydzień. W dzielnicowym komitecie partii kończyła się praca. Robiło się cicho w wydziałach. Ale Tokariew jeszcze nie wychodził z biura. Staruszek siedział w fotelu, w skupieniu czytając nadesłane nowe materiały. Zastukano do drzwi.

– Aha! – odpowiedział Tokariew.

Wszedł Korczagin i położył przed sekretarzem dwie wypełnione ankiety.

– Co to takiego?

– To jest, ojcze, likwidacja braku odpowiedzialności. Sądzę, że już czas. Jeżeli i ty jesteś tego samego zdania, proszę cię o poparcie.

Tokariew spojrzał na nagłówek, potem, popatrzywszy chwilę na młodzieńca, w milczeniu wziął do ręki pióro. I w rubryce, gdzie była mowa o stażu partyjnym osób polecających towarzysza Korczagina Pawła Andrejewicza jako kandydata RKP(b), pewną ręką wpisał „rok 1903" i złożył swój niewymyślny podpis.

– Masz, synku. Wierzę, że nigdy nie ściągniesz hańby na moją siwą głowę.

W pokoju duszno i myśli się tylko o jednym: jak najprędzej wyrwać się tam, w kasztanowe aleje przydworcowej Sołomienki.

– Kończ, Pawka, już nie mam więcej sił – odezwał się błagalnie zlany potem Cwietajew. Katiusza wraz z pozostałymi poparli go.

Korczagin zamknął książkę. Kółko skończyło na dzisiaj pracę.

Gdy wstali całą gromadą, na ścianie zabrzęczał niespokojnie stary erickson. Starając się przekrzyczeć rozmawiających w pokoju, Cwietajew porozumiewał się z kimś przez telefon.

Powiesiwszy słuchawkę zwrócił się do Korczagina:

– Na dworcu stoją dwa wagony dyplomatyczne polskiego konsulatu. Zgasło im światło, pociąg odchodzi za godzinę, trzeba naprawić instalację. Weź, Pawle, skrzynkę z narzędziami i zajdź tam. Sprawa pilna.

Dwa lśniące wagony komunikacji międzynarodowej stały przy pierwszym peronie dworca. Wagon-salonka o szerokich oknach był rzęsiście oświetlony, ale następny tonął w ciemnościach.

Paweł podszedł do wspaniałego pulmana i ujął ręką za poręcz, zamierzając wejść do wagonu.

Od budynku dworca szybko odłączył się jakiś człowiek i ujął go za ramię.

– Wy dokąd, obywatelu?

Znajomy głos. Paweł obejrzał się. Skórzana kurtka, szeroki daszek czapki, cienki, trochę garbaty nos, spojrzenie czujne i nieufne.

Artiuchin dopiero teraz poznał Pawła – ręka zsunęła się z ramienia, twarz straciła wyraz oschłości, ale wzrok, utkwiony w skrzynkę, był nadal pytający.

– Dokądżeś to szedł?

Paweł objaśnił mu w kilku słowach. Spoza wagonu wyłoniła się druga postać.

– Zaraz sprowadzę ich konduktora.

W salonce, dokąd Korczagin wszedł za konduktorem, siedziało kilka osób w wytwornych ubraniach podróżnych. Przy stole, przykrytym jedwabną serwetą w róże, tyłem do drzwi siedziała kobieta. Gdy Korczagin wchodził, rozmawiała z wysokim oficerem stojącym przed nią. Gdy tylko monter wszedł, rozmowa się urwała.

Korczagin szybko obejrzał przewody idące od ostatniej lampy na korytarz, stwierdził, że są w porządku, i wyszedł z salonki, aby w dalszym ciągu szukać uszkodzenia. Za nim nieodstępnie szedł otyły konduktor, o szyi boksera, w mundurze ozdobionym mosiężnymi guzami z jednogłowym orłem.

– Przejdźmy do sąsiedniego wagonu, tutaj wszystko w porządku, akumulator działa. Uszkodzenie jest, widać, tam.

Konduktor przekręcił klucz w drzwiach i weszli do ciemnego korytarza. Oświetlając latarką przewód Paweł wkrótce znalazł miejsce krótkiego spięcia. Po kilku minutach zapaliła się pierwsza żarówka w korytarzu, zalewając go matowobladym światłem.

– Trzeba otworzyć przedział i zmienić tam przepalone ża-

rówki – zwrócił się Korczagin do towarzyszącego mu konduktora.

– W takim razie trzeba zawołać panią, ona ma klucz. – I konduktor, nie chcąc zostawić Korczagina samego, zabrał go ze sobą.

Do przedziału weszła najpierw kobieta, za nią Korczagin. Konduktor pozostał w drzwiach i zakorkował je swoim ciałem. Pawłowi rzuciły się w oczy dwie wytworne skórzane walizy, leżące na siatkach, jedwabny płaszcz niedbale rzucony na kanapę, flakon perfum i miniaturowa puderniczka z malachitu na stoliku przy oknie. Kobieta siadła w kącie kanapy i poprawiając włosy koloru lnu obserwowała pracę montera.

– Niech mi pani pozwoli na chwilę odejść: pan major chce zimnego piwa – rzekł służalczo konduktor, z trudem zginając w ukłonie swój byczy kark.

Kobieta przesadnie śpiewnym głosem odpowiedziała:

– Może pan iść.

Rozmawiali po polsku.

Smuga światła z korytarza padała na ramię kobiety. Wytworna suknia tej pani, uszyta z najcieńszego lionskiego jedwabiu w pierwszorzędnej paryskiej pracowni, pozostawiała obnażone ramiona i ręce. W małym uszku, mieniąc się ogniem, kołysał się brylant w kształcie kropli. Korczagin widział tylko ramię i rękę kobiety, jakby utoczone z kości słoniowej. Twarz była w cieniu. Szybko pracując śrubokrętem Paweł zmienił na suficie rozetkę i po chwili w przedziale zapłonęło światło. Pozostała do obejrzenia druga żarówka – nad kanapą, na której siedziała kobieta.

– Muszę sprawdzić jeszcze tę żarówkę – rzekł Korczagin zatrzymując się przed nią.

– Ach tak, ja wam przeszkadzam – czystym rosyjskim językiem odrzekła pani, wstała lekko z kanapy i stanęła prawie obok Korczagina. Teraz było ją widać całą. Znane mu strzeliste linie brwi i wyniośle zaciśnięte usta. Nie było żadnych

wątpliwości: przed nim stała Nelli Leszczyńska. Córka adwokata nie mogła nie zauważyć jego zdziwionego spojrzenia. Ale choć Korczagin ją poznał, Leszczyńska nie zorientowała się, że ten monter to zmężniały przez ostatnie cztery lata jej dawny niespokojny sąsiad.

Unosząc pogardliwie brwi w odpowiedzi na jego zdziwione spojrzenie, podeszła do drzwi przedziału i zatrzymała się, niecierpliwie postukując czubkiem lakierowanego pantofelka. Paweł zabrał się do drugiej żarówki. Odkręcił lampkę, spojrzał na nią pod światło i nieoczekiwanie dla siebie, a tym bardziej dla Leszczyńskiej, zapytał po polsku:

– Wiktor też tu jest?

Pytając Korczagin nie obrócił się. Nie widział twarzy Nelli, ale długotrwałe milczenie świadczyło o jej zmieszaniu.

– Czyż wy go znacie?

– Nawet dobrze znam. Przecież byliśmy sąsiadami. – Paweł obrócił się ku niej.

– Jesteście Paweł, syn?... – Nelli zająknęła się.

– Kucharki – podpowiedział jej Paweł.

– Jakżeście wyrośli! Pamiętam was jako dzikiego chłopca.

Nelli bez ceremoni przyglądała mu się od stóp do głów.

– A czemu interesuje was Wiktor? O ile pamiętam, darliście koty ze sobą – powiedziała Nelli swym śpiewnym sopranem, spodziewając się, że nieoczekiwane spotkanie rozproszy jej nudę.

Śrubokręt szybko wkręcał w ścianę śrubkę.

– Wiktor nie spłacił mi długu. Gdy pani się z nim zobaczy, proszę mu powiedzieć, że nie tracę nadziei porachowania się z nim.

– Proszę powiedzieć, ile jest wam dłużny, to zapłacę za niego.

Rozumiała, o jakim „porachunku" mówił Korczagin. Była jej znana cała historia z petlurowcami, ale chęć podrażnienia tego „chama" popychała ją do drwin.

Korczagin milczał.

– Proszę mi powiedzieć: czy to prawda, że nasz dom jest splądrowany i w ruinie? Na pewno altanka i wszystkie klomby są zniszczone? – ze smutkiem spytała Nelli.

– Dom jest teraz nasz, a nie wasz i nie mamy żadnego interesu w tym, by go rujnować.

Nelli uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Oho, was widocznie też nauczyli! Ale nawiasem mówiąc, to jest wagon misji polskiej i w tym przedziale ja jestem panią, a wy jak byliście niczym, tak pozostaliście. Wy i teraz pracujecie, żebym ja miała światło, żebym mogła sobie wygodnie czytać na tej oto kanapie. Dawniej wasza matka prała nam bieliznę, a wy nosiliście wodę. Teraz spotykamy się znowu w podobnych warunkach.

Nelli mówiła z tryumfującą zjadliwością. Paweł, oczyszczając nożykiem koniuszek przewodu, patrzył na nią z nieukrywanym szyderstwem.

– Dla was, paniusiu, nie wbiłbym nawet zardzewiałego gwoździa, ale skoro burżuje wymyślili dyplomatów, trzymamy fason i nie rąbiemy im głów, nawet się po chamsku nie zachowujemy, nie przymierzając jak pani.

Policzki Nelli oblały się pąsem.

– Wyobrażam sobie, co byście ze mną zrobili, gdyby udało się wam zdobyć Warszawę. Porąbalibyście mnie zapewne na kotlet lub wzięlibyście mnie siłą.

Stała we drzwiach, przegięta z gracją; jej zmysłowe nozdrza drgały. Nad kanapą zabłysło światło. Paweł wyprostował się.

– Komu pani potrzebna?

Skrzynka w rękach, dwa kroki do drzwi. Nelli odsunęła się i już w końcu korytarza usłyszał jej zdławiony okrzyk:

– Przeklęty bolszewik!

Nazajutrz, gdy Korczagin szedł do biblioteki, spotkał się na ulicy z Katiuszą. Łapiąc go za rękaw bluzy Zielenowa żartobliwie zagrodziła mu drogę.

– Dokąd lecisz, polityko i oświato?

– Do biblioteki, mamusiu, przepuść – odpowiedział jej tym samym tonem Korczagin, wziął ją delikatnie za ramiona i ostrożnie odsunął. Uwolniwszy się z jego rąk Katiusza poszła z nim i kroczyła obok niego.

– Słuchaj, Pawłusza! Nie można przecie wciąż się uczyć... Wiesz co? Chodźmy dziś na wieczorek. U Ziny Gładysz zbierają się dzisiaj znajomi. Dziewczęta dawno już mnie prosiły, żeby cię przyprowadzić. Tyś przecie zakopał się w samej polityce. Nie chce ci się trochę rozerwać? No, nie będziesz dziś czytał – wielka rzecz, głowa ci odpocznie – nalegała Katiusza.

– Co to za wieczorek? Co tam będziecie robić?

Katiusza przedrzeźniała:

– Co będziemy robić? Przecież nie modlić się, a po prostu wesoło spędzimy czas. Wiem, że grasz na akordeonie. A ja ani razu cię nie słyszałam. No, zrób mi tę przyjemność. Wuj Zinki ma akordeon, ale gra kiepsko. Dziewczęta się tobą interesują, a ty ślęczysz nad książką. Gdzie jest napisane, że komsomolcowi nie wolno się zabawić? Chodźmy, póki mi się nie znudziło cię namawiać, bo się pogniewam na cały miesiąc.

Malarka Katia o wielkich oczach to dobra towarzyszka i niezgorsza komsomołka. Korczagin nie chciał dziewczyny obrazić i zgodził się, choć było mu trochę głupio.

W mieszkaniu maszynisty kolejowego Gładysza było rojno i gwarno. Starsi, żeby nie przeszkadzać młodzieży, przeszli do drugiego pokoju, a w pierwszym, dużym, i na werandzie wychodzącej na mały ogródek zebrało się z piętnaścioro chłopców i dziewcząt. Gdy Katiusza zaprowadziła Pawła przez ogródek na werandę, tam bawiono się w „karmienie gołębi". Na środku werandy stały dwa krzesła przystawione do siebie oparciami. Gospodyni kierująca grą zapraszała na

krzesła chłopca i dziewczynę. Potem wołała: „karmcie gołębie!" – i siedzący tyłem do siebie obracali głowy, usta ich się spotykały i oni całowali się na oczach wszystkich. Potem grano w „pierścionek", w „pocztyliona", a w każdej z tych gier musiały być pocałunki, przy czym w „pocztylionie", by uniknąć kontroli towarzystwa, całowanie się przenoszono z oświetlonej werandy do pokoju, gdzie na ten czas gaszono światło. Dla tych, których owe gry nie nęciły, przygotowano na okrągłym stoliku w kącie stos kartek „flirtu kwiatowego". Sąsiadka Pawła, szesnastoletnia dziewczyna Mura, kokietując go niebieskimi oczyma podała mu kartkę i rzekła cicho:

– Fiołek.

Przed kilku laty Paweł obserwował tego rodzaju wieczorki i chociaż nie brał w nich bezpośredniego udziału, uważał je za zjawisko normalne. Ale obecnie, gdy na zawsze wziął rozbrat z mieszczańskim życiem małego miasteczka, ten wieczorek mierził go i wydał mu się czymś śmiesznym.

Tak czy owak, kartka „flirtu" znalazła się w jego ręce.

Obok „fiołka" przeczytał: „Bardzo mi się podobasz".

Paweł spojrzał na dziewczynę. Przyjęła to spojrzenie bez zmieszania.

– Dlaczego?

Pytanie wypadło niezręcznie. Odpowiedź Mura przygotowała zawczasu.

– Róża – podała mu drugą kartkę.

Obok „róży" było napisane: „Jesteś moim ideałem". Korczagin obrócił się do dziewczyny i starając się złagodzić ton zapytał:

– Po co zajmujesz się takimi głupstwami?

Mura stropiła się.

– Czy moje wyznanie nie jest dla was przyjemne? – Wargi wydęły się jej kapryśnie.

Korczagin pozostawił pytanie bez odpowiedzi. Ale zapragnął dowiedzieć się, z kim rozmawia. I zadawał pytania, na

które dziewczyna chętnie odpowiadała. Po kilku minutach wiedział już, że uczy się w szkole siedmioklasowej, że ojciec jej jest rewidentem wagonów, że zna Pawła od dawna i chciała się z nim zapoznać.

– Jak się nazywasz? – zapytał Korczagin.

– Wołyncewa Mura.

– Twój brat jest sekretarzem komórki komsomolskiej w parowozowni?

– Tak.

Teraz Korczagin wiedział, z kim ma do czynienia. Jeden z najaktywniejszych komsomolców dzielnicy kolejowej, jak widać, nie zwracał żadnej uwagi na swoją siostrę i ona wyrastała na pospolitą mieszczkę. W ostatnim roku zaczęła chodzić do swych przyjaciółek na wieczorynki, gdzie całowano się do ogłupienia. Korczagina widziała kilka razy u brata.

Mura poczuła, że sąsiad nie pochwala jej zachowania się, i gdy wezwano ją do „karmienia gołębi", pochwyciwszy kwaśny uśmiech Korczagina, wręcz odmówiła. Posiedzieli jeszcze kilka minut. Mura opowiadała o sobie. Podeszła do nich Zielenowa.

– Przynieść akordeon, zagrasz? – I figlarnie mrużąc oczy patrzyła na Murę: – Cóż, poznaliście się?

Paweł posadził Katiuszę obok siebie i korzystając z tego, że dokoła śmiano się i krzyczano, powiedział jej:

– Grać nie będę. My z Murą zaraz się stąd wyniesiemy.

– Oho! Wzięło cię? – rzekła znacząco i przeciągle Zielenowa.

– Tak, wzięło. Powiedz no mi, czy prócz nas dwojga są tu jeszcze jacyś komsomolcy? Czy też tylko myśmy wpadli do tego „gołębnika"?

Katiusza oznajmiła pojednawczo:

– Już przestaliśmy błaznować. Teraz sobie potańczymy.

Korczagin wstał.

– Dobrze, tańcz sobie, stara, a my z Wołyncewą jednak pójdziemy.

Pewnego dnia wieczorem Anna Borhart zaszła do Okuniewa. W pokoju był tylko Korczagin.

– Bardzo jesteś zajęty, Pawle? Chcesz, to pójdziemy na plenum rady miejskiej? We dwoje będzie nam raźniej, bo trzeba będzie wracać bardzo późno.

Korczagin szybko się zebrał. Nad jego łóżkiem wisiał mauzer; był zbyt ciężki. Wyjął z szuflady brauning Okuniewa i włożył go do kieszeni. Zostawił Okuniewowi kartkę. Klucz schował w umówionym miejscu.

W teatrze spotkali Pankratowa i Olgę. Siedzieli wszyscy razem, w przerwach spacerowali po placu. Posiedzenie, jak tego spodziewała się Anna, przeciągnęło się do późnej nocy.

– Może poszlibyście spać do mnie? Już późno, a drogę macie daleką – zaproponowała Jureniewa.

– Nie, już umówiliśmy się inaczej – wymówiła się Anna.

Pankratow i Olga skierowali się na dół prospektem, a młodzież z Sołomienki poszła w górę.

Noc była duszna, ciemna. Miasto spało. Cichymi uliczkami rozchodzili się w różne strony uczestnicy plenum. Ich kroki i głosy stopniowo cichły. Paweł i Anna szybko oddalili się od śródmieścia. Na pustym rynku zatrzymał ich patrol. Po sprawdzeniu dokumentów – przepuścił. Przecięli bulwar i wyszli na nie oświetloną, bezludną ulicę, wiodącą przez pustkowie. Skręcili na lewo i poszli szosą, wzdłuż centralnych składów kolejowych. Były to długie betonowe budynki, ciemne i ponure. Annę mimo woli ogarnął niepokój. Wpatrywała się czujnie w mrok, krótko i nie do rzeczy odpowiadała Korczaginowi. Gdy się okazało, że podejrzanym cieniem był tylko słup telegraficzny, roześmiała się i zwierzyła się Pawłowi ze swoich lęków. Wzięła go pod rękę i przytulona ramieniem do jego ramienia uspokoiła się.

– Mam dwudziesty trzeci rok, a neurastenia jak u staruszki. Możesz mnie wziąć za tchórza. Ale dzisiaj jestem w stanie jakiegoś szczególnego naprężenia. Teraz oto, gdy czuję cię

obok siebie, pierzcha niepokój i nawet wstydzę się swojego strachu.

Spokój Pawła, rozjarzający się co pewien czas ogieniek jego papierosa, na moment oświetlający kawałek twarzy, męski zarys jego brwi – to wszystko rozproszyło strach wywołany przez mroki nocy, dzikość pustkowia i słyszaną w teatrze wiadomość o wczorajszym potwornym morderstwie na Podole.

Magazyny kolejowe pozostały za nimi. Minęli mostek przerzucony przez rzeczkę i poszli szosą przydworcową ku tunelowi, który przechodził pod torami i łączył tę część miasta z dzielnicą kolejową.

Dworzec pozostał daleko z boku, na prawo. Przejazd prowadził ku ślepej uliczce, za parowozownię. To były już swoje strony. Na górze, gdzie były tory kolejowe, błyskały różnobarwne światła na zwrotnicach i semaforach, a przy parowozowni sapała idąca na nocny wypoczynek, zmęczona przetaczaniem wagonów lokomotywa manewrowa.

Nad wejściem do tunelu wisiała na zardzewiałym haku latarnia. Kołysała się nieznacznie na lekkim wietrze i jej mętnożółte światło przenosiło się z jednej strony tunelu na drugą.

O jakieś dziesięć kroków od wejścia do tunelu, przy samej szosie, stał samotny domek. Dwa lata temu trzasnął w niego ciężki pocisk, rozwalił wnętrze i obrócił fasadę w gruzy. Obecnie domek ział ogromną dziurą, niczym żebrak przy drodze, wystawiający na pokaz swoją nędzę. Widać było, jak górą, po nasypie przemknął pociąg.

– No, jesteśmy już prawie w domu – rzekła z ulgą Anna.

Paweł niepostrzeżenie spróbował uwolnić swoją rękę. Ale Anna jej nie puściła. Przeszli obok zburzonego domku.

Nagle z tyłu jakby coś się zerwało. Szybki tupot nóg, chrapliwy oddech. Dopędzano ich.

Korczagin szarpnął rękę, ale przerażona Anna przycisnęła ją do siebie. Wyrwał ją przemocą, lecz było już za późno,

szyję Pawła objęły żelaznym uściskiem czyjeś palce. Szarpnięcie się w bok – i Paweł znalazł się twarzą w twarz z napastnikiem. Ręka bandyty przesuwa się do gardła i skręcając Pawłowi kołnierz bluzy trzyma go pod lufą rewolweru, powoli zakreślającą łuk.

Oczy elektryka, jak zamagnetyzowane, śledziły ten łuk z nieludzkim natężeniem. Śmierć zaglądała w oczy wylotem lufy i zabrakło sił, nie starczyło woli, by choć na ułamek sekundy oderwać oczy od lufy. Czekał na cios. Ale wystrzału nie było i szeroko rozwarte oczy Pawła ujrzały twarz bandyty. Duża czaszka, potężna szczęka, czerń nie golonej brody i wąsów, lecz oczy pozostały w cieniu pod szerokim daszkiem płaskiej czapki. Annę w tej chwili pociągnął do wyrwy domu jeden z trzech bandytów. Kącikiem oka Korczagin zobaczył białą jak kreda twarz Anny, którą w tej chwili bandyta powalił na ziemię wykręcając jej ręce. Ku Pawłowi skoczył jeszcze jeden, lecz Korczagin widział tylko jego cień na ścianie tunelu. Z tyłu, w wyrwie domu, toczyła się walka. Anna broniła się rozpaczliwie, jej zduszony krzyk przerwała wepchnięta w usta czapka. Wielkogłowy, w którego rękach był Korczagin, nie chciał być biernym świadkiem gwałcenia, ciągnęło go jak drapieżnika do zdobyczy. Widocznie był to herszt i taki podział ról nie podobał mu się. Młodzik, którego trzymał przed sobą, był to jeszcze gołowąs, z wyglądu jakieś popychadło z parowozowni. Nie przedstawiał absolutnie żadnego niebezpieczeństwa.

„Zdzielić go rękojeścią dwa, trzy razy w łeb jak należy i pokazać mu drogę na pustkowie – a będzie zmiatał nie oglądając się do samego miasta". – I rozwarł pięść.

– Dymaj, a ostro... Wal, skądeś przyszedł, a piśniesz słowo – kula w łeb. – I wielkogłowy zdzielił Korczagina w głowę lufą. – Dymaj – zachrypiał i opuścił w dół parabellum, by chłopak nie bał się otrzymać kuli w plecy.

Korczagin odskoczył w tył, pierwsze dwa kroki bokiem, nie spuszczając wielkogłowego z oka. Bandyta myślał, że chłopiec

wciąż jeszcze boi się strzału w plecy, i zawrócił w stronę domku.

Ręka Korczagina szybko sięgnęła do kieszeni. „Byle zdążyć, byle zdążyć!" – Gwałtownie się obrócił, wyciągnął lewą rękę i – biorąc na cel wielkogłowego – strzelił.

Bandyta za późno pojął swój błąd. Kula trafiła go w bok, zanim zdążył podnieść rękę.

Ugodzony, zatoczył się ku ścianie tunelu, zawył głucho i, czepiając się ręką ściany, powoli osuwał się na ziemię. Z wyrwy domu, w dół, do jaru ześliznął się jakiś cień. Za nim padł drugi strzał Korczagina. Drugi cień, schylony, susami umykał w mrok tunelu. Jeszcze wystrzał. Osypany pyłem z obłupanego kulą betonu cień skoczył w bok i zanurzył się w ciemnościach. Za nim trzykrotnie zakłócił ciszę nocy brauning. Przy ścianie, wijąc się jak wąż, konał wielkogłowy.

Wstrząśnięta grozą tego, co się stało, Anna, podniesiona z ziemi przez Korczagina, patrzyła na skręcającego się w agonii bandytę, nie wierząc w swe wybawienie.

Korczagin siłą pociągnął ją za sobą w ciemność, z oświetlonej przestrzeni z powrotem ku miastu. Biegli do dworca. A przy tunelu, na nasypie, już migotały światełka i ciężko huknął na torach alarmowy wystrzał z karabinu.

Kiedy wreszcie dobrnęli do mieszkania Anny, gdzieś na Górze Batyja zapiały koguty. Anna położyła się na łóżku. Korczagin usiadł przy stole. Palił w skupieniu, patrząc, jak siwa smuga dymu ulatuje w górę... dopiero co zabił czwartego w swoim życiu człowieka.

„Czy istnieje w ogóle odwaga przejawiająca się zawsze w doskonałej postaci?" Przypominając sobie wszystkie swoje wrażenia i przeżycia podczas tej dramatycznej przygody, przyznawał się przed sobą, że w pierwszych momentach czarny otwór lufy lodem skuł mu serce. A czyż temu, że dwa cienie zbiegły bezkarnie, winna była jedynie ślepota oka

i konieczność strzelania z lewej ręki? Nie. Z odległości kilku kroków można było strzelać celniej, lecz przeszkodziły temu natężenie i pośpiech, niewątpliwe oznaki zdenerwowania.

Lampa stojąca na stole oświetlała głowę Pawła i Anna obserwowała go, nie pomijając ani jednego ruchu mięśni w jego twarzy. Zresztą oczy miał spokojne i o natężeniu myśli mówiła tylko fałda na czole.

– O czym myślisz, Pawle?

Jego myśli, spłoszone pytaniem, odpłynęły jak dym poza oświetlone półkole i powiedział to, co mu pierwsze teraz przyszło do głowy:

– Muszę koniecznie zajść do komendantury. Trzeba o tym wszystkim dać znać.

I niechętnie, przezwyciężając zmęczenie, wstał.

Nie od razu puściła jego rękę – nie chciało jej się zostać samej. Odprowadziła go do drzwi i zamknęła je dopiero wtedy, gdy Korczagin, który stał się jej teraz tak drogi i bliski, odszedł w mrok nocy.

Zjawienie się Korczagina w komendanturze wyjaśniło niezrozumiałe dla straży kolejowej zabójstwo. Zwłoki rozpoznano od razu: był to dobrze znany kryminalnym władzom śledczym Fimka Czerep, rabuś i morderca, recydywista.

O wypadku przy tunelu nazajutrz wiedzieli wszyscy. Ta okoliczność wywołała nieoczekiwane starcie między Pawłem a Cwietajewem.

Podczas najgorętszej pracy do warsztatu wszedł Cwietajew i przywołał do siebie Korczagina. Cwietajew wyszedł z nim na korytarz, zatrzymał się w zacisznym kącie i denerwując się, nie wiedząc, od czego zacząć, wreszcie rzekł:

– Opowiedz, jak to było wczoraj.

– Wiesz przecie.

Cwietajew lekko wzruszył ramionami. Monter nie wiedział, że zdarzenie przy tunelu obeszło Cwietajewa żywiej niż innych, nie wiedział, że temu kowalowi, wbrew jego zewnętrznej obojętności, Anna Borhart bardzo się podobała.

Cieszyła się ona sympatią wielu chłopców, ale u Cwietajewa ta sprawa wyglądała poważniej. Wypadek przy tunelu, o którym przed chwilą dowiedział się od Łagutiny, pozostawił w jego świadomości męczące, nie rozstrzygnięte pytanie. Nie mógł zadać monterowi tego pytania wprost, ale chciał mieć odpowiedź. Jakąś resztką świadomości zdawał sobie sprawę z egoistycznej małostkowości swego niepokoju, lecz w walce sprzecznych uczuć tym razem zwyciężył pierwiastek prymitywny, zwierzęcy.

– Słuchaj, Korczagin – zaczął mówić stłumionym głosem. – Ta rozmowa zostanie między nami. Rozumiem, że nie opowiadasz o tym, aby nie dręczyć Anny, ale mnie możesz zaufać. Powiedz, kiedy ciebie trzymał bandyta, tamci zgwałcili Annę? – Przy końcu tego zdania Cwietajew nie wytrzymał i odwrócił od Pawła oczy.

Korczagin zaczął go powoli rozumieć. „Gdyby Anna była mu obojętna, Cwietajew tak by się nie denerwował. A jeżeli Anna jest mu bliska, to..." Paweł poczuł się dotknięty za Annę.

– Czemu o to pytasz?

Cwietajew zaczął coś mówić ni w pięć ni w dziewięć i czując, że Paweł go przejrzał, rozzłościł się.

– Czego się wykręcasz? Proszę cię, byś mi odpowiedział, a ty zaczynasz mnie badać.

– Kochasz Annę?

Milczenie. Po czym z trudem wymówione przez Cwietajewa:

– Tak.

Korczagin ledwie hamując gniew odwrócił się i poszedł przez korytarz, nie oglądając się.

Mikołaj Okuniew, podreptawszy z zakłopotaniem koło łóżka przyjaciela, przysiadł się na brzegu i położył rękę na książce, którą czytał Paweł.

– Wiesz co, Pawłusza, muszę ci coś powiedzieć. Z jednej strony, to wygląda na bzdurę, a z drugiej – wręcz przeciwnie. Między mną a Talą zaczęła się jakaś niedorzeczna historia. Z początku, uważasz, ona mi się podobała. – Okuniew z miną winowajcy potarł skroń, ale widząc, że przyjaciel się nie śmieje, nabrał śmiałości: – A potem Tala... też coś w tym rodzaju. Jednym słowem, tego wszystkiego opowiadać nie będę, wszystko jest jasne jak słońce. Wczoraj postanowiliśmy spróbować szczęścia, zbudować sobie życie we dwoje. Mam dwadzieścia dwa lata, oboje mamy prawo głosu. Chcę ułożyć życie z Talą na zasadach równości. Cóż ty na to?

Korczagin zamyślił się.

– Cóż ci mam odpowiedzieć, Kola? Oboje jesteście moimi przyjaciółmi, z jednego rodu i plemienia. Pod innymi względami też się zgadzacie, a Tala to wyjątkowo dobra dziewczyna... Tu wszystko jest jasne.

Nazajutrz Korczagin przeniósł swe manatki do bursy przy parowozowni, a po kilku dniach u Anny odbył się wieczór koleżeński bez jedzenia i picia – komunistyczna wieczorynka dla uczczenia związku Tali i Mikołaja. Był to wieczór wspominek, czytania urywków z najbardziej wzruszających książek. Dużo i ładnie śpiewano chórem. Daleko było słychać pieśni bojowe, a potem Katiusza Zielenowa i Wołyncewa przyniosły akordeon i pokój wypełniły głębokie tony basów i perliste dźwięki wiolinu. Tego dnia Pawka grał znakomicie, a gdy na podziw wszystkim ruszył w tan dryblas Pankratow, Pawka zapomniał się i harmonia, gubiąc styl nowoczesny, zaczęła grać od ucha:

Ech, ulica kurzy się!
Gad Denikin chmurzy się,
Że Kołczaka już posiekła
*Syberyjska Czeka**

Przekład Eleonory Słobodnikowej.

Harmonia wygrywała pieśń o przeszłości, o latach płomiennych zmagań, o przyjaźni, walce i radości. Ale gdy akordeon przeszedł w ręce Wołyncewa i ślusarz zaczął wydzierać się na całe gardło śpiewając siarczyste „jabłuszko", ruszył w zawrotny tan nie kto inny, jak elektryk. Korczagin tańczył wariackiego hopaka po raz trzeci i ostatni w swoim życiu.

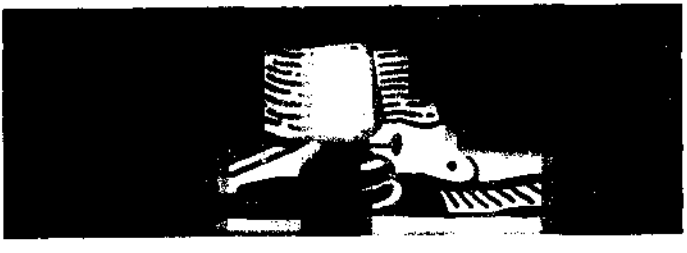

XIII

ranica – to dwa słupy. Stoją naprzeciw siebie milczące i wrogie, uosabiając dwa światy. Jeden słup heblowany i wypolerowany, pomalowany jak budka policyjna, w czarne i białe pasy. Na nim przybity mocnymi gwoździami jednogłowy drapieżny ptak. Rozpostarłszy skrzydła i jakby obejmując pasiasty słup szponami, wpatruje się jednogłowy drapieżca w metalową tarczę naprzeciwko, jego zgięty dziób jest wyciągnięty i naprężony. O sześć kroków po przeciwnej stronie – drugi słup. Głęboko w ziemię wkopane okrągłe, dębowe, ociosane słupisko. Na słupie tarcza z lanego żelaza, na niej młot i sierp. Między dwoma światami legła przepaść, chociaż słupy są wkopane na równej ziemi. Człowiek nie może przejść tych sześciu kroków bez narażenia życia.

Tu jest granica.

Od Morza Czarnego na tysiącach kilometrów do Dalekiej Północy aż po Ocean Lodowaty ustawił się nieruchomy łańcuch tych milczących wartowników radzieckich republik socjalistycznych, z wielkim emblematem pracy na żelaznych tarczach. Od tego słupa, do którego jest przybity drapieżny ptak, zaczynają się rubieże radzieckiej Ukrainy i pańskiej Polski. W głębokich lasach zagubiło się tu małe miasteczko Berezdów. O dziesięć kilometrów od niego, naprzeciw polskiego miasteczka Korzec – granica. Od miasteczka Sławuta do miasteczka Annopol ciągnie się rejon jednego z pogranicznych batalionów. Biegną słupy graniczne po zaśnieżonych

polach, przedostają się przez leśne dukty, zbiegają do jarów, wpełzają na górę, majaczą na pagórkach i dotarłszy do rzeki wpatrują się z wysokiego brzegu w zasypane śniegiem równiny obcego kraju.

Mróz. Skrzypi pod filcowymi butami śnieg. Od słupa z sierpem i młotem odłącza się ogromna postać w wielkim hełmie i ciężko stąpając zaczyna obchód swego odcinka. Rosły czerwonoarmista ma na sobie szary szynel z zielonymi naszywkami i filcowe buty. Na szynel narzucona wielka dacha z baranów z niezmiernie szerokim kołnierzem, a głowę otula ciepły sukienny hełm. Na rękach baranie rękawice o jednym palcu. Dacha jest długa, do samych pięt, i ciepło w niej nawet podczas srogiej zawiei śnieżnej. Na dasze przewieszony przez ramię karabin. Czerwonoarmista, szorując po śniegu dachą, kroczy ścieżką strażniczą wchłaniając smakowicie dym machorkowej skrętki. Na granicy radzieckiej, w szczerym polu, wartownicy stoją o kilometr jeden od drugiego, żeby mogli gołym okiem zobaczyć sąsiada. Po polskiej stronie – dwóch na kilometr.

Naprzeciw czerwonoarmisty, po swojej ścieżce strażniczej, idzie polski żołnierz. Obuty w grube żołnierskie trzewiki, ma na sobie szarozielony mundur i spodnie, a na wierzchu czarny płaszcz z dwoma rzędami błyszczących guzików. Na głowie – czapka konfederatka. Na czapce biały orzełek, na sukiennych naramiennikach orzełki, na naszywkach kołnierza orzełki, ale od tego żołnierzowi nie jest cieplej. Siarczysty mróz przenika go do szpiku kości. Trze zmarznięte uszy, chodząc postukuje obcasem o obcas, a ręce w cienkich rękawiczkach skostniały. Polak nie może zatrzymać się ani na chwilę. Mróz natychmiast skuwa mu stawy i żołnierz cały czas jest w ruchu, niekiedy biegnie kłusem. Wartownicy znaleźli się na wprost siebie, Polak zawrócił i poszedł równolegle z czerwonoarmistą.

Na granicy rozmawiać nie wolno, ale gdy dokoła pustkowie i dopiero w odległości kilometra majaczą postacie ludz-

kie, któż się dowie, czy ci dwaj idą milcząc, czy też naruszają rozmową przepisy międzynarodowe?

Polakowi chce się palić, ale zapomniał w koszarach zapałek, a wietrzyk, jak na złość, przynosi z radzieckiej strony nęcący zapach machorki. Polak przestał trzeć odmrożone ucho i obejrzał się za siebie: bywa, że patrol konny z wachmistrzem, a czasem i z panem porucznikiem, myszkując po granicy, raptem wychynie spoza pagórka, sprawdzając posterunki. Ale dokoła pusto. Śnieg iskrzy się w słońcu oślepiająco. W powietrzu – ani płatka śniegu.

– Towarzyszu, daj przypalić – pierwszy narusza Polak świętość prawa i przerzuciwszy na plecy swój wielostrzałowy francuski karabin z szerokim bagnetem z trudem wyjmuje zziębniętymi palcami z kieszeni płaszcza paczkę tanich papierosów.

Czerwonoarmista słyszy prośbę Polaka, ale regulamin polowy służby pogranicznej zabrania żołnierzowi wdawać się w rozmowę z kimkolwiek zza kordonu, no i poza tym nie zrozumiał dokładnie, co powiedział tamten. Idzie więc dalej swoją drogą, mocno stawiając nogi w ciepłych i miękkich filcowych butach po skrzypiącym śniegu.

– Towarzyszu bolszewiku, daj mi przypalić, rzuć pudełko zapałek – tym razem już po rosyjsku mówi Polak.

Czerwonoarmista przygląda się bacznie swemu sąsiadowi. „Widać, że mróz przejął ‚pana' do szpiku kości. Choć to burżujski żołnierz, życie ma pod psem. Wygnali go na taki mróz tylko w lichym szynelu, toteż skacze jak zając, a bez palenia to już całkiem kiepsko". I czerwonoarmista nie obracając się rzuca mu pudełko zapałek. Żołnierz chwyta je w locie i, łamiąc ich dużo, wreszcie zapala jedną. Pudełko taką samą drogą znów przekracza granicę i wówczas czerwonoarmista niechcący narusza prawo.

– Zostaw sobie, ja mam.

Spoza granicy dobiega:

– Nie, dziękuję, za to pudełko musiałbym ze dwa lata odsiedzieć w więzieniu.

Czerwonoarmista patrzy na pudełko. Jest na nim wymalowany samolot. Zamiast śmigła widnieje potężna pięść i napis *Ultimatum.*

„Tak, rzeczywiście, nie nadaje się dla nich".

Polski żołnierz nie przestaje iść z nim w jedną stronę. Smutno mu samemu w bezludnym polu.

Rytmicznie skrzypią siodła, konie idą uspokajająco równym kłusem. Na pysku karego, dokoła chrapów, na włosach osiadł szron, oddech koński w postaci białej pary ulatuje w powietrze. Srokata klacz pod dowódcą batalionu ładnie stawia nogi, lekko wstrząsa cuglami wyginając w łuk cienką szyję. Obaj jeźdźcy mają na sobie szare szynele ściągnięte pasami, na rękawach po trzy czerwone kwadraty, ale naszywki dowódcy batalionu Gawriłowa są zielone, a jego towarzysza czerwone. Gawriłow jest oficerem straży pogranicznej. To jego batalion rozciągnął swe posterunki na przestrzeni siedmiuset kilometrów, on tu jest „gospodarzem". Jego towarzysz to gość z Berezdowa, komisarz batalionu WWO* Korczagin.

W nocy padał śnieg. Leży teraz puszysty i miękki, nie tknięty kopytem ani nogą ludzką. Jeźdźcy wyjechali z zagajnika i ruszyli kłusem po polu. O jakieś czterdzieści kroków w bok znowu dwa słupy.

– Prrr!

Gawriłow mocno ściąga cugle. Korczagin zawraca swego karosza, by poznać powód zatrzymania się kolegi. Gawriłow przegiął się z siodła i przygląda się bacznie dziwnemu łańcuszkowi śladów na śniegu, jak gdyby ktoś zrobił je zębatym kółkiem. Przeszło tędy jakieś chytre zwierzątko stawiając nogę za nogą i zacierając swój ślad przemyślnymi zawijasami. Trudno było się zorientować, skąd prowadzi ślad, lecz to nie

W W O – Wsieobszczeje Wojennoje Obuczenije – Powszechne Przysposobienie Wojskowe.

on zatrzymał dowódcę batalionu. O dwa kroki od nich, przyprószone śniegiem, są inne ślady. Tędy przeszedł człowiek. Nie zacierał swego śladu, lecz szedł wprost w stronę lasu, a ślad wskazywał wyraźnie, że człowiek szedł z Polski. Dowódca batalionu rusza koniem i ślad przyprowadza go do ścieżki strażniczej. Na przestrzeni dziesięciu kroków po polskiej stronie widać odciski stóp.

– W nocy ktoś przeszedł granicę – burknął dowódca batalionu. – Znowu w trzecim plutonie przegapili, a w rannym raporcie nic o tym nie ma. Szelmy! – Gawriłow ma wąsy szpakowate, a szron od ciepłego oddechu posrebrzył je jeszcze mocniej, tak że groźnie zawisły nad wargą.

W stronę jeźdźców posuwają się dwie postacie. Jedna mała, czarna, z błyskającym w słońcu ostrzem francuskiego bagnetu, druga ogromna, w żółtej baraniej dasze. Srokata klacz przynaglona łydkami przyśpiesza kroku i jeźdźcy szybko zbliżają się do idących naprzeciw. Czerwonoarmista poprawia rzemień na ramieniu i wypluwa na śnieg dopaloną skrętkę.

– Dzień dobry, towarzyszu! Co tu u was słychać na odcinku? – I dowódca batalionu prawie się nie schylając, bo czerwonoarmista jest potężnego wzrostu, podaje mu rękę. Olbrzym pośpiesznie ściąga rękawicę. Dowódca batalionu wita się z wartownikiem.

Polak przygląda się temu z daleka. Dwóch czerwonych oficerów wita się z żołnierzem jak z przyjacielem. Na chwilę wyobraża sobie, że oto on podaje rękę swemu majorowi Zakrzewskiemu i od tej niedorzecznej myśli mimo woli ogląda się za siebie.

– Dopiero co objąłem posterunek, towarzyszu dowódco – zaraportował czerwonoarmista.

– Widzieliście ten ślad?

– Nie, jeszcze nie widziałem.

– Kto stał w nocy od drugiej do szóstej?

– Surotenko, towarzyszu dowódco.

– No, dobra, uważajcie pilnie.

I już odjeżdżając uprzedził surowo:

– Mniej chodzić z tamtymi.

Gdy konie szły kłusem po gościńcu między granicą a miasteczkiem Berezdowem, dowódca batalionu opowiadał:

– Na granicy trzeba mieć dobre oko. Trochę tylko się zdrzemniesz, a gorzko pożałujesz. Mamy służbę bezsenną. We dnie przekroczyć granicę nie tak znów łatwo, za to w nocy – miej się na baczności. Sami osądźcie, towarzyszu Korczagin. Na moim odcinku są cztery przepołowione wsie. Tutaj służba jest bardzo ciężka. Żebyś nie wiem jak rozstawiał posterunki, na każde wesele lub święto ściągają wszyscy krewni zza kordonu. Mieliby nie przechodzić! Dwadzieścia kroków chata od chaty, a przez rzeczkę i kura przejdzie. Nie obejdzie się też bez przemytu. Prawda, że to są drobiazgi. Przyniesie baba parę butelek polskiej czterdziestoprocentowej żubrówki, ale nie brak i przemytników większego kalibru, ludzi z dużymi pieniędzmi. A ty wiesz, co robią Polacy? We wszystkich wsiach pogranicza otworzyli sklepy zaopatrzone we wszelkie towary: dostaniesz wszystkiego, czego zechcesz. Oczywiście zrobili to nie dla swoich ubogich chłopów.

Korczagin słuchał z zaciekawieniem dowódcy batalionu. Życie na pograniczu wygląda jak nieustający zwiad.

– Powiedzcie, towarzyszu Gawriłow, czy sprawa ogranicza się tylko do przemycania towarów?

Dowódca batalionu odparł ponuro:

– Otóż to właśnie!...

Małe miasteczko Berezdów. Zapadły kąt prowincjonalny, dawna strefa osiedleńcza Żydów. Dwieście, trzysta domów bezsensownie rozstawionych byle gdzie. Wielki plac targowy, pośrodku ze dwadzieścia sklepików. Plac brudny, zaśmiecony nawozem. Miasteczko otaczały chłopskie zagrody. W żydowskiej dzielnicy po drodze do rzeźni stara synagoga. Smętkiem

wieje od tego zgrzybiałego budynku. Co prawda, w soboty synagoga nie może się skarżyć na pustki, ale to już nie to, co było dawniej, i rabin ma życie zgoła nie takie, jakie pragnąłby mieć. Widocznie coś bardzo złego stało się w roku 1917, skoro nawet tutaj, w takiej dziurze, młodzież patrzy na rabina bez należytego szacunku. Co prawda, starzy jeszcze nie jedzą „trefnego", ale iluż chłopaków jada wyklętą przez Boga świńską kiełbasę! Tfu, paskudnie nawet o tym pomyśleć! Rebe Boruch ze złością kopie nogą świnię, gorliwie tyjącą w kupie gnoju w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Tak, rabin jest niezupełnie zadowolony z tego, że Berezdów stał się ośrodkiem rejonowym. Najechało tu diabli wiedzą skąd tych komunistów i wciąż tylko bruździą i bruździą, dzień w dzień jakaś nowa nieprzyjemność. Wczoraj rebe zobaczył na bramie sadyby popa nowy szyld: *Berezdowski Komitet Rejonowy Komunistycznego Związku Młodzieży Ukrainy.*

Nie można spodziewać się po tym szyldzie niczego dobrego. Zaprzątnięty swoimi myślami, rabin nie zauważył, jak natknął się na niewielkie ogłoszenie naklejone na drzwiach synagogi:

Dziś w klubie odbędzie się otwarte zebranie młodzieży pracującej. Referat wygłoszą: przewodniczący komitetu wykonawczego tow. Lisicyn i pełniący czasowo obowiązki sekretarza rejonowego komitetu młodzieżowego tow. Korczagin. Po zebraniu odbędzie się koncert z udziałem szkoły dziewięcioklasowej.

Rabin z wściekłością zerwał kartkę z drzwi.

– Już się zaczyna!

Do cerkiewki z dwu stron przylega duży ogród popa, a w ogrodzie stoi na dawną modłę zbudowany obszerny dom. Stęchlizną i nudą ziała pustka pokoi, kiedy mieszkali tu pop z popadią, dwoje ludzi, równie jak ich dom starych i nudnych, którzy dawno już sobie nawzajem zbrzydli. Nuda od

razu zniknęła, gdy do domu weszli nowi gospodarze. W dużym salonie, gdzie bogobojni gospodarze tylko w uroczyste cerkiewne święta przyjmowali gości, teraz wciąż pełno ludzi. Dom popa stał się siedzibą partyjnego komitetu Berezdowa. Na drzwiach pokoiku na prawo od frontowego wejścia napisano kredą jedno słowo: *Rejkomsomoł.*

Tutaj część dnia spędzał Korczagin, który pracę komisarza drugiego batalionu WWO łączył z obowiązkami sekretarza świeżo utworzonego rejonowego zarządu Komsomołu.

Osiem miesięcy minęło od tego dnia, gdy spędzali wieczór koleżeński u Anny. A zdaje się, że to było tak niedawno. Korczagin odłożył na bok plik papierów i odchyliwszy głowę na oparcie fotela zamyślił się...

W całym domu cicho. Późna noc, siedziba komitetu partii opustoszała. Niedawno ostatni wyszedł Trofimow, sekretarz rejonowego komitetu partii, i teraz Korczagin został w domu sam. Mróz zasnuł okna dziwacznymi deseniami. Na stole lampa naftowa, w piecu dobrze napalone. Korczagin wspomina niedawną przeszłość. W sierpniu kolektyw warsztatów posłał go, jako organizatora młodzieżowego, pociągiem roboczym wiozącym ekipę remontową do Jekatierinosławia. Do późnej jesieni stu pięćdziesięciu ludzi jeździło od stacji do stacji, usuwając z nich spuściznę wojennej zawieruchy, spalone i strzaskane wagony. Droga ich przeszła od Sinielnikowa do Połóg. Tutaj, w dawnym królestwie bandyty Machny, na każdym kroku widać było ślady zniszczenia i spustoszenia. W Hulaj-Polu cały tydzień odbudowywali murowany budynek pompy stacyjnej, naszywali żelazne łaty na poszarpane dynamitem boki cysterny na wodę. Nie znał elektryk arkanów i trudów ślusarskiego rzemiosła, ale niejeden tysiąc zardzewiałych muter przykręciły jego ręce uzbrojone w klucz francuski.

Późną jesienią podszedł pociąg do macierzystych warsztatów. Hale maszyn przyjęły z powrotem sto pięćdziesiąt par rąk...

Częściej widywano elektryka u Anny. Wygładziła się zmarszczka na czole i nieraz słyszano jego zaraźliwy śmiech.

Znowu brać warsztatowa słuchała w kółkach jego opowieści o dawno minionych latach walki. O tym, jak zrewoltowana, niewolnicza, siermiężna Ruś usiłowała obalić koronowanego potwora. O buntach Stieńki Razina i Pugaczowa.

Pewnego wieczora, gdy u Anny zebrało się dużo młodzieży, elektryk niespodzianie uwolnił się od pewnego starego niezdrowego nałogu. On, który przywykł do tytoniu niemal od dziecinnych lat, powiedział twardo i nieodwołalnie:

– Przestaję palić.

To się stało niespodzianie. Ktoś wszczął spór o to, że przyzwyczajenie jest silniejsze od człowieka i jako przykład podał palenie tytoniu. Głosy podzieliły się. Elektryk nie wtrącał się do sporu, ale wciągnęła go do niego Tala, zmusiła do wyrażenia swego zdania. Powiedział to, co myślał:

– Człowiek rządzi przyzwyczajeniem, a nie odwrotnie. Inaczej, do czego byśmy doszli?

Cwietajew zawołał z kąta:

– Piękne słówka! Korczagin to lubi. A tymczasem, gdy się odrzuci przechwałkę, to co się okaże? On sam pali? Pali. Wie, że palenie mu szkodzi? Wie. Ale palić nie przestaje – za słaba wola. Niedawno w kółkach „krzewił kulturę". – I zmieniając ton Cwietajew z zimną drwiną rzucił pytanie: – Niech no nam odpowie, jak tam u niego idzie z przeklinaniem? Kto zna Pawkę, ten powie: klnie rzadko, za to hadko. Łatwiej prawić kazanie niż być świętym.

Zapadło milczenie. Ostry ton Cwietajewa nieprzyjemnie podziałał na wszystkich. Korczagin odpowiedział nie od razu. Powoli wyjął z ust papierosa, zgniótł go, rzekł cicho:

– Przestaję palić.

Milczał chwilę i dodał:

– Robię to dla siebie i trochę dla Dimki. Złamanego grosza nie wart ten, kto nie zdoła przemóc złego nałogu. Mam jeszcze na sumieniu przeklinanie. Jeszcze, bracia, nie poko-

nałem całkowicie tej paskudnej przywary, ale nawet Dimka przyznaje, iż rzadko słyszy, żebym klął. Łatwiej rzucić słowo niż zapalić papierosa, dlatego też nie powiem teraz, że i z tym skończyłem. Ale jednak i od przeklinania się odzwyczaję.

Przed samą zimą zatarasowały rzekę tratwy, rozbijał je wylew jesienny i ginął opał unoszony w dół rzeki. Sołomienka znowu wysłała swe kolektywy, by ratowały leśne bogactwa.

Nie chcąc pozostać w tyle za innymi, Korczagin zataił przed towarzyszami silne przeziębienie i kiedy po tygodniu pracy na przystani wyrosły góry ułożonego w sągi drzewa, lodowata woda i jesienna wilgoć zbudziły wroga drzemiącego we krwi – i Korczagin zapadł na silną gorączkę. Przez dwa tygodnie palił mu ciało ostry reumatyzm, a gdy wrócił ze szpitala, mógł pracować przy imadle jedynie siedząc okrakiem. Majster tylko kiwał głową. A po kilku dniach komisja uznała go za niezdolnego do pracy, otrzymał rozliczenie i prawo do emerytury, którego z gniewem się zrzekł.

Z ciężkim sercem porzucił warsztaty. Chodził powoli o lasce i odczuwał dojmujący ból. Nieraz w listach matka prosiła, żeby ją odwiedził, teraz przypomniał sobie swoją staruszkę i jej słowa przy pożegnaniu: „Widzę was tylko wtedy, kiedy wam coś dolega".

W komitecie gubernialnym otrzymał zwinięte w rulon dwa akta personalne, komsomolski i partyjny, i prawie z nikim się nie żegnając, by nie wzmagać smutku, wyjechał do matki.

Przez dwa tygodnie staruszka nacierała mu i rozgrzewała okładami spuchnięte nogi i po miesiącu już chodził bez laski; pierś rozpierała mu radość i zmierzch znowu przemienił się w świt. Pociąg zawiózł go do gubernialnego miasta. Po trzech dniach wręczono mu w wydziale organizacyjnym dokument, na mocy którego miał się udać do gubernialnego komisariatu

wojskowego dla wykorzystania go jako pracownika politycznego przy organizowaniu przeszkolenia wojskowego.

A gdy minął jeszcze tydzień, przyjechał tutaj, do tego zasypanego śniegiem miasteczka, jako komisarz drugiego batalionu. W okręgowym komitecie Komsomołu otrzymał polecenie zebrać rozproszonych komsomolców i utworzyć w nowym rejonie organizację młodzieżową. Tak oto odmieniało się jego życie.

Na dworze upał. Przez otwarte okna gabinetu przewodniczącego komitetu wykonawczego zagląda gałązka wiśni. Słońce zapala blaski na złoconym krzyżu gotyckiej dzwonnicy kościoła, stojącego naprzeciw siedziby komitetu, po drugiej stronie drogi. W ogródku pod oknem żwawo szukają pokarmu delikatne, puszyste, zielone jak trawa, malutkie gąsięta dozorczyni domu.

Przewodniczący odczytał otrzymaną przed chwilą depeszę. Po jego twarzy przesunął się cień. Duża mocna ręka zanurzyła się we wspaniałej kędzierzawej czuprynie i tam utkwiła.

Mikołaj Mikołajewicz Lisicyn, przewodniczący Berezdowskiego Komitetu Wykonawczego, ma dopiero dwadzieścia cztery lata, ale nikt z jego współpracowników i towarzyszy partyjnych o tym nie wie. Duży i silny, surowy a niekiedy groźny, wygląda na człowieka trzydziestopięcioletniego. Krzepkie ciało, duża głowa osadzona na potężnej szyi, pewne, o zimnym połysku, przenikliwe oczy, energiczna, ostra linia podbródka. Granatowe spodnie kawaleryjskie, szary, mocno znoszony frencz, na lewej kieszeni na piersiach order Czerwonego Sztandaru.

Do chwili wybuchu Rewolucji Październikowej Lisicyn rządził warsztatem tokarskim w tulskiej fabryce broni, gdzie jego dziad i ojciec, i on niemal od dziecka cięli i toczyli żelazo.

Lecz od owej jesiennej nocy, gdy po raz pierwszy chwycił za broń, którą do tej pory tylko wyrabiał, wpadł Kola Lisicyn w zamieć. Rewolucja i partia rzucały go z jednej zawie-

ruchy w drugą. Od szeregowego czerwonoarmisty do bojowego dowódcy i komisarza pułku przeszedł swą chlubną drogę tulski rusznikarz.

Odeszły w przeszłość zawieruchy i grzmot dział. Obecnie Mikołaj Lisicyn jest tutaj w strefie pogranicznej. Życie mu płynie spokojnie. Do późnego wieczora przesiaduje nad sprawozdaniami o urodzaju, a ta oto depesza na chwilę wskrzesiła minione czasy. Skąpym, telegraficznym stylem depesza uprzedza:

Ściśle tajne. Do Przewodniczącego Berezdowskiego Komitetu Wykonawczego Lisicyna.

Na granicy daje się zauważyć ożywione przerzucanie przez Polaków licznej bandy mogącej terroryzować rejony pogranicza. Zastosujcie środki ostrożności. Poleca się przesłać walory wydziału skarbowego do okręgu i nie zatrzymywać u siebie kwot podatkowych.

Z okna gabinetu Lisicyna widać każdego, kto wchodzi do rejonowego komitetu wykonawczego. Na ganku jest Korczagin. Po chwili stukanie do drzwi.

– Siadaj, pogadamy. – I Lisicyn ściska rękę Korczagina.

Przez całą godzinę przewodniczący komitetu wykonawczego nie przyjmował nikogo.

Gdy Korczagin wyszedł z gabinetu, było już południe. Z ogrodu wybiegła Niura, siostrzyczka Lisicyna. Paweł nazywał ją Aniutką. Nieśmiała i nad wiek poważna dziewczynka zawsze przy spotkaniu z Korczaginem przyjaźnie się do niego uśmiechała i teraz przywitała się z dziecięcą niezręcznością, odrzucając z czoła kosmyk przystrzyżonych włosów.

– U Koli nie ma nikogo? Maria Michajłowna dawno czeka na niego z obiadem – rzekła Niura.

– Wejdź, Aniutko, jest sam.

Nazajutrz, jeszcze na długo przed świtem, przed komitet wykonawczy zajechały trzy furmanki zaprzężone w wypasione

konie. Ludzie na wozach rozmawiali ze sobą półgłosem. Z wydziału skarbowego wyniesiono kilka zapieczętowanych worków, włożono na wozy i niebawem po szosie zaturkotały koła. Podwody otaczał oddział pod dowództwem Korczagina. Czterdzieści kilometrów do miasta, z tego dwadzieścia pięć lasem, przebyto szczęśliwie, walory przeszły do safesów okręgowego wydziału skarbowego.

– Po kilku zaś dniach od strony granicy przycwałował do Berezdowa kawalerzysta. Małomiasteczkowi gapie odprowadzili jeźdźca i zmydlonego konia zdumionym wzrokiem.

Przy bramie komitetu wykonawczego kawalerzysta stoczył się jak tłumok na ziemię i podtrzymując ręką szablę zagrzmiał po schodkach ganku ciężkimi buciorami. Lisicyn nachmurzony przyjął z jego rąk pismo, odpieczętował i pokwitował odbiór na kopercie. Nie dając koniowi odpocząć żołnierz straży pogranicznej wskoczył na siodło i z miejsca ruszając w cwał, popędził z powrotem.

Nikt nie znał treści pisma prócz przewodniczącego komitetu wykonawczego, który je przed chwilą przeczytał. Ale mieszkańcy małego miasteczka mają jakiś psi węch. Na trzech drobnych handlarzy dwóch jest tu na pewno drobnymi przemytnikami i ten proceder wyrabia w nich jakąś instynktowną zdolność odgadywania niebezpieczeństwa.

Po trotuarze szybko przeszło do sztabu batalionu WWO dwóch ludzi. Jeden z nich to Korczagin. Tego mieszczuchy znają: jest zawsze uzbrojony. Ale to, że sekretarz komitetu partii Trofimow ma na sobie pas z naganem – to już kiepsko.

Niebawem ze sztabu wybiegło piętnastu ludzi i trzymając w rękach karabiny z nasadzonymi bagnetami, popędziło ku młynowi stojącemu na rozstaju. Pozostali komuniści i komsomolcy uzbrajali się w komitecie partii. Przeleciał konno w czapce kubance na głowie i z nieodstępnym mauzerem u boku przewodniczący komitetu wykonawczego. Jasna rzecz, że działo się coś niedobrego i wielki plac oraz głuche uliczki jakby wymarły – nigdzie żywej duszy. W jednej chwili na

drzwiach sklepików pojawiły się ogromne średniowieczne kłódki, zatrzasnęły się okiennice. I tylko nieustraszone kury oraz zmożone upałem świnie gorliwie sortowały zawartość kup śmieci.

W podmiejskich ogrodach rozłożyła się placówka ochronna. Tu zaczynały się pola i daleko było widać prostą linię drogi.

Otrzymany przez Lisicyna komunikat był zwięzły:

Dziś w nocy w rejonie Poddębic po stoczonej walce przedarła się przez granicę na terytorium radzieckie konna banda, w przybliżeniu sto szabel z dwoma ręcznymi karabinami maszynowymi. Wydajcie odpowiednie zarządzenia. Ślad bandy gubi się w lasach sławuckich. Uprzedzam, że w ciągu dnia przejedzie przez Berezdów w pogoni za bandą setka czerwonych kozaków. Nie pomylcie ich!

Dowódca samodzielnego pogranicznego batalionu Gawriłow.

Już po godzinie na drodze do miasteczka ukazał się jeździec, a o kilometr za nim grupa konna. Korczagin badawczo wpatrywał się przed siebie. Jeździec zbliżał się ostrożnie, ale placówki zaczajonej w ogrodach nie zauważył. Był to młody czerwonoarmista, z siódmego pułku czerwonych kozaków. Zwiad był dla niego nowością i gdy go nagle otoczyli wyskakujący z sadów na drogę ludzie, ujrzawszy na ich bluzach znaczek KIM*, uśmiechnął się stropiony. Po krótkiej rozmowie zawrócił konia i popędził ku jadącej sotni. Placówka przepuściła czerwonych kozaków i znów ukryła się w ogrodach.

Przeszło kilka dni pełnych niepokoju. Lisicyn otrzymał komunikat, gdzie było powiedziane, że bandytom nie udało się rozwinąć działań dywersyjnych: ścigana przez czerwoną konnicę banda zmuszona była pośpiesznie wycofać się za kordon.

KIM – Kommunisticzeskij Internacjonal Mołodioży – Komunistyczna Międzynarodówka Młodzieży.

Maleńka grupka bolszewików – dziewiętnastu ludzi na cały rejon – pracowała z natężeniem nad zakładaniem podwalin ustroju radzieckiego. Młody, dopiero co zorganizowany rejon wymagał stworzenia wszystkiego od podstaw. Bliskość granicy trzymała wszystkich w stanie ustawicznej czujności.

Ponowne wybory do rad, walka z bandytami, praca oświatowa, walka z kontrabandą, praca wojskowo-partyjna i komsomolska – oto krąg, w którym obracało się od świtu do późnej nocy życie Lisicyna, Trofima, Korczagina i nielicznego zebranego przez nich aktywu.

Z konia do biurka, od biurka na plac, gdzie maszerują ćwiczące plutony młodzieży, klub, szkoła, dwa, trzy posiedzenia, a w nocy koń, mauzer u boku i ostre: „Stój! Kto idzie?", turkot kół uciekającej furmanki z zagranicznym towarem – z tego składały się dnie i wiele nocy komisarza drugiego batalionu.

Rejonowy Komitet Komsomołu Berezdowa to Korczagin, Lida Polewych – wąskooka Nadwołżanka, kierowniczka wydziału kobiecego, i Żeńka Razwalichin – wysoki, dość przystojny, niedawny uczeń gimnazjum, „młody, ale już cwany", amator niebezpiecznych przygód, znawca Sherlocka Holmesa i Louis Boussenarda. Razwalichin pracował jako kierownik administracyjny w rejonowym komitecie partii, cztery miesiące temu wstąpił do Komsomołu, ale udawał wśród komsomolców „starego bolszewika". Nie było kogo posłać do Berezdowa i po długich namysłach komitet okręgowy posłał Razwalichina jako „polityczno-oświatowego".

Słońce doszło do zenitu. Upał docierał do najskrytszych zakątków, wszystko, co żyło, schowało się pod dachy; nawet psy wpełzły pod spichrze i leżały tam, zmożone żarem, leniwe i senne. Zdawało się, że wieś opuściło wszystko, co żyje, i tylko w kałuży przy studni błogo pochrząkiwała zagrzebana w błoto świnia.

Korczagin odwiązał konia i zagryzłszy wargę z bólu w kolanie wgramolił się na siodło. Nauczycielka stała na schodach szkoły, zasłaniając dłonią oczy od słońca.

– Do rychłego zobaczenia, towarzyszu komisarzu – uśmiechnęła się.

Koń tupnął niecierpliwie i wyginając szyję pociągnął cugle.

– Do widzenia, towarzyszko Rakitina. A więc postanowione: jutro zaczynacie pierwszą lekcję.

Koń czuje zwolnione cugle, zaraz zaczyna kłusować. Raptem do uszu Korczagina doleciał dziki lament. Tak krzyczą kobiety, gdy się we wsi pali. Twarda uzda ostro zawróciła konia i komisarz zobaczył, że od opłotków biegnie zadyszana młoda chłopka. Wyszedłszy na środek ulicy Rakitina zatrzymała ją. Na progach sąsiednich chat ukazali się ludzie, przeważnie starcy i babuleńki. Wszyscy zdolni do pracy byli w polu.

– Ojej, moiściewy, co tam się dzieje! Oj, nie mogę, nie mogę!

Gdy Korczagin podjechał do nich, ze wszystkich stron zbiegali się ludzie. Kobietę osaczono, szarpano za rękawy białej koszuli, zasypywano pełnymi trwogi pytaniami, ale z bezładnych słów nic nie można było zrozumieć. „Zabili! Rżną się na śmierć!" – wykrzykiwała bez przerwy. Jakiś dziad z rozczochraną brodą, przytrzymując ręką płócienne portki, śmiesznie podskakując nacierał na młodą babę.

– Nie krzycz jak wariatka! Gdzie biją? Za co biją? Przestańże trzeszczeć! Tfu, do diabła!

– Nasza wieś z poddębickimi się bije... o miedze! Poddębiccy naszych na śmierć biją!

Wszyscy zrozumieli, co się stało. Na ulicy rozległo się babskie zawodzenie. Starzy chłopi zaryczeli z wściekłości. I rozległo się po wsi, obleciało zagrody wezwanie jak dzwon na trwogę: „Poddębiccy o miedze naszych kosami zarzynają!" Z chat wybiegał na drogę kto żyw, uzbrojony w widły, siekierę lub po prostu z kołem wyrwanym z płotu, śpieszył

za opłotki, na pole, gdzie dwie wsie w krwawej bójce rozsądzały swój coroczny spór o miedze.

Korczagin tak mocno zdzielił konia, że ten z miejsca ruszył cwałem. Podniecany krzykiem jeźdźca, wymijając biegnących, wrony rzucił się naprzód gwałtownymi skokami. Stuliwszy uszy i wysoko wyrzucając nogi, wciąż przyśpieszał biegu. Na pagórku wiatrak, jakby umyślnie zagradzając drogę, rozpostarł swe ręce-skrzydła. Na prawo od wiatraka, w nizinie koło rzeki – łąki. Na lewo, jak okiem sięgnąć, to wznosząc się pagórkami, to opadając w parowy, rozpostarło się pole żyta. Wiatr przebiegał po dojrzałym życie, jak gdyby głaskał je ręką. Jaskrawo kraśniały maki przy drodze. Cicho tu było i nieznośnie gorąco. Jeno z oddali, z dołu, stamtąd, gdzie niby srebrzysty wąż wygrzewała się w słońcu rzeka, dochodziły krzyki.

W dół ku łąkom koń szedł szalonym pędem. „Potknie się – śmierć dla niego i dla mnie" – przemknęło Pawłowi przez mózg. Ale nie można było już wstrzymać konia i przywarłszy do jego szyi Korczagin słuchał, jak w uszach świszczy mu wiatr.

Na łąkę wypadł jak wariat. Z tępą zwierzęcą zajadłością bili się ludzie. Kilku leżało na ziemi, brocząc krwią.

Koń piersią obalił na ziemię jakiegoś brodacza biegnącego z odłamkiem kosidła za młodym chłopakiem o zakrwawionej twarzy. Opalony tęgi chłop deptał ciężkimi buciorami powalonego przeciwnika usiłując zadać mu cios „pod żebro".

Korczagin wpadł na kupę ludzi całym ciężarem konia, roztrącił bijących się w różne strony. Nie dając się im opamiętać, obracał wściekłe koniem, najeżdżał nim na rozbestwionych ludzi i czując, że rozłączyć tę pokrwawioną masę ludzką można tylko taką samą brutalnością i postrachem, krzyknął rozjuszony:

– Rozejść, się, ścierwa! Powystrzelam was, bandyckie dusze!

I wyrywając z futerału mauzer błysnął nim ponad czyjąś

wykrzywioną z zaciętości twarzą. Skok konia w bok – wystrzał. Niektórzy rzucając kosy zawrócili. W ten sposób miotając się zaciekle na koniu, nie dając umilknąć mauzerowi, komisarz dopiął celu. Ludzie zaczęli pierzchać z łąki na wszystkie strony, uciekając przed odpowiedzialnością i przed tym strasznym w swej wściekłości człowiekiem, który wziął się tu nie wiadomo skąd z tą „cholerną maszynką", co strzela bez końca.

Wkrótce zjechał do Poddębic sąd rejonowy. Długo męczył się sędzia ludowy badając świadków, ale mimo to nie zdołał wykryć podżegaczy. Od tej bijatyki nikt nie umarł, ranni wyzdrowieli. Wytrwale, z bolszewicką cierpliwością starał się sędzia wytłumaczyć chmurnie stojącym przed nim chłopom całą dzikość i niedopuszczalność takich bójek.

– Miedze temu winne, towarzyszu sędzio, poplątały nam się nasze miedze! Przez to właśnie bijemy się rokrocznie.

Niektórych trzeba było jednak pociągnąć do odpowiedzialności.

A w tydzień potem po łące chodziła komisja i wbijała słupki w spornych miejscach. Stary geometra, spocony, zmordowany upałem i długim chodzeniem, zwijając taśmę miernicą mówił do Korczagina:

– Trzydziesty rok mierzę grunta, a wszędzie i zawsze miedza jest przyczyną waśni. Popatrzcie na linię podziału łąk. Przecie to jest coś nieprawdopodobnego! Nawet pijany równiej chodzi. A jak to wygląda na polach? Paski szerokości trzech kroków, włazi jeden na drugi – podzielić je – można zwariować. I wszystko to z każdym rokiem coraz bardziej się rozdrabnia. Syn odłączył się od ojca – dziel pasek ziemi na połowę. Zapewniam was, że za lat dwadzieścia z pól pozostaną same miedze i nie będzie gdzie siać. Toć już i teraz dziesięć procent ziemi marnuje się na miedze.

Korczagin uśmiechnął się.

– Za lat dwadzieścia nie będzie u nas już ani jednej miedzy, towarzyszu geometro.

Starzec popatrzył pobłażliwie na swego rozmówcę.

– Mówicie o społeczeństwie komunistycznym? No wiecie, to jeszcze sprawa dalekiej przyszłości.

– A czy słyszeliście o budanowskim kołchozie?

– Ach, to macie na myśli!

– Tak.

– W Budanówce byłem... Ale to przecie wyjątek, towarzyszu Korczagin.

Komisja robiła pomiary, dwóch chłopaków wbijało kołki. A po obu stronach łąki stali chłopi i bacznie pilnowali, by kołki wbijano na miejscu dawnej miedzy, ledwie dającej się rozpoznać po sterczących tu i ówdzie z trawy przegniłych patykach.

Zdzieliwszy biczyskiem brykającego dyszlowego, woźnica obrócił się do pasażerów i, skory do rozmowy, opowiadał:

– Kto ich wie, skąd się u nas rozpleniły te komsomoły. Do tej pory tego nie było. I na mój rozum zaczęło się wszystko od nauczycielki, Rakitina się nazywa, może ją znacie? Młoda jeszcze, a taka ci już wredna. Ona wszystkie baby we wsi buntuje, pozbiera je i dalej im głowę zawracać, a od tego to jeno niespokojność wychodzi. Dasz babie z gorącości w pysk, bez tego się nie obendzie – dawniej bywało, otrze oczy i zmilczy, a tera lepiej ich nie ruszaj, bo gwałtu narobią. Tutaj możesz i o sądzie ludowym usłyszeć, a która młodsza, to ci o rozwodzie nagada i wszystkie tam prawa swoje wygarnie. Moja Hanka taka zawsze cicha była baba, a teraz się na delegatkę wysforowała. Niby taka starsza nad babami, i schodzą się do niej insze baby z całej wsi. Z początku chciałem za to Hankę lejcami pogłaskać, a potem plunąłem. Pal je diabli! Niechaj jazgoczą. Baba z niej świarna i wedle gospodarstwa, i tak do wszystkiego – nie można powiedzieć.

Woźnica podrapał się po włochatej piersi, wyglądającej

z rozchylonej płóciennej koszuli, i dla porządku chlasnął dyszlowego pod brzuch. Furmanką jechali Razwalichin i Lida. Każde z nich miało w Poddębicach jakąś sprawę do załatwienia: Lida chciała urządzić naradę delegatek, a Razwalichin pojechał zorganizować pracę w komórce komsomolskiej.

– A czy wam się komsomolcy nie podobają? – żartobliwie spytała woźnicy Lida.

Poskubał bródkę i odparł bez pośpiechu:

– Czemu nie... Za młodu można podokazywać. Przedstawienie jakie zrobić albo co inszego, ja sam lubię na komedyje patrzeć, jeżeli warto. My nasamprzód myśleli – zaczną się młodzi łobuzować, a tu wyszło całkiem na wywrót. Od ludzi my słyszeli, że wedle wypitki, chuligaństwa i tak dalej to u nich surowo. Oni bardziej za nauką. Jeno Boga się czepiają i precz podbechtują, żeby cerkiew zabrać na klub. To już całkiem do niczego. Starzy na to krzywo patrzą i mają komsomolców na wątrobie. A poza tym to cóż jeszcze?... Aha, nieporządek u nich i w tym, że przyjmują do siebie samą największą biedotę. Takich, co to za parobków służą albo mają nędzne zagrody. Gospodarskich synów do siebie nie puszczają.

Furmanka zjechała z pagórka i zatrzymała się przed szkołą.

Woźna posłała przyjezdnym u siebie, a sama poszła spać na siano. Lida i Razwalichin dopiero co przyszli z zebrania, które się przeciągnęło do późna. W chacie ciemno. Lida zrzuciła buciki, położyła się na łóżku i zaraz zasnęła. Zbudziło ją brutalne dotknięcie rąk Razwalichina, nie pozostawiające żadnych wątpliwości co do jego zamiarów.

– Czego chcesz?

– Ciszej, Lidka, czego się drzesz? Samemu, rozumiesz, nudzi się tak leżeć, niech to diabli wezmą! Czy nie masz nic ciekawszego do roboty niż chrapać?

– Zabierz łapy i wynoś się do diabła z mojego łóżka! – Lida odepchnęła go. Od dawna już nie znosiła obleśnego uśmiechu Razwalichina. Teraz Lida ma ochotę powiedzieć Razwalichinowi coś obraźliwego i drwiącego, ale morzy ją sen i zamyka oczy.

– Po co takie ceregiele? Myślałby kto, co za inteligentne zachowanie się. Może pani przypadkiem jest wychowanką instytutu dla szlachcianek? Czy ty sobie wyobrażasz, że ci uwierzyłem? Nie udawaj głupiej. Jeśli jesteś człowiekiem uświadomionym, to naprzód zaspokój moją potrzebę, a potem śpij sobie, ile chcesz.

Uważając dalsze słowa za zbędną stratę czasu, znów przesiadł się z ławy na łóżko i władczym ruchem położył rękę na ramieniu Lidy.

– Wynoś się do diabła! – mówi, od razu zbudzona. – Słowo daję, powiem jutro Korczaginowi.

Razwalichin chwycił ją za rękę i szepce rozdrażniony:

– Gwiżdżę na twojego Korczagina, a ty się nie rzucaj, bo i tak cię wezmę.

Podczas szamotania się Lidy z Razwalichinem w ciszy chaty rozlega się policzek – jeden, drugi... Razwalichin odskakuje. Lida w ciemnościach dobiega po omacku do drzwi i pchnąwszy je wypada na dwór. Tam stoi, oblana światłem księżyca, nie posiadając się z oburzenia.

– Chodź do domu, idiotko! – ze złością krzyknął Razwalichin.

Wynosi swoją pościel pod szopę i nocuje na dworze. A Lida zamknąwszy drzwi na zasuwkę zwija się w kłębek na łóżku.

Rano, gdy wracali do domu, Żeńka siedział na wózku obok starego woźnicy i palił jednego papierosa po drugim.

„Przecie ta niedotykalska naprawdę gotowa nagadać na mnie Korczaginowi. A to kukła malowana! Żeby choć ładna, a tu nic podobnego. Trzeba się z nią pogodzić, bo może

z tego wyjść chryja. Korczagin i tak już krzywo na mnie patrzy".

Razwalichin przesiadł się do Lidy. Udał strapionego, oczy ma prawie smutne, plecie coś trzy po trzy na swoje usprawiedliwienie, już się kaja.

Dopiął swego: gdy dojeżdżali do miasteczka, Lida przyrzekła mu, że nikomu nie powie o wczorajszym zajściu.

Jedna po drugiej powstawały we wsiach pogranicza komórki komsomolskie. Wiele sił poświęcali członkowie rejonowego komitetu Komsomołu tym pierwszym kiełkom ruchu komunistycznego. Korczagin i Lida Polewych całe dnie spędzali w tych wsiach.

Razwalichin nie lubił jeździć na wieś. Nie umiał nawiązać kontaktu z wiejskimi chłopakami, zjednać sobie ich zaufania, i tylko psuł robotę. A u Lidy i Korczagina wychodziło to prosto i naturalnie. Lida zbierała dokoła siebie dziewczęta, wynajdywała sobie przyjaciółki i już nie traciła z nimi kontaktu, niepostrzeżenie budząc w nich zainteresowanie życiem i pracą Komsomołu. Korczagina znała w rejonie cała młodzież. Tysiąc sześciuset chłopaków w wieku przedpoborowym obejmował przysposobieniem wojskowym drugi batalion WWO. Nigdy jeszcze harmonia nie odgrywała tak wielkiej roli w propagandzie, jak tutaj, na wiejskich wieczorynkach, na wiejskich ulicach. Harmonia czyniła Korczagina „swoim chłopcem". Niejedna dróżka wiodąca do Komsomołu zaczynała się dla czubatych chłopaków właśnie stąd, od śpiewnej czarodziejki – harmonii, to namiętnej i niepokojącej serce ostrym tempem marsza, to czułej i serdecznej w smętnych tonach pieśni ukraińskich. Słuchali harmonii, słuchali i robotnika-harmonisty, obecnie komisarza i komsomolskiego „sekretarczyka". Zgodnym dźwiękiem odzywały się w sercach i pieśni harmonii, i to, o czym mówił młody komisarz. Rozlegały

się po wsiach nowe pieśni, pojawiły się w chatach prócz modlitewników i senników, inne książki.

Kiepskie czasy nastały dla przemytników, musieli baczyć nie tylko na straż graniczną: władza radziecka zjednała sobie młodych przyjaciół i gorliwych pomocników. Czasami pograniczne komórki komsomolskie, w zapędzie pochwycenia wroga na własną rękę, przeholowywały i wówczas Korczagin musiał wydobywać z opresji swoich podopiecznych. Pewnego razu Griszutka Chorowodko, niebieskooki sekretarz komórki w Poddębicach, chłopiec w gorącej wodzie kąpany, zawzięty dyskutant, antyklerykał, otrzymawszy jakimiś własnymi drogami wiadomość, że nocą przywiozą kontrabandę do wiejskiego młynarza, zaalarmował całą swoją komórkę. Uzbrojeni w karabin ćwiczebny i dwa bagnety członkowie komórki z Griszutką na czele osaczyli w nocy młyn, czatując na przemytników. O tej kontrabandzie dowiedziała się również pograniczna placówka GPU i rozstawiła na posterunku swoich ludzi. W nocy obie grupy wpadły na siebie i w wynikłym starciu jedynie dzięki przytomności umysłu straży granicznej nie powystrzelano komsomolców. Chłopaków tylko rozbrojono, odprowadzono do odległej o cztery kilometry wioski i osadzono pod kluczem.

Korczagin był wówczas u Gawriłowa. Rano dowódca batalionu zawiadomił go o otrzymanym przed chwilą meldunku i sekretarz komitetu rejonowego pojechał ratować chłopaków.

Pełnomocnik GPU, pokpiwając sobie z tej nocnej przygody, opowiedział o niej Korczaginowi.

– Załatwimy to tak, towarzyszu Korczagin. To są porządne chłopaki i nie będziemy z tego robili żadnej sprawy. A ty napędź im stracha, by w przyszłości nie brali się do wyręczania nas w naszych funkcjach.

Wartownik otworzył drzwi szopy i jedenastu zafrasowanych chłopców, podniósłszy się z ziemi, stało przestępując z nogi na nogę.

– Popatrzcie tylko na nich – pełnomocnik z ubolewaniem rozłożył ręce. – Nabroili, a teraz muszę ich odesłać do okręgu.

Na to odezwał się wzburzony Griszutka:

– Towarzyszu Sacharow, cośmy takiego zrobili? Chcieliśmy przecie pomóc władzy radzieckiej. Dawno już mieliśmy na oku tego kurkula, a wyście nas zamknęli jak bandytów. – I odwrócił się urażony.

Po długich strofowaniach Korczagin i Sacharow, z trudem zachowując powagę, przestali „napędzać stracha".

– Jeśli poręczysz za nich i obiecasz nam, że więcej na granicę chodzić nie będą, a swoją pomoc będą okazywać w inny sposób, to puszczę ich wolno – zwrócił się Sacharow do Korczagina.

– Dobrze, odpowiadam za nich. Mam nadzieję, że mnie nie zawiodą.

Do Poddębic komsomolcy wracali ze śpiewem. Incydentu nie rozgłaszano. Ale młynarza jednak wkrótce przyłapano. Tym razem zgodnie z prawem.

Dobrze sobie żyją Niemcy-koloniści przy leśnych chutorach Majdan-Willi. O pół kilometra jedna od drugiej stoją solidne kułackie zagrody: domy z przybudówkami niczym małe twierdze. W Majdan-Willi ginęły ślady bandy Antoniuka. Ten carski feldfebel dobrał sobie z krewnych bandycką siódemkę i zaczął uprawiać swój proceder, grasując z naganem po okolicznych drogach, bez skrupułów przelewając krew, nie gardząc spekulantem, ale też nie przepuszczając radzieckim pracownikom. Antoniuk ruszał się żwawo. Dziś załatwiał się z dwoma spółdzielcami wiejskimi, jutro już o dwadzieścia kilometrów stamtąd rozbrajał pocztowca i ograbiał go do ostatniego grosza. Szedł w zawody ze swym kolegą Gordijem, jeden wart był drugiego, i obaj razem zabierali niemało czasu milicji okręgowej i GPU. Grasował Antoniuk pod samym nosem Berezdowa. Drogi do miasta stały się niebezpieczne.

Trudno było schwytać tego bandytę: gdy ziemia paliła mu się pod nogami, uchodził za kordon, siedział tam jakiś czas i znów się zjawiał, gdy się go najmniej spodziewano. Na każdą wieść o krwawym wypadzie tej niebezpiecznej, bo nieuchwytnej bestii, Lisicyn nerwowo zagryzał wargi.

– Jak długo jeszcze ten gad będzie nas kąsał? Doczeka się, ścierwo, że ja sam do niego się zabiorę – cedził przez zaciśnięte zęby. – I dwukrotnie przewodniczący komitetu wykonawczego rzucał się na świeży ślad bandyty, zabierając ze sobą Korczagina i jeszcze trzech komunistów, ale Antoniuk wymykał się.

Z okręgu przysłano do Berezdowa oddział do walki z bandytyzmem. Dowodził nim fircykowaty Fiłatow. Buńczuczny jak młody kogut, nie uznał za potrzebne zameldować się u przewodniczącego komitetu wykonawczego, jak tego wymagały przepisy graniczne, lecz poprowadził swój oddział do pobliskiej wsi Siemaki. Przybywszy tam w nocy, zakwaterował się z oddziałem w pierwszej z brzegu chacie. Nieznani uzbrojeni ludzie, działający tak skrycie, zwrócili na siebie uwagę sąsiada – komsomolca, i ten pobiegł do przewodniczącego rady wiejskiej. Nic nie wiedząc o przybyciu oddziału, przewodniczący wziął go za bandę i do rejonu popędził umyślnie – konny komsomolec. Wielu o mały włos nie przypłaciło życiem niedbalstwa Fiłatowa. Lisicyn dowiedział się o „bandzie" w nocy, natychmiast zaalarmował milicję i z dziesięcioma ludźmi pocwałował do Siemaków. Podjechali do zagrody, zeskoczyli z koni i przez płoty rzucili się ku chacie. Stojący na progu wartownik, uderzony rękojeścią mauzera w głowę, jak wór zwalił się na ziemię, drzwi pod ciosem ciężkiego ramienia Lisicyna rozwarły się na oścież i do izby, słabo oświetlonej wiszącą pod sufitem lampą, wtargnęli ludzie. Odrzuciwszy w tył rękę gotową rzucić granat i ściskając w drugiej mauzer, Lisicyn wrzasnął tak, że szyby zadrżały:

– Poddaj się, bo rozerwę w kawały!

Jeszcze moment – i ci, co wtargnęli, zasypią gradem kul

zaspanych ludzi, którzy zerwali się z podłogi. Ale straszny widok człowieka z granatem podniósł do góry dziesiątki rąk. A po chwili, gdy żołnierzy oddziału wyganiano w samej bieliźnie na podwórze, order na frenczu Lisicyna rozwiązał Fiłatowowi język.

Lisicyn spluwa z wściekłością i rzuca z miażdżącą pogardą:

– Bęcwał!

Odgłosy rewolucji z Niemiec dotarły do rejonu. Doleciał huk strzelaniny z barykad Hamburga. Na granicy zrobiło się niespokojnie. Czytano gazety w pełnym napięcia oczekiwaniu, z Zachodu wiały wiatry Października. Do rejonowego komitetu Komsomołu posypały się zgłoszenia o przyjęcie na ochotnika do Armii Czerwonej. Korczagin długo tłumaczył przychodzącym z komórek, że polityka Kraju Rad jest polityką pokojową i że na razie ich państwo nie zamierza wojować z żadnym z sąsiadów. Ale to niewiele skutkowało. Co niedziela schodzili się w miasteczku komsomolcy ze wszystkich komórek i w dużym ogrodzie popa odbywały się rejonowe zebrania. Pewnego razu w południe na obszerne podwórze komitetu rejonowego przybyła w ordynku, marszowym krokiem, w pełnym składzie poddębicka komórka Komsomołu. Korczagin zauważył to przez okno i wyszedł na ganek. Jedenastu chłopaków z Chorowodką na czele – w butach, z dużymi plecakami – zatrzymało się przy wejściu.

– O co chodzi, Grisza? – zapytał zdziwiony Korczagin.

Ale Chorowodko dał mu znak oczami i wszedł z Korczaginem do domu. Gdy Chorowodkę obstąpili Lida, Razwalichin i jeszcze dwóch komsomolców, zamknął drzwi i z powagą marszcząc wypłowiałe brwi oświadczył:

– Ja, towarzysze, robię próbę bojową. Oznajmiłem dziś swoim chłopakom, że z rejonu przyszedł telegram, oczywiście ściśle tajny, iż zaczyna się wojna z niemieckimi burżujami, a wkrótce zacznie się i z innymi jaśniepanami. Więc przyszedł z Moskwy rozkaz: wszystkich komsomolców na front, a kto

się boi – niech pisze podanie, to go zostawią w domu. Rozkazałem, żeby o wojnie pary z gęby nie puszczać, ale żeby wziąć po bochenku chleba i kawałku słoniny, a kto słoniny nie ma, to czosnku lub cebuli, i żeby za godzinę zebrali się po kryjomu za wsią. Pójdziemy do komitetu rejonowego, a stamtąd do okręgu, gdzie otrzymacie broń. Podziałało to na chłopaków mocno. Zaczęli mnie rozpytywać o to i owo, a ja mówię: „Bez gadania i basta! A kto się odmawia – pisz papierek. Zaciąg dobrowolny". Rozeszły się moje chłopaki, a mnie serce wali: a co, jeśli nikt nie przyjdzie? Wtedy wypadnie mi rozpuścić komórkę, a samemu wynieść się w inne strony. Siedzę za wsią i wypatruję. Idą w pojedynkę. Poniektóry ma gębę zapłakaną, ale nadrabia miną. Przyszła cała dziesiątka, ani jednego dezertera. Taka to jest poddębicka komórka! – z zachwytem zakończył Griszutka, dumnie waląc się pięścią w pierś.

A gdy go wzięła w obroty oburzona Lida, patrzył na nią nie rozumiejącymi oczami.

– Co mi tam będziesz gadać? To przecie najlepsza kontrola! Tu bez oszukaństwa każdego zobaczysz. Chciałem ich tak tylko, dla większej powagi, ciągnąć do okręgu, ale zmęczyli się chłopcy. Niechaj idą do domu... Tylko ty, Korczagin, musowo wygłoś do nich mowę, bo jakże to tak? Bez mowy nie wypada... Powiedz, że niby mobilizację odwołano, ale że im za bohaterstwo należy się cześć i chwała.

Do centrum okręgowego Korczagin przyjeżdżał rzadko. Taki wyjazd zabierał kilka dni, a robota wymagała jego codziennej obecności w rejonie. Za to Razwalichin wymykał się do miasta przy każdej okazji. Uzbrojony od stóp do głów, w myśli porównując siebie z bohaterami Coopera, z przyjemnością odbywał te podróże. W lesie po drodze strzelał do wron lub do chyżej wiewiórki, zatrzymywał samotnych przechodniów i jak prawdziwy sędzia śledczy badał: kto, skąd

i dokąd dąży. W pobliżu miasta Razwalichin rozbrajał się, karabin chował pod siano na wózku, rewolwer wsuwał do kieszeni i wchodził do okręgowego komitetu Komsomołu jak gdyby nigdy nic.

– No, co tam u was w Berezdowie słychać?

W pokoju Fiedotowa, sekretarza komitetu okręgowego, zawsze pełno ludzi. Wszyscy mówią jeden przez drugiego. Trzeba umieć pracować w takich warunkach, słuchać jednocześnie czterech, pisać i odpowiadać piątemu. A Fiedotow jest bardzo młody, lecz ma legitymację partyjną z roku 1919. Tylko w owych burzliwych czasach piętnastoletni chłopak mógł zostać członkiem partii.

Na pytanie Fiedotowa Razwalichin odparł niedbale:

– Nie sposób opowiedzieć wszystkich nowin. Harują od rana do późnej nocy. Trzeba pozatykać wszystkie dziury, a przecie wszystko musimy budować na pustkowiu. Znowu stworzyłem dwie nowe komórki. Po coście mnie wezwali? – I z powagą zasiadł na fotelu.

Krymski, kierownik wydziału gospodarczego, na chwilę odrywa się od stosu papierów i zwraca ku niemu głowę.

– Wzywaliśmy Korczagina, a nie ciebie.

Razwalichin wypuszcza z ust gęsty kłąb dymu.

– Korczagin nie lubi tutaj przyjeżdżać, nawet w tym muszę go wyręczać... W ogóle dobrze się dzieje niektórym sekretarzom: nic nie robią, a wybijają się dzięki takim wołom roboczym jak ja. Jak Korczagin wybierze się na granicę, to go dwa, trzy tygodnie nie ma i cała praca spada na mnie.

Razwalichin niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że właśnie on byłby odpowiednim sekretarzem rejonowego komitetu Komsomołu.

– Coś mi się ten ptaszek nie podoba – przyznał się szczerze Fiedotow kolegom po wyjściu Razwalichina.

Intrygi Razwalichina wyszły na jaw przypadkowo. Kiedyś zaszedł do Fiedotowa Lisicyn po pocztę. Każdy, kto przyjeżdżał z rejonu, zabierał pocztę dla wszystkich. Fiedotow

miał z Lisicynem długą rozmowę i Razwalichin został zdemaskowany.

– Ale ty Korczagina w każdym razie przyślij, przecież my tutaj prawie go nie znamy – powiedział Fiedotow żegnając się z przewodniczącym komitetu wykonawczego.

– Dobrze. Ale pod jednym warunkiem: nie próbujcie go od nas zabrać. Będziemy się temu sprzeciwiali kategorycznie.

W tym roku uroczystości październikowe odbyły się na granicy w nastroju niebywale podniosłym. Korczagina wybrano przewodniczącym komisji obchodu październikowego we wsiach pogranicza. Po wiecu w Poddębicach pięciotysięczny tłum chłopów i chłopek z trzech sąsiednich wsi ustawił się w półkilometrową kolumnę, z orkiestrą dętą i batalionem WWO na czele, i rozwinąwszy czerwone sztandary ruszył ku granicy. Zachowując ścisły porządek i karność kolumna rozpoczęła swój pochód po ziemi radzieckiej wzdłuż słupów granicznych, kierując się ku wsiom przepołowionym granicą. Polacy zamieszkali w pasie przygranicznym nigdy jeszcze takiego widowiska nie oglądali. Na czele kolumny konno dowódca batalionu Gawriłow i Korczagin, za nimi grzmot trąb, szelest sztandarów i pieśni, pieśni! Odświętnie ubrana młodzież chłopska, wesoły nastrój, wiejskie dziewczęta, ich srebrzysty śmiech, poważne twarze dorosłych i uroczyste starych. Daleko, jak okiem sięgnąć, płynie ta rzeka ludzi, jej brzegiem jest granica, ani na krok od ziemi radzieckiej, ani jedna noga nie przestąpiła zakazanej linii. Korczagin daje się wyminąć ludzkiemu potokowi. Po pieśni komsomolskiej:

Od tajgi po brytyjskie morze
Czerwonej Armii nikt nie zmoże!

odzywał się chór dziewczęcy:

*Oj, żną tam na górze żniwiarze...**

* Przekład Eleonory Słobodnikowej.

Radosnym uśmiechem witali kolumnę wartownicy radzieccy, a polscy żołnierze patrzyli na nią stropieni, zakłopotani. Pochód wzdłuż granicy, choć zawczasu uprzedzono o nim dowództwo polskie, wywołał jednak po tamtej stronie niepokój. Zaczęły krążyć pośpiesznie patrole żandarmerii polowej, pięciokrotnie powiększono liczbę wartowników, a w parowach ukryto na wszelki wypadek rezerwy. Ale kolumna szła po swojej ziemi, huczna i radosna, napełniając powietrze dźwiękami pieśni.

Na pagórku stoi polski wartownik. Miarowy krok kolumny. Rozlegają się pierwsze dźwięki marsza. Polak spuszcza z ramienia karabin i postawiwszy go u nogi staje na baczność. Korczagin usłyszał wyraźnie:

– Niech żyje komuna!

Oczy żołnierza mówią, że to on te słowa powiedział. Paweł nie odrywa od niego wzroku.

Przyjaciel! Serce pod żołnierskim płaszczem bije zgodnym z kolumną rytmem i Korczagin odpowiada cicho po polsku:

– Witaj, towarzyszu!

Wartownik pozostał w tyle. Gdy kolumna go mija, trzyma wciąż broń w tej samej pozycji. Paweł kilka razy odwracał się i patrzył na tę małą ciemną postać. Oto i drugi Polak. Siwiejące wąsy. Spod niklowanej obwódki daszka patrzą nieruchome, wyblakłe oczy. Korczagin, jeszcze pod wrażeniem tego, co słyszał przed chwilą, pierwszy powiedział, jak gdyby do siebie, po polsku:

– Dzień dobry, towarzyszu!

I nie dostał odpowiedzi.

Gawriłow uśmiechnął się. Okazało się, że wszystko słyszał.

– Zbyt wiele się spodziewasz – mówi. – Prócz żołnierzy zwykłej piechoty jest tu i piesza żandarmeria. Widziałeś naszywki na jego rękawie? To żandarm.

Czoło kolumny już schodziło z góry ku wsi podzielonej linią graniczną na dwie części. Radziecka połowa wsi goto-

wała gościom uroczyste powitanie. Przy mostku granicznym, na brzegu rzeczki, zebrało się całe sioło radzieckie. Dziewczęta i chłopcy po obu stronach drogi. Na polskiej połowie dachy chat i budynków gospodarskich oblepili ludzie, pilnie przypatrujący się temu, co się działo za rzeką. Na progach chat i przy płotach – gromady chłopów. Gdy kolumna weszła pomiędzy szpaler ludzi, orkiestra grała „Międzynarodówkę". Na zbudowanej domowym sposobem trybunie, ozdobionej zielenią, wzruszająco przemawiali zarówno gołowąsa młódź, jak i siwi starcy. Przemawiał również Korczagin w macierzystym języku ukraińskim. Jego słowa przeleciały przez granicę i słyszano je na drugim brzegu. Tam postanowiono nie dopuścić, by ta mowa zapaliła czyjeś serca. Po siole zaczął krążyć patrol żandarmerii, zapędzając ludzi nahajkami do domów. Po dachach zaklaskały kule.

Ulice opustoszały. Zniknęła z dachów młodzież spędzona kulami, a z radzieckiego brzegu patrzono na to wszystko marszcząc brwi. Podsadzony przez młodych wygramolił się na trybunę stary pastuch i wzburzony przemówił gorąco:

– Patrzajcie dobrze, detyny! Ot, tak i nas bili niegdyś, a tera na wsi nikt nie obaczy, żeby chłopa władza nahajką biła. Skończyło się z panami – skończył się i batog na naszym grzbiecie. Trzymajcie, synkowie, tę władzę mocno. Ja, stary, gadać nie potrafię. A powiedzieć chciałem dużo. O całym naszym życiu, co je pod carem ciągnęliśmy tak, jak ten wół, co wóz ciągnie, i serce boli za tamtych!... – machnął kościstą ręką za rzekę i zapłakał tak, jak płaczą tylko małe dzieci i starcy.

Po dziadku wystąpił Griszutka Chorowodko. Słuchając jego gniewnego przemówienia Gawriłow zawrócił konia wypatrując, czy ktoś tych słów czasem nie zapisuje na tamtym brzegu. Ale brzeg był pusty, nawet wartownika odwołano z mostka.

– Widać, odbędzie się bez noty do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych – zażartował.

W słotną jesienną noc, pod koniec listopada, bandyta Antoniuk i siedmiu jego kompanów przestali znaczyć krwawymi śladami swą drogę. Ten wilczy pomiot wpadł w ręce władz na weselu bogatego kolonisty w Majdan-Willi. Zdybali ich tam chrolińscy komuniści.

Babskie języki przyniosły wieść o tych gościach na weselu u kolonistów. W jednej chwili zebrali się członkowie komórki, razem dwunastu, uzbrojeni w co kto miał. Na furmankach ruszyli do chutoru Majdan-Willi, a do Berezdowa pędził co koń wyskoczy łącznik. W Siemakach natknął się na oddział Fiłatowa i ten wyciągniętym kłusem rzucił się ze swoimi ludźmi świeżym śladem. Chrolińscy komuniści osaczyli chutor i rozpoczęli karabinowe rozmowy z antoniukowską kompanią. Antoniuk ze swą szajką ukrył się w oficynie i chlustał ołowiem w każdego, kto mu się nawinął na muszkę. Chciał przedrzeć się przebojem, ale zapędzono go z powrotem do oficyny, kładąc trupem jednego z siedmiu. Nieraz bywał Antoniuk w takich opałach i zawsze wychodził z nich cało: ratowały go ręczne granaty i noc. Być może, że i tym razem uszedłby cało – komuniści stracili już dwóch podczas strzelaniny – ale Fiłatow zdążył przybyć na czas do chutoru. Antoniuk zrozumiał, że strasznie wpadł, i tym razem na dobre. Odgryzał się kulami ze wszystkich okien oficyny, ale o świcie ujęto go. Z jego siedmiu kamratów nie poddał się ani jeden. Czterech ludzi przypłaciło życiem zlikwidowanie wilczej zgrai. Trzech z nich należało do młodej chrolińskiej komórki Komsomołu.

Batalion Korczagina został powołany na jesienne manewry. Czterdzieści kilometrów do obozu dywizji batalion przeszedł pod ulewnym deszczem w ciągu jednego dnia. Wyruszył w drogę wczesnym rankiem, a przybył na miejsce późnym wieczorem. Dowódca batalionu Gusiew i jego komisarz odbyli ten marsz konno. Ośmiuset chłopaków w wieku przedpoborowym zaraz po przybyciu do koszar pokładło się spać.

Sztab dywizji spóźnił się z wezwaniem batalionu; z samego rana zaczynały się już manewry. Świeżo przybyły batalion musiał się poddać przeglądowi. Ustawiono go na placu. Wkrótce nadjechało ze sztabu dywizji kilku kawalerzystów. Batalion, który już otrzymał umundurowanie i karabiny, zmienił swój wygląd. I Gusiew – frontowy dowódca, i Korczagin, którzy poświęcili swemu batalionowi dużo sił i czasu, byli spokojni o powierzony sobie oddział. Gdy oficjalny przegląd był skończony i batalion wykazał swoją zdolność manewrowania i przegrupowywania szeregów, jeden z dowódców, o ładnej, lecz obrzękłej twarzy, ostro zapytał Korczagina:

– Dlaczego jesteście konno? U nas dowódcy i komisarze batalionów WWO nie powinni dosiadać koni. Rozkazuję oddać konie do stajni, manewry odbywać pieszo.

Korczagin wiedział, że jeżeli zsiądzie z konia, to nie będzie mógł brać udziału w manewrach: nie przejdzie nawet kilometra na własnych nogach. Jak powiedzieć o tym krzykliwemu elegantowi z mnóstwem pasków i rzemieni?

– Bez konia nie mogę brać udziału w manewrach.

– Dlaczego?

Zdając sobie sprawę, że inaczej nie wytłumaczy swej odmowy, Korczagin odpowiedział głuchym głosem:

– Spuchły mi nogi i przez tydzień nie będę mógł biegać i chodzić. Poza tym nie wiem, kim jesteście, towarzyszu.

– Jestem szefem sztabu waszego pułku – to jedno. Po drugie, jeszcze raz rozkazuję zsiąść z konia, a jeżeli jesteście inwalidą, to nie moja wina, że służycie w wojsku.

Korczagina jakby kto chlasnął batem. Szarpnął konia za cugle, ale silna ręka Gusiewa powstrzymała go. W Pawle przez kilka chwil walczyły dwa uczucia: głęboka uraza i karność. Ale Paweł Korczagin nie był już tym czerwonoarmistą, który mógł bez namysłu przerzucać się z oddziału do oddziału. Korczagin był komisarzem batalionu, ten batalion stał tuż za nim. Jakiż przykład dyscypliny dałby swoim zachowaniem! Przecież nie dla tego chłystka wychowywał swój

batalion. Uwolnił nogę ze strzemienia, zsiadł z konia i przezwyciężając ostry ból w stawach, przeszedł ku prawemu skrzydłu batalionu.

Było kilka dni wyjątkowo pogodnych. Manewry zbliżały się ku końcowi. Piątego dnia odbywały się dokoła Szepietówki, gdzie był punkt końcowy. Batalion berezdowski miał za zadanie zająć dworzec od strony wsi Klimentowicze.

Znając wybornie te okolice Korczagin wskazał Gusiewowi wszystkie podejścia. Batalion, podzielony na dwie części, głębokim oskrzydleniem, nie zauważony przez „nieprzyjaciela", zaszedł mu na tyły i z okrzykiem „hura!" wtargnął na dworzec. Zgodnie z oceną rozjemców uznano tę operację za wykonaną znakomicie. Dworzec został w rękach berezdowców, a broniący go batalion, straciwszy „na niby" pięćdziesiąt procent swego stanu liczebnego, wycofał się do lasu.

Korczagin wziął na siebie dowodzenie połową batalionu. Wydając rozkazy co do rozmieszczenia tyraliery stał pośrodku ulicy z dowódcą i oficerem politycznym trzeciej kompanii.

– Towarzyszu komisarzu – podbiegł do nich czerwonoarmista – dowódca batalionu pyta, czy kaemiści zajęli przejazdy. Zaraz przyjedzie komisja – zdyszany oznajmił Korczaginowi.

Paweł z dowódcami kompanii poszedł do przejazdu.

Koło przejazdu zebrało się dowództwo pułku. Winszowano Gusiewowi pomyślnej operacji. Przedstawiciele rozbitego batalionu w zakłopotaniu przestępowali z nogi na nogę, nawet nie próbując się usprawiedliwiać.

– To nie moja zasługa; Korczagin pochodzi z tych stron, on nas przeprowadził.

Szef sztabu podjechał tuż do Pawła i rzucił kpiąco:

– Okazuje się, że możecie doskonale biegać, towarzyszu, a konno przybyliście widocznie dla fasonu? – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymało go spojrzenie Korczagina, i urwał.

Gdy dowództwo odjechało, Korczagin zapytał cicho Gusiewa:

– Nie wiesz, jak on się nazywa?

Gusiew klepnął go po ramieniu.

– Nie zwracaj uwagi na tego chłystka. A nazwisko jego Czużanin, zdaje się, były chorąży.

Tego dnia Korczagin kilka razy usiłował przypomnieć sobie, gdzie słyszał to nazwisko, ale sobie nie przypomniał.

Manewry się skończyły. Otrzymawszy ocenę celującą batalion wrócił do Berezdowa, a Korczagin, zupełnie wyczerpany fizycznie, został na dwa dni u matki. Jego koń stał u Artioma. Przez dwa dni Paweł spał po dwanaście godzin, trzeciego dnia odwiedził Artioma w parowozowni. Tu, w zakopconym budynku, powiało na Pawła czymś swoim, rodzimym. Chciwie wciągał nosem zapach węglowego dymu. Władczo ciągnęło do siebie to, z czym zrósł się od dziecka i co stało mu się bardzo bliskie. Jak gdyby żyjąc z dala, utracił coś drogiego. Ileż miesięcy nie słyszał krzyku lokomotywy, i jak marynarza wzrusza turkusowa roztocz bezkresnego morza, ilekroć na nie wraca po długiej rozłące, tak teraz palacza i montera przywoływał do siebie rodzimy żywioł. Długo nie mógł w sobie przemóc tego uczucia. Z bratem rozmawiał niewiele. Dostrzegł na czole Artioma nową bruzdę. Artiom pracował przy ruchomym palenisku. Ma drugie dziecko. Ciężkie jest chyba jego życie. O tym Artiom nie mówi, ale widać to i bez tego.

Ze dwie godziny popracowali razem. Pożegnali się. Na przejeździe Paweł zatrzymał konia i długo patrzał na dworzec, potem zdzielił batem wronego i puścił się z kopyta leśną drogą.

Drogi leśne stały się teraz bezpieczne dla podróżnych. Bolszewicy wytępili większych i mniejszych bandytów, ogniem

wypalili ich gniazda i we wsiach rejonu zaczęło się spokojniejsze życie.

Do Berezdowa przyjechał Korczagin koło południa. Na ganku komitetu rejonowego z radością przywitała go Lida:

– Nareszcie przyjechałeś! Jużeśmy się za tobą stęsknili. – I objąwszy go za ramiona, Lida weszła z nim do domu.

– Gdzie Razwalichin? – zapytał ją Korczagin zdejmując płaszcz.

Lida odpowiedziała jakoś niechętnie:

– Nie wiem, gdzie jest. Aha, przypomniałam sobie. Rano powiedział, że pójdzie do szkoły wykładać socjologię zamiast ciebie. „To jest – powiada – właściwie moja funkcja, a nie Korczagina".

Ta nowina nieprzyjemnie zdziwiła Pawła. Razwalichin nigdy mu się nie podobał. „Byle tylko ten typ nie narobił zamętu w szkole" – pomyślał z niezadowoleniem Korczagin.

– No dobrze. Opowiadaj, co dobrego u was słychać. W Gruszówce byłaś? Jak tam stoją sprawy młodzieży?

Lida opowiedziała mu wszystko. Korczagin odpoczywał na kanapie prostując zmęczone nogi.

– ...Przedwczoraj przyjęto Rakitinę na kandydata partii. To jeszcze bardziej wzmocni naszą poddębicką komórkę. Rakitina to dzielna dziewczyna, bardzo mi się podoba. Widzisz, wśród nauczycielstwa już się zaczął przełom, niektórzy z nich przechodzą całkowicie na naszą stronę.

Niekiedy wieczorami u Lisicyna przy dużym stole do późnej nocy przesiadywała trójka: sam Lisicyn, Korczagin i nowy sekretarz rejonowego komitetu partii Łyczykow.

Drzwi do sypialni zamknięte. Aniutka i żona przewodniczącego komitetu wykonawczego śpią, a tych trzech przy stole pochyliło się nad niewielką książką. Lisicyn miał czas na naukę tylko w nocy. W tych dniach, kiedy Paweł wracał z wio-

sek, spędzał wieczory u Lisicyna i dowiadywał się z przykrością, że Łyczykow i Mikołaj już go wyprzedzili w nauce.

Z Poddębic nadeszła wieść: w nocy został przez nieznanych sprawców zabity Griszutka Chorowodko. Usłyszawszy to, Korczagin rzucił się do stajni należącej do komitetu wykonawczego i zapominając o bólu w nogach dotarł tam w kilka minut. Z szalonym pośpiechem okulbaczył konia i waląc go z obu boków rzemiennym plecionym batem, pomknął ku granicy.

W obszernej chacie rady wiejskiej, na stole przybranym zielenią, okryty sztandarem leżał Griszutka. Do czasu przybycia władz nikogo do zwłok nie dopuszczano, u progu pełnili wartę pograniczny czerwonoarmista i komsomolec. Korczagin wszedł do chaty, podszedł do stołu i odchylił sztandar.

Griszutka, woskowo blady, z szeroko rozwartymi oczami, w których zastygła męka konania, leżał z przechyloną na bok głową. Rozwaloną czymś ostrym potylicę zasłaniała gałązka choiny.

Czyja ręka podniosła się na tego młodego chłopca, jedynego syna wdowy Chorowodko, która straciła podczas rewolucji męża – członka komitetu biedoty wiejskiej, byłego parobka we młynie?

Wiadomość o śmierci syna zwaliła z nóg starą matkę i na wpół żywą cuciły ją sąsiadki, a syn leżał niemy, strzegąc tajemnicy swej śmierci.

Zabójstwo Griszutki wywołało oburzenie we wsi. Okazało się, że młodociany przywódca komsomolski i obrońca parobków miał w swym siole więcej przyjaciół niż wrogów.

Wstrząśnięta tym zgonem Rakitina płakała u siebie w pokoju i gdy wszedł do niej Korczagin, nawet nie podniosła głowy.

– Jak myślisz, Rakitina, kto go zabił? – głuchym głosem spytał Korczagin, ciężko opuszczając się na krzesło.

– Któż by inny jak nie ta młynarska kompania! Toć tym przemytnikom Griszutka stanął kością w gardle.

Na pogrzeb Griszutki przyszły dwie wsie. Korczagin przyprowadził swój batalion, cała organizacja komsomolska przyszła oddać ostatnią posługę swemu towarzyszowi. Gawriłow ustawił na placu rady wiejskiej kompanię straży granicznej – dwieście pięćdziesiąt bagnetów. Przy smutnych dźwiękach pożegnalnego marsza wyniesiono spowitą w czerwień trumnę i postawiono na placu, gdzie był wykopany grób obok pochowanych podczas wojny domowej bolszewików-partyzantów.

Krew Griszutki zespoliła tych, za którymi zawsze się ujmował. Młodzi parobcy i biedota wiejska obiecali poparcie komórce i wszyscy przemawiający nad otwartą mogiłą, płonąc gniewem, żądali śmierci zabójców, żądali wykrycia ich i sądu nad nimi, tutaj na placu, przy tej mogile, by każdy mógł spojrzeć w twarz wrogom.

Rozległa się trzykrotna salwa, na świeżą mogiłę położono gałęzie choiny. Tegoż dnia wieczorem komórka obrała nowego sekretarza – Rakitinę. Z pogranicznego posterunku GPU dano znać Korczaginowi, że natrafiono tam na ślad zabójców.

W tydzień potem w teatrze miasteczka otwarto drugi rejonowy zjazd rad. Lisicyn z surową miną zaczął uroczyście swój referat.

– Towarzysze, z zadowoleniem mogę zakomunikować zjazdowi, że w ciągu roku wszyscy wykonaliśmy dużą robotę. Ugruntowaliśmy w rejonie władzę radziecką, wytępiliśmy bandytyzm i podcięliśmy nogi przemytnikom. Powstały we wsiach silne organizacje biedoty wiejskiej, dziesięciokrotnie powiększyły się organizacje komsomolskie i rozrosły partyjne. Ostatni kułacki spisek w Poddębicach, którego ofiarą padł nasz towarzysz Chorowodko, został wykryty, zabójcy – młynarz i jego zięć – są aresztowani i w tych dniach będą sądzeni na sesji wyjazdowej sądu gubernialnego. Szereg delegacji wiejskich wystąpiło do prezydium z żądaniem, by zjazd uchwalił rezolucję domagającą się zastosowania najwyższego wymiaru kary dla bandytów-terrorystów...

Sala zatrzęsła się od okrzyków:

– Popieramy! Śmierć wrogom władzy radzieckiej!

W bocznych drzwiach ukazała się Lida. Kiwając palcem przywołała Korczagina.

W korytarzu Lida podała mu kopertę z napisem: *pilne*. Rozpieczętował.

Rejonowy Komitet Młodzieży Berezdowa. Kopia Rejonowemu Komitetowi Partii. Decyzją zarządu komitetu gubernialnego towarzysz Korczagin zostaje odwołany z rejonu do dyspozycji komitetu gubernialnego w celu powierzenia mu odpowiedzialnej pracy komsomolskiej.

Korczagin żegnał się z rejonem, gdzie przepracował rok. Na ostatnim posiedzeniu rejonowego komitetu partii omówiono dwie sprawy: pierwszą – przyjęcie towarzysza Korczagina w poczet członków partii komunistycznej, drugą – zatwierdzenie jego charakterystyki w związku ze zwolnieniem ze stanowiska sekretarza rejonowego komitetu Komsomołu.

Mocno, do bólu, ściskali Pawłowi ręce Lisicyn i Lida, obejmowali go po bratersku, a gdy koń skręcał z podwórza na drogę, pożegnał go salut z dziesięciu rewolwerów.

ucząc z natężenia silnikiem elektrycznym tramwaj piął się w górę po ulicy Funduklejewskiej. Przy gmachu opery zatrzymał się. Z wagonu wysiadła grupa młodzieży i tramwaj znowu powlókł się w górę.

Pankratow przynaglał pozostających w tyle:

– Chodźcie prędzej, chłopcy. Fakt, żeśmy się spóźnili.

Okuniew dopędził go już przy samym wejściu do teatru.

– Pamiętasz, Ignat, trzy lata temu tak samo przyszliśmy z tobą tutaj. Wówczas Dubawa z „robotniczą opozycją" powracał do nas. Dobry był wieczór. A dzisiaj znowu będziemy się bić z Dubawą.

Pankratow odpowiedział Okuniewowi już w sali, dokąd weszli po okazaniu swych mandatów stojącym przy wejściu kontrolerom:

– Tak, historia z Mitiajem powtórzyła się znowu na tym samym miejscu.

Sykano na nich. Trzeba było zająć najbliższe miejsca – wieczorne obrady konferencji już się rozpoczęły. Na trybunie stała kobieta.

– W samą porę. Siedź i słuchaj, co powie żonka – szepnął Pankratow dając Okuniewowi sójkę w bok.

– ...Wprawdzie na dyskusję zużyliśmy dużo sił, ale za to młodzież biorąca w niej udział nauczyła się wielu rzeczy. Z wielką satysfakcją zaznaczamy to, że w naszej organizacji rozgromienie stronników Trockiego jest faktem niewątpliwym. Nie mogą się oni skarżyć, że nie dano im wypowiedzieć się,

wyłożyć całkowicie swych poglądów. Nie, było nawet wprost przeciwnie: swoboda działania, jaką u nas mieli, doprowadziła do szeregu poważnych naruszeń dyscypliny partyjnej z ich strony.

Tala denerwowała się, pukiel włosów spadł jej na twarz i przeszkadzał mówić. Gwałtownie odrzuciła głowę w tył.

– Słyszeliśmy tutaj wielu towarzyszy z rejonów i wszyscy mówili o tych metodach, jakich używali trockiści. Tutaj na konferencji mają oni liczną reprezentację. Rejony świadomie dały im mandaty, żeby jeszcze raz tutaj, na miejskiej konferencji partyjnej, ich wysłuchać. Nie nasza wina, jeżeli rzadko zabierają głos. Całkowite rozgromienie w rejonach i w komórkach nauczyło ich jednak czegoś. Widocznie trudno im stanąć dzisiaj na tej trybunie i powtórzyć to, co mówili jeszcze wczoraj.

– Z prawego kąta parteru przerwał Tali jakiś ostry głos:

– My jeszcze się wypowiemy!

Łagutina obróciła się.

– No cóż, Dubawa, wyjdź i powiedz, posłuchamy – zaproponowała.

Dubawa zatrzymał na niej ciężkie spojrzenie i nerwowo wykrzywił wargi.

– Przyjdzie czas – powiemy! – zawołał i przypomniał sobie o wczorajszej ciężkiej porażce w swojej dzielnicy, gdzie go wszyscy znali.

Po sali przeszło szemranie. Pankratow nie wytrzymał.

– Co, jeszcze raz chciałoby się wam trząść partią?

Dubawa poznał go po głosie, ale nawet nie obrócił się, tylko boleśnie zagryzł wargi i opuścił głowę.

Tala mówiła dalej:

– Za jaskrawy przykład, jak trockiści naruszają dyscyplinę partyjną, może służyć choćby sam Dubawa. To nasz dawny komsomolski działacz, wielu go zna, w szczególności ci ze zbrojowni. Dubawa jest studentem Charkowskiego Komunistycznego Uniwersytetu, ale my wszyscy wiemy, że już od

trzech tygodni jest tu razem z Szumskim. Co ich sprowadziło tutaj w okresie intensywnych zajęć uniwersyteckich? Nie ma ani jednej dzielnicy w mieście, gdzie by nie występowali. Co prawda Michajło w ostatnich dniach zaczął patrzeć trzeźwiej. Kto ich tutaj przysłał? Prócz nich jest u nas szereg trockistów z różnych organizacji. Wszyscy oni niegdyś tutaj pracowali, a teraz przyjechali, by rozniecić ogień walki wewnątrz partii. Czy organizacja partyjna wie o ich miejscu pobytu? Oczywiście nie wie.

Konferencja oczekiwała od trockistów wystąpienia, w którym przyznaliby się do swoich błędów. Tala próbowała popchnąć ich na drogę skruchy i mówiła jakby nie z trybuny, lecz w rozmowie koleżeńskiej:

– Pamiętacie, jak trzy lata temu w tym samym teatrze powracał do nas Dubawa z byłą grupą „robotniczej opozycji". Pamiętacie jego słowa: „Nigdy nie wypuścimy ze swych rąk sztandaru partyjnego", i nie minęły jeszcze trzy lata, a już go Dubawa wypuścił. Tak, oświadczam – wypuścił. Przecie jego słowa „przyjdzie czas – powiemy" mówią o tym, że on i jego współideowcy – trockiści – pójdą dalej.

Z tylnych rzędów ktoś się odezwał:

– Niech Tufta powie o barometrze, oni go uważają za meteorologa.

Rozległy się wzburzone głosy:

– Niewczesne żarciki!

– Niech odpowiedzą: zaprzestają walki z partią czy nie?

– Niech powiedzą, kto napisał deklarację antypartyjną!

Wzburzenie rosło, przewodniczący długo dzwonił.

W zgiełku głosów ginęły słowa Tali, lecz wkrótce burza się uspokoiła i Łagutinę znowu było słychać.

– Dostajemy listy z peryferii od różnych towarzyszy – są po naszej stronie i to nas podtrzymuje na duchu. Pozwólcie mi przeczytać fragment pewnego listu. Pisała go Olga Jureniewa, ją tutaj wiele osób zna, jest obecnie kierowniczką wydziału organizacyjnego okręgowego komitetu Komsomołu.

Tala wyjęła z pliku papierów arkusik i przebiegłszy go oczami, przeczytała:

– *Praktyczna praca zarzucona, już czwarty dzień cały zarząd przebywa w rejonach, trockiści wszczęli niebywale ostrą walkę. Wczoraj zaszedł wypadek, który oburzył całą organizację. Opozycjoniści, nie zdobywszy w mieście większości w żadnej komórce, postanowili zjednoczyć siły i wszcząć bitwę w komórce okręgowego komisariatu wojskowego, do której wchodzą komuniści okręgowego wydziału planowania i oświaty robotniczej. Komórka składa się z czterdziestu dwóch osób, ale zebrali się tam sami trockiści. Nie słyszeliśmy jeszcze nigdzie takich antypartyjnych przemówień, jak na tym posiedzeniu. Ktoś z komisariatu wojskowego wystąpił i powiedział wprost: „Jeżeli aparat partyjny się nie podda, złamiemy go przemocą". Opozycjoniści przyjęli to oświadczenie oklaskami. Wówczas wystąpił Korczagin i rzekł: „Jak mogliście oklaskiwać tego człowieka będąc członkami partii?" Korczaginowi nie dano dalej mówić, stukano krzesłami, krzyczano. Członkowie komórki, oburzeni takim łobuzerskim zachowaniem, domagali się wysłuchania Korczagina, ale gdy Paweł zaczął mówić, znowu urządzono mu obstrukcję. Paweł wołał do nich: „Ładna jest ta wasza demokracja! Mimo wszystko będę mówił!" Na to kilku ludzi rzuciło się na niego i usiłowało ściągnąć z trybuny. Wynikła dzika awantura. Paweł wyrywał się i nie przestawał mówić, ale wywleczono go za scenę i otworzywszy boczne drzwi wyrzucono na schody. Jakiś łajdak rozbił mu twarz do krwi. Prawie cała komórka opuściła zebranie. Ten wypadek otworzył oczy wielu ludziom...*

Tala zeszła z trybuny.

Segał już dwa miesiące pracował jako kierownik wydziału agitacji i propagandy gubernialnego komitetu partii. Teraz

siedział w prezydium obok Tokariewa i z uwagą przysłuchiwał się wystąpieniom delegatów na miejskiej konferencji partyjnej. Na razie występowała wyłącznie młodzież, należąca jeszcze do Komsomołu.

„Jakże oni wyrośli przez te lata!" – myślał Segał.

– Opozycjonistom już się porządnie dostało – powiedział do Tokariewa – a ciężkiej artylerii nie wprowadzono jeszcze do akcji: trockistów gromi młodzież.

Na mównicę wskoczył Tufta. Sala przywitała jego zjawienie się nieprzychylnym szmerem, krótkim wybuchem śmiechu. Tufta obrócił się w stronę prezydium, chciał zaprotestować przeciw takiemu przywitaniu, lecz w sali było już cicho.

– Tutaj ktoś nazwał mnie meteorologiem. Oto, towarzysze z większości, jak drwicie sobie z moich poglądów politycznych! – wypalił jednym tchem.

Zgodny śmiech był odpowiedzią na te słowa. Tufta z oburzeniem wskazał członkom prezydium na salę.

– Możecie się śmiać, ile chcecie, a ja jeszcze raz powtórzę, że młodzież to barometr. Lenin kilkakrotnie o tym pisał.

Sala ucichła momentalnie.

– Co pisał? – doleciało z sali.

Tufta ożywił się.

– Gdy gotowano się do październikowego powstania, Lenin dał dyrektywę, by zebrać zdecydowaną na wszystko młodzież robotniczą, uzbroić ją i rzucić razem z marynarzami na najbardziej odpowiedzialne odcinki. Chcecie, to wam przeczytam to miejsce? Wszystkie cytaty mam wypisane na kartkach.

I sięgnął do teczki.

– Znamy to.

– A co pisał Lenin o jedności?

– A o dyscyplinie partyjnej?

– Gdzie Lenin przeciwstawiał młodzież starej gwardii?

Tufta stracił wątek i przeszedł na inny temat:

– Tutaj Łagutina czytała list Jureniewej. Nie możemy odpowiadać za pewne nienormalności w dyskusji.

Cwietajew, siedzący obok Szumskiego, szepnął wściekły:

– Każ durniowi pomodlić się, on sobie pokłonami łeb rozwali!

Szumski odpowiedział równie cicho:

– Tak! Ten bałwan położy nas ostatecznie.

Cienki, piskliwy głos Tufty w dalszym ciągu świdrował uszy:

– Jeżeli zorganizowaliście frakcję większości, to my mamy prawo zorganizować frakcję mniejszości!

Na sali zerwała się burza.

Tufta był ogłuszony gradem okrzyków oburzenia:

– Co takiego? Znowu bolszewicy i mienszewicy!

– Rosyjska Komunistyczna Partia to nie parlament.

– Oni o wszystkich dbają – od Miasnikowa do Martowa.

Tufta machnął rękami, jakby miał rzucić się wpław, i zaczął mówić szybko, z zacietrzewieniem:

– Tak, potrzebna jest swoboda tworzenia ugrupowań. Bez niej – w jaki sposób my, inaczej myślący, będziemy mogli walczyć o swoje poglądy z taką zorganizowaną i zdyscyplinowaną większością?

Zgiełk na sali wzmagał się. Pankratow wstał i zawołał:

– Dajcie mu się wypowiedzieć, dobrze jest poznać ich myśli! Tufta wygada się z tym, o czym inni milczą.

Uciszyło się. Tufta zrozumiał, że przesolił. Tego chyba nie należało teraz mówić. Jego myśl gwałtownie przeskoczyła na inne tory, i kończąc swe wystąpienie zasypał słuchaczy słowami:

– Oczywiście możecie nas wykluczyć i zepchnąć w kąt. To już się zaczyna. Mnie już wygryziono z gubernialnego komitetu młodzieżowego. Nic nie szkodzi, wkrótce zobaczymy, kto miał rację. – I zlazł ze sceny na salę.

Dubawa dostał od Cwietajewa kartkę:

Mitiaj, wystąp natychmiast. Co prawda, to nie zmieni sytuacji, nasza porażka tutaj jest oczywista. Koniecznie jednak trzeba skorygować słowa Tufty. To przecież dureń i gadula.

Dubawa poprosił o głos; udzielono mu go natychmiast. Gdy wszedł na scenę, salę zaległa cisza pełna napięcia. To normalne przed słuchaniem przemówienia milczenie audytorium powiało na Dubawę chłodem obcości. Nie miał już w sobie tego zapału, z jakim występował w komórkach. Dzień po dniu ogień w nim wygasał i teraz Dubawa niczym zalane wodą ognisko spowijał się w gryzący dym; tym dymem była chorobliwa ambicja, zraniona jawną przegraną, i surowa odprawa ze strony starych przyjaciół, a poza tym uparta niechęć do przyznawania się, że nie ma racji. Postanowił iść przebojem, choć wiedział, że to jeszcze bardziej oddali go od większości. Mówił głucho, lecz dobitnie:

– Proszę mi nie przerywać i nie szarpać mnie replikami. Chcę wam wyłożyć nasze stanowisko całkowicie, chociaż wiem z góry, że to jest daremne: stanowicie większość.

Gdy skończył, na sali jak gdyby wybuchł granat. Huragan wrzasków runął na Dubawę. Jak biczem po twarzy smagały Dymitra gniewne okrzyki:

– Hańba!

– Precz z odszczepieńcami!

– Dość! Wystarczy tego mieszania z błotem!

Szyderczym śmiechem odprowadzono go, gdy schodził ze sceny, i ten śmiech go dobijał. Gdyby krzyczeli z oburzeniem i wściekłością, dałoby mu to satysfakcję. Lecz przecie go wyśmieli jak artystę, który wziął fałszywy ton i głos mu się załamał.

– Głos ma Szumski – rzekł przewodniczący.

Michajło wstał.

– Zrzekam się głosu.

Z tylnych rzędów zamruczał bas Pankratowa:

– Proszę o głos!

Z tonu jego głosu Dubawa wywnioskował o stanie psychicznym Pankratowa. Takim tonem mówił tragarz, gdy go ktoś ciężko obraził, i odprowadzając ponurym spojrzeniem wysoką, z lekka przygarbioną postać Ignata, szybko idącego ku trybunie, Dubawa odczuł przygniatający niepokój. Wiedział, co powie Ignat. Przypomniał sobie swoje wczorajsze spotkanie ze starymi przyjaciółmi na Sołomience, gdy chłopcy w przyjacielskiej pogawędce próbowali zmusić go do zerwania z opozycją. Razem z nim przyszli Cwietajew i Szumski. Zebrali się u Tokariewa. Byli tam Ignat, Okuniew, Tala, Wołyncew, Zielenow, Starowierow, Artiuchin. Dubawa pozostał niemy i głuchy na tę próbę przywrócenia jedności. W trakcie gorącej dyskusji wyszedł z Cwietajewem, podkreślając tym, że nie zamierza uznać swych poglądów za błędne. Szumski został. Obecnie zrezygnował z zabrania głosu. „Inteligencki mięczak! Oni go oczywiście przekabacili" – pomyślał ze złością Dubawa. W tej rozpasanej walce potracił wszystkich przyjaciół. Na uniwersytecie komunistycznym nastąpiło zerwanie starej przyjaźni z Żarkim, który ostro wystąpił na posiedzeniu zarządu przeciw oświadczeniu „czterdziestu sześciu"*. Później, gdy różnice zdań zaostrzyły się, przestał rozmawiać z Żarkim. Kilka razy widział Żarkiego w swoim mieszkaniu – u Anny. Anna Borhart już od roku była żoną Dubawy. Mieli z Anną oddzielne pokoje. Dubawa uważał, że i tak już naprężone stosunki z Anną nie podzielającą jego poglądów pogarszają się z każdym dniem jeszcze i z tego powodu, że Żarki stał się jej częstym gościem. Nie była to zazdrość, a jednak przyjaźń Anny z Żarkim, z którym Duba-

Oświadczenie „czterdziestu sześciu" – opublikowane z inicjatywy Trockiego i napisane przezeń oświadczenie, pod którym zebrał on podpisy 46 opozycjonistów. W oświadczeniu tym trockiści zapowiedzieli rychły upadek władzy radzieckiej i domagali się pełnej swobody w tworzeniu odrębnych ugrupowań wewnątrz partii. Celem tego oświadczenia było rozbicie partii. Oświadczenie to zostało zdemaskowane i potępione przez Plenum KC WKP(b) w październiku 1923 roku.

wa nie rozmawiał, irytowała go. Powiedział to Annie. Wynikła ostra sprzeczka i stosunki między nimi zaogniły się jeszcze bardziej. Przyjechał tutaj, nie powiedziawszy jej o tym.

– Szybki tok jego myśli przerwał Ignat. Zaczął przemawiać.

– Towarzysze! – rąbnął to słowo Pankratow. Wszedł na trybunę i stanął przy samej rampie. – Towarzysze! Przez dziewięć dni słuchaliśmy wystąpień opozycji. Powiem wręcz: opozycjoniści występowali nie jak towarzysze broni, bojownicy rewolucyjni, nasi przyjaciele, złączeni z nami przynależnością klasową i walką – ich wystąpienia były wrogie, nieprzejednane, złośliwe i oszczercze. Tak, towarzysze, oszczercze! Nas, bolszewików, próbowano przedstawić jako zwolenników rządzenia w partii za pomocą kija, jako ludzi sprzeniewierzających się interesom swej klasy i rewolucji. Najlepszy, najbardziej wypróbowany zastęp naszej partii, słynną starą gwardię bolszewicką, tych, którzy wykuli, wychowali Rosyjską Komunistyczną Partię, tych, których gnębił w więzieniach carski despotyzm, tych, którzy pod wodzą towarzysza Lenina toczyli nieubłaganą walkę ze światowym mienszewizmem i z Trockim, tych wszystkich usiłowano przedstawić jako reprezentantów partyjnego biurokratyzmu. Któż inny jak nie wróg mógł wypowiedzieć takie słowa? Czyż partia i jej aparat nie stanowią całości? Powiedzcie, do czego to podobne? Jak nazwalibyśmy tych, co szczuliby młodych czerwonoarmistów na dowódców i komisarzy, na sztab – i to wszystko wtedy, gdy oddział otoczony jest przez wrogów! Cóż to, jeżeli dziś jestem ślusarzem, to w mniemaniu trockistów mogę jeszcze być uważany za człowieka „przyzwoitego", ale jeżeli jutro zostanę sekretarzem komitetu, to jestem już „biurokratą", „urzędasem"?! Czy to nie śmieszne, towarzysze, że wśród opozycjonistów walczących przeciw biurokratyzmowi o demokrację są tacy na przykład ludzie, jak Tufta, niedawno zwolniony z pracy właśnie za biurokratyzm, Cwietajew, dobrze znany sołomieńcom ze swej „demokracji", albo Afanasjew, którego

komitet gubernialny trzykrotnie usuwał z pracy za samowolne rządzenie się i hamowanie roboty na Podolu? Ale przecież to fakt, że w walce przeciw partii zjednoczyli się ci wszyscy, którzy byli przez partię bici. O „bolszewizmie" Trockiego niech opowiedzą starzy bolszewicy. Jest konieczne, żeby młodzież znała dzieje walki Trockiego z bolszewikami, jego ciągłe przerzucanie się z jednego obozu do drugiego. Walka z opozycją zwarła nasze szeregi, ideowo umocniła młodzież. W walce z prądami drobnomieszczańskimi hartowała się partia bolszewicka i Komsomoł. Historyczni panikarze z opozycji przepowiadają nam całkowity krach ekonomiczny i polityczny. Nasze jutro pokaże, co jest warta ta przepowiednia. Żądają, byśmy posłali naszych starych towarzyszy, na przykład Tokariewa, do warsztatu, a na ich miejsce wzięli rozklekotany barometr w rodzaju Dubawy, który walkę z partią chce przedstawić jako jakieś bohaterstwo. Nie, towarzysze, my na to nie pójdziemy. Starzy będą zastąpieni, ale nie przez tych, którzy przy lada trudności z pasją atakują linię partii. Nie pozwolimy burzyć jedności naszej wielkiej partii. Nigdy nie nastąpi rozłam między starą i młodą gwardią. W nieprzejednanej walce z prądami drobnomieszczańskimi pod sztandarem Lenina osiągniemy zwycięstwo!

Pankratow schodził z trybuny burzliwie oklaskiwany.

Nazajutrz u Tufty zebrało się z dziesięć osób. Dubawa mówił:

– Wyjeżdżam dziś z Szumskim do Charkowa. Nie mamy tu więcej nic do roboty. Postarajcie się nie rozpraszać. Pozostaje nam tylko jedno – czekać na rozwój wydarzeń. Niewątpliwie ogólnorosyjska konferencja nas potępi, ale zdaje mi się, że oczekiwanie represji byłoby przedwczesne. Większość postanowiła raz jeszcze wypróbować nas w pracy. Obecnie prowadzić dalej jawną walkę, zwłaszcza po konferencji, znaczyłoby zostać wyrzuconym z partii, co nie leży

w planie naszych działań. Trudno sądzić, co dalej nastąpi. Zdaje się, że nie mamy na razie nic więcej do omówienia. – I Dubawa wstał, zamierzając wyjść.

Chudy, o cienkich wargach Starowierow też wstał.

– Nie rozumiem cię, Mitiaj – zaczął mówić nie wymawiając „r" i jąkając się. – Czy uchwała konferencji nie będzie dla nas obowiązująca?

Cwietajew przerwał mu szorstko:

– Formalnie będzie obowiązująca, w przeciwnym razie odbiorą ci legitymację partyjną. Zobaczymy, skąd wiatr powieje, a teraz rozejdźmy się.

Tufta poruszył się niespokojnie na krześle. Szumski, chmurny i blady, z podkrążonymi oczami po bezsennych nocach, siedział na oknie i gryzł paznokcie. Przy ostatnich słowach Cwietajewa przerwał swe męczące zajęcie i obrócił się ku zebranym.

– Jestem przeciwny takim kombinacjom – rzekł głucho, wpadając nagle w rozdrażnienie. – Osobiście uważam, że rezolucja konferencji nas obowiązuje. Broniliśmy swoich przekonań, lecz powinniśmy się poddać uchwale konferencji.

Starowierow spojrzał na niego z aprobatą.

– To samo chciałem powiedzieć – wyszeplenił.

Dubawa popatrzył Szumskiemu prosto w oczy – z wyraźną drwiną wycedził:

– Tobie w ogóle nikt niczego nie proponuje. Masz jeszcze możność „pokajać się" na konferencji gubernialnej.

Szumski zerwał się na równe nogi.

– Co to za ton, Dymitrze! Powiem wprost, że twoje słowa odpychają mnie od ciebie i zmuszają zastanowić się nad twoim wczorajszym stanowiskiem.

Dubawa machnął na niego pogardliwie ręką.

– To ci tylko pozostaje. Idź pokajać się, póki nie jest za późno.

Dubawa na pożegnanie podał rękę Tufcie i pozostałym.

Wkrótce po nim wyszli Szumski i Starowierow.

Srogim mrozem upamiętnił swe wkroczenie do historii rok 1924. Rozszalał się styczeń po kraju zasypanym śniegiem i od drugiej połowy miesiąca zawył lodowatym wichrem i długotrwałą zamiecią.

Na kolejach południowo-zachodnich zaniosło śniegiem tory. Ludzie walczyli z rozbestwionym żywiołem. W olbrzymie zaspy wrzynały się stalowe śmigła pługów śnieżnych, torując drogę pociągom. Od mrozu i zawiei obrywały się oblodzone druty telegraficzne, z dwunastu linii pracowały tylko trzy: telegraf indoeuropejski i dwie linie z kablem bezpośrednim.

W pokoju mieszczącym telegraf stacji Szepietówka trzy aparaty Morsego nie przerywają swej nieustannej rozmowy, zrozumiałej tylko dla doświadczonego ucha.

Telegrafistki są młode, długość taśmy, którą odcyfrowały od pierwszego dnia pracy, nie przekracza dwudziestu kilometrów, a tymczasem staruszek, ich kolega, zaczynał już trzecią setkę kilometrów. Nie odczytuje, jak one, taśmy, nie marszczy czoła zestawiając trudne litery i zdania. Wypisuje na blankiecie słowo po słowie wsłuchując się w postukiwanie aparatu. Przyjmuje słuchem: „Do wszystkich, wszystkich, wszystkich!"

Zapisując telegrafista myśli: „Na pewno znowu okólnik w sprawie walki z zaspami". Za oknem zawieja, wicher ciska w szybę garściami śniegu. Telegrafiście przywidziało się, że ktoś zastukał w okno, obrócił głowę i mimo woli podziwiał piękne rysunki mrozu na szybach. Żadna ręka ludzka nie potrafiłaby wykonać tej subtelnej ryciny, złożonej z przedziwnych liści i łodyg.

Pochłonięty tym widokiem, przestał słuchać aparatu i gdy odwrócił wzrok od okna, wziął na dłoń taśmę, by przeczytać opuszczone słowa.

Aparat nadawał:

„Dwudziestego pierwszego stycznia o godzinie szóstej minut pięćdziesiąt..."

Telegrafista szybko zapisał to, co przeczytał, i rzuciwszy taśmę, z głową opartą na ręku, zaczął słuchać.

„Wczoraj w Gorkach zmarł..." Telegrafista zapisywał powoli. Ileż w swym życiu wysłuchał radosnych i tragicznych wiadomości, pierwszy dowiadywał się o cudzych smutkach i radościach. Dawno już przestał wnikać w sens skąpych, urwanych zdań, chwytał je uchem i machinalnie przenosił na papier, nie zastanawiając się nad treścią.

Teraz oto ktoś umarł, komuś o tym donoszą. Telegrafista zapomniał o nagłówku: „Do wszystkich, wszystkich, wszystkich!" Aparat wystukiwał: „W-ł-o-d-z-i-m-i-e-r-z I-l-j-i-c-z". Stary telegrafista przekładał postukiwania młoteczka na litery. Siedział spokojnie, nieco znużony. Gdzieś zmarł jakiś Włodzimierz Iljicz, dla kogoś zapisze dzisiaj tragiczne słowa, ktoś zaszlocha z rozpaczy i zmartwienia, ale dla niego są to wszystko obce sprawy – on jest tylko postronnym świadkiem. Aparat wystukuje kropki, kreski, znowu kropki, znowu kreski, on zaś ze znanych dźwięków już złożył pierwszą literę i zapisał na blankiecie – była to litera L. Za nią napisał drugą – E, obok niej starannie wykaligrafował N, dwukrotnie podkreślając przegródkę między kreskami, zaraz dołączył do niej I i już automatycznie uchwycił ostatnią literę – N.

Aparat wystukiwał pauzę i telegrafista na jedną dziesiątą sekundy zatrzymał wzrok na napisanym przez siebie słowie – LENIN.

Aparat stukał w dalszym ciągu, ale myśl, natknąwszy się przypadkowo na znajome imię, znowu do niego wróciła.

Telegrafista raz jeszcze spojrzał na ostatnie słowo – LENIN. Co?... Lenin? W soczewce oka odbił się w perspektywie cały tekst telegramu. Przez kilka chwil telegrafista spoglądał na blankiet i po raz pierwszy w ciągu trzydziestu dwóch lat pracy nie uwierzył w to, co napisał.

Trzykrotnie przebiegał szybko oczami wiersze, lecz słowa uparcie powtarzały: „Zmarł Włodzimierz Iljicz Lenin".

Starzec zerwał się na równe nogi, podniósł spiralnie skręconą taśmę, wpił się w nią wzrokiem. Dwumetrowy pasek potwierdził to, w co nie mógł uwierzyć! Odwrócił ku koleżankom zmartwiałą twarz i usłyszały jego wystraszony okrzyk:

– Lenin umarł!

Wiadomość o wielkiej stracie wymknęła się z telegrafu przez otwarte na oścież drzwi, z szybkością wichru w zawieję obiegła dworzec, wpadła w zamieć śnieżną. Zakołowała po torach i zwrotnicach i z lodowatym przeciągiem wdarła się przez nie domkniętą połowę okutych żelazem wrót do parowozowni.

W parowozowni nad pierwszym kanałem reperacyjnym stała lokomotywa. Leczyła ją brygada lekkiego remontu. Stary Polentowski sam wlazł do kanału pod brzuch swojej lokomotywy i pokazywał ślusarzom chore miejsca. Zachar Bruzżak prostował z Artiomem zgięte pręty rusztów. Trzymał je na kowadle, poddając pod ciosy młota Artioma.

Zachar postarzał się w ostatnich latach. Ciężkie przeżycia pozostawiły głęboką bruzdę na pomarszczonym czole, a skronie posrebrzyła siwizna. Zgarbiły się plecy, a w głęboko wpadniętych oczach był zmierzch.

W oświetlonej szparze wrót parowozowni mignął człowiek i przedwieczorne cienie wchłonęły go. Uderzenia w żelazo zagłuszyły pierwszy okrzyk, ale gdy ów człowiek dobiegł do pracujących przy lokomotywie, Artiom, który podniósł był młot, nie opuścił go na kowadło.

– Towarzysze, Lenin umarł!

Młot powoli zesunął się z ramienia i ręka Artioma bezdźwięcznie opuściła go na cementową podłogę.

– Coś ty powiedział? – Ręka Artioma chwyciła jak kleszcze skórę kożuszka na człowieku, który przyniósł straszną wieść.

A ten, obsypany śniegiem, ciężko dysząc powtórzył już głuchym, zdławionym głosem:

– Tak, towarzysze, Lenin umarł...

I że ów człowiek już nie krzyczał, Artiom zrozumiał pełną grozy prawdę i przyjrzał się jego twarzy: był to sekretarz komitetu partyjnego.

Z kanału wychodzili ludzie, w milczeniu słuchali wieści o śmierci tego, czyje imię znał cały świat.

A u wrót zaryczała lokomotywa, aż wszyscy drgnęli. Zawtórowała jej na dworcu druga, trzecia... Do ich potężnego, przepojonego trwogą nawoływania dołączył się głos elektrowni, wysoki i przenikliwy jak wycie lecącego szrapnela. Czystym dźwiękiem miedzi zagłuszyła je szybkobieżna, piękna „S" – lokomotywa pociągu osobowego, gotowego do odejścia w kierunku Kijowa.

Drgnął zaskoczony niespodzianką funkcjonariusz GPU, gdy maszynista polskiego bezpośredniego pociągu Szepietówka–Warszawa, dowiedziawszy się o przyczynie wycia syren, przez chwilę nasłuchiwał, a potem powoli podniósł rękę i pociągnął na dół łańcuszek otwierający wentyl syreny. Wiedział, że gwiżdże po raz ostatni, że nie będzie mógł więcej pracować na tej maszynie, ale jego ręka nie odrywała się od łańcuszka i wycie lokomotywy podnosiło z miękkich kanap w przedziałach wystraszonych polskich kurierów i dyplomatów.

Parowozownia napełniała się ludźmi. Wlewali się przez wszystkie bramy i gdy wielki budynek był przepełniony, w żałobnej ciszy rozległy się pierwsze słowa.

Przemawiał sekretarz Szepietowskiego Okręgowego Komitetu Partii, stary bolszewik Szarabrin.

– Towarzysze! Umarł wódz światowego proletariatu Lenin. Partia poniosła niepowetowaną stratę – zmarł ten, który stworzył i wychował w nieprzejednanym stosunku do wrogów partię bolszewicką... Śmierć wodza partii i klasy wzywa najlepszych synów proletariatu do naszych szeregów.

Dźwięki marsza żałobnego, setki obnażonych głów – i Ar-

tiom, który w ciągu ostatnich piętnastu lat ani razu nie płakał, poczuł, jak za gardło kurcz go chwyta i jego potężne ramiona zadrgały.

Zdawało się, że ściany klubu kolejarzy nie wytrzymają naporu masy ludzkiej. Na dworze siarczysty mróz, u wejścia dwa rozcapierzone świerki pokryte śniegiem i lodowymi soplami, ale w sali jest duszno od mocno napalonego kaflowego pieca i oddechów sześciuset ludzi, którzy zapragnęli wziąć udział w żałobnym posiedzeniu komitetu partyjnego.

Nie było na sali zwykłego gwaru rozmów. Wielka boleść stłumiła głosy, ludzie rozmawiali po cichu i w niejednej setce oczu można było czytać bolesny niepokój. Zdawało się, że jest tu zebrana załoga okrętu, która straciła swego doświadczonego sternika, porwanego przez sztorm do morza.

Równie cicho zajęli swe miejsca za stołem prezydialnym członkowie zarządu. Krępy Sirotenko ostrożnie uniósł w górę dzwonek, lekko nim brzęknął i opuścił go na stół. To wystarczyło i stopniowo zalegała salę przygniatająca cisza.

Zaraz po referacie wstał zza stołu pierwszy sekretarz komitetu Sirotenko. To, co powiedział, nikogo nie zdziwiło, aczkolwiek było niezwykłe na posiedzeniu żałobnym. Powiedział mianowicie:

– Wielu robotników prosi obecnych na posiedzeniu o rozpatrzenie ich podania podpisanego przez trzydziestu siedmiu towarzyszy. – I przeczytał podanie:

– *Do Kolektywu Kolejowego Komunistycznej Partii Bolszewików Stacji Szepietówka, Kolei Południowo-Zachodniej. Śmierć wodza wezwała nas do szeregów bolszewików, prosimy więc o rozpatrzenie naszej sprawy na dzisiejszym posiedzeniu i przyjęcie do partii Lenina.*

Po tych krótkich słowach następowały dwie kolumny podpisów.

Sirotenko czytał je, zatrzymując się na chwilę po każdym, by zebrani na sali mogli zapamiętać znajome nazwiska:

– „Polentowski Stanisław Zygmuntowicz – maszynista kolejowy, trzydzieści sześć lat pracy zawodowej".

Po sali przeszedł szmer aprobaty.

– „Korczagin Artiom Andriejewicz – ślusarz, siedemnaście lat pracy zawodowej.

Bruzżak Zachar Filipowicz – maszynista kolejowy, dwadzieścia lat pracy zawodowej".

Szmer na sali wzmagał się, a człowiek przy stole w dalszym ciągu wymieniał nazwiska i sala słuchała imion kadrowych pracowników kolejarskiej braci.

Zupełna cisza zaległa salę, gdy do stołu podszedł pierwszy z podpisanych.

Stary Polentowski nie mógł bez wzruszenia opowiadać historii swego życia.

– ...Cóż mam jeszcze dodać, towarzysze? Wiadomo, jakie życie miał robociarz w dawnych czasach. Żył w niewoli, a na starość ginął z nędzy. Cóż, przyznam się, gdy nastała rewolucja, uważałem siebie za starca. Miałem rodzinę na karku i przegapiłem drogę do partii. I chociaż podczas walki nigdy wrogowi nie pomagałem, to jednak rzadko wtrącałem się do bójki. W dziewięćset piątym w warszawskich warsztatach należałem do komitetu strajkowego i szedłem ręka w rękę z bolszewikami. Człowiek był wtedy młody i gorący. Ale po co wspominać dawne czasy? Uderzyła mnie śmierć Iljicza w samo serce, straciliśmy na zawsze swojego przyjaciela i orędownika i nie będę się już rozwodził nad tym, co było!... Niechaj kto inny piękniej powie, ja nie majster od słów. Jedno tylko stwierdzam: trzeba mi iść wspólną drogą z bolszewikami, nie inaczej.

Maszynista kiwnął stanowczo siwą głową, a jego spojrzenie spod siwych brwi twardo i nieruchomo utkwiło w sali, od której jak gdyby oczekiwał decyzji.

Ani jedna ręka nie podniosła się w górę, by zaprzeczyć

temu, co mówił ten niski człowiek o siwej głowie, i nikt nie powstrzymał się od głosowania, gdy egzekutywa zwróciła się do bezpartyjnych, prosząc o wypowiedzenie się w tej sprawie.

Polentowski odchodził od stołu już jako członek partii.

Każdy w sali rozumiał, że teraz dzieje się coś niezwykłego. Tam gdzie przed chwilą stał maszynista, pchała się ciężka postać Artioma. Ślusarz nie wiedział, gdzie podziać długie ręce, i miętosił nimi czapkę z nausznikami. Przetarty na wyłogach barani kożuszek był rozchylony, a kołnierz szarej bluzy żołnierskiej, starannie zapięty na dwa mosiężne guziki, czynił postać ślusarza odświętnie schludną. Artiom obrócił się w stronę sali i przelotnie dostrzegł znajomą twarz kobiecą: wśród koleżanek ze szwalni siedziała Halina, córka kamieniarza. Uśmiechnęła się do niego przebaczająco, w jej uśmiechu była aprobata i jeszcze coś nie dopowiedzianego, ukrytego w kącikach warg.

– Opowiedz, Artiomie, swój życiorys! – usłyszał ślusarz głos Sirotenki.

Z trudem zaczynał swą opowieść Korczagin starszy, nie przywykł do przemawiania na wielkich zebraniach. Dopiero teraz poczuł, że nie zdoła podzielić się tym wszystkim, co nagromadziło w nim życie. Ciężko układały mu się słowa, a przy tym wzruszenie przeszkadzało mu mówić. Nigdy nie doznawał czegoś podobnego. Jasno zdawał sobie sprawę, że w życiu jego następuje doniosły przełom, że on – Artiom – robi teraz ostatni krok ku temu, co ogrzeje i nada sens jego zeskorupiałemu i surowemu istnieniu.

– Miała nas matka czworo – zaczął Artiom.

Na sali cicho. Sześćset osób słucha uważnie wysokiego majstra o orlim nosie i oczach schowanych pod czarną frędzlą brwi.

– Matka kucharowała w pańskich domach. Ojca mało pamiętam, żył z matką w niezgodzie. Zalewał robaka bardziej, niż należało. Mieszkaliśmy z matką. Ponad jej siły było

wyżywić tyle gęb. Płacili jej państwo cztery ruble miesięcznie i dawali wikt, a harowała za to od świtu do nocy. Udało mi się szczęśliwie chodzić przez dwie zimy do szkoły początkowej, nauczono mnie czytać i pisać, i gdy szło mi na dziesiąty rok, nie miała matka innego wyjścia jak oddać mnie na terminatora do warsztatu ślusarskiego. Bez wynagrodzenia, na trzy lata – za sam wikt... Właścicielem warsztatu był Niemiec nazwiskiem Ferster. Nie chciał on mnie z początku brać, żem za młody, ale byłem rosłym chłopcem i matka dwa lata mi dodała. Byłem u tego Niemca trzy lata. Rzemiosła mnie nie uczono, lecz ganiano w sprawach gospodarskich i po wódkę. Majster pił na umór... A mnie ganiał i po węgiel, i po żelazo. Majstrowa zrobiła ze mnie popychadło: dźwigałem jej garnki i obierałem kartofle. Każdy szukał okazji, by mnie kopnąć, często całkiem bez powodu! Tak ot, z przyzwyczajenia: nie wygodzę czymś majstrowej – ta z powodu pijaństwa męża zła była na wszystkich – trzaśnie mnie raz i drugi w pysk. Wyskoczysz od niej na ulicę i gdzie pójdziesz, komu się poskarżysz? Matka o czterdzieści wiorst, ale i u niej nie ma schronienia... W warsztacie nie lepiej. Rządził tam wszystkim brat majstra. Lubił ten gad znęcać się nade mną żartami. „Podaj mi – powiada – ten oto krążek" – i pokaże ręką na ziemię w kącie, gdzie znajdowało się kowalskie palenisko. Idę tam, cap ręką za krążek, a on go dopiero co wykuł, wyjął z ognia. Na ziemi leży czarny, a chwycisz – oparzysz sobie palce aż do mięsa. Wrzeszczysz z bólu, a on rży, pęka ze śmiechu. Nie mogłem dłużej wytrzymać tej harówki i poniewierki, uciekłem do matki. A ona nie miała mnie gdzie podziać. Przywiozła mnie z powrotem do Niemca, wiozła i płakała. W trzecim roku zaczęli mi to i owo pokazywać ze ślusarki, ale mordobicie trwało nadal. Znowu uciekłem, oparłem się aż w Starokonstantynowie. W tym mieście wstąpiłem do warsztatu masarskiego i wiodłem tam z górą półtora roku sobacze życie, myjąc kiszki. Właściciel przegrał swój warsztat, nie zapłacił nam za cztery miesiące ani grosza

i gdzieś zwiał. W ten sposób wydobyłem się z tej dziury. Wsiadłem do pociągu, wylazłem w Żmerince i poszedłem szukać pracy. Wdzięczny jestem jednemu robotnikowi z parowozowni, wszedł w moje położenie. Przekonał się, że coś niecoś ze ślusarki rozumiem, wstawił się za mną do dyrekcji, podając mnie za swego siostrzeńca. Sądząc po wzroście dano mi siedemnaście lat i zostałem pomocnikiem ślusarza. Tutaj pracuję dziewiąty rok. Tak to wygląda co do poprzedniego życia, a o teraźniejszym wszystko wiecie.

Artiom przesunął czapką po czole i westchnął głęboko. Trzeba było powiedzieć jeszcze rzecz najważniejszą, najtrudniejszą dla niego, nie czekając na czyjekolwiek pytanie. I ściągnąwszy mocno gęste brwi mówił dalej:

– Każdy może mnie zapytać: czemu nie zostałem bolszewikiem, jak tylko rozpalił się ogień? Cóż mogę na to powiedzieć? Przecie do starości jeszcze mi daleko, a dopiero teraz znalazłem drogę wiodącą tutaj. Cóż tu będę ukrywał? Przegapiliśmy tę drogę. Jeszcze w osiemnastym roku, gdyśmy przeciw Niemcom strajkowali, należało zacząć. Żuchraj, marynarz, nieraz z nami o tym rozmawiał. Dopiero w dwudziestym chwyciłem za karabin. Skończyła się zawierucha, zagnaliśmy białych do Morza Czarnego, wróciliśmy. Potem rodzina, dzieci... Ugrzązłem w domowych sprawach. Ale gdy nie stało towarzysza Lenina i partia rzuciła wezwanie, popatrzyłem na swoje życie i zrozumiałem, czego w nim brak. Nie dość bronić swojej władzy, trzeba całą wielką rodziną zastąpić Lenina, żeby władza radziecka stała jak żelazna góra. Musimy zostać bolszewikami – to przecie nasza partia!

W prosty sposób, lecz z głęboką szczerością, zawstydzony nieporadnością swego stylu, zakończył ślusarz swe przemówienie i jak gdyby zdjął z barków ciężar, wyprostował się i czekał na pytania.

– Może ktoś chce o coś zapytać? – przerwał ciszę Sirotenko.

Słuchacze poruszyli się, ale sala odezwała się nie od razu.

Czarny jak żuk palacz, który przyszedł na zebranie wprost z lokomotywy, rzucił stanowczo:

– O co go pytać? Czyż my go nie znamy? Przyjąć go i basta!

Krępy, czerwony z gorąca i natężenia kowal Gilaka wychrypiał przeziębiony:

– Taki nie zboczy z drogi, towarzysz z niego będzie jak należy. Głosuj, Sirotenko!

W tylnych rzędach, gdzie siedzieli komsomolcy, podniósł się jeden, niewidoczny w półmroku, i zapytał:

– Niech towarzysz Korczagin powie, dlaczego osiadł na roli i czy chłopstwo nie odrywa go od psychologii proletariackiej.

Przez salę przeszedł lekki szmer niezadowolenia i czyjś głos zaprotestował:

– Mów po prostu! Znalazł miejsce do wygłupiania się...

Ale Artiom już odpowiadał:

– Nie szkodzi, towarzyszu. Ten chłopiec słusznie powiedział, żem osiadł na roli: to jest prawda, ale przez to nie utraciłem robotniczego sumienia. Od dzisiaj z tym koniec. Przenoszę się z rodziną bliżej parowozowni, tak będzie lepiej. Bo przez tę ziemię trudno mi już oddychać.

Jeszcze raz drgnęło serce Artioma, gdy popatrzył na las podniesionych rąk, i już nie czując ciężaru swego ciała, nie garbiąc się, poszedł ku swemu miejscu. Za sobą usłyszał głos Sirotenki:

– Jednogłośnie.

Jako trzeci zatrzymał się przy stole prezydium Zachar Bruzżak. Małomówny dawny pomocnik Polentowskiego, sam już od dawna maszynista, kończył opowieść o swym życiu człowieka pracy i gdy doszedł do ostatnich dni, wyrzekł cicho, ale wszyscy słyszeli:

– Obowiązany jestem kończyć pracę moich dzieci. Nie po to one umierały, żebym ja z moim zmartwieniem ugrzązł gdzieś w kącie. Miejsca po ich stracie nie zapełniłem sobą.

Dopiero śmierć wodza otworzyła mi oczy. Nie pytajcie się mnie o to, co już minęło, nasze prawdziwe życie zaczyna się od nowa.

Zachar, przejęty wspomnieniami, zasępił się, spochmurniał, ale gdy nie zadano mu ani jednego drażliwego pytania, a ręce wszystkich uniosły się na znak przyjęcia go do partii, oczy rozjaśniły mu się i siwa głowa nie pochyliła się więcej.

Do późnej nocy trwał w parowozowni przegląd tych, co przyszli zasilić szeregi partii. Dopuszczano do partii tylko najlepszych, tych, których dobrze znano, których świadectwem było ich życie.

Śmierć Lenina uczyniła setki tysięcy robotników bolszewikami. Strata wodza nie rozbiła szeregów partii, jak nie ginie drzewo głęboko wrośnięte w glebę potężnymi korzeniami, gdy mu zetną wierzchołek.

rzy wejściu do sali koncertowej hotelu stało dwoje ludzi. Na rękawie wysokiego mężczyzny w binoklach czerwona opaska z napisem: *Komendant.*

– Czy tutaj odbywa się posiedzenie delegacji ukraińskiej? – zapytała Rita.

Wysoki odpowiedział oficjalnie:

– Tak! A o co chodzi?

– Proszę mnie przepuścić.

Wysoki zagrodził do połowy przejście. Przyjrzał się Ricie i rzekł:

– Wasz mandat? Przepuszcza się tylko delegatów z kartami upoważniającymi do głosu decydującego lub doradczego.

Rita wyjęła z torebki legitymację z wytłoczonym złotym napisem. Mężczyzna przeczytał: *Członek Komitetu Centralnego.* Oficjalność mu jak ręką odjęło, od razu stał się uprzejmy i „swojski".

– Proszę wejść, oto tam na lewo są wolne miejsca.

Rita przeszła między rzędami krzeseł i ujrzawszy wolne miejsce usiadła. Narada delegatów miała się widocznie ku końcowi. Rita przysłuchiwała się przemówieniu przewodniczącego. Jego głos wydał się jej znajomy.

– A więc, towarzysze, przedstawiciele delegacji do konwentu seniorów ogólnorosyjskiego zjazdu są wybrani również i do rady delegacji. Do rozpoczęcia obrad pozostają dwie godziny. Pozwólcie, że raz jeszcze sprawdzę listę delegatów przybyłych na zjazd.

Rita poznała Akima: to on czytał pośpiesznie wykaz nazwisk.

W odpowiedzi podnosiły się ręce z czerwonymi lub białymi mandatami.

Rita słuchała z natężoną uwagą.

Oto jedno znajome nazwisko:

– „Pankratow".

Rita obejrzała się na podniesioną rękę, ale w rzędach siedzących osób nie mogła dojrzeć znajomej twarzy tragarza. Biegną nazwiska, wśród nich znowu znajome – „Okuniew", i zaraz za nim drugie – „Żarki".

Żarkiego Rita widzi. Siedzi bardzo niedaleko, wpół obrócony w jej stronę. Oto jego profil, którego już nie pamiętała. Tak, to Wania. Kilka lat go nie widziała.

Biegł wykaz nazwisk i naraz Rita drgnęła na dźwięk jednego z nich.

– „Korczagin".

Daleko przed nią podniosła się i opuściła ręka i rzecz dziwna – Rita Ustinowicz poczuła dręczącą chęć zobaczenia tego, kto był imiennikiem jej zmarłego przyjaciela. Bez przerwy wpatrywała się w miejsce, z którego podniosła się ręka, lecz wszystkie głowy wydawały się jednakowe. Rita wstała i poszła wzdłuż ściany ku pierwszym rzędom. Akim umilkł. Zaszurały odsuwane krzesła, delegaci zaczęli głośno rozmawiać, rozsypał się młody śmiech i Akim, starając się przekrzyczeć hałas na sali, zawołał:

– Nie spóźniajcie się!... Teatr Wielki... Godzina siódma!...

Przy drzwiach wyjściowych utworzył się zator.

Rita zrozumiała, że w tym potoku nie znajdzie nikogo z tych, których nazwiska słyszała przed chwilą. Nie pozostawało nic innego jak nie tracić z oczu Akima i przez niego znaleźć pozostałych. Szła w stronę Akima, przepuszczając obok siebie ostatnią grupę delegatów.

– No cóż, Korczagin, chodźmy i my, stary! – usłyszała za sobą.

I głos tak dobrze znany, tak pamiętny odpowiedział:

– Chodźmy.

Rita szybko się obejrzała. Przed nią stał rosły, śniady młody człowiek w bluzie żołnierskiej koloru khaki, ściśniętej w talii wąskim kaukaskim pasem, i w granatowych spodniach.

Szeroko rozwartymi oczami patrzyła na niego Rita, i gdy objęły ją czułe ręce, a drżący głos szepnął: „Rita", zrozumiała, że to Paweł Korczagin.

– Więc żyjesz?

Te słowa powiedziały mu wszystko. Nie wiedziała, że wiadomość o jego śmierci była fałszywa.

Sala opustoszała, przez otwarte okno dochodził zgiełk ulicy Twerskiej, tej potężnej arterii miasta. Zegar dźwięcznie wybił sześć razy, a im obojgu zdawało się, że spotkali się zaledwie kilka minut temu. Ale zegar wzywał do Teatru Wielkiego. Gdy szli szerokimi schodami ku wyjściu na ulicę, ona raz jeszcze obrzuciła Pawła spojrzeniem. Był teraz wyższy od niej o pół głowy, poza tym taki sam jak dawniej, tylko bardziej męski i opanowany.

– Widzisz, nawet nie zapytałam, gdzie pracujesz.

– Jestem sekretarzem okręgowego komitetu Komsomołu, czyli, jak mówi Dubawa, „funkcjonariuszem" – i Paweł uśmiechnął się.

– Widziałeś go?

– Owszem, widziałem i to spotkanie zostawiło mi nieprzyjemne wspomnienie.

Wyszli na ulicę. Klaksony mknących aut, ruch i gwar tłumu. Do Teatru Wielkiego przeszli prawie nie rozmawiając, myśląc o jednym. A teatr oblegało morze ludzkie, rozhukane, napierające. Pchało się na gmach teatru, próbowało wedrzeć się do strzeżonych przez czerwonoarmistów, upragnionych wejść, lecz nieubłagani wartownicy przepuszczali tylko delegatów i ci przechodzili przez zagradzający kordon z dumą okazując mandaty.

Falujący tłum dookoła teatru – to komsomolcy. Było to

bractwo, które nie dostało zaproszeń, lecz usiłowało za wszelką cenę być na otwarciu zjazdu. Zwinni komsomolcy wciskali się w środek grupy delegatów i pokazując jakiś czerwony papierek, mający wyobrażać mandat, docierali czasami do samych drzwi. Niektórym udawało się wśliznąć i we drzwi. Ale tutaj trafiali na dyżurnego członka KC lub komendanta, którzy kierowali gości na piętro, a delegatów na parter. I wówczas ku wielkiemu zadowoleniu pozostałych, którzy weszli na gapę, wyprowadzano ich za drzwi. Teatr nie mógł pomieścić nawet dwudziestej części tych, co pragnęli tam być.

Rita i Paweł z trudem przecisnęli się do drzwi. Delegatów wciąż przybywało: przywoziły ich tramwaje, samochody. Przy drzwiach ścisk. Czerwonoarmiści – też komsomolcy – mieli ciężkie zadanie, przyparto ich do samej ściany, a od podjazdu dochodził potężny krzyk:

– Napierajcie, baumanowcy*, napierajcie!

– Napierajcie, bracia, górą nasi!

– N-a-przód!...

Przez drzwi razem z Korczaginem i Ritą prześliznął się jak piskorz chłopak o oczach spryciarza ze znaczkiem KIM-u i wyminąwszy komendanta pomknął na złamanie karku do hallu. W mgnieniu oka zniknął w potoku delegatów.

– Siądźmy tutaj – Rita wskazała na loże, gdy weszli na parter.

Usiedli w kącie.

– Chcę otrzymać odpowiedź na jedno pytanie – rzekła Rita. – Chociaż to sprawa minionych dni, jednak myślę, że powiesz mi: dlaczegoś wówczas przerwał nasze lekcje i naszą przyjaźń?

Tego pytania oczekiwał od pierwszej chwili, gdy się zobaczyli, a jednak zmieszał się. Oczy ich spotkały się i Paweł zrozumiał: ona wie.

B a u m a n o w c y – tutaj tak nazwano śmiałą, rozentuzjazmowaną młodzież. Nazwa pochodzi od nazwiska nieustraszonego, pełnego radości życia i wiary w zwycięstwo bolszewika Ernesta Baumana.

– Sądzę, że ty wszystko wiesz, Rito. To było trzy lata temu, a teraz mogę Pawkę tylko potępić za to. W ogóle zaś Korczagin popełniał w swoim życiu wielkie i małe błędy i jednym z nich był ten, o który pytasz.

Rita uśmiechnęła się.

– To dobry wstęp. Ale czekam na odpowiedź!

Paweł zaczął mówić cicho:

– Winę za to ponoszę nie tylko ja, lecz i „Szerszeń", jego rewolucyjna romantyka. Książki, w których z przejęciem opisano mężnych, silnych duchem i wolą rewolucjonistów, nieustraszonych, bezgranicznie oddanych naszej sprawie, pozostawiały we mnie niezatarte wrażenie i pragnienie, by stać się takim jak oni. Otóż uczucie, jakie miałem dla ciebie, potraktowałem według powieści „Szerszeń". Obecnie jest to dla mnie śmieszne, a przede wszystkim godne pożałowania.

– To znaczy, że ocena „Szerszenia" została zrewidowana.

– Nie, Rito, w zasadzie nie! Odrzuciłem jedynie niepotrzebny tragizm męczącego ćwiczenia siły woli. Ale jestem nadal wyznawcą głoszonych tam zasad męstwa, bezgranicznego hartu, jestem wielbicielem tego typu człowieka, umiejącego znosić cierpienia bez pokazywania ich wszystkim i każdemu, tego wzoru rewolucjonistów, dla którego sprawa osobista jest niczym wobec sprawy ogółu.

– Nie pozostaje nic innego, Pawle, jak tylko żałować, że ta rozmowa odbyła się o trzy lata później, niż powinna była się odbyć – rzekła Rita uśmiechając się w zadumie.

– Czy nie dlatego, Rito, że nigdy nie stałbym się dla ciebie czymś więcej niż towarzyszem?

– Nie, Pawle, mogłeś się stać czymś więcej.

– To można naprawić.

– Trochę za późno, towarzyszu Szerszeniu.

Rita uśmiechnęła się przy tym żarcie i wyjaśniła:

– Mam małą córeczkę. Jej ojciec jest moim wielkim przyjacielem. Wszyscy troje bardzo się przyjaźnimy i to trio jest na razie nierozłączne.

Jej palce dotknęły ręki Pawła. Był to ruch lęku o niego, ale zaraz zrozumiała, że niepotrzebny. Tak, on wyrósł przez te trzy lata nie tylko fizycznie. Wiedziała, że obecnie odczuwa ból – mówiły to jego oczy – ale Paweł powiedział bez pozy, szczerze:

– A jednak to, co mi pozostaje, znaczy bez porównania więcej niż to, co przed chwilą straciłem.

Paweł i Rita wstali. Czas było zajmować miejsca bliżej sceny. Skierowali się ku fotelom, gdzie lokowała się delegacja ukraińska. Zagrała orkiestra. Płonęły czerwienią ogromne płótna, a błyszczące litery krzyczały: *Przyszłość należy do nas*. Tysiące ludzi zapełniły parter, loże, piętra. Te tysiące zlewały się tutaj w jeden potężny transformator nigdy nie gasnącej energii. Teatr-olbrzym przyjął w swoje mury kwiat młodej gwardii wielkiego przemysłowego pokolenia. Tysiące par oczu, a w każdej z nich odbija się to, co ogniem płonie nad ciężką kurtyną: „Przyszłość należy do nas". A przypływ wciąż trwa: jeszcze kilka minut – i ciężki aksamit kurtyny powoli się rozsunie, a sekretarz Komitetu Centralnego Rosyjskiego Komunistycznego Związku Młodzieży, tracąc na moment panowanie nad sobą wobec tak niezwykle uroczystej chwili, zagai wzruszonym głosem:

– Otwieram szósty zjazd Rosyjskiego Komunistycznego Związku Młodzieży.

Nigdy nie czuł Korczagin mocniej i głębiej wielkości potęgi rewolucji, nigdy tak, jak teraz, nie odczuł tej niewysłowionej dumy i niepowtarzalnej radości, które dało mu życie przyprowadziwszy go, jako bojownika i budowniczego, tutaj, na tę zwycięską uroczystość młodej gwardii bolszewizmu.

Zjazd zajmował uczestnikom cały czas od wczesnego rana do późnej nocy i Paweł spotkał się znowu z Ritą dopiero na jednym z ostatnich posiedzeń. Ujrzał ją w grupie Ukraińców.

– Jutro po zamknięciu zjazdu zaraz wyjeżdżam – powiedziała. – Nie wiem, czy uda nam się jeszcze pomówić na pożegnanie. Dlatego przygotowałam dzisiaj dla ciebie dwa zeszyty moich notatek dotyczących przeszłości i niewielki list. Przeczytaj je i odeślij mi pocztą. Z ich treści dowiesz się o tym wszystkim, o czym ci nie opowiedziałam.

Uścisnął dłoń Rity i popatrzył na nią badawczo, jakby starając się zapamiętać jej rysy.

Spotkali się, jak było umówione, nazajutrz przy głównym wejściu i Rita wręczyła mu paczkę i zapieczętowany list. Dokoła stali ludzie, pożegnali się więc powściągliwie, i tylko w jej oczach, z lekka zamglonych, ujrzał wiele ciepła i trochę smutku.

Nazajutrz pociągi uniosły ich w różne strony.

Ukraińcy jechali w kilku wagonach. Korczagin był w grupie kijowian. Wieczorem, gdy wszyscy położyli się spać i Okuniew na sąsiednim łóżku we śnie pogwizdywał nosem, Korczagin, przybliżywszy się do światła, otworzył list.

Miły mój Pawłusza!

Mogłam Ci to powiedzieć osobiście, ale tak będzie lepiej. Pragnę tylko jednego: aby to, o czym rozmawialiśmy przed rozpoczęciem zjazdu, nie pozostawiło przykrego śladu w Twoim życiu. Wiem, że masz dużo sił, dlatego wierzę w to, coś powiedział. Nie patrzę na życie z formalnego punktu widzenia, czasami można zrobić wyjątki, co prawda bardzo rzadko, w stosunkach osobistych, jeżeli takie wyjątki są wywołane wielkim, głębokim uczuciem. Zasługujesz na to, ale odrzuciłam pierwsze pragnienie spłacenia długu naszej młodości. Czuję, że to nie dałoby nam wielkiej radości. Nie należy być tak surowym dla siebie, Pawle. W naszym życiu jest nie tylko walka, lecz i radość pięknego uczucia.

Co do pozostałych stron Twego życia, czyli zasadniczej jego treści, nie doznaję żadnego niepokoju. Mocno ściskam dłonie. Rita.

Paweł w zadumie podarł list i wysunąwszy ręce przez okno poczuł, jak wiatr wyrwał mu kawałki papieru z palców.

Do rana przeczytał oba zeszyty, zawinął je w papier i związał. W Charkowie część Ukraińców wysiadła z pociągu, między innymi Okuniew, Pankratow i Korczagin. Mikołaj musiał jechać do Kijowa po Talę, która pozostała u Anny. Pankratow, wybrany do KC Komsomołu Ukrainy, miał do załatwienia swoje sprawy. Korczagin postanowił jechać z nimi do Kijowa, by przy okazji odwiedzić Żarkiego i Annę. Zatrzymał się w urzędzie pocztowym na dworcu, by odesłać Ricie zeszyty, i gdy podszedł do pociągu, nie zastał już nikogo z przyjaciół. Tramwaj podwiózł go do domu, gdzie mieszkała Anna i Dubawa. Paweł wszedł po schodach na drugie piętro i zastukał do drzwi na lewo – do Anny. Na stukanie nikt nie odpowiedział. Był wczesny ranek i Anna jeszcze nie mogła wyjść do pracy. „Na pewno śpi" – pomyślał. Drzwi obok uchyliły się i na podest wyszedł zaspany Dubawa. Twarz szara, oczy podkrążone. Zalatywało od niego mocno cebulą i – co od razu Korczagin poczuł swym wyczulonym węchem – wyziewami alkoholu. Przez uchylone drzwi Paweł zobaczył na łóżku jakąś grubą kobietę, a raczej jej tłustą gołą nogę i ramiona.

Dubawa, pochwyciwszy jego spojrzenie, pchnięciem nogi zamknął drzwi.

– Ty co, do towarzyszki Borhart? – spytał ochrypłym głosem, patrząc gdzieś w kąt. – Jej tutaj już nie ma. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Nachmurzony Korczagin przyglądał mu się badawczo.

– Nie wiedziałem o tym. Dokąd się przeprowadziła? – spytał.

Dubawa nagle rozgniewał się.

– To mnie nie interesuje. – Odbiło mu się, po czym dodał z tłumioną złością: – Przyszedłeś ją pocieszyć? Cóż, w samą porę. Jest teraz wakans, działaj. Tym bardziej że nie spotka cię odmowa. Przecie nieraz mówiła mi, żeś się jej podobał...

czy jak to tam się u bab nazywa. Korzystaj z okazji, połączy was jedność ducha i ciała.

Paweł poczuł, że mu policzki płoną. Hamując się rzekł cicho:

– Do czegoś ty doszedł, Mitiaj! Nie spodziewałem się, żebyś tak spodlał. Przecież byłeś niegdyś niezłym chłopcem. Dlaczegóż tak dziczejesz?

Dubawa oparł się o ścianę. Widocznie zimno mu było stać boso na cementowej podłodze i kulił się. Drzwi się otworzyły i wysunęła się z nich zaspana kobieta o pulchnych policzkach.

– Chodźże tu, kotku, czemu tam stoisz?

Dubawa nie dał jej dokończyć, zatrzasnął drzwi i podparł je swym ciałem.

– Dobry początek... – rzekł Paweł. – Kogo do siebie wpuszczasz i do czego to doprowadzi?

Dubawa miał już widać dosyć tej rozmowy i krzyknął:

– Będziecie mi jeszcze wskazywać, z kim mam spać! Dosyć mam tych morałów! Możesz się wynosić, skądeś przyszedł! Idź i opowiadaj, że Dubawa pije i śpi z rozpustną dziewką.

Paweł podszedł do niego i rzekł wzburzony:

– Mitiaj, wyprowadź tę babę, chcę raz jeszcze, i to ostatni, z tobą pomówić.

Twarz Dubawy pociemniała. Odwrócił się i wszedł do pokoju.

– Ech, gad! – wyszeptał Korczagin schodząc powoli ze schodów.

Minęły dwa lata. Obojętny czas liczył dnie, miesiące, a życie wartkie, wielobarwne wypełniało te dnie (na pozór jednostajne) wciąż czymś nowym, niepodobnym do tego, co było wczoraj. Sto sześćdziesiąt milionów stanowiących wielki naród, który pierwszy w świecie stał się gospodarzem swej nieogarnionej ziemi i jej nieprzebranych bogactw naturalnych,

w bohaterskim i wytężonym trudzie odbudowało zrujnowaną przez wojnę gospodarkę narodową. Kraj wzmacniał się, nabierał sił i już nie było widać kominów bez dymu i jeszcze niedawno martwych i ponurych w swym opuszczeniu fabryk.

Te dwa lata zeszły Korczaginowi w nieustannym ruchu, tak że nawet ich nie zauważył. Nie potrafił żyć spokojnie, witać ranka leniwym ziewaniem i kłaść się spać punktualnie o dziesiątej. Pilno mu było żyć. I nie tylko sam się spieszył, lecz popędzał i innych.

Na sen skąpił czasu. Można było nieraz widzieć oświetlone do późnej nocy okno jego pokoju, a w nim ludzi pochylonych nad stołem. Odbywała się tu nauka. Przez dwa lata przestudiowano trzeci tom „Kapitału". Stała się zrozumiała najsubtelniejsza mechanika kapitalistycznego wyzysku.

W okręgu, gdzie pracował Korczagin, zjawił się Razwalichin. Przysyłał go komitet gubernialny z propozycją zatrudnienia w charakterze sekretarza rejonowego komitetu Komsomołu. Korczagin był wtedy w rozjazdach i podczas jego nieobecności zarząd okręgowy posłał Razwalichina do jednego z rejonów. Przyjechał Korczagin, dowiedział się o tym – nic nie powiedział.

Minął miesiąc i Korczagin wpadł znienacka do rejonu Razwalichina. Znalazł niewiele wykroczeń, ale wśród nich były już takie fakty, jak pijatyki, otaczanie się pochlebcami i odsuwanie w cień porządnych chłopaków. Korczagin wniósł to wszystko na posiedzenie zarządu i gdy wszyscy wypowiedzieli się za udzieleniem Razwalichinowi surowej nagany, rzekł nieoczekiwanie:

– Usunąć go bez prawa ponownego wstąpienia.

Wszystkich to zdziwiło i wydało się zbyt surowe, lecz Korczagin powtórzył:

– Usunąć łajdaka. Temu mizernemu gimnazjaliście dawano możność stania się człowiekiem, ale on się całkiem zwyczajnie tu wkręcił. – Paweł opowiedział o Berezdowie.

– Protestuję kategorycznie przeciw oświadczeniu Korczagina. To są porachunki osobiste, można na mnie nagadać, co się chce. Niech Korczagin przedstawi dokumenty, dane, fakty. Ja też mogę wymyślić, że on zajmował się przemytem – więc za to należy go usunąć? Nie, niech przedstawi dokument! – krzyczał Razwalichin.

– Poczekaj, wypiszemy ci także dokument – odpowiedział mu Korczagin.

Razwalichin wyszedł. W pół godziny potem Korczagin dopiął swego. Zapadła uchwała: „Usunąć z szeregów Komsomołu jako obcy element".

Latem przyjaciele jeden po drugim wyjeżdżali na urlop. Kto miał słabsze zdrowie, udawał się nad morze. Latem marzenia o urlopie ogarniały wszystkich i Korczagin zwalniał swą brać na wczasy, zdobywał dla nich skierowania do sanatoriów i zasiłek. Wyjeżdżali bladzi, przemęczeni, ale z radością. Ich robota waliła się na niego i wprzęgał się w nią jak dobry koń wyciągający wóz pod górę. Powracali opaleni, pełni radości życia i energii. Wówczas wyjeżdżali inni. Przez całe lato kogoś z pracowników brakowało, a życie nie zatrzymywało swego biegu i był nie do pomyślenia bodaj jeden dzień, żeby Korczagin był nieobecny w swoim pokoju.

Tak mijało lato.

Jesieni i zimy Paweł nie lubił: przynosiły mu wiele cierpień fizycznych.

Tego lata wyczekiwał ze szczególną niecierpliwością. Było mu niesłychanie ciężko przyznać się nawet przed samym sobą, że z każdym rokiem ubywa mu sił. Były dwa wyjścia: bądź uznać się za niezdolnego do znoszenia trudów wytężonej pracy, uznać się za inwalidę, bądź trwać na posterunku, póki to będzie możliwe. I wybrał drugie wyjście.

Pewnego razu na posiedzeniu egzekutywy okręgowego komitetu partii przysiadł się do niego stary działacz podziemia,

doktor Bartelik, obecnie kierownik okręgowego wydziału zdrowia.

– Kiepsko wyglądasz, Korczagin. Byłeś na komisji lekarskiej? Jak tam z twoim zdrowiem? Chyba nie byłeś? Jakoś sobie nie przypominam, a trzeba cię, bratku, zbadać. Przyjdź we czwartek pod wieczór.

Paweł na komisję nie przyszedł – był zajęty, ale Bartelik o nim nie zapomniał i jakoś sprowadził go do siebie. W wyniku starannego badania lekarskiego (Bartelik brał w nim udział osobiście, jako neurolog) zapisano:

Komisja lekarska uważa za niezbędny natychmiastowy urlop z długotrwałą kuracją na Krymie i dalsze poważne leczenie, w przeciwnym razie ciężkie następstwa są nieuniknione.

Poprzedził ten wniosek długi wykaz chorób po łacinie, z którego Korczagin tyle tylko zrozumiał, że główne zło to nie stan nóg, lecz ciężkie porażenie centralnego układu nerwowego.

Bartelik zgłosił decyzję komisji na egzekutywę partyjną i nikt nie wnosił zastrzeżeń przeciw niezwłocznemu zwolnieniu Korczagina z pracy, lecz Korczagin sam zaproponował, by poczekać na powrót z urlopu kierownika wydziału organizacyjnego okręgowego komitetu komsomolskiego Sbitniewa. Bał się ogołocić komitet. Zgodzono się mimo protestów Bartelika.

Pozostawały trzy tygodnie do pierwszego w życiu urlopu. W biurku leżało już skierowanie do sanatorium w Eupatorii.

Korczagin zwiększył przez ten czas tempo pracy, zwołał plenum okręgowego komitetu Komsomołu i nie szczędząc sił kończył różne sprawy, by móc spokojnie wyjechać.

I oto wtedy, w przeddzień rozpoczęcia wypoczynku i poznania nigdy dotąd nie widzianego morza, zdarzyła się całkiem nieoczekiwanie niedorzeczna i obrzydliwa awantura.

Paweł wszedł po skończonej pracy do wydziału agitacji i propagandy i usiadł za szafą biblioteczną na parapecie otwartego okna, czekając na naradę wydziału. Gdy wszedł, w pokoju nie było nikogo. Wkrótce zeszło się kilka osób. Paweł spoza szafy nie widział ich, lecz jedną poznał po głosie. Był to Fajło, kierownik okręgowego wydziału gospodarki narodowej, wysoki przystojny chłop o wojskowej postawie. Paweł nieraz słyszał o nim, że lubi wypić i umizga się do każdej ładniutkiej dziewczyny.

Fajło był niegdyś partyzantem i przy okazji opowiadał ze śmiechem, jak to rąbał głowy machnowcom – po dziesięć na dzień. Korczagin go nie znosił. Pewnego razu przyszła do Pawła jakaś komsomołka i z płaczem opowiedziała, że Fajło obiecał się z nią ożenić, lecz po tygodniowym pożyciu przestał się z nią nawet witać. W komisji kontroli Fajło wykręcił się, dziewczyna dowodów nie miała, ale Paweł jej wierzył. Korczagin przysłuchiwał się. Ci, co weszli do pokoju, nie przypuszczali, że jest obecny.

– No, Fajło, jak tam twoje interesiki? Cóżeś nowego zmałował?

Pytał o to Gribow, jeden z przyjaciół Fajły, człowiek tego samego pokroju. Gribow nie wiadomo dlaczego był uważany za propagandzistę, choć był wyjątkowo nierozgarnięty, ograniczony, kompletny tępak, lecz chełpił się funkcją propagandzisty i podkreślał to przy każdej okazji.

– Możesz mi powinszować: wczoraj obrobiłem Korotajewą. A mówiłeś, że z tego nic nie będzie. Nie, bratku, jak ja się do której zabiorę, to już bądźcie pewni... – i Fajło dodał sprośne zdanie.

Korczagin poczuł nerwowe dreszcze – oznaka silnego rozdrażnienia. Korotajewa była kierowniczką okręgowego wydziału kobiecego. Przyjechała tutaj jednocześnie z nim i Paweł w pracy zaprzyjaźnił się z tą sympatyczną partyjniczką, życzliwą i współczującą każdej kobiecie, wszystkim, co przychodzili do niej prosząc o obronę lub radę. Wśród pracow-

ników komitetu Korotajewa cieszyła się szacunkiem. Była niezamężna. Fajło niewątpliwie o niej mówił.

– A ty, Fajło, nie łżesz? Coś mi to na nią nie wygląda.

– Łżę? Za kogo mnie masz? Nie z takimi dawałem sobie radę. Trzeba tylko umieć. Każda wymaga innego podejścia. Jedna poddaje się zaraz następnego dnia, ale to, prawdę mówiąc, szmata. A za inną trzeba czasem latać cały miesiąc. Główna rzecz to psychologia. W każdym wypadku specjalna taktyka. To jest, bratku, cała nauka, ale ja jestem w tej dziedzinie profesorem, ho-ho-ho!

Fajło zachłystywał się, taki był zadowolony z siebie. Grupka słuchaczy podjudzała go do dalszego opowiadania. Całej kompanii pilno było usłyszeć szczegóły.

Korczagin wstał, zacisnąwszy pięści, czując, jak niespokojnie bije mu serce.

– Żeby zdobyć Korotajewą ot tak, na olaboga, nawet marzyć nie było można, a wyrzec się jej nie chciałem, tym bardziej że założyłem się z Gribowem o tuzin butelek portweinu. Zacząłem więc akcję dywersyjną. Zaszedłem raz, drugi. Widzę, boczy się. Przy tym tu na mnie pyskują – może i do niej co doszło... Krótko mówiąc, atak z flanków się nie powiódł. Wówczas zastosowałem okrążenie, okrążenie. Cha-cha!... Rozumiesz, mówię jej: wojowałem, ludzi kupę zatłukłem, włóczyłem się po świecie, biedy się, powiadam, najadłem niemało, a kobiety jak należy sobie nie znalazłem, żyję samotny jak ten pies – ani pieszczoty, ani życzliwości... I tak dalej, i dalej ględziłem wciąż w tym stylu. Jednym słowem, atakowałem słabe miejsca. Dużo miałem z nią korowodów. Był czas, żem chciał plunąć na to wszystko, posłać ją do stu diabłów i skończyć tę komedię. Ale tu szło o zasadę i z zasady nie przerywałem moich zabiegów... Wreszcie dorwałem się do rączki. Za moją cierpliwość – zamiast baby na dziewicę natrafiłem. Cha-cha! To ci kawał!

I Fajło ciągnął dalej swe bezecne opowiadanie.

Korczagin dobrze sobie nie przypominał momentu, kiedy znalazł się obok Fajły.

– Bydlę! – ryknął.

– To ja jestem bydlę czy ty, że podsłuchujesz cudze rozmowy?

Widocznie Paweł jeszcze coś powiedział, bo Fajło chwycił go za pierś.

– Jak śmiesz mnie obrażać?!

I uderzył Korczagina pięścią. Był podchmielony.

Korczagin porwał dębowy stołek i jednym uderzeniem powalił Fajłę na ziemię. Nie miał w kieszeni rewolweru i tylko to uratowało Fajle życie.

Ale bezsensowna rzecz jednak stała się: w dniu kiedy Korczagin miał wyjechać na Krym, musiał stanąć przed sądem partyjnym.

W teatrze miejskim zebrała się cała organizacja partyjna. Zdarzenie w wydziale agitacyjno-propagandowym wzburzyło wszystkich i sąd przeistoczył się w ostrą polemikę na temat moralności. Zagadnienia dobrych obyczajów, wzajemnych stosunków osobistych i etyki partyjnej przesłoniły roztrząsaną sprawę. Stała się ona sygnałem. Fajło podczas rozprawy zachowywał się wyzywająco, uśmiechał się bezczelnie, mówił, że jego sprawą zajmie się sąd ludowy i Korczagin za rozbicie mu głowy zostanie skazany na roboty przymusowe. Kategorycznie odmówił odpowiedzi na zadawane pytania.

– Co, języczki sobie chcecie na mnie ostrzyć? Za pozwoleniem! Możecie mi wmówić, co wam się żywnie podoba, a że na mnie babska się rozżarły, to dlatego, że nie zwracam na nie uwagi. A sprawa funta kłaków niewarta. Gdyby to było w osiemnastym roku, to bym się z tym zwariowanym Korczaginem rozprawił po swojemu. A teraz tutaj obejdzie się beze mnie – i wyszedł.

Gdy przewodniczący zwrócił się do Korczagina, by opowiedział o zajściu, Paweł zaczął mówić spokojnie, ale czuło się, że z trudem może się opanować.

– Wszystko, o czym tu mówią, stało się dlatego, że się nie pohamowałem. Dawno już minęły dla mnie te czasy, kiedy więcej pracowałem pięścią niż głową. Wynikła awantura i zanim się spostrzegłem, Fajło dostał po łbie. W ostatnich latach jest to u mnie jedyny wypadek partyzantki i potępiam go, chociaż w gruncie rzeczy dostało mu się słusznie. Fajło to wstrętne zjawisko w naszej komunistycznej społeczności. Nie mogę zrozumieć, nigdy się z tym nie pogodzę, żeby rewolucjonista-komunista mógł być jednocześnie plugawym bydlęciem i łajdakiem. Wypadek ten zmusił nas do poruszenia kwestii moralności i to jest jedyny dodatni moment w całej tej sprawie.

Przytłaczająca większość kolektywu partyjnego głosowała za wyrzuceniem Fajły z partii. Gribowowi postanowiono udzielić surowej nagany z ostrzeżeniem za fałszywe zeznania. Pozostali uczestnicy rozmowy przyznali się do winy. Udzielono im upomnienia.

Bartelik powiedział o złym stanie nerwów Pawła. Zebrani burzliwie zaprotestowali, gdy prowadzący dochodzenie z ramienia partii proponował udzielenie Korczaginowi nagany. Sędzia cofnął swój wniosek. Paweł został uniewinniony.

W kilka dni potem Korczagin siedział w pociągu mknącym do Charkowa. Okręgowy komitet partii zgodził się, na usilną prośbę Pawła, skierować go do dyspozycji KC Komsomołu Ukrainy. Dano mu niezłą opinię i wyjechał. Jednym z sekretarzy KC Komsomołu był Akim. Paweł zaszedł do niego i opowiedział o wszystkim.

W opinii po słowach „bezgranicznie oddany partii" Akim przeczytał: „Jest bardzo wyrobiony partyjnie i tylko w wyjątkowych, rzadkich wypadkach unosi się do utraty panowania nad sobą. Winą tego jest ciężkie uszkodzenie układu nerwowego".

– Jednak wpisali ci, Pawłusza, ten fakt do dobrego doku-

mentu. Nie martw się: takie rzeczy zdarzają się nawet hartownym ludziom. Jedź na południe, nabieraj sił. Wrócisz, wtedy pogadamy, gdzie będziesz pracował.

I Akim mocno uścisnął mu dłoń.

Sanatorium KC „Komunard". Klomby róż, iskrząca się fontanna, obrośnięte winem pawilony w ogrodzie. Białe kitle i kostiumy kąpielowe kuracjuszów. Młoda kobieta – lekarz – zapisuje nazwisko i imię. Obszerny pokój w narożnym bloku, oślepiająca biel pościeli, czystość i niczym nie zmącona cisza. Przebrany po orzeźwiającej kąpieli Korczagin poszedł ku morzu.

Jak okiem sięgnąć, majestatyczny spokój szafirowoczarnego, jak polerowany marmur, morskiego bezmiaru. Gdzieś w dalekiej błękitnej mgiełce zatracały się jego granice: rozżarzone słońce odbijało się na jego powierzchni pożarem blasków. W dali poprzez poranną mgłę rysowały się kontury łańcucha górskiego. Pierś głęboko wdychała ożywczą świeżość wiatru morskiego, a oczy nie mogły się oderwać od wielkiego spokoju błękitu.

Leniwa fala garnęła się pieszczotliwie do stóp, lizała złoty piasek brzegu.

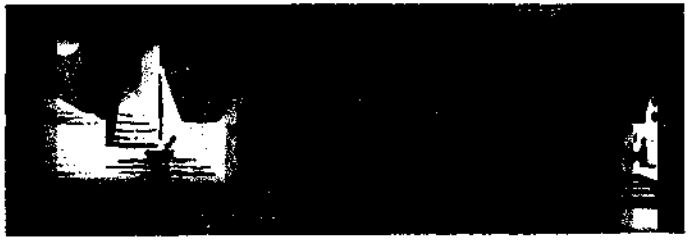

XVI

bok sanatorium „Komunard" – park centralnej polikliniki. Tamtędy przechodzili „komunardzi" wracając znad morza do siebie. Tutaj, w cieniu rozłożystego jaworu, przy wysokim murze z szarego wapienia, Korczagin lubił wypoczywać. Rzadko kto tu zaglądał. Stąd można było obserwować ożywiony ruch w alejach i na ścieżkach parku, wieczorami słuchać muzyki, będąc z dala od denerwującej ciżby wielkiego uzdrowiska.

I dzisiaj Korczagin schronił się tutaj. Z przyjemnością wyciągnął się w koszykowym bujaku i zmorzony morską kąpielą i słońcem zdrzemnął się. Włochaty ręcznik i nie doczytany „Bunt" Furmanowa leżały na sąsiednim bujaku. W pierwszych dniach pobytu w sanatorium nie opuszczał go stan stałego zdenerwowania, nie ustawały bóle głowy. Profesorowie wciąż jeszcze studiowali jego skomplikowaną i rzadko spotykaną chorobę. Obrzydły Pawłowi i znużyły go wielokrotne opukiwania i osłuchiwania. Ordynator o dziwnym nazwisku Jerusalimczyk, sympatyczna partyjniczka, z trudem odnajdowała swego pacjenta i cierpliwie namawiała go, by poszedł z nią do tego lub owego specjalisty.

– Słowo daję, zmęczyło mnie to wszystko – mówił Paweł. – Pięć razy na dzień opowiadać jedno i to samo. Czy nie była obłąkana moja babka, czy nie chorował na reumatyzm mój pradziadek? A diabli go wiedzą, na co chorował, na oczy go nie widziałem! Potem każdy usiłuje namówić mnie do przyznania się, że miałem rzeżączkę lub coś jeszcze gorszego,

a wyznam, że mam wtedy ochotę stuknąć którego z nich po łysinie. Pozwólcie mi odpocząć! Jeżeli będą mnie badać całe półtora miesiąca, stanę się niebezpieczny dla otoczenia.

Jerusalimczyk śmiała się, odpowiadała jakimś żartem, ale już po kilku minutach, wziąwszy go pod rękę i opowiadając po drodze coś ciekawego, przyprowadzała do chirurga.

Dzisiaj nie miało być badania. Do obiadu pozostawała godzina. Drzemiąc Paweł usłyszał czyjeś kroki. Nie otworzył oczu. „Pomyśli, że śpię, i odejdzie". Płonna nadzieja: skrzypnął bujak, ktoś usiadł. Subtelny zapach perfum podpowiedział, że obok siedzi kobieta. Otworzył oczy. Pierwsze, co zobaczył, to była oślepiająco biała suknia i opalone nogi w safianowych pantofelkach, potem ostrzyżona po chłopięcemu główka, dwoje wielkich oczu, rząd ostrych jak u myszki zębów. Uśmiechnęła się zażenowana.

– Przepraszam, zdaje się, że przeszkodziłam.

Korczagin nic nie odpowiedział. Było to niezbyt grzecznie, ale miał jeszcze nadzieję, że sąsiadka pójdzie sobie.

– To wasza książka?

Przerzucała „Bunt".

– Tak, moja.

Chwila milczenia.

– Powiedzcie, towarzyszu, mieszkacie w sanatorium „Komunard"?

Korczagin poruszył się niecierpliwie. „Jakie licho ją tu przyniosło? To się nazywa wypoczynek! Zaraz na pewno zapyta, na co jestem chory. Trzeba będzie odejść". Rzekł nieuprzejmie:

– Nie.

– A mnie się zdaje, że was tam widziałam.

Paweł już zamierzał wstać, gdy w pobliżu niski głos kobiecy zapytał:

– Po coś tu przylazła, Doro?

Na brzegu bujaka przysiadła się tęga opalona blondyna,

w sanatoryjnym plażowym kostiumie. Spojrzała przelotnie na Korczagina.

– Gdzieś was widziałam, towarzyszu. Czy nie w Charkowie pracujecie?

– Tak jest, w Charkowie.

– A jaką macie pracę?

Korczagin postanowił skończyć tę przydługą rozmowę.

– W taborze asenizacyjnym! – I mimo woli drgnął, bo parsknęły śmiechem.

– Nie można powiedzieć, żebyście byli bardzo uprzejmi, towarzyszu.

Tak się zaczęła ich przyjaźń, i Dora Rodkina, członek zarządu Charkowskiego Miejskiego Komitetu Partii, nieraz wspominała ten komiczny początek znajomości.

Korczagin spotkał się z Żarkim niespodziewanie, w ogrodzie sanatorium „Talassa", dokąd przyszedł na jeden z popołudniowych koncertów. I, chociaż to dziwne, przyczynił się do tego fokstrot.

Po tłustej śpiewaczce, która z gwałtowną gestykulacją wykonała „Płonęła noc upojna namiętnością", na estradę wybiegła para. On – w czerwonym cylindrze, na wpół nagi, z jakimiś kolorowymi klamrami na biodrach, lecz w olśniewająco białym półkoszulku i krawacie. Słowem – licha parodia dzikusa. Ona – niebrzydka, udrapowana w dużą ilość tkaniny. Ta para, przy wtórze okrzyków zachwyconej gromady nepmanów* o byczych karkach, którzy stali za krzesłami i leżakami sanatoryjnych chorych, zaczęła podrygiwać na estradzie w lubieżnym fokstrocie. Nie można było sobie wyobrazić wstrętniejszego widoku. Wypasione chłopisko w idiotycznym cylindrze i kobieta, przylepieni do siebie, wyginali się w sprośnych pozach. Za plecami Pawła sapał jakiś tłuścioch.

Nepman – słowo utworzone od skrótu NEP.

Korczagin zmierzał ku wyjściu, gdy w pierwszym rzędzie, przy samej estradzie, ktoś wstał i krzyknął z wściekłością:

– Dosyć tego prostytuowania się! Do diabła z nimi!

Paweł poznał Żarkiego.

Tapet przestał bębnić na pianinie, skrzypce zaskowyczały po raz ostatni i umilkły. Para na estradzie przestała się wić. Na tego, kto krzyknął, ze złością sykali stojący za krzesłami.

– Co za chamstwo – przerywać numer!

– Cała Europa tańczy!

– Oburzające!

Lecz z grupy „komunardów" gwizdnął po zbójecku w cztery palce Sierioża Żbanow, sekretarz Czerepowieckiego Komitetu Komsomołu. Poparli go inni i parkę z estrady jakby wiatr zdmuchnął. Wyszczekany konferansjer, podobny do szczwanego lokaja, oznajmił publiczności, że trupa wyjeżdża.

– Tocz się kiełbaską przez Małą Spaską! Zobaczysz mojego dziada – powiedz, że do Moskwy jadę! – przy ogólnym śmiechu pożegnał go jakiś młody chłopiec w sanatoryjnym szlafroku.

Korczagin odszukał w pierwszych rzędach Żarkiego. Długo siedzieli w pokoju Pawła. Wania pracował jako kierownik agitacji i propagandy w jednym z okręgowych komitetów partii.

– A wiesz, mam żonę. Wkrótce będzie córka lub syn – rzekł Żarki.

– Oho, któż jest twoją żoną? – zdziwił się Korczagin.

Żarki wyjął z bocznej kieszeni fotografię i pokazał Pawłowi.

– Poznajesz?

Na zdjęciu był on i Anna Borhart.

– A gdzie jest Dubawa? – zapytał Paweł, jeszcze bardziej zdziwiony.

– Dubawa jest w Moskwie. Po usunięciu z partii wystąpił z komunistycznego uniwersytetu i teraz uczy się w Moskiewskiej Wyższej Szkole Technicznej. Podobno przyjęto go po-

nownie do partii, a niepotrzebnie! To człowiek znieprawiony... Wiesz, gdzie jest Ignat? Został teraz zastępcą dyrektora stoczni. O pozostałych wiem niewiele. Jesteśmy rozsypani, pracujemy w różnych zakątkach kraju, a jednak jak to przyjemnie spotkać się i wspomnieć dawne dzieje – mówił Żarki.

Do pokoju weszła Dora i z nią kilka osób. Wysoki tambowianin zamknął drzwi. Dora spojrzała na order Żarkiego i zapytała Pawła:

– Twój towarzysz jest członkiem partii? Gdzie on pracuje?

Nie rozumiejąc, o co chodzi, Korczagin pokrótce opowiedział o Żarkim.

– W takim razie niech zostanie. Dopiero co przyjechali z Moskwy towarzysze. Opowiedzą wam ostatnie nowiny partyjne. Postanowili zebrać się u ciebie na coś w rodzaju zamkniętego posiedzenia – wyjaśniła Dora.

Prawie wszyscy zebrani byli starymi bolszewikami z wyjątkiem Pawła i Żarkiego. Członek Moskiewskiej Komisji Kontroli, Bartaszew, opowiedział o nowej opozycji, na czele której stanął Trocki, Zinowiew i Kamieniew.

Nasza obecność na miejscu w chwili takiego napięcia jest nieodzowna – zakończył Bartaszew. – Jutro wyjeżdżam.

W trzy dni po tym zebraniu sanatorium opustoszało przed terminem. Wyjechał i Paweł, skróciwszy wyznaczony mu czas pobytu.

W KC Komsomołu nikogo długo nie zatrzymywano. Korczagin objął stanowisko sekretarza okręgowego komitetu Komsomołu w jednym z okręgów przemysłowych i już po tygodniu miejski aktyw organizacji słuchał jego pierwszego przemówienia.

Późną jesienią samochód okręgowego komitetu partii, którym jechał Korczagin z dwoma pracownikami do jednego z oddalonych od miasta rejonów, wpadł do przydrożnego rowu i przewrócił się.

Wszyscy odnieśli rany. Korczagin miał przygniecione kolano prawej nogi. Po kilku dniach przywieziono go do insty-

tutu chirurgicznego w Charkowie. Konsylium lekarskie po zbadaniu spuchniętego kolana i zrobieniu zdjęć rentgenowskich wypowiedziało się za niezwłoczną operacją.

Korczagin zgodził się.

– W takim razie jutro rano – zdecydował otyły profesor, prowadzący konsylium, i wstał. Za nim wyszli i pozostali lekarze.

Mała jasna separatka. Nieposzlakowana czystość i dawno zapomniany przez Pawła specyficzny zapach szpitala. Korczagin rozejrzał się. Stolik przykryty śnieżnobiałą serwetą, biały stołek – to wszystko.

Sanitariuszka przyniosła kolację.

Paweł nie chciał jeść. Na wpół siedząc na łóżku pisał list. Ból w nodze przeszkadzał mu myśleć, nie miał apetytu.

Gdy zakończył czwarty list, cicho otworzyły się drzwi i Korczagin ujrzał przy swoim łóżku młodą kobietę w białym fartuchu i takim samym czepeczku.

W przedwieczornym zmierzchu dojrzał delikatnie zarysowane brwi i wielkie oczy, które wydawały się czarne. W jednej ręce trzymała teczkę, w drugiej – arkusz papieru i ołówek.

– Jestem waszym lekarzem – rzekła – dziś jest mój dyżur. Zaraz zabiorę się do przesłuchania was i chcąc nie chcąc będziecie musieli wszystko o sobie opowiedzieć.

Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie. Uśmiech sprawił, że „przesłuchanie" było mniej przykre. Całą godzinę Korczagin opowiadał nie tylko o sobie, lecz i o prababkach.

Na sali operacyjnej kilku ludzi z maskami z gazy na nosach.

Odblask niklu na instrumentach chirurgicznych, wąski stół, ogromna misa pod nim. Kiedy Korczagin położył się na stole, profesor kończył myć ręce. Z tyłu za nim przygotowywano się szybko do operacji. Korczagin rozejrzał się. Siostra

rozkładała lancety, szczypce. Ordynator Bażanowa odwijała mu bandaż na nodze.

– Proszę tam nie patrzeć, towarzyszu Korczagin, to źle działa na nerwy – rzekła cicho.

– O czyich nerwach mówicie, doktorze? – I Korczagin uśmiechnął się drwiąco.

W kilka minut potem przykryła mu twarz szczelna maska, profesor powiedział:

– Proszę się nie denerwować, zaraz będziemy dawać chloroform. Proszę oddychać głęboko, przez nos i liczyć.

Przytłumiony głos spod maski odrzekł spokojnie:

– Dobrze. Z góry proszę mi wybaczyć niecenzuralne wyrażenia, jakie mogą mi się wyrwać.

Profesor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Pierwsze krople chloroformu, duszący ohydny zapach.

Korczagin westchnął głęboko i starając się wymawiać wyraźnie zaczął liczyć. Tak wkraczał w pierwszy akt swej tragedii.

Artiom rozerwał kopertę prawie na pół i nie wiadomo dlaczego denerwując się rozłożył list. Pochwycił wzrokiem pierwsze wiersze, biegł za nimi nie odrywając się od pisma.

Artiomie. Bardzo rzadko do siebie pisujemy. Raz, dwa razy na rok! Czyż idzie o ilość? Piszesz, że wyjechałeś z Szepietówki z rodziną do warsztatów kolejowych w Koziatynie, by „wyrwać korzenie". Rozumiem, że owe korzenie to zacofana, właściwa drobnemu posiadaczowi psychika Stieszy, jej rodzina i tak dalej. Przerabiać ludzi typu Stieszy jest trudno, obawiam się, że to Ci się nawet nie uda. Mówisz „trudno uczyć się na starość", ale Tobie to idzie nieźle. Nie masz racji, że tak uparcie wymawiasz się od porzucenia pracy zawodowej dla objęcia stanowiska przewodniczącego rady miejskiej. Walczyłeś za tę władzę? Więc weźże ją. Zaraz jutro bierz radę miejską i zaczynaj pracę.

Teraz o sobie. Ze mną dzieje się coś niedobrego. Zacząłem często bywać w szpitalach, dwa razy mnie pokrajano, ubyło mi niemało krwi, straciłem niemało sił, a nikt mi jeszcze nie odpowiedział, kiedy to się skończy.

Oderwałem się od pracy, znalazłem sobie nowy zawód – „chorego", znoszę kupę cierpień i w rezultacie tego wszystkiego – utrata władzy w kolanie prawej nogi, kilka szwów na ciele i wreszcie ostatnie odkrycie lekarskie: siedem lat temu otrzymałem uderzenie w kręgosłup, a teraz mówią mi, że to uderzenie może mnie drogo kosztować. Gotów jestem znieść wszystko, byle tylko wrócić do szeregów.

Nie ma dla mnie w życiu nic straszniejszego jak wyjście z szeregów. O tym nawet myśleć nie mogę. Oto dlaczego zgadzam się na wszystko, lecz poprawy nie ma, a chmury zgęszczają się coraz bardziej. Po pierwszej operacji, gdy tylko zacząłem chodzić, wróciłem do pracy, ale wkrótce przywieziono mnie znowu. Obecnie dostałem skierowanie do sanatorium „Majnak" w Eupatorii. Jutro wyjeżdżam. Nie trap się, Artiomie, mnie przecież trudno wpędzić do grobu. Życia we mnie starczy w zupełności za trzech. Jeszcze popracujemy, braciszku! Oszczędzaj swoje zdrowie, nie podnoś po dziesięć pudów na raz. Partię potem dużo kosztuje remont. Lata dają nam doświadczenie, nauka – wiedzę, i to wszystko nie po to, by tłuc się po szpitalach. Ściskam Twoją dłoń.

Paweł Korczagin

W tym samym czasie, kiedy Artiom z nasępionymi brwiami czytał list brata, Paweł żegnał się w szpitalu z Bażanową. Podając mu rękę zapytała:

– Na Krym wyjeżdżacie jutro. Gdzież spędzicie dzień dzisiejszy?

Korczagin odparł:

– Zaraz przyjdzie towarzyszka Rodkina. Dzisiejszy dzień

i noc spędzę u jej rodziny, a z rana odprowadzi mnie na dworzec.

Bażanowa znała Dorę, która często przyjeżdżała do Pawła.

– Czy pamiętacie, towarzyszu Korczagin, naszą rozmowę o tym, że przed wyjazdem zobaczycie się z moim ojcem? Opowiedziałam mu szczegółowo o waszym zdrowiu. Chcę, żeby mógł was zbadać. Można to zrobić dziś wieczorem.

Korczagin zgodził się natychmiast.

Tegoż wieczora Irena Wasiljewna wprowadziła Pawła do obszernego gabinetu ojca.

Znakomity chirurg w obecności córki zbadał starannie Korczagina. Irena przywiozła z kliniki wszystkie zdjęcia rentgenowskie i analizy. Paweł nie mógł nie zauważyć nagłej bladości na twarzy Ireny Wasiljewny po wygłoszeniu przez ojca diagnozy po łacinie. Korczagin patrzył na dużą łysą głowę profesora, usiłował coś odczytać w jego przenikliwych oczach, ale Bażanow był nieodgadniony.

Gdy Paweł się ubrał, Bażanow uprzejmie pożegnał się z nim; wyjeżdżał na jakieś posiedzenie i polecił córce, by powtórzyła jego diagnozę.

W wytwornie urządzonym pokoju Ireny Wasiljewny Korczagin położył się na kanapie oczekując, co powie Bażanowa. Ale ona nie wiedziała, od czego zacząć, co powiedzieć: sprawiało jej to wielką trudność. Ojciec oznajmił jej, że medycyna nie zna na razie środków, które mogłyby powstrzymać niszczycielską pracę procesu zapalnego w organizmie Korczagina. Wypowiedział się przeciw zabiegom chirurgicznym. „Tego młodego człowieka oczekuje tragedia unieruchomienia i nie jesteśmy w stanie temu zapobiec".

Jako lekarz i przyjaciel, nie uznała za możliwe powiedzieć wszystkiego i w ostrożnych słowach powtórzyła Korczaginowi tylko małą część prawdy.

– Jestem przekonana, towarzyszu Korczagin, że kąpiele błotne w Eupatorii wywołają przesilenie choroby i na jesieni będziecie mogli wrócić do pracy.

Mówiąc to zapomniała, że przez cały czas obserwuje ją dwoje bystrych oczu.

– Z waszych słów, a raczej z tego wszystkiego, co przemilczacie, widzę całą powagę sytuacji. Pamiętacie, prosiłem was, byście zawsze mówili ze mną otwarcie. Nie należy niczego przede mną zatajać, nie zemdleję i nie zabiję się. Ale bardzo pragnę wiedzieć, co mnie czeka w przyszłości – powiedział Paweł.

Bażanowa zbyła te słowa żartem.

Tego wieczora Paweł nie dowiedział się więc prawdy o tym, co go czeka. Gdy się żegnali, Bażanowa rzekła cicho:

– Proszę nie zapominać o mojej przyjaźni dla was, towarzyszu Korczagin. W waszym życiu możliwe są wszelkie sytuacje. Jeżeli będzie wam potrzebna moja pomoc lub rada, napiszcie mi. Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Patrzyła przez okno, jak wysoka postać w skórzanej kurtce, ciężko opierając się na lasce, posuwała się od podjazdu ku dorożce.

Znów Eupatoria. Południowy upał. Krzykliwi ogorzali ludzie w haftowanych złotem czapeczkach – tiubetiejkach. Samochód w dziesięć minut zawozi pasażerów do piętrowego, z szarego wapienia budynku, gdzie mieści się sanatorium „Majnak".

Dyżurny lekarz odprowadza przyjezdnych do ich pokoi.

– Czyje macie skierowanie, towarzyszu? – spytał Korczagina, zatrzymując się przed pokojem numer jedenaście.

– Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy.

– W takim razie umieścimy was tutaj razem z towarzyszem Ebnerem. To Niemiec, i prosił, by mu dać sąsiada Rosjanina – wyjaśnił lekarz i zapukał.

Z pokoju odpowiedziano w łamanym języku rosyjskim:

– Proszę wejść.

W pokoju Korczagin postawił swoją walizkę i obrócił się ku leżącemu na łóżku blondynowi o ładnych, żywych niebieskich oczach. Niemiec przywitał go dobrodusznym uśmiechem.

– Gut Morgen, Genosse. Chciałem powiedzieć „dzień dobry" – poprawił się i podał Pawłowi bladą rękę o długich palcach.

Po kilku minutach Paweł siedział przy jego łóżku i między nimi zawiązała się ożywiona rozmowa w tym „międzynarodowym" języku, gdzie słowa grają rolę pomocniczą, a niezrozumiałe zdania uzupełnia domysł, gestykulacja, mimika – w ogóle wszystkie środki niepisanego esperanto. Paweł wiedział już, że Ebner to niemiecki robotnik.

Podczas powstania w Hamburgu w 1923 roku Ebner dostał kulą w biodro i oto teraz stara rana otworzyła się i powaliła go na łóżko. Mimo cierpień trzymał się dzielnie i tym zyskał sobie od razu szacunek Pawła.

Korczagin nie mógł marzyć o lepszym współlokatorze. Ten nie będzie od rana do wieczora opowiadał o swoich chorobach i narzekał. Przeciwnie, przy nim człowiek zapomni i o swoich dolegliwościach.

„Szkoda tylko, że ja po niemiecku ani w ząb" – pomyślał sobie.

W kącie ogrodu stoi kilka bujaków, stół bambusowy, dwa wózki. Tutaj po zabiegach leczniczych spędzała cały dzień piątka przezwana przez chorych „Komitetem Wykonawczym Kominternu".

W jednym wózku na wpół leży Ebner, w drugim – Korczagin, któremu zabroniono chodzić; troje pozostałych to: ociężały Estończyk Wajman – pracownik Ludowego Komisariatu Handlu jednej z republik, Marta Laurin – Łotyszka, piwnooka młoda kobieta, wyglądająca na osiemnastoletnią dziewczynę, i Ledieniew – wysoki olbrzym o siwiejących

skroniach, Sybirak. Rzeczywiście, byli tu przedstawiciele pięciu narodowości: Niemiec, Estończyk, Łotyszka, Rosjanin i Ukrainiec. Marta i Wajman władali językiem niemieckim i Ebner używał ich za tłumaczy. Przyjaźń Pawła z Ebnerem ułatwił wspólny pokój, Martę i Wajmana zbliżyła z Ebnerem znajomość języka, a Ledieniewa z Korczaginem – szachy.

Do czasu przyjazdu Innocentego Pawłowicza Ledieniewa Korczagin był mistrzem szachowym w sanatorium. Odebrał ten tytuł Wajmanowi po zaciekłej walce. Wajman został pokonany i to wyprowadziło flegmatycznego Estończyka z równowagi. Długo nie mógł przebaczyć Korczaginowi swej porażki. Ale wkrótce zjawił się w sanatorium wysoki mężczyzna, wyglądający niezwykle młodo na swoje pięćdziesiąt lat, i zaproponował Korczaginowi, by zagrał z nim partię. Korczagin, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, wysunął spokojnie królową rozpoczynającą gambit, na co Ledieniew odpowiedział debiutem środkowych pionków. Jako „mistrz", Paweł musiał grać z każdym nowo przybyłym szachistą. Stale zbierało się dużo osób, by przyglądać się tym partiom. Już po dziewiątym ruchu Korczagin zobaczył, jak go osaczają miarowo nacierające pionki Ledieniewa. Zrozumiał, że ma przed sobą niebezpiecznego przeciwnika: szkoda, że potraktował tę grę tak nierozważnie.

Po trzygodzinnej bitwie mimo wszelkich wysiłków i wielkiego napięcia uwagi Paweł był zmuszony poddać się. Ujrzał swą przegraną wcześniej niż ktokolwiek z kibiców. Spojrzał na swego partnera. Ledieniew uśmiechnął się z ojcowską pobłażliwością. Oczywiście, on również widział porażkę przeciwnika. Estończyk, przejęty tą walką i wyraźnie życzący Korczaginowi przegranej, nic jeszcze nie zauważył.

– Zawsze trzymam się do ostatniego pionka – rzekł Paweł i Ledieniew z aprobatą kiwnął głową w odpowiedzi na to tylko dla niego zrozumiałe zdanie.

Korczagin rozegrał z Innocentym Pawłowiczem dziesięć

partii w ciągu pięciu dni, przegrał z nich siedem, wygrał dwie i jedną miał nie rozegraną.

Wajman triumfował.

– Dziękuję wam, towarzyszu Ledieniew! Aleście mu dali łupnia. To mu się należało! Nas, starych szachistów, wszystkich obrobił, lecz sam wreszcie od was oberwał. Cha-cha-cha!...

– A co, nieprzyjemnie przegrywać? – docinał swemu zwyciężonemu zwycięzcy.

Korczagin stracił tytuł mistrza, ale zamiast tego drobnego zaszczytu znalazł w Innocentym Pawłowiczu człowieka, który stał mu się później drogi i bliski. Porażka Korczagina na polu szachowym nie była przypadkowa. Przyswoił był sobie tylko powierzchowną strategię gry szachowej; szachista przegrał do mistrza znającego wszystkie arkana gry.

Korczagin i Ledieniew mieli jedną wspólną datę: Korczagin urodził się w tym roku, kiedy Ledieniew wstąpił do partii. Obaj byli typowymi przedstawicielami młodej i starej gwardii bolszewików. Jeden miał wielkie życiowe i polityczne doświadczenie, lata roboty konspiracyjnej, carskich więzień, potem wielkiej pracy państwowej; drugi – płomienną młodość i raptem osiem lat walki, które mogłyby spalić niejedno życie. I obaj – stary i młody – mieli gorące serca i zniszczone zdrowie.

Wieczorem w pokoju Ebnera i Korczagina robił się klub. Stąd wychodziły wszystkie nowości polityczne. Wieczorami w pokoju numer jedenaście było gwarno. Zazwyczaj Wajman usiłował opowiedzieć jakąś pieprzną anegdotę, których był wielkim amatorem, ale zaraz dostawał się pod podwójny ostrzał – Marty i Korczagina. Marta potrafiła speszyć go subtelną i jadowitą drwiną; gdy zaś to nie pomagało, wtrącał się Korczagin:

– Wajman, lepiej zapytałbyś się, może wcale nam nie przypada do gustu twój „dowcip"... W ogóle nie rozumiem, jak to się w tobie łączy... – dodawał niespokojnym tonem.

Wajman wydymał mięsistą wargę i jego wąskie oczki ślizgały się drwiąco po twarzach.

– Trzeba będzie utworzyć inspektorat moralności przy Głównym Urzędzie Oświaty Politycznej i polecić Korczagina na starszego inspektora. Rozumiem jeszcze Martę, mówi przez nią zawodowa kobieca opozycja, lecz Korczagin chce uchodzić za niewinnego chłopczyka, coś w rodzaju komsomolskiego niemowlęcia. I przy tym w ogóle nie lubię, gdy jajka uczą kury.

Po takim ciętym sporze o etykę komunistyczną poddano zasadniczej dyskusji kwestię sprośnych anegdot. Marta przetłumaczyła Ebnerowi punkty widzenia obecnych.

– Erotische Anekdote – to nie bardzo dobrze, solidaryzuję się z Pawluszą – oświadczył Adam.

Wajman musiał ustąpić. Wykręcał się kpinami, ale swoich dowcipów więcej nie opowiadał.

Martę uważał Korczagin za komsomołkę. Dał jej na oko dziewiętnaście lat. Jakież było jego zdziwienie, gdy pewnego razu w rozmowie z nią dowiedział się, że jest członkiem partii od siedemnastego roku, że ma lat trzydzieści jeden i że była jednym z aktywnych pracowników Łotewskiej Partii Komunistycznej. W osiemnastym roku biali skazali ją na rozstrzelanie, ale zaraz potem została wraz z innymi towarzyszami wymieniona przez rząd radziecki. Obecnie pracowała w „Prawdzie" i jednocześnie kończyła uniwersytet. Korczagin nie zauważył, kiedy zaczęła się ich zażyłość; mała Łotyszka, często odwiedzająca Ebnera, stała się nierozłącznym członkiem „piątki".

Konspiracyjny działacz łotewski Eglit żartobliwie sobie z niej pokpiwał:

– Marteczko, a co będzie z biednym Ozolem w Moskwie? Tak przecie nie można!

Co rano, na chwilę przed dzwonkiem, w sanatorium rozlegało się donośne pianie koguta. Ebner idealnie go naśladował. Wszystkie starania personelu, by odnaleźć koguta, który

nie wiadomo w jaki sposób dostał się do sanatorium, do niczego nie doprowadziły. Sprawiało to Ebnerowi wielką przyjemność.

Pod koniec miesiąca Korczagin poczuł się źle. Lekarze kazali mu położyć się do łóżka. Ebnera bardzo to zmartwiło. Polubił tego młodego bolszewika, nigdy nie tracącego animuszu, pełnego radości życia, kipiącego energią, który wcześnie stracił zdrowie. A kiedy Marta powiedziała Ebnerowi, że lekarze przepowiadają Korczaginowi tragiczną przyszłość, Adam bardzo się tym przejął.

Do samego wyjazdu z sanatorium Korczaginowi nie pozwolono chodzić.

Pawłowi udawało się ukrywać swe cierpienia przed otoczeniem, tylko Marta domyślała się ich po niezwykłej bladości jego twarzy. Na tydzień przed wyjazdem Paweł otrzymał z KC Ukrainy list, w którym donoszono mu, że urlop ma przedłużony o dwa miesiące i że zgodnie z opinią kierownictwa sanatorium jego powrót do pracy w obecnym stanie zdrowia jest niemożliwy. Jednocześnie z listem przysłano pieniądze.

Paweł przyjął ten pierwszy cios tak, jak niegdyś przyjmował ciosy Żuchraja, gdy marynarz uczył go boksu: wtedy również padał, lecz natychmiast się podnosił.

Niespodziewanie przyszedł list od matki. Staruszka pisała, że w mieście portowym niedaleko Eupatorii mieszka jej dawna przyjaciółka Albina Kiucam, z którą matka nie widziała się od piętnastu lat, i że bardzo prosi syna, by do niej zajechał. Ten przypadkowy list odegrał dużą rolę w życiu Pawła.

W tydzień potem sanatoryjni współziomkowie serdecznie żegnali Korczagina odprowadzając go na przystań. Na pożegnanie Ebner gorąco uścisnął i pocałował Pawła jak brata. Marta zaś zniknęła i Paweł wyjechał nie pożegnawszy się z nią.

Nazajutrz rano dorożka, która wiozła Korczagina z przystani, zajechała przed mały domek w ogródku i Korczagin posłał swego przewodnika, by zapytał, czy tu mieszkają Kiucamowie.

Rodzina Kiucamów składała się z pięciu osób: Albiny Kiucam – matki, tęgiej kobiety w podeszłym wieku, o ciężkim, przygniatającym spojrzeniu czarnych oczu, ze śladami dawnej urody na starej twarzy, jej dwóch córek, Loli i Tai, małego synka Loli i starego Kiucama, nieprzyjemnego grubasa podobnego do wieprza.

Stary miał posadę w spółdzielni, młodsza córka Taja pracowała fizycznie. Starsza, Lola, poprzednio maszynistka, niedawno rozeszła się z mężem, pijakiem i łobuzem, i była bez pracy. Dni spędzała w domu, zajmowała się synkiem i pomagała matce w gospodarstwie.

Prócz córek był jeszcze syn Żorż, lecz obecnie znajdował się w Leningradzie.

Rodzina Kiucamów przyjęła Korczagina życzliwie. Jedynie stary obrzucił gościa niedobrym, podejrzliwym spojrzeniem.

Korczagin cierpliwie opowiadał Albinie wszystko, co wiedział z kroniki rodzinnej Korczaginów, i sam rozpytywał zarazem o życie i losy Kiucamów.

Lola miała dwadzieścia dwa lata. Szatynka z krótkimi włosami, prosta w obejściu, o szerokiej i otwartej twarzy, od razu znalazła się z Pawłem na stopie przyjacielskiej i chętnie wtajemniczała go we wszystkie sekrety rodzinne. Od niej dowiedział się Korczagin, że stary despotycznie i po grubiańsku gnębił całą rodzinę, zabijając wszelką inicjatywę i najmniejszy przejaw woli. Ograniczony, tępy, czepiający się byle czego, trzymał rodzinę w ustawicznym strachu i tym zyskał sobie tylko głęboką niechęć dzieci i głęboką nienawiść żony, która przez całe dwadzieścia pięć lat walczyła z jego despotyzmem. Córki zawsze stawały po stronie matki i te nieustanne kłótnie domowe zatruwały im życie. Tak mijały dnie pełne nie kończących się mniejszych i większych swarów.

Drugim potworem w rodzinie był Żorż. Sądząc z opowiadań Loli, był to typowy chłystek, arogant i samochwał, lubiący dobrze zjeść i szykownie się ubrać, nie gardzący i wypitką. Po skończeniu dziewięciu klas Żorż – oczko w głowie matki – zażądał od niej pieniędzy na wyjazd do miasta stołecznego.

– Pojadę na uniwersytet. Niech Lola sprzeda swój pierścionek, a ty swoje rzeczy. Potrzeba mi pieniędzy, a skąd je weźmiecie, to mi jest obojętne.

Żorż dobrze wiedział, że matka niczego mu nie odmówi. i wyzyskiwał to z całą bezczelnością. Siostry traktował lekceważąco, z góry, uważając, że stoją niżej od niego. Wszystkie środki, jakie udawało się wydostać od starego, i pieniądze zarobione przez Taję matka posyłała synowi. A ten sromotnie obciął się na egzaminie i potem mieszkał sobie beztrosko u wujka, terroryzując matkę depeszami o przysłanie pieniędzy.

Młodszą, Taję, Korczagin zobaczył dopiero późnym wieczorem. Matka w sieni szeptem opowiadała jej o przyjeździe gościa. Witając się z Pawłem podała mu rękę z zażenowaniem i na widok nieznajomego młodego człowieka zaczerwieniła się aż po swe małe uszy. Paweł nie od razu wypuścił jej mocną, spracowaną rękę.

Taja miała dziewiętnasty rok. Nie była piękna, ale duże piwne oczy, cienkie, o mongolskim zarysie brwi, ładna linia nosa i świeże uparte usta czyniły ją ponętną; jędrnej młodej piersi ciasno było pod pasiastą roboczą bluzką.

Siostry mieszkały w dwóch małych pokoikach. W pokoju Tai stało wąskie żelazne łóżko, komoda zastawiona różnymi drobiazgami, na niej niewielkie lustro, a na ścianie ze trzydzieści fotografii i pocztówek. Na oknie dwie doniczki z pąsową pelargonią i bladoróżowymi astrami. Muślinowa firanka była przewiązana niebieską tasiemką.

– Taja nie lubi wpuszczać do swego pokoju przedstawicieli płci męskiej, a dla was, widzicie, robi wyjątek – żartowała z siostry Lola.

Nazajutrz wieczorem rodzina piła herbatę w pokoju rodziców. Taja była w swoim pokoju i stamtąd przysłuchiwała się ogólnej rozmowie. Kiucam mieszał z namaszczeniem cukier w szklance i ze złością spoglądał sponad okularów na siedzącego przed nim gościa.

– Potępiam obecne prawa rodzinne – mówił. – Chce – to się żeni, chce – to się rozwodzi. Całkowita swoboda.

Stary zakrztusił się i zakasłał. Odsapnąwszy wskazał Lolę.

– Zeszła się oto z tym swoim gachem nie pytając się nikogo i rozeszła się też bez pytania. A teraz, ładny interes, karm ją i czyjegoś tam bachora. Skandal!

Lola w udręce zarumieniła się po czubki włosów i kryła przed Pawłem oczy pełne łez.

– A czy uważacie, że powinna była dalej żyć z tym pasożytem? – zapytał Paweł nie spuszczając ze starego wzroku, w którym zapalały się ostre błyski.

– Trzeba było patrzeć, za kogo się wychodzi.

Do rozmowy wtrąciła się Albina. Z trudem hamując oburzenie powiedziała łamiącym się głosem:

– Słuchaj, stary, czemu wszczynasz takie rozmowy przy obcym człowieku? Można mówić o czym innym, a nie o tym.

Stary żachnął się w jej stronę.

– Wiem, co mówię. Odkądże to wolno wam robić mi uwagi?

W nocy Paweł długo myślał o rodzinie Kiucamów. Przypadkowo rzucony tutaj, mimo woli stawał się uczestnikiem rodzinnego dramatu. Myślał nad tym, jak pomóc matce i córkom wydostać się z tej niewoli. Jego życie osobiste hamowało swobodę ruchów, przed nim samym stawały nie rozwiązane zagadnienia i teraz trudniej mu niż kiedykolwiek działać w sposób zdecydowany.

Było jedno wyjście: rozdzielić rodzinę – matka i córki musiałyby odejść na zawsze od starego. Ale to nie było takie proste. Nie był w stanie zajmować się tą rodzinną rewolucją, za kilka dni musi wyjechać i być może nie spotka się więcej

z tymi ludźmi. Czy nie lepiej pozostawić wszystko normalnemu biegowi i nie robić porządków w tym niskim i ciasnym domu? Ale odrażający obraz tego starca nie dawał mu spokoju. Paweł ułożył kilka planów, ale wszystkie wydawały mu się niewykonalne.

Nazajutrz była niedziela i gdy Korczagin wrócił z miasta, zastał w domu tylko Taję. Reszta poszła z wizytą do krewnych.

Paweł wszedł do jej pokoju i zmęczony siadł na krześle.

– Dlaczego nie idziesz nigdzie pospacerować, zabawić się? – zapytał ją.

– Nie chce mi się nigdzie iść – odpowiedziała cicho.

Przypomniał sobie swe nocne plany i postanowił je wypróbować.

Spiesząc się, by nikt nie przeszkodził, zaczął prosto z mostu:

– Słuchaj, Taja, będziemy sobie mówić „ty" – na co nam te chińskie ceremonie. Wkrótce wyjadę. Spotkałem się z wami akurat wtedy, gdy sam wpadłem w tarapaty; gdyby nie to, sprawa przyjęłaby całkiem inny obrót. Rok temu wyjechalibyśmy stąd razem. Dla takich rąk, jak twoje i Loli, znalazłaby się praca! Ze starym trzeba zerwać, on nie da się już zaagitować. Ale obecnie zrobić tego nie można. Sam jeszcze nie wiem, co ze mną będzie, i przez to właśnie jestem, że tak powiem, rozbrojony. Cóż więc teraz trzeba robić? Będę usiłował wrócić do pracy. Lekarze napisali tam o mnie diabli wiedzą co i towarzysze zmuszają mnie do leczenia się bez końca. No, z tym damy sobie jakoś radę... Porozumiem się listownie z moją mamą i zobaczymy, jak się z tego wygrzebać. W każdym razie tak was nie zostawię. Tylko ot co jest, Tajuszo: wasze życie, a twoje w szczególności, trzeba będzie przenicować. Czy masz w sobie po temu siły i ochotę?

Taja podniosła opuszczoną głowę i odparła cicho:

– Ochotę mam, a siły – nie wiem.

Ta niezdecydowana odpowiedź była dla Korczagina zrozumiała.

– Nic nie szkodzi, Tajuszo! Z tym się uporamy, byleś miała chęć. A powiedz mi, czy bardzo jesteś do rodziny przywiązana?

Taja, zaskoczona tym pytaniem, nie od razu odpowiedziała.

– Bardzo mi żal matki – rzekła wreszcie. – Ojciec dręczył ją przez całe życie, teraz Żorka wyłudza od niej wszystko, a mnie jej bardzo żal... Chociaż nie kocha mnie ona tak, jak Żorkę...

Dużo rozmawiali ze sobą tego dnia i na krótko przed powrotem rodziny Paweł powiedział żartem:

– Dziwna rzecz, iż stary nie wypchnął cię za mąż za byle kogo.

Taja z przestrachem machnęła ręką.

– Nie wyjdę za mąż. Dość się napatrzyłam na Lolę. Za nic w świecie nie wyjdę!

Paweł się uśmiechnął.

– Więc zarzekłaś się na całe życie? A jeżeli trafi się jakiś pierwszorzędny chłopiec, krótko mówiąc, dobry chłopak – to wtedy co?

– Nie wyjdę! Wszyscy oni są dobrzy, póki chodzą pod oknami.

Paweł pojednawczo położył jej rękę na ramieniu.

– Zgoda. Bez męża też można nieźle żyć. Tylko zbyt już jesteś dla chłopców niełaskawa. Dobrze, że przynajmniej mnie nie podejrzewasz o małżeńskie zamiary. Miałbym się z pyszna, gdybyś myślała inaczej – i po przyjacielsku pogłaskał zimną dłonią rękę zawstydzonej dziewczyny.

– Tacy jak ty innych żon sobie szukają. Na co byśmy im się zdały? – rzekła cicho.

W kilka dni potem Korczagin jechał do Charkowa. Na stację odprowadzały go Taja, Lola i Albina ze swą siostrą Różą. Przy pożegnaniu dał Albinie słowo, że nie zapomni o córkach, pomoże im wydobyć się z tej nory. Pożegnały się z nim jak

z bliskim krewnym, a w oczach Tai lśniły łzy. Długo widział z okna białą chusteczkę w rękach Loli i pasiastą bluzkę Tai.

W Charkowie zatrzymał się u swego przyjaciela Pieti Nowikowa, nie chcąc niepokoić Dory. Odpoczął i pojechał do KC. Doczekał się przyjścia Akima i gdy zostali sami, poprosił, by go zaraz skierował do pracy. Akim przecząco pokręcił głową.

– Tego, Pawle, zrobić nie można! Mamy decyzję komisji lekarskiej i KC partii, gdzie napisano: „Wobec ciężkiego stanu zdrowia skierować do instytutu neurologicznego na kurację, nie zezwalając na powrót do pracy..."

– Czego oni tam nie piszą, Akim! Proszę cię, daj mi możność pracować! To włóczenie się po klinikach nie ma zupełnie sensu.

Akim odmawiał.

– Nie możemy zmieniać decyzji. Zrozum, Pawłusza, że to przecież lepiej dla ciebie.

Ale Korczagin nalegał tak gorąco, że Akim nie mógł mu się oprzeć i w końcu zgodził się.

Nazajutrz Korczagin już pracował w wydziale spraw poufnych sekretariatu KC. Wydawało mu się, że wystarczy rozpocząć pracę, by wróciły utracone siły. Ale już po paru dniach zobaczył, że się mylił. Przesiadywał w swoim wydziale bez przerwy po osiem godzin bez jedzenia; nie był w stanie schodzić na śniadanie i obiad z trzeciego piętra do znajdującej się w sąsiedztwie stołówki: drętwiała mu często to ręka, to noga. Czasami całe ciało traciło władzę poruszania się i miewał gorączkę. Nagle, gdy trzeba było jechać do pracy, nie mógł wstać z łóżka. I zanim ten stan mijał, przekonywał się z rozpaczą, że jest spóźniony o całą godzinę. Wreszcie wytknięto mu to spóźnianie się i wtedy zrozumiał, że jest to początek najstraszniejszej rzeczy w jego życiu – wyjścia z szeregów.

Akim jeszcze dwukrotnie pomagał mu – przesuwał go do innej pracy, ale stało się to, co było nieuniknione. W drugim

miesiącu Paweł musiał położyć się do łóżka. Wówczas przypomniał sobie pożegnalne słowa Bażanowej i napisał do niej list. Przyjechała tego samego dnia i od niej dowiedział się rzeczy najistotniejszej – że nie jest dla niego konieczne leżenie w klinice.

– To znaczy, że moje sprawy tak dobrze stoją, iż nawet leczyć się nie warto – spróbował zażartować, ale żart się nie udał.

Gdy tylko powróciły mu częściowo siły, Paweł znów zjawił się w KC. Tym razem Akim był nieubłagany. Na jego kategoryczne żądanie, by wrócił do kliniki, Korczagin odpowiedział głucho:

– Nigdzie nie pójdę. To bezcelowe. Wiem o tym z miarodajnego źródła. Jedno mi pozostaje – otrzymać emeryturę i podać się do dymisji. Lecz to się nie uda. Nie możecie oderwać mnie od pracy. Mam zaledwie dwadzieścia cztery lata i nie mogę do końca życia korzystać z renty inwalidzkiej, tułać się po lecznicach wiedząc, że to nic nie pomoże. Musicie dać mi pracę odpowiadającą moim możliwościom. Mogę pracować w domu lub mieszkać w jakiejś instytucji... Byle nie jako kancelista, który wpisuje do dziennika bieżącą korespondencję. Praca musi mi dawać jakieś moralne zadowolenie, bym nie czuł się odsunięty od społeczności.

Głos Pawła był coraz bardziej wzburzony i coraz mocniejszy.

Akim rozumiał, jakie uczucia targają młodym człowiekiem, tak jeszcze niedawno pełnym ognia. Rozumiał tragedię Pawła, wiedział, że dla Korczagina, który oddał swe krótkie życie partii, oderwanie się od frontu walki i przejście na głębokie tyły było czymś okropnym, i postanowił zrobić dla niego wszystko, co tylko było w jego mocy.

– Dobrze, Pawle. Nie denerwuj się. Jutro mamy posiedzenie sekretariatu. Zreferuję twoją sprawę. Daję ci słowo, że zrobię wszystko.

Korczagin z trudem wstał i podał mu rękę.

– Czyż ty mógłbyś pomyśleć, iż życie zapędzi mnie w kąt i zgniecie na miazgę? Póki mi tutaj bije serce – mocno przycisnął rękę Akima do swojej piersi i Akim wyraźnie poczuł głuche, szybkie uderzenia – póki bije, nic mnie od partii oderwać nie zdoła. Usunie mnie z szeregów tylko śmierć. Zapamiętaj to, bracie.

Akim milczał. Wiedział, że to nie był błyskotliwy frazes, lecz krzyk ciężko zranionego bojownika. Rozumiał, że tacy ludzie nie mogą inaczej czuć i mówić.

Po dwóch dniach Akim oznajmił Pawłowi, że może dostać odpowiedzialną pracę w redakcji naczelnego organu partii, ale trzeba uprzednio sprawdzić, czy można go wykorzystać na froncie literackim. W kolegium redakcyjnym przyjęto go uprzejmie. Zastępca redaktora, dawna działaczka podziemia, członek prezydium Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej Ukrainy, zadała mu kilka pytań:

– Wasze wykształcenie, towarzyszu?

– Trzy lata szkoły początkowej.

– W szkołach partyjno-politycznych nie byliście?

– Nie.

– No cóż, zdarza się, że i bez tego można stać się dobrym dziennikarzem. Mówił nam o was towarzysz Akim. Możemy dać wam pracę niekoniecznie tutaj, lecz w domu, i w ogóle stworzyć wam odpowiednie warunki. Ale do tej pracy niezbędny jest jednak duży zasób wiadomości, zwłaszcza z dziedziny literatury i języka.

Wszystko to zapowiadało Pawłowi klęskę. Podczas półgodzinnej rozmowy wyszło na jaw, że jego wiadomości są niedostateczne, a w napisanym przezeń artykule redaktorka podkreśliła czerwonym ołówkiem z górą trzydzieści usterek stylistycznych i niemało błędów ortograficznych.

– Towarzyszu Korczagin! Macie duże możliwości. Przy wytężonej pracy nad sobą możecie zostać w przyszłości literatem, ale obecnie piszecie niegramatycznie. Z artykułu widać, że nie znacie języka rosyjskiego. Nie ma w tym nic dziwne-

go, nie mieliście czasu się uczyć. Ale wykorzystać was niestety nie możemy. Jednak raz jeszcze powtarzam: macie duże możliwości. Jeżeli się wasz artykuł opracuje, nie zmieniając treści, będzie doskonały. Ale nam są potrzebni ludzie umiejący opracowywać cudze artykuły.

Korczagin wstał opierając się na lasce. Prawa brew drgała mu kurczowo.

– Cóż, zgadzam się z wami. Jakiż ze mnie literat? Byłem dobrym palaczem, niezłym monterem. Umiałem dobrze jeździć konno, zagrzewać do czynu komsomolców, ale na waszym froncie kiepski ze mnie wojak.

Pożegnał się i wyszedł.

Na zakręcie w korytarzu omal nie upadł. Podtrzymała go jakaś kobieta z teczką.

– Co wam jest, towarzyszu? Jakeście zbledli!

Po kilku chwilach przyszedł do siebie. Potem lekko odsunął kobietę i poszedł, ciężko opierając się na lasce.

Od tego dnia życie Korczagina znalazło się na pochyłości. O pracy nie mogło być nawet mowy. Coraz częściej spędzał dnie w łóżku. KC zwolnił go z pracy i zwrócił się do Głównego Urzędu Ubezpieczeń Społecznych o wyznaczenie mu emerytury. Dano mu emeryturę wraz z książeczką inwalidy pracy. KC dał mu pieniądze i wydał akta personalne wraz z prawem wyjazdu, dokąd zechce. Przyszedł list od Marty. Zapraszała go, by ją odwiedził i u niej odpoczął. Paweł i bez tego wybierał się do Moskwy, z niejasną nadzieją, że poszczęści mu się we Wszechzwiązkowym KC, to znaczy, że znajdzie pracę nie wymagającą ruchu. Ale w Moskwie również zaproponowano mu, żeby się leczył, obiecano umieścić go w dobrej lecznicy.

Odmówił.

Niepostrzeżenie minęło dziewiętnaście dni spędzonych przez Korczagina w mieszkaniu Marty i jej przyjaciółki Nadi Peterson. Po całych dniach był sam. Marta i Nadia wychodziły rano i wracały wieczorem. Paweł czytał zawzięcie – Marta

miała dużo książek, a wieczorami przychodziły koleżanki i ktoś z przyjaciół.

Z portowego miasta nadchodziły listy. Rodzina Kiucamów zapraszała go do siebie. Życie zaciskało się u nich w ciasny węzeł. Oczekiwano tam jego pomocy.

Pewnego ranka zabrakło Korczagina w cichym mieszkaniu w zaułku Gusiatnikowskim. Pociąg mknął na południe, ku morzu, wioząc go z kraju wilgotnej, słotnej jesieni ku ciepłym brzegom południowego Krymu. Patrzył, jak za oknem przebiegają słupy. Brwi miał mocno ściągnięte, a w ciemnych oczach krył się upór.

XVII

dole, przy bezładnej kupie spiętrzonych głazów, pluska morze. Owiewa twarz suchy wiatr, dolatujący tutaj z dalekiej Turcji. Łamanym łukiem wciskał się w brzeg port odgrodzony od morza żelazobetonowym molem. Łańcuch górski urywał się nad morzem. I daleko w górę wdrapywały się na zbocza małe jak zabawki białe domki krańców miasta.

W starym zamiejskim parku cicho. Zarosły trawą dawno nie oczyszczane ścieżki i powoli spadają na nie zabite przez jesień żółte liście klonu.

Korczagina przywiózł tutaj z miasta stary dorożkarz Pers i pomagając wysiąść dziwnemu pasażerowi nie wytrzymał i powiedział:

– Po co jechał? Panienka tu ni ma, teatr ni ma. Jedyn szakał chodzi... Co bandziesz robyć, nie rozumiem. Jedziem nazad, pane towarzysz!

Korczagin zapłacił mu i stary odjechał.

Park jest bezludny. Paweł znalazł ławkę na cyplu nad morzem. Usiadł i wystawił twarz na promienie już nie palącego słońca.

Przyjechał tu w tę ciszę po to, by zastanowić się, jak mu się układa życie i co z tym życiem począć. Czas było podsumować wyniki i powziąć decyzję.

Gdy przybył tu po raz wtóry, niesnaski w rodzinie Kiucamów zaostrzyły się do ostateczności. Stary, dowiedziawszy się o jego przyjeździe, wściekł się i zrobił w domu niesłychaną awanturę. Na Korczagina oczywiście spadł obowiązek kie-

rowania oporem. Stary nieoczekiwanie napotkał energiczny sprzeciw ze strony córek i żony i od pierwszego dnia powtórnego przyjazdu Korczagina dom podzielił się na dwa wrogie, nienawidzące się obozy. Wejście do części domu zajmowanej przez starych zostało zabite deskami i jeden z bocznych pokoików odnajęto Korczaginowi. Pieniądze za komorne stary otrzymywał z góry i wkrótce jak gdyby się uspokoił na myśl, że córki, które się od niego odseparowały, nie będą żądały pieniędzy na życie.

Albina ze względów dyplomatycznych mieszkała nadal w części domu należącej do starego. Do młodych stary wcale nie zaglądał, nie chcąc się spotykać z nienawistnym mu człowiekiem, za to na podwórzu sapał jak lokomotywa, chcąc pokazać, że jest tutaj gospodarzem.

Stary przed objęciem pracy w spółdzielni uprawiał dwa zawody – szewca i cieśli – i teraz w wolnych chwilach dorabiał sobie, urządziwszy pracownię w szopie. Niebawem, aby dokuczyć lokatorowi, przeniósł swój warsztat pod samo jego okno. Rozkoszował się wbijając zawzięcie gwoździe. Dobrze wiedział, że przeszkadza Korczaginowi czytać.

– Poczekaj, wykurzę cię stąd... – syczał pod nosem.

Daleko, niemal na widnokręgu, ciągnął się ciemną chmurką dymu ślad statku. Stado mew z przeraźliwym krzykiem rzucało się do morza.

Korczagin objął głowę rękami i głęboko się zadumał. Przed oczami przesunęło mu się całe życie, od dzieciństwa do ostatnich dni. Dobrze czy źle przeżył swe dwadzieścia cztery lata? Przebiegając pamięcią rok po roku, sprawdzał swoje życie jak bezstronny sędzia i z głębokim zadowoleniem doszedł do wniosku, że przeżył je nie tak znów źle. Ale było w jego życiu i niemało błędów, popełnionych ze zbytków, wskutek młodego wieku, a najwięcej z braku wiedzy. Najważniejsze jednak było to, że nie przespał gnuśnie gorących czasów, zna-

lazł swe miejsce w orężnej walce o władzę i na purpurowym sztandarze rewolucji jest i kilka kropel jego krwi.

Z szeregów nie ustępował, póki nie wyczerpały się jego siły. Obecnie, pokonany przez chorobę, nie może trwać na froncie i jedno mu już tylko pozostało – lazarety na tyłach. Pamiętał, kiedy szły lawiny pod Warszawę, kula powaliła żołnierza. I żołnierz padł na ziemię, pod nogi konia. Towarzysze naprędce opatrzyli rannego, przekazali sanitariuszom i pędzili dalej, w pogoni za wrogiem. Szwadron nie zatrzymywał swego biegu z powodu utraty żołnierza. W walce o wielką sprawę tak było i tak powinno być. Zdarzali się i wyjątkowi żołnierze. Widział beznogich na taczankach, gdy obsługiwali karabiny maszynowe – ci ludzie byli postrachem dla wroga, ich karabiny niosły śmierć i zagładę. Dzięki swojej żelaznej wytrzymałości i celnemu oku stali się chlubą pułku. Ale tacy byli rzadkością.

Jakże powinien postąpić ze sobą obecnie, po swojej klęsce, gdy nie ma nadziei powrotu do szeregów? Przecież wydobył z Bażanowej wyznanie, że w przyszłości winien się spodziewać czegoś jeszcze gorszego. Cóż więc robić? To nie rozstrzygnięte pytanie rozwarło się przed nim mroczną otchłanią.

Po co żyć, skoro już stracił to, co najcenniejsze – zdolność do walki? Czym usprawiedliwić swe życie teraz i w posępnej przyszłości? Czym je wypełnić? Po prostu jeść, pić i oddychać? Pozostać bezradnym świadkiem tego, jak towarzysze walcząc będą szli naprzód? Stać się dla oddziału zawadą? Czy też sprzątnąć ciało, które go zdradziło? Kula w serce – i basta! Umiałeś nieźle żyć, umiej i w porę skończyć. Kto potępi żołnierza, który nie chce męki długiego konania?

Jego ręka namacała w kieszeni płaskie ciało brauninga, palce nawykłym ruchem chwyciły za rękojeść. Powoli wyjął pistolet.

– Kto mógłby pomyśleć, że dożyjesz takiej chwili?

Lufa spojrzała mu pogardliwie w oczy. Paweł położył pistolet na kolanie i zaklął ze złością.

– Wszystko to, bratku, papierowy heroizm! Każdy dureń potrafi palnąć sobie w łeb, zawsze i o każdej porze. To najtchórzliwsze i najłatwiejsze wyjście z sytuacji. Trudno żyć – pal sobie w łeb. A czyś spróbował pokonać to życie? Czyś wszystko zrobił, by wyrwać się z żelaznego pierścienia? Zapomniałeś widać, jak pod Nowogrodem Wołyńskim siedemnaście razy szło się do ataku i jednak na przekór wszystkiemu miasto zdobyto? Schowaj pistolet i nigdy nikomu o tym nie mów. Umiej żyć nawet wtedy, gdy życie staje się nie do zniesienia. Uczyń je pożytecznym.

Wstał i poszedł ku drodze. Przejeżdżający góral podwiózł go na swej arbie do miasta. Na jakimś rogu ulicy kupił miejscową gazetę. Zawiadamiano w niej o zebraniu miejskiego aktywu partyjnego w klubie imienia Diemiana Biednego. Do domu wrócił Paweł późną nocą. Nie wiedział, że było to jego ostatnie przemówienie na wielkim zebraniu aktywistów.

Taja nie spała. Ogarnął ją niepokój z powodu długiej nieobecności Korczagina. Co się z nim dzieje? Gdzie się podziewa? Coś twardego i zimnego ujrzała dzisiaj w jego oczach, dawniej zawsze pełnych życia. Mało mówił o sobie, ale czuła, że Paweł przeżywa jakieś ciężkie strapienie.

Zegar w mieszkaniu matki wybił drugą, gdy stuknęła furtka i dziewczyna narzuciwszy żakiet poszła otworzyć drzwi. Lola spała w swoim pokoju mamrocząc coś przez sen.

– A ja już się niepokoiłam o ciebie – wyszeptała Taja, gdy Korczagin wszedł do sieni, ciesząc się, że go widzi.

– Nic mi się nie stanie do samej śmierci, Tajuszo. Czy Lola śpi? A wiesz, mnie się zupełnie nie chce spać. Chcę ci coś opowiedzieć o dzisiejszym dniu. Chodźmy do ciebie, bo zbudzimy Lolę – również szeptem powiedział Paweł.

Taja zawahała się. Jakże to tak, będzie z nim rozmawiać w nocy? A jeżeli dowie się o tym mama, co może sobie o niej pomyśleć? Ale jemu nie można tego powiedzieć, bo

przecie się obrazi. I o czym chce pomówić? Z tymi myślami szła już do siebie.

– Jest taka sprawa, Taja – zaczął Paweł stłumionym głosem, gdy usiedli w ciemnym pokoju naprzeciw siebie tak blisko, że czuła jego oddech. – Życie tak mi się układa, że mnie to nawet trochę dziwi. Wszystkie ostatnie dni przeżywałem smutno. Było dla mnie niejasne, jak dalej żyć na świecie. Nigdy jeszcze w moim życiu nie było tak ciemno, jak w tych dniach. Ale dzisiaj urządziłem posiedzenie „biura politycznego" i powziąłem decyzję ogromnej wagi. Nie dziw się, że cię w nią wtajemniczam.

Opowiedział jej o wszystkim, co przeżył w ostatnich miesiącach, i dużo z tego, co przemyślał w zamiejskim parku.

– Taka jest moja sytuacja. Przystępuję do sprawy zasadniczej. Zamęt w waszej rodzinie dopiero się zaczyna. Trzeba się stąd wydostać na świeże powietrze, jak najdalej od tego gniazda. Trzeba zacząć życie na nowo. Skoro już wlazłem w tę walkę, poprowadzimy ją do końca. I ty, i ja mamy teraz życie bez radości. Postanowiłem wzniecić w nim pożar. Rozumiesz, co to znaczy? Chcesz zostać moją towarzyszką życia, żoną?

Taja słuchała go dotychczas z głębokim wzruszeniem. Przy ostatnich słowach drgnęła zaskoczona.

– Nie żądam od ciebie, Taja, dzisiaj odpowiedzi. Nad wszystkim dobrze się zastanów. Trudno ci pewno zrozumieć, jak można mówić takie rzeczy bez różnych tam zalecanek. Wszystkie te ceregiele nikomu nie są potrzebne. Daję ci swoją rękę, dziewczyno, masz ją. Jeżeli tym razem uwierzysz, nie zawiedziesz się. Mam w sobie wiele tego, czego ci potrzeba, i na odwrót. Już postanowiłem: związek nasz zawieramy na tak długo, póki nie wyrośniesz na prawdziwego naszego człowieka, a ja to zrobię, inaczej niewart byłbym grosza w dzień targowy. Do tej pory nie powinniśmy zrywać naszego związku. A gdy wyrośniesz – jesteś wolna od wszelkich zobowiązań. Kto wie, może dojść do tego, że fizycznie będę

zupełną ruiną, i pamiętaj, że i w takim wypadku nie zwiążę twojego życia.

Po krótkim milczeniu mówił dalej ciepło, serdecznie:

– Obecnie zaś proponuję ci przyjaźń i miłość.

Nie wypuszczał jej palców ze swej ręki i był tak spokojny, jak gdyby już mu wyraziła swoją zgodę.

– A ty mnie nie opuścisz?

– Słowa, Taja, nie są dowodem. Jedno ci pozostaje: uwierzyć, że tacy, jak ja, nie zdradzają swych przyjaciół... byleby tylko oni mnie nie zdradzili – zakończył gorzko.

– Dzisiaj nic ci nie powiem, wszystko to jest dla mnie takie nieoczekiwane – odpowiedziała.

Korczagin wstał.

– Kładź się, Taja, niedługo świt.

I poszedł do swego pokoju. Położył się w ubraniu i, zaledwie głowa dotknęła poduszki, usnął.

W pokoju Korczagina na stole przy oknie leżą sterty przyniesionych z biblioteki partyjnej książek, kupa gazet i kilka zapisanych notesów. Łóżko gospodarzy, dwa krzesła, a na drzwiach wiodących do pokoju Tai ogromna mapa Chin, upstrzona czarnymi i czerwonymi chorągiewkami. W komitecie partii Korczagin umówił się, że będą mu dostarczali literatur z sekretariatu, oprócz tego obiecano mu, że jeśli chodzi o książki, będzie się nim opiekował kierownik największej w mieście biblioteki. Wkrótce zaczął stamtąd otrzymywać całe paczki książek. Lola ze zdziwieniem patrzyła na to, jak od wczesnego rana, z krótkimi przerwami na śniadanie i obiad, czytał i notował do samego wieczora, który zawsze spędzali razem w jej pokoju, we troje. Korczagin dzielił się z siostrami tym, co przeczytał.

Stary, wychodząc na dwór, stale widział długo po północy smużkę światła między okiennicami pokoju nieproszonego lokatora. Cicho na palcach podchodził do okna i przez szparę patrzył na pochyloną nad stołem głowę.

„Ludzie śpią, a ten pali światło całą noc. Chodzi po do-

mu, jakby był gospodarzem. Dziewczyny zaczęły zuchwale odpowiadać" – ze złością rozmyślał i odchodził.

Po raz pierwszy od ośmiu lat Korczagin miał tyle wolnego czasu i nie miał żadnych obowiązków. Czytał z łapczywością człowieka dopiero co wtajemniczonego. Przesiadywał przy tej pracy po osiemnaście godzin na dobę. Nie wiadomo, jaki by to wywarło wpływ na jego zdrowie, gdyby nie kilka słów rzuconych jakby mimochodem przez Taję:

– Przeniosłam na inne miejsce komodę i drzwi do twego pokoju już się teraz otwierają. Jeżeli będziesz musiał o czymś ze mną pomówić, możesz wejść wprost, nie przechodząc przez pokój Loli.

Paweł był rozpromieniony. Taja uśmiechnęła się radośnie. Związek został zawarty.

Nie widział więcej stary o północnej porze smużki światła z narożnego okna, a matka zaczęła dostrzegać w oczach Tai źle ukrywane szczęście. Ledwie widoczne zarysowały się obwódki pod błyszczącymi od wewnętrznego ognia oczami – dawały znać o sobie bezsenne noce. Dźwięk gitary i pieśni Tai częściej zaczęły się rozlegać w małym mieszkaniu.

Obudzona w niej kobieta cierpiała wskutek tego, że jej miłość była jak gdyby kradziona. Drżała za lada szmerem, wciąż zdawało jej się, że słyszy kroki matki. Męczyła się tym, co odpowiedzieć, jeżeli matka zapyta, dlaczego zaczęła na noc zamykać na haczyk drzwi swego pokoju. Korczagin widział to i mówił jej czule, uspokajająco:

– Czego się boisz? Przecie właściwie tutaj jesteśmy u siebie. Śpij spokojnie. Do naszego życia obcym wstęp wzbroniony.

Przytulała się policzkiem do jego piersi i uspokojona zasypiała w objęciach ukochanego. Paweł długo przysłuchiwał się, jak oddychała, i nie poruszał się, by nie spłoszyć jej snu; ogarniała go wielka tkliwość dla tej dziewczyny, która powierzyła mu swoje życie.

O przyczynie nie gasnącego ognia w oczach Tai pierwsza dowiedziała się Lola i od tej chwili między siostrami legł cień obcości. Dowiedziała się i matka, raczej się domyśliła. Stała się czujna. Nie tego się spodziewała po Korczaginie.

– Tajusza nie jest dla niego – powiedziała któregoś dnia do Loli. – Co z tego wszystkiego wyniknie?

Zakotłowały się w jej głowie myśli pełne niepokoju, ale nie zdecydowała się pomówić o tej sprawie z Korczaginem.

U Korczagina zaczęła bywać młodzież. Czasami robiło się ciasno w małym pokoiku. Do starego dochodził jakby szum pszczelego roju. Nieraz śpiewano zgodnym chórem:

Tchnie bezludziem nasze morze,
Szumi dzień i noc...

i ulubione Pawła:

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy...

Były to zebrania robotniczego kółka aktywu partyjnego, przydzielonego Korczaginowi przez komitet partii na skutek jego listu, w którym domagał się dania mu pracy propagandowej. Tak mijały dnie Pawła.

Korczagin znowu ujął ster oburącz i po kilku ostrych zygzakach, jakie wykonało jego życie, skierował je ku nowemu celowi. Tym celem była realizacja marzenia o powrocie do szeregów przez naukę i literaturę.

Ale życie spiętrzało przeszkody jedną po drugiej i zjawienie się ich witał trwożną myślą o tym, w jakim stopniu zahamują jego dążenie do celu.

Niespodziewanie zjawił się z Moskwy niedoszły student Żorż z żoną. Zamieszkał u teścia, adwokata, i przychodził pompować z matki pieniądze.

Przyjazd Żorża znacznie pogorszył wewnętrzne stosunki w rodzinie. Żorż bez namysłu stanął po stronie ojca i wraz

z antyradziecko usposobioną rodziną swej żony zaczął kopać dołki pod Korczaginem, usiłując za wszelką cenę wygryźć go z domu i oderwać od niego Taję.

W dwa tygodnie po przyjeździe Żorża Lola dostała pracę w jednym z najbliższych rejonów. Miała wyjechać tam z matką i synem, a Korczagin z Tają przenieśli się do odległego nadmorskiego miasteczka.

Rzadko otrzymywał Artiom listy od brata, ale gdy zastawał na swym biurku w radzie miejskiej szarą kopertę ze znajomym kanciastym pismem, tracił swój zwykły spokój czytając kartki listu. I teraz otwierając kopertę, pomyślał z ukrytą tkliwością:

„Ech, Pawłusza, Pawłusza! Gdybyśmy mieszkali bliżej siebie, przydałyby mi się, chłopcze, twoje rady".

Artiomie, chcę Ci opowiedzieć, com przeżył. Prócz Ciebie, zdaje się, do nikogo takich listów nie piszę. Znasz mnie i każde słowo zrozumiesz. Życie w dalszym ciągu naciera na mnie na froncie walki o zdrowie.

Otrzymuję cios za ciosem. Ledwie zdążę stanąć na nogi po jednym, już nowy, bardziej od pierwszego bezlitosny, wali się na mnie. Najstraszniejsze jest to, że nie mam możności stawiać im oporu. Odmówiła posłuszeństwa lewa ręka. To było ciężkie, ale zaraz po niej zdradziły mnie nogi i ja, bez tego ledwie poruszając się (w obrębie pokoju), obecnie z trudem mogę dobrnąć od łóżka do stołu. Ale przecie to na pewno jeszcze nie wszystko. Co przyniesie mi jutro – nie wiadomo.

Nie wychodzę już z domu i z okna widzę tylko skrawek morza. Czy tragedia może być straszniejsza, gdy w jednym człowieku połączyły się zdradzieckie, odmawiające służby ciało i serce bolszewika, jego wola, niepowstrzymanie pchająca do pracy, do was, do armii czynnej, nacierającej na całym froncie tam, gdzie rozwija się żelazna lawina szturmu?

Wierzę jeszcze, że wrócę do szeregów, że w nacierających kolumnach znajdzie się i mój bagnet. Nie wolno mi nie wierzyć, nie mam prawa. Dziesięć lat partia i Komsomoł wychowywały mnie w sztuce stawiania oporu i do mnie również odnoszą się słowa wodza: „Nie ma takich twierdz, których bolszewicy nie mogliby zdobyć".

Moje życie teraz – to nauka. Książki, książki, jeszcze raz książki. Zrobiłem dużo, Artiomie. Przestudiowałem całą klasyczną literaturę piękną. Skończyłem i oddałem prace z pierwszego roku zaocznego uniwersytetu komunistycznego. Wieczorami pracuję w kółku młodzieży partyjnej. Łączność z praktyczną robotą organizacji utrzymuję przez tych towarzyszy. Potem Tajusza, jej rozwój i postępy, no i miłość, czułe pieszczoty mojej przyjaciółeczki. Żyjemy ze sobą w zgodzie. Nasza „ekonomia" jest bardzo nieskomplikowana – trzydzieści dwa ruble mojej emerytury i zarobek Tai. Do partii Taja kroczy moją drogą: pracowała jako pomocnica domowa, obecnie jest pomywaczką w stołówce (w tym miasteczku nie ma zakładów przemysłowych).

W tych dniach Taja z tryumfem pokazała mi swoją pierwszą legitymację delegatki wydziału kobiecego. Dla niej to nie jest zwykły kawałek tektury. Śledzę, jak rodzi się w niej nowy człowiek, i w miarę możności pomagam tym narodzinom. Przyjdzie czas, gdy duża fabryka, kolektyw robotniczy zakończy kształtowanie się Tai. Póki tu jesteśmy, idzie ona jedyną możliwą drogą.

Dwa razy przyjeżdżała matka Tai. Ciągnie ona Taję podświadomie z powrotem w życie zbudowane z drobiazgów, pogrążone w ciasnych sprawach osobistych, własnych, odosobnionych. Starałem się przekonać Albinę, że mrok jej życia nie powinien kłaść się cieniem na drogę córki. Ale wszystko to okazało się daremne. Czuję, że matka kiedyś stanie na drodze córki idącej ku nowemu życiu i że walki z nią nie da się uniknąć.

Ściskam dłoń. Twój Paweł

Sanatorium numer pięć w Starej Maceście. Dwupiętrowy murowany dom na wyrąbanym w skale placyku. Dokoła las, zygzakiem zbiega w dół droga dojazdowa. Okna w pokojach otwarte, wietrzyk przynosi z dołu woń źródeł siarczanych. Korczagin jest sam w pokoju. Jutro przyjadą nowi towarzysze i będzie miał sąsiada. Za oknem czyjeś kroki i czyjś znajomy głos. Mówi kilka osób. Ale gdzie to on słyszał ten mocny bas? Pamięć zaczęła pracować z natężeniem i wydobyła z zakamarka schowane tam, lecz niezapomniane imię: „Ledieniew Innocenty Pawłowicz. To nikt inny, tylko on". I Paweł pewny, że się nie myli, zawołał go. Po chwili Ledieniew już siedział przy nim i radośnie potrząsał jego rękę.

– A, żyjesz jeszcze? No, co powiesz dobrego? Ty co, na serio myślisz chorować? Nie pochwalam. Bierz oto ze mnie przykład. Mnie lekarze też wróżyli dymisję, a ja, im na złość, wciąż się trzymam – i Ledieniew roześmiał się dobrodusznie.

Korczagin widział ukryte za tym śmiechem współczucie i nutę zatroskania.

Dwie godziny spędzili na ożywionej rozmowie. Ledieniew opowiadał nowiny moskiewskie. Od niego Korczagin po raz pierwszy dowiedział się o powziętych przez partię nader ważnych decyzjach, dotyczących kolektywizacji gospodarstw rolnych, przebudowy wsi, i chciwie wchłaniał każde słowo.

– A ja już gotów byłem myśleć, że ty kręcisz się gdzieś u siebie na Ukrainie. I tu taki zawód. No nic, moje sprawy gorzej stały, a teraz, jak widzisz, jakoś się trzymam. W żaden sposób, uważasz, nie można sobie obecnie pofolgować. Nie udaje się! Czasami, wyznam szczerze, przychodzi mi do głowy: należałoby chyba odpocząć troszkę, złapać tchu. Przecie to już nie te lata, co dawniej – czasami dziesięć, dwanaście godzin pracy już męczą. No ale jak tylko sobie pomyślisz i nawet zaczniesz przeglądać akta, żeby się trochę rozładować, kończy się to zawsze tak samo. Zaczniesz się „rozładowy-

wać" – i tak się zasiedzisz przy tym rozładunku, że przed północą do domu nie wracasz. Im silniejszy jest ruch maszyny, tym szybciej poruszają się kółka, a u nas ruch jest z każdym dniem gwałtowniejszy i wychodzi na to, że my, starzy, musimy żyć tak, jak żyliśmy w młodości.

Ledieniew przesunął ręką po wysokim czole i rzekł z ojcowską serdecznością:

– No, opowiedz teraz o swoich sprawach.

Słuchał Ledieniew opowieści o życiu Korczagina i Paweł chwytał na sobie jego żywe, pełne uznania spojrzenie.

W cieniu rozłożystych drzew, w kącie tarasu, siedzi grupa kuracjuszy. Przy niewielkim stole czyta „Prawdę", mocno ściągnąwszy gęste brwi, Chrizanf Czernokozow. Jego czarna kosoworotka, zniszczona płaska czapka, ogorzała, chuda, dawno nie golona twarz z głęboko osadzonymi niebieskimi oczami – wszystko to świadczy, że jest rdzennym górnikiem. Już dwanaście lat temu człowiek ten, powołany na kierownicze stanowisko w kraju, odłożył kilof, a wydawało się, że dopiero co wyszedł z szybu. Widać to było po zachowaniu się i sposobie mówienia, po samym jego słownictwie.

Czernokozow to członek krajowego komitetu partii i członek rządu. Męcząca choroba – gangrena nogi – niszczyła jego siły. Czernokozow nienawidził swej chorej nogi, która zmusiła go do spędzenia już prawie pół roku w łóżku.

Naprzeciw niego, w zadumie paląc papierosa, siedziała Żygiriewa. Aleksandra Aleksiejewna Żygiriewa ma trzydzieści siedem lat, jest dziewiętnaście lat w partii. „Szuroczka-metalowiec", jak nazywano ją w petersburskim podziemiu, była jeszcze prawie dziewczynką, gdy poznała zesłanie na Sybir.

Trzeci przy stole to Pankow. Pochyliwszy swą ładną, o klasycznym profilu głowę, czyta dziennik niemiecki, od czasu do czasu poprawiając na nosie wielkie rogowe okulary. Było

coś bezsensownego w tym, że ten trzydziestoletni atleta z trudem podnosi odmawiającą posłuszeństwa nogę. Pankow – redaktor, pisarz, pracownik Ludowego Komisariatu Oświaty, zna Europę, włada kilkoma obcymi językami. Posiada rozległą wiedzę i nawet powściągliwy Czernokozow odnosi się do niego z szacunkiem.

– Czy to twój współlokator? – zapytała cicho Żygiriewa Czernokozowa i wskazała głową wózek, w którym siedział Korczagin.

Czernokozow oderwał się od gazety, twarz jakoś od razu mu się rozjaśniła.

– Tak, to Korczagin. Trzeba, Szuro, żebyś się z nim poznała. Choroba nawtykała mu kijów w szprychy, gdyby nie to, przydałby się nam ten chłopak na odpowiedzialnych posterunkach. Jest jednym z komsomolców pierwszego pokolenia. Słowem, jeżeli chłopcu przyjdziemy z pomocą – co postanowiłem – to będzie mógł jeszcze pracować.

Pankow przysłuchiwał się tej rozmowie.

– A co mu jest? – równie cicho jak poprzednio zapytała Szura Żygiriewa.

– Pozostałości z dwudziestego roku. Coś nie w porządku z kręgosłupem. Rozmawiałem tu z lekarzem, więc, uważasz, jest obawa, że kontuzja doprowadzi do zupełnego bezwładu. Wyobraź ty sobie!

– Zaraz go tutaj przywiozę – rzekła Szura.

Tak zaczęła się ich znajomość. I Paweł nie wiedział, że Żygiriewa i Czernokozow staną się dla niego najbliższymi i że w latach oczekującej go ciężkiej choroby będą głównym jego oparciem.

Życie płynęło po dawnemu. Taja pracowała. Korczagin się uczył. Zaledwie zdążył się wziąć do pracy z kółkami, gdy cichaczem podkradło się nowe nieszczęście. Sparaliżowało mu

nogi. Teraz władał tylko prawą ręką. Do krwi pogryzł wargi, kiedy po daremnych wysiłkach zrozumiał, że nie jest już zdolny do poruszania się. Taja mężnie ukrywała swoją rozpacz i gorycz świadomości, że pomóc mu nie może. A on mówił, uśmiechając się w poczuciu winy:

– Musimy, Tajuszo, rozwieść się. Przecie nasza umowa nie przewidywała, że możesz tak wpaść. Ja się dzisiaj zastanowię, jak to zrobić, moje dziecko.

Nie dawała mu mówić. Trudno jej było powstrzymać łkanie. Szlochała gwałtownie, przyciskając do piersi głowę Pawła.

Artiom dowiedział się o nowym nieszczęściu brata, napisał do matki i Maria Jakowlewna, rzuciwszy wszystko, przyjechała do nich. Zamieszkali we troje. Staruszka żyła z Tają w zgodzie.

Korczagin w dalszym ciągu się uczył.

Pewnego wieczora, podczas zimowej niepogody, Taja przyniosła wiadomość o pierwszym swoim zwycięstwie, o otrzymaniu legitymacji członka rady miejskiej. Od tej pory Korczagin zaczął ją rzadko widywać. Z kuchni sanatorium, gdzie była pomywaczką, Taja szła do wydziału kobiecego, do rady, i wracała do domu późnym wieczorem zmęczona, lecz pełna wrażeń. Zbliżał się dzień przyjęcia jej w poczet kandydatów do partii. Przygotowywała się do tego z wielkim przejęciem. Ale tu zwaliła się na nich nowa niedola. Choroba robiła swoje. Ogniem nieznośnego bólu zapłonęło prawe oko Korczagina, od niego ten ogień przeniósł się na lewe. Po raz pierwszy w życiu Paweł pojął, co to jest ślepota – wszystko dokoła przesłonił mu jakby ciemny muślin.

Cicho stanęła w poprzek drogi straszna, bo nie do pokonania przeszkoda i zagrodziła ją. Nie miała granic rozpacz matki i Tai, a on z zimnym spokojem postanowił: „Trzeba poczekać. Jeżeli rzeczywiście nie ma możliwości posuwania się naprzód, jeżeli wszystko, co zostało dokonane dla powro-

tu do pracy, przekreśliła ślepota i wrócić do szeregów już nie można – to trzeba ze sobą skończyć".

Korczagin napisał do przyjaciół. Przychodziły od nich listy nawołujące do zachowania hartu i do dalszej walki.

W owych tak ciężkich dla niego dniach Taja, w radosnym podnieceniu, oznajmiła mu:

– Pawłusza, jestem kandydatem do partii.

I Paweł, słuchając jej opowiadania, jak komórka przyjmowała do swych szeregów nową towarzyszkę, wspominał swoje pierwsze kroki partyjne.

– A więc, towarzyszko Korczagin, stanowimy razem frakcję komsomolską – rzekł ściskając jej rękę.

Nazajutrz napisał list do sekretarza komitetu rejonowego z prośbą, by do niego zaszedł. Wieczorem zatrzymał się przed domem opryskany błotem samochód i po chwili Wolmer, Łotysz w podeszłym wieku, z gęstym zarostem od podbródka do uszu, ściskał rękę Korczagina.

– No, jak się mamy? Czego ty tak skandalicznie się sprawujesz? Wstawajże, zaraz cię z tamtego świata na ziemię poślemy – i roześmiał się.

Sekretarz komitetu rejonowego spędził u Korczagina dwie godziny, zapomniał nawet, że ma wieczorne posiedzenie. Łotysz chodził z kąta w kąt, słuchając podnieconych słów Pawła, i wreszcie powiedział:

– Przestań gadać o kółku. Powinieneś odpocząć, a potem wyjaśnić sprawę wzroku. Może nie wszystko jeszcze stracone. A gdybyś tak pojechał do Moskwy, co? Pomyśl nad tym...

Korczagin przerwał mu:

– Mnie potrzeba ludzi, towarzyszu Wolmer, żywych ludzi! Samotności nie przeżyję. Obecnie bardziej mi są potrzebni niż kiedykolwiek. Dawaj mi tu młodzież, najbardziej jeszcze zieloną. Oni u ciebie po wsiach ciągną w lewo, do komuny – w kołchozie im za ciasno. Przecie Komsomoł, jeżeli go się

nie upilnuje, bardzo często szuka okazji, żeby wysforować się przed tyralierę. Ja sam taki byłem, wiem.

Wolmer przystanął.

– A skąd tyś się o tym dowiedział? Przecie dopiero dzisiaj przywieziono z rejonu tu nowinę.

Korczagin uśmiechnął się.

– Może pamiętasz moją żonę? Wczoraj przyjmowano ją do partii. Ona mi opowiedziała.

– Aha, Korczagina, pomywaczka? Więc to twoja żona? Hm, nawet o tym nie wiedziałem! – I po krótkim namyśle Wolmer uderzył się dłonią w czoło. – Wiem, kogo ci przyślemy – Lwa Biersieniewa. Lepszego towarzysza nie trzeba. Nawet z charakteru jesteście do siebie podobni. Wynikną z tego jakby dwa transformatory wielkiej częstotliwości. Uważasz, byłem niegdyś monterem, stąd mam te słówka, takie porównania. Lew tobie i radio urządzi, to mistrz w dziedzinie radia. Uważasz, bardzo często przesiaduję u niego do drugiej w nocy ze słuchawkami na uszach. Żona nawet zaczęła mnie podejrzewać: „Gdzie ty, powiada, stary czorcie, po nocach się włóczysz?"

Korczagin zapytał go z uśmiechem:

– Kto to jest Biersieniew?

Wolmer, zmęczony chodzeniem po pokoju, usiadł na krześle i opowiadał:

– Biersieniew to nasz notariusz, ale taki z niego notariusz, jak ze mnie baletnica. Jeszcze do niedawna Lew był wielkim działaczem. W ruchu rewolucyjnym jest od dwunastego roku, w partii od Października. Podczas wojny domowej coś tam dłubał przy wojsku, sądził w trybunale rewolucyjnym drugiej konnej; na Kaukazie tępił białe wszy. Był jakiś czas w Carycynie i na południowym froncie, na Dalekim Wschodzie kręcił całym Najwyższym Sądem Wojskowym Republiki. Najadł się biedy co niemiara: gruźlica powaliła chłopa. Z Dalekiego Wschodu przybył tutaj. Tu na Kaukazie był przewod-

niczącym sądu gubernialnego, zastępcą przewodniczącego sądu krajowego. Wreszcie płuca roztrzęsły mu się zupełnie. Teraz zapędzili go tutaj, grożąc, że inaczej kitę odwali. Oto skąd mamy takiego niezwykłego notariusza. To zajęcie spokojne, więc jakoś żyje. Tutaj mu dano po cichu komórkę, potem wprowadzono go do komitetu rejonowego, podsunęli mu szkołę polityczną, następnie KK*, jest on stałym członkiem wszystkich odpowiedzialnych komisji w zagmatwanych i trudnych sprawach. Prócz tego wszystkiego jest on myśliwym oraz zapalonym radioamatorem i choć nie ma jednego płuca, trudno uwierzyć, że jest chory. Tryska energią. Na pewno umrze pędząc kiedyś z komitetu rejonowego do sądu.

Paweł przerwał mu ostrym pytaniem:

– Dlaczegoście więc tak go obarczyli? On tutaj u was więcej pracuje niż dawniej.

Wolmer spojrzał zmrużonymi oczami z ukosa na Korczagina.

– Dać tobie kółko młodzieżowe i jeszcze coś, to Lew przy okazji powie: „Czego go obarczacie?" A sam mówi: „Lepiej przeżyć rok w wytężonej pracy niż wegetować pięć lat na prawach chorego". Widocznie oszczędzać ludzi będziemy mogli wtedy, gdy zbudujemy socjalizm.

– To jest słuszne. Ja również głosuję za rokiem życia przeciw pięciu latom wegetacji, ale i tutaj jesteśmy niekiedy zbrodniczo rozrzutni w szafowaniu siłami. I jest w tym więcej, teraz to zrozumiałem, nie tyle bohaterstwa, co żywiołowości i nieodpowiedzialności. Dopiero teraz zacząłem rozumieć, że nie miałem żadnego prawa tak okrutnie traktować swego zdrowia. Okazało się, że heroizmu w tym nie ma. Być może, wytrzymałbym jeszcze kilka lat, gdyby nie ten spartanizm. Słowem, dziecięca choroba lewicowości – oto jedno z podstawowych niebezpieczeństw w moim położeniu.

„Tak mówi, a niech tylko stanie na nogi – zapomni

K K – Komisja Kontroli (partyjnej).

o wszystkim na świecie" – pomyślał sobie Wolmer, ale tego nie powiedział.

W dwa dni potem wieczorem do Pawła przyszedł Lew. Pożegnali się o północy. Lew wychodził od nowego znajomego z takim uczuciem, jak gdyby odnalazł brata straconego przed wielu laty.

Rano po dachu łazili ludzie, umocowywali antenę, a Lew pracował jako monter w mieszkaniu, opowiadając niesłychanie ciekawe epizody ze swej przeszłości. Paweł go nie widział, ale z opowiadania Tai wiedział, że Lew jest blondynem o jasnych oczach, zgrabnym, energicznym w ruchach, to jest właśnie takim, jakim wyobrażał go sobie Paweł zaraz od pierwszych chwil znajomości.

O zmierzchu w pokoju zapaliły się trzy małe lampki. Lew uroczyście podał Pawłowi słuchawki. W eterze panował chaos dźwięków. Świegotały jak ptaszki aparaty portowe Morsego, gdzieś (widocznie blisko na morzu) pracował okrętowy aparat iskrowy. W tym bezładzie trzasków i szumów cewka wariometru znalazła i przyniosła spokojny i pewny siebie głos:

– Słuchajcie, słuchajcie, mówi Moskwa...

Mały aparat łapał na swoją antenę sześćdziesiąt stacji świata. Życie, od którego Paweł był odepchnięty, wdzierało się poprzez stalową membranę i on odczuł jego potężny dech.

Widząc, jak zapłonęły mu oczy, zmęczony Biersieniew uśmiechnął się.

W dużym domu ludzie już śpią. Coś niespokojnie szepce przez sen Taja. Późno wraca do domu, zmęczona i zziębnięta. Mało widuje ją Paweł. Im głębiej pogrąża się w pracy, tym rzadziej ma wolne wieczory, i Pawłowi przypominają się słowa Biersieniewa: „Jeżeli bolszewik ma za żonę towarzyszkę partyjną, rzadko widują się oni ze sobą. Ma to swoje

dwie dobre strony: nie uprzykrzą się sobie i nie mają czasu się kłócić!"

Jakiż argument może on temu przeciwstawić? To było do przewidzenia. Były dni, kiedy Taja oddawała mu wszystkie swoje wieczory. Wtedy więcej było ciepła, więcej tkliwości. Ale wtedy była tylko przyjaciółką, żoną, teraz zaś jest wychowanicą i towarzyszką partyjną.

Rozumiał, że im bardziej Taja będzie się rozwijać, tym mniej godzin będzie mu poświęcać, i uznał, że tak być powinno.

Paweł dostał kółko młodzieżowe.

W domu znowu zaczęło być wieczorami gwarno. Godziny spędzane z młodzieżą były dla Pawła zastrzykiem otuchy.

W pozostałej porze matka z trudem odbierała mu słuchawki, by go nakarmić.

Radio dawało Pawłowi to, co mu odjęła ślepota – możność uczenia się, i w tym nie znającym przeszkód dążeniu zapominał o dotkliwych, palących całe ciało bólach, zapominał o piekącym bólu w oczach i o tym całym surowym, bezlitosnym dla niego życiu.

Kiedy promień anteny przyniósł z Magnitostroja wiadomość o bohaterskich czynach młodej braci, która pod znakiem KIM zastąpiła pokolenie Korczaginów, Paweł uczuł się do głębi szczęśliwy.

Wyobrażał sobie zamieć – okrutną jak stado wilków, lute uralskie mrozy. Wyje wicher, a w nocy podczas śnieżnej zawiei oddział złożony z drugiego pokolenia komsomolców przy jaskrawym świetle lamp łukowych szkli dachy olbrzymich gmachów, ratując od śniegu i mrozu pierwsze warsztaty potężnego kombinatu. Drobiazgiem wydawała się budowa leśnej kolejki, kiedy to walczyło z zamiecią pierwsze pokolenie kijowskiego Komsomołu. Wyrósł kraj, wyrośli ludzie.

Na Dnieprze woda przerwała stalowe zapory i runęła zatapiając maszyny i ludzi. I znowu Komsomoł rzucił się do

walki z żywiołem i po zaciekłych dwudniowych zmaganiach bez snu i odpoczynku wpędził wyzwolony żywioł z powrotem za stalowe zapory. W tej gigantycznej walce czołowe miejsce zajmowało nowe pokolenie komsomolców. Wśród imion bohaterów Paweł z radością usłyszał drogie mu imię Ignata Pankratowa.

XVIII

ilka dni mieszkali w Moskwie w magazynie archiwum jednego z urzędów, którego kierownik pomagał umieścić Korczagina w specjalnej klinice.

Dopiero teraz Paweł zrozumiał, że mieć w sobie hart, gdy się posiadało silne ciało i młodość, było rzeczą dość łatwą i prostą, lecz nie załamać się teraz, kiedy życie ściska żelazną obręczą, jest sprawą honoru.

Minęło półtora roku od czasu, gdy Korczagin mieszkał w magazynie archiwum. Osiemnaście miesięcy niewypowiedzianych cierpień.

W klinice profesor Auerbach wprost powiedział Pawłowi, że przywrócenie mu wzroku jest niemożliwe. W mglistej przyszłości, gdy ustanie zapalenie, chirurgia spróbuje zoperować źrenice. Dla zlikwidowania stanu zapalnego zaproponowano zabieg chirurgiczny.

Zapytano go o zgodę i Paweł pozwolił robić ze sobą wszystko, co lekarze uznają za potrzebne.

Podczas godzin spędzonych na stołach operacyjnych, gdy lancety krajały mu szyję, usuwając gruczoł tarczycowy, trzykrotnie musnęła go swym czarnym skrzydłem śmierć. Lecz życie kurczowo trzymało się Korczagina. Po strasznych godzinach oczekiwania Taja odnajdywała swego przyjaciela trupio bladego, lecz żywego i, jak zwykle w stosunku do niej, pogodnego i serdecznego.

– Nie lękaj się, moja ty, mnie nie tak łatwo wpędzić do grobu, będę jeszcze żył i awanturował się, bodaj na złość arytmetycznym wyliczeniom uczonych eskulapów. Co do mego zdrowia mają we wszystkim rację, lecz grubo się mylą w dokumencie mówiącym o mej stuprocentowej niezdolności do pracy. To się jeszcze okaże.

Paweł zdecydowanie obrał sobie drogę, którą postanowił wrócić do szeregów budowniczych nowego życia.

Skończyła się zima, wiosna otworzyła ramy okienne i Korczagin, utraciwszy dużo krwi i wyszedłszy cało z ostatniej operacji, zrozumiał, że dłużej zostawać w klinice nie może. Przeżyć tyle miesięcy w kręgu ludzkich cierpień, wśród jęków i narzekań ludzi skazanych na zagładę, było bez porównania trudniej niż znosić własne cierpienie.

Na propozycję dokonania nowej operacji odpowiedział zimno i szorstko:

– Basta. Mam tego dość. Oddałem nauce część mojej krwi, a to, co zostało, potrzebne mi jest do czego innego.

Tego samego dnia Paweł napisał list do KC z prośbą, by umożliwiono mu zamieszkanie w Moskwie, gdzie pracuje jego towarzyszka życia, ponieważ dalsza jego tułaczka jest bezcelowa. Po raz pierwszy zwrócił się do partii o pomoc. W odpowiedzi na to pismo Moskiewska Rada Miejska przydzieliła mu pokój. I Paweł opuścił klinikę z jednym pragnieniem – nigdy więcej do niej nie wracać.

Skromny pokój w cichym zaułku ulicy Kropotkina wydał się szczytem luksusu. I często Paweł, budząc się w nocy, nie wierzył, że klinika została gdzieś tam, poza nim.

Taja z kandydata stała się członkiem partii. Uporczywa w pracy, nie bacząc na całą tragedię swego osobistego życia, nie pozostała w tyle za przodownicami i kolektyw wyróżnił tę małomówną pracownicę obdarzając ją swym zaufaniem: wybrano ją na członka rady zakładowej. Uczucie dumy, że

jego towarzyszka życia przeradza się w bolszewika, łagodziło ciężkie położenie Pawła.

Odwiedziła go Bażanowa, która przyjechała do Moskwy służbowo. Długo ze sobą rozmawiali. Paweł z zapałem opowiadał o drodze, którą w niedalekiej przyszłości powróci do szeregów bojowników.

Bażanowa dostrzegła srebrzyste pasemko na skroniach Korczagina i powiedziała cicho:

– Widzę, żeście przeżyli niemało. Ale mimo to nie straciliście płomiennego entuzjazmu. Czegóż więcej trzeba? To dobrze, że postanowiliście rozpocząć pracę, do której przygotowywaliście się pięć lat. Ale w jaki sposób będziecie pracować?

Paweł uśmiechnął się uspokajająco.

– Jutro przyniosą mi szablon wykrojony z tektury. Bez niego nie będę mógł pisać. Jeden wiersz włazi na drugi. Długo szukałem na to rady i wreszcie znalazłem: wycięte z tektury paski nie pozwolą memu ołówkowi wysuwać się poza ramki równego wiersza. Trudno jest pisać nie widząc tego, co się napisało, ale nie jest to niemożliwe. Przekonałem się o tym. Długi czas nic z tego nie wychodziło, ale teraz zacząłem pisać wolniej, kaligrafując starannie każdą literę, i wychodzi dość dobrze.

Paweł zaczął pracować.

W jego głowie powstała myśl napisania opowieści poświęconej bohaterskiej dywizji Kotowskiego. Tytuł nasunął się sam:

„Zrodzeni z burzy".

Od tego dnia całe jego życie zostało nastawione na stworzenie książki. Powoli, wiersz po wierszu, rodziły się stronice. Zapomniał o wszystkim, pochłonięty tym, co chciał odtworzyć, i po raz pierwszy w życiu przeżywał męki twórczości, gdy plastycznych, niezapomnianych obrazów, odczuwanych tak

wyraźnie, nie udawało się przenieść na papier, a słowa wychodziły blade, pozbawione ognia i mocy.

Wszystko, co pisał, musiał pamiętać słowo w słowo. Zgubienie wątku hamowało pracę. Matka ze strachem patrzyła na to zajęcie syna.

Podczas pisania musiał niekiedy recytować z pamięci całe stronice, czasami nawet całe rozdziały, i matce wydawało się chwilami, że syn zwariował. Dopóki pisał, nie ważyła się podejść do niego, i dopiero podnosząc kartki, które zsunęły się na podłogę, mówiła nieśmiało:

– Zająłbyś się czym innym, Pawłusza. Któż to widział tak pisać bez końca...

Śmiał się serdecznie z jej niepokoju i upewniał staruszkę, że jeszcze nie całkiem zbzikował.

Trzy rozdziały zamierzonej książki były skończone. Paweł posłał je do Odessy starym kotowcom do oceny i wkrótce otrzymał od nich list z dodatnimi opiniami, lecz rękopis w powrotnej drodze zaginął na poczcie. Sześciomiesięczna praca przepadła. Wywołało to u Pawła wielki wstrząs. Gorzko pożałował, że posłał jedyny posiadany egzemplarz, nie zostawiwszy sobie kopii. Powiedział Ledieniewowi o swej stracie.

– Dlaczego postąpiłeś tak nierozważnie? Uspokój się, teraz nie ma już co kląć. Zaczynaj od początku.

– Ależ, Innocenty Pawłowiczu, skradziono mi pół roku pracy. Po osiem godzin codziennie wielkiego wysiłku. Ach, pasożyty, niech ich jasny piorun spali!

Ledieniew starał się go uspokoić.

Trzeba było wszystko zacząć na nowo. Ledieniew zdobywał papier. Pomagał przepisywać tekst na maszynie. Po sześciu tygodniach został odtworzony pierwszy rozdział.

Współlokatorami Korczagina była rodzina Aleksiejewów. Starszy syn Aleksander był sekretarzem jednego z miejskich

czekał na list z taką dręczącą niecierpliwością, jak w owe dnie. Paweł żył od rannej poczty do wieczornej. Leningrad milczał.

Milczenie wydawnictwa stawało się groźne. Z każdym dniem potęgowało się przeczucie porażki i Korczagin uświadomił sobie, że bezwzględne odrzucenie książki będzie jego zgubą. Wówczas nie można dłużej żyć. Nie będzie czym.

W takich chwilach przypominał mu się zamiejski park nad morzem i wciąż stawało przed nim pytanie: „Czyś zrobił wszystko, żeby wyrwać się z żelaznego pierścienia, żeby wrócić do szeregów, uczynić swe życie pożytecznym?"

I odpowiadał: „Tak, zdaje się, że wszystko!"

W wiele dni potem, kiedy oczekiwanie stawało się już nie do zniesienia, matka, denerwująca się nie mniej od syna, zawołała wchodząc do pokoju:

– Poczta z Leningradu!!!

Był to telegram z komitetu obwodowego. Kilka krótkich zdań na blankiecie: *Powieść przyjęta z całym uznaniem. Przystępują do wydania. Winszujemy zwycięstwa.*

Serce biło mu przyspieszonym rytmem. Oto tajne marzenie stało się rzeczywistością. Żelazny pierścień został rozerwany i on – już z nową bronią – wracał do szeregów, wracał do życia.